

NICHOLAS EVANS

SERCE W OGNIU

(The Smoke Jumper)

Tłumaczył: Jerzy Łoziński

Książka ta jest fikcją literacką. Nazwiska, postaci, miejsca i zdarzenia albo są produktem wyobraźni autora, albo wykorzystane są fikcyjnie. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących czy zmarłych, zdarzeń lub miejsc jest zupełnie przypadkowe.

PODZIĘKOWANIA

Bardzo dziękuję wszystkim, którzy pomogli przy powstaniu tej książki. A są to: Priscilla Robinson, Rob Whitty, Alban Davies, Suzanne Laverty, Dave Mills, Bruce Weide, Pat Tucker, Jeanette Ingold, Jim Marks, Bob Maffit, Dan Pletscher, Dave Friend, Chris Thomas, Jeremy Mossop, Janey King, Sam Davis, Geoffrey Kalebbo, Philip Jones Griffiths, Charles Glass, Gavin Smith, Larry Stednitz i Garrett Munson z Alternative Youth Adventures. Proszę, by podziękowania za słowa otuchy i wiele, wiele innych sposobów wspierania mnie przyjęli: Linda Shaughnessy, Larry Finlay, Sally Gaminara, Irwyn Applebaum, Nita Taublib, Tracy Devine, Caradoc King i Charlotte Gordon Cumming.

I wreszcie proszę, by specjalne podziękowania za niezwykłą cierpliwość i gotowość pomocy przyjęli dwaj strażacy leśni z Missouli: Wayne Williams i Tim Eldridge.

*Nie dowie się nigdy, co w sercu drzemie,
Kto marszu nie przebył przez dym i płomienie.
Dla Harry'ego, Maxa i Lauren*

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To, co najważniejsze w życiu, zawsze zdarza się przez przypadek. W wieku piętnastu lat Skye wiedziała niewiele, a każdy następny rok sprawiał, że kolejne sprawy traciły na jasności. Ale jedno wiedziała na pewno. Możesz aż do znudzenia podejmować usiłowania poprawy, tysiące bezsennych nocy możesz spędzić na rozmyślaniach, jak wieść życie czyste, uczciwe i porządne, możesz układać sobie najróżniejsze plany i każdego wieczoru przyrzekać przed łóżkiem Bogu, że dochowasz im wierności, ba, możesz nawet uroczyście poprzysiąc to w kościele. Możesz przeżegnać się siedem razy z oczyma mocno zaciśniętymi, możesz z naciętego kciuka utoczyć krew, wypisać nią przysięgę na kamieniu, a ten później cisnąć o północy w rzekę. A potem zmienacka, niczym jastrząb dopadający szczura, wyskakuje zza pleców nienazwana katastrofa, zwała się na życie i wszystko na zawsze odmienia bez reszty.

Skye myślała potem, że tego konkretnie wieczoru stary jastrząb musiał siedzieć sobie na dachu i pozwalał szczurowi jeszcze trochę podokazywać, wszystko bowiem zaczęło się bardzo niewinnie wraz z tym, jak dwie kobiety wkroczyły nonszalancko do baru.

Nie знаła ich. To jednak, kim były, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Makijażu miały na sobie więcej niż ubrania, a po sposobie, w jaki stąpały na wysokich obcasach, nietrudno było zgadnąć, że są już podchmielone. Obie nosiły bardzo obcisłe, skąpe topy, jedna czerwony, druga srebrny z frędzlami. Ta, która szła pierwsza, miała długie czarne włosy i biust wyeksponowany niczym melony na tacy, a także spódnicę tak krótką, że wystarczył bardzo delikatny skłon, aby kolor majtek nie stanowił już zagadki. W barze łomotała głośna muzyka, a kiedy czarnowłosa spróbowała do rytmu lekko zakołysać się w biodrach, omal nie wylądowała na podłodze.

Towarzyszący im mężczyźni dbali o to, aby miały dookoła siebie dość miejsca, gdy przechodziły w tłumie. Obaj byli w kowbojskich kapeluszach i od stołu w rogu, który Skye zajmowała z przyjaciółmi, nie mogła dostrzec ich twarzy. Zresztą niewiele ją one interesowały; sama była bardziej niż podchmielona. Paliły się przyćmione czerwone światła i w gęstej zasłonie dymu zobaczyła tylko smutnych czterdziestolatków pilnujących swoich panienek i najpewniej od czasu do czasu rzucających jakieś dowcipy na temat własnych żon. Skye odwróciła wzrok, pociągnęła łyk piwa i przypaliła kolejnego papierosa.

Jeśli nadal przyciągali jej uwagę, to głównie z tego powodu, że się nudziła. Było to szczególnie smutne, jako że właśnie miała urodziny. Jed i Calvin zwiśli na stołkach bez ducha, Roxy nadal szlochała z powodu czegoś, co powiedział jej Calvin, sam zaś Calvin nieustannie rozwodził się nad swoją bryką, która się bez przerwy psuła. Następny cudowny wieczór w wielkim

mieście, powiedziała sobie Skye i pociągnęła kolejny łyk piwa. Niech mi się szczęści.

Bar był dziurą tak bliską dworca, że szklanki i butelki dźwięczały, ilekroć przejeżdżał pociąg. Gliny zostawiały to miejsce w spokoju, a personel, jeśli tylko nie było się w śliniaczku, sprzedawał alkohol bez pytania o wiek. W efekcie większość klientów była w wieku zbliżonym do Skye, a więc dużo młodsza od czwórki, która właśnie weszła i stała teraz przy barze, czekając na obsłużenie. Wszyscy byli zwrócenii do niej plecami, a ona znowu się w nich wpatrywała.

Patrzyła, jak ręka wyższego z facetów obejmuje biodra czarnulki, potem zjeżdża na pupę i stamtąd wędruje do obnażonych pleców. Facet nachylił się i - Skye widziała to wyraźnie! - polizał dziewczynę po szyi. Ale obrzydliwi potrafią być mężczyźni! Czemu ona daje się obmacywać takiemu palantowi? Cały ten seks był dla Skye czymś dziwnym i wydawało się, że taki już zostanie. To znaczy, robiła to, oczywiście. Wszyscy robili. Ona jednak kompletnie nie rozumiała, dlaczego jest tyle szumu wokół całej sprawy.

Facet musiał szeptać kobiecie jakieś świństwa, gdyż nagle odrzuciła głowę, zarechotała i udała, że chce go spoliczkować. On także się roześmiał i uchylił, a wtedy kapelusz zsunął mu się z głowy i Skye po raz pierwszy miała okazję zobaczyć jego twarz.

To był jej ojczym.

Przez te parę chwil, zanim ich oczy się spotkały, zobaczyła w jego twarzy coś, czego jeszcze nigdy nie widziała - chłopaka luźnego, radosnego i dziwnie jakoś wrażliwego. Potem jednak poznał ją i wyraz chłopięcości natychmiast zniknął z jego twarzy, a powróciło oblicze, które dobrze знаła i którego się bała. Była to twarz wracającego nad ranem do przyczepy mężczyzny, od którego cuchnęło wódką i wściekłością, który zaczynał wymyślać matce od dziwek i bić ją, aż zanosila się krzykiem, a wtedy on swą uwagę kierował na Skye.

Wyprostował się, rękę przeniósł na bar i powiedział coś do kobiety, która odwróciła się i obrzuciła Skye spojrzeniem stanowiącym mieszankę pogardy i obojętności. On zaś tymczasem kroczył już w kierunku ich stolika. Skye przygasila papierosa, mając nadzieję, że ojczym nie zauważył tego gestu, i podniosła się.

- Idziemy - powiedziała spokojnie.

Była jednak zablokowana, gdyż po prawej Roxy szlochała Craigowi w ramię, po lewej Calvin i Jed zwisali jak śnięci. Ojczym stanął przy stoliku i jednym spojrzeniem ogarnął butelki, pełne popielniczki i podciętych przyjaciół.

- Co ty tu robisz, do jasnej cholery?

- Daj spokój, mam urodziny.

Sprawa wyglądała dość marnie, ale warto było spróbować. Mignęła jej nawet myśl, aby dorzucić „tato”, jak zwracała się do niego przez krótki czas po ślubie matki, zanim się

zorientowała, jaki z niego kawał skurwysyna. Ponieważ jednak się zorientowała, teraz to słowo nie chciało jej przejść przez usta.

- Przestań mi pieprzyć! Masz dopiero piętnaście lat! Co tu, kurwa, robisz?

- Ej, zaraz, daj pan spokój. Mamy malutką imprezkę.

To był Jed, który się ocknął z pijackiego snu. Ojczym nachylił się, złapał go za gardło i podniósł do połowy.

- Uważaj, gówniarzu, jak się do mnie zwracasz!!! Podniesiony kolanami Jeda stół przechylił się i wszystko, co na nim stało, zważyło się na podłogę z brzękiem tłukącego się szkła. Craig poderwał się i usiłował chwycić ojczyma Skye za bark, ten jednak wolną ręką uderzył chłopaka w twarz. Roxy zaczęła krzyczeć.

- Dość!!! - krzyknęła Skye. - Dość tego!!! Wiedziała, że wszyscy na nich patrzą, a w kierunku stolika zmiierzają kelner i facet, z którym ojczym się tu zjawił.

- Ej, ludzie, wyluzujcie trochę, dobra?! - zawołał kelner.

Ojczym pchnął Jeda z powrotem tak mocno, że chłopak huknął głową o ściankę boks. Craig klęczał, z ust ciekła mu krew, a Roxy chlapiąc, nachylała się nad nim. Pierś ojczyma unosiła się gwałtownie, zmrużył złowieszczo oczy i spojrzał na kelnera.

- Sprzedajecie tutaj alkohol dzieciakom?

Tamten podniósł dłonie w obronnym geście.

- Nie lepiej się uspokoić, proszę pana?

Był wąty i o dobrą stopę niższy od ojczyma. Długie włosy miał związane w kucyk.

- Podałeś alkohol tym smarkaczom?

- Powiedzieli, że mają dwadzieścia jeden.

- A tym im uwierzyłeś? Kazałeś pokazać legitymacje?

- Zaraz, o co panu...

- Sprawdziłeś ich legitymacje?

Skye przepchnęła się obok stolika i wyszła z boks.

- Dobra, już idziemy. W porządku?

Ojczym obrócił się i zamierzył, a chociaż instynkt podpowiadał Skye, żeby się uchyliła, coś równie pierwotnego kazało jej stać prosto i patrzeć mu prosto w twarz. Czuła zapach jego wody kolońskiej i potu, a była to mieszanina tak znana i tak wstrętna, że omal nie zwymiotowała.

- Żebyś nie ważył się podnieść na mnie nawet palca!

Był to niemal szept, a jednak podziałał. Czy może sprawiły to spojrzenia, które na nim spoczęły. Tak czy owak, ręka opadła.

- Wracaj do domu, ty mała indiańska dziwko. Tam się policzymy!!!

- Jedyne dziwki tutaj, to te dwie, z którymi przyszedłeś.

Teraz naprawdę chciał ją uderzyć, ale zrobiła unik i rzuciła się do drzwi, w przelocie widząc, jak kelner i drugi mężczyzna chwytają ojca, nie pozwalając mu biec za nią. Wypadła w noc i ruszyła biegiem.

Powietrze było duszne i wilgotne, na policzkach czuła łyzy. Raptownie przypłynęła złość na samą siebie - jaka z niej słabizna, że beczy przez takiego skurwysyna! Przejeżdżał właśnie pociąg towarowy, a ona biegła wzdłuż torów, zerkając na światła migające między wagonami. Także po jej stronie były lampy, każda zwieńczona chmurą czarnych owadów wirujących w jasnej kuli. Wydawało się, że pociąg ciągnie się całymi milami, przód był już poza miastem; z oddali doleciało wycie lokomotywy, jakby żałosna skarga na świat, który przemierzała. Gdyby jechał wolniej, wskoczyłaby i pozwoliła się nieść, dokądkolwiek zmierzał. Biegła i biegła, jak to zawsze ona. Nieważne dokąd, nigdzie i bowiem nie mogło być gorzej. Po raz pierwszy uciekła, gdy miała pięć lat, i później robiła to wielokrotnie. Zawsze też miała potem z tego powodu kłopoty, ale, do licha, czy miała kiedykolwiek I coś innego?

Biegła, jak długo pozwoliły na to płuca wciągające przesycone J dymem powietrze, aż wreszcie się zatrzymała, obok przeleciał ostatni wagon, a ona stała z rękami na kolanach, dysząc i zerkając spode łba na malejące światełka, aż te wreszcie zniknęły w mroku, jakby ich nigdy nie było. Gdzieś w ciemności szczekał pies i jakiś mężczyzna na próżno starał się go uspokoić.

- Nic nie szkodzi. Zdażysz na następny.

Drgnęła zaskoczona męskim głosem, który rozległ się tuż obok. Rozejrzała się w ciemności. Stała na jakimś pustym, zaniedbanym placu i nikogo nie widziała.

- Tutaj.

Siedział pod butwiejącym, zarośniętym zielskim płotem, a włosy i brodę miał tak długie i skręcone, że zdawało się, że sam zaraz rozmyje się w chaszczach. Biały, starszy od Skye. Osiemnaście, może dziewiętnaście lat, bardzo chudy. Miał na sobie porwane dzinsy i T - shirt z ziejącym ogniem smokiem. Obok niego leżała w piasku torba. Skręcał sobie jointa.

- Czemu płaczesz?

- Nie płaczę, a zresztą co cię to, kurwa, obchodzi?

Wzruszył ramieniem. Zamilkli na chwilę. Odwróciła głowę, jakby miała coś ważnego do zrobienia lub przemyślenia. Ukradkiem otarła policzki. Wiedziała, że powinna sobie pójść; zboczeńcy i świry zawsze kręcili się koło torów. Coś jednak kazało jej zostać, jakaś beznadziejna potrzeba towarzystwa. Zerknęła na chłopaka. Polizał papierka, skleił, przypalił i wziął długiego sztachy, a potem wyciągnął rękę z jointem.

- Trzymaj.

- Nie ruszam narkotyków.

- Jasne.

Samochód, który ukradli, należał do rodziny z małymi dziećmi. Na tylnym siedzeniu były umocowane foteliki, a na podłodze poniewierały się zabawki i książeczki do oglądania i czytania. Chłopak znalazł się na tym, gdyż w niecałą minutę otworzył zamek i uruchomił silnik. Zatrzymał się kilka mil dalej, aby podmienić tablice.

Powiedział, że na imię ma Sean, ona podała mu swoje i tyle o sobie wiedzieli, może poza wyczuwalnym bólem czy tęsknotą, na którą nie warto było marnować słów. W ogóle na nic nie było warto ich marnować, także na to, dokąd jadą i po co.

Skierowali się na północ, aż dotarli do międzystanówki, potem skręcili na zachód i pojechali przed siebie, po jednej stronie mając rzekę, a za sobą czerwoną smugę słońca. Przez długi czas żadne z nich się nie odzywało. Skye patrzyła do tyłu, czekając, aż słońce się pokaże, a kiedy w końcu tak się stało, ziemia stanęła w płomieniach z długimi cieniami drzew, skał i bydła pasącego się nad rzeką. Pomyślała, że to najpiękniejszy wschód słońca, jaki widziała w życiu.

Na podłodze znalazła książeczkę, którą pamiętała jeszcze z dzieciństwa. Jej bohaterem był mały chłopiec Bernard, na którego rodzice nie zwracali uwagi. Pewnego razu na podwórku zjawił się potwór, a Bernard pobiegł ich uprzedzić, co oni - jak zwykle - w ogóle zignorowali. Potwór zeżarł go, wszedł do domu i zaczął ryczeć na rodziców, ale ci byli pewni, że to Bernard się wygłupia, i nic sobie z tego nie robili, tylko dalej oglądali telewizję. Wtedy stropiony potwór stracił pewność siebie. Skye odwróciła stronę, gdzie była ostatnia scena, przy której zawsze robiło jej się smutno. Biedny potwór posłusznie dał się zapędzić do sypialni i siedział w ciemności, bardzo zmartwiony i rozgoryczony.

Zatrzymali się, żeby nabrać benzyny. Na stacji był mały barek, kupili więc sobie kawę i bułeczki, a potem usiedli przy stoliku w pobliżu okna, podczas gdy starsza kobieta zmywała posadzkę obok nich. Przy jedzeniu spytał ją, ile ma lat, a ona skłamała, że siedemnaście. Powiedziała też, że urodziła się w Dakocie Południowej, po matce miała krew Siuksów Oglala, na co on powiedział, że to fajnie, Skye jednak była zdania, że wcale nie. Tak czy owak niewiele wiedziała o swoim plemienu i jego historii, tyle jedynie, że pełna była nieszczęść i bólu, ale ich sama miała dość, więc po co się jeszcze katować, serdeczne dzięki.

Sean powiedział, że pochodzi z Detroit, a jego rodzice i starszy brat siedzą w więzieniu, nie wyjaśnił jednak za co, a ona nie pytała. Mając czternaście lat, ruszył w świat i od trzech lat jest w drodze. Twierdził, że był w Meksyku, Nikaragui i Salwadorze, a widział takie rzeczy, że sam by w to nie uwierzył.

- Jakie na przykład?

- Magię. Szamanów. Facetów, którzy chodzą po ogniu i nie mają od tego nawet najmniejszego śladu. Facetów, od których przeklęcia się umiera. Widziałem, jak jeden ożywił martwą kobietę.

O tym chciała się dowiedzieć czegoś więcej, ale nie odpowiadał. Spytała więc, po co przyjechał do Montany, a on na to, że chciał zobaczyć grizzly na wolności. W Meksyku się dowiedział, że właśnie grizzly jest jego bratem duchowym, gdyż w poprzednim życiu był niedźwiedziem. Zaczęła się śmiać, bo trudno jej było sobie wyobrazić kogoś mniej podobnego do niedźwiedzia. Może patyczak, ewentualnie żyrafa, ale grizzly? Wydawał się dotknięty i zamilkł, zaczęła go więc przepraszać, a potem - żeby znowu nie wybuchnąć śmiechem - spytała, jak zamierzał znaleźć grizzly. Zgodził się, że to niełatwe, ale ktoś mu powiedział, że może zacząć na przykład od Glacier Park.

Skye pokiwała, próbując zrobić poważną minę.

- Jasne - mruknęła.

- A masz jakiś lepszy pomysł?

Na poczekaniu mogła ich podać z setkę.

- Wszystko jedno - powiedziała. - Co za różnica? Jechali cały dzień, a słońce dogoniło ich i przegoniło nad głowami, tak jak oni zmierzając ku górą, coraz wyższym i coraz wyraźniej ukazującym śnieżne czapy. Po południu zrobiło się tak gorąco, że zjechali z autostrady na chłodniejsze, ale za to pełne owadów leśne dróżki. Zatrzymali się przy strumieniu, upatrzawszy w nim mały basenik, w którym wykapali się nago i bez wstydu, a potem ułożyli się na łące, czekając, aż słońce ich osuszy, i spoglądając na pływające nad nimi motyle. Powiedział, że ładnie wygląda, Skye zaś pomyślała, że byłoby fajnie, gdyby chciał jej dotknąć, Sean jednak patrzył w niebo, a potem zapalił skręta, jakby w ogóle zapomniał o jej obecności.

Kiedy wrócili na międzystanówkę, na zachodzie zawisły szare burzowe chmury, pod którymi skrywało się za górami słońce zimne i metaliczne, a nitki błyskawic spływały z obłoków na szczyty.

Pierwsza zauważyła policyjną sukę. Z jakiegoś powodu obróciła się i zobaczyła, jak na dachu zapalają się światełka: czerwone i niebieskie. Sean zerknął w lusterko nad głową i nic nie powiedział. Wydawał się zupełnie obojętny, żadnego strachu ani zdenerwowania. Zwolnił i zjechał na pobocze, a to samo zrobił za nimi wóz policyjny. Gliniarz przez chwilę siedział w samochodzie, najwyraźniej sprawdzając przez radio ich numery.

- I co zrobimy?

Sean wzruszył ramieniem.

Policjant wysiadł i wolno podszedł do wozu. Sean opuścił szybę, uważnie wpatrując się we

wsteczne lusterko. Funkcjonariusz nachylił się tak, że mógł zobaczyć Skye. Był młody, miał może dwadzieścia kilka lat, zadbany wąsik i przyjazne niebieskie oczy. Zasalutował, a Skye odpowiedziała mu najbardziej uroczym ze swych uśmiechów.

- Dobry. Dokąd się wybieracie?

- Glacjer - odrzekł Sean, patrząc przed siebie.

- Pięknie. Na wakacje?

- Mhm.

- To twój samochód?

- Przyjaciela.

- Aha, przyjaciela. Czy mógłbym zobaczyć prawo jazdy, dowód rejestracyjny i ubezpieczenie?

Sean odwrócił się w kierunku swej torby, a Skye pomyślała, że ma w niej pewnie spluwę i zaraz zrobi coś strasznego. Nagle jednak jakby zmienił zamiar i odwrócił się do policjanta.

- Ach, cholera, zapomniałem. Skradli mi wszystko. W oczach policjanta coś się zmieniło.

- Bądź zatem łaskaw wysiąść z samochodu, dobrze? Gliniarz wyprostował się i sięgnął do klamki, lecz Sean w tej właśnie chwili ruszył. Policjant chciał go chwycić za rękę, ale nie zdołał, stracił równowagę, a otwarte drzwiczki pociągnęły go za sobą, więząc ramię między fotelem kierowcy i ramą. Rozległ się przenikliwy krzyk.

- Stań! - wrzasnęła Skye. - Staaań!!!

Usłyszała okropne trzaśnięcie i natychmiast wiedziała, że to odgłos łamiącej się ręki. Sean jednak w ogóle na to nie zareagował, tylko mocniej przycisnął pedał gazu. Samochód zarzucając tyłem, wjechał na szosę, ciągnąc wyjącego policjanta. Także Skye krzyczała:

- Zwariowałaś? Zatrzymaj się! Staaań!!!

Nie słuchał, próbowała więc złapać dźwignię biegów, ale odepchnął ją tak mocno, że uderzyła skronią o szybę. Lewą ręką usiłował wyrwać zza siedzenia ramię policjanta, ale nie mógł. Nie zamknięte drzwi uchylały się i przymykały na ramieniu biednego policjanta, a Skye widziała przez nie twarz pełną cierpienia i trwogi.

Wóz jechał zygzakiem po autostradzie i zewsząd słychać było ryk klaksonów. Mijali właśnie pickupa, na którego skrzyni jechał wielki brązowy pies, szarpiący się na smyczy i ze wszystkich sił ujadający na nich. Samochód odskoczył w bok, aby zrobić im miejsce, i zobaczyła twarz krzyczącego na nich wściekłego kierowcy.

- Idiotooo! - wyła Skye.

- Zamknij się!!!

Nagle rozległ się okropny trzask, głuche tąpnięcie, a kiedy Skye obejrzała się, zobaczyła

toczące się po szosie ciało policjanta.

- Pierdolony idioto!!! Co ty robisz???!

Chłopak wyszarpnął zza fotela urwane ramię, cisnął je na szosę i zatrzasnął drzwiczki. Skye z krzykiem zaczęła okładać Seana pięściami, a on wtedy uderzył ją na odlew w twarz. Poczula złamany ząb i krew w ustach, co napełniło ją taką wściekłością, że jak oszalała waliła go ze wszystkich sił, drapała po twarzy, szarpała za włosy, aż wreszcie uderzył ją pięścią tak mocno, że poczuła, jakby w środku głowy zrobiła się jakaś pustka, która wessała ją w krwistą mgłę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dzień, w którym Edward Tully spotkał miłość swego życia, zaczął się niedobrze. Śnieg padał przez cały tydzień, liczył więc, że podczas weekendu pojeździ trochę na nartach. Ale w piątek nad ranem śnieg zamienił się deszcz i o świcie (jeśli w ogóle można tak nazwać tę zmianę) cały Boston stał w błocie. Jakby dla podkreślenia tego faktu lunęło także w domu. Około ósmej wysiadło centralne ogrzewanie i zabrakło wody w całym bloku. Kiedy Ed wyszedł na korytarz, stwierdził, że windy nie działają, po schodach spływa kaskadami woda, a hol na parterze pełen jest wrzeszczących na siebie sąsiadów, wściekłych z powodu przemoczonych nóg.

Budynek był w trakcie remontu, a brygada budowlana od dwóch miesięcy z każdym dniem coraz bardziej skutecznie zachodziła mieszkańcom za skórę. Tego ranka, jak się okazało, jeden ze stolarzy precyzyjnym jak cięcie chirurgiczne uderzeniem świdra rozplątał przewody elektryczne i rurę wodociągową. Pan Solomon, skwaszony stary wdowiec, mieszkający ściana w ścianę z Edem, powiedział, że karetka właśnie zabrała faceta. Pan Solomon nie wiedział, jak poważne były obrażenia, ufał jednak, że nie chodziło o żaden trywialny przypadek.

Ed większą część nocy spędził na pracy nad drugim aktem swego nowego musicalu, który - w co nie wątpił ani przez chwilę - miał go uczynić sławnym. Utwór rozwijał się nieźle, chociaż Ed uświadamiał sobie, jak za sprawą robót remontowych i muzykę, i libretto zaczynają nasycać tony bardziej posępne, niż to zrazu sobie wyobrażał. Kiedy w butach wypluwających z siebie przy każdym kroku wodę poczłapał z powrotem do mieszkania, stwierdził, że awaria zdecydowanie przeradza się w katastrofę. Na suficie tuż nad fortepianem pojawiła się rysa. Sam instrument, stary grat o niejasnym pochodzeniu, wymagający nieustannego strojenia, wydawał się nie uszkodzony, natomiast zalane zostały ułożone na nim arkusze nutowe, wypełnione efektem całonocnej pracy Eda. Okazało się, że przecieka także w pomieszczeniu, w którym Ed trzymał swój sprzęt wspinaczkowy, narciarski i wędkarski, musiał więc wszystkie rzeczy przenieść na łóżko. Kiedy znudzony opadł na jego róg, usiadł dokładnie na stylowych okularach Calvina Kleina, które kupił niecały tydzień temu i wydał na nie fortunę. Destrukcja była totalna. Najwyraźniej zawiązał się jakiś kosmiczny spisek.

Potem przyszła poczta, a w niej odesłane z podziękowaniami dwie partytury i jedna taśma z jego ostatnim musicalem, który najwyraźniej nie miał uczynić go sławnym. Do jednej z przesyłek dołączono list na papierze firmowym wielkiego producenta z Broadwayu, napisany jednak przez jakiegoś marnego redaktorzyne, który letnie pochwały okraślił stwierdzeniem, że utwór „może odrobinę zbyt wiele zawdzięcza Sondheimowi”. Słowa te na kilka godzin wpędziły Eda w depresję.

Teraz było późne popołudnie, on zaś siedział przy fortepianie bez porównania bardziej melodyjnym niż jego instrument i słuchał, jak najmniej lubiany z jego uczniów znęca się nieszkodliwie nad kawałkiem Chopina. Szczeniak, bardzo nieobiecujący dziesięciolatek, który występował jako Dexter Rothwell Junior, ubrany był cały na czarno, z wyjątkiem srebrno - złotych trzewików, za które przeciętna rodzina najpewniej mogłaby się utrzymać przez kilka tygodni.

Eda najbardziej irytowała czapka baseballowa, z którą chłopak nie rozstawał się ani na chwilę. Ona także była czarna, noszona - jakżeby inaczej - daszkiem do tyłu, a zdobił ją krwawy napis: Death Żonę - Crew Member. Ed nie był z natury gwałtownikiem, wprost przeciwnie, czasami jednak nawiedzała go straszliwa pokusa, by zerwać tę czapkę i porządnie przyłożyć kilka razy młodemu Dexterowi Rothwellowi po uszach.

Ed skończył college trzy lata temu i dzięki pieniądзом z nauki gry mógł zająć się komponowaniem. W zimie jego jedynym innym źródłem dochodów były nocne piątkowe występy w barze, które lubił, chociaż zarobek był niewielki, podobnie jak uwaga gości. Co do lekcji, to ciągle trafiał wyłącznie na rozpuszczone i kompletnie niewdzięczne pociechy miejskich dorobkiewiczów. Tego konkretnie szczeniaka uczył już od pół roku, a ani razu nie zdarzyło się jeszcze, by uczeń obdarzył go uśmiechem czy chociaż spojrzał mu w oczy.

Ed stał w oknie, usiłując dopatrzeć się jakichś śladów Chopina w kakofonii wypełniającej wymuskane studio w posiadłości Rothwellów. Styczniowy mrok, który tylko odrobinę się rozjaśnił z rana, ponownie zaczynał gęstnieć; deszcz nie ustawał. Potoki wody ściekały z należącego do matki Dextera błyszczącego mercedesa, który stał obok rdzewiejącego nissana Eda. Pani Rothwell, której włosy prezentowały całą gamę różnych odcieni blond, jak zwykle odziana w lśniący, obcisły kombinezon, ćwiczyła w pokoju gimnastycznym po przeciwnej stronie korytarza, a nie należało wykluczać, że słuchawki na uszach miały ją chronić przede wszystkim przed muzycznymi wyczynami syna. Ilekroć Edowi mignęła w uchylonych drzwiach sylwetka drobnokościstej kobiety drobiącej po joggingowej taśmie, tylekroć przychodziła mu na myśl myszka, która uwięzia w bębnie.

Dexter Rothwell Junior skończył grać i z trzaskiem zamknął klawiaturę.

- Chopin jest nudny - oznajmił.

- Tak uważasz? - spytał Ed, starając się, aby nie zabrzmiało to napastliwie.

- Tak.

- Coś mi się zdaje, że nie miałeś czasu poćwiczyć od zeszłego tygodnia.

Chłopak burknął coś i zaczął dłubać w nosie. Siedzieli przez chwilę w milczeniu i jedynym dźwiękiem były kroki pani Rothwell przemierzającej kolejną milę. Ed zaczął przecierać poklejone scotchem okulary, których widok przypominał mu wyraźnie, że gdzie jak gdzie, ale tutaj nie może

sobie pozwolić na grubiaństwo.

- Dobra, to co w takim razie zagramy? Może Led Zeppelin? Nie żartował. Dwa tygodnie wcześniej, w desperackiej próbie wzbudzenia zainteresowania podopiecznego, zagrał z nim Stairway to Heaven i kilka kawałków Rolling Stonesów. Miał wrażenie, że coś drgnęło, chyba się jednak pomylił.

- Też są nudni.

- Zdaje się, że wszyscy cię nudzą. Chopin, Mozart, Led Zeppelin.

- No, wszyscy.

I znowu cisza. Chłopak wpatrywał się w deszcz za oknem i nadal dłuwał w nosie. Ed patrzył na jego bezmyślną twarz i zastanawiał nad uszczerbkiem w swych finansach, który właśnie zamierzał spowodować. Trudno, niech tak będzie. Podszedł do fortepianu, wziął nuty i włożył do teczki. Chłopak spojrzał na niego.

- Co się stało?

- Nic, Dexter. I w tym rzecz.

- Dopiero zaczęliśmy.

- Tak, ale ja i tak mam już dość. Idę.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz dokładnie w tej samej chwili, gdy pani Rothwell opuszczała pokój gimnastyczny, wycierając twarz ręcznikiem na tyle starannie, aby nie rozmazać sobie makijażu. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Już skończyliście?

- Tak, proszę pani. Raz na zawsze.

Wziął swoje palto z krzesła przy drzwiach. Dexter stanął stropiony w drzwiach studia, wzruszył ramionami i spojrzał na matkę tak, jakby świat zwariował. Pani Rothwell popatrzyła na zegarek.

- Ale przecież jest dopiero...

- Problem, proszę pani, w tym, że pani marnuje pieniądze, a ja tracę czas.

- Jak to? Czyżby Dexy nie robił postępów?

Ed zerknął na swojego ucznia. Stał tam, owijając T - shirt wokół palców, i wpatrywał się w podłogę niczym porzucony neandertalczyk. Było w tym coś żalnego i Ed poczuł drgnięcie współczucia.

- Nie, proszę pani, nie robi. Mówiąc szczerze, Dexy to beztalencie.

Uczucie satysfakcji opuściło go, gdy tylko znalazł się w domu. Ogrzewanie nadal nie funkcjonowało, a woda stale kapała do wiadra, które ustawił na miejscu fortepianu. Wziął zimny prysznic, podśpiewując dla ochrony przed dreszczami i myślami o tym, jakim trzeba być idiotą, aby

tak lekkomyślnie zrezygnować z forsy Rothwellów. Potem przygotował sobie kubek gorącej czekolady, podgrzał w kuchence mikrofalowej połowę pizzy z poprzedniej nocy i zjadł ją, opatulony kołdrą przed telewizorem. Wiadomości telewizyjne informowały tylko o tragediach i dramatach, w zestawieniu z którymi jego własne kłopoty były dość umiarkowane, ale ponury nastrój go nie opuścił.

W barze chcieli go widzieć koło ósmej, chociaż lokal zapełniał się znacznie później, więc koło wpół do ósmej przebiegł w deszczu do samochodu i włączył się w sznur pojazdów wolno sunących przez miasto.

Bar nazywał się „U Ralffa”, chociaż Edowi nigdy nie udało się dociec, co to za Ralff i dlaczego zdecydował się na taką właśnie wersję imienia. Lokal znajdował się nad wodą, w okolicy latem często odwiedzanej przez turystów, a w zimowe wieczory - takie jak ten - pustej i nudnej. Naprzeciw baru było kino, co wprawdzie zwiększało obroty, ale utrudniało parkowanie.

Dzisiaj jednak Ed miał szczęście. Kiedy wyjechał zza rogu, zobaczył przez swą zasmarowaną szybę, że miejsce tuż pod barem zwalnia jeep. Dał sygnał w prawo i zahamował, żeby umożliwić tamtemu wyjazd. W tym samym momencie usłyszał z tyłu klakson, chociaż było przecież oczywiste, dlaczego się zatrzymał. Spojrzał w lusterko i zobaczył za sobą białego powgniatanego garbusa, który ponownie zatrafił.

Ed pokręcił głową; co za tuman. Jeep oddalił się, Ed podjechał więc kawałek i nieustannie sygnalizując skręt w prawo, już chciał wrzucić wsteczny, kiedy zobaczył, że garbus gładko wślizguje się na upatrzone przez niego miejsce. Nie wierzył własnym oczom. Nie, takie robienie z niego balona nikomu nie mogło ujść na sucho. Zaciągnął hamulec i wyskoczył.

Z garbusa wysiadły dwie osoby. Kierowcą była młoda kobieta, która na jego widok uśmiechnęła się tak niewinnie, że był przekonany, że jest to mina przeznaczona dla kogoś innego. Zerknął przez ramię, ale nie zobaczył nikogo. Nieznajoma miała na sobie czerwoną kurtkę narciarską z kapturem naciągniętym na burzę ciemnych włosów. Jej towarzysz był wyższy i roślejszy od Eda, co może powinno było dać mu do myślenia, ale nie dało. Wszystko, co Ed zauważył przez zmoczone okulary, to że facet się uśmiecha, co wcale nie było sympatyczne. Deszcz zamienił się tymczasem w ulewę.

- Przepraszam - powiedział Ed głosem możliwie jak najbardziej beznamietnym - ale zajęła pani moje miejsce.

Spojrzała najpierw na swój samochód, potem na Eda, a z jej twarzy nie zniknął ten sam oburzający w swej niewinności uśmiech.

- Nie - odrzekła. - To nasze miejsce.

Zamknęła samochód i zasunęła zamek pod szyję. Nawet w sytuacji, gdy cały się gotował,

Ed spostrzegł, że ma do czynienia z niezwykle piękną kobietą. Miała oliwkową skórę, wydatne wargi i wspaniałe zęby. W oczach wielkich i ciemnych połyskiwało teraz rozbawienie, a ponieważ tylko Ed mógł być jego obiektem, więc wzmagало to jeszcze jego furię.

- Proszę posłuchać, dobrze pani wie, co się stało. Zatrzymałem się, bo chciałem wypuścić tego jeepa. Dałem znak kierunkowskazem, cofnąłem się, żeby móc wjechać, wtedy pani zajęła mi miejsce. Tak się nie robi.

Wzruszyła ramionami.

- Zrobiliśmy, więc się robi.

- Tak nie wolno, do jasnej cholery!

Podniesiony głos zabrzmiał nieco piskliwie, aby więc dodać sobie powagi, rzucił ostre spojrzenie towarzyszowi figlarki, który okrążył garbusa i zbliżał się właśnie do nich, nadal śmiejąc się jak małpa. Deszcz wlewał się Edowi za kołnierz i zimną strużką ściekał po kręgosłupie. Ledwie widział przez zamknięte okulary, wydawało mu się jednak, że na twarzy kobiety dostrzegł jakiś błysk zakłopotania. Obróciła się, szukając oparcia w swoim pasażerze.

- Proszę się nie wyrażać! - powiedział goryl.

- Wcale się nie wyrażam!

- Powiedział pan: „do jasnej cholery”.

- A od kiedy to...

- Nie, nie, nie. - Tamten nie dał mu dokończyć, podnosząc dłonie w obronnym geście, a potem zniemacka na jego twarzy pojawił się rozbajający uśmiech. - Dobra, w porządku, przepraszam, ale widzi pan, życie to dżungla. Za kilka tysięcy lat kierowcami będą tylko ci, których przodkowie nauczyli, jak ubiegać innych na parkingach. Podobno pozostają ci najlepiej przystosowani. A teraz przepraszam, bo spóźnimy się na film.

Raz jeszcze wyszczerzył zęby do Eda, ujął kobietę pod ramię i przeprowadził ją przez ulicę, pozostawiając swego adwersarza przemokniętego, pokonanego i bezradnego.

- Żeby was...

Tuż obok przemknął samochód, opryskując go po uda wodą. Inny przyhamował, trąbiąc.

- Ej, zabierz pan tego grata, bo blokuje przejazd.

- Spadaj!

Ed wskoczył do samochodu i przetarł okulary. Dwadzieścia minut krążył po okolicy, zanim znalazł miejsce do zaparkowania. Ostatecznie wylądował o kilka samochodów od garbusa, a kiedy go mijał, przyszła mu do głowy znakomita myśl. Wiedział, jak się zemścić.

Wszedł do baru „U Ralffa” i przeprosił szefa Bryana za spóźnienie.

- Mam okropny dzień - powiedział, ale Bryan odpowiedział na to tylko wzruszeniem

ramion, co miało oznaczać: „Kto nie ma”. W barze nie było niemal nikogo, więc Ed nie czuł się specjalnie winny. Wszedł za kontuar i znalazł kartkę papieru oraz długopis.

- Ej! - zawołał Bryan. - Daj no trochę muzyki.

- Wracam za chwilę.

Napisał coś na papierze, a potem starannie owinał go plastikiem, żeby deszcz nie rozmył liter. Pobiegnął do drzwi, powtarzając Bryanowi, że zaraz będzie z powrotem.

Na zewnątrz nie było już ścisłu pod kinem. Jeśli nie liczyć pojedynczych samochodów przelatujących w bryzgach wody, ulica była pusta. Podbiegnął do garbusa i zdjął wycieraczki, co poszło całkiem łatwo. Za jedno z ramion włożył kartkę. Wyprostował się i z satysfakcją ocenił swoje dzieło. „Satysfakcja najlepiej smakuje na mokro” - pomyślał, schował wycieraczki do kieszeni i pobiegł z powrotem, przeskakując kałuże.

„Za kilka tysięcy lat - głosił napis - kierowcami będą tylko ci, których przodkowie nauczyli kraść wycieraczki złodziejom miejsc parkingowych. Podobno pozostają ci najlepiej przystosowani”.

Pomimo mokrego ubrania i zdarzeń całego dnia grało mu się całkiem dobrze. Koło dziesiątej zrobiło się tłoczno. Jeden ze stolików oklaskiwał każdy utwór, potem przyłączyły się inne. Wyszukiwał w pamięci kawałki związane z deszczem i wszystkie było dobrze witane, a przy Stormy Weather wręcz zażądano bisu. Nie miał zbyt dobrego głosu, ale dzisiaj pojawiła się chryпка, która sprawiła, że brzmiał niżej i - jak jemu samemu się wydawało - bardziej seksownie. Leanne, jedna z kelnerek, które najbardziej mu się podobały, co i raz donosiła mu drinki i - jeśli nie była to tylko wyobraźnia - patrzyła na niego zupełnie inaczej.

Ilekcroć otwierały się drzwi, z zadowoleniem stwierdzał, że deszcz nie przestaje padać. Mimo woli wyobrażał sobie, jak kobieta wraca do samochodu i czyta kartkę; wiele by dał za to, żeby widzieć w tym momencie jej twarz. Film powinien być już się skończyć, zastanawiał się zatem, czy para chytrusów zjawi się tutaj i jak on powinien się wtedy zachować. Tyle że „U Ralffa” był barem typowo pijackim, a chociaż wiedział o nieznajomej jedynie to, że ukradła mu miejsce na parkingu, wyobrażał sobie, że pije tylko jogurt i uczęszcza na jogę, trzymając się z dala od tego typu miejsc.

Mylił się jednak.

Zrobił właśnie piętnastominutową przerwę przed ostatnią wiązańką. Kiedy wracał z toalety, Leanne z entuzjazmem zaciągnęła go w kąt i tam oznajmiła, jak bardzo jej się dzisiaj podobały jego kawałki i nowy seksowny głos. Zasiadając więc do pianina, Ed czuł się bardzo zadowolony z siebie. Poprawił się na stołku, sięgnął po drinka i wtedy ją zobaczył. Zauważył czerwoną kurtkę narciarską, ale gdyby zerknął chwilę później, mógłby się nie zorientować, gdyż właśnie ją

zdejmowała. Pod spodem miała kremowy sweter. Jej przyjaciel - który, mówiąc szczerze, nie miał w sobie nic z małpy - zamawiał drinki, ona zaś w tym czasie wyprostowała się na stołku, potrząsnęła włosami i rozejrzała po sali. Ed nie spuszczał z niej oczu. Odchyliła głowę i przeciągnęła palcami obu dłoni po włosach, a chociaż cel tego był może najzupełniej banalny, jak rozczesanie ich po kapturze, Edowi gest ten wydał się najseksowniejszą rzeczą na świecie.

Nagle zorientował się, że pochwyciła jego wzrok, i na jej twarzy wolno pojawił się uśmiech rozpoznania. W nagłym przypływie geniuszu - jak to miał potem określać - zaczął grać numer ze swego ostatniego (nigdy nie wykonywanego i podwójnie zdyskwalifikowanego) musicalu. Była to nastrojowa miłosna kołysanka, która „może odrobinę zbyt wiele zawdzięczała” Tomowi Waitsowi. Nosiła tytuł *Do ciebie czy do mnie*, a refren brzmiał:

Butelka się skończyła

Ulegle i skromnie.

Już późna godzina.

Do ciebie czy do mnie?

Wykonując utwór, przez cały czas patrzył na nią, czego jej przyjaciel, jak się wydawało, nie miał mu za złe. Śmiał się z refrenu, na zakończenie wznosił w jego kierunku kieliszek w toaście i przez Leanne posłał mu drinka. Jak w natchnieniu wynajdował utwory o podobnej tematyce: *We've Gotta Get out of this Place* „Animalsów” czy *There 's a Place for You* z *West Side Story*. Jeszcze nigdy nie czuł takiej lekkości i swobody. Publiczność z zapałem go oklaskiwała, chociaż nie rozumiała, że gra tylko dla jednej jedynej osoby, dla właścicielki samochodu, którego wycieraczki miał ciągle w kieszeni płaszcza. Z rozczarowaniem zobaczył przeto, że w połowie *Lovely Rita* wstają, a kobieta naciąga kurtkę. Ale ruszyli wprost ku niemu.

Poczekali po drugiej stronie pianina, aż skończy, a ona wydawała się stropiona. Kiedy wybuchły oklaski, nachyliła się i powiedziała:

- To było fajne. Dobry pan jest.

- Nie zaprzeczam. Ale dziękuję.

- Bardzo przepraszam za tę historię na parkingu. Nie wiem, co mnie napadło. Jeszcze nigdy nie zrobiłam czegoś takiego.

- To moja wina - wtrącił się jej przyjaciel. - Ja jej podsunałem, żeby tak się zachowała. Było już późno, film za chwilę, w każdym razie... przepraszamy.

Ed skinął głową, nie patrząc na niego. Nie mógł oderwać wzroku od kobiety. Boże, jaka wspaniała. Potem uświadomił sobie, że oni czekają na jego odpowiedź.

- Dobrze, w porządku. Spójrzmy na to w ten sposób. Dostałem nauczkę.

Płaszcz był na wieszaku tuż obok, sięgnął więc do kieszeni, wyjął wycieraczki i podał jej.

- Proszę. Zmarszczyła brwi.
- Była pani już w samochodzie?
- Nie.

- No to z pewnością się pani przydadzą.

Przygryzła wargi i sięgnęła po wycieraczki, a jej towarzysz roześmiał się w głos.

- Rachunki wyrównane? - spytał Ed.

Zmrużyła oczy i powiedziała:

- No, muszę jeszcze sprawdzić stan wozu.
- Powiem pani, że gdyby nie pani rosły przyjaciel, zrobiłbym pani awanturę.
- To mój brat cioteczny, David.

Były to najpiękniejsze słowa, jakie Ed usłyszał tego dnia. Wyciągnął rękę.

- Edward Tully. Bardzo mi przyjemnie.

David oznajmił, że jemu też jest przyjemnie. Uścisk dłoni miał jak chwyt imadła. Ed odwrócił się do kobiety, w której już się kochał, i potrząsnął jej rękę.

- Rita - powiedziała.

Ed przeciągnął uścisk, dłoń była taka ciepła i gładka. I naprawdę Rita? Roześmiała się.

- No dobrze już, dobrze. Julia Bishop.

- Hej, Ed - zawołał zza baru Bryan. - Jeśli miłość karmi się muzyką, to dawaj, do cholery, dalej!

- Z niego jest straszny romantyk - skomentował Ed. Ona uśmiechnęła się, raz jeszcze przeprosiła, potem pożegnali się i poszli ku drzwiom. Ed zaczął grać starą piosenkę Johna Lennona, której nie grał od lat, ale nawet jeśli urodziwa pani Bishop się zorientowała, że bohaterka nosi jej imię, nie dała tego po sobie poznać. Wraz ze swym ciotecznym bratem rozplynęli się w nocy.

Polowa z tego, co mówią, to bzdury.

Ale robią wszystko, byś na mnie spojrzęła, Julio.

Kiedy pół godziny później Ed wrócił do samochodu, klnąc na czym świat stoi, że nie zdobył się na to, żeby poprosić ją o numer telefonu, czy chociażby spytać, gdzie mieszka czy pracuje, stwierdził brak wycieraczek. Pod jednym z ramion tkwiła kartka z napisem: „Poznałam”. Kiedy ją odwrócił, znalazł numer telefonu.

Przestało też padać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Było południe, kiedy zjawili się spadochroniarze. Przy każdym nalocie skakała para; dwa ciała gwałtownie podrygiwały, kiedy spadochron się otwierał, napełniał i opuszczał ich niczym meduzy w niebieskim oceanie. Ilekroć spadochron przesłaniał słońce, ostre i bezlitosne, cień sunął po przesłaniającej zbocze zasłonie dymu.

Ekipa składała się z sześciu mężczyzn i dwóch kobiet. Wszyscy wylądowali na wyznaczonym miejscu, małej polance o szerokości najwyżej czterdziestu jardów. Zwinęli spadochrony i kombinezony, ze zrzucanych oddzielnie pojemników wydobyli piły łańcuchowe, toporki oraz łopaty i już po kilku minutach byli gotowi do przerwania linii ognia.

Szczyt, który rysował się przed nimi, gdy pracowali, to Iron Mountain, a jej gęsto zarośnięte zachodnie zbocze było trudno dostępne od drogi. Pożar z rana wykryty przez leśnika, za sprawą silnego zachodniego wiatru zdążył już objąć ponad sto akrów. Gdyby rozszerzał się na wschód lub północ, nie byłoby wielkiego niebezpieczeństwa, ale od południa i zachodu w lesie i na jego skraju znajdowały się zabudowania, które byłyby poważnie zagrożone, gdyby wiatr się zmienił. Właśnie dlatego wezwano ekipę strażaków leśnych, z powietrza zrzuconych na miejsce pożaru. Nazywano ich zadymiarzami.

Przecinkę zrobili wzdłuż wapiennej grani opadającej po południowej stronie. Była szeroka na jard i długa na pół mili. Pracowali na stanowiskach odległych o dziesięć stóp: najpierw piły, potem usuwanie ściętych pni, na koniec łopaty. Usuwali całą podściółkę, aby ogień, dotarłszy do przecinki, nie znalazł żadnego pokarmu. Cali spływali potem, a ich niepalne żółte koszule i zielone spodnie były pocętkowane ziemią i popiołem niczym panterki.

Teraz odpoczywali jak tyraliera po ataku. Nikt się nie odzywał, a jedyne dźwięki to szum ognia od strony grani i trzaski w krótkofalowych radiach.

Na skraju szeregu, jakieś dwadzieścia stóp poniżej innych, stał młody mężczyzna, którego jasne włosy pot posklejał w strąki. Był wysoki i szczupły, a na jego twarzy pokrytej popiołem krople potu wyłobiły wąskie stróżki, co przydawało jego wyglądowi czegoś zwierzęcego. Nawet w bladych oczach czaił się nieokreślony wyraz dzikości. Na skale obok siebie umieścił plecak i hełm, by zająć się oczyszczaniem ostrza toporka. Kiedy ten nie miał już ani jednej plamki, przymocował trzonek do plecaka, zdjął ognioodporne rękawice, także ułożył je na skale, poprawił włosy, otarł czoło i sięgnął po manierkę.

Miał dwadzieścia sześć lat, nazywał się Connor Ford, a chociaż teraz był zmęczony, spocony i brudny, a płuca miał pełne dymu, nie chciałby się w tej chwili znaleźć w żadnym innym

miejscu na świecie. Pierwszy skok w tym sezonie. Kiedy kilka godzin wcześniej klęczał w otwartych drzwiach DHC - 6 Twin Otter, patrząc na przesuające się tysiąc pięćset stóp niżej lasy, zbocza i kaniony, a także niebieskie, białe i żółte czasy spadochronów tych, którzy wyskoczyli przed nim, odczuwał coś bliskiego ekstazie. A potem klepięcie w lewe ramię, informujące, że teraz kolej na niego, i skok w niebieską nieskończoność. Skulenie się, liczenie do pięciu, potem szarpnięcie, gdy spadochron się otwiera, i oto w cudownej ciszy szybuje on - ani człowiek, ani ptak, lecz jakieś przedziwne połączenie nieba, ciała i ziemi.

Woda w manierce była ciepła i miała metaliczny posmak. Maj wprawdzie dopiero się zaczął, ale pogoda była zupełnie letnia i Connor przypuszczał, że temperatura musi się wahać koło dziewięćdziesięciu stopni. Przez cały rok niewiele padało, powietrze było więc suche jak w grobowcu. Jeśli dalej tak będzie, latem zapanuje piekło z powodu pożarów. W bazie w Missouri niektórzy ze skoczków już się zastanawiali, co zrobią z forszą za nadgodziny i dodatkiem za szczególnie niebezpieczne akcje. On sam dwa dni temu zadzwonił do Eda w Bostonie i powiedział mu, żeby wpłacił pierwszą ratę na samochód, na który tak sobie ostrzył zęby. W końcu tygodnia Ed miał się zjawić w Montanie z tą fantastyczną dziewczyną, nad którą rozpływał się od kilku miesięcy. Po raz pierwszy od lat przepuścił początek sezonu pożarowego. Był to kolejny dowód na to, co z mężczyzną potrafi zrobić kobieta.

Z góry stoku doleciał go głos Hanka Thomasa, dowódcy grupy, który kazał się zbierać. Connor pociągnął jeszcze jeden łyk, zakręcił manierkę i przytroczył do plecaka. Kiedy jednak miał go zarzucić na ramiona, posłyszał dziwny dźwięk. Był cichy jak zduszony krzyk i dochodził zza grani, gdzie szalał pożar. Spojrzał w tamtym kierunku, ale nic nie zobaczył. Kiedy znowu chwycił plecak, dostrzegł nad kamieniem coś podobnego do palącej się gałęzi; dopiero po kilku sekundach zorientował się, że to nie gałąź.

Był to wielki łos, Connor nigdy jeszcze takiego nie widział. Cała sierść spaliła się, skóra była smoliście czarna, a wielkie rogi płonęły niczym pochodnie.

Zwierzę wskoczyło na skalistą ostrogę, zrzucając lawinkę małych kamieni i dokładnie w momencie, kiedy złapało równowagę, spostrzegło człowieka.

Przez długą chwilę trwali nieruchomo wpatrzeni w siebie. Connor czuł się jak barbarzyńca, który staje w obliczu jakiegoś półboga czy demona przyzwanego z innego świata. Na karku poczuł zimny pot.

Powoli, bardzo powoli sięgnął do trzymanej w kieszonce małej leiki, jednocześnie wiatr zmienił się i płomienie na porożu zatańczyły, a ogień za łosiem zahuczał niczym skryty przed widzami straszliwy chór.

Miał go teraz w wizjerze, łos dumnie podniósł łeb, jakby pozował, Connor zaś pomyślał, że

kryje się w tym jakieś przesłanie, nie miał jednak pojęcia, jakie i od kogo. Nacisnął przycisk i na dźwięk migawki zwierzę odwróciło się i zniknęło, tak że Connor stał przez chwilę niepewny, czy przypadkiem wszystko mu się nie przywidziało. Znowu rozległy się nawoływania kolegów.

- Connor! Chodź! Jest ostra robota!!!

Spojrzał w górę ku grani. Reszta ekipy pozbierała już rzeczy i była gotowa ruszać. Najbliżej niego znajdował się Jodie Lennox, wysoki rudzielec ze Środkowego Zachodu, który dwa lata temu był na kursie skałkowym z nim i z Edem.

- Widziałeś? - spytał Connor spokojnie.

- Co?

Nie odpowiedział. Być może przesłanie było przeznaczone tylko i wyłącznie dla niego. Zarzucił plecak.

- Co miałem widzieć?

- Nie, nic. Chodźmy.

W nocy zdrzemnęli się kilka godzin w kotlinie w tej części góry, przez którą pożar już przeszedł. Na zmianę szukali gorących punktów między korzeniami i pniakami, gdzie jeszcze tlił się żar. Snopy światła z czołówek omiały poczerniałą ziemię, kiedy niczym duchy czy padlinożercy ze spuszczoneymi głowami wolno przesuwali się między zasiekami zwęglonych krzewów. I przez cały czas słyhać było poszum ognia za filarem skalnym, co wyraźnie przypominało, że praca jeszcze nie jest zakończona.

Głodny i zziębnięty Connor obudził się koło pierwszej. Dwie godziny wcześniej niebo przesłaniały pomarańczowe chmury, ale podczas jego snu wiatr rozgonił dym, zasunął więc pod szyją śpiwór i leżąc na plecach, wpatrywał się w niebo i identyfikował gwiazdozbiory, jak go nauczył ojciec.

Odnalazł Gwiazdę Polarną i od niej przesunął wzrok po grzbiecie Małej Niedźwiedzicy, a stamtąd był już tylko krok do jej siostrzycy Wielkiej Niedźwiedzicy, a chociaż ojciec zawsze używał tych nazw, Connor uważał, że trafniejsza jest inna nazwa: Wielki Wóz. Potem odszukał Koronę Północną z pióropuszem, na końcu którego niczym pochodnia lśnił Arktur. Następnie podążył rozlewiskiem Mlecznej Drogi, aż dotarł do Skorpiona, który ukąsił wielkiego myśliwego Oriona, i z tej przyczyny tego ostatniego nie można już było rozpoznać. Inny znakomity myśliwy Sagittarius, centaur, stał w wodzie z napiętym łukiem, wymierzonym w umykającego w trwodze Orła.

„Niebo pełne jest tysięcznych opowieści” - mawiał ojciec. „Wystarczy tylko patrzeć uważnie i je czytać”.

Connor pamiętał, że pierwszą lekcję otrzymał jako zaledwie czterolatek. Ojciec wyrwał go

ze snu w środku nocy i kazał ubrać się po cichu, żeby nie zbudzić matki. Wyszli pod rozgwieżdżone niebo i poszli w skarpetkach do corralu, gdzie czekała na nich ojcowska klacz. Ojciec posadził go na siodle i kazał mocno trzymać się łęku, podczas gdy sam wskoczył za niego. Jechali powoli przez łąki, gdzie krowy przesuwwały się niczym widma, a topole nad strumieniem srebrzyły się, nie poruszając nawet listkiem.

Ojciec objął go, aby trzymać cugle, Connor czuł się więc ciepło i bezpiecznie, a mieszanina zapachów skóry, siana, krów, potu i tytoniu jeszcze dziś powracała do niego równie wyrazista jak wtedy. Pojechali na szczyt pagórka, skąd w dole widać było obejście, a uwiązawszy klacz, ułożyli się na plecach jeden obok drugiego i patrzyli w niebo, podczas gdy wokół unosił się świeży słodki zapach szałwi, a gdzieś w gałęziach pohukiwała sowa.

Kiedy Connor miał czternaście lat, ojciec umarł, jemu i matce zostawiając znaczne długi. Od tego czasu nie było jednak dnia, by nie myślał o nim z tęsknotą, ani nocy takiej jak ta, by nie odszukiwał gwiazd, mając w uszach echo ojcowskich opowieści.

Przez całą noc prześladował go obraz płonącego łośia. Miał go przed oczyma, zasypiając, teraz - ledwie się ocknął - znowu go zobaczył. Zdumiewała wielkość poroża, o tej porze roku bowiem stare powinien zrzucić, a nowe nie mogło tak się rozrosnąć. Może była to kwestia niezwykłego oświetlenia. Tak czy owak, nieustannie zastanawiał się, co mogła znaczyć ta zjawa i dlaczego w ogóle uważał, że powinna coś znaczyć. Jego ojciec był zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich zabobonów i Connorowi udzieliła się ta sama postawa - zmysłowy świat widzialny jest dostatecznie bogaty, żeby nie trzeba było dodawać żadnego innego. Natomiast matka była chodzącą skarbnicą omenów i przepowiedni. Twierdziła, że zawdzięcza to irlandzkiej krwi, a jej przodkowie i tak byli nieporównanie bardziej przesądni.

W swoim czasie należała do najlepszych uczestniczek kobiecego rodeo, ale każdą jazdę poprzedzała ciągiem rytuałów i litanii, które miały odegnać złe fatum. Nawet teraz wystarczył widok samotnej sroki, żeby spiesznie zaczynała odmawiać modły za zdrowie nie tylko ptaka, ale także nieżyjącego małżonka i żyjącego potomka. Zawsze w wieczór poprzedzający wyjazd Connora na początek sezonu letniego spalała kępkę szałwi, a kiedyś podsłuchiwał nawet, jak półgłosem wspiera ten rytuał modlitwą. Udawała, że to nie na serio, on jednak wiedział, że jest inaczej. Dlatego teraz był stropiony myślą o łośiu. Może obudziły się w nim jakieś stare celtyckie geny i teraz nie dadzą mu już - podobnie jak matce - spokoju.

Niebo znowu zaczęły przysłaniać chmury. Jakby wyrzucane z katapulty pojawiały się od zachodu, a te najbliższe zabarwiły się już łuną pożaru. Connor obserwował, jak gwiazdy powoli zaczynają blednąć. Zastanawiał się, czy łoś jeszcze żyje, a jeśli tak, to komu teraz przesyła wiadomość. I zaraz sam się na siebie obruszył za takie myśli.

Z ulgą postępszał, że Hank Thomas zaczyna budzić pozostałych. Usiadł i przetarł oczy, potem przymocował czołową lampkę, zapalił ją i wydobył się ze śpiwora.

- Jak tam, kowboju? - zawołał Hank.

- W porządku. Jeśli o mnie chodzi, może być stek i piwo.

- Dobra, zaraz złożę przez radio zamówienie.

Reszta pakując sprzęt, przyłączyła się do zabawy w zamawianie smakołyków: lody, pizza, koktajl mleczno - czekoladowy.

- To kiedy można się spodziewać łaskawych odwiedzin tego twojego przyjaciela, muzyka z bożej łaski? - spytał Hank.

- Przylatuje w sobotę.

- Podobno się zakochał?

- Zdaje się. Przywozi ją ze sobą.

- Biedny dureń.

- Durna to jest ona - powiedział Jodie, na co natychmiast obruszyła się Donna Kiamoto z Wisconsin, która zaczynała drugi sezon skoków pożarowych.

- Też jest strażaczką? - spytał ktoś.

- Dość ma roboty, żeby przygasić zapały Eda - mruknęła z przekąsem Donna.

- Nie - odrzekł Connor. - To nauczycielka, ma tutaj pracować z trudnymi dziećmi, takimi, które coś przeskrobały.

- Wiem, wiem - rzekł Hank. - Niedaleko Heleny. Bardzo dobry ośrodek.

Ożyło radio Hanka i wszyscy wsłuchali się z zainteresowaniem. Wystartował helikopter, który miał zrobić zrzut wodny na sąsiadujący z nimi skraj palącego się lasu. Hank poinformował, że jego grupa wyrusza zrobić następną przecinkę. Wkrótce wszyscy byli spakowani i gotowi do wędrówki. Kiedy nawzajem sprawdzali swoje oporządzenie, snopy światła cięły otaczający ich mrok, a czasami błysnęło w nich białko oka czy odsłonięte w uśmiechu zęby.

- Zbierajmy się, panie i panowie - rzekł Hank - chyba że ktoś ma ochotę na prysznic z helikoptera. Śniadanie chciałbym zjeść już w domu.

Nie zdążyli jednak na śniadanie do Missouli. Nie zdążyli też na obiad ani kolację. Kiedy zduśli już ogień, trzy godziny zajęło im brnięcie ze sprzętem do drogi, gdzie czekał na nich autobus. W bazie byli w piątek o północy. Connor był tak zmęczony, że wracając do miasta, omal nie zasnął za kierownicą. W domu, tak jak stał, zwałił się na łóżko, w ubraniu, w butach, cuchnący dymem, i spał kamiennym snem przez następne dwanaście godzin.

Wynajęli wraz z Edem to samo mieszkanie, które zajmowali poprzedniego lata. Znajdowało się na szczycie zniszczonego domu we wschodniej dzielnicy, który oddzielony był rzeką od

uniwersytetu. Były tu dwie sypialnie, kuchnia i łazienka, tak że nawet gość z innej galaktyki natychmiast by odgadł, że przez resztę roku wynajmują je studenci.

Kleпки w podłodze trzeszczały, drzwi się nie domykały, rurom zdarzało się przeciekać, wszystkie ściany upstrzone były scotchem i pokryte dziwną kombinacją granatu i purpury, z wyjątkiem łazienki, która była cała czarna. Kiedy Connor zjawił się tu przed tygodniem, w monstualnej, pradawnej lodówce znajdowała się tylko cebula w siódmym stadium wzrostu i jogurt morelowy z tak grubą powłoką zielonkawego futra, że można by nim wymościć całą sofę.

Kiedy wkrótce po południu otworzył oczy, stwierdził, że jest bacznie obserwowany przez członków któregoś z mniej sympatycznych zespołów rockowych. Spoglądali na niego z plakatu, który zapomniał zderzyć ze ściany. Nigdy ich nie słyszał, ale najwyraźniej reprezentowali mroczną i ezoteryczną strefę metalu. Byli półnaczy, a kółka, łańcuszki, ćwieki i agrafki mieli powkłuwane w tak dziwne miejsca, że oczy same się mrużyły. Oni sami zresztą wcale nie wyglądali na zbyt uszczęśliwionych.

Connor wstał i podszedł do okna. Kolejny skwarny, bezchmurny dzień, przynajmniej jednak jakiś powiew kołysał listowiem topoli rosnących wzdłuż Clark Fork. Między drzewami zobaczył starego mężczyznę, który uczył młodą dziewczynę rzucać spinningiem. Przed nimi słońce kołysało się w wodzie, a widok był tak sympatyczny, że Connor pobiegł po swego nowego nikona. Założył obiektyw 200 mm i zużył ostatnie klatki filmu, co mu przypomniało, że taśmę z leiki ma nadal w kieszeni. Może zdąży oddać obie rolki do wywołania jeszcze przez przylotem Eda i Julii.

Ściągnął z siebie przesiąknięte dymem ubranie, wziął prysznic, nałożył stare wprawdzie, ale czyste dżinsy i biały T - shirt, zrobił sobie kawę, a kiedy skończył pałaszować furę jajek na bekonie i frytek, dochodziła już druga.

Na dworze powietrze drgało nad chodnikiem. Wpadł do pralni przy stacji benzynowej, gdzie kilka minut spędził na głaskaniu po brzuchu rozanielonego collie i opowiadaniu o pożarze Iron Mountain właścicielce pralni, pani Tyler.

- Mówią, że znowu będzie lato pełne pożarów - oznajmiła.
- Jest bardzo sucho, to fakt.
- A gdzie Ed? To przestał już z wami skakać?
- Dzisiaj przylatuje.
- No właśnie, bo jakoś tak mi się wydawało, że coś tu za spokojnie. Pozdrów go ode mnie.
- W porządku.

Poszedł Front Street w kierunku Norm Higgins, wykorzystując każdy skrawek cienia. Przyjemnie było wrócić do Missouli. Miłe miejsce, gdzie możesz być sobą, a nikt nie spieszy się z wydawaniem osądów. Na atmosferę miasta duży wpływ miał uniwersytet za rzeką. Pełno

studentów, nawet teraz, kiedy wakacje były już za pasem. Czasami Connor czuł się obco pośród nich, powracał bowiem żal, że on sam nie chodził do college'u.

Ostatnimi laty Missoula niczym magnes przyciągała tych, którzy mieli już dość życia wielkowiejskiego, ale jeszcze nie dojrżeli do samotnej chatki w lesie i wody czerpanej ze strumienia. Tutaj wszystko było ładnie zharmonizowane. Wystarczyło kilka minut, by znaleźć się w górach, a zarazem pod ręką były te wszystkie małe przyjemności i udogodnienia, jak centra handlowe, najnowszy film z Hollywoodu i dobre cappuccino. Obok siebie żyli tutaj radykalni bojownicy nieskażonej natury, którzy na śniadanie spożywali drwali, bardziej umiarkowani miłośnicy królików, hippisi gotowi obściskiwac wszystkich i wszystko, a także najróżniejsi twórcy kultury i kontrkultury: muzycy, malarze, rzeźbiarze i literaci. Ed, który był skarbnicą bezużytecznych, chociaż często intrygujących informacji, twierdził, że w Missouli jest najwięcej na całej planecie pisarzy przypadających na jeden akr.

Ciemnia, z której Connor korzystał, była wciśnięta między garaże na tyłach North Higgins. Był to wąski pokój ze studiem po jednej stronie, a odgrodzoną ciemnią - po drugiej. Jedna ściana była obita różnymi tkaninami, a pod sufitem wisiały różnobarwne rolki papierów, które można było spuścić, aby dały požądane tło do portretu.

Pracownia należała do Trudy Barratt, która pracowała głównie dla lokalnej gazety „The Missoulian”. Poznali się przed dwoma laty, kiedy redakcja skorzystała z kilku jego zdjęć palącego się lasu; wywiązał się z tego romans, który potrwał do końca lata. Skończył się wraz z jesienią, kiedy Connor - jak zwykle - zostawił góry dla rancza, przyjaźń jednak nie wygasła. Trudy reklamowała jego zdjęcia i dawała mu także klucz do atelier, żeby mógł z niego korzystać, kiedy zechce.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Powietrze było duszne i zatechłe od zapachu chemikaliów, zostawił więc drzwi otwarte do chwili, gdy włączył klimatyzację. Zdjął komplet zdjęć ślubnych, które Trudy zawiesiła do wyschnięcia, i starannie ułożył na dużym blacie. Jedno z nich z całą pewnością znajdzie się w jej „albumie gaf”, którego klienci nigdy nie oglądali. Na fotografii panna młoda całowała oblubieńca, który był tym najwyraźniej serdecznie znudzony. Zdjęcie to mogło okazać się bardzo przydatne na rozprawie rozwodowej.

Kiedy wszystko było już gotowe, Connor zamknął drzwi, zgasił główne światło i wyjął z kieszeni oba filmy. Pracował bez pośpiechu, uważnie. Bardzo lubił ten aspekt fotografii. Intymność narodzin, samotność, czerwona poświata, w której czas jakoś wolniej płynął.

Zdjęcia robił od dzieciństwa. Ojciec dał mu na dziewiąte urodziny Pentaxa SLR, a potem pomógł urządzić ciemnię w rogu stodoły. Pasjami fotografował wtedy zwierzęta, a jako dwunastolatek zwyciężył w organizowanym przez czasopismo geograficzne konkursie dla

amatorów, pokazując niedźwiedzia na dwóch łapach stojącego po kolana w wodzie potoku. Przed dwudziestką i po niej udawało mu się od czasu do czasu zarobić parę dolarów na zdjęciach do gazet z nart czy wspinaczki. Prawdziwą jednak gratką okazały się płonące lasy.

Trzy lata wcześniej on i Ed byli dopiero pierwszorocznikami i był to najlepszy chrzest, jaki można było sobie wyobrazić. Lato należało do najbardziej gorących, a pożary lasów stały się prawdziwie „gorącym” tematem, szczególnie jeśli wybuchały w Yellowstone Park. Connor zawsze zabierał ze sobą aparat - nic specjalnego, któryś z najtańszych modeli. I pewnego dnia zupełnie przypadkowo udało mu się ustrzelić Eda z wysoko uniesionym toporkiem, a tło stanowiła sięgająca może dwustu stóp ściana płomieni.

Trudy Barratt dała mu namiar na nowojorską agencję fotograficzną, po czym zdjęcie ukazało się na okładce „The New York Timesa”, powtórzone przez wiele czasopism na całym świecie. Dostał za to więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek dotąd widział na oczy, nie tylko więc spłacił długi ciężące na ranczu, ale także kupił nowy sprzęt fotograficzny. „The Missoulian” opublikował artykuł o karierze Connora, ozdobiony tak bufoniastym zdjęciem w pełnym ekwipunku, że wszyscy w bazie nabijali się z niego. Otrzymał nawet kilka listów od wielbicielek, czego strasznie zazdrościł mu Ed, który siebie uważał za głównego bohatera fotografii. Jej powiększenie pięć stóp na pięć powiesił u siebie w Bostonie na ścianie, a w rozmowach telefonicznych odgrażał się, że dla obecnej miłości swego życia dokona cudów.

Poznali się kilka lat wcześniej, gdy Ed zdał właśnie na uniwersytet w Missouli, a Connor zastanawiał się, czy do końca życia będzie pracował na ranczu. Każdego lata Służba Leśna przyjmowała ochotników do gaszenia lasu, chociaż nie od razu do skakania na spadochronie, o to bowiem można się było ubiegać dopiero po kilku sezonach. Tak czy owak, niewiele osób uważało to za dobry sposób spędzania wakacji. Młodzi ochotnicy - kobiety i mężczyźni - którym wydawało się to pociągające, przybywali z różnych stron kraju i środowisk. Niektórzy przez resztę roku pasali stada, studiowali, uczyli jeździć na nartach czy pracowali w restauracjach, a wszystkich łączyło pragnienie robienia czegoś odrobinę bardziej pasjonującego.

Connor i Ed znaleźli się w jednej ekipie robiącej przecinki, a ponieważ Connor miał staż o rok dłuższy, zaopiekował się kolegą tak, aby ten zrozumiał, że to nie przelewki. Edward Cavendish Tully sam się tego dopraszał w świecie twardych strażaków leśnych. Ponieważ pochodził z bogatej rodziny z Lexington w stanie Kentucky, studiował muzykę, miał południowy akcent, okulary w złotej oprawce i arystokratyczny wygląd, stał się przedmiotem ogólnych dowcipów. Szybko się jednak okazało, że jeśli chodzi o sprawność i twardość, nie ustępuje najlepszym, a wszystkie docinki i kawały znosił z tak nie zmaconym humorem, że reszta wkrótce się do niego przekonała.

Na Connorze wielkie wrażenie zrobiła informacja, że Ed od szóstego roku życia jest

diabetykiem i przed każdym posiłkiem musi robić sobie zastrzyk z insuliny. Co więcej, okazało się, że obok fascynacji muzyką poważną, Ed nie stroni też od lżejszych utworów, a na gitarze potrafi zagrać wszystko, od Van Halena po Hendriksa. Po raz kolejny zatem Connor przekonywał się, jak złudne bywają opinie oparte na czysto zewnętrznych przesłankach, takich jak wygląd, zamożność czy pochodzenie.

Ich przyjaźń była znakomitym przykładem przyciągania się przeciwieństw: Ed - ekstrawertyczny intelektualista, zawsze mający na podorzędziu żart czy opowiastkę, i Connor - lakoniczny, opanowany. Connor nie był zbyt wprawny w analizowaniu takich sytuacji, pamiętał jednak, jak Trudy kiedyś powiedziała, że każdy z nich ma cechy, których brak drugiemu, i gdyby ich połączyć, wyszedłby z tego naprawdę niezły facet. Zastanawiał się, czy może uznać to za komplement, i ostatecznie uznał.

Niewątpliwie łączyła ich pasja do wspinania, wędkowania, spływów kajakowych, a o sile przyjaźni zdecydowały wspólnie gaszone pożary. Wymyślili nawet pewien rytuał. Gdy któregoś dnia robili przecinkę, nagle zmienił się kierunek wiatru i stwierdzili, że obaj są otoczeni ze wszystkich stron przez płomienie.

- Ej, brachu! - krzyknął Ed. - Jesteśmy w sercu pożaru! I nagle jakby wiedzeni jedną myślą przytknęli zaciśnięte lewe pięści do serc, a Ed zawołał:

- Płomienne serca!

Stało się to ich zawołaniem. Było w tym trochę bufonady i potem śmiali się z tego, ale gest i hasło powtarzali przy każdym pożarze.

Connor miał oczywiście także innych przyjaciół, mieszkających w Auguście, Choteau czy Great Falls, najczęściej znajomych jeszcze z dzieciństwa i ze szkoły. Czasami spotykali się na nartach czy w skałach, z jednym czy z dwoma widywał się niekiedy przy okazji pożarów, z żadnym jednak nie czuł się związany tak blisko jak z Edem. Jako jedynak miał w sobie coś z odludka. Matka w żartach nazywała go Podglądaczem i powtarzała, że znacznie lepiej się czuł, spoglądając na życie przez obiektyw, niż w nim uczestnicząc. Tak więc Ed stał się pierwszym prawdziwym przyjacielem.

Po skończeniu college'u Ed przeniósł się na wschód, do Bostonu, ale każdego lata udawało mu się wygospodarować dwa miesiące, które spędzali razem w Montanie, gasząc pożary, a w wolnych chwilach robiąc to, co im obu sprawiało przyjemność. Ed z prawdziwą radością pomagał mu na ranczu. Wprawdzie była niewielka, po śmierci ojca zdana wyłącznie na ręce jego i matki. I to głównie z tej przyczyny Connor nie mógł myśleć o studiach.

Rodzina Eda miała niewielką stadninę, on zaś żartował sobie z matki Connora, że ma takie wolne i nieruchawe konie na ranczu, i pytał, czemu nie wpadnie do nich do Kentucky i nie weźmie

sobie pary dobrych zwierzków. Udawała poirytowaną, ale widać było, że przyjaciel syna bardzo jej przypadł do gustu i kiedyś nawet nazwała go swoim drugim dzieckiem. Nie mogła tylko pojąć jednego - co takiego kazało dwóm pozornie zdrowym na umyśle młodzieńcom znajdować pasję w zmaganiu się z ogniem. Connor pamiętał ten wieczór, kiedy jej oznajmili, że chcą ubiegać się o przyjęcie do grona strażaków z powietrza.

- Zostaniemy zadymiarzami, mamó.

- A co to znowu za jedni?

- W Missouli tak nazywają tych, których do pożaru lasu zrzuca się z powietrza, pani Ford - wyjaśnił Ed. - To jest dopiero bomba. Już dusiciel to jest coś, ale zadymiarz...

Ed zawiesił głos.

- No proszę, a co on takiego dusi ten dusiciel?

- Gaszą pożary normalnie, od dołu. Wydaje im się, że są tacy jak, nie wiem, piechota morska albo coś takiego. W każdym razie ciągle się przechwalają. A zadymiarze nie, bo nie muszą. Oni naprawdę są twardzi.

- W całym kraju jest ich tylko czterystu - dorzucił Connor.

- Aż tylu znalazło się idiotów? - Pani Ford pokręciła głową. - Czy ja dobrze zrozumiałam? Wsiadacie do samolotu, szukacie, gdzie tu się las pali, a potem skaczecie w ten ogień? O to chodzi?

- Skaczymy, ale na spadochronach - powiedział Connor.

- No tak, teraz kamień spadł mi z serca. Wiecie co, wy obaj chyba zbzikowaliście.

- Przepraszam, bo już zapomniałem - odezwał się Ed - ale ile lat brała pani udział w rodeo?

- To coś zupełnie innego.

- Jasne - mruknął Connor - nie dają spadochronów.

Ed musiał jakiś czas przekonywać kierownictwo bazy w Missouli, że jego cukrzyca nie stanowi przeszkody. Ponieważ jednak jako strażak spisywał się znakomicie, a na dodatek przedstawił zaświadczenie znajomego lekarza - nie całkiem kłamliwe, chociaż i nie całkiem prawdziwe - że choroba w żaden sposób nie przeszkodzi mu w wykonywaniu zadań, więc ostatecznie dostał pozwolenie. A osoby, które o tym zadecydowały, bardzo sobie teraz tego gratulowały.

W lutym Ed zadzwonił do Connora i opowiedział mu o dziewczynie, z którą zaczął się spotykać. Nie uległo wątpliwości, że stracił głowę. Przez wspólnie spędzone lata pojawiło się w ich towarzystwie kilka dziewcząt (głównie za sprawą Eda), a w przypadku dwóch trwało to nawet dłużej niż jedno lato. W zeszłym roku Connor intensywnie romansował z liczącą sobie sześć stóp fanatyczką hokeja z Seattle, Glorią McGrath, którą Ed przezwiał Darth. W trakcie romansów taktownie ulatniali się z mieszkania, gdy drugi tego potrzebował. Tak czy owak, Ed był

nieuleczalnie romantyczny, zakochał się błyskawicznie i bez reszty, zawsze zapewniając, że tym razem jest to już najprawdziwsze uczucie i ta jedna jedyna osoba. W przypadku Julii było w jego głosie coś, co kazało Connorowi podejrzewać, że może nie są to czcze zapewnienia.

- Pamiętasz Natalie Wood w West Side Story!

- Nie.

- Connor, czasami naprawdę doprowadzasz mnie do rozpacz. Przecież to klasyk. Musiałeś to widzieć w telewizji - wiesz, to takie małe sześcienne pudełko, które stoi w kącie pokoju.

- Rozumiem, że chodzi ci o to, że jest piękna.

- Piękna to mało powiedziane. Ale najważniejsze jest to, że najczęściej te ślicznotki są świadome swojej urody i strasznie się z nią obnoszą. Z Julią jest zupełnie inaczej. Rozumiesz, ona jest zupełnie naturalna. I wiesz co jeszcze? Lubi się wspinać, a na nartach jeździ jak marzenie. Jest mądra, ma wspaniałe poczucie humoru, jej gust...

- Nie masz czasem kłopotów z aureolą?

- Nie, bardziej ze skrzydełkami, ale widzisz, to jest całkiem sexy. I jeszcze coś ci powiem. Chcę mieć z nią dzieci.

- Odnoszę wrażenie, że sama twoja ochota to za mało.

Trudno się dziwić, że Connor nie mógł się doczekać chwili, kiedy zobaczy tę boginkę.

Obie rolki do wywołania były czarno - białe. Robił czasami zdjęcia kolorowe, ale najczęściej wtedy, gdy miał takie zamówienie, dla siebie bowiem zdecydowanie preferował wspaniałe bogactwo odcieni czerni i bieli. Zdjęcie staruszka uczącego rzutu spinningiem okazało się rozmazane. Dwa, może trzy zdjęcia wydawały się niezłe, ale przede wszystkim gnało go do filmu zrobionego na Iron Mountain, a właściwie do jednej jedynej klatki na nim.

Serce zabiło mu mocniej, kiedy podniósł negatyw pod światło i zobaczył, że to zdjęcie tam jest. Nie patrzył na inne, a ledwie film odpowiednio wysechł, natychmiast przystąpił do wywoływania go w formacie dziesięć na osiem. Negatyw leżał jeszcze w waniencie, a wraz z tym, jak wywoływacz wchodził w reakcję z papierem, łos zaczął się wyłaniać, zupełnie jakby z chmury dymu, zupełnie jakby to było na górze. W momencie, kiedy Connor wyjmował zdjęcie z kąpielni, wydało się, że zwierzę zwróciło ku niemu łeb i płomienie ogarniające poroże wygięły się w jego kierunku.

Jednak to nie ogniki przysiadłe na spalonym grzbiecie ponownie napełniły Connora dreszczem. To wzrok: w ślepiach zwierzęcia czaiła się jakaś straszliwa przestroga, nie zaś lęk.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jedną z rzeczy, które podziwiała u Eda - i chyba jedyną, której mu zazdrościła - była jego łatwość zasypiania. Bez względu na to, gdzie się znajdował i jaki dokoła panował harmider, Edowi wystarczyło ułożyć gdzieś głowę, przymknąć oczy i zanim policzył do dwudziestu - już w najlepsze chrapał. W tym przypadku miejscem do ułożenia głowy było ramię Julii. Ledwie steward zabrał ich niemal nie tknięte tace z posiłkiem, Ed zdjął okulary, pocałował ją w szyję i zasnął tak smacznie, że chociaż było jej odrobinę niewygodnie, nie chciała się poprawiać, aby go nie zbudzić. A poza tym bardzo przyjemnie było czuć na szyi jego oddech, ciepły, rytmiczny, niewinny jak u dziecka.

Ed nalegał, aby to ona zajęła miejsce przy oknie, co lepiej pozwoli jej oglądać z góry Montanę. Siedzieli po północnej stronie samolotu i od godziny widziała tylko jego cień przemykający po płowych preiach, poprzecinanych fantastycznymi formami skalnymi i pociętych korytami wyschniętych strumyków.

Minęły cztery miesiące od dnia, gdy Ed zadzwonił, aby upomnieć się o swoje wycieraczki. Ona sama skazałaby na zapomnienie opowieść o podstępym zajęciu miejsca na parkingu, karze i kontrkarze, niemniej jednak historia ich poznania urosła do rangi legendy. Ed opowiedział ją wszystkim swoim i jej znajomym, a w trakcie narracji Julia spuszczała głowę i nawet nie musiała udawać zawstydzonej, gdyż wcale nie była dumna ze swego zachowania pod kinem.

Ale jeszcze bardziej od jej własnego zachowania na parkingu zdumiewało ją, jak szybko doszło między nimi do tego, co jej matka z odrobiną przygany w głosie nazwała „poważną sprawą”.

Od zerwania z Michaeliem poprzedniej wiosny Julia nie miała żadnego chłopaka i - mówiąc szczerze - znajdowała upodobanie w życiu wolnym od romansowych komplikacji. Bez reszty poświęciła się pracy w instytucie, z ochotą zostawała po godzinach, poza tym przeczytała więcej książek niż kiedykolwiek dotąd, namalowała nawet kilka płócien. Jeśli wychodziła gdzieś, to tylko w towarzystwie przyjaciółek. No i wystarczył ten jeden jedyny raz, kiedy wyprawiła się z bratem ciotecznym, żeby znowu znalazła się w kolczastej krainie miłości.

Jej matce bardzo się podobał Michael. Studiował prawo na Harvardzie, był stuprocentowym WASP - błyskotliwy, przystojny blondyn, o uśmiechu jakby zdjętym z okładki czasopisma stomatologicznego. Dla matki wielką wagę miało także bogactwo Michaela, czy też bogactwo czekające dopiero na niego w postaci spadku. Jak w większości szacownych rodzin, pochodzenie tego majątku owiane było niejaką tajemnicą, a na ile Julii udało się wywęszyć, wiązało się z

zawracaniem rzek i wycinaniem milionów drzew.

Chociaż znaczny dostatek nie olśnił Julii, to jednak czy to z racji roztargnienia, czy z jakiejś innej przyczyny nie zwróciła uwagi na niektóre cechy Michaela. Na przykład na to, że był nudny. I to nie od czasu do czasu i w umiarkowanym stopniu, jak większość mężczyzn, co ostatecznie dawało się wybaczyć; Michael był nudny na wszechgalaktyczną skalę.

Jej najlepsza przyjaciółka i współlokatorka, Linda Rosner, która zawsze mówiła prosto z mostu, wskazała na tę cechę po pierwszym spotkaniu z Michaeliem i postawiła butelkę szampana, kiedy Julia zdecydowała się zerwać. To właśnie doświadczenie najpewniej zadecydowało o tym, że następnym mężczyzną w życiu Julii miał być zapalony muzyk z Południa, który w wolnych chwilach lubił skakać ze spadochronem na płonące lasy. Nie ulegało wątpliwości, że życie z Edem nie grozi jednostajnością, wprost przeciwnie, groziło raczej skrajnym wyczerpaniem, poważnymi okaleczeniami, a nawet gwałtowną śmiercią. Bywał wprawdzie nastrojowy i od czasu do czasu zachowywał się niezręcznie, zupełnie o tym nie wiedząc, ale serce miał wielkości dorodnej dyni, a przede wszystkim - potrafił rozśmieszyć ją do łez.

Do pamiętnego wieczoru jedynymi okazjami, gdy mężczyźni śpiewali dla niej serenady, były wizyty we włoskich restauracjach z ich podejrzanymi grajkami. Cała wiązanka utworów przeznaczonych wyraźnie dla niej, niezależnie od wpleczonego w cały występ elementu ironii, zrobiła na niej wstrząsające wrażenie. Natychmiast została zdobyta. Powiedzmy, niemal natychmiast. Poszli do łóżka po trzeciej randce, chociaż Julia pewnie nie opierałaby się specjalnie, gdyby nastawał na to, zjawiwszy się po wycieraczki. (No i gdyby nie było na miejscu Lindy, która udawała wprawdzie, że jest bez reszty pogrążona w lekturze gazety, ale wszystko czujnie obserwowała).

Podobnie jak Julia, Linda urodziła się i wychowała w Nowym Jorku, tyle że pochodziła ze znacznie zamożniejszej rodziny. Sama skręcała sobie papierosy i paliła więcej, niż jadła. Była szczuplutka, liczyła sobie pięć stóp jeden cal wzrostu, ale nigdy nie dała sobie w kaszę dmuchać. Spotkały się w college'u artystycznym, gdzie Linda była jedną z założycielek „neogotyckich radykałów”. Julii nigdy nie udało się do końca zgłębić, jaki był program grupy, ale ważnym elementem wydawało się noszenie grubych pokładów czarnej szminki i ubieranie w stylu rodziny Addamsów. Po dwóch latach artystowskich wyczynów, kiedy wszystko chociażby najodleglej związane z zarabianiem pieniędzy było pogardliwie określane „kapitalistycznym gównem”, Linda uznała, że skoro nie potrafi pokonać obmierzłego przeciwnika, to równie dobrze może się do niego przyłączyć. Zrzuciła wyzywające stroje, zmyła czarną szminkę i poszła na studia prawnicze. Tym razem plan zakładał zdobycie pracy na Wall Street i kupno czarnego BMW.

Już w trakcie pierwszej wizyty Ed zyskał akceptację Lindy. Otworzyli jedną butelkę wina,

potem drugą i rozmawiali do drugiej nad ranem. Ed sporo czasu poświęcił na oglądanie rozwieszonych na ścianach obrazów Julii, które były rezultatem zeszłorocznego dwumiesięcznego pobytu w Kenii. Zakochała się w przestrzeni Afryki i wyobraźni Afrykańczyków, ale chociaż przywiozła ze sobą stertę fotografii, stwierdziła w domu, że nie potrafi oddać na płótnie ducha tamtych miejsc. Obrazy wydawały jej się wymuszone, Ed jednak rozplýwał się nad nimi, a najbardziej przypadł mu do gustu ten, który ewentualnie także i Julia gotowa była zaakceptować - motyw zebry tak przetworzony, że zbliżał się do abstrakcji.

Przyprawił je o paroksyzmy śmiechu, odgrywając Dextera Rothwella Juniora, a kiedy powiedział im, że jest nie tylko muzykiem i kompozytorem, ale także zajmuje się gaszeniem pożarów leśnych, Linda omal nie zemdląa. Po jego wyjściu oszołomione chichotały niczym licealistki.

- No, no - powiedziała wreszcie Linda. - Poeta - ryzykant. Ale ci się trafiło.

- Co masz na myśli?

- Co mam na myśli? Dziewczyno, jeśli ty się nim natychmiast nie zajmiesz, ja wkaczam do akcji.

Teraz, po czterech miesiącach, byli w takim stadium, że z niechęcią wypuszczali swe dłonie, a co dopiero mówić o rozstaniu na całe lato. Ed zasugerował, że może znalazłaby jakąś pracę w Montanie, i wystarczył telefon, by sprawę załatwić.

Jeszcze w college'u Julia zazwyczaj spędzała czas od czerwca do września w Kolorado na obozach organizowanych przez MiN, Młodzież i Naturę. Jechali na nie nastolatki, którzy weszli w konflikt z prawem, a sądy dawały im jeszcze ostatnią szansę na życie poza więzieniem. W grupach liczących od dziesięciu do dwunastu osób wywożeni byli w całkowicie dziką okolicę na dwa miesiące. Wyposażeni tylko w wysokie turystyczne buty, śpiwór, nieprzemakalny płaszcz i brezent, mieli sobie sami dawać radę. To znaczy - prawie sami; nadzorowało ich bowiem i pomagało im w razie potrzeby czworo instruktorów, a jednym z nich była właśnie Julia.

Wcześniej nie miała wątpliwości, że najbardziej jej odpowiada życie malarki. Kiedy jednak w trakcie tych trzech wyjazdów letnich była świadkiem, jak naburmuszone, agresywne dzieciaki zamieniają się godnych zaufania, roztropanych dorosłych, także w niej coś się zmieniło. Zrobiła magisterium z psychologii wychowawczej i została terapeutką wykorzystującą sztukę w terapii w bostońskiej szkole dla trudnej młodzieży.

Przed dwoma laty MiN otworzyło drugi ośrodek w Helenie w stanie Montana. Kiedy okazało się, że kierownik ośrodka w Kolorado, Glen Nielsen, przeniósł się do Heleny, wystarczył jeden telefon, by Julia została zatrudniona. Bardzo lubili się z Glenem i gdyby w Bostonie nie było Michaela, być może ich znajomość stałaby się odrobinę bardziej intymna. Zareagował

entuzjastycznie, bardzo się cieszył, że znowu będzie jego instruktorką, od razu też zaproponował, że załatwi jej mieszkanie w Helenie, które będzie dzielić z dwiema innymi opiekunkami MiN. Kiedy wspomniała o tym Edowi, był najwyraźniej urażony, sądził bowiem, że zamieszkają razem w Missouli.

- Poczekaj - powiedziała. - Ty przecież będziesz miał kawalerski kącik z Connorem.

- Jaki znowu kawalerski kącik? Na pewno się ucieszysz z mieszkania razem. Strasznie fajny facet.

- Na pewno. Tak to wygląda z twoich opowieści. Ale chyba lepiej, żebym mieszkała tam na miejscu. Będziemy się widywać, sam powiedziałeś, że Helena oddalona jest od Missouli o kilka godzin drogi.

Na koniec uległa, chociaż dobrze wiedziała, że z tego wcale nie wynika, że dużo czasu będą spędzać razem.

W MiN pracowało się turami: osiem dni ze swoją grupą, potem zmiana i sześć dni odpoczynku. Ed miał mieć wolne piątki i soboty lub niedziele i poniedziałki.

Poczuła, jak jego głowa porusza się na jej ramieniu.

- Już jesteśmy? - spytał jak rozespiane dziecko.

- Jeszcze trochę. Uważaj, bo prześpisz całe lato.

- Cudownie pachniesz.

- Bardzo się cieszę. Ale mam sparaliżowaną całą lewą stronę ciała. Twoja głowa waży chyba z tonę.

- Nic na to nie poradzę. To wszystko mózg. Pocałował ją w policzek, nałożył okulary, pochylił się nad jej kolanami i spojrzał w okienko.

- Jesteśmy gdzieś nad Dakotą - oznajmił. - Za kilka minut będzie już Montana. Pewnie dlatego się zbudziłem. Nie żartuję, zawsze tak jest. Budzę się, jak tylko docieramy nad Montanę. Jakies wibracje albo coś takiego.

- Proszę, proszę.

- Mówię serio. Kiedyś opowiedziałem to kobiecie, która zajmuje się astrologią, reinkarnacją i takimi rzeczami, a ona na to, że w poprzednim życiu musiałem pochodzić z Montany.

- Byłeś kowbojem?

- Nie, Indianinem z Czarnych Stóp. Podobno grałem na bębnach.

- Jak się nazywałeś?

- Zapomniałem.

- Widzę po tobie, że kłamiesz. No jak?

Ed westchnął ciężko.

- Bezzębny Niedźwiedź.

Julia wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Cooo? Bezzębny Niedźwiedź?!

- Proszę bardzo, nabijaj się, ile chcesz, ale pamiętaj, że mówimy o moim poprzednim życiu.

- Dlaczego Bezzębny?

- A skąd mogę wiedzieć? Może je sobie wybiłem pałeczkami do bębna.

- Co jeszcze powiedziała?

- Nic. Obraziła się, jak spytałem, kto grał na prowadzącej gitarze, i nie wykrztusiła już z siebie ani słowa.

Przez resztę podróży kontemplowali, jak równina ustępuje miejsca pagórkom podobnym do wielorybich grzbietów porośniętych sosnami, a rozdzielonych szerokimi korytami rzek. Ed nazywał mijane okolice: pasma Rosebud, Bighorn, Pryor, dalej na północy zabudowania Billings, a po przeciwnej stronie zakola Yellowstone River. Pokazał jej w oddali wschodnie zbocza Gór Skalistych, ona przyglądała się, jak rosna i rosna, a pozostałości śniegu na najwyższych szczytach różowiły się w promieniach zachodzącego słońca. I nie wiadomo kiedy znalazły się pod nimi, oni zaś lecieli wzdłuż zachodnich stoków, na których lasy układały się we wszystkie odcienie zieleni, schodząc ku jeziorom, w których przeglądało się niebo. Potem zaczęli wolno opadać ku Missouli, las ustąpił miejsca dolinie i pastwiskom, oni zaś coraz lepiej mogli rozpoznać rancza, domy, konie, bydło, samochody i ludzi zajętych własnymi sprawami. Ed powiedział, że zawsze gdy to widzi, wydaje mu się, że w ogóle się stąd nie ruszał, i czuje, jak otwiera w nim się przestwór, który trzeba wypełnić.

Julia żartobliwie rozczochnęła mu włosy.

- Ty mój Bezzębny Niedźwiadku.

Po wyjściu z samolotu powitał ich zapach oleju parafinowego i rozpalonego asfaltu, ale i tak Ed wziął głęboki oddech, jak gdyby było to najwspanialsze powietrze na ziemi. Objął ją w pasie i tak weszli do hali przylotów.

- Jest tam.

Ed pomachał ręką i za oddzielającą ich szklaną ścianą Julia zobaczyła wysokiego blondyna o długich włosach, który powiewał do nich kowbojskim kapeluszem. Tłum pasażerów posuwał się powoli. Przed nimi popychano starszego mężczyznę w wózku inwalidzkim, więc upłynęło sporo czasu, zanim dotarli do wyjścia. Widząc to, Connor nałożył z powrotem kapelusz i czekał uśmiechnięty. W końcu znaleźli się naprzeciw siebie.

- Wybacz, czy to kolejka do pożaru? - spytał Ed.

- Masz, bracie, pecha. Wszystkie wygasiliśmy.

Connor ponownie zdjął kapelusz, Ed rozłożył ramiona i wzięli się w ten zabawny męski uścisk, przy którym zawsze wydaje się, że celem jest wzajemne odbicie sobie płuc.

- Cześć, stary! - powiedział Ed. - Jak leci?

- W porządku. Ale teraz, jak przyleciałeś, będzie jeszcze lepiej. Ej, nowe okulary!

- Julia mówi, że wyglądam w nich sexy.

- Gdzie ona ma oczy? Może i jej by się jakieś szkła przydały? - Connor obrócił się do Julii. - Ponieważ ten niesłychanie seksowny koleś nawet nie pomyśli o prezentacji, muszę zgadywać, że to ty jesteś tą słynną Julią. - Wyciągnął dłoń. - Mnóstwo o tobie słyszałem.

- A ja o tobie.

- Witaj w Montanie.

- Dzięki.

Dłoń miał twardą i pełną odcisków, a spojrzenie jasnoniebieskich oczu było tak bezpośrednie, że trochę się nawet zawstydyła, jakby mógł wyczytać jakieś jej tajemnice.

- Poza tym schowałem wóz tak, żeby nie był na widoku, więc chyba jestem bezpieczny.

Spojrzała na Eda karcącym wzrokiem i spytała:

- Czy ta historia przestanie się kiedyś ciągnąć za mną?

Ed spojrzał na Connora, obaj zastanowili się, a potem pokręcili z powagą głowami i odpowiedzieli, że nie, nie przestanie, ale Connor oświadczył z uśmiechem:

- Julio, przepraszam. Ja już nigdy o niej nie wspomnę.

- Przyrzekasz?

- Przyrzekam. Teraz chodźmy po wasze wycieraczki, przepraszam, to znaczy bagaże.

Po drodze do taśmy bagażowej i w trakcie oczekiwania Ed nie przestawał zasypywać Connora pytaniami. Musiał się dowiedzieć, kto skacze tego lata, co do tej pory ugasili, jaka była pogoda, co mówią prognozy i tak dalej. Connor odpowiadał cierpliwie, zwracając się nie tylko do Eda, ale i do Julii.

Tak wiele się o nim nasłuchiwała, że była bardzo ciekawa tego spotkania. Przypatrując się im obu i przysłuchując ich rozmowie, zgadywała, dlaczego Ed uważał Connora za swego najbliższego przyjaciela. Była w nim jakaś stanowczość, a także spokój i rezerwa, które dobrze się uzupełniały z wylewnością Eda. Kiedy pochwycił jej wzrok, uśmiechnął się po prostu, a ona odpowiedziała mu tym samym.

Nadjechały wreszcie bagaże, Ed zajrzał do pudła z gitarą, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku, a potem załadowali rzeczy na wózek i pojechali na parking. Samochód Connora okazał się starym jasnoniebieskim pickupecem chevroletem, który - jak uznała - bardzo dobrze pasował do jego sfatygowanego, przepoczonego kapelusza. Powiedział jej, że ubrał się tak

specjalnie na przyjazd Eda, normalnie bowiem, jak wszyscy zadymiarze, chodzi w garniturze i krawacie.

- Rozumiem. I w takim stroju skaczecie na spadochronie.

- Nie, wtedy mamy na sobie ognioodporne fraki, nigdy bowiem nie wiadomo, na kogo można się natknąć.

Wszystkie bagaże załadowali na skrzynię, a potem zapakowali się do kabiny, siadając w rzędzie, z Julią pośrodku. Po drodze do miasta Connor zapytał ją o pracę w MiN, opowiedziała więc o tym, co widziała w Kolorado. Na pytanie, kiedy chce zacząć, odpowiedziała, że w Helenie czekają na nią w poniedziałek rano.

Connor zastanawiał się przez chwilę, a potem stwierdził, że jeśli nie mają innych planów, to mogliby wszyscy razem pojechać w niedzielę po południu na ranczo do jego matki.

- Może nie powinienem o tym wspominać, Julio, ale Ed wyraźnie przypadł do gustu mamie.

- To jest uczucie z wzajemnością! - wykrzyknął Ed. - Jakże mógłbym nie kochać kobiety, która zna na pamięć wszystkie piosenki z Oklahomy.

- Widać, że nie jest lekko - mruknął Connor. - Ty także musiałaś się nauczyć wszystkich? - spytał Julię.

- Z jakiej Oklahomy?

Ed z jękiem ukrył twarz w dłoniach, a Connor i Julia zaśmiali się serdecznie.

Kolację zjedli w małej restauracji po drugiej stronie rzeki, a potem wrócili przez most. Robiło się już ciemno i wielka biała litera M wisiała nad miastem, jakby ją ktoś przypiął do atramentowego nieba.

Obok mostu był niewielki park, gdzie odbywał się jakiś przygodny koncert. Pod lampami niewielka grupka ludzi rozsiadła się na trawie, a miękki dźwięk gitar napełnił Julię takim ciepłem i sennością, że wsunęła ramię pod ramię Eda i wtuliła w nie głowę, gdy szli.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Connor zajął się kawą, do której zasiedli przy kuchennym stole, i rozmawiali jeszcze przez chwilę. Ed spytał, jak wygląda sprawa z fotografiami, na co Connor odparł, że ma kilka zamówień, ale niezbyt wiele. Potem wstał, przeszedł przez pokój, a kiedy wrócił, trzymał w ręku dużą brązową kopertę, z której wyjął zdjęcie, mówiąc, że wywołał je tuż przed ich przylotem. Najpierw wręczył je Edowi, który siedział po przeciwnej stronie stołu, tak że tylko on mógł je na razie zobaczyć. Oczy mu rozbłyły.

- O rany! Co to takiego? Łoś?

- Tak. Nagle wynurzył się z pożaru.

- I co się z nim stało?

- Nie wiem. Pojawił się, a w następnej chwili już go nie było.

- Connor, człowieku, to bombowe zdjęcie!

Ed przekazał fotografię Julii, która wpatrywała się w nią przez chwilę, a kiedy zorientowała się, co widzi, z trudem powstrzymała okrzyk.

- Okropne! - wykrztusiła.

- Nie najlepszy komplement - roześmiał się Ed.

Connor jednak z wielką powagą wpatrywał się w Julię, jak gdyby odgadł, o co jej chodzi. Pokręciła głową i oddała mu fotografię.

- Przepraszam, ale nie mogę na to patrzeć.

Connor bez słowa wziął zdjęcie, włożył do koperty i odniósł na miejsce. Ed zażartował, że Julia jest także bardzo surowym krytykiem jego muzyki, dziewczyna jednak była najwyraźniej wstrząśnięta tym, co zobaczyła. Wstała, a Ed zmarszczył brwi zaniepokojony.

- Coś się stało, Julio?

- Nie, jestem tylko zmęczona. Zostawiam was samych, chłopaki.

Pocałowała Eda w czubek głowy, on zaś obiecał, że zaraz do niej przyjdzie.

- Dobranoc, Connor.

- Dobranoc, Julio.

Umyła zęby w czarnej łazience, którą Ed nazywał „cełą samobójcy”, potem poszła do ich sypialni i rozebrała się. Connor odstąpił im większy pokój i domyślnie zsunął dwa pojedyncze łóżka. Był tam jeszcze drewniany fotel na biegunach, stolik nocny przy jednym z łóżek, lampa z purpurowym abażurem z frędzlami, a w kącie stała duża, wiekowa szafa z jednym uchwytem odłamany. Jaśniejsze prostokąty na brudnych ścianach wskazywały, gdzie przedtem wisiały obrazy czy plakaty. Owady obijały się o siatkę na oknie, a kilka bardziej przedsiębiorczych znalazło w rogu dziurę i teraz jak szalone wirowały wokół lampy.

Julia położyła się i otworzyła książkę. Po raz trzeci czytała Annę Kareniną i była bardziej poruszona niż kiedykolwiek wcześniej. Nagle jednak stwierdziła, że po raz nie wiadomo który czyta ten sam akapit, zrezygnowała więc i zgasiła światło. Słyszała szum rzeki i ściszone głosy za ścianą, a chociaż wiedziała, że jest ciepło, otuliła się kołdrą aż po samą szyję, ciągle bowiem czuła dreszcz spowodowany fotografią Connora. Nie mogła wyrzucić jej z pamięci. Ed nazwał ją bombowym zdjęciem, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co chodzi. Ale Connor zrozumiał.

Musiała zasnąć, kiedy się bowiem ocknęła, Ed leżał nagi obok niej i całował ją w szyję. Chciał się kochać, a kiedy szepnęła, że jest zbyt zmęczona, naburmuszony powiedział, że upłyną dni, a może nawet tygodnie, zanim znowu będą razem. Odwróciła się zatem i pozwoliła się pieścić, a złowrogi wizerunek z wolna roztopił się i zniknął. Ale czuła, że zetknięcie ciał po raz pierwszy miało w sobie odcień smutku.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Orzeł korzystając z prądów termicznych, wznosił się w górę szerokimi kołami, a jego cień przemykał po zalanej popołudniowym słońcem ścianie kanionu. Upstrzona była ciemnymi plamami w miejscach, gdzie spływająca woda wypłukała szczeliny, z których krzaki i mchy sterczały niczym włosy z uszu starca. Teraz, kiedy słońce zachodziło za drugą krawędź kanionu, wszystkie barwy roztopiały się w pełzającym od dołu mroku. Rozbrzmiewający od czasu do czasu krzyk orła odbijał się echem w gardle wąwozu jak żałosny lament.

Trudno powiedzieć, czy orzeł wiedział o ludziach kilkaset stóp pod nim, ale trudno było o bardziej odpowiedni komentarz do ich sytuacji. Brzegiem wyschniętego strumienia przywlekli się tutaj: zgarbieni, z nisko pochylonymi głowami, twarzami brudnymi od pyłu i potu. Dróżka była stroma, kamienista, a oni idąc, wzbijali kłębiące się u kolan chmury piasku. Przywodzili na myśl pielgrzymów, którzy zgubili drogę i wiarę, czy pogrążonych w bólu uciekinierów przed jakimiś straszliwymi prześladowaniami. No cóż, jeśli nie liczyć czwórki, odpowiadało to sytuacji całej reszty.

Mijali właśnie stertę uschniętych sosen, które wczesną wiosną zwały się w dół wraz z topniejącymi śniegami. Zatrzymali się tu na chwilę, podczas gdy jedna z osób zeszła ze ścieżki i schowała się za kępą krzaków wierzby.

- Skye, krzyknij swój numer!

Cisza, głos orła. Potem drwiący głos jednego z chłopaków:

- Skye, krzyknij swój numer, bo inaczej zaczniemy cię szukać!

Za zasłoną krzaka Skye McReedie, Metyska, zabójczyni policjanta, przypadek beznadziejny, z zaciśniętymi zębami siedziała w kucki i odlewała się w piach. Niech ją cholera, jeśli będzie się przejmować tymi ich dziecinnymi gierkami.

- Skye, numer albo idziemy szukać!

Skye zacisnęła powieki, żeby pohamować złość. Takie upokorzenie. Nie można się nawet odlać, żeby zaraz ktoś nie zaczął się do ciebie przypieprzać. A najgorsza była właśnie ta, która teraz wołała z prawej strony, cholerna Julia, tak zwany szef grupy. Zawsze taka miła, ciepła. Skye robiła, co mogła, żeby ją wkurwić, zerwać z niej tę maskę spokoju i opanowania, ale jak na razie bez skutku. Można by przypuścić, że przynajmniej jako kobieta zrozumie, jakie to wszystko trudne dla Skye. W dziesiątce ludzi po różnych rozróżkach i kradzieżach ona była jedyną dziewczyną.

- Trudno, przepraszam, Skye, ale idę!

- Pierdol się - mruknęła pod nosem, a na głos zawołała: - Siedem!

- Dzięki, Skye. I pospiesz się! Wstała i ze złością podciągnęła majtki.

- Powtarzaj to, Skye.

- Siedem! Siedem! Siedem! Siedem!

Tupiąc, wyszła zza krzaków i wykrzykiwała swój numer przez całą drogę powrotną do pozostałych, aż do chwili, gdy stanęła oko w oko z Julią i krzyknęła jej prosto w nos:

- Siedem! Siedem! Siedem! I co, teraz dobrze już?!

- Tak, Skye. W porządku, dzięki.

Mitch, największy gaduła w grupie, rzucił jakąś uwagę, że Skye się obszczała, odwróciła się więc i poradziła mu, żeby kurwa trzymał kurewski pysk na kłódkę, bo inaczej mu nakopie.

- Spokój, cisza! - zawołała Julia, unosząc ręce. - Proszę, kółko, teraz, zaraz.

Rozległy się szmery i jęki, ale reszta instruktorów - Scott, Katie i Laura - zaczęła ich karcic, po chwili więc, po raz nie wiadomo który tego dnia, stali w kole w milczeniu i wpatrywali się w siebie. Skye po prostu wpatrywała się w ziemię.

- W porządku - powiedziała Julia spokojnie. - Wszyscy wiecie, co się dzieje, kiedy ktoś używa przekleństw albo wyrażeń obraźliwych. No więc, Skye, czekamy: dwadzieścia innych określić na to, co właśnie powiedziałaś.

- Co? Powiedziałam właśnie swój numer, to co mam teraz zrobić? Sześć? Pięć?

- Nie, Skye. Dwa razy użyłaś pod adresem Mitcha wulgarnego słowa na „k” i groziłaś mu.

- A ja się, kurde, strasznie przestraszyłem - mruknął Mitch.

- W porządku, po Skye będzie dwudziestka Mitcha.

Mitch zrobił minę urażonej niewinności i cała reszta gruchnęła śmiechem. Jako siedemnastolatek był najstarszy w grupie. Wysoki, ciemny, muskularny, dobrze wiedział, jaki jest zgrabny i przystojny. Skye go nie znosiła. Znowu zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na Skye, a ona nadal wpatrywała się w ziemię. Milczeli długo, a jeśli o nią chodzi, mogliby tak sobie stać do usranej śmierci. Co wolą pomyśleć, niż powiedzieć.

- Skye - odezwała się Julia - sama wiesz, jak tu jest. Nigdzie się nie spieszymy, nie ucieknie nam pociąg ani samolot, tak że jedyne, co się opóźni, to kolacja.

Skye westchnęła i odwróciła głowę w bok. Nie chciała patrzeć w niczyje oczy. Kretyński orzeł ciągle zapieprzał w kółko i pokrzykiwał jak idiota.

- Dobra - mruknęła - powinnam była powiedzieć coś takiego: „Och, kochany Mitch, bardzo cię proszę, nie naśmiewaj się ze mnie”.

- Pięknie, raz. A teraz spróbuj obyć się bez ironii.

- Albo powinnam powiedzieć: „Wiesz, to takie trudne, kiedy się jest jedyną dziewczyną, odlać się na oczach wszystkich... chłopców. To takie wprawiające w zakłopotanie”.

- Chyba wszyscy dobrze to rozumieją. Dwa. Wymyślanie następnej osiemnastki zajęło pół godziny, drugie tyle trzeba było przeznaczyć na Mitcha. Potem, kiedy napili się z manierek, a kilka innych osób oddaliło się za potrzebą w krzaki, skąd na wyścigi wykrzykiwali swoje numery, wszyscy znowu narzucili plecaki i ruszyli przed siebie.

Kiedy sędzia powiedział jej, że dostaje wyrok w zawieszeniu, ale musi wziąć udział w obozie reedukacyjnym, Skye nie miała pojęcia, jak to będzie wyglądało. Wiedziała tylko, że wszystko jest lepsze, niż iść za kratki jak ten świr, Sean. I przez pierwszy miesiąc było całkiem klawo.

Zamieszkali w nie używanych barakach na przedmieściach Heleny. Chociaż kiepsko być jedyną dziewczyną w grupie i w dodatku wstawać skoro świt, wciągać flagę na maszt, gimnastykować się i dwa razy dziennie robić przebieżkę, to poza tym nie robi się już nic, tylko z milion razy odpowiada na te same nudne pytania stawiane przez wszystkich tych kuratorów, wychowawców, instruktorów, psychiatrów, których już by nawet nie zliczyła. Czasami coś wymyślała, żeby im się zdawało, że coś znaleźli, ale najczęściej powtarzała te same stare odpowiedzi: dom, dzieciństwo, rodzice no i - oczywiście - uczucia.

Zawsze wszyscy wypytywali się o to, co czujesz do tego, tamtego, owego, i robili to tak często, że chciało się wrzeszczeć na cały głos. Wyglądało to tak, jakby wszyscy mieli tych samych nauczycieli w tych swoich cholernych szkołach i jakby był tylko jeden program. „I co wtedy czułaś, Skye?” Opowiadasz im, jak pijany ojczym wraca w nocy, bije matkę i gwałci, a potem zaczyna się rozglądać za tobą, a oni: „No i co wtedy czułaś, Skye?!” „Ach, to było takie ekstra, kocham takie stany, naprawdę?!” Oni te swoje pytania zawsze stawiali z taką samą troską w oczach, jak gdyby naprawdę, naprawdę rozumieli, jak to jest, i jakby łączyli się z tobą w bólu, jakby sami czegoś podobnego doświadczyli, co było totalną bzdurą, bo wszyscy mieli bogatych rodziców, przytulne domy, nigdy nie zakosztowali prawdziwego życia i nie mieli najmniejszego wyobrażenia, jak to jest.

Aż wreszcie po miesiącu w barakach dostali na kolację wielką miskę spaghetti, potem każdemu wręczono śpiwór i parę innych rzeczy, kazano szybko się spakować, a po czterech godzinach jazdy autobusem zostali wysadzeni w samym środku głuszy. W czasie drogi Skye próbowała się zorientować, dokąd zdążają, ale było zbyt ciemno. Przez pierwsze dwa dni, kiedy do jedzenia było niewiele, a oni musieli zrobić trzydzieści mil przez góry, Skye się nie stawiała, gdyż sądziła, że cała impreza jest po to, żeby dać im w kość, nauczyć szacunku, grzeczności czy czego tam jeszcze oni chcieli ich nauczyć. Bywały chwile, gdy wydawało się, że płuca jej pękną, a stopy miała okropnie pokrwawione i opuchnięte, ale nie zamierzała się skarżyć.

Trzeciego wieczoru dotarli na polanę, gdzie czekał na nich szef całej imprezy, Glen, i

jeszcze parę osób, no i wszyscy śmiali się, dowcipkowali, klepali ich po ramionach i chwalili, jak to świetnie dali sobie radę. Kolesie pochowali w zaroślach skrzynie brzoskwiń, no i grupa miała je znaleźć, jakby taka durna, szczeniacka zabawa była najlepsza po dwóch dniach zapieprzania po skałach. No, ale smakowały bomba, trzeba przyznać.

Żarcie było takie samo nudne od początku: płatki, orzechy, rodzynki, płatki owsiane, ryż, same te zdrowe gówna. Tego pierwszego wieczoru, kiedy siedli potem wokół ogniska, Glen opowiadał, jak to nauczą się rozpalać ogień przez pocieranie drewna jak kiedyś Indianie (tyle że Glen mówił „rodowici Amerykanie”, jak to teraz było w modzie, żeby kogoś nie urazić albo żeby poczuł się dumny czy jakoś tak). Glen wyglądał jak stary hippie. Miał długie blond włosy związane w kucyk, bródkę, którą starannie rozczesywał, i miły głos, który zawieszał na końcu zdania, jak gdyby wszystko chciał stawiać pod znakiem zapytania. Kiedy mówił o tym ogniu z patyków, spozjrzał wprost na Skye, zupełnie jakby - jako półIndianka - mogła mieć to świetnie opanowane. Otóż to: jakby.

Mówił, że cała grupa będzie musiała się tego nauczyć. Każdego dnia na kogoś innego wypadnie rozpalanie ognia, a jeśli się nie uda, to wszyscy zostaną pozbawieni ciepłego posiłku. Co, oczywiście, nie dotyczyło jego, bo rano załadował się ze swoimi pomocnikami do samochodu i zniknął, a na miejscu została Julia.

Potem wszyscy musieli sobie wyszukać w lesie odpowiednie drewnienka i po pięciu dniach rozpalać ogień przez pocieranie potrafiła cała grupa z wyjątkiem dwóch osób. Tę dwójkę stanowili: Skye i koleś z Billings, Lester, któremu od koki tak się popieprzyło w głowie, że pewnie miałby trudności z podpaleniem benzyny przy użyciu pochodni. Skye była pewna, że gdyby się przyłożyła, także i ona potrafiłaby rozpaścić, ale ani myślała się przykładać. Poprzedniego wieczoru była jej kolej i wszyscy musieli się obyć zimnym żarciem. Nie bardzo im się to podobało, ale ją guzik to obchodziło.

Wędrówka nie była już potem taka ciężka jak ten pierwszy marsz. Dziennie robili po jakieś dziesięć mil, co jakiś czas zatrzymując się na te ich pieprzone kółka, ilekroć ktoś zaklął albo zrobił coś nie tak, jak należy. Nikt im nie powiedział, gdzie są ani dokąd idą, a jak ktoś zapytał, Julia odpowiadała tym swoim tajemniczym uśmiechem i powtarzała, że najważniejsza jest sama droga, a nie cel. Skye w życiu jeszcze nie słyszała większej głupoty, no bo kto o zdrowych zmysłach nie myśli o tym, dokąd idzie?

Skye należała do „podopiecznych” Julii, co znaczyło, że to do niej powinna się zwracać o pomoc, u niej wyplakiwać swoje zmartwienia, jej powierzać swoje sekrety. No i właśnie Julia szła za nią w górę kanionu. Przed sobą miały Byrona, faceta z Great Falls, który ugodził kogoś podczas napadu.

Miał rozczochrane rude włosy, a na lewym ramieniu wytatuowanego tygrysa, który pewnie powinien wyglądać groźnie, a tak naprawdę wyglądał jedynie smutno. Skye nie mogła się powstrzymać od spoglądania na niego. Pod warstwą brudu miał skórę białą jak albinos, na plecach różowiło się miejsce, gdzie plecak nie dopuszczał słońca. Skye lubiła go. Próbował odgrywać twardziela, ale tak jak spod kurzu przeglądała blada skóra, tak można było w nim czasami zobaczyć bardzo fajnego chłopaka. On jedyny z całej grupy odnosił się do niej w miarę przyjaźnie. Inni odzywali się tylko wtedy, kiedy musieli, z wyjątkiem Mitcha, ten bowiem nie przepuścił żadnej okazji, żeby jej dopiec, najczęściej kiedy nie słyszał nikt z instruktorów.

W kanonie robiło się coraz ciemniej, jak gdyby szczelnie go zamykała pokrywa łososiowego nieba. Jakieś pół mili droga pięła się stromo i zdradliwie po ruchomych kamieniach, które z klekotem staczały się spod stóp w suche zarośla poniżej. A potem, za zakrętem, ściany parowu rozeszły się i zobaczyli przed sobą łąkę z jeziorem pośrodku. W oddali szczyty, które towarzyszyły im przez cały dzień, chwyciły ostatnie promienie słońca, a ich zaróżowione odbicia falowały w wodzie. Jak na milczący rozkaz, cała grupa zatrzymała się i patrzyła, łapiąc oddech. Skye stanęła obok Byrona.

- Fajne miejsce, nie? - powiedział.

Skinęła głową, ale nic nie odrzekła. Wiedziała, że to piękny widok, i gdyby nie była taka odjechana, zrobiłby na niej takie wrażenie jak na Byronie. Ale ona nie czuła nic, zupełnie jak: gdyby myśli i emocje całkowicie się oddzieliły, a granicę zarośla gruba skóra. Wyczuła, że Julia staje przy niej.

- Tutaj będziemy obozować? - spytał Byron.

- Tak.

- Fajnie.

- A tobie się podoba, Skye?

Wzruszyła ramieniem i bez potrzeby zaczęła poprawiać zapięcie plecaka.

- Co mnie to obchodzi?

Otoczyli kołem ognisko, wystawiwszy gołe i odziane w skarpetki stopy w kierunku płomieni, które w bezwietrznym powietrzu spokojnie rosły w górę. W blasku ognia twarze poczerwieniały, a oczy napęłniły się skrami, kiedy siedzieli tak, rozmawiając i śmiejąc się. Po drugiej stronie jeziora zza drzew wolno wpełzał sierp księżyca.

Ogień rozpałił Lester wybranymi przez siebie drewnkami, bez niczyjej pomocy. Widać było teraz, jaki jest dumny z siebie. Siedział wyprostowany, a z jego twarzy nie zniknął półuśmiešek. Julia patrzyła na niego przez ogień i jego widok wywoływał w niej ciepłe uczucia. To było to, co Julia zawsze uwielbiała w tej pracy - obserwowanie, jak w tych poobijanych duszach

buduje się zaufanie do siebie, a cegiełkami były wszystkie, nawet najdrobniejsze osiągnięcia.

Lester miał piętnaście lat, a każde z jego rodziców, jeśli wychodziło z więzienia, to tylko na krótko, on więc większość swego krótkiego życia spędził w najróżniejszych instytucjach opiekuńczych. Julia czytała jego akta. Mając dziesięć lat, ukradł i rozbił swój pierwszy samochód. Potem zaczęły się narkotyki, niemal z dnia na dzień wpadł w spiralę kradzieży i przestępstw, z których zyski natychmiast wydawał na nałóg. Dwa lata temu przedawkował i trzy doby spędził w letargu, który pozostawił na nim wyraźne ślady. Mówił niewyraźnie, a czasami jego umysł - podobnie jak komputer - zawieszał się: nawet w trakcie tak prostej czynności jak sznurowanie butów potrafił nagle znieruchomieć i trwać tak przez kilka minut, aż ktoś pospieszył mu z pomocą. Był rozczulająco naiwny, ale potrafił też popadać, w dziki szał, a obie te cechy czyniły z niego wymarzony wprost obiekt kpin, w których celował przede wszystkim Mitch. Robił to tak umiejętnie, że niekiedy Julia orientowała się, że coś się stało, dopiero w chwili, gdy Lester wybuchał. Teraz jednak nie było w nim nic ani z dzieciaka, ani z dzikusa. Lester Whaley korzystając z kilku kawałków drewna, własnoręcznie rozpałił ogień i siedział teraz jak mistrz świata w tej neolimpijskiej dyscyplinie.

Zajął miejsce między Mitchem i Katie, żwawą, chociaż czasami nieco irytującą studentką psychologii wychowawczej z Billings. Była najmniej doświadczona z czwórki instruktorów, ale to ją zawsze było najbardziej słyhać. Opowiadała teraz wszystkim o zeszłorocznej nocy w Yellowstone Park, gdy nie zawiesili worków z jedzeniem odpowiednio wysoko na drzewach.

- Był w grupie strasznie wielki chłopak, wiecie, co najmniej dwieście dwadzieścia funtów. Miał na imię Brett, ciągle był głodny i przez cały czas się skarżył, że nigdy nie dostają dość jedzenia. Budzę się w środku nocy, patrzę, a tu ktoś się dobiera do jedzenia, więc pomyślałam, że to na pewno Brett robi sobie spóźnioną kolację czy bardzo wczesne śniadanie. Wstaję więc po cichutku, zakradam się na paluszkach, a kiedy jestem już o kilka jardów i mam mu powiedzieć: „Wpadłeś, kolego”, on wydaje z siebie taki gruby pomruk, odwraca się, no i kogo widzę? Ogromnego grizzly, trzy razy większego od Bretta.

- No i co zrobiłaś? - spytał Byron.

- Założyłam mu suplesa, zwałam na ziemię i powiedziałam parę słów do słuchu.

- Nie zrobiłaś tak! - sprzeciwił się Lester.

Mitch zachichotał ironicznie i już miał zrobić jakąś kąśliwą uwagę, kiedy poczuł na sobie wzrok Julii.

- Pewnie, że nie, tylko żartowałam. Wrzasnęłam tak, że niedźwiedź był chyba bardziej wystraszony ode mnie, bo rzucił się i uciekł. Rozdarł cały worek, ale jedyne, co zdążył wziąć, to pasta do zębów.

Zaśmiali się wszyscy z wyjątkiem Skye. Siedziała między Byronem i Scottem, tak zapatrzona w ogień, jakby sama chciała w nim spłonąć. Scott kończył filozofię w Denver i przez trzy lata | jeździł na obozy MiN w Kolorado. W stosunku do dzieci wykazywał delikatność i pomysłowość, a one zawsze w końcu potrafiły to docenić. Podczas kolacji usiłował wciągnąć do rozmowy Skye, j; ale bez rezultatu. W łunie od ogniska była taka smutna i piękna, że Julia z największym trudem stłumiła w sobie chęć, żeby do niej podejść i ją przygarnąć. Długie czarne włosy zwykle miała splecione w warkocz, ale teraz je rozpuściła i w blasku lśniły, podobnie jak jej wielkie czarne oczy. Od początku ogniska nie odezwała się nawet słowem. Kiedy wszyscy wiwatowali na cześć Lestera, Julia przypadkowo pochwyciła lekceważący wyraz twarzy Skye - dzisiaj przynajmniej będzie ciepła wyżerka.

Kiedy posprzątano po posiłku, rozsiedli się przy ognisku i zaczął się czas „grupowy”. Czasami od razu przechodzili do omówienia dnia albo ktoś wyrzucał, co miał na wątrobie, czasami któryś z uczestników lub instruktorów zaczynał od jakiejś historyjki. Dzisiaj Julia opowiedziała, jak dwóch przyjaciół, Joe i Mo zamawiają steki w restauracji.

- Po jakimś czasie kelnerka, która wcześniej nakryła stół, stawia między nimi półmisek z dwoma stekami i sobie idzie. Już na pierwszy rzut oka widać, że jeden stek jest znacznie większy, więc obaj, bardzo głodni, siedzą, patrzą i nie bardzo wiedzą, co zrobić. Wreszcie Joe wpada na szczęśliwy pomysł, bierze półmisek i podaje Mo, przekonany, że tamten z uprzejmości nie weźmie większego. Tyle że Mo wziął właśnie większy, podziękował i zaraz zabrał się do jedzenia.

Lester roześmiał się.

- Joe jednak wcale nie uważał, że to zabawne - ciągnęła Julia. - No ale co miał robić, wściekły w milczeniu zjada mniejszy stek, chociaż cały w środku aż chodzi. Jak Mo skończył jeść, patrzy na przyjaciela i widzi, że coś jest nie tak, więc pyta: „Ej, co ci się stało?” „Jeśli cię to interesuje - odpowiada Joe - to jestem na ciebie wściekły”. „Dlaczego?” „Bo podałem ci oba steki, a ty wybrałaś większy”. „Zaraz, zaraz - mówi Mo - to po co kazałeś mi wybierać?” „Bo ja” - Joe na to, - jestem grzeczny i dobrze wychowany, więc dlatego wziąłbym mniejszy”. „No i o co chodzi? Przecież masz mniejszy!”

Zaśmiali się wszyscy z wyjątkiem Skye.

Julia spytała, jaki morał płynie z tej historyjki, i następne pół godziny spędzili na rozmowie o egoizmie i uprzejmości, a także na dyskusji, czy ludzie robią innym coś dobrego tylko dlatego, że chcą czegoś w zamian, czy z jakiejś innej przyczyny. Była to naprawdę fajna rozmowa i tylko Skye nie wzięła w niej udziału. Potem Julia spytała, czy ktoś ma może jakiś problem, który chciałby postawić przed grupą. Jak zwykle, najpierw podniósł rękę Mitch.

- No, Mitch, dawaj.

- Chciałem złożyć oświadczenie.
- Słuchamy.
- Chciałem pogratulować Lesterowi, że rozpałił ogień.

Rozległy się głosy poparcia.

- Dobrze się spisałeś, bracie, a przecież wszyscy wiemy, że nie przyszło ci to łatwo i jak się musiałeś namęczyć.

Tyle w tym było złośliwej protekcjonalności, że Julia chciała interweniować. Nie lubiła Mitcha niemal od pierwszego wejrzenia. Był podstępny, wredny, uwielbiał insynuacje i manipulacje, a Julia musiała czasami bardzo walczyć ze sobą, żeby zachować profesjonalny spokój i nie okazywać swego niesmaku. Teraz czuła, że „gratulacje” dla Lestera były wstępem do czegoś innego i nawet zgadywała, co to takiego. Zanim jednak zdążyła zareagować, Mitch ciągnął:

- Więc w imieniu całej grupy dziękuję ci. Całkiem możliwe, że jak jeszcze ktoś przyłoży się tak jak ty, to wtedy będziemy mieć zawsze gorące papu na kolację.

Tym razem były już tylko dwa głosy poparcia: Paula i Wayne’a.

- Coś mi to bardziej wygląda na krytykę niż pochwałę - odezwała się Julia.
- Każdy słyszy, brachu, co mu wygodnie.
- Po pierwsze, Mitch, nie jestem dla ciebie żadnym „brachem”, a po drugie, jeśli masz do kogoś pretensje, to mów wprost.

- Powiedziałem chyba cholernie wyraźnie.

- Dla mnie, nie. A potem dwadzieścia zastępników dla słowa, którego użyłeś.

Mitch prychnął pogardliwie i zerknął na Paula i Wayne’a, którzy podekscytowani patrzyli na całą trójkę: Mitcha, Julię i Skye, która nadal nieruchomo wpatrywała się w ogień. Julia gotowała się w środku ze złości i z wielkim wysiłkiem starała się tego nie pokazać.

- Słucham, Mitch. O co i do kogo masz pretensje?

Z westchnieniem spojrzął w gwiazdy.

- W porządku. No więc wszyscy mamy problem...

- Niech każdy mówi za siebie, Mitch.

Urwał na chwilę i widać było, że przełknął jakąś ostrą replikę.

- No więc ja mam jeden problem. Ze Skye. Wszyscy jakoś mogli się przyłożyć do rozpalania, tylko ona nie. I my wszyscy... ja mam tego dość. Działa mi to na nerwy.

Głosy poparcia znowu były liczne, a Mitch spojrzął wyzywająco na Julię. Zapadła taka cisza, że trzaskanie drewniek w ogniu brzmiało jak eksplozje.

- Skye? - powiedziała cicho Julia. - Chcesz odpowiedzieć?

Dziewczyna pokręciła głową, nie odrywając oczu od ognia. Miała wygląd porzuconej

sieroty i wszystko w Julii wołało, żeby wziąć ją w objęcia i utulić. Ale tego nie wolno jej było zrobić. Jednym z głównych celów obozu było wyrobienie w tych dzieciakach uczucia i postaw prospołecznych, nauczenie, jak ich zachowania i zaniedbania wpływają na innych. Wczorajsza odmowa Skye rozpalenia ognia miała w sobie wiele z brawury i prowokacji, teraz jednak stawała się kwestią honoru. A chociaż presja nie była wielka, poddanie się jej Skye mogła odczuć jak utratę twarzy.

- Czy ktoś inny chciałby coś powiedzieć w tej sprawie? - spytała Julia.

Rękę podniósł Byron i Julia dała mu znak głową, żeby mówił.

- Chciałem złożyć, złożyć...

Umilkł stropiony; rzadko zabierał głos, ale teraz wydawał się szczególnie skonfundowany.

- Oświadczenie? - dopomogła mu Julia.

- Ta, oświadczenie. Słuchaj, Skye, jesteś tutaj jedyną dziewczyną i tak jak mówiłaś wcześniej, jak musisz iść do ubikacji...

Mitch roześmiał się szyderczo, a Julia najchętniej by mu przyłożyła. Zamiast niej interweniował Scott.

- Mitch, proszę, abyś okazywał więcej szacunku dla tego, co mówią inni. Mów dalej, Byron, słuchamy cię.

- Myślę, że czasami nawet nie wiemy, jakie to jest ciężkie dla ciebie, Skye. I może ta cała historia z rozpalaniem, że nie chcesz, to dlatego, że my wszyscy jesteśmy chłopakami, a ty nam w ten sposób pokazujesz palucha. Zaraz, co ja gadam... - Wpatrzył się w ziemię, jakby tam chciał znaleźć zgubioną myśl. Policzki mu poczerwieniały. - No więc, chciałem powiedzieć tyle, żebyś się nie łamała. I jak o mnie chodzi, to przy twojej kolejce na rozpalanie ja mogę jeść zimne, bo masz prawo do swojego zdania i już. W ogóle jesteś fajna. I tyle mam do powiedzenia.

- Dziękuję, Byron - odezwała się Julia.

Potem zapadła długa cisza. Wszyscy patrzyli na Skye, która tak mocno przygryzła dolną wargę, że Julia martwiła się, czy jej sobie nie przegryzie. W oczach dziewczyny zaśniły łzy. Potem nagle, bez spoglądania na kogokolwiek, zerwała się i szybkim krokiem odeszła w ciemność.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ponad czerwonym piaskiem areny Connor widział nad skrzydłami bramy twarz i ramiona matki. Miała na sobie białą obrębianą błyszczącą różową bluzkę i pokierszowany czarny kapelusz, który - jak twierdziła - zawsze przynosił jej szczęście. Na otoku widniały małe srebrne łąby końskie; był to podarek od jego ojca na pierwszą rocznicę ślubu. Wpatrywała się w grzbiet napiętego z wściekłości konia, czekając na pierwszy atak furii, który nastąpi wraz z otwarciem bramy.

Popołudniowe światło było łagodne od piasku i dymów barbecue, cienie już się wydłużały, a gdyby nie perspektywa utraty ostatniego z żyjących rodziców, Connor bardziej chłonałby piękno chwili. Kiedy jednak słońce załśniło w ozdobach kapelusza, zwyciężył instynkt sygnalizujący możliwość dobrej fotografii, pstryknął więc kilka zdjęć, a potem zrobiwszy zbliżenie, czekał z nikonem na moment, gdy brama się otworzy.

- Nie mogę uwierzyć, że twoja matka ma prawie pięćdziesiątkę - oznajmiła po raz któryś Julia.

- Cały problem w tym, że i ona nie może w to uwierzyć - odparł.

Siedzieli w pierwszym rzędzie, Julia pośrodku, a za sobą mieli całkiem spory tłumek jak na takie lokalne rodeo - co najmniej sto osób w ocenie Connora, może więcej. Matkę namówił do tego szaleństwa jeden z jej starych przyjaciół, który należał do komitetu organizacyjnego. Z początku wcale do niej nie przemówiło to, że ludzi ściąganie zapowiedź popisów ujeżdżania w wykonaniu „starych sław”. Przymiotnik „stary” najwyraźniej nie spodobał się pani Ford. Kiedy jednak dowiedziała się, że udział weźmie jej prastara rywalka z Livingstone, Madeline „Królowna” MacFall, nie trzeba było żadnych dalszych zachęt.

- Skoro to beztalencie może to robić w wieku czterdziestu siedmiu lat, to niech mnie cholera, jeśli i ja nie mogę.

I choć nie dosiadała konia od pięciu lat, a wszystkie połamane przez lata kości przypominały o sobie bólami reumatycznymi, Connor w żaden sposób nie mógł wyperswadować matce jej decyzji.

- Kochany, to naprawdę słodkie, że się tak przejmujesz, ale sam dobrze wiesz, że wszystko nie potrwa dłużej niż sześć sekund.

- Tylko nie wiadomo, co ma zabrać tyle czasu.

- Wiesz, w końcu na coś trzeba umrzeć, a to wcale nie najgorszy sposób.

W głębi ducha Connor był dumny z matki. Jedyne warunek, jaki postawiła, to zmiana w

nazwie ze „starych sław” na „wielkie sławy”. Jeszcze kilka chwil temu Connor był przy niej, na wypadek, gdyby miał w czymś pomóc. Ciągłe dobrze wyglądała, chociaż nadmiar słońca pozostawił na twarzy wyraźne ślady, a po ostatniej kontuzji karku nieco się garbiła. Kiedy ją zobaczył w skórzanych spodniach, różowej bluzce i białej bandanie, natychmiast przypomniały mu się chłopięce lata, gdy wraz z ojcem towarzyszyli jej w objazdowych występach. Nawet wtedy dostrzegał te specjalne spojrzenia, jakimi obdarzali matkę inni mężczyźni, chociaż trzeba przyznać, że ona widziała tylko jednego - jego ojca, co nie zmieniło się także po jego śmierci.

Kiedy była już gotowa, razem obejrzeni jeszcze popis „Królowny” MacFall, która wytrzymała w siodle niewiele ponad dwie sekundy. O dziwo, zerwała się natychmiast, machając do widzów, a jedynymi obrażeniami były potłuczone pośladki i urażone ego.

- No cóż, królewskie lądowanie - powiedziała z przekąsem matka. Nadchodziła jej kolej. W głośnikach zatrzeszczało, a potem popłynęły z nich słowa:

- Drodzy państwo, następną zawodniczkę wszyscy dobrze znają, ja jednak pozwolę sobie ją przedstawić. Prawdziwy to dla nas zaszczyt gościć dzisiaj na naszych popisach jedną z największych w Montanie gwiazd rodeo. Oto z Augusty, numer pięć, sensacyjna, niezrównana Maggie Ford!!!

- W teatrze mówi się przed wejściem na scenę: „Złam nogę!” - wyszeptał Ed.

- Ed!!!

Julia klepnęła go w kolano.

- Ale ja tego nie mówię. - Podniósł ręce.

- Oby sobie nie złamała niczego więcej - mruknął Connor. - Uwaga, jedzie!

Brama się otworzyła i koń wypadł na arenę. Matka znakomicie zbalansowała wysoko zadartymi butami efekt wstępnego zarzycia się przednimi kopytami, potem zaraz się wyprostowała, z palcami stóp skierowanymi na zewnątrz, w lewej ręce trzymając cugle, a prawą gładząc powietrze niczym baletnica. Film w aparacie Connora przesuwiał się w tempie sześciu klatek na sekundę. Musiało się trafić kilka dobrych zdjęć. Wysoki obłok kurzu, długie cienie, koń z szaleństwem w ślepiach dający występ swego życia. Tyle że nie było sposobu na zrzucenie matki z siodła. Ze znużeniem wyczuwała rytm podskoków i cudownie je amortyzowała.

Ed i Julia zerwali się z krzykiem, ale wiwatowali wszyscy dookoła, a Connor ze wszystkich sił walczył z chęcią przyłączenia się, strzelał po sześć zdjęć na sekundę aż do końca sześciusekundowego okresu, kiedy kierujący rodeo podjechali i bezpiecznie zsadzili matkę na ziemię. Teraz mógł już odłożyć aparat i jak inni drzeć się wniebogłosy. Julia podskakiwała jak małe dziecko, potem rzuciła się na szyję Edowi, a chwilę później - Connorowi.

- Niesłychane! Niesłychane! - powtarzała uszczęśliwiona.

- Connor, to nienormalne - powiedział Ed. - Matki zachowują się inaczej.

- Tak, wiem. Będę musiał ją gdzieś zamknąć czy co. A na razie chodźmy do niej.

Trzy godziny później siedzieli na zapleczu restauracji „U Elmera” w Choteau, a na honorowym miejscu między stekami i piwem stała główna nagroda. Pani Ford wygrała z notą osiemdziesiąt pięć, ale zaklinała się, że byłoby dziewięćdziesiąt, gdyby jeden z sędziów nie był skończonym durniem. Sama była niezadowolona, że dostała takiego łatwego konia.

Opowiadała teraz Julii o dawnych dobrych czasach, a Connor, który znał wszystkie te opowieści, a w niektórych nawet sam uczestniczył, dobrze wiedział, gdzie kończyła się prawda, a zaczynała fantazja. Wspominała właśnie dzień, kiedy „Królownę” MacFall opadł rój pszczół w chwili, gdy udzielała wywiadu telewizji. Chociaż Ed musiał słyszeć tę historię już niejedną raz, patrzył na matkę zafascynowany tak samo jak Julia. Wyglądało na to, że jemu nigdy nie mijał apetyt na gadanie matki Connora. Zresztą nie tylko na nie; steki były tak wielkie, że nikt się jeszcze z nimi nie uporał, z wyjątkiem Eda, który pałaszował teraz kawałek odkrojony z talerza Julii. Connor odsunął krzesło i wyciągnął przed siebie nogi.

Kobiety siedziały po drugiej stronie stołu obok siebie, Julia naprzeciw Connora. Musiał ze sobą walczyć, żeby nieustannie się w nią nie wpatrywać. Trudność ta pojawiła się od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył. Było w niej coś absolutnie urzekającego. Śmiech, ciemnobrązowe oczy, zmarszczki wokół nich, kiedy się uśmiechała... Daj spokój, ofuknął sam siebie, przecież to dziewczyna twego najlepszego przyjaciela!

Podczas miesiąca, który upłynął od przyjazdu Eda i Julii, niewiele było takich dni, kiedy cała czwórka miała wolne i mogła spędzić czas razem. A przecież Connor odnosił wrażenie, że zna ją bardzo dobrze, ba, że zna ją dobrze od dawna. Należała do tych kobiet, które robią ogromne wrażenie bez żadnej kokieterii, przez sam fakt swego istnienia. Czasami dla podkreślenia jakichś słów kładła mu rękę na ramieniu, a chociaż dobrze wiedział, że to nic nie znaczący, jakby siostrzany gest, zawsze odczuwał przy tym dreszcz. A kiedy podczas rodeo rzuciła mu się na szyję, nie wiedział, co ze sobą począć.

- Connor?

Z zamyślenia wyrwał go głos matki. Wszyscy spojrzeli na niego.

- Ej! - zawołał Ed. - Jest tam kto?

- Przepraszam. Co takiego?

- Twoja mama pytała, gdzie zamierzamy się jutro wspinać.

- Myślę, że pojedziemy w Bitterroots.

- I ty także się wspinasz, Julio? - spytała pani Ford.

- Trochę, ale nie bardzo mi to wychodzi.

- Jest świetna - zapewnił Ed. - Prawdziwa Pajęczycza.

- Chciałabym, żeby to było prawda.

- Uważaj, to dwaj szaleńcy.

- Mam nadzieję, że się pani nie obrazi, ale po pani dzisiejszych wyczynach przypuszczam, że u Connora to może być dziedziczne.

- Albo przenosi się przez wranglery - zasugerował Ed, na co matka Connora się uśmiechnęła.

— Czy to mnie się tylko wydaje, że jednak jak się spada z konia, to leci się krócej niż z góry czy samolotu? - broniła się matka Connora.

Dopili kawę i zapłacili rachunek. Pani Ford spytała, czy nie zanocowaliby na ranchu, ale Connor uznał, że lepiej wracać do Missouli, bo z samego rana będą mogli wystartować w góry. Kiedy żegnali się na parkingu, matka Connora wręczyła Julii nagrodę z rodeo.

- Ale ja nie mogę tego przyjąć - broniła się Julia.

- Oczywiście, że możesz. Ja już nie wiem, co z nimi robić. Julia spojrzała pytająco na Connora.

- Weź - powiedział. - Mówi prawdę.

- W takim razie serdecznie dziękuję. - Julia ucałowała ofiarodawczynię w policzek. - Będzie stała na honorowym miejscu.

- Proszę bardzo. Jakby była coś warta, sama bym sobie zatrzymała.

Pojechali na południe, a dookoła nich powoli ciemniał błękit nieba. Po prawej ściany Front Rangę odcinały się na tle ostatnich pasm czerwieni niczym reduty jakiegoś straszliwego imperium. Przez otwarte okna napływał zapach stygnącej gleby i długo prażącej się w słońcu szałwi. Stary pickup Connora postękiwał i skrzypiał, sunąc za tunelami swych reflektorów między topolami, w kierunku widniejących w oddali skał.

Jak zwykle w takiej sytuacji siedzieli obok siebie, z Julią pośrodku. Trzymała na kolanach trofeum, podczas gdy Ed rozwodził się nad niezwykłością matki Connora i musicalem, który musi o niej napisać. Zatytułuje go „Królowa Czerwonej Areny”. Connor zainteresował się, czy będzie to przed czy po stworzeniu przez Eda wszystkich absolutnie nieodzownych musicali: o strażakachspadochroniarzach („Płomienne serca”), a także o zwariowanym nauczycielu muzyki, który morduje swe uczennice chcące grać na fortepianie. Julia wyznała, że o tym ostatnim nic jeszcze nie słyszała, więc Ed zaczął wyjaśniać. Dzieło miało się nazywać „Chopin”, ale ledwie Ed oznajmił: „Wyobraź sobie, połączenie »Sweeney Todd« z »Amadeuszem«,”, Julia dostała ataku tak niepohamowanego śmiechu, że udzielił się pozostałej dwójce i w końcu płuca Connora były tak wyczerpane, jak czasami po długim przebywaniu w pożarze.

Kiedy już się uspokoili, nastała cisza i jak zahipnotyzowani wpatrywali się w owady rojące się w świetle reflektorów. Minęli odjazd na Roger Pass, a kiedy wyjechali zza zakrętu, zobaczyli pośrodku drogi stado siedmiu saren z młodymi. Connor zahamował, a zwierzęta dłuższy czas stały i z nastawionymi uszami patrzyły ślepiami lśniącymi jak opale, aż wreszcie parami bez pośpiechu zeszyły z asfaltu i rozpląnęły się w mroku.

Kiedy przejeżdżali przez Lincoln, Ed zasnął i pochrapywał z głową opartą o drzwi. Przez kilka mil Julia i Connor nie odzywali się do siebie, ale w tej ciszy nie było niczego wymuszonego. Nigdy nie był dobry w pogaduszkach o niczym i jak już się zdążył zorientować, ona również nie. Kiedy się wreszcie odezwała, spytała - jak zwykle bezpośrednio - o to, jaki był jego ojciec. Odparł, że był to dobry człowiek, spokojny, cierpliwy i troskliwy.

- Myślę, że wiele osób uważało, że moja matka jest tą mocną osobą w rodzinie, ponieważ to ona, że tak powiem, zawsze była na przedzie sceny.

Julia roześmiała się.

- Wiem, co masz na myśli.

- Tak. Zawsze mówi, co myśli, nawet wtedy, kiedy lepiej byłoby milczeć. Ale w głębi duszy zawsze bardzo polegała na ojcu. Kiedy umarł, przez długi czas nie mogła dojść do siebie. Pamiętam, że rano przed pogrzebem lekarz musiał dać jej jakieś pigułki uspokajające, żeby mogła wytrzymać całą ceremonię. Tyle że wzięła ich za dużo, więc kiedy potem ludzie podchodzili, żeby składać jej kondolencje, ona tylko się śmiała, żartowała i powtarzała ciągle: „W końcu przecież trzeba się stąd wynieść”. - Pokręcił głową i uśmiechnął się lekko na to wspomnienie. - To było okropne. Z jednej strony zabawne, ale także okropne. Potem jednak przez długi czas nie mogła się pozbierać.

- To musiał być trudny czas także dla ciebie.

- Tak. Dość trudny.

- Nie masz rodzeństwa?

- Nie. Zdaje się, że próbowali przez wiele lat, ale się nie udało. A ty?

- Też jestem jedynaczką.

- A rodzice?

- Mama mieszka na Brooklynie, a ojciec odszedł, jak miałam dwanaście lat. Po prostu wyszedł i już się nie pojawił. - Zawiesiła na chwilę głos i z jej tonu zgadywał, że utratę ojca musiała przeżyć równie mocno jak on. Czekał, co jeszcze powie. - Mieszka teraz w Niemczech, poślubił znacznie młodszą od siebie kobietę. Wiesz, cały ten stereotyp: młodsza, wyższa, bardziej blond, ładniejsza. Pewnie jest świetna, nigdy jej nie widziałam. Zresztą i z nim ostatni raz widziałam się jakieś pięć, nie, sześć lat temu. Dzwoni na Święto Dziękczynienia i Boże

Narodzenie, od czasu do czasu przyśle kartkę. Mówiąc szczerze, teraz to go prawie nie znam.

- A co robi?

- Buduje czy projektuje. Sama nie wiem dokładnie.

- Miał później dzieci?

- Nie.

- A co robi twoja mama?

- Występuje w cyrku na trapezie.

Popatrzył na nią zaskoczony.

- Naprawdę?

- Tak, i ciągle występuje, uwierzysz? Skacze przez płonące obręcze i te rzeczy. - Kiedy nadal przyglądał się jej z niedowierzaniem, zawołała: - A co, tylko ty możesz mieć niezwykłą matkę? - Zaraz jednak roześmiała się. - Dobrze już, żartowałam. Ma swój zakład fryzjerski na Brooklynie.

- I tam się wychowałaś?

- Tak. Jest wspaniała, bardzo włoska. Usta jej się nigdy nie zamykają. I ma niewyobrażalną pasję życia. Mówię ci, prawdziwy piorunochron dla nieudaczników. Kocham ją bez pamięci.

Przegadali całą drogę do Missouli, a Connor nieustannie czuł jej zapach i raz lżejsze, raz mocniejsze dotknięcie łokcia na biodrze. Mówili o jego zdjęciach, jej pracy w Bostonie, o jej wyprawie do Afryki minionego lata i o tym, jak pokochała tę ziemię i ludzi. Powiedziała, że chciałaby kiedyś pojechać tam raz jeszcze, może nawet trochę popracować. Connor wyznał, że jemu także marzy się podróż do Afryki i w wiele innych miejsc. Miał nadzieję, że niektóre z nich może naprawdę odwiedzi.

Spytał, jak szły zajęcia z trudną młodzieżą, Julia więc zaraz opowiedziała mu o indiańskiej dziewczynie, która była taka wspaniała, ale zarazem tak zamknięta w sobie, że nikt nie potrafił do niej dotrzeć. Connor powiedział, że pośród skoczków był Indianin pełnej krwi z Czarnych Stóp, którego brat też pracował z trudnymi dziećmi w rezerwacie w Browning.

- Pamiętam, jak mówił kiedyś, że ci młodzi często nawet nie mają pojęcia, kim byli ich przodkowie i jaką wspaniałą mieli kulturę. Jego brat próbuje ich wciągnąć w odświeżanie tradycji i zdaje się, że to działa całkiem nieźle. Może on mógłby ci jakoś pomóc.

Julię zainteresował ten pomysł, więc Connor obiecał jej, że postara się o telefon faceta. Wjeżdżali właśnie do Missouli i Connor zaczął żałować, że podróż nie mogła trwać dłużej. Zatrzymał się pod domem, wyłączył silnik i siedzieli tak jeszcze przez chwilę, zerkając na śpiącego smacznie Eda. Julia uśmiechnęła się jakby do siebie, a Connor zobaczył w jej oczach miłość do Eda. Patrzył, jak nachyla się, aby obudzić go pocałunkiem w policzek. I chociaż chciał być bardzo

rad, że tych dwoje jest tak szczęśliwych ze sobą, to jednak nie mógł stłumić w sobie uczucia może nie tyle zazdrości, ile jakiejś trudnej do określenia tęsknoty.

Potem, kiedy przygotowali już sprzęt na rano i powiedzieli sobie dobranoc, Connor leżał w ciemności, starając się nie słyszeć ich stłumionych głosów i skrzypienia łóżka, a także ze wszystkich sił odganiając od siebie wyobrażenia zrodzone przez ten dźwięk. Jeszcze godzinę po tym, jak za ścianą zapadła cisza, leżał zasłuchany w dźwięk rzeki i zapatrzony w cienie gałęzi na suficie. Wstali przed świtem i ruszyli na południe; po lewej mgła unosiła się nad Bitterroot River, a po prawej słońce lizało szczyty gór. Zaparkowali i potem jeszcze maszerowali na zachód dwie godziny, czując na plecach coraz gorętszy dotyk słońca, którego promienie skrzyły się na pokrytych rosą pajęczynach opinających krzewy. Wreszcie znaleźli się u stóp szarej kamiennej ściany, wyrastającej wprost z lasu, nieco wklęsniętej i noszącej na sobie ślady jakby ciosów dłuta giganta. Julia wpatrywała się w nią rozszerzonymi ze zdumienia oczyma.

- Wy chyba rzeczywiście zwariowaliście - powiedziała po chwili.

Ale Connor i Ed, którzy wspinali się już parokrotnie po tej ścianie, zapewnili ją, że nie jest taka trudna, jak się wydaje na pierwszy rzut oka, a chociaż dziewczyna nie wydawała się bardzo przekonana, zdjęła plecak, usiadła na kamieniu i zaczęła zmieniać buty na wspinaczkowe, podobnie jak jej towarzysze. Ed zawsze miał ze sobą strzykawkę wielkości ołówka. Wyjął ją teraz i zrobił sobie zastrzyk insuliny. Zjedli też kilka kanapek z szynką i serem, które Julia przygotowała w domu. Potem rzeczy niepotrzebne podczas wspinania schowali pod kamieniami, założyli pasy i przymocowali się linami.

Connor prowadził, a kiedy zatrzymywał się, aby Julia przeszła swój odcinek, widział z góry, że wspinaczka nie jest dla niej pierwszozną. Szła pewnie, bez długich namysłów, zawsze pamiętając o zasadzie trzech punktów. Potem ona stawała, dołączał Ed i znowu przychodziła kolej na Connora.

Późnym rankiem zrobiło się już bardzo gorąco i zatrzymali się na półce nad wąskim kominem, po którym się wspinali, odpoczywając i popijając wodę.

- Posłuchajcie - odezwała się Julia. - Posłuchajcie tej ciszy! Czyż nie jest zachwycająca?!

Włosy związała w kucyk, miała na sobie szorty i żółty top, który odsłaniał plecy i ramiona, wcale nie skrywając ramiączek stanika. Skórę miała opaloną i gładką, jeśli nie liczyć małego zranienia, jak plamka czekolady, dokładnie u podstawy karku. Smarowała sobie kremem ramiona i barki, rozmawiając jednocześnie z Edem o trudnych momentach w kominie, a Connor robił, co mógł, aby nie spoglądać na krągłość jej piersi. Zmusił się do chłonięcia widoku rozpościerających się poniżej połaci lasu.

Potem przyszła następna godzina wspinaczki, znowu komin, a po nim długi trawers pod

przewieszką na listwie tak wąskiej, że mieściły się na niej tylko czubki palców. Wreszcie zbocze zrobiło się łagodniejsze, chociaż jednak bardziej podchodzili, niż się wspinali, nie rozwiązywali liny. Przeszli przez występ skalny na drugie zbocze w towarzystwie kruków wirujących wokół i poniżej nich, pokrzykujących na nich wzgardliwie. Poszli na przełaj przez zwałisko głazów tak dziwacznie wyrzeźbionych przez wiatry i deszcze, że wydawały się stadem uśpionych dinozaurów.

Ostatnia partia wspinaczki była najtrudniejsza i nagle Julia straciła chwyt i poleciała. Wydała z siebie zduszony okrzyk, rozległ się łoskot spadających kamieni, Connor domknął pętlę, jednocześnie ostrzegając Eda, a potem poczuł szarpnięcie i zobaczył pod sobą bujającą się na linie Julię, a jeszcze niżej - zaniepokojoną twarz Eda. Obsunęła się raptem kilka stóp, gdyż Connor starannie wybierał linę, zaraz też znalazła miejsce dla stóp i rąk. Wszyscy troje zastygli, zasłuchani w gasnące echo kamieni.

- Przepraszam, chłopaki - powiedziała.

- Nic ci nie jest? - upewnił się Ed.

- Nie, wszystko w porządku.

Spojrzała w górę na Connora, ale nic nie powiedziała. Odpoczywała przez chwilę, zbierając siły, a potem jak gdyby nigdy nic zrobiła resztę swego odcinka. Kiedy zbliżyła się, Connor wyciągnął dłoń, chwycił jej przegub, Julia chwyciła jego, i tak została wciągnięta na półkę. Zaraz zajęła stanowisko i asekurowała Eda. Oddychała ciężko, a na jej skórze połyskiwał pot. Wyczuła na sobie wzrok Connora, spojrzała na niego z uśmiechem, a on odpowiedział tym samym. Mając jeszcze do przebycia jakieś dwadzieścia stóp, Ed zatrzymał się, by chwilę odpocząć, a wtedy Connor przykucnął i zapatrzył się na las. Poczuł na ramieniu jej rękę i spojrzał, ale by dojrzeć jej twarz, musiał zmrużyć przed słońcem oczy.

- Dzięki za pomoc.

- W górach asekuracja to normalka. Świetnie się wspinasz.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

Szczyt osiągnęli godzinę później. Była to mała iglica stercząca z nierównej platformy skalnej, szeroka na jakieś dwadzieścia stóp, pokryta szarymi i zielonkawymi mchami. Z trzech stron opadała pionowo, a na szczycie kilka osób wyryło swoje inicjały i datę jej zdobycia. Dookoła były wyższe szczyty, a przecież i tak wydawało się, że cały świat mają u swoich stóp.

Ed poradził Connorowi, żeby zrobił kilka zdjęć, ten wyjął więc leicę i poszukał najlepszego miejsca, w którym znajdzie się ich dwoje na tle wspaniałej panoramy. Widział w wizjerze, jak obejmują się, przytulają się policzkami i uśmiechają do aparatu. Zrobił trzy fotografie, za każdym razem odrobinę zmieniając ujęcie.

- A teraz wy dwoje - powiedział Ed, ale Connor się nie zgodził.

- Ja tu jestem fotografem.

Nigdy nie lubił, żeby robiono mu zdjęcia, ale Ed tak nalegał, że w końcu z ociąganiem przekazał mu aparat i usiadł obok Julii. Czuł się zawstydzony i zakłopotany, nie wiedział, co zrobić z ręką, ale Julia w bardzo naturalny sposób zdecydowała za niego i objęła go w pasie, on zatem otoczył jej ramię i tak zastygli, napierając na siebie biodrami. Czuł pod ramieniem i palcami gładkość jej skóry, czuł słodki zapach jej potu.

- Ej, uśmiechnijcie się - zawołał Ed. - Wyglądacie teraz jak na pogrzebie.

Julia zerknęła na niego z uśmiechem, Connor też się uśmiechnął i w tym momencie Ed nacisnął migawkę.

- Dobra, jeszcze jedno - zarządził. Tym razem patrzyli w obiektyw. - Nareszcie trochę lepiej to wygląda.

Connor poczuł jakieś wewnętrzne rozluźnienie. Powiedział sobie, że to przecież całkiem normalne. Była piękną kobietą i każdy mężczyzna musiał dobrze się czuć w jej towarzystwie. Nie było tu żadnej zdrady wobec Eda. Był tylko świadom jej obecności, nic więcej. Ed zrobił jeszcze jedno zdjęcie, a wtedy Julia się podniosła i powiedziała, że teraz jej kolej. Swoim własnym aparatem zrobiła im zdjęcie, na którym przyjęli pozy nadętych bufonów. Ponieważ aparat miał czasowy wyzwalacz, kazała im poczekać, a chociaż kpili z niej, że trwa to tak długo, ostatecznie umieściła go na kamieniach, ale przybiegła do nich tak rozbawiona, że mało się nie przewróciła ze śmiechu. Connor i Ed rozsunęli się, ona wśliznęła się w środek, zarzuciła im obu ręce na szyje i rozległ się trzask migawki.

Potem usiedli na półce skalnej i zjedli resztki kanapek, jabłka, orzechy, a także tabliczkę drogiej szwajcarskiej czekolady, która w ciepłe zdążyła już bardzo rozmięknąć. I wtedy Ed jak czarodziej wydobyl ukrytą w plecaku butelkę merlota i trzy plastikowe szklaneczki. Zgodnie wypili więc za swoją przyjaźń.

Po posiłku ułożyli się na plecach na rozgrzanych skałach i patrzyli w niebo. Od zachodu napływały małe białe chmurki. Z inicjatywy Eda każdy po kolei mówił, co im przypominają. Wreszcie zapadła cisza, a kiedy Connor po chwili usiadł, zobaczył, że dwójka towarzyszy zapadła w drzemkę. Ed zdjął T - shirt, pokazując bladą skórę, z wyjątkiem karku i ramion. Ufny niczym dziecko spał na boku z twarzą na ramieniu Julii.

Przez długi czas Connor im się przyglądał. Widok rytmicznie poruszających się piersi, a także twarzy rozluźnionych przez sen napełnił go niewytłumaczalnym smutkiem. Skądś pojawił się motyl, zrobił kilka kółek w powietrzu i ostatecznie usiadł na ramieniu Eda. Od spodu jego skrzydełka były matowe, ale kiedy je rozłożył, ukazała się czerwień tak żywa, że przypominała

otwartą ranę. Nagle powiał wiatr i motyl odleciał. Connor wpatrywał się w niego i kiedy owad stawał się coraz mniejszy, uderzyła go myśl, że to, na co człowiek pozwala w swoim sercu, to kwestia wyboru.

Dawno już nie było go widać, a Connor dalej trwał zapatrzony w połacie lasów i szczyty, rwanym rytmem rozchodzące się po horyzont. Na przekór smutkowi usilnie powtarzał sobie, że oto rozpościera się przed nim świat pełen nadziei i obietnic, a tego słonecznego letniego dnia ukazuje mu swoją twarz, którą ma i mieć będzie zawsze.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chmury, z których śmiali się po południu, wkrótce wzięły rewanż. Zbiły się w masywną gromadę, pociemniały, a potem otworzyły swą zawartość. Lało trzy dni. Podczas upalnego maja i czerwca ziemia popękała tak, że woda znikwała w rozpadlinach i korzenie drzew nie miały okazji się nią napoić, niemniej jednak w glebie i powietrzu pojawiło się dość wilgoci, by spadochronowym strażakom leśnym z Missouli dać kilka wolnych dni.

Odpuzynek wcale nie został powitany z jednoznaczną radością. Deszcz to mniej pożarów, a mniej pożarów to mniej nadgodzin, mniej pieniędzy za akcję, a także - czego nikt nie mówił głośno - mniej emocji. „Dobre” lato w rozumieniu zadymiarzy wyglądało zdecydowanie inaczej od „dobrego” lata innych ludzi, szczególnie tych, dla których pożar lasu był równoznaczny z niebezpieczeństwem czy ruiną. W grupie Eda i Connora „normalne” lato oznaczało pięć, sześć wezwań tygodniowo. Podczas „dobrego” lata tyle akcji mogło być jednego dnia.

Zanim dziesięć dni temu rozpadało się na dobre, lato zapowiadało się nieźle. Deszcz trochę pogorszył nastrój skoczków. Od chwili kiedy ustał, mieli tylko cztery wezwania - za każdym razem małe, łatwe do likwidacji ogniska. Na szczęście jednak niebo znowu stało się bezchmurne, zmniejszyła się wilgotność powietrza i nadciągała nowa fala gorąca. Wraz ze wzrostem wskazań barometrów i ryzyka pożarowego otucha wstępowała w zadymiarzy.

Baza - skupisko białych budynków, z kilkoma kępami krzewów i drzew między nimi - leżała w długiej cienistej alei, dokładnie na południe od lotniska w Missouli. Nieopodal zabudowań rozciągał się pas startowy, a na nim gotowe do startu samoloty różnych marek i kształtów. Z boku, niczym teren straszliwych udręczeń, znajdował się tor treningowy. To tam nowicjusze stawali wysoko i z pobladłymi twarzami oraz trzęsącymi się kolanami patrzyli na ziemię i zastanawiali się, czy całe to skakanie w ogień jest rzeczywiście tak romantyczne, jak im się kiedyś wydawało.

Centrum bazy, zwane „sztabem”, miało kilka połączonych ze sobą pomieszczeń, gdzie skoczkowie wykonywali prace buchalteryjne, gdy nie jechali do pożaru. W samym środku była sala rekreacyjna - długi pokój z podłogą pokrytą linoleum i niskimi fotelami stojącymi naprzeciw pomalowanych na biało ścian. Był tam też automat do kawy i kuchenka mikrofalowa, gdzie strażacy mogli szykować sobie posiłki. To tam każdego ranka odbywała się odprawa. Zaraz naprzeciw znajdowała się sala operacyjna z rozwieszonymi na ścianach mapami i oznaczeniami wszystkich pożarów, dalej magazyn ze sprzętem i szatnia z szafkami dla każdego ze strażaków. Jeszcze dalej była sala renowacji i napraw, gdzie szyto i naprawiano spadochrony i stroje strażaków, a na samym skraju wieża, gdzie wywieszało się spadochrony po każdym skoku, aby

dokładnie przebadać każdy ich fragment. Z daleka przypominały żagle jakiejś dziwacznej fregaty.

Oddzielony od „sztabu” alejką stał budynek dla gości, gdzie odwiedzający mogli się dowiedzieć, na czym polega gaszenie z powietrza, a także zobaczyć na wideo zadymiarzy w akcji. Stały tam też dwa manekiny, jeden w pełnym ekwipunku do skoku, drugi - do walki z ogniem, a ponieważ Służba Leśna bardzo chciała podkreślić, że zgodnie z zasadami poprawności politycznej walczyć o przetrwanie lasów mogą przedstawiciele obu płci, obie postacie były kobiece. Niejaki problem polegał na tym, że manekiny wyglądały, jakby właśnie zostały zdjęte z wystawy sklepu - z lśniącą na wargach, równiutko nałożoną szminką, różem na policzkach i w nienagannych, schludnie wyprasowanych bluzkach i spodniach nie wyglądały nazbyt przekonywająco. Ed ochrzcił je Barbie Strażaczki, a jeden z gości zauważył kiedyś, że jego zdaniem każda z tych wymuskanych bohaterek miałaby problemy ze zgaszeniem świeczek na torcie urodzinowym.

W grupie skoczków istotnie znajdowały się kobiety, chociaż stanowiły mniejszość; na jakichś czterystu zadymiarzy w całych Stanach było ich raptem dwadzieścia pięć. Jeśli nie zgłaszało się ich więcej, należało to prawdopodobnie tłumaczyć - poza instynktem samozachowawczym i zdrowym rozsądkiem - także nie całkiem bezpodstawnym przekonaniem, że nader istotnym „paliwem” przy tego typu zajęciu były piwo i testosteron. W gamie wszystkich zawodów strażacy należeli do tych, którzy najbardziej kojarzyli się z obrazem macho, a kiedy dołożyć do tego jeszcze spadochron...

Tego jednak lipcowego poranka widok sali napraw wcale za tym nie przemawiał. Pod trzema nienaturalnie wypchanymi łbami łosiów - które trochę wyglądały tak, jakby przebiwszy się przez mur, znieruchomiały niezbyt zdumione tym, co zastały - spokojnie siedziało przy maszynach do szycia pięciu skoczków z Missouli, sami mężczyźni. Ed zajął miejsce między Connorem i Hankiem Thomasem, po lewej mając Phila Wheatleya, któremu Hank już nadał zdrobnienie Pee - Wee, a po prawej - Chucka Hamera, pierwszorocznika, który najpierw trzy lata spędził jako dusiciel w Idaho, a przypominał świeżo ostrzyżonego niedźwiedzia.

Tradycją już było, że skoczkowie sami dokonywali napraw własnego sprzętu i strojów. Ed łątał czerwoną kurtkę nieprzemakalną i ani myślał zdradzić się z tym, ile mu to dawało satysfakcji. Jak zauważyła jedna z jego dawnych sympatii, Ed miał „bardzo rozwinięty kobiecy aspekt osobowości”. Niewiele jednak osób orientowało się, jaką cenę musiał za to zapłacić.

Jego ojciec, Jim Tully, był multimilionerem, który wszystkiego dorobił się sam. Mieszkańcy Kentucky nazywali go Wielkim Jimem. Był uosobieniem - jak sam lubił mówić o sobie - południowego twardziela. Urodził się jako czwarty i ostatni syn stajennego; ojciec porzucił rodzinę i zapił się na śmierć w czasach Wielkiego Kryzysu. Jim od samego początku czatował na swoją szansę, a gdyby się pojawiła, zamierzał chwycić ją w wielkie dłonie i za nic nie wypuścić.

Do szkoły chodził na bosaka, z butami w rękę, aby oszczędzać podeszwy, i wtedy poprzysiągł sobie, że żadne z jego dzieci nigdy nie będzie musiało zaznać czegoś takiego. Buty muszą służyć osobie, a nie odwrotnie. Mając osiem lat, zaczął po lekcjach kosić trawniki; matce oddawał połowę zarobionych pieniędzy, a resztę zatrzymywał dla siebie. Jeśli kosiarka się psuła, sam brał się do naprawy i niebawem znał każdą śrubkę i każdy mechanizm. Jako siedemnastolatek zapisał się do college'u na kurs biznesu, ale po semestrze zrezygnował, uznał bowiem, że sam wie już więcej od nauczycieli.

Co było prawdą. W wieku dwudziestu pięciu lat otworzył pierwszy sklep Kosiarki Wielkiego Jima - „Jeśli nam dowiedziesz, że gdzie indziej kupiłeś taniej, zwracamy forsz!” - a po dziesięciu latach miał już sieć handlową obejmującą cały stan i wkraczającą do Ohio. Sprzedawał maszyny amerykańskie i z importu, ale jego miłością była Strzyga Wielkiego Jima, składana w fabryce, którą wybudował na Tajwanie. Jego twarz - przystojna, ale nie na tyle, aby jej nie ufać - spoglądała z wielkich afiszów i ekranów telewizorów, zachęcając do odwiedzin u Wielkiego Jima, gdyż dzięki niemu „trawa staje się bardziej zielona”. I klientów były coraz większe tłumy.

Na wzgórzu wybudował rezydencję z werandą wspartą filarami, którą nazwał Zieleńcem. Były tam fontanny, pawie, służba i tysiące akrów, na których leniwie pały się rumaki czystej krwi. Kupił domy i samochody dla matki, braci i sióstr, a potem postanowił rozejrzeć się za odpowiednią połowicą.

Wystarczyło, by jego oczy raz spoczęły na Susan Dufort, a natychmiast wiedział, że to właśnie ta. Była czystej krwi mieszkanką Kentucky. Piękna, wykształcona, inteligentna i zmysłowa, była jedyną córką jednej z najstarszych i najbardziej szanowanych w Kentucky rodzin. Kiedy jej rodzice, Leonard i Ernestine, zorientowali się w zamiarach Wielkiego Jima, byli zaszokowani, ale ten urzekł ich tak gracko, jak wcześniej uczynił z córką.

Wkrótce oczarował całą trójkę. Zdjęcia ślubne pojawiły się na okładkach największych magazynów, wszystkie też informowały o pojawianiu się kolejnych Tullych w odstępach niewiele ponad rocznych: Jima Juniora (Małego Jima), Charliego i Edwarda.

Dwaj pierwsi byli żywymi podobiznami ojca. Mieli takie same blond włosy, wystające szczęki, usta gotowe do szerokiego uśmiechu. Mówili jak on, poruszali się jak on i zachowywali tak, jak on by się zachowywał, gdyby los obdarował go tak uprzywilejowanym dzieciństwem. Kiedy w college'u zostawali kapitanami drużyn futbolowych, to nie za nazwisko, lecz za to, że ostro trenowali, a grali jeszcze ostrzej. Mało mieli w sobie cierpliwości i pasji do rzeczy, które szczególnie drogie były ich matce.

Susan Dufort Tully potrafiła grać chyba na wszystkich instrumentach, ale rozmiłowana była w fortepianie. Myślała nawet o karierze pianistki, ale przeciwstawił się temu ojciec, uznawszy, że

to świat brutalnej rywalizacji, pełen drapieżców i osób nieodpowiednich dla jego córki. Grała więc tylko dla przyjemności, chociaż czasami we snach widziała siebie w Carnegie Hali, gdy w kręgu światła siedzi przed fortepianem w gładkiej sukni z czerwonego aksamitu. Jedynie Ed rozumiał jej marzenia.

Jedno z jego najdawniejszych wspomnień - mógł mieć wtedy najwyżej trzy lata - to, że budzi się w środku nocy i słyszy dźwięk fortepianu. Matka bardzo kiepsko sypiała, często więc wmykała się z łóżka i schodziła na dół, żeby pograć na wielkim czarnym steinwayu, który stał w holu. Ed na pół śpiący, przecierając oczy, wyszedł w pidżamie i na bosaka z sypialni i spojrzał w dół między słupkami balustrady.

Matka zapaliła stojący na instrumencie srebrny lichtarz, którego światło odbijało się w pokrywie i w gładkiej podłodze. Było późne lato lub wczesna jesień, matka miała na sobie jakieś świetliste odzienie koloru kości słoniowej, a lśniły także jej czarne włosy, które zwykle nosiła upięte. Wiele lat później wyjaśniła Edowi, że przy takich okazjach grała nokturny Chopina, a on zawsze chciał wiedzieć, który dokładnie zbudził go tamtej nocy. Wiedział jednak tyle, że usłyszał coś najpiękniejszego w życiu.

Zszedł ostrożnie po schodach, żeby lepiej widzieć, a potem przycupnął na stopniach zasłuchany, a po bardzo długiej chwili matka, bez żadnego powodu, ale i bez zdziwienia, odwróciła się i uśmiechnęła do niego.

Kiedy skończyła, przesunęła się nieco w bok i klepnęła w długi taboret, a kiedy Ed podszedł, wzięła go pod pachy i usadziła obok siebie. Zagrała następny nokturn, a chłopiec wpatrywał się w długie palce pływające po klawiszach, jak gdyby każdy z nich był smukłym zwierzęciem o własnej woli.

Miał potem wprawdzie wielu nauczycieli, dobrych, złych i przeciętnych, ale grać nauczyła go matka i to od niej przejął przekonanie, że każdy rodzaj muzyki może przynosić radość. Jej pasją był Mozart, ale znała też i chętnie grała wszystkie musicale, co potrafił też robić Ed w wieku sześciu, siedmiu lat.

Gdzieś w tym wieku wykryto u niego cukrzycę, czym rodzice przejęli się chyba bardziej od niego. Matka tak celebrowała codzienne zastrzyki, że bardzo szybko Ed sam przejął ten obowiązek i wykonywał go z wystudiowaną nonszalancją. Ojciec na cukrzycę najmłodszego syna zareagował tak samo jak na jego pasje muzyczne, a była to subtelna mieszanina współczucia, irytacji i niewypowiedzianej dezaprobaty. Wielki Jim sądził, jak się wydawało, że zarówno muzyka, jak i choroba nie są odpowiednie dla małego chłopca. A w każdym razie dla młodego Tully'ego.

Jeśli chodzi o muzykę, Ed zastanawiał się później, czy aby powodem nie było to, że ojciec - jako niekompetentny w jej sprawach - czuł się wykluczony. Być może stanowiła jedną z ostatnich

barier oddzielających go od dobrego towarzystwa, której nie mógł przełamać. A może po prostu był zazdrosny, że muzyka dodatkowo wiąże matkę i syna, skądinąd tak do siebie podobnych z wyglądu i temperamentu. Tak czy owak, jego postawa przeniosła się na braci Eda, z których żaden nie wykazywał najmniejszych zainteresowań muzycznych. Nawet jeśli sobie z nich pokpiwali, to nigdy w obecności matki, a poza tym robili to łagodnie, podobnie jak odnosili się do słabego wzroku Eda, który okulary zaczął nosić już w szkole podstawowej. Kiedyś jednak w trakcie sprzeczki, która wybuchła nie wiadomo już o co, Charlie powiedział dwunastoletniemu wówczas Edowi, żeby się wynosił do tych swoich „pedalskich” musicali.

Być może zraziłoby to dziecko mniej uparte i zawzięte, ale jak się okazało, Ed miał w sobie znacznie więcej „południowego twardziela”, niż skłonni byli mniemać jego ojciec i bracia. Czując poparcie matki, trwał przy swoich zainteresowaniach, a chociaż ojciec nie widział w tym żadnego celu, nie skąpił na nauczycieli. Ed stał się całkiem niezłym pianistą, chociaż bardzo wcześnie oboje z matką zorientowali się, że nigdy nie osiągnie jej technicznego mistrzostwa. Potrafił grać z pasją, nawet furia, brakowało mu jednak subtelności jej dotyku. Z czasem zresztą okazało się, że ostatecznie bardziej ciągnie go muzyka popularna niż poważna. Bardziej brzmienie Motown niż Mozart, jak mawiała matka. Bardziej Hammerstein niż Haendel.

Pierwszy musical napisał i wystawił jeszcze w szkole średniej, kiedy miał szesnaście lat. Akcja dość bezwstydnie (i bez wątpienia nielegalnie) została zerżnięta z Obcego, muzyka wiele zawdzięczała Pucciniemu, ale szkolnej widowni utwór bardzo się spodobał i nawet na ojcu zrobił niejaki wrażenie. Bracia znacznie wyżej ocenili inne osiągnięcie Eda - zespół rockowy Redneck Peril, w którym grał na gitarze prowadzącej i dla którego komponował. Ku swemu zdziwieniu, skądinąd nader przyjemnemu, stał się nagle obiektem cichej rywalizacji między najbardziej efektywnymi licealistkami.

Nigdy nie miał wątpliwości co do swojej orientacji seksualnej i specjalnie nie przejął się sugestią brata, która jednak miała chyba pewien wpływ na to, co robił w wolnym czasie. Za nic nie zamierzał iść w ślady braci i fascynować się futbolem, natomiast zajął się sportem dużo bardziej niebezpiecznym, gdzie za przeciwnika miało się nie brutalnie w hełmach i nagolennikach, lecz samą naturę w postaci śniegu, lodu i skał.

Miał siedemnaście lat, kiedy wyjechał na obóz w dzikich ostępach Montany, w której tak się zakochał, że po powrocie do domu oznajmił, że tam zamierza studiować. Klasa fortepianu na uniwersytecie w Missouli nie była może najwybitniejsza w okolicy, ale była całkiem dobra. Ojciec wpadł w furję. Muzyka może być dobrym hobby, co najwyżej hobby, ale nie poważnym zajęciem do studiowania („dla prawdziwego mężczyzny”, powinien dorzucić, ale nie zrobił tego). A poza tym żaden z jego synów nie będzie chodził do szkoły z jakimiś niedouczonymi pastuchami.

Przez lata Ed zdążył już jednak zasmakować w takich potyczkach. Spokojnie obstawał przy swoim, a im pewniejszy był siebie, tym cięższe były ojcowskie wyzwiska i tym większe poparcie matki. Po cichu także i jej nie bardzo podobał się pomysł z Montaną, wolałaby bowiem, żeby Ed, podobnie jak ona, studiował w Ann Arbor, nigdy jednak nie powiedziała tego w obecności męża. Ostatecznie Wielki Jim skapitulował szybciej, niż Ed się spodziewał, najwidoczniej uznał bowiem, że dwóch udanych, wstępujących dokładnie w ślady ojca synów to i tak więcej, niż można się rozsądnie spodziewać, maminsynkowatego Eda można więc bez wstydu spisać na straty.

Była to prawdziwa ulga, chociaż - czy może: ponieważ - zaczęli się widywać z ojcem o wiele rzadziej, stosunki między nimi rychło ułożyły się znacznie lepiej. Wyglądało na to, że obaj zaakceptowali fakt swej odmienności. Niekiedy dochodziło nawet do tego, że odwracały się sojusze, jak na przykład wtedy, gdy Ed poinformował rodziców, że będzie skakał na spadochronie do pożarów. Jak należało oczekiwać, matka była przerażona, ojciec - zafascynowany i pełen entuzjazmu.

- Przestań się wreszcie tak nad nim trząść - zwrócił się Wielki Jim do swej żony i klepnął syna w plecy. - To już jest dorosły mężczyzna.

Tak było trzy lata temu, a przez cały ten czas Ed nawet słowem nie wspomniął o maszynie do szycia. Uśmiechał się teraz na samą myśl, co zrobiłby ojciec, widząc swego syna przy takim zajęciu.

Dokładnie w chwili, kiedy przecinał nitkę, rozległa się syrena, a z głośnika popłynęły słowa:

- Pożar w Parku Narodowym Lolo. Do akcji lecą: Tully, Ford, Hamer...

Chuck Hamer wrzasnął z radości i głos na chwilę został zagłuszony, kiedy wszyscy poderwali się z krzeseł i pospieszyli do drzwi. Nie musieli słuchać dalszego ciągu, dobrze bowiem wiedzieli, kto jest na liście.

- ... Schneider, Lennox, Pfeffer...

Zasadą było, że ci, którzy nie skaczą, pomagają w przygotowaniach tym, którzy biorą udział w akcji. Ed zaraz za Connorem wpadł do świetlicy, która zwykle była spokojnym miejscem, teraz jednak - z syreną, grzmącym głośnikiem i strażakami wpadającymi z każdych drzwi - bardziej przypominała pokład lotniskowca w chwili alarmu.

- ...Wheatley, Delaguardia...

W ciągu paru sekund wszyscy byli w środku i kiedy Ed wpadł do szatni, Donna Kiamoto stała już przy jego szafce, trzymając rozwinięty kombinezon. Serce mu łomotało. Nieważne, który to już skok w życiu, zawsze jest ten sam skurcz nerwów w żołądku. Donna pomogła mu się pozapinać. Skafandry miały warstwę amortyzującą i zrobione były z kevlaru. Suwaki na piersi i od

kostek po pachy pozwalały szybko się odziać.

- I już, gotów do boju.

- Serdeczne dzięki.

Za dwa dni były urodziny Donny. Urządzała imprezę w najbardziej ulubionym przez zadymiarzy barze w Missouli „U Henry’ego”. Zagrać mieli Ed i trzech koledzy, z którymi stworzył dorywczy zespół.

- Jeśli nie wróćcie do piątku wieczorem, jesteście, Tully, zimnym trupem.

- W porządku, jeśli okazałoby się, że będę zbyt długo, to przynajmniej będę bogatym zimnym trupem.

- Ej, gdyby do tego doszło, czy mogę wziąć twoją gitarę? - wtrącił się Hank Thomas.

- A ja twoją dziewczynę? - dołączył się Chuck.

- Nic z tego, bracie, ona umawia się tylko z przystojniakami.

Wszyscy się roześmiali, Donna poprawiła jeszcze suwaki i Ed zabrał się do nakładania butów. Connor miał już na sobie całe wyposażenie, włącznie z pasami spadochronu. Stał pochylony, podczas gdy ktoś mocował mu spadochron. Connor zawsze był pierwszy, co stanowiło przedmiot stałych dowcipów.

- Ej, Connor, masz spadochron na lewą stronę.

- I lewy but na prawej nodze.

Connor uśmiechnął się niewyraźnie, poklepał po zapasowym spadochronie, przytroczył do pasa przybornik i stał z hełmem w ręku, czekając na resztę.

- Ruszcie się, obiboki. Jeszcze nam samolot ucieknie.

Z okien Twin Otter pożar nie przedstawiał się zbyt imponująco. Wedle Eda, sześć, góra siedem akrów. Przy słabym wietrze nie bardzo chciało mu się rozprzestrzeniać, niewielkie więc były widoki na nadgodziny. No ale nigdy nie wiadomo na pewno.

Zerknął na innych skoczków, wielkich w swych kombinezonach, podobnie jak on siedzących na ławce, która biegła wzdłuż prawej ściany maszyny. Przy otwartych drzwiach było za głośno na rozmowę, a poza tym skoczkowie najczęściej woleli na osobności przygotowywać się do czekającego ich zadania. W skafandrze było duszno i gorąco; Ed czuł strużkę potu spływającą po kręgosłupie. Connor jak zwykle wydawał się spokojny i opanowany.

Samolot zrobił kolejny nawrót nad pożarem, podczas gdy dowódca skoków i jego pomocnik przykucnięci w otwartych drzwiach, zahaczeni dla bezpieczeństwa, wypatrywali odpowiedniego miejsca do lądowania.

Dowódca nazywał się Frank Bird, ale w bazie powszechnie nazywano go Wielkim Birdem albo Wielgasem, gdyż był najniższy ze wszystkich. Mając pięćdziesiąt pięć lat, był też najstarszy i

najbardziej doświadczony, a jego nazwisko znajdowało się na liście stu najbardziej zasłużonych skoczków w bazie. Ed zawsze był spokojniejszy, kiedy kierował nim Bird.

Pilot położył się na skrzydło w kolejnym nawrocie i Ed, spokojnie żując baton, aby utrzymać odpowiedni poziom cukru we krwi, zobaczył przed sobą w dole ogień. Przypominał grot strzały na zachodnim zboczu góry; w powietrze powoli wznosiło się postrzępione na końcu siwe pasmo dymu. Teren był trudny, same strome parowy, sterczące turnie i niewiele miejsca między drzewami. Wielgas postara się wybrać najlepiej, ale i tak luzu będzie mało.

Lecieli na wysokości półtora tysiąca stóp z prędkością stu dziesięciu mil na godzinę i Bird musiał drzeć się wniebogłose, aby przekrzyczeć hałas silnika, kiedy wypatrył odpowiednie miejsce do lądowania. Była to mała, stroma polanka, z góry wydająca się postrzępioną zieloną blizną. W najszerszym miejscu miała nie więcej niż trzydzieści jardów, a ze wszystkich stron otaczały ją dzidy strzelistych sosen. Przelecieli nad nią trzy razy, zrzucając przy każdej okazji papierowe znaczniki, aby sprawdzić kierunek wiatru. Znaczniki złożone były z różowych, niebieskich i żółtych pasemek, obciążonych workiem z piaskiem. Ed, podobnie jak wszyscy, bacznie przyglądał się ich lotowi.

- Mamy jakieś trzysta jardów wiatru - krzyknął Wielgas. - Wszyscy widzą, gdzie? To zaczynamy!

Zaczęli naciągać hełmy, rękawiczki i torby osobiste, a potem po raz ostatni sprawdzać sobie nawzajem ekwipunek. Ed i Connor skakali w pierwszej parze. Zaczynał Ed, który na ziemi miał dowodzić akcją, a w razie gdyby coś mu się stało, funkcję tę przejmował Connor. Ostatnim razem, kiedy Ed skakał pierwszy, wylądował w strumieniu, kawałek od wybranego miejsca. Czuł, jak podskoczył mu poziom adrenaliny we krwi, więc parę razy odetchnął głęboko, aby się uspokoić. Z boku zarejestrował błysk, spojrzał i zobaczył Connora z aparatem przy oku. Pokazał mu środkowy palec. Connor nachylił się, tak że ich hełmy się zetknęły.

- Wszystko w porządku?

- Może ja pójde pierwszy?

- Nie ma mowy. Zawalisz sprawę. Connor popukał pięścią w hełm przyjaciela.

- Zostaw mi trochę miejsca na dole, dobrze?

Kłęczący w drzwiach Wielgas zawołał do nich, pytając, czy są gotowi.

- Tak, sir! - odwrzasnął Ed.

Spojrzał na Connora, przytknęli pięści do piersi i popatrzyli sobie w oczy.

- Płomienne serca! - zawołali jednocześnie i klasnęli rozwartymi dłońmi jedna o drugą.

- Powodzenia - zawołał Connor.

- Nawzajem.

- W porządku - krzyknął Wielgas. - Haczenie!

Ed zaczeplił hak linki otwierającej, przymocował zawleczkę do chomątka i spytał, czy wszystko w porządku. Zastępca dowódcy skoków potwierdził.

- Ostatni nawrót! Na próg!

Ed postąpił do przodu i ukląkł w drzwiach, lewą stopę umieszczając na zewnątrz na stopniu, a prawą zapierając się z tyłu; rękami mocno chwycił się za krawędzie drzwi. Zatargał nim wywołany przez śmigło powiew wiatru, który wdzierał się także pod maskę chroniącą twarz. Zerknął na czubek lewego buta i widniejący pod nim chwiejący się zielony koc lasu. Choć bardzo go to nęciło, był to błąd i dlatego zmusił się, by spoglądać w dal, na horyzont.

Wielgas znowu zawołał, tym razem pytając, czy widział znaczniki i wie, gdzie lądować. Ed spojrział mu prosto w oczy i pokiwał głową. Czuł przechył samolotu, ujrzał las obracający się teraz dokładnie poniżej. Brali ostatni nawrót.

- Widzisz ten pierwszy parów? Może być nad nim lekkie zawirowanie. Uważaj!

- Dobra!

- W porządku. Zbliżamy się!

Ed znowu wziął kilka długich, głębokich oddechów. Rozluźnił kolana i mięśnie karku, na chwilę też przymknął powieki, aby się lepiej skupić i zebrać razem opanowanie, siłę i szczęście.

Kiedy dowódca da sygnał, trzeba się dobrze odepchnąć, jeśli bowiem nie wyskoczyło się gładko i sprawnie, można było polecieć głową do przodu, z nogami zaplątanymi w linki, a kiedy spadochron się otwierał, ciało dostawało takiego kopa, że z płuc wylatywało całe powietrze.

- Gotów!

Ed oparł się na lewej stopie, unosząc prawe kolano, aby zwiększyć impet odbicia. Las wzywał go, kusił, by na niego spojrzeć, jak syrena zwabiająca w skały, on jednak stanowczo spoglądał w horyzont. Potem się zaczęło. Poczł mocne klepięcie w ramię, odepchnął się ze wszystkich sił i wyleciał w niebieski przestwór.

- Sto dwadzieścia jeden...

W pędzie powietrza nie wiedział, czy liczy na głos czy nie.

- Sto dwadzieścia dwa...

Odepchnął się z takim impetem, że przekoziółkował i spoglądał teraz na biały brzuch maszyny, która oddalała się niczym rekin, przesłaniając sobą słońce.

- Sto dwadzieścia trzy...

A potem zobaczył wyskakującego Connora i nagle słońce tak go oślepiło, że czuł tylko, jak ściąga go ku sobie ziemia, ku której leci z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę.

- Sto dwadzieścia cztery...

Objął się ramionami i w tej samej chwili posłyszał szelest i poczuł mocne szarpnięcie, od którego targnęło nim jak podciętą rybą. Ciało odchyliło się i przyjęło pozycję pionową, a kiedy spojrzął w górę, zobaczył nad sobą białe - niebiesko - żółtą czaszę. Nad nim po prawej był Connor ciągnący za sobą linki spadochronu, którego czasza właśnie zaczynała się napełniać, a zaraz potem i jego ciało się ustabilizowało. Zniknął samolot, ucichł jego terkot, a jedynym dźwiękiem był szelest obu spadochronów.

Zrobili koło, Connor pokrzykiwał z radości, Ed zaś uświadomił sobie, że uśmiecha się jak dureń do przelatującego pod nim lasu. Manewrując linkami, ustawił się tak, by mieć ogień przed sobą. Connor zniknął gdzieś za nim, on zaś wykorzystując wiatr, schodził luźnymi serpentynami w kierunku lądowiska i widocznego dalej białego pasma dymu.

Connor zawołał, by spojrzął w lewo, a wtedy zobaczył stado łosi - tuzin samic z młodymi - przechodzące przez grań. Ostatnia zatrzymała się i popatrzyła za siebie, a chociaż Ed nie mógł być tego całkowicie pewien, to miał wrażenie, że zwierzę ich obserwowało. Zaraz jednak odwróciło się i zniknęło za granią. Pozostały tylko ciemne cienie spadochronów przemykające po zieleni lasu.

Kiedy znalazł się nad parowem, zgodnie z przewidywaniami Wielgasa wiatr nagle zawirował, okręcił spadochron, Ed poczuł, jak robi spore wahadło, które zamortyzował wybraniem linek. Jakieś trzysta stóp pod sobą zobaczył białą pianę strumienia i w następnej chwili był już po przeciwnej stronie grani. Wiatr jakby wzmocnił się i zmienił na południowy, lądowisko zbliżało się szybko, a Ed mocował się z linkami.

Drzewa, wyższe niż przypuszczał, były już tylko o sto stóp pod nim. Serce mu łomotało. Zawieszenie na drzewie było co najmniej żenujące, ale kiedy przydarzało się pierwszemu, typowanemu na dowódcę, stawało się kompromitacją. Nie, nie może mu się to przytrafić po raz wtóry. Musi przelecieć nad lądowiskiem, zawrócić i lecąc pod wiatr, delikatnie wytracić szybkość i gładko usiąść.

Myśl jeszcze nie zdążyła wygasnąć, gdy wiatr nagle ucichł, spadochron oklapł, w efekcie czego Ed stracił bezcenne piętnaście stóp. Cholera, pomyślał, nie wyrobię.

Odległe już tylko o jakieś pięćdziesiąt stóp szczyty drzew zbliżały się błyskawicznie. Był tak przekonany, że zatrzyma się na szeregu okalającym polanę, że zaczął wybierać, który wydaje się najbardziej przyjazny. Sam zwis był wystarczająco przykry, a co dopiero mówić o pokieraszowaniu przez gałęzie. Potem poczuł nagły podmuch wiatru, który odrobinę go poderwał. Cholera, może jednak się uda? Widział już zielen polany, ale groty sosen sterczały groźnie, a on leciał wyraźnie na najwyższe z nich. Z lewej były trochę niższe, zawzięcie więc próbował zboczyć.

Teraz dotykał już drzew stopami, podkulił więc nogi, ale nawet kolana obijały się o gałązki, a on wrzeszcząc, wyzywał siebie od durniów.

I nagle drzewa się skończyły, a on spływał na trawę z wdziękiem anioła.

Spadł na obie stopy, przetoczył się i zerwał na równe nogi, zanim spadochron zdążył spłynąć na ziemię. W głębi duszy oczekiwał, że las wybuchnie oklaskami, i nawet już się szykował do ukłonu.

Spojrzał w górę, ale nie zobaczył Connora. Zdjął pasy spadochronu i wydobywał się właśnie ze skafandra, kiedy usłyszał głos przyjaciela:

- Gównu! Och! Ooooch! Niech to diabli!

Rozległa się skarga dartych liści, trzask gałęzi, a potem ze szczytu jednej z sosen wyjechały najpierw nogi, a zaraz za nimi reszta Connora. Spadochron najpierw zawisł w powietrzu, a potem łagodnie spłynął na drzewo i skoczka. Po chwili jednak rozległ się trzask i Connor pojawił się znowu, Ed zaś przestraszył się, że jego towarzysz grzmotnie o ziemię. Po jakichś dziesięciu stopach lotu linki szarpnęły się jednak i oto Connor kołysał się jakieś siedemdziesiąt stóp nad ziemią.

Nagle znowu zapadła cisza. Ed patrzył na przyjaciela, a ten podniósł maskę i odwzajemnił się spojrzeniem. Ed usiłował zachować powagę.

- Witaj - powiedział.

- Odpierdol się.

- Coś ci się stało?

- Nie. Czuję się wspaniale.

- Chyba świetny jest stamtąd widok, prawda? Wiesz, jak tylko zobaczyłem to drzewo, sam pomyślałem, a może by tam wylądować? Ale potem zdecydowałem się jednak na trawę.

- Wiesz co, Tully, odpierdol ty się.

- Pomóc ci?

- Sam dam sobie radę bez żadnych dupków.

Ed zaśmiał się i zaczął składać spadochron. Connor znalazł miejsce dla nóg na gałęzi i zaczął sprawdzać, jak poważnie ugrzęzły linki. Potem sięgnął do kieszeni spodni, wy dobył z nich linkę zjazdową i przymocował się do drzewa. Nad jego głową przeleciał Twin Otter i chwilę później perfekcyjnie opadli na lądowisko Chuck Hamer i Phil Wheatley.

- Hej, Connor - zawołał Chuck. - Zbierasz tam jabłka? To masz pecha, chłopie, bo to sosna.

Connor, który usiłował oswobodzić się ze spadochronu, nic nie odpowiedział. Chuck i Phil szybko zdjęli pasy spadochronów, kombinezony i zabrali się do zwijania spadochronów. Chuck nie przestawał dokuczać.

- Bracie, ale to był łatwy skok. Jak sądzisz, Ed?

- Chleb z masłem.

- A ty jak, Pee - Wee? Chlebek?

- W porządku - odparł zapytany, ale ponieważ jako pierwszorocznik jeszcze niezbyt dobrze znał Connora, zerknął na niego niepewnie spod oka.

Zanim Connor gotów był do zjechania z drzewa, miał publiczność w osobach całej siódemki. Wszyscy lądowali na punkt, natychmiast widzieli, co się stało, i każdy dorzucił swój żartobliwy komentarz. Connor odcinał się, jak mógł, a dobrze go znający Ed widział, że przyjaciel dostrzeża też zabawną stronę zdarzenia, irytację w dużej mierze udając. Kiedy zaczął zjeżdżać na linie, powitały go oklaski, na które odpowiedział, pokazując paluch.

- Dzięki. Serdeczne dzięki. Banda dupków.

Kiedy był już tylko dwie czy trzy stopy nad ziemią, Connor puścił linę i zeskoczył. Przy zetknięciu z ziemią prawa kostka wygięła się, a on upadł z krzykiem. Parę osób zaśmiało się, uznając, że to dalsza część przedstawienia, ale Ed od razu wiedział, że coś jest niedobrze. Podbiegł do Connora i nachylił się.

- Co się stało?

- Kostka. Skręciłem na jakimś kamieniu. Niech to cholera! Usiadł, rozpiął dół kombinezonu i rozwiązał but. Kiedy odchylił skarpetkę, widać było, że noga zaczęła już puchnąć.

- Niech cię diabli, Connor, zawsze chcesz być w centrum uwagi.

- Co na to poradzę, że brakuje mi miłości.

Wezwany helikopter zabrał Connora, a pozostała siódemka wzięła się do gaszenia ognia. Nie było zbyt wiele do roboty. Najpierw zagrozdził ogniowi drogę na końcu, potem zajęli się północnym i południowym skrajem. Wiatr zelżał, wieczorem nadeszło powietrze chłodniejsze i wilgotniejsze i ogień ucichł jak baranek. Cały następny dzień spędzili, dusząc tłący się żar. Nocą oczyszczali teren, a kolejnego ranka było już po wszystkim.

Ed zagrał z przyjaciółmi na urodzinach Donny Kiamoto, a zrobili to tak dobrze, że nie dane im było odpocząć choćby przez chwilę. Trzy razy powtarzali Wielkie ogniste kule. Nie miał nadziei, że Julia się zjawi, ale ponieważ właśnie wymieniały się grupy opiekunów, udało jej się urwać kilkanaście godzin wcześniej. Ed wpatrywał się w nią, gdy śpiewał. Tańczyła z każdym mężczyzną, z wyjątkiem biednego Connora, który tkwił za stołem, patrzył i raczył się zbyt wieloma piwami; zwichnięta noga spoczywała na krześle, o które oparł także kule. Kostka nie była złamana, tylko skręcona, ale i tak na jakiś czas był wyłączony ze skakania.

Pod domem Ed i Julia ustawili się po obu jego stronach, aby mógł im zarzucić ręce na szyje. Ed wziął kule pod drugą pachę. Był już niemal świt i ptaki donośnie świergotały w gałęziach topól rosnących wzdłuż rzeki. Connor w kółko śpiewał na cały głos refren Wielkich ognistych kul, podczas gdy Ed i Julia śmiali się i dokuczali mu. Zatrzymał się przy nich wóz policyjny i z okienka wyjrzał funkcjonariusz. Julia z całym swoim czarem wyjaśniła, że są powietrznymi strażakami, a

Connor odniósł kontuzję w akcji. Policjant uśmiechnął się, zasalutował i odjechał.

Pomogli Connorowi wkuśtykać po schodach, on zaś przez cały czas rozplýwał się nad tym, jaką są wspañiałą parą. Upierał się, że stanowią najpiękniejszą parę na świecie. Julia zaśmiewała się tak, że omal wszyscy nie upadli.

- Mówię ci - powtarzał, z lekka bełkocząc. - Jesteś... cudowna, Julio, po prostu jesteś...

- Cudowna?

- No. Jesteś cudowna. Ja nie gadam tak sobie, bo...

- Bardzo dziękuję, Connor.

- Nie, chodzi o to... Jesteś, oczywiście jesteś naprawdę. Przepiękna. Wiem, co mówię. Z ciebie jest szczęściarz, Ed, że masz taką kobietę. Ale i ty masz szczęście, Julio, że trafiłaś na takiego... cholernego sukinsyna.

Ułożyli go na łóżku, a Ed ściągnął but z lewej nogi przyjaciela. Connor nadstawił prawą, nie obutą.

- Tutaj nie masz - powiedział Ed.

- Co? Aha.

- Teraz już śpij.

Connor nagle złapał ich za ręce, poderwał głowę z poduszki, a w jego niebieskich oczach pojawił się jakiś natarczywy smutek, którego Ed nigdy u niego nie widział, a którego przyczyną nie mógł być tylko alkohol.

- Kocham was oboje. Naprawdę, kocham.

Ed potargał mu włosy, a Julia pochyliła się w jego stronę i delikatnie ucałowała w czoło.

- I my cię kochamy, kowboju. A teraz pora spać - powiedział Ed.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Julia słyszała na jednej z konferencji, jak ktoś z psychologów zażartował, że utrapieniem pierwszej połowy życia są rodzice, a drugiej - dzieci. Nie miała jeszcze okazji, aby na sobie samej sprawdzić drugą część maksymy, ale o słuszności pierwszej była całkowicie przekonana, stykając się w pracy z tak wieloma przypadkami zwichniętych losów. Terapeutom i doradcom zawsze powtarzano, że aby mogli pomagać swym pacjentom, muszą mieć ułożone własne sprawy. Julia mogłaby to powiedzieć o sobie, z wyjątkiem kwestii ojca.

Kiedy Connor spytał o niego tej nocy, gdy wracali z rodeo, była bliska łez. To dziwne, jako że przez całe miesiące mogła o nim nie pomyśleć ani razu, a potem nagle świadomość jego tyloletniej nieobecności niemal odbierała jej dech. Teraz coś w związku z Connorem sprawiało, że częściej wspominała ojca.

Miała przyjaciół, których rodzice byli w stanie tak totalnej wojny, że kiedy jedno odchodziło, stanowiło to prawdziwą ulgę. Z jej rodzicami było jednak inaczej; żyła w przekonaniu, że są szczęśliwi, bez reszty szczęśliwi. W przeciwieństwie do innych, oni naprawdę się kochali, tak to przynajmniej wyglądało. I nagle, ni z tego, ni z owego któregoś dnia ojciec oświadczył, że zakochał się w jakiejś innej osobie, spakował się i zniknął.

Julia zawsze go uwielbiała. Był jej bohaterem, najprzystojniejszym z mężczyzn, jasnowłosym, wysokim, tryskającym poczuciem humoru, ojcem, którego zazdrościły koleżanki. Kiedy opowiadało mu się o czymkolwiek, nawet o najbliższych zdarzeniach w szkole, albo wypowiadało się opinię na jakiś temat, zawsze słuchał z wielką uwagą i zainteresowaniem.

Z pracy często wracał późno (dopiero później Julia miała poznać prawdziwy powód), bardzo często więc nie spała długo w noc, aż do chwili, gdy usłyszała, jak jego samochód zatrzymuje się pod domem i na schodach rozlegają się kroki. Na palcach skradał się do jej drzwi i uchylał, aby sprawdzić, czy śpi, a kiedy mówiła: „Cześć, tato”, siadał na łóżku, gładził ją po włosach i słuchał opowieści z całego dnia.

I raptem, trzy dni po dwunastych urodzinach Julii, bomba wybuchła, a ojciec zniknął z ich życia. Matka mało nie oszalała z bólu, nigdy na dobre się nie podniosła. Nadal go kochała, chociaż okazało się, że kobieta, dla której ją porzucił, była tylko ostatnią w długim łańcuszku, którego początek sięgał niemal ich ślubu. Tak rozpaczała nad rozpadłym małżeństwem, że do pewnego stopnia zamieniły się rolami. To Julia przez następne dwa, trzy lata pocieszała matkę i opiekowała się nią, niepomna, że i jej coś takiego by się przydało.

W znacznym stopniu wpłynęło to na jej późniejszy stosunek do mężczyzn w ogóle. Nie

żeby ich nienawidziła czy nie ufała im; raczej odrobinę im współczuła z powodu bezradności, jaką okazywali wobec targających nimi fal namiętności, szczególnie kiedy osiągnęli, jak to ujmowała matka, „pewien wiek”. Abstrakcyjnie wiedziała, że rozpad rodziny najczęściej spowodowany jest przez to, że mąż znajduje sobie młodszą partnerkę, statystycznie zatem rzecz biorąc, także i ona powinna wylądować w ramionach jakiegoś pięćdziesięcioletniego „tatusia”, który szukając drugiej młodości, stara się zrzucić brzuszysko i ukryć łysinę. Na szczęście (odpukać w nie malowane drewno) nie potrafiła zgadnąć, na czym polega fascynujący urok takich postaci, chociaż czasami nawiedzała ją myśl, czy przypadkiem złowrogim symptomem nie był jej związek z Michaeliem, który jako dwudziestolatek był już w średnim wieku.

Jeśli ostatnio często myślała o ojcu, to także z powodu Skye, która - jak wiedziała - również przeżyła taką dezercję ojca. Kilka razy usiłowała rozmawiać z nią na ten temat, ale okazał się podobnym tabu jak wszystkie inne. Skye nie chciała rozmawiać o niczym i trzeba było wreszcie spróbować coś z tym zrobić.

Leżąc w śpiworze, Julia wpatrywała się w księżyc i nasłuchiwała. Od co najmniej godziny przegadywały się dwie sowy: jedna gdzieś nad jej głową, druga - po przeciwnej stronie doliny. Zaczynało jej to działać na nerwy. Wcześniej w oddali słyszała kojota, przed paroma minutami coś ciężkiego poruszyło się w lesie - pewnie niedźwiedź (w nocy wszystko było niedźwiedziem) szedł przez krzaki do strumienia. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, by wyjść i sprawdzić, czy worki z jedzeniem są zawieszane odpowiednio wysoko, ale szybko się rozmyśliła. Po raz piąty w ciągu pół godziny spojrzała na zegarek. Dwadzieścia po trzeciej.

Spóźnił się.

Księżycowi trzy noce brakowały do pełni i powietrze było tak przezroczyste, że dokładnie widać było plamy na jego powierzchni. Szarawe światło padało od tyłu na jodły Douglasa i rzucało długie cienie na rozłożony pod nimi obóz. Leżeli obok siebie, opiekunowie i podopieczni, niczym wielkie larwy. Śpiwory były owinięte niebieskim płótnem, aby uchronić je od rosy, już teraz skrzęcej się w promieniach księżyca. Sowy umilkły, a wtedy jak na dany znak odezwał się przez sen Lester.

- Teraz ty! No, nie wygłupiaj się, twoja kolej!

Niemal każdej nocy mówił przez sen. Przez pierwsze dwa tygodnie zrywał się z krzykiem, budząc pozostałych, ale ostatnio odrobinę się uspokoił. Jeśli ktoś nie spał, to czasami wdawał się z nim w surrealistyczną rozmowę. Tym razem jednak nikt się nie odezwał i po chwili głos Lestera zamienił się w pomruki i całkiem ucichł.

Julia leżała pomiędzy Byronem i Skye. Sądząc po rytmie oddechów, oboje spali, ale ze Skye nigdy nie można było mieć pewności. Czasami Julia budziła się w nocy i widziała, że

dziewczyna nie śpi, a w jej otwartych oczach lśnią łzy. Za pierwszym razem dotknęła jej ramienia i spytała, czy może w czymś pomóc, ale Skye szybko bez słowa odwróciła się do niej plecami.

Spotykała już taki płacz u dzieci, które zostały skrzywdzone. Nie łkały, nie szlochały, nie zawodziły jak ich rówieśnicy, którzy mogli liczyć na to, że któreś z rodziców utuli je, pogłaszcze, uspokoi. Krzywdzone dzieci płakały bezgłośnie, inaczej bowiem groziło im bicie. Dlatego uczyły się płakać w samotności, w ciszy, w nocy, gdy nikt nie może ich widzieć ani słyszeć. Leżały zupełnie nieruchomo i tylko łzy z nich wyciekały, od czego wcale nie ubywało żalu.

Przez lata regularnej pracy w Bostonie i wakacyjnej na obozach w Kolorado, Julia zetknęła się z kilkoma setkami dzieci. Każde z nich na swój własny sposób otrzymało niesprawiedliwie wielką porcję bólu i nieszczęścia. Jeśli pozwalało się na to, by to cierpienie nazbyt porażało wychowawcę, on sam zaczynał mieć kłopoty. To znaczy, nadal można było rozumieć swych podopiecznych i ich jakoś pocieszać, ale jeśli z nauczyciela miał być prawdziwy pożytek, potrzebował on siły, koncentracji i odrobiny dystansu. I Julii zawsze się to udawało aż do chwili, gdy spotkała Skye.

Coś było w tej dziewczynie, co bardziej poruszało Julię niż przy którymkolwiek innym dziecku. Nie mogła pojąć dlaczego. W Kolorado miała do czynienia z trzema chłopakami i jedną dziewczyną w wieku Skye, którzy na początku byli równie nieprzyjaźni i wrodzy jakimkolwiek kontaktom, ale tylko ze Skye trwało to tak długo. Jedną z idei długich wspólnych pobytów w trudnych warunkach było to, że pod ich naciskiem zmieniają się takie postawy. Osoby, których zachowania były nieprzyjemne dla innych, szybko dostrzegały tego konsekwencje. Wiele z tych dzieciaków dostało od świata takie ciągi, że wzniosły wokół siebie solidny mur, a na blankach wystawiły mniej czy bardziej wyrafinowaną artylerię. I Julia z uczuciem graniczącym z zachwytem przyglądała się temu, jak mury - cegielka po cegielce - się rozpadają, a działa milkną. To już się dokonywało w tej grupie; nawet Mitch, niewzruszony twardziel, miewał czasami przebłyski łagodności.

Tylko w Skye nic się nie zmieniało. Przez sześć tygodni stanowczość, z jaką broniła swej odrębności, nawet wzrosła. Współpracę ograniczała do nieodzownego minimum, odzywała się tylko monosylabami. Zachowywała się jak banitka, obca w gronie przyjaciół. Julia nigdy nie widziała jej uśmiechniętej, chyba że był to uśmiech ironiczny, ale i to zdarzało się jedynie na samym początku, teraz bowiem na jej twarzy trwała maska niezmaćconej obojętności. I tylko wtedy, gdy już musiała spojrzeć komuś w oczy, można było dojrzeć błysk bólu w jej źrenicach.

Jedną z tych okazji, gdy uczestnicy musieli patrzeć w oczy opiekunom, była prośba o nóż. Wszystkie noże były u wychowawców, a kiedy ktoś z podopiecznych potrzebował go, do drewna czy do pokrojenia jedzenia, musiał poprosić, patrząc prosto w oczy. Taka była zasada. W zeszłym

tygodniu Skye poprosiła o nóż, aby wystrugać z drewna nową łyżkę. Julia dała jej nóż, a ponieważ w tej samej chwili ktoś spytał ją o coś, na chwilę odwróciła uwagę od dziewczyny. Kiedy rozejrzała się dookoła, zobaczyła, że Skye odeszła na bok i siedząc na ziemi, obcina sobie włosy.

- Skye!!!

Podbiegła i zażądała noża z powrotem, a Skye wręczyła go z ociąganiem, mrucząc:

- No i co się znowu stało?

Julii na chwilę odebrało głos. Lśniące czarne pukle leżały na ziemi, z jednej strony głowy przeświecała skóra na czaszce.

- Co... Dlaczego to zrobiłaś?

- To moje włosy i mogę z nimi zrobić, co chcę.

- Ale powiedziałaś, że chcesz wystrugać łyżkę!

- Nie dałabyś mi noża, gdybym powiedziała prawdę.

- Okłamałaś mnie.

- Daj mi wreszcie spokój!

- Nie, Skye. Nie możemy tego tak zostawić.

Skye uciekła ze wzrokiem, a Julia zorientowała się, że wszyscy na nie spoglądają. Westchnęła.

- Mamy nożyczki. Gdybyś powiedziała, sama bym ci obcięła.

- Dlaczego miałabym chcieć, żebyś ty obcięła mi włosy?

Później tego dnia z niechęcią zgodziła się, żeby Julia przy użyciu nożyczek spróbowała jakoś złagodzić skutki wcześniejszej brutalnej akcji. Żartowała przy tym, że jej matka, fryzjerka, na niej wypróbowała wszystkie pomysły, ale Skye nie reagowała. Miała teraz włosy obcięte krótko jak chłopak.

Wszyscy uczestnicy obozu mieli dzienniczki, w których musieli zapisywać co najmniej stronę dziennie. Z początku wszystkie notatki były krótkie i bezosobowe, z czasem jednak większość autorów się rozluźniła i zaczęła pisać o swoim życiu i uczuciach. Tylko nie Skye. Jej zapisy odnosiły się do faktów, były lakoniczne, niczego nie wnosiły. Julia nawiązała do tej kwestii dwa dni temu, podczas jednej z sesji w cztery oczy. Był wieczór, a one usiadły na skale nieco ponad ich rozbitym obozem.

- Te nasze codzienne prace niewiele się zmieniają, prawda, Skye?

- O co ci chodzi?

- No wiesz, każdego wieczoru - no, prawie każdego wieczoru - mamy ognisko i czas dla grupy. Jemy, myjemy naczynia, czyścimy zęby, pijemy wodę. I każdego dnia to samo odnotowujesz w dzienniczku. W porządku. Ale może spróbowałabyś napisać o czymś, co nie

powtarza się każdego dnia. Wiesz, jakieś niezwykle, interesujące zdarzenia...

Skye prychnęła niecierpliwie.

- Jakie na przykład?

- Jak ten wspaniały zachód słońca, który widzieliśmy wczoraj. Albo jak dzisiaj przeprawialiśmy się nad strumieniem na rozbujaną linię. Albo w minionym tygodniu, kiedy obcięłaś sobie włosy.

- A co w tym niby ciekawego?

Julia wzięła głęboki wdech.

- Dobrze, to może spróbowałaś napisać, dlaczego nie wydaje ci się to ani trochę zajmujące. Dlaczego wszystko cię tak nudzi.

- A ja myślałam, że to jasne.

- Przynajmniej nie dla mnie. To powiedz mi.

I znowu lekceważące prychnięcie i spojrzenie gdzieś w bok.

- Skye?

Nagle spojrzała Julii w twarz oczyma pełnymi gniewu.

- Słuchaj, strasznie chcesz pokazać, jaka z siebie przyjaciółka. Ale ja nie chcę się z tobą przyjaźnić. Więc daj mi spokój!

Z tymi słowami zerwała się i odeszła. Tego dnia znowu na nią wypadła kolej rozpalenia ognia i jak poprzednio odmówiła. Cała grupa rozprawiała o tym przez dwie godziny, bez najmniejszego skutku.

Nocne ognisko było kluczowym punktem programu. Julia widziała, że pozostali uczestnicy obozu wręcz wyczekiwali tego momentu, kiedy zasiądą w kręgu i będą jeść, śmiać się, opowiadać, dyskutować nad zdarzeniami całego dnia, kiedy nawet najtwardszym odrobinę zmiękną serca. Gdy jednak kolej przychodziła na Skye, siedzieli w ciemności, jedli zimny prowiant i szybko kładli się spać. Nie lubili tego, niektórzy bardzo mocno, ale znudziło ich gadanie jak dziad do obrazu. Oprócz instruktorów jedyną osobą okazującą jej sympatię był Byron. Nie reagowała na to, on jednak niezmiennie stawał po jej stronie i brał ją w obronę.

Julia w czasie obozu wiele czasu spędziła na dyskusjach z kolegami o Skye, w bazie większość rozmów z terapeutami i dyrektorem programu dotyczyła dziewczyny, sporo razy telefonowała do kuratora Skye. Kilka razy dodzwoniła się do jej matki, która najwyraźniej była czymś odurzona, odpowiadała niewyraźnie i nielogicznie, zupełnie jakby nie mogła sobie przypomnieć, kto to jest Skye. Za pierwszym razem rozplakała się na koniec, kiedyś po kilkunastu zdaniach odłożyła słuchawkę. Za trzecim razem odebrał ojczym, a kiedy Julia przedstawiła się i powiedziała, o co jej chodzi, tamten zaczął krzyczeć, że nie, kurwa mać, nie może rozmawiać z

matką Skye i co sobie w ogóle myśli, żeby wpięprzać się ludziom w ich prywatne życie.

Podczas ostatniej przerwy - po urodzinach Donny Kiamoto - Julia cały dzień naradzała się z Glenem Nielsenem, co począć. Byli zgodni, że przyszedł czas na jakieś radykalne posunięcia. Poddadzą Skye „próbę”.

Próba stanowiła najbardziej radykalną technikę w ramach programu, po którą sięgano wtedy, gdy zawodziły wszystkie inne. Delikwent czy delikwentka oddzielnie od reszty grupy szła z dwojgiem opiekunów na dwudniową wyprawę, wyczerpującą fizycznie i psychicznie. Aby wzmocnić efekt, także początek próby był nieoczekiwany. I właśnie dlatego Julia w środku nocy czekała na Glena.

Obiecał, że będzie o trzeciej, a teraz dochodziła już trzecia trzydzieści. Wtedy usłyszała od strony strumienia trzask gałązki i zobaczyła nadchodzącą stamtąd postać. Bezszelestnie wysunęła się ze śpiwora, włożyła buty i wyszła na spotkanie. Powietrze było rześkie i aromatyczne.

- Przepraszam za spóźnienie. Zgubiłem się.
- Dyrektor programu zaginął w lesie. Smakowita historia.
- Szepnij tylko komuś słówko, a wylatujesz.

Przez chwilę naradzali się szeptem, co Glen ma powiedzieć grupie. Znowu odezwały się sowy i Julia poczuła zdenerwowanie.

- Mam nadzieję, że to jej nie wystraszy.
- Może odrobinę, ale to dobrze. Gotowa?

Skye jechała na koniu. Nigdy dotąd nie dosiadała konia, ale przyszło jej to bez trudu. Galopowała na błyszczącym czarnym wierzchowcu w górę trawiastego zbocza, a długie źdźbła pochylały się od pędu. Uniosła twarz do bezchmurnego lazurowego nieba; czuła dotyk słońca i trzepot włosów. Nie miała siodła ani cugli, trzymała się tylko grzywy, ale dobrze wiedziała, że także to jest niepotrzebne, wyrzuciła więc ręce w górę. Wystarczyło, by przechyliła się w którąś stronę, a koń natychmiast naśladował jej ruch.

Tam, gdzie szczyt wzgórza stykał się z niebem, ktoś na nią czekał. Z tej odległości nie mogła rozpoznać postaci, ale wiedziała, że to mężczyzna. Wydawało się, że ma na sobie coś w rodzaju długiej czarnej opończy. Kiedy się zbliżyła, uniósł w górę szeroko rozłożone ręce i zobaczyła, że to ojciec. Nie widziała go od wielu lat i nie pamiętała dokładnie, jak wygląda, ale była pewna, że to on. Wołał do niej.

- Skye? Skye!

Nagle coś się zmieniło i zobaczyła nad sobą dwie twarze, z których żadna nie należała do ojca. Krzyknęła.

- Skye? To ja, Julia, i Glen. Uspokój się, wszystko w porządku.

Usiadła, trąc oczy.

- Co się dzieje?

- Coś ci się śniło.

Rozejrzała się. Wszystkie inne dzieci siedziały i patrzyły na nią.

- Chcemy zrobić coś specjalnego - powiedział Glen. - Nie można tu zapalić jakiegoś światła?

Julia zapaliła swoją latarkę. To samo zrobili Katie, Laura i Scott. Skye zasłoniła oczy. W głowie tłukły się jej jeszcze resztki snu, była zaskoczona całym tym nocnym poruszeniem. Posypały się pytania.

- Co to takiego? Która godzina?

- Słuchajcie - powiedział Glen. - Stańcie wszyscy w kole tak szybko, jak potraficie.

Było trochę buczenia i szemrania, ale w ciągu minuty wszyscy utworzyli krąg. Przed snem każdy musiał oddać buty i spodnie, co uniemożliwiało ucieczkę, stali więc teraz niektórzy w śpiworach - jak Skye - inni na bosaka. Kiedy zapadła cisza, Glen ciągnął:

- Przepraszam, że was wszystkich zbudziłem, ale sprowadził mnie tutaj ważny powód. Czy ktoś z was potrafi zgadnąć, jaki?

Cisza.

- No, ktoś spróbuje?

Mitch podniósł rękę.

- No, słucham, Mitch.

- Skye. To musi być z powodu Skye.

- Tak, masz rację. Jestem tutaj z powodu Skye.

Skye patrzyła w ziemię. Była zaszokowana, ale nie zamierzała tego okazywać.

- Czy ktoś może powiedzieć coś więcej? Mitch?

- Ponieważ wszystko nam psuje.

- Wcale nie! - sprzeciwił się Byron. - Ona po prostu nie chce się bawić w cudze gierki i tyle.

Wszyscy nie mogą być tacy sami i ona musi chcieć coś zrobić. To czasami trudne dla nas wszystkich, ale najbardziej dla niej. - Byronowi na chwilę zabrakło słów, zawahał się, a potem zakończył: - Jak dla mnie, to ona niczego nie psuje.

- To dlatego, że się do niej podwalasz.

- Mitch, tak nie wolno - sprzeciwił się Scott.

- Zgadzam się, przeproś - poparł go Glen.

Kiedy Mitch przeprosił, Glen podziękował Byronowi i spytał, czy ktoś jeszcze chciałby zabrać głos. Nikt się nie odezwał, a wtedy oznajmił, że wraz z Julią chcą zabrać Skye na próbę.

Interesowało go, czy ktoś przypuszcza, jak to może wyglądać. Rękę podniósł Wayne.

- To coś takiego jak szukanie czegoś? Jak Dragon Quest! - Rozległ się śmiech. Wayne wyszczerzył zęby w stronę Mitcha i Paula. - Widziałem taką grę wideo. Tam trzeba było znaleźć klucz w jaskini smoka.

- Bingo - powiedział Glen. - O to właśnie chodzi. Wraz z Julią zabierzemy Skye na dwudniową wyprawę, żeby pomóc Skye poszukać klucza.

Skye popatrzyła w niebo. Już nie mogła wytrzymać z tymi upierdliwcami. Nigdy nie dadzą ci spokoju, zawsze będą się przypieprzać.

- Klucz? - odezwała się. - Jaki znowu klucz?

- A jaki ci się wydaje? - spytał Glen.

- Nie mam pojęcia. I wiesz, co ci powiem? G... guzik mnie to obchodzi.

Glen pokiwał głową zamyślony.

- Jasne, Skye. Także do tego trzeba będzie znaleźć klucz. Ty i Julia ubierzcie się, spakujcie i ruszmy za pięć minut. Dziękuję wszystkim, przepraszam, że was zbudziliśmy, ale to ważny moment dla Skye i chcieliśmy, żebyście wszyscy w tym uczestniczyli. Może chcielibyście się z nią pożegnać?

Jedynymi, którzy chcieli, byli Byron i trójka instruktorów. Reszta tylko coś wymruczała, przestępując z nogi na nogę, co samej Skye bardzo odpowiadało. Mogli się wszyscy wypchać.

Szybko się ubrała, włożyła buty, związała plecak. Serce bilo jej jak szalone, przez głowę przelatywały najdziwniejsze myśli. Czuła się jednocześnie wściekła, dumna, przestraszona i niepewna. W każdym razie, jeśli sądzą, że w ten sposób ją złamią, to się bardzo przeliczą.

Poszli jedno za drugim; na przedzie Glen z lampą czołową, potem Skye i Julia na końcu. Była ciekawa, gdzie ją zabierają, ale skoro sami nie pofatygowali się, aby ją poinformować, ona nie zamierzała pytać. Wzięli kurs na wysokie drzewa w dolinie, gdzieś z boku szumiał potok, ale nie zbliżali się do niego. Potem skierowali się w lewo i szli dość płaską drogą, która zdawała się prowadzić do końca doliny, a woda teraz chlupotała pod nimi. Szli w milczeniu, słychać było tylko chrzęst igieł pod butami. Zaskoczyło ją, że ani Glen, ani Julia się nie odzywali, sądziła bowiem, że zaraz się do niej przyczepią, ale może jakoś inaczej to sobie obmyślili.

Wkrótce zaczęło robić się jasno; po prawej między drzewami widziała, jak z ciemności wyłania się przeciwny skraj doliny, wysoka na milę ściana różnobarwnej zieleni upstrzona pasemkami mgły i półkami skalnymi. Niebo nad głową z granatowego stopniowo nabrało takiej różowej barwy, jaką czasami widywała tylko w muszlach.

Nie miała zegarka, nie wiedziała więc, jak długo szli, ale musiało to trwać dobre parę godzin. Wyszli spomiędzy drzew i kwiecistą łąką zaczęli schodzić na dno doliny, aż wreszcie

dotarli do strumienia, w węższych miejscach spienionego, w innych rozlewającego się w oka tak czarne, jakby z nich prowadziła droga wprost do piekieł. Nad jednym z takich oczek znajdowała się płyta skalna i tutaj stanęli. Nazbierali drewna, Glen rozpalił ogień i zrobił płatki, które po dodaniu cynamonu, brązowego cukru i rodzynek były bardzo smaczne i kojąco ciepłe.

Podczas jedzenia nadal nikt się nie odzywał, ale Skye była pewna, że tylko czekać, a się do niej wezmą, zbierała więc w sobie siły. Spojrzała w dół doliny i daleko, daleko zobaczyła górę w kształcie piramidy, a Glen pochwyciwszy jej wzrok, powiedział, że tam właśnie idą. Wydawała się odległa o tysiące mil i Skye w pierwszej chwili pomyślała, że się z niej nabija. On jednak nie żartował.

Potem Glen zaczął opowiadać jedną z tych głupawych historyjek, które zawsze mieli w pogotowiu, kiedy chcieli cię nauczyć czegoś o tobie samej albo o Życiu przez duże Ż, albo o czymś podobnym. Tym razem chodziło o małego wilczka imieniem Nooshka - Lalooshka. Dajże mi ty święty spokój, myślała Skye, czy ja mam pięć lat? Otóż wilczek goniąc pewnego dnia pręgowca, spadł ze skały i bardzo się potłukł, a inne wilki okropnie się z niego naśmiewały.

- Pręgowiec uciekł, a Nooshka - Lalooshka czuł się zawstydzony i wściekły, więc powiedział wszystkim, że z tej skały to on spadł specjalnie i żadnej krzywdy sobie nie zrobił. Jasne, powiedziały inne wilki, jeśli cię nic nie bolało, to zrób to jeszcze raz. A ponieważ nie chciał, żeby z niego żartowali, skoczył ponownie. Tym razem poturbował się jeszcze bardziej i miał wielką krwistą bliznę na brzuchu, a wszystkie wilki rechotały i mówiły, że jest fajny i bardzo twardy.

Jasna sprawa, do kogo piją, myślała Skye, a Glen spojrzał na Julię i spytał, czy teraz ona chciałaby opowiadać dalej. Skye pomyślała, że cały ten cyrk z przypieprzaniem się do niej musieli sobie wcześniej przeciwiczyć, ale początek był jakiś dziwnie słaby, a poza tym ona na przekór sobie jakoś lubiła te ich opowiastki i nawet była teraz ciekawa, co się stanie z tym durnym wilczątkiem.

- I odtąd ilekroć wilki się nudziły - ciągnęła Julia - wołały: „Ej, Nooshka - Lalooshka, pokaż nam ten numer ze skakaniem ze skały”, a kiedy się wykręcał, zaraz z niego szydziły i mówiły, że jest straszny cykor, a on, żeby dowieść, że nie, skakał w końcu znowu i jego rany i okaleczenia nigdy tak naprawdę nie mogły się zaleczyć. Rósł wprawdzie, ale było z nim coraz gorzej, jakaś infekcja zaatakowała jego nogę, zaczął kuleć, a także coraz bardziej chudnąć, bo nie mógł nadażyć za resztą sfory podczas polowania. Pozostali dawali mu trochę ze swej zdobyczy, ale tylko pod warunkiem, że skoczy dla nich ze skały, więc robił to teraz, żeby zdobyć pożywienie, ale ciągle udawał, że nic go nie boli. Któregoś dnia jednak już w ogóle się nie ruszał, więc nie mógł się na nic wdrapać i co najwyżej mógł się objąć o skałę, ale to już wilków nie bawiło. Powiedziały mu, żeby się wynosił ze stada, bo nie tylko nie mógł polować, ale nawet przestał je bawić, więc jaki jeszcze miały z niego pożytek? Kazały mu więc iść sobie i Nooshka - Lalooshka samotny i porzucony

powlókł się w głuszę.

Teraz opowieść znowu podjął Glen.

- Był coraz chudszy i chudszy, coraz smutniejszy i smutniejszy, aż wreszcie całkiem odechciało mu się żyć. Poszukał więc odpowiedniej pieczary, ułożył się w niej i czekał na śmierć. Za każdym razem, gdy widział wschodzące słońce, myślał, że może to jego ostatni dzień. I kiedy śmierć była już bardzo blisko, zbudził się pewnego ranka i tuż koło swego nosa zobaczył kupkę orzechów. Jakie to dziwne, pomyślał, obwąchał orzechy, a ponieważ ładnie pachniały, to znalazł jeszcze resztkę sił, żeby je schrupać, a smakowały też dobrze. Poczł się odrobinę lepiej, przespał cały dzień, a kiedy się zbudził, koło jego pyska znowu leżała garść orzechów. Także te zjadł, dziwiąc się, kto też mógł je tu układać. I tak to się powtarzało, że podczas jego snu ktoś podkładał orzechy, aż wreszcie któregoś dnia tylko udał, że zasypia.

- Niedługo trwało - ciągnęła Julia - a posłyszał pofukiwanie i chrobot pazurków. Zobaczył małego starego pręgowca, dźwigającego orzechy, aby je złożyć koło jego nozdrzy. Wtedy Nooshka - Lalooshka otworzył ślepia i powiedział: „Cześć”. Pręgowiec ze strachu mało nie wyskoczył ze skóry, przewrócił się na grzbiet i zaczął prosić, żeby go nie zjadać. „A dlaczego miałbym zjadać kogoś, kto uratował mi życie?” - spytał Nooshka - Lalooshka. Potem chciał się dowiedzieć od swego opiekuna, dlaczego się nim zajął, skoro wszyscy dobrze wiedzą, że wilki pożerają pręgowce. „A dlatego, odpowiedział tamten, że dawno temu pewien wilk był tak dobry, że zamiast mnie zjeść, pozwolił mi uciec, a sam spadł ze skały i inne się z niego wyśmiewały”. Julia uśmiechnęła się i oboje z Glenem popatrzyli na Skye, nic nie mówiąc.

- I co? - spytała. - To już wszystko?

- Chyba że sama chcesz dodać jakieś zakończenie - powiedziała Julia.

- Na przykład, jak wilk odgryza łeb pręgowcowi?

- Jeśli tak wolisz. - Julia wzruszyła ramionami.

Znowu zapadła cisza.

- To co, pewnie chcecie, żebym zgadła, kto jest kim w tej bajeczce? - nie wytrzymała Skye.

- A chcesz? - spytał Glen.

Chwilę się zastanawiała, a potem powiedziała:

- Ja jestem jednym z tych orzechów.

Julia wybuchnęła śmiechem, a zaraz przyłączył się do niej Glen. Skye patrzyła na nich zdziwiona. O co im chodzi, przecież to nie było takie śmieszne. Oni jednak nie przestawali, a im bardziej chichotała Julia, tym mniej mógł się pohamować Glen. Skye starała się zachować kamienną twarz, ale nie było to łatwe w towarzystwie dwojga zarykujących się osób. Wkrótce nie mogła już utrzymać powagi i poczuła, jak drgają jej kąciki warg, potem rozciągają się w uśmiechu,

który jeszcze próbowała skorygować, aż wreszcie uśmiechnęła się i w końcu śmiała się na głos razem z nimi. Było to bardzo dziwne, jak gdyby owładnęła nią od wewnątrz jakaś obca siła i odmykała coś, podczas gdy cała trójka zrywała boki ze śmiechu.

A potem stało się coś jeszcze dziwniejszego. Skye nadal wprawdzie się śmiała, ale jednocześnie poczuła, jak coś unosi się w jej piersiach, jak całym jej ciałem wstrząsają fale jednocześnie radości i smutku, pełnego desperacji smutku. Czuła, jak w oczach zbierają się łzy, potem zaczynają toczyć się po policzkach, a wtedy śmiech z nagłą przerodził się w zwierzęcy niemal skowyt. A wszystko to działo się za sprawą jakiejś wyzwalającej eksplozji, dzięki której łkała nad sobą, nad całym swoim życiem i bagnem, które z niego zrobiła, nad matką i jej cierpieniami, nad wszystkimi strasznymi rzeczami, które zrobiła, jak na przykład zabicie tego policjanta na autostradzie. Przypomniat jej się sen, w którym od dawna nieobecny ojciec stoi na wzgórzu i wyciąga do niej ramiona, i nad nim też zapłakała. Za to wszystko, za wszystkich tych ludzi, za wszystkie czyny i zaniedbania wznosiła teraz twarz ku niebu, zawodziła i łkała.

Tak się zatopiła w swym żalu, że nawet nie zauważyła, jak dwójka opiekunów siada koło niej i otacza ją ramionami. Ponieważ jednak był to pierwszy serdeczny gest, jakiego zaznała od dłuższego czasu, więc nie miała siły, aby go odrzucić. Ściskali ją, a ona zobaczyła łzy także na ich twarzach. I chociaż zupełnie nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mieliby płakać wraz z nią ludzie całkiem obcy, do których czuła tylko niechęć, to jednak nie walczyła z nimi i wierzyła w szczerść tych łez. Długi czas trwali tak wtuleni w siebie niczym rozbitkowie ze straszliwej burzy.

Tak jak planowali, na szczycie góry znaleźli się następnego dnia na godzinę przed zachodem słońca.

Przez dwa dni przeszli dwadzieścia osiem mil, wiele ze sobą rozmawiając. Julia była wcześniej na trzech próbach, ale nigdy dotąd nie było tak jak ze Skye; zupełnie jakby zwała się jakaś tama w dziewczynie i znalazło ujście szesnaście lat wstrzymywanego bólu i cierpienia.

Opowiadała o odejściu ojca, niedawnym śnie, o picciu matki i tym, jak powoli pograżała się w upadku i beznadziei. Opowiadała o mężczyznach, których matka ściągała do przyczepy, a którzy darli się na nią i bili, a czasami okładali też Skye, która nie mogła pojąć, co matka w nich widzi. A już szczególnie w tym, którego poślubiła, a który okazał się największym okrutnikiem.

Mówiła, jak zaczęła spędzać noce poza domem, przy torach, z podobnymi do niej zagubionymi duszami, bała się bowiem wracać do przyczepy. I jak zaczęła używać narkotyków, żeby nie myśleć o tym wszystkim. Klej, trawa, speed, wszystko z wyjątkiem cracku i heroiny, bo od tego się umiera. Także jak zaczęła kraść, gdyż był to jedyny sposób na zdobycie pieniędzy na narkotyki, no poza ściągnięciem majtek dla jakichś staruchów, co robiły dziewczyny w jej wieku i nawet młodsze od niej, ale na to nigdy nie chciała pójść.

Mówiła i mówiła, a jednocześnie szli nieprzerwanie na zachód, czasami pokonując skałki po drodze, a niekiedy omijając je łukiem. I ciągle przed nimi widniała góra, a w dole szemrał strumyk. Czasami szczyt znikał za jakąś ostrogą skalną czy drzewami, ale niedługo potem pojawiał się znowu, za każdym razem większy i wyraźniejszy. Słowa płynęły z niej strumieniem, podobnie jak płynęły łzy. Julia nigdy dotąd nie była świadkiem tak udręczonej opowieści. Na jej policzkach widniały dwie jaśniejsze smugi tam, gdzie nie nadażał się osadzić kurz. Co jakiś czas zaczynała szlochać tak rozpaczliwie, że musieli się zatrzymać, Glen i Julia brali ją w objęcia, a kiedy odrobinę się uspokoiła - ruszali w dalszą drogę.

Pierwszą noc spędzili nad strumieniem, a Skye po raz pierwszy rozpałała ogień. Zrobiła to bez niczyjej pomocy i z taką łatwością, jakby specjalizowała się w tym od lat. Na widok ognia uśmiechnęła się promiennie, jakby chciała powiedzieć: „Widzicie, nie jestem żadnym głąbem, przez cały czas podpatrywałam, jak to robić!”

Ugotowali potrawę z tofu z papryką i ryżem, a podczas gdy jedli, słońce schowało się za grzbietem górskim. Skye spojrzała w niebo i pokazała pozostałej dwójce klucz gęsi, który w górze chwycił jeszcze światło słońca i błyszczał bielą na tle koralowego nieba. Kiedy ogień przygasł i zarzyły się już tylko węgle, Julia spytała, co zdarzyło się tego dnia, kiedy zginął młody policjant. Skye przez długi czas milczała, wpatrując się w żar ogniska. Potem głęboko odetchnęła i zaczęła opowiadać. Mówiła równym, spokojnym głosem, który załamał się dopiero wtedy, gdy dotarła do ramienia uwięzionego za oparciem fotela Seana i przerażenia w oczach policjanta.

I oto teraz, ku końcowi następnego dnia, zbliżali się do szczytu góry. Nie była to wspinaczka, podejście nawet niezbyt trudne, a kiedy byli już całkiem blisko, Glen oznajmił Skye, że ktoś będzie tam na nich czekał. Zaczęła się dopytywać, kto taki, ale w odpowiedzi usłyszała tylko tyle, że ktoś, kogo nigdy dotąd nie spotkała.

Kilka tygodni wcześniej Julia zadzwoniła pod otrzymany od Connora numer jego przyjaciela, strażaka Johna Balmora z Czarnych Stóp, którego plemienne imię brzmiało Czujny Ptak. Był prawnikiem, a bez reszty poświęcił się pracy z młodzieżą indiańską w rezerwacie, której chciał przekazać dumę z historii i kultury ich ludu. Opowiedziała mu o Skye, na co on natychmiast - nawet bez prośby - rzekł, że zrobi wszystko, żeby jej pomóc. Kiedy wraz z Glenem postanowili wziąć Skye na próbę, Julia znowu zadzwoniła do Johna Czujnego Ptaka i wspólnie ułożyli plan. Przez cały dzień czekała z niecierpliwością na tę chwilę, teraz jednak zaczęła się lękać, czy wszystko odbędzie się tak, jak to sobie wyobrażała, i czy pomysł na pewno jest dobry.

Wydeptaną, łagodną ścieżką wyszli na szczyt od południowej strony, a wtedy znowu zobaczyli słońce zachodzące płomieniem pomarańcza, czerwieni i purpury, a także mężczyznę, który z założonymi na piersiach rękami siedział na skale i spoglądał na zachód. Słyszając ich kroki,

John Czujny Ptak odwrócił się i wyszedł im na spotkanie. Julia przedstawiła mu Skye, wszyscy uścisnęli sobie dłonie. Był wysoki, barczysty, z twarzy nie dało się wyczytać jego wieku; Julia przypuszczała, że musi być po czterdziestce. Zaplecione w dwa warkocze włosy były już szpakowate. Na głowie miał czarny kapelusz z szerokim płaskim rondem, odziany był w białą, zapiętą pod szyję koszulę, a na ramiona zarzucił czerwono - czarny koc z biegnącymi bizonami. Skye była speszona i niepewnie zezowała na Julię, podczas gdy John Czujny Ptak z uśmiechem wpatrywał się w jej twarz.

- Miło cię poznać, Skye - powiedział. - Słyszałem o tobie dużo dobrych rzeczy.

Speszyła się jeszcze bardziej, tymczasem John Czujny Ptak zaproponował, by razem obejrzeni ostatnie promienie słońca, a kiedy zaszło w ostatniej eksplozji światła, zapanowała cisza. Spytał Skye, czy przygotowuje ognisko z drewna, które zdążył już nazbierać. Pokiwała głową, wyjęła z plecaka swój komplet drewniaków i znowu bardzo szybko i jakby bez wysiłku uzyskała żar. Julia i Glen zeszli do kończącego się nieopodal lasu po więcej drewna, a w tym czasie pozostała dwójka szykowała kolację. Kiedy wrócili, John Czujny Ptak i Skye rozmawiali z takim ożywieniem, jakby znali się od lat.

Julia podała Johnowi Czujnemu Ptakowi imię matki Skye, podczas kolacji mógł więc obwieścić dziewczynie, że zgodnie z jego ustaleniami pochodzi w prostej linii od Szalonego Konia. Zaczął rozwodzić się nad walecznością Oglala i mówił, jacy to kiedyś byli sławni i dumni ludzie. Opowiadał o tym, że Szalony Koń był najdzielniejszy z dzielnych, a potem spytał, czy Skye słyszała kiedyś o tym, na co ona odrzekła, że oczywiście, każdy głupek słyszał, ale nie miała pojęcia, że coś może ją łączyć z wielkim wodzem. Spojrzała na Julię i Glena z rozpromienioną twarzą i powiedziała: „Ale fajnie”, kiedy zaś John Czujny Ptak potwierdził: „Cholernie fajnie”, skarciła go za używanie niewłaściwych słów i zażądała dwudziestu zastępników, których wymyślanie zabrało mu trochę czasu.

Kiedy z tym się uporał, przysłała pora na liczne opowieści o dziejach Oglala, ich życiu, a także na opowieść o Szalonym Koniu, o tym, jak został zdradzony przez współplemieńców i zamordowany. „Nikt - mówił John Czujny Ptak - nie wie już dzisiaj, jak wyglądał, nigdy bowiem nie dał sobie zrobić zdjęcia”. Skye ani na chwilę nie oderwała oczu od mówiącego, z lekko zmarszczonym czołem chłonąc każde słowo.

Potem, kiedy opowiedział ostatnią historię i kiedy wygasł ostatni żar w ognisku, John Czujny Ptak pokazał im na północy czerwone i zielone błyski zorzy. Julia widziała to po raz pierwszy w życiu i widok ten poruszył ją do łez. Coś się w niej stało przez te dwa dni i nagle poczuła, że łzy płyną jej po policzkach, a potem poczuła uścisk przygarniającej ją Skye. To sprawiło, że rozplakała się jeszcze bardziej.

Następnego ranka wszyscy czworo zeszli do podnóża góry, a potem poszli jeszcze dwie mile na zachód do miejsca, gdzie John Czujny Ptak zostawił samochód. Podwiózł ich w okolice, gdzie powinna znajdować się grupa. Wysiadł z samochodu, żeby się pożegnać. Julia i Glen podziękowali mu, a on wyraził nadzieję, że spotka się z nimi wszystkimi ponownie. Potem ujął rękę Skye w obie dłonie i powiedział, że jeśli po zakończeniu obozu będzie chciała, to może go odwiedzić w Glacier. Powiedziała, że tak, bardzo będzie chciała, i na pożegnanie dostała do Johna Czujnego Ptaka książkę o Indianach Oglala, zatytułowaną Mówi Czarny Łoś, która - jak sądził - powinna ją zainteresować. Skye niewyraźnie wymruczała podziękowanie i nie bardzo wiedziała, gdzie podziąć oczy; było jasne, że niewiele dostała dotąd prezentów.

Patrzyli, jak odjeżdżał, i stali tam tak długo, aż kurz zasłonił wszystko.

- To co, idziemy odszukać resztę? - spytał Glen.

Skye skwapliwie kiwnęła głową.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bar „U Henry’ego” był wąską kiszka i znajdował się na samym końcu Norm Higgins. Było to jedno z tych osobliwych miejsc, które nie wszystkim się podobają, nie wiadomo czemu zawdzięczają swą sławę, a brak efektownego wystroju rekompensują tak zwaną atmosferą i gwarem, który w tym przypadku najczęściej powodowany był przez leśnych strażaków, w większości zadymiarzy.

Za barem, który serwował większość piw warzonych w lokalnych browarach, po prawej stronie znajdowały się podpisane zdjęcia najbardziej sławnych skoczków. Dla tych, którzy z jakiegoś powodu (najczęściej jednego i tego samego) mieli trudności z utrzymaniem się na nogach, wzdłuż ściany po lewej przeznaczone były stoliki otoczone krzesłami, na których można było oprzeć czy nawet przysiąść niepewnie. I oto przy jednym z takich stolików siedzieli Connor Ford i Chuck Hamer, z markotnymi minami oglądający wiadomości telewizyjne i w duchu podliczający pieniądze, których nie zarobią.

Na ekranie pojawiły się robione z helikoptera migawki płonących stoków górskich i samolotu lecącego nisko, a potem rzucającego czerwoną chmurę środka gaszącego. Chuck Hamer poprosił o ciszę.

- Strażacy z całej północnej Kalifornii nie byli w stanie zapanować nad szalejącym już od pięciu dni pożarem - oznajmił reporter. - Dzisiaj na lotnisku Redding wylądowała do pomocy grupa szesnaściora spadochroniarzy z Missouli w stanie Montana.

Przy barze rozległy się wiwaty, a na ekranie widać było wysiadających i zbliżających się do kamery kolegów, na których czele kroczył Ed. Miał najbardziej filmową aparycję, uśmiech nieco nieśmiały, ale zarazem stanowczy. Connor dostrzegł, że przyjaciel kroczy odrobinę tak jak weteran licznych wojen. Reporter nazwał ich „elitą pożarników”, co zostało powitane nowymi wiwatami. Potem był krótki wywiad z Hankiem Thomasem, który powiedział coś na temat pracy do wykonania i ochoty, z jaką pomagają. I znowu wiwaty przy barze.

- Człowieka poznaje się po jego dziełach - z emfazą stwierdził Chuck.

- Bardzo się cieszę, że mogę pomóc, szczególnie że będą za to nadgodziny - dorzucił ktoś z boku.

Connor zaklinał się na wszystko, że kostka jest już w porządku i w niczym mu nie przeszkodzi. Od wypadku minęło dziesięć dni, opuchlizna zniknęła i został tylko duży siniak. Cały czas spędził na nudnych reperacjach, codziennie jednak ćwiczył, aż wreszcie lekarz z pewnym ociąganiem wystawił mu świadectwo zdrowia. Wczoraj jednak odbył regulaminowy test, który

obejmował przebiegnięcie półtorej mili w czasie jedenastu minut. Kiedy zaczął kuleć, trener odpowiedzialny za ich kondycję fizyczną kazał mu przestać i powiedział, że o wyjeździe do Redding nie ma mowy, musi dalej kurować nogę.

Pojawiły się inne wiadomości i wszyscy przy barze wrócili do przerwanych rozmów. Connor dopił do końca wodę mineralną. Alkoholu nie brał do ust od czasu urodzin Donny i ciągle odczuwał wstyd, że tak się upił. Niewiele pamiętał z wyjątkiem chwili, gdy wchodził po schodach, a on zachwyca się urodą Julii. Słowa były zupełnie szczerze, teraz jednak żałował ich i miał nadzieję, że nie posunął się do jakichś jeszcze bardziej szczyrych wynurzeń.

Chuck poklepał go po ramieniu.

- Głowa do góry, stary. Zresztą wydaje mi się, że wcale nie będzie tam tak dużo do roboty. Ci z Kalifornii to dupki. Może postawię ci jakiegoś porządnego drinka?

- Dzięki, Chuck, ale chyba będę się zbierał do domu.

- Zaczynam się o ciebie martwić, bracie. Wcześniej do domu, żadnego alkoholu. Nikogo nawet w tym roku nie podrywasz. Co się z tobą, do cholery, dzieje? Chcesz wstąpić do zakonu czy jak?

Connor uśmiechnął się, wstał i nałożył kapelusz.

- Nawrócenie, kolego. Tak to nazywają.

Na zewnątrz z radością wciągnął do płuc czyste powietrze. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć żebraka, który zazwyczaj okupywał róg Broadwayu. Na Worden's Market kupił sandwicza z kurczakiem, trochę jabłek i karton mleka, a potem poszedł w kierunku mostu, z roztargnieniem oglądając wystawy. Pod działaniem jakiegoś impulsu wszedł do małego antykwariatu, który chyba nigdy nie zamykał podwoi, a w którym czasami znajdował interesujące albumy fotograficzne. Właściciel przywitał go od drzwi.

Po jakimś dziesięciominutowym bezskutecznym bobrowaniu na półkach chciał już wychodzić, kiedy jego uwagę przykuła książka o Larrym Burrowsie, brytyjskim fotografe, autorze znanych i wstrząsających zdjęć z wojny wietnamskiej, który zginął w jej trakcie. Było w niej kilka dużych, kolorowych fotografii, których Connor nie znał dotychczas. Zapłacił pięć dolarów, chociaż gotów był dać nawet dużo więcej.

Żebrak na rogu Broadwayu był w wieku Connora. Miał na sobie podarte spodnie, spod których wyzierały bose stopy, w zmierzwionej brodzie widać było resztki ostatniego posiłku. Connor spytał odruchowo, jak leci, i natychmiast zorientował się w idiotyczności swego zachowania, wręczył mu więc sandwicza, a ponieważ tamten nie był specjalnie uszczęśliwiony, gdyż zdecydowanie bardziej wolałby pieniądze, na dodatek dostał także jabłka.

Mieszkanie było strasznie puste bez Eda, który zawsze na czymś brzdąkał, a jeśli już nie

brzdąkał, to przynajmniej sobie podśpiewywał. Connor rozebrał się, nalał sobie szklanek mleka i położył się do łóżka z książką o Burrowsie.

Niewiele o nim wiedział, z wyjątkiem tego, że robił odjazdowe zdjęcia dla „Life” i że zginął wraz z kilkoma innymi reporterami i fotografami, kiedy wiozący ich helikopter został zestrzelony nad Laosem. Autor przedstawiał go jako skromnego i odważnego człowieka, który przejęty oglądanymi przez siebie tragediami chciał je utrwalić, aby zobaczyli je także inni. W kilka godzin przeczytał książkę od deski do deski i był nią bardzo głęboko poruszony. Kilkakrotnie powracał do jednego ze zdjęć.

Grupa żołnierzy południowowietnamskich stała wokół klęczącego chłopaka z Wietkongu. Na szyi miał sznur, strzępy czarnej koszuli zwisały wokół pasa, ręce związane mu z tyłu. Ze śladów na twarzy i tułowiu, a także ze sposobu, w jaki żołnierze trzymali karabiny, widać było, że przed chwilą go katowali. Jak zwykle u Burrowsa zdjęcie technicznie i kompozycyjnie było bez zarzutu. To, co stanowiło siłę tego zdjęcia, to przede wszystkim oczy chłopaka, w których widać było strach, ale i odwagę, jak gdyby w jakiś sposób zdołał przekroczyć ból tortur i przecucie rychłej śmierci.

Jeszcze długo po zgaszeniu lampy Connor miał przed oczyma to oblicze. Zastanawiał się, czy on zdobyłby się na taką odwagę, albo chociażby odwagę Burrowsa, który przed śmiercią wielokrotnie musiał spoglądać w oczy niebezpieczeństwu, a wszystko po to, aby poruszyć innych ludzi. I nagle nie wiadomo skąd, po raz pierwszy, z absolutną wyrazistością poczuł, że przyjdzie chwila, w której znajdzie w sobie taką dzielność.

I znowu minął tydzień, który Connor spędził na pracach porządkowo - naprawczych w bazie, ze wszystkich sił opierając się uczuciu nudy. Ed tymczasem nadal razem z innymi szczęściarzami przebywał w Redding, zaliczając nadgodziny i pracę w niebezpiecznych warunkach. We wtorek wieczorem zadzwonił, że ogień jest już pod kontrolą, po bazie rozeszła się zatem wiadomość, że ekipa wróci na weekend. Ed dopytywał się, jak noga Connora, i był wyraźnie rad, że nie było już śladu kontuzji, gdyż miał pewien plan. Rozmawiali z Julią o spływie w kanoe po Salmon River w Idaho, co oni obaj zrobili już wcześniej dwukrotnie, za każdym razem zachwycając się widokami. Z pewnością było to lepsze niż łatanie spadochronów. Ed poinformował jeszcze, że spróbuje się zabrać z ekipą z Boise, która rusza do domu w piątek.

Zanim Julia zjawiła się w Missouli w czwartkowy wieczór, Connor zdążył już wypożyczyć dwa kanoe, drugi namiot, dokupił sprzęt kempingowy i zrobił zapasy prowiantu. Julia była zmęczona, ale wyraźnie zadowolona. Kazał jej usiąść, otworzył butelkę czerwonego wina specjalnie zakupioną na tę okazję i zabrał się do szykowania kolacji. I kiedy teraz krzątał się po kuchence, ona z jedną nogą przerzuconą przez oparcie fotela opowiadała o próbie Skye, o jej

przemianie, o cudownym wieczorze na szczycie, a także o tym, jak „wspaniałym facetem” okazał się John Czujny Ptak.

Opaliła się na wyprawie, a na rozwichrzone włosy nałożyła jasnozieloną bandanę. Wydawało mu się, że jeszcze nigdy nie wyglądała tak cudownie. A chociaż walczył z tym, jak mógł, nie mógł oprzeć się myśli, że byli w tej chwili zupełnie jak para - ona opowiadająca o swej pracy, a on zajęty przygotowaniem posiłku dla nich. Było w tym coś bardzo domowego, kojącego, a chociaż uczucie to nic nie znaczyło, zdumiewał się jego nowością i siłą. Wątpił, by kiedykolwiek udało mu się spotkać kogoś takiego jak Julia, zarazem jednak nie pozwalał sobie na przygnębienie czy smutek.

Kupił filet z łososia i obsmażył go teraz tak, żeby skórka zrobiła się chrupiąca, a mięso pozostało miękkie i soczyste. Zjedli rybę z sałatą i małymi gotowanymi ziemniakami, a Julia oświadczyła, że nigdy w życiu nie jadła lepszego łososia. Potem zjedli borówki ze śmietaną, wypili kawę i siedli, rozmawiając i popijając wino. Dla Connora nie było to trudne, bo nie chciał się znowu wygłupić. Mówiła więc przede wszystkim Julia, on zaś czasami tracił wątek, tak pogrążał się w radości samego przebywania z nią.

Julia wzięła ze stołu książkę o Burrowsie, przejrzała ją i zaczęła wypytywać o bohatera. Był ciekaw, czy także ją zafrapuje to samo zdjęcie co jego, ale tylko prześliznęła się po nim wzrokiem i przewróciła stronę, natomiast zatrzymała się przy fotografii, na której mała dziewczynka klęcząca nad trupem matki podnosiła zrozpaczone oczy do kamery.

- Nie wydaje ci się okrutne robienie takich zdjęć? - spytała.

- Zamiast pomóc temu dziecku? Przytaknęła, nie odrywając oczu od dziewczynki.

- Nie. Ze zdjęcia nigdy nie wyczytasz, co zdarzyło się później. Wielu fotografów stara się też pomagać ludziom, kiedy tylko mogą. Burrows nawet próbował adoptować jedno z takich dzieci, które fotografował. Ale myślę, że najważniejsze jest pokazanie światu, co się dzieje.

- Chyba masz rację.

Spytała, czy może pożyczyć książkę, na co Connor odrzekł, że oczywiście, a potem powiedziała, że chciałyby obejrzeć jego fotografie. Większość trzymał na ranczu, a tutaj miał tylko te, które zrobił matce podczas rodeo i wywołał w zeszłym tygodniu. Pokazał je nawet chętnie, gdyż był zdania, że przynajmniej kilka mu się udało, a po wyrazie twarzy Julii, która przyglądała im się uważnie, widział, że i jej się podobały.

- Uou, Connor, nawet nie przypuszczałam, że jesteś taki dobry.

- Serdeczne dzięki.

- Oj, nie... to znaczy... Tak głupio to wypadło... Chodziło mi o to, że nie widziałam jeszcze żadnego twójego... Z wyjątkiem tego strasznego zdjęcia łosia na tle pożaru. Kiedy mówię straszne,

chodzi mi o to, że było naprawdę świetne. Ja po prostu...

Connor pozwolił jej zaplątać się jeszcze bardziej. Widząc, jak zaczerwieniła się pod opalenizną, powiedział, żeby dała spokój, wie, co miała na myśli. Rozległ się telefon, a Julia rzuciła się do słuchawki niczym tonący do belki. Dzwonił Ed.

Connor wstał i poszedł zmyć naczynia. Opowiadała trochę z tego, co już słyszał, i złapał się na tym, że stara się wykryć jakąś różnicę w głosie, na przykład większą czułość, ale nie słyszał żadnej.

Julia oddała mu słuchawkę ze słowami, że idzie się wykąpać, co zawsze jest wspaniałym doświadczeniem po ośmiu dniach w górach. Connor usiadł na kanapie i słuchał, jak Ed opowiada o ogniu, a także żali się, że ma już tyle nadgodzin, że teraz się gryzie, czy wziąć merca czy lexusa. Potem już na poważnie zaczęli rozmawiać o przygotowaniach do jutrzejszego wyjazdu. Zamierzali spuścić kanoe na rzekę w małej miejscowości Stanley. Ed zaprzyjaźnił się na miejscu z jednym z chłopaków z Idaho, który mieszkał niedaleko, a ten powiedział, że podrzuci go z lotniska w Boise. Był zdania, że do Stanley dotrą koło drugiej.

Rozbierając się w pokoju, Connor słyszał, jak Julia pluska się w wannie, potem podśpiewuje podczas mycia i z trudem mógł poskromić wyobraźnię. Umyła zęby, potem rozległ się odgłos otwierania drzwi i pstryk kontaktu.

- Connor?

- Tak?

- Dziękuję za wspaniałą kolację.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Miasteczko Stanley leżało na dnie rozłożystej doliny jakieś sześć tysięcy stóp nad poziomem morza, której granice od północy stanowiły White Cloud Mountains, a od południa Sawtooth, ze szczytami zawsze pokrytymi śniegiem. Rzeka serpentynami płynęła przez łąki, na których krowy pasły się obok jeleni i łosi, między nimi uwijały się pszczoły, a z góry dobiegał łopot skrzydeł czapli. Gdzieś tam pomiędzy jaskrami bulgotały i parowały gorące źródła, a zdaniem Connora była to cicha przestroga, że prawdziwa natura rzeki objawia się dopiero w wąskich gardzielach i wodospadach, które zaczynały się dalej, a z których Salmon słyęła.

Stanley znajdowało się o pięć godzin drogi od Missouli. Dotarli tam na godzinę przed umówionym spotkaniem, zabrali się więc do wyładowywania kanoe i sprzętu na trawiasty brzeg. Kanoe, marki Old Time - jedna czerwona, jedna zielona - miały piętnaście stóp i były w dobrym stanie. Sprzęt obozowy i jedzenie zapakowali do czarnych nieprzemakalnych i nie tonących toreb.

Kiedy skończyli, Julia wyjęła książkę o Burrowsie, która nie była może najlepszą lekturą na spływ, ważyła bowiem jakieś półtorej tony. Connor trochę się nabijał, ale nie zrażona tym Julia zasiadła do czytania, podczas gdy on pojechał zaparkować pickupa koło domu handlowego Mountain Village, gdzie wyznaczili spotkanie z Edem.

Connor miał na sobie tylko szorty i jasnoszary T - shirt, ale i tak było mu gorąco; rozgrzane powietrze wibrowało nad asfaltem. Dom handlowy zbudowany był z drewnianych belek i miał długą werandę z automatem do lodów i aparatem telefonicznym. Wejście do środka było jak cofnięcie się w czas dawno miniony. Na ścianach wisiały stare strzelby, topory, jedna uprząż dla wołu, a dostać tu można było wszystko - od spodni po sandwicza z pastrami. Connorowi najbardziej w tej chwili zależało na kilku schłodzonych wodach mineralnych.

Kobieta za ladą obsłużyła go z uśmiechem i spytała, dokąd się udaje, na co odpowiedział, że spływają rzeką do Challis, i zapytał, czy nie będzie miała nic przeciwko temu, że zostawi pickupa na parkingu. Zapewniła, że nie, nie będzie żadnych problemów. Właśnie wykladała świeżo upieczone ciasteczka czekoladowe, a ich zapach był tak kuszący, że Connor nie mógł mu się oprzeć i kupił trochę. Kupił jeszcze pomarańcze i wyszedł.

Wracając nad rzekę, już z daleka zobaczył, że Julia zdjęła T - shirt i była tylko w czarnym kostiumie kąpielowym, który musiała mieć pod spodem. Miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, zdjęła sandały i podwinęła szorty. Jej nogi były długie i opalone, z wyjątkiem kostek i stóp, gdyż za dnia nie rozstawiała się z butami turystycznymi.

- Lubisz słońce - bardziej stwierdził, niż zapytał.

- Uwielbiam. Podobno nie jest takie dobre dla skóry, ale co mi tam. Mam włoską krew po mamie. Ed mówi, że będę wyglądała jak torebka na rękę.

- A twoja mama wygląda jak torebka na rękę?

- Tak, ale bardzo elegancka.

Connor roześmiał się. Usiadł obok Julii, zaczęli jeść ciasteczka i popijali je wodą mineralną, wpatrując się w słońce błyskające w wodzie. Powiedział, że jego ojciec w młodości przyjeżdżał w te strony łowić łososie.

- Przyływały tutaj na tarło, wiesz, są takie jasnoczerwone. Mówił, że było ich tyle, że rzeka wyglądała jak pełna krwi.

- Teraz już nie przyływają?

- Nie. W dole postawiono elektrownie i chociaż przenoszą tutaj trochę ryb, to przecież jest to coś zupełnie innego niż dawniej.

- Dlaczego ludzie robią takie rzeczy?

- Pewnie elektryczność wydaje im się ważniejsza od ryb.

Obrał pomarańczę i podał jej połówkę. Julia zjadła ją, ocierając sok z brody, i powiedziała, że to przepiękne miejsce, a on zaczął jej pokazywać szczyty, które przez lata zdobyli razem z Edem.

- Wiesz, jak jeszcze nazywają tę rzekę?

- To znaczy oprócz Salmon River, Rzeki Łososiowej?

- Mhm. River of No Return, Rzeka Bez Powrotu.

- Bo łososie nigdy nie wróciły?

Connor pokręcił głową z uśmiechem.

- Bo kiedy Lewis i Clark dotarli tutaj, ugrzęźli na amen i musieli jeść swoje konie.

- To raczej konie nigdy nie wróciły.

Druga nadeszła i minęła, a Eda ciągle nie było widać. Umówili się, że w razie jakichkolwiek problemów zadzwoni do domu handlowego, Connor zachodził więc tam kilkakrotnie, ale żadnych wiadomości nie było. Ile razy w odległości pojawił się jakiś samochód, przerywali rozmowę i patrzyli z nadzieją, że to Ed, ale wozy przejeżdżały obok i znikły. Po trzeciej oboje przenieśli się na werandę domu handlowego i czekali następną godzinę, rozmawiając i popijając wodę mineralną. A Eda jak nie było, tak nie było.

Connor widział, że Julia zaczyna się denerwować, chociaż starała się tego nie okazywać. Także on nie mógł zrozumieć, dlaczego Ed nie dzwoni sam czy przez kogoś innego. Z automatu zadzwonił do bazy w Missouli i dowiedział się, że ogień w Kalifornii wybuchł w nocy z dawną siłą, dlatego też Ed i jego koledzy byli nadal potrzebni na miejscu. Julia domyśliła się czegoś z pytań Connora, nie zdążyli jednak zamienić jeszcze żadnego słowa, kiedy na zewnątrz wybiegła sprzedawczyni i powiedziała, że w środku jest do niego telefon.

- Connor?

- Cześć, Ed. Właśnie zadzwoniłem do bazy i powiedzieli mi.

- Przepraszam, naprawdę nie mogłem zadzwonić wcześniej, bo tutaj zrobiło się piekło.

- A u ciebie w porządku?

- Mhm, tylko jestem wściekły, że nie mogę teraz być z wami.

- No wiesz, rzeka nie wyschnie. Zrobimy to innym razem, a teraz wracamy do domu.

- Czyś ty zwariował? Macie tam wszystkie rzeczy, to płyńcie. Jak rzeka wygląda?

- W porządku.

- To płyńcie. Julia będzie zachwycona.

Connor zawahał się. Nie był pewien, czy Julia będzie chciała zostać tylko z nim sam na sam.

- Posłuchaj, Ed. Porozmawiaj z Julią. Stoi tu obok.

Oddał słuchawkę i zaczął chodzić po sklepie, udając, że ogląda towary, ale tak naprawdę słuchał, jak przebiega rozmowa. Spytała Eda, jak się czuje i czy jest ostrożny, on najwyraźniej mówił jej, jak mu przykro, że nie jest teraz w Stanley, i jak bardzo za nią tęskni, gdyż oznajmiła, że ona także tęskni.

- Pewnie, że tak zrobimy - rzekła i spojrzała na Connora. - On mówi, że to Rzeka Bez Powrotu, więc nie możemy się teraz wycofać.

Pożegnali się i przykazali, żeby każde dbało o siebie, aż wreszcie Julia znowu przywołała Connora do telefonu.

- Ed?

- To jak, płyniecie, tak?

- Jeśli... jeśli Julia tak chce.

- Pewnie, że chce. Nie poznaję cię, stary. Wiem, że to ja zwykle odwałam wiosłowanie, ale w dół rzeki powinienś sam dać sobie radę.

- O ile pamiętam, ty jesteś królem wywrotek.

- Słuchaj, muszę już kończyć. Bawcie się dobrze. I opiekuj się moją dziewczyną, pamiętaj.

Connor przyrzekł, że tak zrobi.

Starczyło pół godziny, żeby byli na rzece. Zostawił Julii wybór kanoe i zdecydowała się na czerwone. Zielone załadowali na pickupa, razem z częścią sprzętu, który teraz, pod nieobecność Eda, nie był już potrzebny. Sprzedawczyni obiecała, że będzie miała oko na samochód do czasu, aż przyjadą autobusem w niedzielę wieczorem. Kupili torbę wiśni, reszkę ciastek czekoladowych, podziękowali i ruszyli w kierunku rzeki.

Zatrzymało ich wołanie. Connor wrócił, a kobieta wyciągnęła rękę z jakimś przedmiotem.

- Pana dziewczyna zostawiła okulary przeciwsłoneczne. W pierwszym odruchu chciał sprostować, ale tylko podziękował.

Nałożyli kamizelki ratunkowe, zdjęli buty, obie czarne torby wcisnęli między siedzenia. Julia siadła z przodu, a wtedy Connor skierował dziób kanoe w kierunku środka rzeki, odepchnął się i sam zajął miejsce. Powoli oddalili się od brzegu i pozwolili się nieść nurtowi.

Woda była zimna, czysta i bardziej bystra, niż wydawało się z brzegu. Pod nimi wodorosty falowały jak włosy topielic, a ryby w popłochu uciekały przed kanoe i jego cieniem. Słońce nie było już tak palące, a zapadając się coraz niżej, rozpałało trawy i kwiaty wzdłuż zachodniego brzegu, a także powlekało złotem chmary much unoszących się nad wodą. Bydło, które zeszło się napoić, unosiło łby i przyglądało się im, podczas gdy woda skapywała im kroplami z pysków.

Wiele godzin spędzili na rozmowie, teraz więc dobrze było pomilczeć i wsłuchać się w szelest wioseł oraz otaczające ich dźwięki. Julia wiosłowała krótkimi, mocnymi pociągnięciami i

widać było, że nie jest to dla niej pierwszozna. Znowu związała włosy bandaną, a Connor w żaden sposób nie mógł uniknąć wpatrywania się w znamię widoczne tuż nad kamizelką.

Skończyły się łąki, koryto stało się węższe i rzeka przyspieszyła biegu. Także brzegi zaczęły rosnać i nie wiadomo kiedy płynęli już krętym kamiennym wąwozem, którego szczyty porastały jodły, a ciemniejące niebo widać już było tylko nad głowami. Tylko wtedy, gdy rzeka skręcała na zachód, widzieli słońce, a woda zamieniała się wtedy w płynne złoto.

Patrzyli, jak krążący w górze rybołów nagle stulił skrzydła i runął ku wodzie niczym kamień, by w następnej chwili poderwać się w górę, a w jego szponach trzepotała się srebrzysta zdobycz. Za jednym z zakrętów zobaczyli rodzinę wydr bawiących się na płyciźnie. Młode rozpryskując wodę, w popłochu rzuciły się do matki, ona jednak ukazała tylko jaśniejsze futro na szyi, unosząc łeb i odprowadzając wzrokiem odpływające kanoe. Julia odwróciła się i przesłała mu uśmiech, Connor odpowiedział tym samym. Wszystko odbyło się w milczeniu.

Dotarli do miejsca, gdzie rzeka miała małe rozlewisko, tu bardziej wartka, tam tworząca nieruchome na pozór oka, a Connor widząc na południowym brzegu wznoszącą się dziesięć, może dwanaście stóp nad wodą skalną płytę, rozpoznał miejsce, gdzie poprzednim razem obozowali z Edem. Wyciągnęli kanoe na brzeg, zanieśli bagaże na płytę, a gdy Julia zajęła się zbieraniem drewna i rozpalaniem ogniska, Connor wyjął spinning oraz muchy i wyszedł na płyciznę.

Owady uwijały się nad powierzchnią, ryby pływały dookoła, więc już przy drugim ściągnięciu miał branie. Patrząc z góry Julia wydała okrzyk, on spojrzął na nią z triumfalnym uśmiechem, w efekcie czego omal nie stracił ryby. Ostatecznie jednak ściągnął ją do siebie - był to piękny pstrąg, ważący około dwóch funtów, którego upiekli na małym ogniu. Mięso było tak różowe jak wieczorne niebo nad głowami, a smakowało przede wszystkim rzeką.

Wykończyli ciastka, zjedli także trochę wisienek, potem Julia rzuciła mu wyzwanie w pluciu do celu, oznajmiając, że jest w tym mistrzynią świata. Założyła się z nim o dolara, że nie trafi w trzech próbach we wskazany kamień w rzece. Przyjął wyzwanie i trzy razy przegrał. Wtedy założyła się o kolejnego dolara, że wszystkie trzy próby będzie miała trafne, i wygrała. Connor zmienił zatem cel, ale znowu dwukrotnie został pokonany, co nie było trudne, gdyż śmiał się tak bardzo, że miał wielkie trudności z jakimkolwiek splunięciem, a co dopiero mówić o celnym. Mimo to założył się (na zasadzie: jeśli Julia wygra - podwaja wygraną, jeśli przegra - traci wszystko) o to, kto splunie dalej, tutaj bowiem zwycięstwa był już całkowicie pewien. I chociaż śmiała się nie mniej od niego, znowu wygrała i zainkasowała osiem dolarów. Uznał, że to już wystarczy.

Potem zasiedli przy ognisku, znowu mówiąc niewiele i patrząc, jak ciemnieje rzeka, a niebo z różowego staje się granatowe i czarne. Connor czuł się nieco skrzepowany kwestią spania. Wyjął

dwa namioty i spytał Julię, który woli, a on go rozbije. Do diabła z namiotami, powiedziała jednak, to grzech w taką noc, w takim miejscu nie spać pod gołym niebem. Rozłożyli więc śpiwory przy ognisku, a Connor zapakował jedzenie i poszedł powiesić je na drzewie, aby dać Julii czas na przebranie się.

Ogień dogasał, a oni leżeli i patrzyli w gwiazdy. Julia spytała, czy zna ich nazwy, i kompletnie ją zaskoczył, gdyż znał niemal wszystkie. Opowiedział jej o swoim ojcu i jego gwiazdnych opowieściach.

- Wydaje się, że był dobrym nauczycielem.

- Chyba tak. Ale ty, zdaje się, też jesteś niezgorsza.

- Nie, bo za bardzo się przejmuję. Jak na przykład ze Skye.

- To nie może być nic złego.

- Ale jest. Może być.

- Z tego, co mówiłaś, zrozumiałem, że gdyby nie twoja troska, nie doszłoby u niej do takiej przemiany.

- Troska to coś innego. A zresztą... Nie wiem.

Jedna po drugiej pojawiły się dwie spadające gwiazdy i Julia poprosiła, by każde z nich wypowiedziało w duchu sekretne życzenie. Connor pominął to, czego naprawdę pragnął, i wypowiedział w duchu prośbę, by całej trójce się poszczęściło, cokolwiek miałyby to znaczyć. Znowu umilkli, aż wreszcie odezwała się Julia.

- Pamiętasz książkę o tym fotografie?

- Larrym Burrowsie?

- No. Czy ty też chciałbyś się czymś takim zajmować?

Ciekawe, jak domyśliła się czegoś, do czego sam przed sobą ledwie się przyznawał?

- Czy ja wiem? Może jakaś częśćka mnie chce tego.

Długa cisza.

- Connor?

Było w jej głosie coś takiego, że podniósł oczy i w gasnącym żarze ogniska dostrzegł utkwiony w sobie wzrok.

- Tak?

- Nie rób tego. Bardzo proszę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pożar na Snake Mountain, który miał wstrząsnąć życiem tak wielu ludzi, zaczął się od pioruna. Uderzył pewnej cichej i bezksiężycowej nocy nieopodal skalistej grani, gdzie na skraju lasu sterczała martwa, pozbawiona już kory sosna, o drewnie wyblakłym przez kilka słonecznych miesięcy letnich. W momencie uderzenia wytrysnęła znienacka z czerni nocy, ziemia wokół zadygotała, małe kawałki skał wyleciały w górę i potoczyły się po zboczu, a cienkie języki ognia zaczęły pełzać po nagim pniu.

Pośród świadków tego rozdarcia powietrza i drewna nie było człowieka. Być może gdzieś w lesie łos rzucił się w bok, przemykając między drzewami, może sowa zmieniła nagle lot i minęła swój łup, może przebiegający wilk zamarł na chwilę w zaroślach i podniósł żółtawe ślepia ku niebu. Echo jednak zaraz ucichło i znowu nastała cisza. I jedynym świadectwem tego, że coś się stało, był dym, który przez pewien czas sączył się z rozprutej sosny, ale i on dość szybko zniknął.

Słońce wschodziło nad światem na pozór nie zmienionym. Jego czerwona kula wzniosła się spoza grani, a wraz z nim od północy nadleciała para kruków, które przysiadły na martwym drzewie.

Snake Mountain, Wężowa Góra, nosiła swe imię nie od grzechotników, których istotnie było tutaj sporo, lecz od powstałego sejsmicznie przed milionami lat zygzakowatego układu skalnych żeber i parowów po zachodniej stronie. U podnóża i blisko szczytu była porośnięta sosnami i jodłami, pośrodku znajdowała się partia pokryta rumowiskami i spieczoną trawą. Występy skalne były z wapienia, a zagłębienia między nimi wypełniały zarośla tak gęste i kolczaste, jakby były zasiekami pozostałymi po jakiejś dzikiej wojnie. W dole góra przechodziła w kanion, który cztery tysiące stóp niżej zbiegał do północnego odnóża Hope River.

To właśnie widziały kruki, które odczekały, aż słońce ukaże całą swą tarczę, by potem wzbic się i leniwymi uderzeniami skrzydeł pozęgłować na południe, a potem znowu na wschód nad inną granią, by wreszcie spłynąć w długi, kręty kanion.

Skye usłyszała ich żalosne wołanie, popatrzyła w górę i odprowadziła wzrokiem, gdy frunęły między skałami kanionu.

- Tak chciałabym się urodzić po raz drugi. Stojąca obok Julia także przypatrywała się ptakom.

- Jako kruk?

- No. Ale to musi być bomba tak latać. Więc następnym razem to będę ja.

Julia wzruszyła ramieniem.

- Nie wiem, czy warto. Ja byłam krukiem w poprzednim życiu. Latanie jest OK, ale jedzenie... Nic, tylko zgniłe mięso, fuj!

Skye spojrzała na nią ze śmiechem.

- Fajna jesteś.

- Dzięki.

- Mówię prawdę.

Powróciła sucha spiekota wczesnego lata i odpowiednio do tego Julia zmieniła zwyczaje grupy. Wstawali wcześniej i maszerowali tak długo, jak długo była w powietrzu choć odrobina chłodu. Koło jedenastej, kiedy upał stawał się zbyt wielki, znajdowali jakieś schronienie i pozostawali tam do czwartej, aż nieco zelżał. W tym czasie czytali, pisali w dzienniczkach, realizowali jakieś grupowe akcje artystyczne. Poprzedniego dnia malowali sobie twarze.

Pomysł pochodził od Skye, a gdyby ktoś zgłosił go kilka tygodni wcześniej, to ona pierwsza wydrwiłaby autora, że to dziecinna głupota. Mniej więcej tak zresztą zachował się Mitch dzień wcześniej. Skye nie oburzyła się, lecz wyjaśniła, co ma na myśli.

- Nie chodzi mi o pacykowanie się jak jacyś klowni, lecz żeby każdą połowę twarzy pomalować oddzielnie. Jedna to będzie to, czym byłeś lub jesteś, a druga - to, czym chciałbyś być.

Lester oznajmił, że nie rozumie, więc Skye wyjaśniła raz jeszcze, powoli i dokładnie, a kiedy Lester pokiwał radośnie głową, powiedziała:

- No to dobra, do roboty!

Ponieważ mieli tylko jedno lustro, więc połączyli się w pary i jedna osoba mówiła drugiej, czego chciała. Skye kazała Byronowi pomalować lewy policzek na granatowo z krwawymi łzami skapującymi z oczu, a także wygiętymi w dół kącikami oka i ust. Prawa połowa była żółta, z czerwonymi, pomarańczowymi i zielonymi gwiazdkami na czole i policzku, a kąciki ust i oka podnosiły się w górę w promiennym uśmiechu. Dopiero, kiedy skończyli, każdy mógł obejrzeć siebie w lusterku; Skye pochwaliła Byrona, że dobrze się spisał.

Dzisiaj zatrzymali się w cieniu starych topól porastających brzeg wyschniętego strumienia i najpierw zjedli spóźnione śniadanie, następnie przez pół godziny robili zapiski w dzienniczkach. Dno łożyska pokrywały kamienie najróżniejszych barw i kształtów, na brzegach było pełno zeschniętego drewna, Julia zaproponowała więc, by nazbierali najróżniejszych materiałów i sporządzili rzeźbę. Następne pół godziny spędzili na przerzucaniu się pomysłami, żaden jednak nie uzyskał powszechnej zgody.

Skye trzy razy przeczytała książkę otrzymaną od Johna Czujnego Ptaka i miała głowę pełną opowieści Czarnego Łosia, zaproponowała więc w końcu, żeby zrobili pomnik Szalonego Konia. Kiedy opowiedziała im trochę o wodzu Oglala, wszyscy zapalili się do projektu i rozbiegli wzdłuż

wyschniętego koryta w poszukiwaniu odpowiednich materiałów.

Znaleźli pień zwalonego drzewa, który przypominał sylwetkę konia, i oparli na czterech stosach płaskich kamieni, które miały symbolizować nogi. Julia wydobyła ze swoich rzeczy pudełko z farbami, wszyscy pomalowali sobie dłonie na czarno i zostawili odciski na jego bokach i szyi. Z kolei duży konar rozwidlony na końcu mógł naśladować nogi jeźdźca i tułów; ramionami stała się przymocowana w poprzek gałąź. Podczas gdy jedni montowali konstrukcję, drudzy rozeszli się w poszukiwaniu innych materiałów do dekoracji.

Skye chciała znaleźć coś, co nadawałoby się na pióropusz. Zawsze powinni byli pozostawać w zasięgu wzroku opiekunów, kiedy jednak znalazła się na łuku dawnego strumienia, jej wzrok przyciągnęło coś leżącego między kamieniami po drugiej stronie. Niewiele myśląc, pobiegła w tamtą stronę. Były to resztki gęsi, która musiała zostać zabita w nocy, gdyż krew jeszcze całkiem nie wyschła. Wydarła kilka piór ze skrzydeł i ogona, zerwała trochę długich źdźbeł zeschłej trawy, a potem usiadła, splatając z nich opaskę dla piór.

- O rany, ale znalazłaś! Fajne!

Spojrzała w górę i zobaczyła uśmiechniętego Mitcha.

- To... Właśnie zobaczyłam.

- Mogę pomóc?

W pierwszym odruchu chciała odmówić, gdyż nie znosiła chłopaka, ale od czasu próby usiłowała być sympatyczna dla wszystkich. Zresztą Mitch usiadł, nie czekając na pozwolenie. Także zerwał trochę trawy i bezskutecznie usiłował coś z niej ukłęcić.

- Poczekaj - powiedziała. - Pokażę ci. Wzięła jego pęk i zaczęła zaplatać.

- Muszą trzymać się ciasno, bo inaczej pióra powypadają.

- Jasne.

- To masz.

Podawała mu źdźbła., ale ponieważ nie chciała, żeby się rozwinęły, więc ścisnęła je w palcach, on zaś złapał trawę tak, że ich palce i przedramiona się zetknęły. Instynktownie chciała zabrać rękę, ale przytrzymała ją, gdyż Mitch powiedział, że pęk się rozwiąże.

- Ale masz fajną skórę - mruknął.

- Co???

Teraz już cofnęła rękę, a splecione źdźbła się rozsypały. Patrzył na nie przez chwilę, a potem spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się.

- Naprawdę jest fajna.

Nie spuszczać oczu, wyciągnął dłoń i pogładził Skye po ramieniu. Zastygła jak sparaliżowana. Wyglądało na to, że on przyjął to jako rodzaj jej przyzwolenia, gdyż po chwili

podniósł się i pocałował ją w policzek. Ona nadal nie reagowała. Czuła tylko, że jej serce wali jak młotem. Patrzył na nią tak, jak czasami ojczym, kiedy wrócił późno, cuchnący alkoholem.

- Chodź - powiedział półgłosem, spoglądając nad jej ramieniem. - Nikt się nie dowie, możemy się schować tam za skały.

Wiedziała, że nikt ich w tej chwili nie widzi; z daleka dobiegały stłumione śmiechy. Mitch przesunął rękę i dotknął piersi, a wtedy w Skye coś eksplodowało i wierzchem dłoni uderzyła go na odlew w twarz.

- Cholera! - Zerwał się na równe nogi i chwycił za nos. - Ty dziwko!!!

- Jeśli dotkniesz mnie jeszcze raz, zabiję cię.

Ona także już stała. Chwyciła pióra, przeskoczyła na drugą stronę strumienia i odeszła. Coś jej szeptało, żeby uciekała, gdyż może ją gonić, ale zmusiła się do tego, żeby iść spokojnie i nie obejrzeć się ani razu.

- Ty mała kurewko! Tej twojej indiańskiej piczki nie tknąłbym nawet dziesięciostopowym drągiem!

- A co dopiero mówić o tym twoim świńskim ogonku!

Upłynęły już dwa tygodnie od wyprawy kanoe, a Julia nieustannie przypominała sobie jej przebieg i zastanawiała się, jak mogła przystać na coś, co ją tak bardzo zbulwersowało. Długo w noc przewracała się z boku na bok i słyszała, jak Lester mamrocze coś pod nosem. Usiłowała wykorzystać lata studiów psychologicznych, aby się nieco rozeznać w logice swoich uczuć, a kiedy i to się nie powiodło, z gniewem zaczęła ostro siebie karcić za uleganie swawolnym myślom w związku z najlepszym przyjacielem swego kochanka. Ale i to nie skutkowało.

Connor nie zrobił ani nie powiedział niczego, co zachęcałoby do takich myśli. Zachowywał się absolutnie bez zarzutu. Zdążyła już poznać jego poczucie honoru i lojalności wobec przyjaciela, mogła więc sobie wyobrazić, jak byłby zaszokowany, gdyby się dowiedział, jakie żywiła wobec niego uczucia. Tymczasem prawda była taka, że już wtedy na lotnisku, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, coś się w niej zmieniło.

Sama jego obecność wpływała na jej zachowanie, na to, co mówiła, jakby wszystko było do niego adresowane. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by jakiś mężczyzna tak na nią działał. Nie znosiła tego, jak postępowała jej matka, która zawsze przymilała się do swego nowego kochasia i niemal na kolanach nim zachwycała, aż w końcu okazywał się takim samym sukinsynem jak wszyscy inni. Julia więc za wszelką cenę starała się nie ulec takiej słabości. Teraz jednak straciła dawną pewność siebie.

Uparcie niczym mantrę powtarzała sobie, że to Eda kocha, i to kocha naprawdę. Ale podczas tego weekendu spędzonego na rzece nie potrafiła oderwać oczu od Connora. Pamiętała

każde jego słowo, każdy gest. Bardzo ją pociągały osobliwe skupienie i pewność siebie, które wyczuwało się w jego zachowaniu. Jakże piękny i pełen wdzięku wydał jej się tego pierwszego wieczoru, kiedy ze skarpy patrzyła, jak łowi ryby, a wokół połyskują złote promyki odbijające się w wodzie. Co gorsza, gdy leżeli przy ognisku o kilka jardów od siebie, nieustannie sobie wyobrażała, jakby to było całować się z nim, czuć jego ręce na sobie. Czuła fizyczny pociąg, który ją zawstydział i przerażał.

Ed przyleciał do Missouli w niedzielę i czekał już na nich w mieszkaniu. Przygotował kolację powitalną, zresztą zorganizował niezwykle ciepłe powitanie, i tak świetnie było znowu go zobaczyć. Kiedy kochali się tej nocy, nieustannie mu powtarzała, jak za nim tęskniła i jak go pragnie, a zarazem wiedziała, że to nie Eda chce upewnić, ale samą siebie. I nie mogła odegnać od siebie myśli o Connorze leżącym w pokoju za ścianą.

Miała nadzieję, że powrót do grupy jakoś złagodzi ten zamęt duchowy. Tymczasem wzrósł on tylko bardziej, z czym łączyła się trwoga, że zmarnuje wielką okazję. Albowiem przemiana Skye oznaczała też przemianę całej grupy. Po powrocie w jakiś naturalny sposób stała się ośrodkiem obozowego życia. Była radosna, pełna pomysłów i energii, co udzielało się wszystkim, uczestnikom i wychowawcom. Czegoś takiego Julia nigdy jeszcze nie widziała; zupełnie jakby narodziła się całkowicie nowa osoba.

Kiedy więc teraz Skye zjawiła się z piórami, Julia od razu wiedziała, że coś się stało. Na twarz dziewczyny wróciła dawna zaciętość. Kiedy spytała, w czym problem, Skye tylko wzruszyła ramieniem i nic nie odpowiedziała. Kilka minut później zjawił się Mitch i pomimo wszelkich starań nie mógł ukryć zakrwawionego nosa. Na pytanie Julii odrzekł, że się pośliznął i uderzył głową w drzewo. Potem widziała, jak rozmawia z Paulem i Wayne'em, którzy krzywo spoglądają na Skye.

Rzeźba Szalonego Konia wyglądała znakomicie, ponieważ jednak Skye straciła całe zainteresowanie, dowództwo objął Byron. Polecił, by każdy przyczepił coś kolorowego, bandanę, wstążkę, skrawek materiału. Lester znalazł czaszkę borsuka, Scott - odłamany róg jelenia, a gdy dołączyli do tego pióra szczipione przez Skye, powstało niepokojąco dziwne nakrycie głowy. Dziewczyna przez cały czas siedziała na uboczu, czasami przyglądając się pracy, czasami patrząc gdzieś w dal. Nie pomagały żadne zachęty Julii, więc kiedy rzeźba była już prawie gotowa, Julia dosiadła się do Skye.

- No i jak ci się wydaje? Niezła, prawda?

Skye zerknęła na wspólne dzieło.

- Tak. Fajna.

Mówiła tak cicho, że Julia musiała się nachylić, i wtedy zobaczyła łzy w jej oczach.

- Powiedz mi, co się stało.

Skye potrząsnęła głową, odwróciła oczy i wierzchem dłoni otarła łzy. Julia objęła ją ramieniem, spodziewając się, że dziewczyna może ją odtrącić, ale ona, przeciwnie, położyła głowę na piersiach Julii i mocno otoczyła ją ramionami. Julia gładziła dziewczynę po włosach i siedziały tak w milczeniu.

- No, już dobrze, kochanie, wyrzuc to z siebie.

Spojrzała w kierunku rzeźby i zobaczyła, że Mitch, Wayne i Paul patrzą w ich kierunku, ale szybko uciekli spojrzeniem przed jej wzrokiem. Zbliżyła się Katie i spytała, czy wszystko w porządku. Julia spokojnie odrzekła, że tak, a wtedy Skye coś mruknęła.

- Co takiego, kochanie?

- Stało się coś niedobrego.

Julia znowu zaczęła ją wypytywać, nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi, ale Skye przestała płakać i udało jej się zapanować nad sobą. A kiedy o czwartej, po obiedzie, zostawiali za sobą Szalonego Konia dumnie spoglądającego na strumień, wydawało się, że Skye wróciła już do normy.

Zanocowali w kamienistej kotlinie na wschodnim zboczu Snake Mountain. Podczas przygotowań do kolacji Julia odeszła trochę na bok, aby jak zwykle połączyć się z bazą i podać Glenowi, gdzie się znajdują. Powiedziała mu, że następnego dnia chcą pokonać grań i zejść do rzeki. Glen zapytał o podopiecznych, więc poinformowała go, że doszło do jakiejś scysji między Skye i Mitchem, ale teraz już chyba wszystko znowu jest w porządku. Wymienili jeszcze parę rutynowych uwag, a na koniec Glen dodał, że Służba Leśna ogłosiła stan zagrożenia pożarowego, muszą więc bardzo uważać z rozpalaniem ognia.

Podczas wieczornego ogniska Julia zwracała uwagę na wszelkie przejawy napięcia pomiędzy siedzącą obok niej Skye i Mitchem, ale niczego nie zauważyła. Pierwszy zabrał głos Lester. Oznajmił, jak bardzo ucieszyła go praca przy Szalonym Koniu, a pochwałą obdarzył Byrona, który najwięcej zrobił przy rzeźbie. Scott spytał Skye o imiona Indian i jak Szalony Koń dostał swoje, na co odpowiedziała, że nie wie, natomiast pamięta, że wódz miał także inne imiona: Kędzior i Doglądający Swoich Koni. Byron przypomniał, że w czytanej przez Skye książce jeden z Indian nazywał się całkiem śmiesznie: Nie Wypędzisz. Przypuszczał, że pretekstem dla imion było jakieś zdarzenie czy coś, co dana osoba zrobiła. Zastanawiali się nad tym przez jakiś czas, aż wreszcie Lester spytał Skye:

- A jakie jest twoje?

- Moje? - powtórzyła Skye. - Nie mam.

- To musimy ci nadać.

Mitch szepnął coś do Paula, a ten zachichotał.

- Może i z nami podzielisz się swoją uwagą, Mitch? - odezwała się Julia.

- Nie, to osobista sprawa.

- Mitch, znasz reguły, tak się nie robi w towarzystwie. Słuchamy więc, co takiego śmiesznego powiedziałeś Paulowi.

- Tylko taki żart.

- No to może wszyscy się pośmiejemy.

Mitch spojrział na Paula, który chichocząc, kręcił głową, a potem spojrział Julii prosto w oczy z taką agresją we wzroku, że z góry wiedziała, że nie należało na niego naciskać.

- Trudno, skoro sami chcecie. Wcześniej widziałem, jak się do siebie czulicie, więc teraz pomyślałem, że mogłaby się nazywać Pchła Na Suczce.

Paul i Wayne znowu się roześmiali, ale nikt więcej się nie przyłączył. Julia nie wierzyła własnym uszom, wszyscy spoglądali na nie obydwie.

- Mitch, to absolutnie nie w porządku - ostro powiedział Scott, a jednocześnie Byron zawołał, że to podłe i obrzydliwe, czemu zawtórowało kilka głosów.

Skye zerwała się i odchodziła już od ogniska.

- Mówiłem przecież, że to tylko żart, nic więcej.

- Nie, durniu, to żaden żart! - krzyknął Byron.

- Spoko, bracie, czy to moja wina, że się do niej podwalasz?

Gdyby nie Scott, doszłoby do bójki między Byronem i Mitchem. Julia zawołała za Skye, żeby na nią poczekała, ale dziewczyna nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Do Mitcha rzuciła:

- Czeka cię długa i poważna rozmowa ze mną.

Z niewinnym wyrazem twarzy podniósł do góry ręce.

- Dobrze, dobrze, ale przecież przepraszam, już w porządku?

- Nie, niedobrze.

Zanim zdążył coś odrzec, poprosiła Katie, żeby poszła z nią, i obie pospiesznie ruszyły za Skye.

Znalazły ją, ale upłynęła co najmniej godzina, zanim zdołały ją uspokoić. Z oporami zgodziła się wrócić do ogniska, gdzie czekali inni. Po Mitchu widać było, że zdrowo natarli mu uszu. Skye usiadła ze wzrokiem wbitym w płomienie, a Mitch przeprosił ją i Julię za to, co powiedział, Paul i Wayne zaś przeprosili za swój śmiech. Skye kiwnęła głową, ale ani się nie odezwała, ani na nich nie spojrziała. Zupełnie jakby znowu zamknęła się za ciężkimi drzwiami.

Nikt już nie miał ochoty na rozmowę, zgasili więc ogień, a Katie, Laura i Scott jak zwykle zebrali od nich spodnie i buty, po czym wszyscy zaczęli się szykować do spania. Julia i Katie

ułożyły się po obu stronach Skye, która uśmiechnęła się smutno do Julii.

- Dzięki - powiedziała cicho.

- Za co?

- Że we mnie wierzyłaś.

Julia pogłaskała ją po włosach.

- Jesteś wspaniałą osobą, Skye.

- Nie. Znowu wszystko zawałam.

- Nie. Takie rzeczy się zdarzają. To, co ktoś mówi, nie zmienia przecież tego, kim jesteś.

Pamiętasz, co ciągle powtarzaliśmy? To taka podróż. Życie streszcza się nie w tym, co ci się przydarza, lecz w tym, jak reagujesz. A ty dajesz sobie świetnie radę.

- Może.

- Wierz mi.

Powiedziały sobie dobranoc, ale Julia długo jeszcze zerknęła na wpatrzoną bezmyślnie w niebo Skye. Wreszcie dziewczyna zamknęła oczy i odwróciła się na bok, ale dopiero kiedy Julia pewna była jej snu, pozwoliła sobie na myśli o czymś innym. A właściwie, jak to stało się zwyczajem, o kimś innym. Z obrazem Connora przed oczyma także ona zapadła w sen.

A tymczasem o jakąś milę od obozu, po drugiej stronie grzbietu, w skorupie zeschniętej sosny czaiła się pamiątka pioruna z poprzedniej nocy. Był to kłęb rozgrzanego puchu, który ani się już nie jarzył, ani nie dymił. I najprawdopodobniej wygasłby do reszty, gdyby w nocy nie zerwał się wiatr i nie wdarł się do środka pnia poprzez szczeliny zrobione przez mrówki i korniki. Wiatr jednak powiał, a od podtrzymywanego ciepła zajęło się drewno i zeschnięta w nim żywica; zrazu przygasało i znowu się rozżarzało, aż w końcu zaczęło palić się na dobre.

Trawa i krzewy wokół starej sosny były suche, kruche i szeleściły na wietrze, kiedy więc zapłonął cały pień i zaczęły z niego lecieć ogniste kawałki, podściółka zajęła się w jednej chwili. Nie trzeba było długo czekać, a w ogniu stanął cały stok.

Może na tym by się skończyło i zostałyby po pożarze tylko szerniała płachta ziemi, gdyby jedna z płonących żywym ogniem gałęzi nie znalazła drogi na tyle stromej, że dotarła do pierwszych drzew lasu. Ten zaś był tak wyschnięty, że ogień z błyskawiczną szybkością zaczął przenosić się z krzaka na krzak i z drzewa na drzewo, zupełnie jakby ten rozpaczliwy brak wody chciały sobie zrekompensować innym elementem.

Julia nie potrafiłaby powiedzieć, czy rano zbudził ją zapach dymu czy jakieś inne wrażenie poruszyło jej zmysły. Tak czy owak, ledwie otworzyła oczy, już wiedziała, że coś jest niedobrze. Kiedy poczuła dym, w pierwszej chwili pomyślała, że niedokładnie zdeptali ognisko, w panice usiadła więc i spojrzała w kierunku miejsca, gdzie siedzieli wieczorem. Tam jednak nie było widać

ani jednej smużki, a kiedy ponownie wciągnęła powietrze nosem, nie poczuła żadnej niebezpiecznej woni. Widocznie musiało się jej wydawać albo zapach ogniska utrzymywał się w jej włosach i rzeczach. Uspokojona położyła się z powrotem, ale uczucie zaniepokojenia nie ustępowało.

Coś jednak było nie tak. A może po prostu było inaczej. Może to szelest drzew, od tak dawna bowiem panowała zupełnie bezwietrzna pogoda. Niemal zupełnie przekonała siebie, że to tylko przywidzenie, kiedy znowu poczuła dym. Podniosła się raz jeszcze. Wszyscy poza nią spali, Skye jak zwykle głęboko zagrzebana w śpiwór, z głową schowaną do środka. Spojrzała na zegarek: piąta trzydzieści. Wyśliznęła się ze śpiwora i wstała. Z worka używanego jako poduszka wyjęła spodnie i buty, nałożyła je i weszła w las.

Wąską ścieżynką wydeptaną przez jelenie poszła w górę, od czasu do czasu spoglądając na kołyszące się na wietrze czubki drzew. Zapach dymu stawał się coraz silniejszy. Zauważyła, że drzewa rzadnieją, a kiedy wyszła na skraj wielkiej polany, zobaczyła niebo i szczyt, a także słońce wynurzające się spoza wschodniej grani i oświetlające chmurę unoszącą się nad nią. Właśnie zaczęła sobie myśleć, jaki to piękny widok, kiedy nagle zorientowała się, że z wyjątkiem tego jednego miejsca niebo jest wszędzie czyste i że nie jest to normalny obłok, tylko gnana wiatrem chmura dymu. Poczła zimny dreszcz.

Najszybciej jak mogła, pobiegła z powrotem. W obozie nikt się jeszcze nie poruszył. Po cichu zbudziła Katie, Laurę i Scotta. Trzymając palec na ustach, poleciła, by poszli za nią. Kiedy odeszli na bok, Julia szeptem poinformowała, że pali się las, dlatego też cały obóz musi jak najszybciej się zbierać i uciekać, ale nie można dopuścić do paniki.

- Pali się po drugiej stronie zbocza. Wrócimy drogą, którą tutaj doszliśmy, i wszystko będzie w porządku. Jakież pytania? Nie? W porządku. Budźcie wszystkich, a ja połączę się z Glenem.

Wyjęła radio i odeszła, szukając najlepszego miejsca, gdy pędem wróciła Katie.

- Julio! Julio!!!

Odwróciła się i czekała, aby podeszła bliżej. Katie nadal była w podkoszulku i w majtkach, w których spała.

- Nie ma Skye!

- Co takiego?!

- Musiała wymknąć się w nocy. Wepchnęła swój plecak do śpiwora. Zabrała moje buty i spodnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ed unosił się w bajecznym basenie kalifornijskim, który okalały drzewa palmowe. Słońce tańczyło na wodzie, na drugim końcu przylegającego do basenu patio znajdował się rozległy biały dom z egzotycznymi kwiatami na tarasie, gdzieś zza niego dobiegał odgłos fal oceanu, było więc oczywiste, że zasłynął już jako kompozytor, wszystko to bowiem należało do niego. No, może z wyjątkiem oceanu. Wszystko, włącznie z piękną kobietą, opalającą się nago na tarasie. Płynął powoli w jej kierunku, dotyk wody był tak wyraźny, cudowny. I dobrze wiedział, co będą robili, kiedy znajdzie się już u boku kobiety. Wtedy rozbrzmiał telefon. Aż do tej chwili był pewien, że tą kobietą jest Julia, ale telefon wszystko pokiełbasił, bo kiedy uniosła głowę - uou! - poznał swoją matkę.

Otworzył szeroko oczy i w tej samej chwili urwał się dzwonek telefonu, a rozległ głos Connora.

- Halo? Cześć, Hank. Tak, jest tutaj. - Dłuższa przerwa.

- Powiem mu. Zaraz ruszamy.

Szczęknięta odkładana słuchawka, a w następnej chwili na progu stanął Connor.

- Ed?

- Na Boga, która jest godzina?

- Najwyższy czas, żeby nałożyć na plecy spadochron, stary.

- Gdzie się pali?

- Lewis i Clark. Snake Mountain.

Ed gwałtownie usiadł.

- Tam przecież...

- Wiem. Julii nic nie grozi. Pali się na przeciwnym zboczu, a oni już się stamtąd wynoszą.

Ale brakuje jednej osoby z grupy.

Katie pierwsza znalazła ślady Skye. Rozpoznała wzór podeszew swoich butów w miejscu, gdzie wczoraj nie była - zaraz na początku ścieżki, którą z rana przeszła się Julia. Podczas gdy Katie nakładała spodnie i buty Skye, Julia w pośpiechu spakowała dla nich dwóch zapas jedzenia i wody, mapę gór, kompas i lornetkę. Szybko ruszyły tropem Skye między drzewami. Nie było łatwo. Ziemię zaścielały igły sosnowe i niekiedy dopiero po dwudziestu, trzydziestu jardach na powrót odnajdywały ślady.

Wielokrotnie łącząc się przez radio, Glen i Julia uzgodnili plan: Scott i Laura poprowadzą grupę na południe, podczas gdy Julia i Katie zaczną szukać Skye. Zaalarmowano już Służbę Leśną

i policję. O pożarze doniesiono, zanim Julia połączyła się z bazą. Zauważyło go z awionetki dwóch zoologów; z Missouli wysłano już samolot ze strażakami.

- Na pomoc leci twój chłopak - powiedział Glen. - To takie romantyczne.

Z trudnością powstrzymała się od jakiejś gniewnej reakcji. Wiedziała, że miał dobre intencje, ale jej nie było teraz do żartów. W jakiś niewytłumaczalny sposób wiedziała, że to prawda. Od ponad tygodnia nie rozmawiała z Edem, nie miała pojęcia, jak wysoko na liście skoków są teraz on i Connor. Zresztą równie dobrze mogli właśnie gasić jakiś pożar w Kalifornii. Na poły miała zresztą nadzieję, że tak właśnie jest.

Katie ciągle obwiniała się, że nie zabezpieczyła odpowiednio swoich spodni i butów, co było jedną z reguł, jakich powinni się trzymać wychowawcy. Julia już trzy razy jej powtarzała, żeby się tak bardzo nie zadręczała, bo to mogło się przytrafić każdemu z nich, w końcu jednak straciła cierpliwość, zatrzymała się i ofuknęła ją.

- Słuchaj, Katie, nie tylko ty masz sobie coś do wyrzucenia. Powinnam była się zorientować, że na coś się zanosi. Trzeba było pilnować jej na zmianę. Skończmy więc już z tymi ubolewaniami, że obie czujemy się winne, i zabierzmy się do roboty. Zabrzmiało to trochę ostrzej, niż chciała. Katie spłoszona pokiwała głową i potem przez długi czas szły w milczeniu, jeśli nie liczyć informacji, że któraś odnalazła ślad Skye.

Ale jej wyrzuty sumienia były większe, niż mogłoby wynikać z tych słów. Nadal nie wiedziała, co zaszło między Skye i Mitchem, ale poczuwała się do winy, że pozwoliła na to, by znaleźli się poza obserwacją. Gdyby była bardziej czujna, do niczego by nie doszło. Ostatnio stały się ze Skye prawie tak bliskie jak siostry, często chodziły objęte, co jej wydawało się zupełnie naturalne. Nie zastanawiała się nad tym - choć powinna - że postronni obserwatorzy, a już szczególnie tak niechętni jak Mitch, mogli w tym dostrzec jakieś aspekty lesbijskie. Tak była zachwycona przemianą, jaka dokonała się w Skye - po tych wszystkich tygodniach napięć i kołotania serca - że przestała zwracać uwagę na inne elementy sytuacji. Zapomniała, jak łatwo może pojawić się zło.

A do jednego nieszczęścia dołączyło się drugie i oto teraz mieli podopieczną zaginioną w okolicy, gdzie szalał ogień. Nie uważała się za osobę religijną. Po nieprzyjemnych doświadczeniach z zakonnicami w szkole podstawowej stała się katoliczką zdecydowanie niepraktykującą. Kiedy jednak teraz spoglądała w kierunku szczytu i unoszącej się nad nim szarej chmury, niespodziewanie dla samej siebie zaczęła się modlić do Matki Boskiej.

W trzech czwartych drogi na szczyt trawę zastąpił żwir i ślady zupełnie znikły, ale po obu stronach stoki były tak strome, że Julia wątpiła, by Skye gdzieś zboczyła. Wszystko zależało od tego, co zamierzała. W nieznannej górskiej okolicy uciekające dzieci zwykle robiły jedno z dwojga.

Albo schodziły w dół brzegiem jakiegoś potoku, w nadziei, że doprowadzi je do jakiejś drogi, albo szły jak najwyżej, żeby móc stamtąd wypatrzeć najlepszą drogę ucieczki. Jak dotąd, ślady Skye sugerowały pierwsze rozwiązanie. Tyle że była jeszcze jedna możliwość, o której Julia nawet bała się myśleć. Istniał jeszcze jeden sposób ucieczki, i to najbardziej radykalnej.

Nieustannie powracała do niej ich ostatnia rozmowa, podziękowanie Skye i jej słowa, że wszystko zawaliła. Teraz brzmiały one złowieszczo, jak pożegnanie, a ilekroć je sobie przypominała, tylekroć czuła zimny pot na krzyżu.

Były już blisko grani, a kiedy na niej stanęły i zobaczyły drugie zbocze, Julia po raz pierwszy mogła z tak bliska spojrzeć na szalejący ogień i zniszczenia, których już dokonał. Jakies tysiąc stóp w dół ciągnęło się jedno pogorzelsko ze sterczącymi zwęglonymi kikutami, które rozżarzały się przy każdym podmuchu. Niżej, za jedną z licznych poprzecznych pręg skalnych las był jeszcze nie ruszony przez ogień, ale za nim, tam, gdzie ustępował miejsca trawom i pokrytym krzakami zbiegającym się parowom, w kilku miejscach, gdzie musiały paść niesione wiatrem iskry, pełgały białe dymy.

Wiatr gnał czoło pożaru na północ i wschód przez góry. O nie dalej niż pół mili od siebie Julia widziała wysoką ścianę ognia przesuwającą się między drzewami. Nigdy dotąd nie spotkała się z pożarem lasu i widok ten wprawił ją w dziwne odrętwienie. Ze względu na ryk, huk płomieni i trzask płonących drzew, pożar trochę przypominał bestię przedzierającą się między drzewami. Oderwała oczy od ognia i dokładnie obejrzała pogorzelsko, ale nie zauważyła na nim żadnego śladu życia. Wyjęła mapę i znalazła miejsce, w którym się teraz znajdowały.

- Gdybyś była Skye - spytała - dokąd byś się stąd skierowała?

Katie nie odpowiedziała od razu, a kiedy Julia zerknęła na swą towarzyszkę, zobaczyła, że i ona jak urzeczona wpatruje się w ogień. W jej wzroku widać było grozę.

- Katie, tutaj nam nic nie grozi. Ed zawsze powtarza, jak jesteś na czarnym, wszystko jest w porządku. A tutaj dokoła czarno. Jesteśmy bezpieczne.

Katie pokiwała głową.

- No to co byś zrobiła? Dokąd byś stąd poszła?

- Nawet nie wiemy, czy się tu dostała.

- Ale powiedzmy. To dokąd?

Katie zastanowiła się przez chwilę. Zerknęła na mapę, a potem wskazała na lewo, na południowe zbocze, gdzie nie tknięte przez pożar zleby i skalne białe garby schodziły w kierunku rzeki.

- Tam, jak sądzę.

- Jak też bym tak zrobiła. Do rzeki.

To znaczy, powiedziała w duchu, gdybym chciała przeżyć. Patrzyły w dół, a Julia starała się obrać jakąś drogę, W przeciwieństwie do trasy, którą nadeszły, tutaj nie było żadnych wyraźnych ścieżek. I jak tu zgadnąć, którędy mogła pójść Skye? Nie miały pojęcia, o której godzinie wymknęła się z obozu. Jeśli pożar szalał już w momencie, gdy tu dotarła, mogła zawrócić, nie widziały jednak śladów wiodących z powrotem. Być może więc znalazła się tutaj, zanim jeszcze pożar rozgorzał na dobre.

Potem Julia pomyślała, że może w przypływie jakiejś szaleńczej desperacji dziewczyna sama rozpałała ogień. Wątpiła w to, ale takiej ewentualności nie można było wykluczyć, chociaż istniały też setki innych. Nic nie wiedziały i musiały się zdać na swą intuicję. A ta podpowiadała Julii to samo, co Katie: że Skye lewą stroną stoku zeszła w kierunku rzeki. Jeśli ogień już płonął, ta droga wydawała się najbezpieczniejsza, ale nawet jeśli go nie było, narzucała się jako najbardziej logiczna.

- Chodź, idziemy.

Dotarły granią na skraj spalonego obszaru, dalej zeszły stromym żlebem zasłanym niepewnymi kamieniami. W pewnym momencie musiały iść twarzą do ściany, wymacując pod sobą stopnie. Potem przyszła kolej na stok o mniejszym nachyleniu, na którym kamienie ułożyły się na podobieństwo nierównych wielkich stopni, od prawej ograniczonych czarną płachtą spalenizny.

- A co to takiego? - spytała Katie, wskazując głową. Na czarnej ziemi, pięćdziesiąt jardów poniżej, poruszał się jakiś biały kształt. Julia w pierwszej chwili pomyślała, że to ranny ptak, ale z bliska okazało się, że to książka, której kartki przewracał wiatr. Julia wiedziała, co to za książka, jeszcze zanim ją podniosła. Od częstego użytku była pogięta i porwana, jeden róg osmolili języki ognia, które dalej nie sięgały. Kiedy Julia spojrzała na stronę tytułową, zobaczyła na niej dedykację Johna Czujnego Ptaka:

Dla Skye McReedie. Oto Twój lud. Witaj w domu.

Skye usłyszała samolot właśnie na chwilę przed jego ukazaniem się. Leciał od południa nisko nad rzeką, a kiedy jego nos wynurzył się zza stoku, natychmiast się ukryła. Gdyby szła po odkrytej skale, z pewnością by ją zobaczyli, ale na szczęście pokonywała właśnie jeden z zarośniętych żlebów, kucnęła więc w krzakach i poczekała, aż dźwięk całkowicie się roztopi w głuchym huku ognia.

Położyła się na wznak i łapiąc oddech, patrzyła na niebo pomiędzy suchymi gałęziami, aż nagle uświadomiła sobie, że w ogóle się nie boi. A w każdym razie nie tak, jak wtedy, gdy z grani zobaczyła po raz pierwszy pożar. Na początku osłupiała, a potem zaczęła się gorączkowo namyślać, czy nie powinna wrócić, aby ostrzec resztę, ale zaczęła sobie tłumaczyć, że nie i że nie

ma się czego bać. W najgorszym razie zginie, a to wcale nie napawało jej przerażeniem. Naprawdę. No bo co niby takiego wielkiego, że umrze? Jedna chwila, a potem już nic. Po prostu: czarne nic. Jak w jakąś dziurę. Potem jednak przypomniała jej się przerażona twarz ciągniętego za samochodem policjanta, którego zabili, i poczuła trwogę, ale natychmiast zamknęła te drzwiczki w swojej głowie i zakazała sobie zbliżać się do nich. Musiało to jednak zrobić na niej silne wrażenie, gdyż zaczęła iść w dół, czując strach przed ogniem, bardziej przed jego odgłosem niż widokiem.

Teraz było już jednak w porządku i nawet zaczęła myśleć, jak to dobrze być znowu na gigancie. Przez chwilę, przez te ostatnie dwa czy trzy tygodnie, myślała, że znalazła wreszcie swoje miejsce, ale okazało się równie parszywe jak wszystkie inne, dlatego też najlepiej było zmywać się, gdzie cię oczy poniosą.

Uklękła i ostrożnie wystawiła głowę z zarośli niczym królik wynurzający się z dziury. Samolot zniknął, ale zapewne to jej właśnie szuka, więc wróci. Była spragniona, sięgnęła więc do tobołka, który zrobiła z czerwonego T - shirta. Trzymała w nim latarkę Katie, butelkę z wodą i książkę, a teraz stwierdziła, że zgubiła gdzieś książkę. Z jękiem zgarbiła się, potem zaklęła, ale zaraz pomyślała: „No i co z tego?” Cała ta gadanina Czarnego Łosia to i tak bzdury, kit wstawiany jej tylko po to, żeby myślała, że ma być z czego dumna.

W butelce było już niewiele wody, starczyło tylko na jeden łyk, odrzuciła ją więc na bok, ale dalej była spragniona. Jej własny szary T - shirt był przepocony i porwany, zamieniła go więc na czerwony Katie, a swój i latarkę cisnęła w krzaki. Buty Katie były za duże co najmniej o pół numeru i obie nogi miała już boleśnie obtarte, ale na to nic nie mogła poradzić. Wstała i spojrzała w dół. Miała wrażenie, że schodzi już nie wiadomo ile, a przeklętej rzeki ciągle nie było widać. Z początku szła na lewo po skalnych żebrach, ale te po pewnym czasie zaczęły się wyginać pod dziwnymi kątami, niekiedy groźnie zbliżając się do ognia, więc w końcu zaczęła się przedzierać prosto w dół.

Rozpadliny były różnej szerokości i głębokości, ale zarastał je ten sam gatunek kolczastych krzaków, sięgających do bioder i wyżej, a niekiedy aż do ramion Skye. Ręce miała już tak podrapane i pokaleczone, że idąc, musiała unosić je nad głowę.

Wkrótce po raz drugi usłyszała samolot, więc pochyliła się prędko i znowu oglądała go przez dziurę w zaroślach. Tym razem zrzucił dwie różowe i żółte taśmy i zniknął po prawej, tam, gdzie był ogień, ale bardzo szybko wrócił, tym razem zrzucając taśmy różowe i niebieskie, a za trzecim razem już tylko niebieskie. Wyglądało to trochę na zabawę, ale przypuszczała, że coś w ten sposób sygnalizują albo oznaczają, chociaż nie wiedziała co.

Za każdym razem kiedy samolot zniknął, zrywała się i schodziła. Po ramionach ściekała jej krew, której nie miała czym otrzeć. Teraz samolot nadleciał jeszcze niżej niż przedtem i tym razem

wyskoczyli z niego dwaj spadochroniarze, ale nie wiedziała, czy to w związku z nią czy z pożarem. Zrobił jeszcze kilka nawrotów, za każdym razem zrzucając parę spadochroniarzy, aż wreszcie była już prawdziwa armia. Patrzyła, jak spadają, dryfując w poprzek zbocza pod niebiesko - białe - żółtymi czaszami. Wyglądali bardzo ładnie, ale ponieważ na pewno wybałuszali za nią te swoje gały, to nie ruszyła się do chwili, gdy ostatni z nich wylądował. Nie wiedziała dokładnie, gdzie to było, ale gdzieś wysoko nad nią, więc nie powinni jej zauważyć.

; Kiedy znowu się podniosła, stwierdziła, że powietrze się ochłodziło, a silniejszy wiatr wiał teraz z innego kierunku, szeleszcząc w wysuszonych liściach krzewów i przyjemnie chłodząc jej twarz i ręce. Na horyzoncie kłębiły się jakieś dziwne chmury, i jakby niebo się gotowało.

Znowu ruszyła w dół. Między drzewami zaczęła migotać rzeka. Nie miała najmniejszego pojęcia, co zrobi, jak już do niej dotrze, ale coś się na pewno wydarzy. Jak zawsze.

Przy pierwszym locie nad górą połączyli się przez radio z Julią. Z powodu ryku silnika dosłyszeć jej głos mógł tylko Hank Thomas, ale zaraz przekazał jej słowa i Ed poczuł wielką ulgę, że jest bezpieczna. Connor z uśmiechem poklepał go po plecach. Julia podała Hankowi swoje położenie, więc podczas następnego przelotu Ed i cała reszta patrzyli przez okna i tysiąc pięćset stóp pod sobą zobaczyli na białej płycie skalnej dwie szaleńczo machające figurki.

Hank spytał ją, czy ma może jakieś przypuszczenia, gdzie jest zaginiona dziewczyna, na co Julia odrzekła, że nie wie niczego na pewno, ale podejrzewa, że gdzieś pomiędzy nią a rzeką. Chociaż podczas każdego przelotu wszyscy skoczki uważnie obserwowali teren, nikt nie dostrzegł żadnego poruszenia.

Skakali na kamienisty pas trawy tuż poniżej ogona pożaru. Ed i Connor byli w ostatniej parze, kiedy więc lądowali, inni kończyli już zwijać pasy i spadochrony. Zrobili to samo, w tym czasie osiadł sprzęt, który rozdzielili między siebie, i otoczyli kołem Hanka. Trzymając w ręku mapę, rozmawiał przez radio z Julią, która podała mu swoje współrzędne. Ed był zaskoczony, jakim spokojnym i rzeczowym głosem udzielała informacji; miał nawet wrażenie, że to jakaś obca mu osoba.

- Jak ona się nazywa?

- Skye. Skye McReedie.

Ed spojrzał wymownie na Connora. Obaj dobrze wiedzieli, jak bardzo Julia przywiązała się do tej swojej podopiecznej i jak bardzo cieszyła się z jej niedawnej przemiany. Ed z tym większym podziwem pomyślał o jej opanowanym głosie.

Hank spytał, czy ma jakieś wiadomości o helikopterze i ekipie poszukiwawczej, a kiedy Julia zaprzeczyła, obiecał, że połączy się z nim, aby się dowiedzieć, co ich zatrzymało. Na razie przydzielili jej i Katie do pomocy trzy osoby ze swojej grupy.

- I jeszcze jedno. Widzi pani na północnym zachodzie te burzowe chmury? Nadchodzi zimny front. Wiatr się wzmocni i będzie kręcił, dlatego wszyscy musimy bardzo uważać. Pożar może się wzmóc i ruszyć w dowolnym kierunku. Nie wolno podejmować żadnych ryzykownych działań. Zrozumiała mnie pani?

- Tak, zrozumiałam.

- Świetnie. Jest tutaj ktoś, kto chce panią pozdrowić. Uśmiechnął się i przekazał radio Edowi.

- Julia?

- Ed! Nie wiedziałam, że ty też będziesz w ekipie.

- Wszystko w porządku?

- Ze mną tak, ale bardzo się niepokoję o Skye.

- Znajdziemy ją, nie bój się.

- Jest z wami Connor?

- Jest. Oddaję radio Hankowi.

Kiedy Hank skończył rozmowę - jeszcze zanim Ed zdążył poprosić - natychmiast do pomocy w poszukiwaniach wyznaczył Eda, Connora i Chucka Hamera. Hank z pozostałą czwórką miał wykopać pas ochronny na wschodniej flance pożaru.

Trójka ruszyła do lasu na spotkanie Julii. Z oddali słyszeli, jak Hank wykrzykuje, gdzie się, u diabła, podział helikopter.

Po dwudziestu minutach odnaleźli Julię. Poszli wzdłuż poprzecznego skalnego żebra, które widzieli z powietrza. Stało się ono naturalną barierą dla ognia; powyżej czerniło się palenisko i kopcające się jeszcze pniaki, poniżej las był nietknięty. Connor nie potrafił sobie wytłumaczyć dlaczego, ale gdy po raz pierwszy spojrzął na górę z pokładu samolotu, poczuł niepokój.

Szli jeden za drugim, prowadził Connor. W pewnej chwili omal nie nadepnął na grzechotnika, który nie zważając na niego, przemknął w dół, najwyraźniej uciekając od ognia. Potem nad sobą zobaczył Julię siedzącą na kamieniu obok Katie. Zawołał, gwałtownie pomachał ręką i ruszył biegiem w ich kierunku. Miała na sobie szorty, a jej jasnoszary T - shirt był mokry od potu. Przegonił go Ed, machając hełmem nad głową. Kiedy dopadł Julii, rzucili się sobie w objęcia i trwali tak do momentu, gdy nadeszli Connor z Chuckiem.

Julia zwróciła się do Connora i jego także przytuliła, a on mało nie zemdleł, czując jej zapach i bliskość i mając ją choć przez chwilę w ramionach. Kiedy odstąpili od siebie, spojrzała mu prosto w oczy i miał wrażenie, że jej spojrzenie chciało mu coś powiedzieć, ale nie był pewien co. Uśmiechnęła się dzielnie, rozejrzała dookoła, a on mógł dostrzec napięcie w jej twarzy. Potem przywitała się z Chuckiem i przedstawiła Katie, która natychmiast wybuchła łzami, a ponieważ

najwyraźniej i ona chciała się do kogoś przytulić, więc jej wybór padł na Chucka.

- Ciekawe, dlaczego częściej nie robię na kobietach takiego wrażenia? - spytał.

Rozpostarli mapę na kamieniu, ale musieli mocno ją przytrzymywać przed wiatrem. Burzowe chmury zbliżały się szybko. Julia pokazała, którędy - jej zdaniem - mogła pójść Skye, a także gdzie znalazły książkę. Zasugerowała, by rozeszli się po stoku i schodzili w jednej linii, utrzymując kontakt radiowy. Ponieważ Katie jako jedyna nie miała radia, Ed zaproponował, by szła w parze z Chuckiem, co przyjęła z wyraźną ulgą. Chcieli już ruszać, kiedy odezwał się Hank i poinformował, że stracono łączność z helikopterem ratunkowym, nie wiadomo więc, gdzie on się teraz znajduje. Jak na razie byli więc zdani na własne siły.

Schodzić mieli w linii w miarę możliwości równej, Ed od północy i najbliżej ognia, potem Julia, Connor, a na południowym skraju Chuck z Katie. Ed został na miejscu, a pozostali rozeszli się na swoje pozycje.

Connor szedł niedaleko Julii, która powiedziała półgłosem:

- Och, Connor.

Odetchnęła głęboko, wpatrując się gdzieś daleko przed siebie. Miał wrażenie, że Julia jest już na granicy wytrzymałości.

- Nie bój się, znajdziemy ją.

- Jeśli coś jej się przytrafi, nigdy sobie tego nie wybaczę. Podeszedł do niej i położył delikatnie rękę na ramieniu, ona ją przytrzymała, ale nadal nie spoglądała Connorowi w oczy.

- To wszystko moja wina.

Zastanawiał się, co było powodem ucieczki Skye, ale uznał, że nie jest to najlepszy czas do zadawania pytań. Julia wzięła swoją rękę, więc on zrobił to samo.

- Wiesz, o czym myślę? - spytała. - O tym łosiu, którego sfotografowałeś. Z płonącymi rogami. Nie mogę o nim zapomnieć. Nie wiem dlaczego, ale w każdej chwili wydaje mi się, że zaraz stanie tu przede mną.

Connor nie wiedział, co odpowiedzieć, sam bowiem doznawał podobnych stanów, ale ta informacja wcale by jej nie uspokoiła. Tak więc szli przez jakiś czas w milczeniu. Wiatr zatańczył wokół nich i szarpał jagodami, a Connorowi wydało się, że to głos idący z tajemnych zakątków obu serc.

- Connor? - Patrzyła teraz prosto na niego.

- Tak?

- Obiecuj mi, że wszystko będzie dobrze.

- Obiecuję. Naprawdę.

W ten sposób skłamał jej pierwszy raz. Ale nie ostatni.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Skye patrzyła, jak nadciągają złowrogie chmury, ołowiane, z chorobliwie żółtawymi podbrzuszeniami, z których niczym smocze języki tryskały co chwila pioruny.

Nie potrafiłaby już zliczyć, ile pokonała parowów, teraz jednak łagodniejsze zbocze sprowadzało ją w kierunku kamienistej, porośniętej trawą doliny, która wyglądała na najlepsze dojście do rzeki. Oba jej brzegi porastał nie tknięty przez pożar las. Schroniła się pod okap skalny, żeby chwilę odetchnąć. Piekły ją obtarcia, także łydki były obolałe po długim schodzeniu. Czuła, że język jest zrobiony chyba z papieru ściernego. Boże, ile by teraz dała za łyk wody!

Obejrzała się, czy nie widać nikogo z tych, co skakali na spadochronach, ale ani widu, ani słyhu. Przesunęła dłońmi po okaleczonych ramionach i popatrzyła na kłębiące się chmury, między którymi od czasu do czasu błyskał na chwilę promyk słońca.

Ogień skrył się teraz za wybrzuszeniem stoku, ale o dziwo, słysząc go było wyraźniej i po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła zapach dymu. Kiedy ponad lasem spojrzała w dół, daleko po prawej dojrzała białą smugę przepływającą nad wybrzuszeniem i dalej przez wiatr niesioną nad drzewami w kierunku doliny. Skye nawet nie przyszło do głowy, że miałaby się czego obawiać, była bowiem przekonana, że niebezpieczeństwo zostawiła daleko za sobą. Przed nią rozpościerało się strome rumowisko luźnych kamieni. Przez chwilę chciała sobie tamtędy ściąć drogę do wyjścia doliny, droga jednak, chociaż szybsza, wydawała się ryzykowna. Dlatego postanowiła dojść trawersem do szczytu doliny. Decyzja podziałała na nią tak pobudzająco, że ruszyła niemal biegiem.

Pierwszy dostrzegł ją Ed. Właśnie skończył rozmawiać z Hankiem, który oznajmił, że nadal nie ma żadnych wieści o helikopterze i w bazie zaczynają się niepokoić, że coś się stało. Poza tym na jego wysokości rozszalała się wichura i zaczynały jeden za drugim walić pioruny. Kiedy się rozłączyli, Ed dostrzegł w dole po lewej jakiś błysk.

W pierwszej chwili pomyślał, że to jeleń, albo może nawet grizzly, ale kolor był zbyt czerwony. Sięgnął po małą lornetkę, ale zobaczył przez nią tylko drzewa i dym gnany między nimi ku dolinie schodzącej do rzeki. Zaraz jednak znowu mignęła czerwień i tym razem był już pewien, że to ludzka postać. Uruchomił radio.

- Julio, tu Ed.

Przez chwilę nie było odpowiedzi.

- Julia, odbiór.

- Czy Skye ma na sobie coś czerwonego?

- Nie, szary T - shirt, niebieskie spodnie.
- Ed, tutaj Chuck.
- Tak, Chuck?
- Wzięła też czerwony T - shirt Katie. Mogła zmienić.

Ed nie miał mapy, nie było więc tak łatwo określić, gdzie dostrzegł Skye. Kiedy Julia podała mu ich pozycje i opisała sytuację na mapie, zorientował się, że nikt z pozostałej czwórki nie mógł jej zobaczyć. Wyprzedzała ich o jakąś milę, ale on był najbliżej, gdyż zaszedł najdalej w dół stoku.

W trakcie rozmowy znowu stracił Skye z oczu, był jednak pewien, że kieruje się ku końcowi doliny. Kazał Julii poczekać chwilę i dokładnie przyjrzał się układowi terenu. Może dlatego, że tak było łatwiej, może z jakiejś innej przyczyny, w każdym razie Skye szła ponad lasem, gdyby więc on ściał las po przekątnej, mógł dostać się przed nią do wylotu doliny, w ten sposób odcinając uciekinierce drogę. Julia prześledziła to na mapie i powiedziała, że będzie miał po drodze strumień do przebycia, ale propozycja brzmiała rozsądnie. Ona, Connor, Chuck i Katie pójną w kierunku górnego wejścia do doliny.

Dotarłszy na skraj lasu, Ed zrozumiał, dlaczego Skye poszła górą. Przed sobą miał jakieś siedemset stóp urwistego rumowiska, z którego gdzieniegdzie sterczały kępy traw i zeschnięte kikuty sosen. Gdyby popatrzył na chmury lub dym gęstniejący nad lasem, może by się zastanowił. Teraz jednak przypomniało mu się chłopięce zbieganie po piargach i niewiele myśląc, puścił się w dół.

Po pierwszym skoku wszystko wróciło. Cała sztuka polegała na tym, żeby zawierzyć swoim nogom. Kamienie wymykały się spod stóp i trzeba było, jadąc razem z nimi, szykować się do następnego skoku. Gnał po stoku krokami wielkoluda, każdy po dwadzieścia, trzydzieści stóp, tracił równowagę, ale zaraz ją łapał. Nagle w połowie drogi stopa na chwilę uwięzła w kępie trawy, a on przeleciał przez głowę i resztę podróży odbył na plecach, zewsząd otoczony kamienną lawiną.

Zatrzymał się na skraju drzew i niepewnie wstał, podejrzewając, że coś sobie złamał czy naderwał, wszystko jednak wskazywało na to, że jest cały i zdrowy. Świat był rozmyty i dopiero po chwili się zorientował, że w trakcie kamiennego zjazdu stracił okulary, zaczął więc szperać w plecaku, szukając zapasowej pary.

Kiedy miał je znowu na nosie, popatrzył na nachylenie zbocza i zorientował się, że nawet gdyby chciał, nie wróci pod górę. Był roztrzęsiony i słaby, czym prędzej musiał coś zjeść. Wyciągnął z kieszeni baton energetyczny i zjadł go, rozglądając się dookoła. Tutaj, na dole, był osłonięty od wiatru, ale słyszał go w koronach drzew. Kiedy spojrzał w ich kierunku, zobaczył niską powłokę czarnych chmur. Nagle rozległ się straszliwy trzask i wszystko dookoła stanęło w oślepiającej jasności. Kryjąc głowę w ramionach, rzucił się na ziemię i został tak w płodowej

pozycji, aż grunt pod nim przestał dygotać. Wtedy usiadł i zaklął pod nosem.

Jeszcze nigdy dotąd piorun nie uderzył tak blisko. Odrzucił głowę i zaśmiał się na cały głos, dając w ten sposób upust uldze i radości, że żyje. Gdzie dokładnie nastąpiła eksplozja, nie wiedział, chyba gdzieś ponad nim.

Usłyszał, że Julia wywołuje go przez radio. Odpowiedział, ale ona najwyraźniej nie słyszała go, gdyż uparcie powtarzała: „Ed, czy mnie słyszysz, odbiór”. Być może aparat się zepsuł podczas spadania po kamieniach, a może uszkodziło go wyładowanie. Potrząsał nim, postukiwał, ale Julia go nie słyszała. Tak czy owak, nie było nad czym się tu zastanawiać. Schował radio, sprawdził kompas i wszedł w las.

Droga okazała się znacznie trudniejsza, niż przypuszczał. Wiele drzew było zwalonych, między nimi wysokie i splątane krzaki, więc parokrotnie musiał nadkładać drogi i obchodzić przeszkody. Wiatr bez przerwy huczał w górnych partiach drzew. Czuł dym, ale był przekonany, że to z przeciwnego stoku. Znienacka usłyszał dźwięk, który go pouczył, że był w błędzie.

Był to huk narastający tak jak przy pociągu nadjeżdżającym w tunelu. Natychmiast wiedział, co to jest, i poczuł pierwszą szpilę strachu. Spojrzał w prawo i między drzewami nie dojrzał niczego, nawet dymu, a potem usłyszał eksplozję jednego drzewa i następnego, i następnego, a na twarzy poczuł powiew gorąca, które zbliżało się z wielką szybkością. Rzucił się do ucieczki.

Julia nie widziała błysku pioruna, usłyszała jednak jego rozdzierający huk, a potem echo grzmotem przewalające się po górach. Kiedy wydostała się z pokonywanego parowu i spojrzała na las, zobaczyła między czubkami drzew wstążkę ognia, która na jej oczach przeskakiwała z drzewa na drzewo. I jakby na zasadzie przeciwieństw, opanowała ją zimna trwoga.

I tak wiele wysiłku kosztowała ją dotąd walka z paniką. Ciągle górę brała racjonalna strona jej osobowości, ale kiedy zobaczyła szerzący się ogień i uzmysłowiła sobie, że gdzieś tam nieopodal niego, czy, nie daj Boże, pod nim, znajduje się Ed, przez chwilę obawiała się, że zemdleje. Prawie nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Jeszcze kilka godzin temu wszystko było skąpane w złocie. Jakże świat mógł się tak raptownie i zdradziecko odmienić?

Usiłowała ponownie połączyć się z Edem przez radio, słyszała, jak to samo robią Connor i Chuck, ale nadal nie było żadnej odpowiedzi. Wywołała Connora.

- Connor, widzisz ogień tam w dole?

- Widzę.

- Tam właśnie jest Ed.

- Tak, ale nie martw się. On wie, jak sobie poradzić. Głos miał spokojny i wyraźny. Spytał, jak daleko od ujścia doliny się znajduje, na co odparła, że już je widzi i dotrze tam za pięć minut.

Oznajmił, że jemu droga zajmie dwa razy więcej czasu.

Żadne z nich nie widziało wnętrza doliny, żadne nie widziało też Skye. Julia wyłączyła aparat i zaczęła biec.

Wystarczyło, by Connor zobaczył, jak otwiera się pod nim wejście do doliny, a także ujrzał sunący ku niemu od prawej pożar, by zrozumiał, co go tak niepokoiło. Był też pewien, że to samo zobaczył każdy skoczek z pokładu samolotu, ale żeby nie zapeszać, nikt o tym nie wspominał. Każdy powietrzny strażak w Missouli, każdy powietrzny strażak w Ameryce wiedział, co zdarzyło się przed laty w Mann Gulch.

Piątego sierpnia 1949 roku, dokładnie sto mil od miejsca, gdzie się teraz znajdowali, trzynaście osób zrzuconych do gaszenia pożaru zginęło w ogniu, który dopadł ich w kotlinie bardzo podobnej do tej. Całkiem niedawno odsłonięta w bazie pomnik im poświęcony. Każdy strażak miał w pamięci szczegóły tego, co dokonało się w Mann Gulch. Także tam u podnóża góry była rzeka, także tam wiódł do niej parów, a jego szczególne urzeźbienie czyniło z niego komin, który wsysał w siebie ogień i pchał go w dół z taką szybkością, że nie mogli przed nim uciec żaden człowiek ani żadne zwierzę.

Connor połączył się już z Hankiem i poinformował go, co się dzieje, ten zaś natychmiast wezwał helikoptery, aby ich ewakuowały. Connorowi kazał na razie zebrać wszystkich na wypalonym terenie w górze, a gdyby to się nie udało, to na jakimś skalistym terenie, gdzie ogień będzie miał skąpe pożywienie. Nie musiał tego mówić, Connor sam wiedział, że tak właśnie trzeba postąpić.

Przed sobą miał Julię biegnącą w kierunku doliny, a jeszcze niżej Skye, której czerwony T - shirt migał na tle zieleni. Ogień znajdował się dokładnie na prawo od dziewczyny i szybko zmierzał w tym samym co ona kierunku. Connor oceniał, że najdalej za kwadrans dotrze do wejścia parowu. I jeszcze gdzieś tutaj, w tym płonącym lesie, był jego najlepszy przyjaciel.

Najszybciej jak potrafił, biegł w dół zbocza, wyjmując jednocześnie i włączając radioaparat.

- Julia, tu Connor. Zatrzymaj się. Tam nie wolno.

- Co?

- Zawracaj i uciekaj jak najdalej od doliny.

- Co ty wygadujesz? Widzę ją. Skye jest niedaleko ode mnie.

- Julia, tutaj Chuck.

- Słyszę cię, Chuck.

- Connor ma rację. Wycofaj się czym prędzej. Kiedy ogień dotrze do doliny, rzuci się także w górę w twoim kierunku. My z Katie wycofujemy się.

Julia zatrzymała się i spojrzała w górę na Connora. Z tej odległości nie mógł rozpoznać

wyrazu jej twarzy, ale bez trudu wyobraził sobie wahanie. Potem znowu obróciła się w kierunku doliny i poprzez szalejący wiatr usłyszał, jak woła Skye raz za razem. Ale nawet jeśli dziewczyna słyszała, nie zareagowała i uparcie biegła w kierunku doliny. Julia raz jeszcze spojrzała w stronę Connora, a wtedy wiedział już, jaką podejmie decyzję. Istotnie, obróciła się i pognąła w dół, w biegu wykrzykując imię Skye.

Connor wołał za nią, by się zatrzymała, to samo spokojniejszym głosem powtórzył przez radio, Julia jednak go nie słuchała.

Teraz więc i on ruszył ich śladem, przeskakując przez krzaki i kamienie, a jego wzrok nieustannie przenosił się z Julii i Skye na ogień.

Z rozpaczą zobaczył, że ogień przedostaje się już górą. Jeden z płonących czubków drzew wznosił się w powietrze, niczym żagiew przeleciał w powietrzu kilkadziesiąt stóp i padł między wierzchołki wolnych jeszcze od ognia drzew, wznecając kolejny pożar. Słońce nagle znalazło lukę między chmurami i dolinę rozdarł ruchomy cień rzucany przez dym. Julia skryła się w cieniu, ale Skye w swym czerwonym T - shircie na chwilę była skąpana w biblijnej smudze złota.

Connor zaś, biegnąc w kierunku miejsca zagłady, modlił się na głos, żeby Ed - gdziekolwiek jest - znalazł jakieś bezpieczne schronienie i żeby wszyscy uszli z życiem z tej tragedii.

Ed w pierwszym odruchu chciał biec w dół, aby umknąć pożarowi, ale spadek się zmniejszył, a ogień poruszał się w tym kierunku nie wolniej niż w innych. Wtedy pomyślał, by zawrócić na piarg, ale nie miał pewności, czy pożar wcześniej nie odetnie mu drogi, pozostało mu więc już tylko znaleźć na południu strumień, o którym wspomniała Julia.

Słyszał za sobą ryk ognia przeskakującego z drzewa na drzewo, czemu towarzyszyły eksplozje krążących w nich soków. Czasami przyspieszał i zmniejszył odstęp, a wtedy Ed bez oglądania się wiedział, że to miejsca, gdzie trafiał na wyschłe chaszczki czy krzaki jagód. Kiedy dotarł do strumienia, ogień był już za nim mniej niż pięćdziesiąt jardów i wyraźnie czuł na skórze jego pulsujące ciepło.

Strumień był, a zarazem go nie było. Nawet jeśli płynęła tu kiedyś jakaś woda, to wyschła już tak dawno, że nie pozostawiła po sobie żadnego śladu. Ale jego północny brzeg stanowiła pionowa niemal skała wysokości czterdziestu stóp, a Ed stał teraz na jej krawędzi i dobrze wiedział, że każda chwila wahania może go kosztować życie.

Schodzenie po ścianie odpadało, gdyż wyglądała bardzo zdradliwie, pełna ruchomych kamieni. Na dnie koryta leżały zwalone sosny, a z nich niczym dzidy sterczały w górę zeschnięte gałęzie. Miał w plecaku linę, a chociaż była zbyt krótka, by sięgnąć dna, przypuszczał, że dalej będzie mógł już skoczyć czy zsunąć się po skale. Szybko wy dobył więc sznur i rozejrzał się, do

czego go przywiązać. Z wyjątkiem jednego wszystkie drzewa stały zbyt daleko od krawędzi. Gdyby skorzystał z któregośkolwiek z nich, straciłby drogocenne piętnaście stóp. To jednak, na które musiał liczyć, rosło na samym skraju, tak wychylone, jakby zastanawiało się nad tym, czy nie skoczyć w ślad za dawnymi towarzyszami. Połowa korzeni wisiała w powietrzu, ale kiedy Ed nacisnął na pień, ten nie ustąpił. Poza tym nie było się nad czym namyślać, kiedy ogień huczał w odległości zaledwie trzydziestu jardów.

Właśnie zaczął się opuszczać, kiedy usłyszał dokładnie nad sobą głośny trzask, a gdy spojrział ku górze, posypały się na niego skry i gorące odłamki. Szarpnął się w bok i nie wypuścił sznura z dłoni. Znowu spojrział nad siebie i zobaczył, że zaczyna płonąć pień drzewa, na którym wylądowała jakaś płonąca korona. Zająła się już lina. Rozluźnił chwyt, poczuł, jak sznur przelatuje mu między palcami, głęboko rozcinając skórę, a wraz z nim leciały ogniste fragmenty.

Drzewo, do którego przywiązał linę, było wyschnięte jak zapalka, a ogień tak wygłodniały, że pożarł linę, zanim grawitacja zdążyła ściągnąć Eda na dół. Sznur puścił, Ed szarpnął się i chwycił obiema dłońmi skały, ale kamienie pokruszyły się pod jego uchwytem i oto niczym przy spadochronowym skoku leciał twarzą w dół ku ziemi.

Lot trwał nie dłużej niż dwie, trzy sekundy, ale wydawało się, że to wieczność. Widział zbliżające się powoli dno koryta, słyszał trzeszczenie radia i głos wzywającego go Connora. Widział mchy na skale i wypęłzające z nich nitki dymu. A ostatnią rzeczą, jaką widział i jaką kiedykolwiek miał zobaczyć, był czerwony motyl odrywający się od sterczącej niczym dzida zaschłej sosnowej gałęzi.

Julia biegła po spopielalej trawie najszybciej, jak potrafiła. Bez przerwy powtarzała imię Skye, ale głos jej się załamywał, gdyż wiedziała, że to w istocie bezskuteczne, bo wiatr porywał i dusił każdy dźwięk. Nad czubkami nie spalonych jeszcze drzew po prawej stronie doliny dym unosił się niczym czarny smok, którego brzuch czerwieniał od łuny. Skye biegnąca poniżej w odległości nie większej niż czterysta jardów także spojrziała w górę, ale w tym samym momencie potknęła się i przewróciła, zaraz jednak poderwała się i pobiegła dalej.

- Skye! Skye!!!

Podobnie jak poprzednio dziewczyna się nie odwracała, być może nie wiedziała nawet, że ma za sobą Julię. Nagle jednak stanęła jak wryta, gdyż z hukiem, od którego zatrzęsła się chyba cała góra, w jednej chwili drzewa po prawej eksplodowały ogniem. Znieruchomiała także Julia i przez parę chwil obie stały przykute do miejsca. Connor wołał przez radio:

- Julia, stań, wracaj! Już nie zdążysz!

Obejrzała się i zobaczyła, jak biegnie w dół wielkimi krokami. Miał jeszcze ze sto jardów, ale odległość szybko się zmniejszała. Popatrzyła w kierunku Skye, która w końcu ją dostrzegła.

Julia machała rozpaczliwie ręką, każąc wracać w górę. Dziewczyna przerzucała wzrok z Julii na płonące drzewa i z powrotem.

- Skye, wracaj, błagam! Wracaj!!!

Zajęła się już trawa pod drzewami i wiatr sprawił, że ogień rozprzestrzenił się w obie strony doliny z taką szybkością, jakby biegł po ścieżkach, na których wylano benzynę. Nad nimi dwa, a zaraz potem trzeci płonący wierzchołek oderwały się od pni i niczym komety poszybowały przez czarny dym do środka doliny. Opadły na ziemię w odległości zaledwie dwudziestu jardów od Skye, sypiąc dokoła iskrami.

Skye spojrzała, natychmiast odwróciła się i pobiegła w kierunku Julii. Nareszcie, pomyślała Julia. Dzięki Bogu, nareszcie!

Connor biegł, chociaż już wiedział, że nie ma mowy, by zdołali na czas wydostać się z doliny. Ogień od trzech płonących koron gnał już w ich kierunku. Zupełnie jak Mann Gulch, myślał. Jeden wielki komin. Na twarzy czuł potężniejące ciepło. Dziewczyna musi zginąć, ale była malutka, mikroskopijna szansa, że uda mu się uratować Julię.

Znajdowała się od niego tylko o dwadzieścia jardów, ale do licha, znowu pobiegła ku Skye. Stok był tutaj stromy, a biedna dziewczyna potknęła się właśnie i z trudem chwytiała równowagę. Miała jeszcze trzysta jardów do nich, może trochę więcej, a ogień mknął ku niej jak zgłodniała bestia. Connor wiedział, że nie było już dla niej ratunku, nie było go też dla nich dwojga, gdyby starali się pomagać Skye.

- Julio!!!

Nareszcie zrównał się z nią i złapał za ramię, osadzając w miejscu. Odwróciła twarz brudną i spoconą. W jej oczach widać było przerażenie.

- Julio, tam nie można!!!

- Ale przecież widzisz! Musimy jej pomóc!

- Nie, ona już nie zdąży. A jeśli i my do niej pójdziemy, to też nie wrócimy.

Usiłowała się wyrwać, ale jedno ramię omotał jej T - shirtem, a drugą ręką chwycił ją w pasie.

- Puść mnie, do jasnej cholery!

Szarpnęła się, Connor stracił równowagę, ale wyprostował się i chwycił Julię pod pachę, rozpaczliwie drapał się w górę. Wymachiwała nogami, grzmociła go pięściami, krzyczała i wyzywała, ale nie rozluźnił chwytu.

- Nie patrz do tyłu - krzyczał. - Nie patrz na nią!!!

- Puść mnie, ty skurwielu!!!

Wyobraził sobie Skye widzącą, że ją zostawiają. Płomienie musiały już lizać jej skórę.

Odegnął od siebie ten obraz, koncentrując się na tym, by nie wypuścić szamoczącej się Julii.

- Puść mnie! Puuść!!!

W Mann Gulch uratował się tylko jeden człowiek - ten, który nie próbował ścigać się z ogniem. Connor upatrzył już sobie miejsce. Biegając w dół, wyminął gromadkę kilku głazów i postanowił, że tylko tam mogli mieć jakąś szansę, jeśli w ogóle. Dzielilo ich jakieś dwadzieścia jardów, ale z walczącą, wrywającą się Julią, trudno było je pokonać. Spowijał ich teraz gęsty dym. Prawym ramieniem obejmował Julię, lewą ręką wymacał w kieszeni zapalniczki, aby mieć je gotowe, gdy dotrą do kamieni.

Piętnaście jardów. Dwanaście. Dziesięć...

Usłyszał przeraźliwy krzyk Julii i wiedział, że płomienie doganiają dziewczynę i ogarniają ją. Wiedział też, że Julia patrzyła na śmierć Skye.

- Julia, nie patrz, na Boga, nie patrz!!!

Krzyk przerodził się w skowyt, a ciało Julii zaczęło dygotać, jak gdyby także w niej coś umierało.

Dotarli na miejsce. Connor postawił ją na ziemi i oparł o jeden z najbliższych kamieni. Oczy miała kurczowo zaciśnięte, twarz wykrzywioną. Z ust wydierał się rozpaczliwy szloch. Już nie walczyła, zawisła na kamieniu i powoli osunęła się po nim.

Connor zostawił ją tam i uruchomił zapalniczki. Trzy wielkie głazy i kilka mniejszych tworzyły coś na kształt trójkąta o boku dwóch jardów. Między nimi była trawa i to ją podpalił przede wszystkim. Zapłonęła natychmiast, wiatr porwał płomienie między kamieniami i już w następnej chwili paliło się także nad nimi. Connor patrzył i miał nadzieję, że Chuck i Katie zdążyli już znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Poprzez dym widział, że w ogniu stoi cała dolina. Prosto na nich sunęła niska ściana płomieni. Trawa między kamieniami spłonęła, wszedł więc między nie i starannie zdeptał tłące się resztki. Słyszał łkanie Julii. Z palącym się zapalniczkiem podbiegł, chwycił ją za przegub, pociągnął w swoim kierunku, a następnie podpalił trawę między nimi a kamieniem.

Głazy stały teraz w dymiącym, spopieliałym oku o średnicy nie większej niż piętnaście jardów. Connor cisnął bezużyteczne już zapalniczki, nachylił się nad Julią, wziął ją w ramiona i podniósł. Zaciśniętymi pięściami zaczęła go okładać po twarzy i piersi.

- Ty skurwielu! Pozwoliłeś jej umrzeć! Dlaczego pozwoliłeś jej umrzeć?!

Connor nie odpowiadał. Nie reagując na ciosy, wniósł Julię między kamienie i posadził na czarnej ziemi. Wyjął butelkę z wodą.

- Zmoczę cię tym.

- Pierdol się!

Znalazł w kieszeni bandanę, zmoczył ją więc, wycisnął na głowę i ramiona Julii, resztą skropił siebie, a butelkę cisnął w bok. Oboje krztusili się gęstym dymem. Zmrużonymi oczyma widział czerwone i pomarańczowe płomienie. Stwierdził, że to w odległości najwyżej trzydziestu jardów. Huk był taki jak od dziesięciu silników odrzutowych, powietrze tak gorące, że skóra - wydawało się - skwierczała.

Wydobył z plecaka namiot przeciwogniowy - niewielki półwalec z folii aluminiowej. Nigdy go nie używał i nie bardzo wierzył w jego użyteczność w oku pożaru. Żartowali między sobą, że namiot pozwala tylko upiec się tak ładnie jak indyk. Teraz musiał spróbować. Ułożył namiot na ziemi i otworzył, a wiatr natychmiast szarpnął nim z dziką wściekłością.

- Wstań, Julio!

Nie zareagowała, podniósł ją więc i oparł o siebie, gdyż wydawało się, że sama nie ustoi. Wciąż łkała bezgłośnie. Namiot przeznaczony był dla jednej osoby, ale miał nadzieję, że zmieszczą się obydwój. Uniósł go, przerzucił przez głowy, a namiot obsunął się po ich ciałach tak, że znaleźli się jakby w kokonie. Teraz Connor otoczył ją ramionami i ostrożnie ułożył się wraz z nią na ziemi. Podsunął jej mokrą bandanę.

- Przyłóż do twarzy.

Znowu nie zareagowała, więc zrobił to za nią. Przywierali ciasno do siebie, czuł, jak jej ciałem wstrząsał płacz. Ryk ognia był coraz głośniejszy i głośniejszy, przygarnął ją więc najmocniej jak potrafił. I czekał.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Connor dotąd dwa razy leciał do Kentucky, raz podczas gęstej mgły, drugi - podczas zamieci. Kiedy teraz samolot zaczął obniżać pułap, miał nadzieję, że nareszcie zobaczy okolicę sławioną jako kraina koni. Lexington skryło się jednak za niską zasłoną chmur, a kiedy znaleźli się już pod nimi, dojrzał tylko przez strugi wody przemykające łąki i auta jadące z włączonymi światłami, chociaż była dopiero trzecia po południu.

Zastanawiał się, czy wyjdzie mu na spotkanie.

Był późny luty, a przez sześć miesięcy, jakie upłynęły od pożaru, nie widział jej ani razu. Kiedy stan Eda się ustabilizował, poleciała z nim do Kentucky i zamieszkała z jego rodzicami, podczas gdy on przebywał w szpitalu. Teraz, gdy odbywał już w domu rekonwalescencję, Julia spędzała dni robocze w Bostonie, a wracała na każdy weekend - z wyjątkiem tych dwóch, kiedy z wizytą zjawił się Connor. Zawsze wtedy zostawała w Bostonie pod pozorem dodatkowych zajęć. Connor doskonale zrozumiał, co chciała mu w ten sposób przekazać.

Z początku usiłował telefonować; ale w Bostonie zgłaszała się tylko automatyczna sekretarka, sama zaś Julia nigdy nie oddzwoniła. Dwukrotnie to ona odebrała telefon u rodziców Eda, ale za każdym razem było to jak rozmowa z obcą osobą. Układna, z dystansem, rzeczowo informowała o stanie Eda. Tak, oparzenia dobrze się goiły; tak, zrosło się także złamane biodro, zaczynał nawet chodzić, odrobinę tylko powłócząc nogą, nie, żadnej poprawy ze wzrokiem.

Na skutek upadku Ed dostał krwotoku siatkówkowego w obu oczach. Lekarze mówili, że było to związane z cukrzycą. Prawdopodobnie Ed ukrył też jakieś kłopoty ze wzrokiem, aby nie stały się przeszkodą dla skakania. Szansa, że krwotok nastąpi jednocześnie w obu gałkach ocznych, była jak jeden do miliona, niemniej jedno było teraz pewne - przyjaciel Connora był ślepy, i to najprawdopodobniej na zawsze.

Tym, którzy nie znali Eda tak dobrze, jego reakcja na wypadek mogła się wydawać niewiarygodna. Connor telefonował do niego dwa, trzy razy na tydzień, a Ed zawsze tryskał radością. Kiedy biodro już się zrosło, miesiąc spędził w ośrodku rehabilitacyjnym dla niewidomych, skąd wrócił z mnóstwem zabawnych opowieści o ludziach doświadczonych przez los. Była tam instruktorka orientacji i koordynacji ruchów, młoda Szwedka, z którą, jak się wydawało, flirtowało pół ośrodka, z Edem na czele.

- Connor, mówię ci, nigdy nie słyszałem bardziej seksownego głosu. Naprawdę nazywa się Trudi, ale wszyscy mówiliśmy do niej Greta, no bo brzmiała jak Garbo. Jedną z rzeczy, których cię tam uczył, to kiedy masz znaleźć drogę w nieznanym pomieszczeniu, ktoś palcem rysuje ci na

plecach mapę. I wszyscy wołaliśmy podobnie: „Ej, Greta, już zapomniałem, możesz ją narysować raz jeszcze? Nie, niżej, niżej, a może lepiej na udzie?”

Opowiadał, jakie to znakomite, że jako świeży niewidomy mógł pchać ręce, gdziekolwiek chciał, i potem udawać, że to tylko pomyłka. W poprzednim tygodniu rozplątywał się nad nowym sprzętem komputerowym, który miał mu pomóc w komponowaniu - była to klawiatura ze specjalnymi wypukłymi oznaczeniami i rozmawiające monitory. Programy były tak znakomite, że wystarczyło zanucić melodię, a on ją utrwał i odgrywał w oczyszczonej już postaci.

- Słuchaj, to naprawdę nie do wiary. Jak już poznam wszystkie drobiazgi, będę mu tylko podawał ogólną ideę, wiesz, piosenka o miłości, rytmiczna i odrobinę smutna, potem wypiję kawę, przeczytam gazetę, wrócę, a tu już gotowy utwór, a może nawet cały musical.

Connor nie usiłował zaglądać pod tę radosną maskę, ale wielu rzeczy mógł się domyślać. Wiedział, że Ed i Julia przeszli powypadkową terapię psychiatryczną. To samo zaproponowano i jemu w Missouli, ale się nie zgodził. Nie widział sensu - co się stało, to się nie odstanie, a pomoc musi sobie sam.

Dziwna rzecz, że nie rozmawiali jeszcze z Edem o pożarze. Ed był zawsze w tak dobrym nastroju, że Connor nie miał odwagi podnosić tej kwestii. Bardzo chciał zapytać, dlaczego Julia tak stanowczo go unika, chociaż odpowiedź mógł właściwie odgadnąć. Edowi raz tylko wymknęło się coś takiego, że pożar na Snake Mountain bardziej okaleczył ją niż jego. Wydawało się, że Julia poczuwa się do winy nie tylko za to, co stało się ze Skye i Edem, ale i za śmierć pięciu osób, które zginęły, gdy helikopter ratowniczy zderzył się z linią wysokiego napięcia.

Ed z entuzjazmem podszedł do propozycji Connora, że znowu przyleci do Kentucky. Obiecał, że tym razem sam powita go na lotnisku. Connor nie liczył na to, że będzie z nim Julia. Prawdopodobnie znowu jakieś zajęcia zatrzymają ją w Bostonie.

Mylił się jednak. Kiedy ze swym starym skórzanym worem na ramieniu wszedł do hali powitań, zobaczył Julię, chociaż gdyby Ed nie trzymał jej pod rękę, być może w ogóle by jej nie poznał. Miała krótko obcięte włosy, była blada i wychudzona, z podkrążonymi oczyma. W wysokich butach i długim czarnym płaszczu z postawionym kołnierzem wyglądała tak pięknie i tragicznie zarazem, że Connor poczuł, jak głęboko w jego piersi obraca się zimny kamień. Zauważyła go i pomachała, a potem szepnęła coś Edowi, na co ten posłusznie zwrócił w odpowiednim kierunku rozpromienioną twarz i także pomachał.

- Cześć, kowboju - zawołał.

Ed miał ciemne okulary, a ubrany był w żółtą kurtkę narciarską, w której Connor tyle razy widywał go w górach. On także stracił na wadze, a poza tym w jego pozie pojawił się nowy element niepewności. Blizny na twarzy wygładziły się jednak odrobinę i nie wyglądały już tak

okropnie jak kiedyś. Connor podszedł bliżej.

- Cześć, stary - powiedział na powitanie. - Czy w tym twoim cholernym stanie zdarza się kiedyś znośna pogoda?

Położył worek, padli sobie w ramiona i zastygli tak na dłuższą chwilę. Connor z trudem zapanował nad łzami.

- Jak fajnie znowu cię zobaczyć - powiedział cicho.

- Także ciebie dobrze zobaczyć. - Ed zaśmiał się i odsunął Connora na wyciągnięcie ramion. - I co? Dalej cię „widzę”, jak dawniej, bo siedzisz mocno w mojej głowie. I wiesz, co ci powiem: nie wyładniałeś ani odrobinę.

Connor roześmiał się i obrócił do Julii.

- Cześć, Julio.

- Cześć, Connor. Jak leci?

- W porządku. A jak u ciebie?

- Dziękuję, dobrze.

Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć ani jak się zachować: pocałować, objąć, uścisnąć dłonie. Connor postąpił krok, objął Julię, pocałował ją w policzek i natychmiast poczuł jej pamiętny zapach. Julia nie odwzajemniła uścisku, lekko tylko dotknęła jego ramienia, co poczuł jako sygnał, że dość już czułości. Cofnął się i spojrzał jej w oczy, ale natychmiast uciekła wzrokiem.

- Obcięłaś włosy - zauważył nieporadnie.

- Tak, były w większości nadpalone i pokruszone, wiesz... Connor w milczeniu patrzył pod nogi.

- Ale dobrze jej, nie? - wtrącił Ed, przeciągnął dłonią po głowie Julii, a ta posłusznie się uśmiechnęła.

- Bardzo dobrze.

I znowu niezręczna cisza.

Przerwała ją Julia.

- Masz jeszcze jakiś bagaż do odebrania?

Podniósł worek i potrząsnął nim.

- Nie, to wszystko.

- No to na co czekamy? - zawołał Ed. - Zabierajmy tego kowboja na piwo!

Ruszyli wolno, Ed w środku, trzymając Julię pod rękę, a ludzie przebiegali koło nich we wszystkich kierunkach tak, jakby ogłoszono jakiś alarm, który umknął uwagi tylko ich trójki. Wyszli w wilgoć i szarość popołudnia. Connor i Ed zostali pod daszkiem, podczas gdy Julia poszła

po samochód. Deszcz siąpił uparcie, ściekając strużkami po dachach i maskach samochodów. Obok młoda para obejmowała się i całowała namiętnie. Pomędzy jednym a drugim całusem dziewczyna powtarzała chłopakowi, jak bardzo go kocha i jak mocno za nim tęskniła. Connor poczuł się nieswojo, ogarnął go jakiś dziwny smutek.

- Jak ona teraz wygląda? - spytał Ed.

- Świetnie. Może odrobinę zmęczona.

- Tak. To niewiarygodne, ile ona pracuje.

Tyle było pytań, które Connor chciał zadać, ale żadne nie wydawało się teraz odpowiednie.

- Bardzo żałuje tego, co ci powiedziała.

Connor udał, że nie wie, o co chodzi.

- Co masz na myśli?

Ed westchnął ciężko.

- Opowiadała mi, jak przeklinała cię i obwiniała za śmierć tamtej dziewczyny... wiesz.

- Sama przecież nie wiedziała wtedy, co mówi. Nie obraziłem się wcale.

- To dobrze. Bo ona teraz już rozumie, że uratowałeś jej życie, a dziewczyny nie można było ocalić.

- Mam nadzieję, że rozumie.

- Connor, żadnego „mam nadzieję”. Tak jest, naprawdę. - Ed chwycił Connora za ramię i zwrócił twarz tak, jakby chciał spojrzeć mu w oczy. - Nie miałeś żadnego wyboru. Każdy z nas postąpiłby tak jak ty. Albo przynajmniej próbowałby. Powiem więcej, większość z nas nie wiedziałaby, co zrobić, i zginęłaby na miejscu.

Dochodzenie nie zakończyło się jeszcze oficjalnym raportem, ale Connor wiedział już, że taka będzie ocena, co wcale nie poprawiało mu nastroju.

Po, zdawałoby się, długim czasie czarny jaguar podjechał do chodnika i Connor zobaczył, jak Julia uchyla drzwi od strony pasażera. Teraz i ona miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, co go zdumiało, jako że dzień był ponury.

- Już jest - powiedział i delikatnie poprowadził Eda do auta.

Kolacja w Zieleńcu - czy Chateau Tully, jak go nazywał Ed - rozpoczynała się o siódmej trzydzięci, a spóźnianie się było w złym guście. Kiedy do tego dochodziło, ojciec Eda nie robił, rzecz jasna, żadnych uwag, unosił tylko wysoko brew i obdarzał delikwenta jednym z tych swoich uśmiechów, które sprawiały, że człowiek tracił dwie stopy wzrostu i czuł się jak zakafała rodu ludzkiego. Ed, zgodnie z rodzinną tradycją nadawania niemal wszystkiemu akronimów, nazywał to uśmiechem „ach, jak nieładnie”. Miał dużo czasu na skatalogowanie uśmiechów ojca. Julia spieszyła się więc, jak mogła, aby zdążyć na kolację. Tymczasem było już dwadzieścia po, a ona,

nał w wannie, usiłowała zebrać siły do kolejnego spotkania z Connorem.

Apartament gościnny nie miał w sobie nic z realiów jej codziennego życia. Łazienka była wyłożona marmurowymi kaflami, oświetlające ją lampy skryły się w niszach, a wanna była wielkości małego basenu. Mieszkanie, które dzieliła w Bostonie z Lindą, a do którego z niechęcią wracała każdego niedzielnego wieczoru, było zimne, nieładne, zagracone, a na dodatek grasowały w nim legiony myszy i karaluchów.

Ed po raz pierwszy przyjechał z nią do Zieleńca i przedstawił rodzicom, kiedy poprzedniej wiosny udawali się do Montany. Kierowca ojca Eda, Raoul, czekał na nich w czarnym garniturze i czarnym krawacie, by z unizonym uśmiechem zaprosić na tył mercedesa, gdzie miejsca było tyle, że śmiało można było wyprawić małe party. Julia nie mogła się powstrzymać od nerwowego chichotu, kiedy minęli wielką mosiężną bramę i samochód wolno pojechał krętą alejką między wielkimi drzewami, by zatrzymać się przed wejściem z kolumnami i całą armią służących. Potem przestała już chichotać, tylko zbaraniałym wzrokiem wpatrywała się w fontanny i pawie przechadzające się po trawnikach.

Wreszcie oznajmiła, że nie miała pojęcia, że spotyka się z Rhettem Butlerem. Ed roześmiał się na to, ucałował ją w policzek i powiedział, że on zupełnie nie przejmuje się tymi wszystkimi zbytkami.

Od czasu, kiedy synowie opuścili dom, Jim i Susan Tully mieli całe zachodnie skrzydło tylko dla siebie; we wschodnim znajdowały się pokoje gościnne i pomieszczenia dla służby. Były tam przynajmniej cztery apartamenty gościnne, a kiedy Ed w czasie tej pierwszej wizyty prowadził ją wzdłuż pokrytych kremowymi dywanami korytarzy do najlepszego z nich, szeptała po drodze, że może powinna rzucać ziarenka groszku, żeby potrafiła znaleźć drogę powrotną. Odebrało jej dech, gdy otworzył drzwi: ściany pokrywała żółta jedwabna tapeta i draperie, podłogę zdobiły wielkie chińskie dywany, a za wysokimi oknami rozciągał się widok na bujne łąki.

Teraz wszystko wydawało jej się niemal oczywiste. Zieleniec uważała za swój drugi dom i z sympatią myślała o Lexington. Miejscowi zachowali wiele ze starodawnej grzeczności, która po bezwzględnym wyścigu typowym dla metropolii wydawała jej się zarazem śmieszna i urocza. Im bliżej poznawała rodziców Eda, tym bardziej ich lubiła. Wypadek zbliżył do siebie całą trójkę. Julia wiedziała, że oboje ją uwielbiają, a szczególnie matka, traktująca ją jak córkę, której nigdy sama się nie doczekała.

Susan zachowała się wobec tragedii równie dzielnie jak Ed. Julii trudno było sobie wyobrazić, jakim bólem i szokiem musiała być dla matki ślepotą ukochanego syna, ale Susan w niczym nie dała po sobie poznać bólu. Na zewnątrz od samego początku była pogodna, silna i praktyczna. Julia starała się naśladować tę postawę i najczęściej jej się to udawało. Nikt, nawet

terapeuta z Bostonu, nie wiedział, co się w niej dzieje, jakie trapią ją sny, jakie demony nawiedzają ją podczas przeraźliwych nocnych godzin i tak przysiadają na piersi, że ledwie może się poruszyć.

Miała nadzieję, że terapia jej pomoże, i gdyby trafiła na kogoś, komu bardziej by ufała, kto wie, może istotnie tak by się stało. Jej terapeuta nazywał się doktor Schroeder i był niskim, delikatnym mężczyzną, z niespokojnymi, podobnymi do paciorków czarnymi oczyma. Jego powolne skinięcia, które zapewne miały dawać wyraz zrozumieniu i sympatii oraz skłaniać do dalszych wyznań, przynosiły efekt wprost przeciwny. Kilka razy była na progu powiedzenia mu czegoś istotnego, ale wtedy zauważała to potakiwanie, nieprzenikniony wzrok - i brama zamykała się na powrót. Wreszcie podczas którejś cotygodniowej sesji nazwał ją Glorią i to przeważało szalę. Można jeszcze było ewentualnie wybaczyć pomylenie imienia, ale Gloria? Nigdy więcej się tam nie pojawiła.

Balast winy, który dźwigała, niekiedy okazywał się tak ciężki, że w czasie tych ponurych zimowych tygodni myślała, że załamie się pod nią kolana. Niewiele pomogła jej matka, która wyznawała zasadę, że w takich przypadkach najlepiej radośnie udawać, że nic się nie stało. Ilekroć rozmawiały - czy to telefonicznie, czy podczas rzadkich wypadów Julii do Nowego Jorku - matka zawsze miała pod ręką jakieś uspokajające kazanie. To po prostu wypadek. Nikt nie zawinił. Trzeba zacząć patrzeć w przyszłość. Gdy przy którejś okazji powiedziała nawet, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, Julia nie mogła uwierzyć swoim uszom. Rozlanym mlekiem?

Praca w instytucie pozwalała zająć czymś myśli. Wystarczyło jednak, by ktoś z jej podopiecznych powiedział coś czy zrobił jakiś szczególny gest, a wtedy pojawiała się przed nią twarz Skye, znowu słyszała jej głos, serce zaś zaczynało galopować i tak trudno było złapać oddech. W ciągu tygodnia oparcie znajdowała w Lindzie, która gotowała dla niej, zjawiała się z gorącą czekoladą, przychodziła w środku nocy, siadała na łóżku i tuliła rozsłochaną Julię. Chyba tylko ona rozumiała, dlaczego Julia ugina się pod ciężarem winy.

Dziesięć dni po pożarze, kiedy Ed był jeszcze na intensywnej terapii, Glen Nielsen pojechał z Julią, Katie, Scottem i Laurą do Billings na pogrzeb Skye. Stanowili ponad połowę orszaku pogrzebowego. Przez cały czas mszy ojczym Skye zerkał na Julię, a potem, przed kościołem, podszedł do niej, nazwał kurewską morderczynią i powiedział, że dziwi się, że miała czelność się tu zjawić. Zaczął się wydzierać, więc jakichś dwóch znajomych go odciągnęło.

- Nie zostawiłaś nam nawet ciała, żeby pochować, jak się należy - krzyknął na odchodnym.

A Julia przez kilka dni nie mogła wydobyć z siebie słowa.

Kiedy w Bostonie szła do instytutu i z niego wracała, przechodziła obok kościoła katolickiego i czasami, głównie po szkole, zachodziła do niego i siadała z tyłu. Najczęściej było tutaj pusto, czasami tylko bezdomni chronili się przed zimnem i bardzo rzadko można było

dostrzec jakąś postać zatopioną w modlitwie lub zapalającą świecę. Julia po wielokroć chciała zrobić i jedno, i drugie. Raz nawet przyszło jej do głowy, aby poszukać księdza i wyspowiadać się, ale co właściwie miała mu powiedzieć?

„Przebac mi, ojczy, zgrzeszyłam. Zabiłam w górach piękną młodą dziewczynę i oślepiłam mego chłopaka. Aha, i jeszcze zginęło pięć osób w helikopterze, który miał nas stamtąd zabrać...”

Ciekawe, ile zdrowasiek musiałaby odmówić, aby dostać rozgrzeszenie za takie winy? Sama myśl o wybaczeniu wydawała się obrzydliwa. Pewnych grzechów nie można odpuścić. Ale nawet gdyby Bóg jej wybaczył, czy ona sama by sobie wybaczyła? Jakie miała prawo modlić się czy zapalić świeczkę? Siedziała więc w ciemności i spoglądała na feerię świateł wokół ołtarza, na odzianą w złoto, błękit i biel figurę Marii Panny z zagadkowym uśmiechem i na porzuconego, ukrzyżowanego Chrystusa, z krwią spływającą z rany w boku i spod korony cierniowej. Julia patrzyła i patrzyła, w nadziei, że poruszy się w niej jakieś uczucie: nie wybaczenie, nie współczucie, ale chociażby jakakolwiek smużka jasności. Na próżno.

Woda stygła. Zamoczyła włosy, szybko je umyła, następnie wyszła z wanny i wytarła się w gruby ręcznik z monogramami rodziny. Przez cały czas myślała o Connorze i o tym, że lepiej było zostać w Bostonie albo jechać do matki w Nowym Jorku.

Zrobiła wszystko, co mogła, aby skryć swą niechęć do widzenia się z Connorem. Ed wyczuł to, gdy przed ostatnią jego wizytą Julia oznajmiła, że zostanie w Bostonie. Kiedy spytał czemu, wspomniała o wstydzie z powodu swego zachowania w dniu pożaru. Była to prawda, ale nie cała.

W głębi duszy jeszcze bardziej wstydziła się swoich uczuć do niego, uczuć, które nadal były żywe. Nawet przed pożarem zgoda na takie uczucia oznaczała zdradę wobec Eda, teraz wydawała się wręcz monstrualna. Julia dobrze wiedziała, na czym polega jej obowiązek, i dopóki tylko Connor był daleko, mogła stłumić swe emocje i skupić się na Edzie.

Tymczasem na lotnisku wszystko znowu wróciło. Jego zbliżająca się ku nim postać, spojrzenie tych jasnoniebieskich oczu, dźwięk głosu... Modliła się bezgłośnie, by jej nie całował ani nie obejmował, a kiedy jednak otoczył ją ramieniem, poczuła, jak coś się w niej łamie, i tylko najwyższym wysiłkiem woli nie przywarła z płaczem do niego. Dopiero kiedy zostawiła ich czekających na samochód, mogła się rozluźnić. Na parkingu przez dłuższy czas łkała z głową opartą na kierownicy.

Teraz przynajmniej czuła się już odrobinę silniejsza. Wysuszyła włosy, szybko naciągnęła czarne sztruksowe spodnie i ciemnozielony kaszmirowy sweter, który matka Eda dała jej w prezencie świątecznym. Przed pożarem mało uwagi zwracała na makijaż, teraz jednak przerażała ją twarz widziana w lustrze bez kremu i pudru. Miała zapadnięte policzki, podkrążone oczy, a z krótko obciętych włosami wyglądała jak ofiara raka czy więźniarka. Kiedy teraz nakładała

makijaż, usłyszała charakterystyczne lekkie pukanie do drzwi sypialni. W nocy, kiedy wszyscy szli już spać, zawsze tak pukał Ed.

- Milady?

- Jestem w łazience.

- Wszyscy z niecierpliwością oczekują jaśnie pani w sali bankietowej.

- Zaraz wychodzę.

Posłyszała stukot laski, kroki w sypialni, a po chwili zobaczyła w lustrze, jak staje na progu łazienki. Zaciął się podczas golenia i na policzku widać było cienką bliznę. Wstała i podeszła do niego, on zaś oparł laskę o ścianę, przygarnął Julię i pocałował w szyję.

- Pachniesz tak cudownie, że z chęcią bym cię schrupał.

Uśmiechnęła się, on zaś przesunął dłońmi po jej ciele, od pośladków aż do barków, a potem pod pachami aż na piersi.

- Sprawdzam tylko, czy jesteś dobrze ubrana.

- Mhm. No i co?

- Zdaje się, że wszystko jest na swoim miejscu.

Poczuła napór jego ciała na brzuch. Sięgnęła po mokry ręcznik i starła mu z twarzy ślad krwi.

- Co to, zaciąłem się?

- Odrobinę. Ale już nic nie widać. Chodźmy.

- Do łóżka?

- Na dół, ty zbereźniku. Masz zdjęcie?

- Tak, jaśnie pani.

- Mówiłeś mu już?

- Nie, powiemy po kolacji.

Ślepotą miała niewiele korzystnych stron, niemniej jedna zmiana całkiem zaskoczyła Eda. Zawsze był jurny, teraz jednak... Już dawniej słyszał, że utrata wzroku wyostreza inne zmysły, temu więc należałoby przypisać gwałtowny wzrost męskiego wigoru, chyba że był to wstydliwie przemilczany przez medyków uboczny efekt jednej z licznych pigułek, które musiał zażywać. Uczenie się nowych reguł życia i kontaktowania z pomroczyńskim światem było bardzo męczące, ale nigdy nie był tak zmęczony, aby przeszkodziło mu to w conocnych odwiedzinach sypialni Julii. Żartował nawet, że idąc do niej, nie potrzebuje laski, gdyż ta, z którą się urodził, nieomylnie wskazuje kierunek.

Co nie znaczyło, że dopiero teraz dał o sobie znać popęd, wcześniej zupełnie uśpiony. O, nie, dawniej także kochali się niemal co noc, teraz jednak wystarczyło, by poczuł jej zapach czy

dotyk, a natychmiast tak był gotów do miłosnych akcji, jakby, ciała jamiste napełniały się krwią wysokooktanową. Nie uważał się za wspaniałego kochanka, wiedział, że niekiedy jest zbyt natarczywy, że kończy zbyt szybko, lubił sobie jednak powtarzać, że brak delikatności równoważy namiętnością.

Z powodu złamanego biodra, długiego leczenia szpitalnego i okresu rehabilitacji, dużo czasu upłynęło, zanim znowu mogli się kochać z Julią. W centrum rehabilitacyjnym przez cały czas dręczył się myślą, że nie będzie już dla niej pociągający. Kiedy zwierzył się z tego jednemu z terapeutów, ten - najwyraźniej sądząc, że może to uspokoić Eda - powiedział, że u mężczyzn tracących wzrok często słabnie też potencja. W efekcie wracając do domu, Ed na dodatek był pełen podejrzliwości co do własnej sprawności.

Ale Julia rozwiała wszystkie wątpliwości. Wprawdzie podczas pierwszego tete - a - tete w Zielńcu zachowywał się jak chłopaczek na pierwszej schadzce, ale to ona wzięła inicjatywę w swoje ręce, dając mu odczuć, jak bardzo go pragnęła i czekała na niego. Od tego czasu nic się pod tym względem nie zmieniło, jeśli nie liczyć intensywności, z jaką występował u Julii element dawniej nieobecny - jakaś smutna zawziętość, w której jakby się zatracala.

Kiedy weszli z Julią do jadalni, wszyscy już zasiedli za stołem. Usłyszał skrzypienie krzeseł i domyślił się, że to jego ojciec i Connor wstają z miejsc.

- Przepraszamy za spóźnienie - powiedział - ale to moja wina. Mało nie odciąłem sobie głowy podczas golenia.

- To czemu nie używasz elektrycznej maszynki, którą ci dałam? - spytała matka.

- Lubię niebezpieczne życie.

Zapadła cisza. Julia podprowadziła go do krzesła i zajęła miejsce obok.

- No to zaczynamy jeść - odezwał się ojciec - bo Connor gotów umrzeć z głodu.

Zawołał Annie, filipińską kucharkę, którą Ed pamiętał jeszcze z czasów dzieciństwa. Zaczęła nakładać przystawki, Ed zaś, co stało się już rytuałem, pociągnął nosem i usiłował odgadnąć, co pojawia się na talerzach.

- Zaraz, zaraz, Annie. Co my tutaj mamy... Wędzony łosoś i... i...

- Nigdy pan nie zgadnie - powiedziała ze śmiechem.

- A... te stare skarpetki, które wyrzuciłem w zeszłym tygodniu.

Lekko klepnęła go w dłoń i umieściła na obrusie talerz.

- Ogórek i niespodzianka miętowa jako nadzienie.

- Ogórek pachnący jak skarpetki to już dostateczna niespodzianka.

W czasie jedzenia ojciec najpierw spytał Connora o podróż: z Montany, a potem wdał się w komentowanie zalet i wad różnych linii lotniczych. Julia odezwała się dopiero wtedy, kiedy ojciec

Eda zapytał ją, jakimi liniami lata zazwyczaj z Bostonu. Ed był zdziwiony, dlaczego jest taka spokojna, i stwierdził, że musi być śmiertelnie znudzona taką konwersacją, postanowił więc ożywić nieco atmosferę.

- A słyszeliście ten kawał o stewardesie, która miała bara - bara, przepraszam mamó, która miała intymny kontakt z pasażerem na zapleczu samolotu?

- Ja nie - powiedział Connor - ale coś czuję, że nam go opowiesz.

- Skoro nalegasz. No więc sprawa wyszła na jaw, dziewczynę wywalili z hukiem, a tu jak nie skoczy sprzedaż biletów. Każdy lot - wszystkie miejsca zajęte. No bo poszła pogłoska: „To jest linia, na której mogą cię przelecieć”.

- Ed, proszę - nadała się matka. - Connor, powiedz, co z nim zrobić?

- Z tego, co słyszę, pani Tully, w Azji kwitnie handel białymi niewolnikami.

- To dobry pomysł, sprzedamy go.

- Zlitujcie się, a ile wy dostaniecie za niewidomego diabetyka, który na dodatek jest nieudanym kompozytorem?

- Dlaczego nieudanym? - spytała matka.

- Oj, mamó, ty to się naprawdę nie znasz na żartach.

Na chwilę wszyscy umilkli. Zjawiła się Annie, aby posprzątać talerze. Potem odezwał się ojciec Eda.

- No a co ty, Connor, sądzisz o tym, że ta para gołąbeczków nareszcie postanowiła uwić sobie gniazdko?

Ed kopnął ojca pod stołem, ale było już za późno.

- Przepraszam, panie Tully, ale nie zrozumiałem - powiedział Connor.

- No bo oni... Ale zaraz, Ed, może ty nic jeszcze nie powiedziałeś przyjacielowi?

Ed westchnął ciężko.

- Pobieracie się? - spytał Connor.

- Chcieliśmy to jeszcze chwilę potrzymać w tajemnicy. Dzięki, tato.

Sięgnął po rękę Julii i poczuł jakieś ogromne napięcie. Może podobnie jak on była skonfundowana gafą ojca. Ujął jej dłoń oburącz.

- Wykorzystałem chwilę, kiedy była naprawdę pijana, i spytałem, czy mnie zechce, a ona, że tak, i teraz trudno jej się wycofać.

- Wspaniała wiadomość - powiedział Connor. - Gratulacje.

- Dzięki.

- To cudowna wiadomość - potwierdziła matka Eda. - Wszyscy jesteśmy tacy szczęśliwi.

- Julii jak gdyby język odjęło - zauważył ojciec.

- Przepraszam, ale nie wiem, co powiedzieć.

Ed uznał, że jego narzeczona jest zaambarasowana, więc pospieszył jej z pomocą.

- Trzeba powiedzieć, że niezła z ciebie szczęściara: wygrałaś w rywalizacji z tymi tysiącami urodziwych i bogatych konkurentek.

Wszyscy się roześmiali.

- Jim, chyba powinieneś wznieść jakiś toast - powiedziała matka. - Zanim znowu z czymś wyskoczysz.

Ed posłyszał, że wszyscy sięgają po kieliszki.

- Za Julię i Eda.

- Za Julię i Eda - zawtórowali matka i Connor.

- Na szczęście - rozległo się ze wszystkich stron.

Connor patrzył na Julię, która zasiadła na dywanie przed wielkim kominkiem. Oni obaj z kieliszkami wyśmienitej brandy zapadli się w wielkie fotele po obu jego stronach. Ed kończył kolejną opowieść, machinalnie gładząc po szyi Julię, która oparta jego nogi wpatrywała się w ogień. Widać było, że nie słucha, a Connor był ciekaw, o czym też może myśleć.

Znajdowali się w - jak to określił ojciec Eda - biblioteczce, którą w innych domach nazwano by salonem. Na dwóch polerowanych stołach piętrzyły się książki; setki innych, często oprawnych w skórę i najwyraźniej bardzo starych, wypełniały półki na ścianach. Ed podkreślał, że ojciec tylko kupuje je na jardy i nigdy nie przeczytał ani jednej. Podłogę zdobiły grube dywany, na które padało światło z czterech rzeźbionych mosiężnych lamp przysiadłych na blatach. Na mrocznym suficie kładła się łuna kominka.

Rodzice Eda poszli już spać, zostali więc tylko we trójkę. Po nagłej ciszy Connor zorientował się, że Ed musiał go o coś spytać.

- Przepraszam, zamyśliłem się. Co takiego?

- Jeszcze raz przepraszam za to, jak się dowiedziałeś. Chcieliśmy ci powiedzieć sami.

- Nic się nie stało. Bardzo się cieszę.

Julia odwróciła się od kominka i spojrzała mu w twarz. Podczas kolacji dwa razy pochwycił jej spojrzenie, o ile jednak wtedy natychmiast uciekała wzrokiem, teraz patrzyła uporczywie, gdyż - jak sądził - chciała ocenić, czy powiedział prawdę. Tym razem to on spuścił wzrok.

- Kiedy ślub?

- W ostatnią sobotę czerwca. Najpierw muszę się wzmocnić, rozumiesz, miodowy miesiąc. - Roześmiał się, a Julia, udając naburmuszoną, klepnęła go w kolano. - Pytałem swoich znajomych, ale nikt nie chce być drużbą, więc może ty?

- Jeśli tylko będę mógł... Gdzie się odbędzie?

- Tutaj. Najpierw myśleliśmy o Montanie, zanim jednak zdecydujemy, gdzie zamieszkamy, najprościej będzie tak.

- A chcecie się przenieść do Montany?

- Tak, w końcu to wolny kraj.

Connor spojrział na Julię, a ta uśmiechnęła się i lekko wzruszyła ramieniem.

- To wspaniale - powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to szczerze. - A dokąd?

- Gdzieś koło Missouli, jeśli tylko uda nam się znaleźć odpowiednie miejsce. Przepraszam na chwilę, ale muszę zrobić siusiu. Zaraz wracam.

Odstawił szklaneczkę, poszukał laski i wstał. Poderwała się także Julia, co słysząc, gwałtownie zaprotestowała, że do kibla trafi sam. Był to pierwszy odruch irytacji, jaki Connor u niego zauważył. Julia znowu zapatrzyła się w kominek, podczas gdy na korytarzu rozlegało się postukiwanie laski.

- Julio?

Kiedy odwróciła się, w jej oczach zobaczył taką rozpacz, że na chwilę odebrało mu dech.

- Wszystko w porządku?

Leciutko pokręciła głową.

- Nie całkiem, ale dam sobie radę.

Wyciągnął rękę, którą po krótkim wahaniu chwyciła obiema dłońmi. Miała chłodną skórę.

- Przepraszam, że nigdy nie odpowiadałam na telefony.

- Trudno, wiem, że nie było ci łatwo.

- Nie wiedziałam, co ci powiedzieć. Strasznie się wstydziłam swoich słów wtedy. I dalej się wstydzę.

- Nie mam pretensji. W takiej chwili... Naprawdę, nie obraziłem się.

- Uratowałeś mi życie i powinnam... Ale... - Urwała i znowu zapatrzyła się w ogień.

- Co takiego? Powiedz.

- Czasami... żałuję, że to zrobiłeś.

W jej oczach zakręciły się łzy. Nachylił się i powiedział półgłosem:

- Julio, to nie twoja wina, że tak się stało.

Z końca korytarza dobiegł dźwięk otwierających się drzwi i stukot laski. Julia wyprostowała się i otarła łzy.

- Nie wolno ci tak myśleć, nie wolno. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

Smutno pokiwała głową.

- Z pewnością.

Do pokoju wszedł Ed i nieomylnie trafił na krzesło. Julia i Connor zamilkli, zawisła ciężka

cisza.

- Albo jesteś śpiący - powiedział Ed - albo rozmawialiście o mnie, czemu bym się nie dziwił, bo czy jest jakiś bardziej interesujący temat?

- No, no, nie pochlebiaj sobie - powiedziała Julia głosem tak lekkim i wesołym, że jedynym śladem tego, co działo się w niej, był rozmazany tusz pod lewym okiem. - W końcu przez cały wieczór zajmujemy się tylko tobą. Nawet słówkiem nie zapytałeś Connora, co u niego.

- Cholera, masz rację. Przepraszam, stary. No więc co tam w Montanie? Jak interes fotograficzny?

- Żadnych zmian, po staremu. Całkiem nieźle, kilka sprzedałem. Ale chyba powinienem pomyśleć o czymś innym.

Upił brandy, ale milczał, chociaż Julia i Ed wyraźnie czekali. W końcu ten ostatni powiedział:

- Connor, jesteś niemożliwy. Przecież jeśli ktoś cię odrobinę zna, jak ja, to dobrze wie, że takie niby zdawkowe słowa zapowiadają coś, co u innych nazywa się nową drogą życiową. No więc wal, co nowego?

- Chyba zacznę podróżować.

- Świetny pomysł. A dokąd konkretnie?

- Najpierw Europa, potem może Afryka.

- Wspaniale. Żeby robić zdjęcia?

- Mhm.

- A dokąd w Europie?

Connor poczuł na sobie spojrzenie Julii, ale nie popatrzył w jej stronę.

- No, dawaj! Co to taki sekret?

- Bośnia.

- O - o. Ktoś cię tam wysłał?

- Nie, pomyślałem, że po prostu sobie pojedę.

- Ot tak, po prostu pojedziesz sobie na wojnę?

Connor wzruszył ramionami.

- Chciałem się rozejrzeć. Popatrzeć i posłuchać na miejscu.

- Wspaniale, stary. Kiedy jedziesz?

- Chciałem ruszać już niebawem, no ale teraz poczekam do waszego ślubu.

Zabrzmiało to bardziej definitywnie, niż zamierzał, czy niż myślał jeszcze parę godzin temu. Istotnie myślał o wyjeździe od pewnego czasu, zbadał nawet możliwości, ale tak naprawdę to wiadomość, że ukochana kobieta wychodzi za mąż, przesądziła o ostatecznej decyzji. Dopiero teraz

spojrzał na nią, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

Gdyby zastanowił się nad tym i gdyby Ed mógł widzieć, z pewnością nie zrobiłby tego, co zrobił. Wiedziony bowiem impulsem nachylił się i delikatnie wytarł tusz spod oka Julii. A ona zamknęła oczy pod jego dotykiem i w milczeniu spuściła głowę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dom, na który zdecydowali się w Montanie, stał na skalistym zakolu Bitterroot River i tuż za nim rozpoczynał się las. Był piętrowy, zrobiony z belek drewnianych i stał na działce o powierzchni półtora akra, w większości pokrytej trawą. Wokół domu rosły jabłonie i grusze, a skierowana w stronę rzeki ściana miała duże, przeszklone drzwi wychodzące na szeroki pomost, za którym kwitły dzikie róże. Dom zbudowała przed dziewięciu laty para rzeźbiarzy, za nim stał długi drewniany pawilon, który był ich pracownią. Jedno z ich dzieł - wysoki na trzydzieści stóp pal totemowy - wznosiło się na krańcu skalistego urwiska, a z jego szczytu orzeł zrywał się do lotu na wschód.

Po ślubie dziesięć dni wylegiwali się na plaży w Mexico City. Ed zabrał ze sobą stertę kaset z nagraniem powieści, ale ponieważ nie mógł znieść towarzyszącej lektorowi ilustracji muzycznej, więc poprosił Julię, żeby mu czytała Madame Bovary, i bardzo szybko zaczął przemyślać nad musicalem zatytułowanym Oh, Madame! Czasami gdy zasypiał w trakcie, milkła i przyglądała się pelikanom, które wolno szybowwały wzdłuż brzegu i od czasu do czasu spadały na upatrzoną ofiarę.

Wypoczęci i opaleni polecili wprost do Missouli, gdzie zaczęli rozglądać się za domem. Obawiała się, że zajmie im to kilka tygodni, tymczasem zdecydowali się już trzeciego dnia, po części dlatego, że wybieranie domu z Edem było bardzo nużące. Trzeba mu było opisać każdy szczegół. Jakiego koloru są ściany w kuchni? Co widać z okna w sypialni? Czy rzeka wydawała się dobra do łowienia ryb? Czy może rzucały się pstrągi?

- Setkami - odpowiadała. - Są ogromne, a jest ich tyle, że nie mieszczą się w wodzie i dlatego wylegają się na brzegu.

Dół stanowiła jedna duża jadalnia z parkietem. Ed stanął pośrodku i zaczął śpiewać, aby się zorientować w akustyce. Agentka, jowialna kobieta pod pięćdziesiątkę, ze szkarłatną szminką i wielkimi złotymi kolczykami, myślała, że jest nienormalny, szczególnie gdy zażądał, by i ona zaśpiewała.

- Nieźle - mruknął. - Maria Callas z Missouli. Rodzice w prezencie ślubnym dali mu nowy fortepian, czarną yamahę. Poprosił Julię, aby wybrała dla niego miejsce, domagając się, aby było widać stamtąd rzekę. Agentka spojrzała podejrzliwie na Julię, a on musiał jakoś to wyczuć, zaraz bowiem wyjaśnił, że chociaż sam nie będzie widział, to ważne, żeby wiedział, że tam jest. Oczywiście więc było, że najlepiej ustawić instrument bokiem do szklanych drzwi.

I tutaj właśnie stał dziewięć miesięcy później. Wokół niego Ed zorganizował - jak to

nazywał - centrum kosmiczne: zestaw sprzętu komputerowego, monitorów i klawiatur. Na pokrywie, pośród zapisanych alfabetem Braille'a arkuszy nutowych - na każdym dla rozpoznania umieszczono inny przedmiot - stało zrobione przez Connora zdjęcie ślubne. Na nim Ed zaśmiewał się do rozpuku (z pewnością z własnego dowcipu), w jego okularach odbijało się słońce Kentucky, podczas gdy Julia zezując w obiektyw, całowała go w szyję. Niezmiennie uderzała ją myśl, że Ed nigdy się nie dowie, jak wyglądali tego dnia.

Ale z tym zdjęciem wiązało się coś jeszcze istotniejszego, co uświadomiła sobie dopiero później. W tym pocałunku i całej pozie wyraziła się umowa, jaką zawarła z Edem, czy bardziej w imieniu Eda z sobą samą. Była dość prosta: ona spowodowała, że Ed stracił wzrok, więc teraz mu go zastąpi. Nie znaczyło to, że wyszła za Eda tylko z poczucia obowiązku. Ani że go nie kochała. Kochała, oczywiście, a jej podziw dla niego z racji odwagi, nierozczulania się nad sobą i niezłomnego optymizmu rósł każdego dnia, który z nim spędzała. Zdjęcie po prostu codziennie przypominało jej, jak się rzeczy mają i mieć będą, mówiło o wskazanym jej losie. A zarazem w tym rzucanym z ukosa spojrzeniu na Connora było coś, do czego nie chciała się przyznać sama przed sobą.

Do nowego domu wprowadzili się pod koniec września. Obie matki zostały z nimi przez kilka dni, aby pomóc się zagospodarować, a chociaż trudno było sobie wyobrazić osoby bardziej różne - dama z Południa i włoska fryzjerka z Brooklynu - to jednak tak przypadły sobie do gustu i tak często się śmiały, że po ich wyjeździe dom wydawał się opustoszały.

Pierwsze miesiące pełne były zajęć. Z miejscowego centrum opieki nad niewidomymi i niedowidzącymi przychodzili instruktorzy, pomagając w nabyciu sprawności ruchowej. W kuchni na lodówce, kuchence i kuchence mikrofalowej umieścili wypukłe oznaczenia - jeśli to możliwe, mocowane na magnesie - aby Ed nauczył się rozkładu sprzętów. Na wszystkich alejkach tak przystrzygli róże i gałęzie drzew, by nie mógł się skaleczyć podczas samodzielnych przechadzek, potem założyli sznurowe poręcze prowadzące w dół na przystań, a także na plaży.

Nie tylko Ed musiał się nauczyć nowych reguł życia. W przypadku Julii zmiany te były, oczywiście, nieporównywalne z tym, czego musiał dokonać Ed, ale przecież wcale nie były bagatelne. Na przykład nieustannie musiała pamiętać o tym, by nie zostawiać rzeczy w nieoczekiwanych miejscach, skąd mógł je mimo woli zrzucić; zamykać drzwi do pokojów i szaf, aby na nie nie wpadał; ważne dla niego rzeczy zostawiać zawsze w tym samym miejscu, aby mógł je bez kłopotu odnaleźć. Najtrudniejsze, czego musiała się nauczyć, było wyczucie, kiedy należało mu pomagać, a kiedy nie. Czasami bardzo bolesne było patrzeć, jak nagle nieruchomieje zagubiony, wpada w złość, czy nawet przewraca się, ale rozumiała, że bez popełniania błędów nie nauczy się ich unikać. Po kilku miesiącach wszystko już właściwie toczyło się gładko i bez

zgrzytów.

Była to dla Julii pierwsza zima w Montanie i najwyraźniej chodziło o to, aby nie rodzić w niej żadnych złudzeń. Pierwszy śnieg spadł w październiku i trwał następnie niczym natrętny kelner. Pomimo obaw, że będzie się czuła osaczona czy izolowana, Julia pokochała zimowy krajobraz. Ciepło ubrani wychodzili na długie spacerunki pod bezchmurnym niebem. Spróbowali nawet biegać na nartach: Julia sunęła przodem z dzwoneczkami na plecach, Ed zaś próbował podążać za tym dźwiękiem. Zdarzało się, że poruszał się za szybko, wpadał na nią i oboje upadali w śnieg, ale więcej przy tym było śmiechu niż bólu.

Wieczory spędzali skuleni na sofie przy kominku, czytając lub słuchając muzyki, albo - na co czasami Ed nastawał! - włączając telewizję z jego ulubionymi westernami czy musicalami. Czasami droczyła się z nim, zmyślając wydarzenia, ponieważ jednak wiele filmów dokładnie pamiętał, zaczynał ją tak łaskotać, że przeproszała i błagała o zmiłowanie.

Dzięki szczodrości ojca Eda, a także ubezpieczeniu od wypadków nie mieli kłopotów finansowych. Julia nie pracowała od wiosny, kiedy porzuciła instytut w Bostonie, a chociaż myślała o jakimś zajęciu zarobkowym, zwlekała z tym, rozkoszując się swobodą czytania, leniuchowania czy malowania, w pracowni bowiem rozstawiła sztalugi, przed którymi spędzała większość poranków. Edowi jednak doskwierała pomoc ojca i bardzo zależało mu na tym, by wykazać, że sam potrafi się utrzymać. Miał to ostatecznie zrobić - rzecz jasna - jako kompozytor - na razie jednak udzielał lekcji gry na fortepianie.

Na jesieni zamieścił ogłoszenie w „The Missoulian” i zgłosiło się kilka osób, ale jego sława szybko się rozeszła i wkrótce chętnych było więcej, niż gotów był przyjąć. Najczęściej były to dzieci, które na lekcje zachodziły po szkole. A słysząc ich głosy i widząc, jaką przyjemność sprawia Edowi ich towarzystwo, Julia wiedziała, że raczej prędzej niż później pojawi się problem ich własnego potomstwa.

Do rozmowy doszło w wieczór po Święcie Dziękczynienia. Kochali się na sofie koło kominka, a potem leżeli przytuleni do siebie. Julia wpatrywała się w osiadające na werandzie płatki śniegu.

- No i jak myślisz? - spytał.

- Ocena w skali jeden do dziesięciu? Cztery, góra pięć. Szturchnął ją żartobliwie w żebra.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Wielokrotnie ze zdziwieniem konstatowali, że miewa dar czytania jego myśli.

- Czy jeszcze nie za wcześnie? Nie lepiej, żebyśmy bardziej się tu jeszcze wpasowali?

- Czy ja wiem? Ja się czuję tak, jakbym tu mieszkał od lat.

- Ja także, ale...

- Nie ma sprawy. Jeśli nie jesteś pewna, poczekajmy... Myślała nad tym przez resztę wieczoru i cały następny dzień.

Chciała dzieci tak samo jak on, na co więc czekać? Zawsze dotychczas używali prezerwatyw, ale następnym razem, kiedy mieli się kochać, powstrzymała jego rękę sięgającą po kondom. Żadne nie powiedziało ani słowa, zgoda została wyrażona w milczeniu.

Od tego czasu minęły cztery miesiące, a Julia nadal nie była w ciąży. Wiedziała wprawdzie, że niektórym parom przychodzi próbować przez całe lata, ale jakiś głos mówił jej w środku, że coś jest nie w porządku, a wraz z tym zaczęła pragnąć dziecka wręcz żarliwie. Przed dziesięcioma dniami, nie mówiąc o tym Edowi, poddała się testom, których wyniki miała otrzymać dzisiaj.

Kwietniowy dzień zaczął się od samych dobrych oznak. Ed obudził ją, przynosząc do łóżka filiżankę kawy; przez okna wpadły promienie słońca, ze stereo na dole dudnił głos Neila Younga. Potem Ed podał na śniadanie wspaniałe ciasteczka z jagodami; siedzieli w jasnej kuchni przy sosnowym stole i omawiali projekty wakacyjne. Po jedzeniu Ed postanowił trochę pograć; wybrał jeden ze swych ulubionych utworów Schuberta. Julia pozmywała naczynia, ubrała się, pocałowała go i powiedziała, że ma do zrobienia sprawunki w Missouli. Nie pytał o nic, był bowiem piątek, to znaczy dzień, gdy robiła zakupy na cały tydzień. Na zewnątrz można było poczuć pierwsze prawdziwe oznaki wiosny. Śnieg zniknął, w wymęczonej trawie pokazywały się krokusy.

Ambulatorium mieściło się w długim, niskim budynku na południowym skraju miasta, niedaleko centrum handlowego. Pospieszyła się, a ponieważ było jeszcze dwadzieścia minut do otwarcia, przeczytała przy kawie gazetę.

Jak zawsze ostatnio, w pierwszej kolejności poszukała informacji o Bośni. Każdej nocy modliła się za Connora. Od czasu ślubu otrzymali od niego tylko kilka kartek pocztowych; ostatnia, z Sarajewa, nadeszła przed Bożym Narodzeniem. Wszystkie były krótkie i ograniczały się do pozdrowień. W zeszłym tygodniu Julia obejrzała w telewizji reportaż o tak zwanych czystkach etnicznych i o tym, jak w Sarajewie snajperzy strzelają do cywilów. Dzisiaj nie było żadnych wiadomości, a chociaż wiedziała, że to głupie, wzięła to za dobry omen.

Jedną z zasad uparcie powtarzanych przez matkę brzmiała, że kobieta winna chodzić tylko do lekarek, a jeśli trzeba było udać się do mężczyzny, najpierw należało sprawdzić, czy jest młody i przystojny, albowiem starzy i brzydki to wyuzdani frustraci. W tym przypadku ginekolog był zadbane i przystojny, dobiegał już jednak sześćdziesiątki, Julia nie wiedziała więc, jaki użytek zrobić z matczynej maksymy. Nazywał się doktor Henry Rumbold, co Edowi przypomniało dawny specyfik sprzedawany wprost z samochodów, który miał być dobry na wszystko: „Wspaniałe lekarstwo drą Henry’ego T. Rumbolda na gardło, brzuch i oparzenia”. Odtąd Julia przy każdej wizycie przypominała sobie ów sławetny środek.

W poczekalni pachnącej jeszcze świeżą farbą stały we flakonikach pierwiosnki. Na wizytę czekała tylko kobieta z zakatarzoną i rozkaszaną dziewczynką. Po jej wyjściu doktor Rumbold poprosił do gabinetu Julię, pytając, jak się czuje, dowiadując się o zdrowie Eda, a także dziękując Bogu, że zima się nareszcie kończy. Wskazał Julii fotel, sam zasiadł po drugiej stronie biurka, założył okulary bez oprawki i przez chwilę długą jak wieczność przewracał w papierach. Patrząc na niego, Julia uznała, że matka przynajmniej częściowo miała rację, gdyż doktor Rumbold wyglądał na frustrata. Wiedział, oczywiście, jaki wynik dały badania, cały więc ten spektakl z poszukiwaniami służył tylko powiększeniu efektu. Wreszcie położył przed sobą plik papierów i złożył na nim pulchniutkie dłonie.

- Otrzymaliśmy wyniki analiz - oznajmił.

Co za pacan, pomyślała, a głośno spytała:

- No i?

- No cóż, Julio, jesteś w znakomitej formie.

- Naprawdę? Jest pan pewien? - Całkowicie.

Natychmiast wybaczyła mu wszystko.

Zaczął omawiać szczegóły, ona jednak była zbyt podniecona, aby się skupić. Wspomniał o tym, jak często sam niepokój utrudnia zajście w ciążę, co Julia opatrzyła żartem, że teraz będzie się niepokoić o swój niepokój. Na tym się skończyło. Odprowadził ją do drzwi.

- Oczywiście, do tanga trzeba dwojga - rzucił, jak gdyby dopiero w tej chwili przyszło mu to do głowy. - Gdyby dalej nic się nie zmieniało, może przydałoby się, żeby i Ed zrobił testy.

- Och!

- Ale jestem przekonany, że to nie okaże się potrzebne.

- Z pewnością, jeśli tylko nie będziemy ustawać w tańcu.

Krążyła po supermarkecie, starając się odnaleźć dobry humor sprzed chwili, jak gdyby można było go znaleźć gdzieś na półce. Wózek wypełniła mnóstwem nie całkiem potrzebnych towarów, powtarzając sobie, że powinna się cieszyć, bo okazuje się, że jest normalną, zdrową, płodną kobietą.

Idąc do kasy, czuła się już odrobinę lepiej. Stała w kolejce. Przed sobą miała kobiety, wszystkie od niej starsze, wszystkie z wypakowanymi po sam szczyt wózkami. Może wreszcie powinna pójść do pracy. Ed tak sprawnie poruszał się teraz po domu, że niepotrzebna mu była stała opiekunka, co sam zresztą powtarzał. No cóż, trzeba zacząć się rozglądać. Ta myśl wprawiła ją w jeszcze lepszy nastrój.

- Julio?

Obejrzała się. Za nią stał w kolejce młody, wysoki, przystojny mężczyzna o długich

ciemnych włosach. Chyba go znała, ale nie mogła sobie przypomnieć, kto to. Uśmiechał się.

- Nie byłem pewien, ale to jednak ty.

- Przepraszam, ale nie...

- Mitch.

Teraz także ona poznała i spróbowała udawać radość.

- Pewnie, Mitch! Przepraszam, ale zmyliły mnie te włosy. Przedtem nie nosiłeś takich długich.

- A ty takich krótkich.

- No tak. Co u ciebie?

- W porządku.

- Pracujesz?

- Tak. Muszę, ale montuję też kapekę.

Jakoś to jej nie zdziwiło. Rozmawiali, podczas gdy kasjerka podliczała Julię; ona zaś przez cały czas odczuwała dawną niechęć. Na razie, póki zespół nie stał się sławny, uczył się w warsztacie na mechanika. Ale wszyscy tam to sami zasrańcy. Julia miała straszną ochotę zażądać dwudziestu alternatyw. Odprowadził ją na parking i patrzył, jak ładuje zakupy do jeepa, a potem siada za kierownicą.

- No i jak, odsiedziałaś trochę?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Co takiego?

- No, czy wsadzili się za to, co stało się ze Skye i w ogóle?

- Wsadzili? Za co?

- Bo to ty byłaś za nas odpowiedzialna.

Julia przez chwilę patrzyła w szybę, potem głęboko odetchnęła i powiedziała:

- Nie, Mitch. Nikt nie poszedł do więzienia. Do zobaczenia. Zapuściła silnik i ruszyła.

Kątem oka widziała, że Mitch się uśmiecha.

Czasami cisza była dobra.

Jak w tej chwili, kiedy siedział sam, a wpadające przez okno słońce ogrzewało mu twarz. Siedział przy fortepianie i wyobrażał sobie, jak drobniutkie pyłki wirują w smudze światła.

Cisza, oczywiście, nigdy nie była zupełna. Dom zawsze gawędził ze sobą: trzeszczały deski parkietu, pomrukiwały rury, w kuchni tykał zegar, leciutko burczała lodówka. Na zewnątrz słychać było krople ze śniegu topniejącego na dachu, a od szosy co jakiś czas dobiegał odgłos przejeżdżającego samochodu.

Czasami jednak cisza wcale nie była tak dobra.

To wtedy, kiedy skradała się ku niemu chyłkiem niczym dusiciel z poduszką, on zaś musiał szybko zacząć coś robić, aby go nie dopuścić: śpiewać, krzyczeć czy grać na fortepianie niczym oszalały. O dziwo, chwile takie rzadziej zdarzały się w samotności, niż wtedy, gdy dookoła byli ludzie.

W Zieleńcu, kiedy był rekonwalescentem, przytrafiały się bardzo często. Mógł oto siedzieć z Julią, rodzicami, czasami z braćmi i bratowymi, przy stole toczyła się normalna rozmowa, aż w krótkiej chwili ciszy nagle wzbierała w nim panika, a on sam zaczynał natrętnie paplać, wygadując bzdury, rzucając głupie dowcipy czy chełpliwie przyrównując siebie bądź do Hioba, bądź do Raya Charlesa. Wszyscy wprawdzie śmiali się grzecznie, ale i oni nie widzieli w tym nic śmiesznego, a on tylko w ten sposób potrafił się bronić przed zatonięciem. Wiedział, jak bardzo niepokoją ich takie napady, ale nic nie potrafił na to poradzić. Kiedy pewnego razu usiłował opisać to uczucie Julii, wydało mu się, że najbardziej podobne jest do klaustrofobii.

Teraz momenty takie nadchodziły rzadziej, właściwie od czasu przyjazdu do Montany nie miał ani jednego poważnego ataku, zarazem jednak orientował się, że ciągłe trzepanie językiem i przekomarzanie się z Julią to swego rodzaju profilaktyka. Zawsze był gadatliwy, ale teraz słowotok przybierał niekiedy niezwykłą skalę. Julia to wyczuwała, więc kiedy zaczynał trajkotać, kładła mu rękę na ramieniu albo podchodziła, brała w ramiona i uspokajała: „Już, już, jestem przy tobie”.

Nie chodziło jedynie o powstrzymanie tych ciemnych, wrogich życiu chwil ciszy. Dobrze wiedział, jak „wspaniale” w oczach innych „daje sobie radę” ze swoim kalectwem. Jak wszystkich olśniewał swoim „męstwem”, „hartem ducha”. Oczywiście, że mógłby zapaść się w sobie i pograć w nieustannym szlochu. Tylko on wiedział, ile razy bliski był tego, dobrze jednak rozumiał bezsensowność takich zachowań. Największym jego wrogiem wcale nie była ślepotą. Od czasu, gdy wykryto u niego cukrzycę, a więc bardzo wcześnie, wiedział, że ciało może go zawieść. Nie, nie, on doskonale zdawał sobie sprawę, że największym dla niego niebezpieczeństwem jest użalanie się nad sobą.

Wystarczy, że pozwoli sobie na jej odrobinę, a ona, nie wiadomo kiedy, rozpełźnie się po całej duszy. Była jak heroina albo wirus, który namnażając się we krwi, sprawia, że w końcu zaczynasz żałować, że w ogóle żyjesz. Albo jak jadowity pająk, który przyczajony w kącie pokoju czeka na swoją chwilę. Dlatego tę litość nad sobą trzeba było nieustannie tłamsić, zachowując się tak, jakby ślepotą była tylko małą niedogodnością i - zastanówcie się sami! - ile nowych rzeczy do poznania, do zaobserwowania, naprawdę, bardzo ciekawe! A jeśli uda się o tym przekonać tego wstrętnego sukinsyna, jeśli nie pokaże się mu innej twarzy, to może jednak w końcu znudzi się i pójdzie sobie.

To właśnie on w trudnych chwilach szeptał mu, że tak naprawdę Julia go nie kocha, że

wyszła za niego tylko z poczucia winy albo dla jakiejś parszywej powinności, czy może - co było już myślą zupełnie absurdalną - z powodu pieniędzy, które miała nadzieję kiedyś odziedziczyć. Ale takim wątpliwościom nie pozwalał zagościć w swoim sercu. Utracił może wzrok fizyczny, ale nie ostrość spojrzenia duchowego, co więcej - nie stracił też wiary w siebie.

Czy bez Julii znalazłby w sobie tyle siły, tego już nie wiedział. Raczej nie. Czasami miał wrażenie, że widzi coś niczym leciutki blask żaru, a chociaż pewnie była to tylko ostatnia resztką wspomnień wizualnych, czuł na sobie jego wzmacniające ciepło. Teraz to ona była jego oczyma, źródłem inspiracji, odwagi i woli życia. Stanowili niepodzielną jedność.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dym zobaczyli już z daleka; niczym gruba ciemna kolumna” wyrastał nad kończącą dolinę granią. Droga była wąska i zryta gąsienicami czołgów. Czasami ściany doliny schodziły się do siebie, a wtedy rzeka, brzegiem której jechali, znikła im z oczu, ale w leżących niekiedy sto stóp niżej kataraktach słychać było jej ryk górujący nad postękiwaniem starego volkswagena. Potem jednak skały oddalały się, ukazywało się bezchmurne niebo, rzeka zaczynała toczyć wody spokojnie i cicho, a po drugiej jej stronie ukazywał się las pełen niezliczonych odmian zieleni.

Mieli otwarte okna, płócienny dach łopotał na wietrze. Powietrze było chłodne i wonne. Rozjaśnione włosy Sylvie trzepotały, zakrywając jej twarz, a wtedy puszczała jedną ręką kierownicę i upychała je za uszy, ale już za chwilę uwolnione uciekały stamtąd. Co jakiś czas prosiła Connora, aby przypalił jej papierosa. Wypalała je jednak tylko do połowy, bo - jak mówiła - to właśnie ten koniec jest najbardziej szkodliwy. Connorowi wydawało się to interesujące u osoby, która od dwudziestu lat codziennie ryzykowała życie. Między sprzętem fotograficznym i kamizelkami kuloodpornymi leżało kilkanaście kartonów marlboro, po które sięgał, ilekroć na drodze pojawiała się jakaś zapora. W trakcie ostatniej godziny zatrzymywały ich serbskie patrole złożone z mężczyzn o zaciętych twarzach, wystarczyło jednak kilka minut jej szczebiotania i żartów, a także daru w postaci papierosów, by puszczano ich dalej.

Sylvie Guillard, paryżanka, dobiegała czterdziestki, a korespondentem wojennym była w czasach, gdy Connor chodził jeszcze do podstawówki. Pracowała dla znanej agencji Magnum, a o jej odwadze krążyły legendy. Opowiadano o jeździe na czołgu w centrum zażartej bitwy czy przemykaniu się pod ostrzałem tylko po to, aby sprawdzić światło. Ile prawdy było w tych historiach, tego Connor już nie wiedział, niemniej jednak od pierwszej chwili, gdy na jesieni znalazł się w Bośni, zewsząd o niej słyszał. Niska, szczupła, wydawała się niezwykłym zjawiskiem wśród przytłaczającej większości męskiego grona obecnych w Sarajewie dziennikarzy, wśród których budziła zarówno pożądanie, jak i grozę. Wszyscy wiedzieli, że działa tylko na własny rachunek, tym dziwniejsze zatem było to, że wzięła pod opiekę Connora. Niewiele zdjęć udało mu się sprzedać jak dotąd, gdyby jednak nie Sylvie - nie sprzedałby żadnego.

Dlaczego w ogóle się nim zajęła, to prawdziwa tajemnica. Korespondenci wojenni, których spotkał w Bośni, byli fajnymi, przyjaznymi kumplami, tam jednak, gdzie chodziło o sprawy zawodowe, stawali się bezwzględными rywalami. To, żeby z kimś dzielić obiecującą okazję, zdarzało się bardzo rzadko, a przecież o trzeciej nad ranem Sylvie zapukała do jego pokoju w Holiday Inn i kazała się jak najszybciej zbierać. Za pośrednictwem łącza satelitarnego któryś z jej

tajemniczych informatorów oznajmił, że Czerwone Kobry, jeden z najbardziej osławionych serbskich oddziałów paramilitarnych, wchodzi na teren enklaw muzułmańskich na wzgórzach. Trzeba się było spieszyć.

Z powodu blokad i objazdów jechali już pięć godzin, a Sylvie przez ten czas opowiedziała mu trochę o Kobrach. Dowodził nimi zagorzały faszysta imieniem Grujo, hurtownik mięsa, który lubował się w drogich samochodach i nieskomplikowanych broniach. Podobno uśmiercał muzułmanów z kuszy i własnoręcznie ich skalpował, by potem owymi wojennymi trofeami dekorować swego czarnego opancerzonego rangę rovera. Kiedy Connor oznajmił, że to szaleniec, Sylvie tylko wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak, no i co z tego? Na wojnie pełno jest szaleńców. W ten sposób jakbyś usprawiedliwiał nas wszystkich pozostałych, podobno „normalnych”.

Minęli kilka spalonych wiosek, w których nie było śladu ludzi: ani martwych, ani żywych. Dolina u końca zaczęła się podnosić. Wjechali w las i długimi serpentynami wspinali się po zboczu, a odbite od szarych skał echo silnika rozchodziło się po lesie.

Zanim jeszcze zobaczyli, mogli już poczuć, co się stało. Kiedy spomiędzy drzew znowu wyjeżdżali na słoneczne światło, mdły zapach poinformował ich, że spaliły się nie tylko domy.

Była to raczej osada niż wioska. Raptem kilka domków i zabudowań gospodarskich w płytkiej niecce porośniętej trawą, w której różowo, biało i żółto migotały wiosenne kwiaty. Dym, który widzieli z dołu, był teraz rzadszy i unosił się nad wrakiem przewróconego na bok traktora.

Sylvie zatrzymała samochód o sto jardów od pierwszego domu i przez chwilę siedzieli, obserwując i nasłuchując, ale jedynym dźwiękiem było bzyczenie owadów na łące. Biały pies przemknął przez drogę, zobaczył ich, znieruchomiał, wydał jedno urwane szczeknięcie i zniknął za niskim murkiem w sadzie. Między kwiatami leżały dwa ciemne kształty i chociaż były częściowo ukryte, nawet z daleka Connor dobrze wiedział, co to.

Ciągle bez słów sięgnęli na tylne siedzenie po sprzęt. Drzwiczki zgrzytnęły, gdy Connor je otwierał. Wysiedli i ramię przy ramieniu wolno poszli wzdłuż drogi w kierunku szerniałych budynków. Kamienie chrzęściły pod stopami, robili pierwsze zdjęcia.

W trawie obok drogi leżały jakieś zwęglone szczątki, nad którymi uwijały się muchy, i trzeba było chwili, by Connor zorientował się, że to bydło z resztkami spalonych opon na szyjach.

Pierwsze ludzkie ciała leżały kawałek dalej, przed czymś, co dawniej było domem. Kiedy Sylvie zaczęła je fotografować, Connor przeciął drogę i poszedł w głąb sadu. Z gałęzi jabłoni zwisały na związanych przegubach dwa kobiece ciała, kobieta i dziewczyna, pewnie matka i córka. Dziewczyna była naga, kobieta miała na sobie tylko porwaną i zaplamioną bluzkę. Były tak okaleczone, że nawet robiąc zdjęcia, Connor żałował, że w ogóle to zobaczył.

Fotografie, które robił przez ostatnie miesiące, śmiało mogłyby zawisnąć w jakiejś galerii okropności, a on sam przestał już odczuwać mdłości na widok efektów okrucieństwa. Nadal napełniały go - i miał nadzieję, że to się nie zmieni - obrzydzeniem do sprawców, a współczuciem dla ofiar, ale uczucia te straciły wiele z dawnej intensywności. Wzrastało natomiast i potężniało zdumienie, że ludzie zdolni są do tak wyrafinowanej, jakby radosnej bezwzględności.

Z początku dręczył się tym, że w ogóle tak potrafi. Że potrafi troszczyć się o właściwe oświetlenie skóry martwego człowieka, niewidzących oczu, kałuży krwi. Że potrafi patrzeć na zwłoki czyjegoś ojca lub czyjejś córki, od których biło jeszcze ciepło życia, i zastanawiać się nad ujęciem, obiektywem, ekspozycją. Być może i on miał w sobie jakąś nieczułą, zwyrodniałą część. Ostatecznie jednak, jak wielu przed nim, uznał, że niezależnie od tego, co z nim się działo, najważniejsze, by dał świadectwo horrorowi rozgrywającemu się na jego oczach.

Promienie słońca na kwiatach wokół głowy matki były perwersyjnie piękne i Connor zrobił może więcej zdjęć, niż powinien. Sylvie dołączyła do niego, ale pstryknęła tylko kilka razy i poszła drogą dalej, a Connor nie wiedział, czy w ten sposób milcząco uznaje, że scena jest jego, czy może podkreśla z wyrzutem, że zbyt długo trwa przy jednym szczególe.

Naliczyli piętnaście zwłok, niektóre prawie nie do rozpoznania. Pięć z nich było oskalpowanych. Ciało mogło być więcej w zgliszczach budynków. Ostatnią dwójkę stanowili kilkuletni chłopiec i starzec z rzadką siwą bródką. Siedzieli jeden obok drugiego, oparci o ścianę stodoły i z daleka można było pomyśleć, że zasnęli. Nad ich głowami jaskrawoczerwoną farbą napisano BALIJE, co było obraźliwym określeniem muzułmanów, i wyrysowano kobrę gotową do ataku.

Robili jeszcze zdjęcia, kiedy usłyszeli samochody.

- Dawaj filmy - powiedziała Sylvie, która odkręcała właśnie zawleczkę jednej z rurek trójnożnego statywu, który zawsze miała ze sobą. - Szybko, wszystkie.

Dał jej wszystkie rolki, włącznie z pospiesznie wyjętą tą, która zawierała ostatnie zdjęcia. Wszystkie wrzuciła do rurki, zamknęła ją, a następnie wydobyla z torby kilka innych rolek i mu podała. Wyglądały na wykorzystane.

- Włóż do siebie.

Przez trawę jechały w ich kierunku dwa jeepy, transporter opancerzony i ciężarówka bez plandeki. Założyli filmy i zaczęli fotografować samochody, w których było dwudziestu, może trzydziestu mężczyzn, uzbrojonych w AK - 47, RPG i krótkie pękate automaty, jakich Connor dotąd nie widział. Kiedy żołnierze zobaczyli aparaty, z krzykiem i gniewnymi gestami zaczęli celować do dwójki dziennikarzy.

Wozy zatrzymały się w odległości jakichś dwudziestu jardów i natychmiast wyskoczyli z

nich mężczyźni, wszyscy w czarnych kombinezonach i skórzanych kurtkach. Niektórzy mieli czapki, inni hełmy, zawsze z wymalowanym wizerunkiem Czerwonych Kobr, jeszcze inni mieli czerwone bandany, a wszyscy opleceni byli ładownicami, przy pasach natomiast mieli pistolety, noże i granaty. Przynajmniej sześciu z nich zmierzało w ich kierunku.

- Pamiętaj - cicho uprzedziła Sylvie - to nasi bracia w Chrystusie.

Serce Connora zabiło żywiej, ale ku jego nieustannemu zdziwieniu, mniej to był strach, a bardziej - podniecenie.

Dowódcę łatwo było rozpoznać po kroku i zachowaniu. Był w wieku Connora, silnie umięśniony i niższy od pozostałych. Włosy miał obcięte na jeża, ciemne lotnicze okulary i T - shirt ze srebrzystym emblematem Nirvany. Trudno powiedzieć, czy z racji tego, że w takim właśnie stanie ducha się znajdował, czy też dlatego, że był to jego ulubiony zespół. Na jednym biodrze trzymał pistolet maszynowy scorpion, na drugim sterczała z pochwy rękojeść noża. Kiedy byli już blisko, Sylvie przywitała ich w serbsko - chorwackim. Zatrzymał się tuż przed nimi, ogarnął pogardliwym spojrzeniem i spytał po angielsku:

- Wy co za jedni? I co tu robicie?

Odpowiedziała po serbsko - chorwacku, częstując go jednocześnie papierosem z wydobytej paczki, na co odpowiedział krótkim potrząśnięciem głowy. Nadał po angielsku, jakby dla podkreślenia, że nie da się oczarować, spytał, kto im pozwolił tutaj przebywać. Trzymając się serbsko - chorwackiego, zaczęła coś wyjaśniać, a chociaż mówiła zbyt szybko, aby Connor mógł zrozumieć, słyszał, że parę razy użyła imienia Grujo, wymawiając je tak, jakby byli dobrymi znajomymi. Nie wiadomo, czy zrobiło to na mężczyznę jakiegokolwiek wrażenie.

- Papiery - warknął krótko.

Wręczyli mu paszporty, do których Connor dołączył legitymację prasową ONZ, jedyny w miarę oficjalnie wyglądający dokument, jaki posiadał, a znaczący mniej więcej tyle, co przeterminowany bilet na mecz piłkarski. Wręczając go, Connor powiedział:

- Dobry zespół.

Tamten spojrział na niego ostro.

- Co?

Connor kiwnął głową w kierunku koszulki. Dowódca wpatrywał się w niego przez chwilę, ale nic nie powiedział. Za nim mężczyźni zaczęli ładować trupy na ciężarówkę.

- Amerykanin?

- Tak.

- Z jakiej gazety?

Connor przypuszczał, że raczej powinien się pochwalić związkami na przykład z Magnum,

ale jakoś nie chciało mu to przejść przez usta. Wzruszył ramionami.

- Z żadną nie jestem związany na stałe. Wolny strzelec.

Sylvie chciała coś powiedzieć, ale tamten uciszył ją ruchem dłoni i głową wskazał chłopca i starca pod stodołą.

- I co, Amerykanów interesuje takie gówno?

- Nie wiem. Mnie interesuje.

- Naprawdę?

- Mhm.

- A dlaczego niby?

W poruszeniu Sylvie poczuł napięcie, nie spuszczać jednak oczu z rozmówcy, wzruszył ramionami.

- Najbardziej chyba interesuje mnie to, kim są ci, którzy torturują i zabijają bezbronne kobiety, dzieci i starców.

Mężczyzna patrzył na niego, a Connor usiłował odnaleźć jego oczy za przeciwsłonecznymi okularami, ale widział w nich tylko odbicie własnej twarzy. Sylvie odezwała się po chorwacku, tym razem z większą natarczywością w głosie, i znowu dwa czy trzy razy powtórzyło się imię Grujo. Mężczyzna przez cały ten czas spoglądał na Connora.

- Oddajcie filmy.

Sylvie wyraźnie się sprzeciwiała, on ponowił swoje żądanie, a potem sięgnął po futerał z aparatem. Wtedy Sylvie eksplodowała przekleństwami w kilku językach, a mężczyzna szczekliwym głosem wydał jakiś rozkaz. Natychmiast podskoczyli do nich żołnierze, podstawiając lufy pod nos i wykręcając ręce do tyłu. Wyrwali im aparaty, wyciągnęli z nich filmy, które z wściekłością podeptali, wyjęli rolki filmów i wyszarpnęli taśmę, żeby ją prześwietlić. Przez cały czas Sylvie krzyczała na nich i wyklinała.

Padł następny rozkaz. Szturchani lufami w plecy minęli samochody, ciężarówkę z ciałami, sad, a z każdym krokiem Connor był coraz bardziej pewien, że za chwilę ustawią ich pod jakąś ścianą i rozstrzelają.

Zaprowadzili ich jednak do volkswagena, przeszukali, czy nie znajdą jeszcze jakichś zdjęć, zabrali papierosy, a potem zwrócili im paszporty i sprzęt, włącznie ze statywem, każąc czym prędzej wynosić się, gdzie pieprz rośnie. Sylvie zawróciła, nie przestając złorzeczyć, ale żołnierze tylko rechotali i odpowiadali jakimiś okrzykami.

Kiedy odjechali na tyle daleko, że nikt z Serbów nie mógł ich widzieć, Sylvie odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła gromkim śmiechem, uderzając rękami w kierownicę. Spojrzała na Connora, który odpowiedział jej mdłym grymasem. Bardzo chciałby radować się jak ona, ale tak

naprawdę był w szoku.

W duchu nadal miał zwłoki, drzewa w sadzie i zgliszcza, mając pewność, że za chwilę zginie. Zaszokowało go, że wcale nie był tym przejęty.

Wracali do Sarajewa inną drogą, ale zabrała im ona jeszcze więcej czasu. Mijali samochody z uciekinierami o apatycznych spojrzeniach, mijali spalone i zrujnowane wioski. Zatrzymywano ich nawet jeszcze częściej niż poprzednio, a raz trzy godziny musieli czekać, zanim oddano im dokumenty. Potem natknęli się na oenzetowski transport żywnościowy zablokowany przez oddział JNA, Jugosłowiańskiej Armii Ludowej. Eskortę wojskową transportu stanowili Brytyjczycy, więc Sylvie i Connor odszukali dowódcę i powiedzieli mu, czego byli świadkami.

Kiedy dotarli do Holiday Inn, zmierzchało już. Zaparkowali w podziemnym garażu. W barze i restauracji wszyscy mówili tylko o Grujo, Czerwonych Kobrach i ich najnowszej wyprawie przeciw muzułmanom. Dziennikarz z jakiejś agencji prasowej, najwyraźniej już po kilku whisky, wszem wobec oznajmiał, że teren najnowszej czystki etnicznej zablokowano i nie wpuszczano tam nikogo. Connor i Sylvie nie odezwali się ani słowem, wzięli po piwie i poszli na górę do siebie zrzucić sprzęt.

Laboratorium, z którego korzystała Sylvie, znajdowało się niedaleko hotelu - a raczej w odległości równej krótkiej modlitwie - raptem o trzy ulice, które należało przebyć, przeskakując od jednej osłony do drugiej tak szybko, aby nie dać szans serbskim snajperom. O tej porze powinni być zbyt pijani na celny strzał, ale zginąć można także od strzału przypadkowego. Zajęli się najpierw wywoływaniem kolorowych zdjęć, a potem czarno - białych. Miejsca było tu niedużo, Connor zasiadł więc z piwem w kącie, a wywoływaniem zajęła się Sylvie. Było gorąco, zdjęli więc kurtki, on został w samej koszuli, ona w cienkim topie. Pod spodem nie miała stanika. Pochwyciła w pewnej chwili jego spojrzenie, ale nawet się nie uśmiechnąwszy, wróciła do pracy.

Przyniosła ze sobą suszarkę do włosów, żeby przyspieszyć schnięcie negatywów. Stanęli obok siebie, oceniając je. Wiele było zbyt straszliwych w swej dosłowności, aby wzięło je jakieś czasopismo, a Sylvie wystarczyło jedno spojrzenie, by rozstrzygnąć, co się nada, a co nie. Connor ze zdziwieniem stwierdzał, że na zdjęcia trudniej było patrzeć niż na rzeczywiste sceny, a kiedy powiedział o tym Sylvie, ta tylko wzruszyła ramionami i mruknęła, że to kwestia adrenaliny.

Jej zdjęcia staruszka z chłopcem i kobrą wymalowaną na ścianie były znacznie lepsze od jego, podobnie było z innymi, kiedy jednak doszli do czarno - białych zdjęć zrobionych przez Connora w sadzie, Sylvie przeciągle gwizdnęła.

- Teraz powiedz, które - poleciła.

- Które najlepsze?

Kiwnęła głową i cofnęła się o krok. Wybrał sekwencję pięciu ujęć, na których kobieta i

dziewczyna były po części w cieniu. Pokiwała głową i ponownie spytała, które z nich jest najlepsze. Jego zdaniem te niczym się już specjalnie nie różniły, na co powiedziała, że jest w błędzie i kiedy wywoła je na próbę, sam zobaczy.

Obraz dopiero zarysowywał się na papierze, a Connor już wiedział, o które zdjęcie jej chodziło. Widać było nagość dziewczyny, ale cień sprawiał zarazem, że oba ciała - poza twarzami i ramionami - były jakby przesłonięte muslinem, co jeszcze bardziej podkreślało ich mękę. Światło rozigrane w płatkach kwiatów za nimi i powyżej nich pogłębiało siłę obrazu.

- To zdjęcie dnia - powiedziała. - Może to nawet zdjęcie roku.

- Nie wiem.

- Nie myśl, proszę, że prawię ci puste komplementy. Zerknął na nią i uśmiechnął się, Sylvie dokończyła piwo.

Czuł na sobie jej wzrok, kiedy umieszczał zdjęcie w utrwalaczu i zaczął zbierać sprzęt.

- No dobrze - rzekła - teraz trzeba będzie zatroszczyć się o pieniądze.

Spakowali negatywy, zamknęli pomieszczenie i doszli do rogu pierwszej z trzech ulic pod ostrzałem.

- Ale teraz nie biegniemy, dobrze?

Wzruszył ramionami.

- Jak uważasz.

Wzięła go pod rękę i spokojnie przeszli na drugą stronę. Ich kroki rozlegały się echem w ciemności i Connor bez trudu mógł sobie wyobrazić młodego serbskiego snajpera przykładającego oko do noktowizyjnego celownika. I znowu zmartwił się, że nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Tak samo postąpili na drugiej ulicy, a przez trzecią przeszli jeszcze wolniej.

- Nie boisz się? - spytała.

- Może gdybym był mądrzejszy, to bym się bał.

- Są takie dni, kiedy wiesz, że nic ci się nie stanie.

- Myślisz?

- Jestem pewna. Patrz.

Zatrzymali się pośrodku ulicy. Odwróciła się plecami do snajperów, pocałowała Connora mocno w usta i zaśmiała się w głos.

- Widzisz?

W hotelu poszli prosto do jej pokoju, gdzie cisnęła na krzesło kurtkę, zrzuciła buty, wyjęła butelkę whisky i nalała do szklaneczek. Usiadła po turecku na łóżku, zapaliła papierosa i spytała o jego agencję nowojorską. Była to ta sama, której sprzedał swoje zdjęcie z pożaru w Yellowstone, ale nie wzięli od niego niemal nic z tego, co zrobił w Bośni. Sylvie powiedziała, że są do niczego i

żeby dał sobie z nimi spokój. Sięgnęła po telefon, połączyła się z Paryżem, potem przeprowadziła dwie rozmowy z Nowym Jorkiem i zanim odłożyła słuchawkę, Connor miał już zupełnie nowy kontrakt.

Wyjęła skaner i laptopa, usiedli obok siebie na łóżku, negatywy ze skanera przenieśli do laptopa, a potem via satelita posłali w świat. Nalała znowu whisky, stuknęli się szklaneczkami, on podziękował, a ona wykonała jedno z tych swoich zabawnych francuskich wzruszeń ramionami i powiedziała, że nie ma za co.

Potem w całym hotelu zgasło światło, więc Sylvie zapaliła trzy świece na stoliku obok łóżka. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało, siedzieli tylko, sączyli trunek i wsłuchiwali się w odgłosy eksplozji i samotne wycie syreny ambulansu.

Oparła się o wezglowie i z wyrazu jej oczu mógł wyczytać, na co ma ochotę. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po tyle głowy i szyi. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Miał teraz długie włosy, którymi ona zaczęła owijać sobie palce, aż poczuł ból.

- Ciągłe próbuję mieć taki kolor włosów, ale mi się nie udaje.

- I tak są ładne.

- Jesteśmy podobni do siebie.

Uśmiechnął się. Sylvie odstawiła szklaneczkę na stół, to samo zrobił on, a wtedy ona przesunęła się na łóżku i pocałowała go. Jej usta smakowały papierosami i whisky, a w pocałunku była taka łączywość, która niemal go stropiła.

Znowu oparła się o wezglowie, uniosła rękę, a Connor uniósł jej bluzkę, zarzucił sobie na głowę i zaczął całować wewnętrzną stronę ramion, szyję, pachy, gdzie czerniały małe kępkę włosów, aż wreszcie dotarł do małych piersi o pociemniałych sutkach.

Oddychała pospiesznie, a obie jej ręce pomknęły w kierunku sprzączki przy jego spodniach. Ukłękł, a Sylvie rozpięła spodnie, opuściła je i wzięła go do ust. Connor już tak dawno nie był w podobnej sytuacji, że po chwili musiał odciągnąć jej głowę, gdyż zaraz miałby wytrysk.

Ułożyła się na poduszce, on zaś ściągnął z niej spodnie i majtki, a z siebie koszulę, wpatrując się, jak skóra na jej żebrach napina się w rytm oddechu, jak kości miednicy sterczą po obu stronach wklęsłego brzucha z czarnym trójkątem gęstych włosów u dołu. Chciał pozbyć się butów i reszty ubrania, ale powstrzymała go, rozkładając nogi i żądając, żeby ją przeleciał teraz, natychmiast, zaraz.

Kiedy wszedł w nią, krzyknęła tak głośno, że znieruchomiał zaniepokojony; krzyczała przy każdym mocniejszym poruszeniu, ale już po chwili przestał na to zważać, zalało go bowiem podniecenie. Niskim, natarczywym głosem domagała się, aby robił to mocniej, mocniej, aż do bólu, a chociaż podejrzewał, że i tak nie zaspokoił jej pragnień, sam był zdumiony, że aż tyle mu

się udało, nigdy bowiem dotąd nie kochał się tak rozpaczliwie.

Dopiero później, gdy zmęczeni, obolali, spoceni leżeli obok siebie, a Sylvie usnęła skulona w skłębionej pościeli niczym sierota, za oknami natomiast zaczynało świtać, dopiero wtedy Connor zrozumiał.

To, co robili, to nie była miłość, w prostej czy zdeformowanej formie. To była próba afirmacji, jakieś desperackie, zwierzęce wręcz pragnienie. A chociaż wiedział, że w Sylvie jest to bardziej rozwinięte, także w sobie czuł ziarna tego osobliwego uczucia. Spojrzawszy z tak bliska w oczy śmierci, musieli ją egzorcyzmować, potwierdzić swą przynależność do kręgu życia. Ból był składnikiem tego kręgu. Nie wiedział, do kogo czy do czego, ale ich ciała krzyczały, że gdzieś, gdzieś w samym środku wszystkich tych rzezi i horrorów ciągle trwało jądro człowieczeństwa: surowe, dzikie i pierwotne.

Zdjęcie kobiet wiszących w kwiatkach znalazło się na okładkach czasopism na całym świecie. Sylvie w następnym tygodniu wyjechała do Paryża, skąd od razu wysłano ją do Afryki. Connor tęsknił za nią, ale do Sarajewa wróciła dopiero w sierpniu. Wszystko jednak było teraz inaczej. Była chłodna, jakby odrobinę wyniosła, i zamartwiał się, czy aby coś jej nie uraził. Może była zła o sukces, do którego się przyczyniła.

W następnym tygodniu został raniony odłamkiem szrapnela w tył prawego uda i helikopter ONZ zawiózł go do szpitala na chorwackim wybrzeżu. Sylvie wyjechała na północ i nie mieli okazji się pożegnać. Wprawdzie nie zostały uszkodzone żadne ścięgna ani nerwy, ale lekarze sugerowali powrót do domu na rehabilitację, i ta perspektywa nagle okazała się pociągająca. Poleciał do Frankfurtu i oczekując na dalsze połączenie, usiłował się do niej dodzwonić z lotniska, ale nikt nie odpowiadał.

W Nowym Jorku było gorąco, wilgotno i wydawało się, że wszyscy odchodzą od zmysłów. Kiedy zjawił się w swej nowej agencji, powitano go jak bohatera wojennego. Żałował, że w środku czuje tylko pustkę. Jeden z szefów, Harry Turney, zabrał go na lunch do najbardziej wyszukanej restauracji, w jakiej zdarzyło mu się dotąd być. Turney był wysokim mężczyzną o delikatnym spojrzeniu, który odrobinę przypominał Connorowi ojca. Jadł jak zgłodniały wilk i ciągle było mu mało. Przy kawie Turney napomknął, że bardzo go zmartwiła informacja o Sylvie.

- Jaka informacja? - spytał Connor.

- Nie czytałeś?

- Czego?

- We wczorajszym „Timesie”. Z reporterem z Reutersa gdzieś pod granicą na północy wjechali na minę. Zginęli na miejscu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Julia wydobyla steki i kurze udka z marynaty i ułożyła je na wielkiej drewnianej tacy razem z sałatą i wszystkimi dodatkami. Donna Kiamoto wyniosła już resztę jedzenia na werandę, gdzie ustawiono stół. Julia nawet w kuchni mogła usłyszeć, jaką walkę musi stoczyć z zawsze głodnymi zadymiarzami. Słyszała też Eda, który się upewniał, czy wszyscy pamiętają plan. Sam przećwiczył go dwukrotnie, z każdym z osobna omówił go zaraz po przyjeździe, ale i tak wolał sprawdzić na wszelki wypadek.

- Wszyscy się chowają, Donna tutaj za zasłoną, drzwi wejściowe otwarte, wszystko jakby opuszczone, on wchodzi. Donna, musisz uważać, żebyś się czasem nie odbijała w szybie. Kiedy on wchodzi do salonu, Donna daje sygnał i ja zaczynam grać. I żeby wszyscy byli cicho, rozumiano? Żadnego więcej piwa dla tych, którzy nie mogą się powstrzymać od chichotów albo od puszczenia bąków. Mamy sposoby na to, żebyście się opanowali. Hank i kto...? Ach tak, Phil. Wy rozwijacie transparent, tylko, proszę, przodem do przodu. Może nie jest specjalnie błyskotliwy, ale czytać potrafi.

- Julio, jak udaje ci się wytrzymać z takim facetem? - spytał Hank, kiedy pojawiła się na werandzie.

- Zatyczki do uszu.

Z trudnością udało jej się znaleźć drogę do stołu, tak gęsty był dym. Chuck Hamer miał się zająć grillem i wychodziło mu to nie najlepiej.

- Hej, Chuck, a co z ciebie za strażak? Co tu się dzieje?

- Mnie płacą za gaszenie ognia, a nie rozpalanie. Udzieliwszy szczegółowego instruktażu, Ed zajął się teraz wzmacniaczem do swojej elektrycznej gitary. Patrząc na niego, Julia nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Był w świetnym nastroju, pełen zapału i radości, a na dodatek tak chłopięco wyglądał w luźnych spodniach i żółto - czarnej koszuli hawajskiej, które mu kupiła. Chciał zrobić sobie fryzurę Jimmy'ego Hendriksa, ale to udało się jej mu wyperswadować. Skończyło się na purpurowych kosmykach i bandanie.

Biedny Connor! Był przekonany, że zjawia się na kameralnej kolacji z dwojgiem przyjaciół, jak zresztą chciała to urządzić Julia, ale Ed się uparł, że zorganizują takie przyjęcie powitalne, które będzie dla niego niespodzianką. Julia argumentowała, że teraz, kiedy jest ranny, to pewnie ostatnia rzecz, jakiej mógłby pragnąć, ale Ed na podstawie rozmowy z Connorem w domu jego matki uznał, że przyjaciel jest w bardzo dobrym stanie. Było zatem około dwudziestu osób, przyjaciele z ekipy strażackiej w towarzystwie żon i narzeczonych. Wszyscy zostali pouczeni, że mają się stawić

wcześniej, parkując na sąsiedniej posesji Robertsonów, aby Connor zawnoczu się nie zorientował.

Tak czy owak, zobaczy to miejsce w najlepszej porze. Był piękny wrześnieowy wieczór, jasny i bezwietrzny, w powietrzu wyczuwało się pierwsze zapowiedzi jesieni. Drzewa ugięły się pod ciężarem jabłek, róże żółto rozkwitły wokół werandy po raz drugi tego roku.

Nie było to przyjęcie, które wymagało wiele zachodu. W przypadku zadymiarzy bardziej chodziło o ilość niż o jakość - dużo steków i piwa załatwiało całą sprawę.

Julia tymczasem wpadła w popłoch, chciała bowiem, aby wszystko wypadło jak najlepiej. Wysprzątała cały dom aż po dach, we wszystkich pokojach umieściła kwiaty, wiele czasu i pieniędzy strawiła na kupowaniu jedzenia i napojów. Nabyła nawet francuskiego szampana i sama upiekła tort, który przyozdobiła małym aparatem fotograficznym z lukru.

Od paru dni zamartwiała się tym, co na siebie nałożyć, a także trapiła się tym, dlaczego się martwi. Czemu taki wielki zamęt? Przecież to tylko Connor. Było niemal pewne, że większość dziewczyn wystąpi w dzinsach i T - shirtach, podobnie jak ich towarzysze. Niemniej jednak z przyczyn, w które wolała się nie zagłębiać, ona chciała wystąpić w sukni. Nic w jej garderobie nie wydawało się odpowiednie, pojechała więc do Missouli, aby sprawić sobie coś nowego.

Znalazła w sklepie na North Higgins. Prosty krój, długość trzy czwarte, jasnoniebieski kolor doskonale podkreślał jej opaleniznę. Przymierzyła i aż jęknęła, tak dobrze w niej wyglądała. Okazało się jednak, że kosztuje sto dwadzieścia dolarów! Nie ma mowy. To idiotyzm. Nie potrzebuje jej. Tyle forsy wydawać na jedno jedyne przyjęcie! Podziękowała, oddała, wsiadła do jeepa, zamarła z ręką na kluczykach, wysiadła, wróciła do sklepu, przymierzała jak niespełna rozumu przez następny kwadrans, a potem kupiła, perswadując sobie, że gdzie tam na jedno przyjęcie, wprost przeciwnie, to bardzo dobry strój na bardzo różne okazje, takie jak... Zresztą nieważne, dawno już sobie niczego nie kupowała, więc co...

Nie przyznała się jednak Edowi. Nie dlatego, żeby miał pretensje. Wprost przeciwnie, bardzo lubił, kiedy kupowała sobie coś nowego. Dzisiaj kiedy się szykowali i spytał ją, jak wygląda, skłamała i powiedziała, że wzięła starą sukienkę, która wisiała zapomniana w głębi szafy. Niemniej jednak wyczuł, że obcięła sobie włosy i ogoliła nogi.

W kuchni została jeszcze jedna taca ze smakołykami, a kiedy Julia była w drodze po nią, przez frontowe drzwi wpadła Donna, której Ed kazał czatować na końcu podjazdu.

- Dalej jeździ tym starym chevroletem? - spytała.

- Chyba tak. Niebieski pick - up.

- To w takim razie on. Jedzie.

Donna powiadomiła wszystkich, Julia spiesznie ustawiła tacę, potem pomogła Donnie schować się za zasłoną, a sama stanęła obok Eda.

- Gdzie moja gitara? Julio? - spytał.

- Spokojnie, jestem przy tobie.

- Jestem zupełnie spokojny.

Podawała mu gitarę, zawiesił ją sobie na szyi i leciutko trącił strunę.

- Hank? Transparent macie gotowy?

- Tak jest, jaśnie panie.

- Zadymiarze! Alarm bojowy!

Wszyscy znieruchomieli i po chwili usłyszeli zatrzymujący się samochód, odgłos zamykanych drzwiczek i kroki na żwirze.

- O kurczę, Hank, to twoja teściowa - szepnął Chuck, ale natychmiast został uciszony.

Pukanie do frontowych drzwi i długa cisza.

- Halo?

Na dźwięk głosu Connora Julii żywiej zabiło serce.

- A nie, to komornik. Ma ze sobą broń!

- Ciii!!!

Słysząc już było jego kroki w salonie.

- Ed? Julia?

Donna kiwnęła ze swego miejsca i Julia trąciła w ramię Eda, który na ten sygnał zaczął grać Gwiazdzisty sztandar w wersji Jimmy'ego Hendriksa (dlaczego właśnie to, Julia nie wiedziała). Hank i Phil, stojący na krzesłach po obu stronach drzwi, rozwinęli transparent, na którym odblaskową farbą czerwoną i niebieską Julia wypisała między srebrnymi gwiazdkami: „Witaj w domu, Connor!” I oto naraz byli wszyscy razem, uśmiechnięci, wiwatujący, a między nimi on w swym kowbojskim kapeluszu, rozradowany, potrząsający dłońmi, rozglądający się po twarzach, aż wreszcie zatrzymujący wzrok na Julii.

Ed przestał grać, a Connor powiedział:

- Cholera, chłopaki, trudniej się was pozbyć niż kleszcza.

- Te słowa dowodzą, że nie przestałeś, Connor, być dupkiem, jakim byłeś - oznajmił Chuck.

- Ej, cześć, Chuck! Hank, Donna...

Potrząsał dłońmi i poklepywał dłonie, Eda i Julię zostawiając na ostatek. Wreszcie z szerokim uśmiechem podszedł i do nich.

- Julio, a co to za facet koło ciebie? Zerwał się z jakiejś kapeli?

- Connor!

Ed przyłożył do piersi zwiniętą pięść, to samo zrobił Connor.

- Płomienne serca! - wykrzyknęli, uderzyli się otwartymi dłońmi, a potem Connor zdjął

kapelusz i obaj przyjaciele padli sobie w objęcia.

- Ty sukinsynu - powiedział pieszczotliwie Connor. - Wpadnij na małą kolację, dobre sobie!

Umieścił kapelusz na głowie Eda i odwrócił się do Julii. Coś zmieniło się w jego twarzy, ale nie potrafiłaby powiedzieć co. Wychudł i oczy wydawały się głębiej osadzone, ale było jeszcze coś...

- Cześć, Connor. Witaj w domu!

- Zupełnie jakbym wyjechał na całe lata.

- Trochę tak to wygląda.

Objęli się, a kiedy poczuła, jak mocno ją przygarnia, zabrakło jej tchu w płucach. Wiedziała, że powinna rzucić jakiś żart, ale nawet gdyby przyszły jej do głowy odpowiednie słowa, nie potrafiłaby ich z siebie wydobyć. W obawie, że ktoś z obecnych może odkryć jej uczucia, oderwała się od Connora i wsunęła rękę pod ramię Eda.

- Piękna para, a jeszcze to wszystko... - Connor zatoczył łuk ręką. - Rzeka, jabłonie, róże. Uwiliście tu sobie mały Eden.

- Julia jako Ewa, na to się zgodzę - powiedział Hank Thomas. - Ale jeśli to jest Adam, to ja jestem mamą jelonka Bambiego.

- Ej, Donna, podaj no mi jabłko - poprosił Ed.

Wszyscy już teraz rozmawiali, jak to na przyjęciu. Julia kazała Chuckowi zająć się mięsem na grillu, a sama poszła po szampana. Kiedy wróciła, tematem stała się rana Connora, który właśnie rozwijał opowieść o tym, jak to sam jeden pokonał całą serbską armię. Ed otworzył szampana, a kiedy wszystkie kieliszki były już pełne, wznosił toast. Gdy Julia wraz ze wszystkimi zaczęła pić zdrowie Connora, poczuła na sobie jego wzrok tak natarczywy, że musiała odwrócić oczy.

Connor patrzył, jak idzie przed nim po schodach, patrzył na ruch bioder, patrzył, jak po poręczy sunie lewa ręka ze złotą ślubną obrączką. Na zewnątrz zmierzchało, ciemna skóra na ramionach odcinała się od jej jasnoniebieskiej sukni. Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek dotąd, piękniej nawet niż w wizjach, które stawały przed nim podczas tych samotnych nocy, gdy leżał wsłuchany w odgłos ostrzału artyleryjskiego i myślał o niej. Piękniej nawet niż na zdjęciu, które zawsze nosił w portfelu, a które Ed zrobił im dwojgu po wspinaczce na szczyt góry. Uśmiechali się na nim do siebie i wyglądali jak szczęśliwa z bycia razem para.

Ed puścił Boba Marleya w nadziei, że może zaczną się tańce, ale wszyscy woleli siedzieć na werandzie i trawie dookoła i rozmawiać. Julia zapaliła świece osłonięte kloszami i wszystko nabrało magicznego czaru. Connor zapytał, czy mógłby obejrzeć dom, więc Julia zaproponowała, że go oprowadzi. Zajrzeli najpierw do jej pracowni i zaambarasowana słuchała pochwał, jakimi obdarzył jej obrazy. Teraz weszli do domu, podczas gdy reszta została na zewnątrz.

Na szczycie schodów obróciła się, a on miał nadzieję, że nie pochwyciła wzroku wpatzonego w jej biodra.

- Wspaniałe miejsce - bąknął.

- Tak, bardzo dobrze na nas wpływa, chociaż Edowi byłoby odrobinę łatwiej, gdybyśmy mieszkali w mieście.

- Dlaczego?

- Byłby bardziej niezależny, miałby więcej swobody poruszania się. Wiesz, on mapę Missouli ma w głowie, a tutaj już zaraz za domem zaczyna się to, co nieznane i niewiadome... Bardziej ryzykowne. Chociaż z drugiej strony jest pełen entuzjazmu do nowych przedsięwzięć.

- Wyobrażam sobie.

- Chociażby parę dni temu. Całe lato biegaliśmy razem. Ścieżki są bez wybojów, poznał je już wszystkie, więc kiedy jestem obok, nic mu nie grozi. W zeszłym tygodniu musiałam pojechać do miasta, wracam, wjechałam już na żwirówkę, a za zakrętem no kogo widzę? W pomarańczowej bluzie myśliwskiej biegnie wprost na mnie. Od czasu do czasu sprawdza drogę przed sobą, ale biegnie całkiem serio, nie żadnym truchtem.

Connor śmiał się. Uwielbiał jej żywą gestykulację, kiedy opowiadała. Chyba odzywała się w niej włoska krew.

- No więc staję, on nadbiega, wymacuje końcem laski jeepa, staje przy masce i wiesz, co mówi? „Co za idiotyczne miejsce na parkowanie!” Sam powiedz, Connor, co zrobić z takim facetem?

- Musisz go zamknąć w klatce albo coś takiego.

- Któregoś dnia chyba tak zrobię. Wprowadził cię już w swój najnowszy plan?

- Nie.

- Wspinaczka po skałach. Pojechał na kurs wspinaczkowy dla niewidomych w Kolorado. Jak ci się polepszy z nogą, chce, żebyśmy we trójkę zaliczyli ten sam szczyt, gdzie robiliśmy sobie zdjęcia, pamiętasz?

- Świetny pomysł. Jeszcze tydzień i jestem gotów. Przekrzywiła głowę i położyła ręce na biodrach.

- Wiesz co? Jesteś tak samo niedobry jak on. Uśmiechnęli się do siebie, a z dołu Bob Marley zapewniał, żeby się nie martwić, bo wszystko będzie dobrze. Julia zapaliła światło, chociaż Connor wołał, kiedy stali tak w półmroku.

- Chodź - powiedziała. - Pokażę ci piętro.

Były tam trzy sypialnie i łazienka. Jedna sypialnia zagracona była nie rozpakowanymi kartonami, w drugiej jej części znajdował się automat treningowy, na którym Ed ćwiczył co rano.

Sąsiedni pokój miał żółte tapety, łóżko było przykryte granatową kołdrą, na której leżał starannie złożony ręcznik.

- Tutaj będziesz dzisiaj spał, jeśli ci odpowiada - powiedziała Julia.

Odparł, że nie myślał zostawać na noc, ale z wyrazu jej twarzy zrozumiał, że poczuła się dotknięta, więc zapewnił, że oczywiście, tak, jeśli to na pewno nie jest specjalny kłopot. Spojrzała na niego karcącym wzrokiem przedszkolanki.

- Żaden kłopot, Connor, jasne?

Pokazała mu jeszcze łazienkę, a potem wprowadziła do ostatniej sypialni. Była przepojona zapachem Julii. Łóżko stało pod oknem, zasłane białą kapą, on zaś wyobraził ją sobie leżącą w pościeli i obraz ten mocno utkwiał mu w głowie. Stosik książek, a także kolekcja kremów i flakoników natychmiast mu powiedziały, która strona jest jej. Na malutkich półkach zawieszonych na ścianie znajdowała się jej biżuteria, a pośrodku wisiał duży obraz, który - jak uznał - musiał być namalowany przez Julię. Przypominał malowidła skalne: uciekająca łania, na koniach patyczkowaci mężczyźni, wszystko utrzymane w ciemnej tonacji ziemi - czerwień, czerń, kolor pomarańczowy i bursztyn.

- To z pewnością twoje.

- Tak. - Znowu wydała się zakłopotana, a on nie wiedział, czy to z powodu obrazu, czy też dlatego, że znaleźli się w jej sypialni. - Kiedyś spróbowałam takiej techniki, trochę się jej trzymałam, ale chyba nie bardzo mi odpowiada.

- Bardzo dobry obraz.

- Nie. To znaczy, dziękuję, ale mnie się nie podoba.

- Ed mówił mi, że znowu uczysz.

- Tak, sprawia mi to ogromną radość. Ale tylko na pół etatu. Trzy dni tygodniowo w tej małej szkole podstawowej w Missouli.

- Wychowanie estetyczne?

- Tak to się nazywa, ale głównie wycieram im nosy i myję po tym, jak się nawzajem obsmarują farbami.

- Istotnie, ogromna radość.

- Nie żartuję.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w obraz.

- Wiesz, bardzo się o ciebie martwił - powiedziała wreszcie. - Słyszeliśmy o tych wszystkich strasznych rzeczach, które się tam dzieją, ale nie wiedzieliśmy, gdzie ty jesteś. Nie było od ciebie żadnego znaku, więc... Ed bardzo się niepokoił. Ja wiem, że to głupie, ale tak było.

- Przecież wysyłałem kartki.

Zaśmiała się z przymusem.

- Jasne. „Pogoda straszna. Szkoda, że sami nie możecie tego zobaczyć”.

- Przepraszam.

- W każdym razie jesteś już z powrotem.

- Jestem.

I znowu przeciągłe spojrzenie. A potem na ustach Julii pojawił się oficjalny uśmiech pani domu.

- Lepiej zejdę na dół i zobaczę, czy niczego nie potrzeba.

- I snajperzy przez całą dobę? - dopytywał się Ed. - Strzelają do każdego, kto tylko się pokaże?

- Żadnej ulicy nie możesz być pewny. Jasne, jest aleja Snajperów, ale bywają takie przecznice, którymi chodzisz bezpiecznie od wielu dni, aż tu nagle trach i ktoś pada. Dla nich to chyba taki rodzaj zabawy.

- Mordować zupełnie obcych ludzi!

- Gorzej. Ci, których zabijają, niekiedy przed wojną byli ich przyjaciółmi czy sąsiadami. Ale teraz stali się muzułmanami, a więc zwierzyną łowną. Jak gdyby przestali być ludźmi.

Tylko we dwóch leżeli w trawie nad rzeką. Ponad chlupotem wody wznosił się odgłos wesołego gwaru wokół domu. Ktoś nastawił jeden ze starych albumów Doorsów. Ed przez cały wieczór chciał się znaleźć sam na sam z Connorem, aż wreszcie wyciągnął go nad rzekę. Już od pół godziny wypytywał go o Bośnię i usiłował jakoś odmalować w wyobraźni to, o czym Connor opowiadał.

- Nosileś kamizelkę kuloodporną albo coś takiego?

- Z początku tak, ale potem zrezygnowałem. To strasznie ciężkie.

Gdzieś w trzcinach zakwakała podenerwowana kaczka.

- Sowa na łowach - mruknął Connor.

- Albo kojot. Po nocach słycać ich wycie.

Wysłuchali się, ale kaczka już się nie odezwała.

- Macie tu wspaniałe miejsce.

- Tak. Prawdziwi z nas szczęściarze.

- Próbowaleś łowić na spinning? Kilka miejsc wygląda obiecująco.

- Próbowalem, trzeba było wyciąć dwa czy trzy drzewa, żebym ciągle nie ładował w nie błystki. Ale wiesz, to jednak nie jest dawna frajda rzucać tak w ciemno. Teraz po prostu kładę muszkę na wodzie i liczę na los szczęścia. Kilka sztuk trafiłem, ale mój sąsiad, Bili Robertson, parę dni temu złowił trzyfuntowego tęczowego.

Jakby na potwierdzenie tych słów, gdzieś niedaleko ryba wyskoczyła nad wodę i obaj się zaśmiali.

- A jak z muzyką? - spytał Connor.

- Sam wiesz.

- Gdybym wiedział, to bym nie pytał.

Ed skrzywił się. Nie chciał o tym mówić, ale po wypytywaniu, jakiemu poddał Connora, wydawało się to niegrzeczne.

- No więc mówiąc szczerze, w ogóle się nie układa.

- Julia mówi, że grasz przez cały czas.

- Jasne, gram, nawet parę razy zrobiłem mały koncert w knajpie w mieście, ale już od ponad roku nic nie napisałem. A w każdym razie nic wartościowego. Chyba... Nie wiem. Chyba się zagubiłem.

- Wszystko wróci. Teraz przecież musiałeś się nauczyć wielu zupełnie nowych rzeczy.

- To jasne, ale widzisz, chodzi o coś zupełnie innego. Mam najlepszy sprzęt, jaki w ogóle można dostać, umiem się nim posługiwać, ale... Chyba muszę uczciwie przyznać przed samym sobą, że brak mi talentu.

- Bracie, nie znam nikogo, kto byłby bardziej od ciebie utalentowany.

- Miło, że tak mówisz, ale o muzyce wiesz tyle, co ja o fotografii.

- Wiem tyle, że jesteś dobry.

- Connor, jak myślisz, ile dobrych musicali napisałem?

- Nie wiem.

- Jedenaście. I Bóg jeden tylko wie, ile innych pomniejszych rzeczy. I niczego nigdzie nie przyjęto. Odsyłali nie jeden, nie dwa, ale bardzo wiele razy. Od czasu, kiedy skończyłem college, nie wykonano żadnego mojego utworu. No i wreszcie przychodzi moment na szczerłość. Nic się nie zmieni. Wiesz, co wyczuwam w ostatnich listach? Zakłopotanie. To samo z moim agentem, to znaczy, jakim tam agentem. Nie odbiera nawet moich telefonów, ale jeśli jakimś cudem uda mi się do niego przebić, wtedy właśnie to słyszę w jego głosie: zakłopotanie. Tak sprawa wygląda. Stałem się dziurą w moście. Czy, jak wolisz, gwoździem w bucie.

Z milczenia Connora wywnioskował, że biedak nie wie, co powiedzieć. Wyciągnął rękę, znalazł ramię przyjaciela i mocno je uściskał.

- Wiesz, jaki dumny byłem z ciebie, kiedy tam pojechałeś i zacząłeś robić te swoje sławne zdjęcia? Rozpierała mnie duma. Zdjęcie tych dwóch kobiet. Znam je. Julia opisała mi każdy najdrobniejszy szczegół i wiem, jakie jest znakomite. Byłem taki dumny. I wiesz co? Byłem też zazdrosny jak cholera.

- Ed, miałem szczęście. Jak wtedy w Yellowstone. Trafiłem na scenę i zrobiłem dobre zdjęcie. Tymczasem to, do czego ty się przymierzasz, jest bez porównania trudniejsze.

- Connor, błagam, tylko bez głaskania po główce.

- Głaskania? Niczego podobnego nie miałem na myśli.

Zapadła cisza. Ed wyobraził sobie, jak Connor potrząsa głową i patrzy na drugi brzeg rzeki. Bardzo chciałby cofnąć te słowa. Po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy dał zatriumfować rozżaleniu nad sobą. Na górze, przed domem, Chuck Hamer skończył opowiadać dowcip i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ed znowu poszukał ramienia Connora. Po chwili Connor przykrył jego dłoń swoją i powiedział, że przeprasza, jeśli to zabrzmiało protekcjonalnie.

- Nie, daj spokój, to ja przepraszam. Czasami trudno mi to wszystko utrzymać razem, choć za tyle powinienem być wdzięczny losowi. Mam Julię, wspaniały dom, a wiesz, co jeszcze? Jestem dobrym nauczycielem gry na pianinie. Kiedyś, kiedy wydawało mi się, że moim powołaniem jest pisanie musicali, lekcje były dla mnie prawdziwą mordęgą, ale teraz naprawdę je lubię.

- To świetnie.

- No. - Zawahał się na chwilę, bo nawet nie myślał, by komukolwiek zdradzać prawdziwą przyczynę marnego samopoczucia, ale zniechęca poczucie potrzeby podzielenia się tym z przyjacielem. Przełknął ślinę. - Julia mówiła ci o tym, że staraliśmy się o dziecko?

- Nie. Ale to wspaniale!

- No nie wiem. W teorii. Staramy się prawie od roku, a tymczasem nic z tego nie wychodzi.

- Żaden ze mnie ekspert, ale to przecież chyba nie jest rekord świata, co?

- Może i nie, ale widzisz, w zeszłym miesiącu musiałem odwiedzić lekarza, bo wydawało mi się, że potrzebuję większej dawki insuliny. Kiedy wypisywał mi recepty, o tak, przy okazji, spytał, czy zamierzamy mieć dzieci. A musisz wiedzieć, że to bardzo dobry lekarz, doskonale zorientowany w najnowszych badaniach i odkryciach. Opowiedziałem mu więc, że staramy się od roku, i zażartowałem, że może moje plemniki się zmęczyły od tego próbowania, bo wiesz, my bardzo solidnie do tego podeszliśmy: kalendarz, termometr, te rzeczy. On jednak wcale się nie roześmiał, ale spytał, kiedy wykryto u mnie cukrzycę i czy kiedykolwiek obniżano mi barierę immunologiczną. Odpowiedziałem, że skąd mam wiedzieć, byłem wtedy gówniarzem. On wtedy zaczął się krzywić i mrużyć coś, a jak zacząłem naciskać, powiedział, że nie można wykluczyć, że któryś z użytych wówczas leków mógł źle wpłynąć na moją płodność. Zaraz, jak łatwo zgadniesz, dzwonię do matki, a ona tak, że poddawali mnie takiej kuracji, bo lekarze chyba liczyli na to, że po prostu zduszą tę cukrzycę raz na zawsze. Wracam w te pędy do mojego lekarza, on każe mi się spuścić, robi testy, bierze te wszystkie malutkie Edy pod mikroskop, no i co? Martwe. Po prostu martwe. Strzelam ślepakami.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie.

- Nic na to nie mogą poradzić?

- Nic.

Znowu na moment zapadła cisza.

- Mówiłeś Julii?

- Jeszcze nie. Ostateczne potwierdzenie nadeszło raptem kilka dni temu. Nie miałem jaj, żeby jej powiedzieć, że się tak wyrażę. - Zaśmiał się, a Connor gwałtownie potrząsnął ramieniem przyjaciela. - Dobrze, wiem, możemy adoptować i tak dalej, ale... To szok. Po prostu jeszcze się z tym nie oswoiłem. - Urwał, a potem zawołał: - Cholera, przyjęcie powitalne na cześć przyjaciela, a ja jak jakiś smutas... Przepraszam cię, nie powi...

- Daj spokój. Bardzo ci dziękuję, że mi powiedziałeś.

Ed sięgnął do zegarka i nacisnął mały guziczek. Mechaniczny głosik oznajmił:

- Dwudziesta druga dwadzieścia sześć.

- Która, powtórz?

Żarcik był głupi, ale zawsze się podobał. Znowu uruchomił mechanizm.

- Dwudziesta druga dwadzieścia sześć.

- Fajne - powiedział Connor.

- Mhm. Dzieciaki, które uczę, ciągle się dopraszają. Ej, powiedz mi, widać księżyc?

- Tak, ale bardzo go niewiele.

- Raptem ma dwa dni. A teraz, panie i panowie, Niewiarygodny Tully pokaże wam palcem księżyc.

Pomacał prawą ręką, znalazł koniec liny, co pozwoliło mu zorientować się w ułożeniu ciała, a potem wyciągnął rękę.

- Tam. Mam rację?

- Tak! Wspaniale! Jak ty to robisz?

Ed z tajemniczą miną dotknął palcem skroni.

- Mój drogi, tu kryją się moce dostępne tylko dla wybranych. Wyrysujesz mi mapę gwiazd?

- Jasne. Gdzie?

- Na plecach.

Connor ukląkł za przyjacielem i zaczął zaznaczać mu na plecach każdą planetę i gwiazdę, którą znał, a było ich niemało.

W trakcie tej operacji zobaczył spadającą gwiazdę, powiedział o niej Edowi i także jej łuk zaznaczył między łopatkami. A w czarnej jaskini czaszki Ed widział je wszystkie, jasne, srebrzyste,

migoczące, i sekretnie zebrał z nich ową srebrzystą poświatę, a potem schował w najtajniejszych zakątkach serca.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Julia stała z boku i przyglądała się im, nie mogąc się nadziwić, że tak niewielka grupka sześciolatków może narobić tyle zgiełku. Wszyscy w czerwono - niebieskich fartuchach rozstawili się wzdłuż ściany szkoły od podwórka. Kredy więcej było na twarzach i fartuchach niż na ścianie, chociaż z całą pewnością maluchy chciały jak najlepiej wykorzystać rzadką okazję, kiedy dowolnie można pomazać po własności publicznej.

Julii pomysł przyszedł do głowy w trakcie rozmowy z Connorem na temat malarstwa jaskiniowego. Szkoła miała być odremontowana od zewnątrz, Julia zasugerowała przeto dyrektorce, pani Leitner, żeby jej pierwszoklasiści mogli sobie poużywać na ścianie, zanim pojawią się tynkarze. Przez ostatni tydzień oglądała z dziećmi albumy pokazujące piktogramy pierwotnych mieszkańców Ameryki w Idaho, a także wspaniałe malowidła skalne odnalezione niedawno we Francji.

I dzisiaj nadszedł czas realizacji. Julia podzieliła ścianę na osiem różnych jaskiń”, a klasę na osiem „jaskiniowych rodzin”, które miały różnobarwną kredą utrwalić na ścianie swoje wizje.

Pani Leitner uznała ideę za znakomitą, dopiero jednak poniewczasie uzmysłowiła sobie, że będzie ona realizowana dokładnie pod oknami sali, w której uczyła czwartą klasę matematyki. Julia powiedziała swoim podopiecznym, że powinni się porozumiewać jedynie przy użyciu języka jaskiniowego, ten jednak - jak się również poniewczasie okazało - składał się przeważnie z wrzasków i gwizdów. Teraz żałowała więc swojej decyzji, podobnie jak i pani Leitner, jeśli sędzić po spojrzeniach, które rzucała z okna.

Niektóre rysunki robiły ogromne wrażenie. Większość malowideł przedstawiała sceny myśliwskie z łaniami, wilkami, niedźwiedziami, kosmatymi mamutami i patyczkowatymi postaciami ludzkimi na koniach, przy czym nie zawsze było wiadomo, kto na kogo poluje. Niektóre z rozwiązań były nieco surrealistyczne. Julia usiłowała jakoś zasugerować Lucy Kravitz, że w tamtych odległych czasach nie było ani Batmana, ani Robin Hooda, a jedzenie przygotowywało się raczej na ogniu niż w kuchence mikrofalowej.

Ponieważ wrzawa znowu sięgnęła poziomu wyrozumiałości pani Leitner, Julia klasnęła w dłonie i kazała wszystkim zebrać się dokoła niej. Przyłożyła palec do ust i oznajmiła podnieconym szeptem:

- Posłuchajcie! Byłam właśnie na wzgórzu, gdzie jest wielki tygrys szablozębny. Wygląda na to, że jest bardzo, bardzo głodny.

- Powinnaś nam to powiedzieć w języku jaskiniowym.

- To prawda, Lucy, ale sprawa jest bardzo pilna. Jasne?

- Nie, bo to nie w języku jaskiniowym.

- Dobrze, powiedzmy, że ja jestem z wyższego szczebla ewolucji.

- A co to znaczy?

- Że więcej umiem. W porządku, wystarczy. W każdym razie malujcie dalej, ale róbcie to naprawdę cicho. Myślę, że tygrys jest teraz bardzo blisko, chodzi koło jaskiń, a jest głodny, naprawdę głodny.

Jak to się często zdarzało, Julia zapomniała o obecności Kane'a Feldmana, małego, małowównego chłopca, wiecznie zakatarzonego i gotowego do płaczu. Zaraz więc musiała go objąć i przytulić. Wystarczyło jednak, by spytała, czy chce być tygrysem, a on pokiwał głową i natychmiast przestał płakać.

- Dobrze. A ponieważ coś mi te szkraby wyglądają na smaczne, więc i ja będę tygrysem.

Pozostali wrócili do pracy, a Julia wzięła Kane'a za rękę i zaczęli się przechadzać. Chociaż nieustannie obserwowała dzieci, to jednocześnie zastanawiała się nad tym, nad czym myślała przez cały ranek i cały wieczór nad zdumiewającym pomysłem Eda i Connora.

Poprzedni wieczór wraz z Connorem spędzili w „Głodnym Łosiu”, gdzie Ed miał trochę zagrać i pośpiewać. Było to miejsce odrobinę bardziej eleganckie niż „U Henry'ego”, ale tylko odrobinę. Był czwartkowy wieczór, niewiele klienteli, a zaczęło się dość marnie, Ed bowiem zapowiedział siebie jako „odpowiedź Missouli na Steviego Wondera”.

Był to jeden z tych autoironicznych dowcipów, których Ed ostatnimi czasy miał się coraz częściej, a ponieważ z początku produkował się bardzo niemrawo, więc siedząca z Connorem przy barze Julia usłyszała, jak jeden z gości mruczy, że jeśli nie jest to rasistowski żart, to z pewnością popis marnego smaku. Potem jednak Ed rozruszał się, a kiedy zakończył wiązanek swych ulubionych utworów, od Cole'a Portera po Doiły Parton, goście wstali, rozległy się brawa i wołanie o bis.

Dwa tygodnie, które upłynęły od przyjęcia powitalnego dla Connora, były wielką emocjonalną huśtawką. Ed powiedział jej o swej bezpłodności zaraz po tym, jak Connor wyjechał w niedzielę po południu, i odtąd był to jeśli nie wyłączny, to główny temat ich rozmów. Natychmiast udali się do lekarza Eda, który uroczyście potwierdził swą diagnozę, a kiedy wrócili do domu, Ed przestał panować nad sobą i rozplakał się. Od tego czasu jednak zaczął się zachowywać z dawnym optymizmem, a i Julia podeszła do całej sprawy z większym dystansem. To smutne, bardzo smutne, ale przecież nie powód do samobójstwa. Istniało proste rozwiązanie - adoptują dziecko. Doktor Rumbold dał jej telefon agencji w Helenie, która zajmowała się adopcjami, i Julia umówiła się na wizytę.

Ed chciał w pierwszym odruchu odwołać występ w „Głodnym Łosiu”, ale potem oboje doszli do wniosku, że dobrze im zrobi wypad do miasta, zadzwonili więc do Connora, który przyjechał z Augusty, a kiedy Ed skończył grać, poszli na kolację do „Składu”.

Było niemal tak jak za dawnych czasów. Connor był w świetnym humorze, noga już mu prawie nie dokuczała, oznajmił więc, że jeszcze chwila, a będzie gotów do wspinaczki. Ed nadal był rozochocony po występie, sypał dookoła dowcipami, od których zaśmiewali się jego współbiesiadnicy, kelnerzy i ludzie przy sąsiednich stołach. Rozradowani pożegnali się z Connorem na parkingu, umawiając się na wspinaczkę od najbliższej soboty za tydzień.

Przez kilka powrotnych mil Ed nie odzywał się i Julia myślała już, że zasnął, kiedy nagle powiedział:

- A gdybyśmy tak poprosili Connora?

- O co? Ed milczał.

- Gdybyśmy go poprosili... żeby ojcował naszemu dziecku. Zaszokowana Julia mało nie zjechała z szosy.

- Co takiego?! Czyś ty zwariował?! - Wystarczyło jedno zerknięcie na niego, by się zorientowała, że nie żartuje ani odrobinę. - Ed, co ty wygadujesz?

- Zaraz, posłuchaj. Zatrzymaj się.

- Nie, to niemożliwe.

- Julio, proszę, stań.

- Wiesz, chyba rzeczywiście lepiej tak zrobię.

Zjechała na pobocze, wyłączyła silnik, ale zostawiła włączone światła. Ed poszukał jej dłoni i przytrzymał swoimi.

- Ed, ja nie wierzę własnym uszom.

- Posłuchaj. Posłuchaj mnie przez chwilę.

- Ed, Jezus Maria!

- Posłuchaj. Bardzo dużo nad tym myślałem i...

- Wspaniale. I teraz już starczy! Wyrwała dłoń i splótła ramiona na piersiach.

- Julio, daj mi coś powiedzieć, dobrze? Musimy się na coś zdecydować. Obydwoje chcemy dziecka, prawda? Możemy adoptować, będziemy mieć dziecko dwojga zupełnie nam obcych ludzi. Ale - nie zrozum mnie źle - jeśli ty tego chcesz, nie ma sprawy. Albo możemy mieć dziecko, które będzie naprawdę o wiele bardziej nasze, gdyż przynajmniej będzie miało geny jednego z nas. - Poglaskał ją po twarzy. - Twoje.

Julia westchnęła spazmatycznie i wpatrzyła się w światło rozpraszające się w mroku pustej drogi.

- To dziecko będzie wzrastało w tobie - ciągnął Ed. - Będziemy mogli to obserwować. Uczestniczyć w tym, co jest udziałem każdej pary rodziców. To będzie w takim stopniu nasze dziecko, Julio, w jakim nigdy nie będzie dziecko adoptowane. Nie rozumiesz tego?

Nie odpowiedziała. Była zbyt zaszokowana, żeby pozbierać myśli. Minął ich samochód i odprowadzała jego tylne światła, aż znikły za zakretem. Ed powiedział cicho:

- I jedyne pytanie - kto będzie ojcem biologicznym?

- A ty chcesz, żeby to był Connor! Ed, na Boga! Kto ci dał prawo do takich decyzji? Czy ja nie mam już nic do powiedzenia? Może już wszystko obgadaliście z Connorem?

- Daj spokój, Julio, o niczym nie zdecydowałem. Jeśli pomysł ci się nie podoba, pójdziemy do jakiegoś banku spermy, czy jak to się nazywa, i wybierzesz sobie, jaką będziesz chciała fiołkę, na przykład zdrowego quarterbacka z The Grizzlies. Zresztą o co chodzi? Możemy adoptować.

- Mówiłeś już o tym z Connorem?

- Oczywiście, że nie.

- Przysięgasz?

- Julio, na litość boską, za kogo ty mnie masz?

- Ed, dość tego. Odpowiedź brzmi „nie” i na tym skończmy, dobrze?

Włączyła silnik.

- Dobrze.

Wjechała na szosę.

- To wszystko brzmi jak jakiś kumpelski układ, jest stary przyjaciel, zadymiarz, więc co tam, chrzanić jakieś banki spermy i te rzeczy, przywiezie się go, on skoczy na mnie i załatwi sprawę jak należy.

Ed nie odpowiedział i jechała przez jakiś czas w milczeniu, sama oszołomiona i zdumiona jadowitością swojej odpowiedzi.

- Przepraszam - mruknęła w końca - nie chciałam, żeby to tak ostro zabrzmiało.

- Ja także przepraszam. Nie wracajmy już do tego. To był po prostu niedobry pomysł.

Nie odzywali się do siebie ani po drodze, ani w domu, ani na dobranoc. Julia zapadła w jakiś dziwny półsen, w którym twarze Eda, Connora i nie narodzonych dzieci przesuwwały się jak widma i zlewały ze sobą.

Dalej trwały w jej głowie, kiedy jechała do pracy i także teraz, pomimo całego dziecięcego zgiełku.

Wreszcie rozległ się dzwonek oznaczający koniec lekcji.

Dzieci zrzuciły fartuchy, umyły się i zniknęły, a Julia poszła raz jeszcze obejrzeć ich dzieło. Zobaczyła, że w tym samym kierunku zmierza pani Leitner, więc przygotowała się na reprimendę.

Sally Leitner była niewysoką, schludną kobietą pod pięćdziesiątkę, z okularami w stalowej oprawce i żywym temperamentem, którego efekty Julia spodziewała się teraz poczuć na własnej skórze.

- Przepraszam za ten hałas.

- Nie ma za co, kochanie - odpowiedziała dyrektorka. - Widziałam, że się świetnie bawiły.

Przeszły wzdłuż muru, zatrzymując się co kilka kroków, a pani Leitner przyglądała się efektom pracy jaskiniowych rodzin”.

- No nieźle - mruknęła. - Myślę, że tak to zostawimy.

Słońce chowało się za górami, kiedy Julia wracała do domu i po raz nie wiadomo który analizowała wszystko od początku.

A zwłaszcza usiłowała wyjaśnić samej sobie, dlaczego z taką pasją zareagowała na propozycję Eda. Musiało to mieć coś wspólnego z jej skrywanymi uczuciami do Connora, które po każdym z nim widzeniu tylko potęgniały, a które już same w sobie wydawały jej się zdradą Eda. W jakiś nielogiczny sposób potraktowała to, co powiedział Ed, jak oskarżenie i zareagowała agresją niczym kobieta oskarżona o cudzołóstwo.

Ale, Boże, mieć w sobie dziecko Connora...

Czyż nie była to zdrada bez porównania gorsza, gdyż utrwalona związkiem krwi? A może po prostu nie ufała samej sobie? Może obawiała się tego, jak odmieni się świat, gdy będzie miała w sobie jego nasienie, gdy zawiąże się w zarodek, ten będzie wzrastał, a potem powije dziecko, będzie je karmić i chronić. Poczwała dreszcz na skórze.

Zatrzymała się w tym samym miejscu, w którym wczoraj stanęli z Edem, żeby porozmawiać. Wysiadła, stanęła na skraju drogi i zapatrzyła się w rzekę. Niektóre drzewa zaczynały już zmieniać barwę. Patrzyła na tę roztapiającą się złocistą poświatę i powoli zaczynał milknąć w niej zgiełk uczuć i racji, które rozważała godzinami. Wiedziała już teraz, spokojnie i z całkowitą pewnością, czego chce naprawdę.

Nie mogła mieć Connora, ale jeśli on się zgodzi, może mieć jego dziecko. Będzie ono częścią jego, częścią jej, a dla Eda najwspanialszym prezentem, jaki można sobie wymarzyć.

Słońce nagle zaświeciło Connorowi w oczy, odepchnął się nogą i wciągnął na półkę, z której z krakaniem i trzepotem skrzydeł zerwał się wystraszony kruk. Sprawdzał hak sterujący ze szczeliny i wpiął w niego karabińczyk.

- Ściągam! - krzyknął.

W cieniu komina, jakieś trzydzieści stóp pod sobą, widział Eda, który stał na następnej półeczce i właśnie chwycił linę. Nieco niżej i w lewo miała stanowisko Julia. Connor zaczął wybierać linę, aż poczuł opór.

- Zaraz idę! - zawołał Ed.

- Zawołaj, jak będziesz gotów!

Nastąpiła krótka cisza, Ed przygotował się, powiedział do Julii coś, czego Connor nie dosłyszał, potem podniósł twarz w górę do Connora i krzyknął:

- Idę!

- Dobra!

Connor w milczeniu wybierał luz, przez cały czas bacznie wpatrując się w Eda. Żaden postronny obserwator nie pomyślałby, że spogląda na niewidomego. Ed pokonywał już wprawdzie tę drogę kilka razy, ale trudno było zapamiętać wszystkie szczeliny i stopnie. Dosłownie wyczuwał skałę i raptem dwa razy musieli mu podpowiedzieć, gdzie umieścić rękę i stopę. Jak na razie najwięcej kłopotów przysporzył odcinek dość płaski, gdzie jeden za drugim sterczały wielkie głazy. Ale i tam Ed sam dał sobie radę, korzystając z giętkiej tyczki, trochę podobnej do składanego kijka narciarskiego. Kilka razy się potknął, raz boleśnie upadł, przeszedł jednak bez niczyjej pomocy. Wspinaczka zajęła im więcej czasu niż poprzednim razem, ale nie dużo. A teraz do szczytu pozostał już tylko ostatni odcinek.

Był to jeden z tych pięknych dni wczesnej jesieni, kiedy Connor czasami robił zdjęcia dla prospektów turystycznych: niebo bezkresne i bezchmurne, krystaliczny lazur, powietrze nieruchome i ciepłe. Na zielonym oceanie lasu widniały wyspy bursztynu i rdzy, a gdzieś tam pojawiały się żółte plamy topól i osik. Na najwyższych szczytach widniały pierwsze smugi śniegu.

Connor poprzedniego wieczoru zjawił się u Julii i Eda na noc, aby mogli wyruszyć z samego rana. Natychmiast po przyjeździe wyczuł jakieś napięcie i nawet przez chwilę zastanawiał się, czy nie przerwał im jakiejś kłótni. Ed był nadspodziewanie milczący, ale nie tylko on. Podczas kolacji zdarzały się długie okresy ciszy. Kto wie, może to koniec pracowitego tygodnia i oboje byli zmęczeni? A może odczuwali niepokój przed wspinaczką?

Julia pierwsza zniknęła, zostawiając Eda i Connora przy kominku z winem w kieliszkach. Connor już zamierzał spytać Eda, czy powiedział Julii o wynikach badań, ale pomyślał, że może właśnie to było przyczyną napięcia, uznał więc, że lepiej nie poruszać tego tematu.

Miał nadzieję, że rano nastrój będzie trochę inny, ale nie. Podczas jazdy, podejścia pod skałę, a nawet samej wspinaczki ograniczali się tylko do najniezbędniejszych słów. Connorowi specjalnie to nie przeszkadzało. Nawet w przyjaźni czasami milczenie jest lepsze od gadulstwa, zwłaszcza kiedy dzień jest taki jak ten. Miał nadzieję, że i dwójka jego przyjaciół tak to odczuwała.

Na szczycie znaleźli się pół godziny później. Connor był bardzo poruszony, widząc uszczęśliwioną twarz Eda. Uściskał go, pogratulował, a potem odbyli swój rytuał Płomiennych Serc. Ed poprosił, żeby podprowadzić go do iglicy, obmacał ją rękami, a potem odwrócił się i oparł

plecami o skałę, jak gdyby chłonał widok. Connor zerknął na Julię. Stała wpatrzona w Eda, ocierała łzy i jednocześnie się uśmiechała. Nagle przeniosła spojrzenie na Connora, który uśmiechnął się, a ona zrobiła grymas, po którym poznał, że z trudem powstrzymuje się od płaczu.

- Zdjęcia! - zawołał Ed. - Musimy zrobić zdjęcia!

Zażartował, jaki to dla nich honor pozować przed tak znakomitym fotografem, więc Connor, wczuwając się w rolę, żwawo nimi komenderował i robił kabotyńskie uwagi na temat światła i braku odpowiedniego dramatyzmu. Potem Julia pstryknęła im kilka zdjęć, a następnie ustawiła aparat na skałę, podbiegła do nich i także ustawiła się do zdjęcia. Stała obok Eda, ale ten się obruszył, że nie, musi być w środku, więc zdążyła się wcisnąć między nich, zanim błysnął flesz.

- A teraz ja was sfotografuję - oznajmił Ed.

Connor wręczył mu leicę i pomógł odpowiednio się ustawić. Kiedy wracał do Julii, zobaczył na jej ustach lekki uśmiech, którego sensu nie potrafił odszyfrować. Otoczyła go ramieniem w pasie, przyciągnęła, on objął ją za szyję, a wtedy spojrzała na niego radosnymi oczami.

- Dobrze celuję? - upewnił się Ed.

- Odrobinę w dół - skorygował Connor - i troszkę na prawo.

- Już?

- Znakomicie.

- Szalu dostaniesz, jak moje zdjęcie będzie lepsze od twojego. A teraz proszę o uśmiech!

Potem w promieniach słońca zjedli kanapki, a Ed zażądał, by Julia opisała mu krajobraz w najdrobniejszych szczegółach: położenie słońca, kąt promieni, kolory jesieni, które szczyty już są ośnieżone. Kiedy skończyła, siedział w milczeniu i utrwalał to sobie w pamięci, a Connor patrząc na niego, zastanawiał się, jak wierny jest to obraz. Potem utkwiał wzrok w widnokregu i myślał, ile się zmieniło od czasu, gdy siedzieli tu ostatni raz, i jacy pełni byli wtedy najróżniejszych nadziei.

- Connor? - odezwał się Ed.

Obejrzał się i zobaczył, że oboje, spleceni w uścisku, wpatrują się w niego.

- Tak?

- Oboje mamy do ciebie prośbę.

Widział po ich twarzach, że to coś ważnego, zachęcił więc Eda, by mówił dalej. Ten przełknął, a potem zaczął tak się jąkać i powtarzać, że Connor zaniepokoił się nie na żarty. Wybąkał, jak bardzo oboje z Julią go lubią, co tu dużo mówić, jest ich najlepszym przyjacielem, był drużbą i tyle, tyle ich łączyło.

Connor był coraz bardziej skonfundowany, zastanawiając się, do czego to wszystko zmierza. Julia wydawała się równie zdenerwowana jak Ed, wzrok wbiła w ziemię.

Teraz Ed zaczął opowiadać, jak bardzo się starali o dziecko, jak dowiedzieli się, że to niemożliwe, jak zastanawiali się nad adopcją, na którą zresztą będą musieli się zdecydować, chyba że... Chyba że... Otóż była pewna możliwość, nad którą zastanawiali się we dwoje, może nie tyle możliwość, ile pewien szaleńczy pomysł...

I nagle Connor zrozumiał. Dwadzieścia sekund przedtem, zanim Ed znalazł właściwe słowa. I kiedy czekał na nie, czuł się jak w tunelu, gdy nadjeżdża pociąg, huk staje się coraz głośniejszy i głośniejszy...

- No więc właśnie zastanawialiśmy się, czy nie zgodziłbyś się... Strasznie nam trudno o to prosić... to znaczy, gdybyś uznał, że to idiotyczny, zwariowany pomysł, wystarczy pół słowa, bo dla nas ważniejsza od wszystkiego jest twoja przyjaźń. I tego musisz być pewien. W każdym razie zastanawialiśmy się, czy nie zechciałbyś być... ojcem, biologicznym ojcem naszego dziecka.

Pociąg huknął w niego i przez kilka długich chwil słowa Eda unosiły się w powietrzu między nimi jak gruzy na filmie o zwolnionych obrotach. Gdzieś z głębi lasu poniżej doleciał dziwny dźwięk, który potem mimochodem rozpoznał jako ryk łosia.

Odetchnął z trudem.

- Nie wyobrażam sobie...

- Słuchaj, wal prosto. To niebywała prośba i najprawdopodobniej nie będziesz mógł na nią przystać. My to świetnie rozumiemy i jeśli powiesz „nie”, nigdy więcej nie wrócimy do tego tematu i nie będziemy mieć do ciebie najmniejszej pretensji. Prawda, kochanie?

- Oczywiście.

Ed pocałował Julię w policzek, a ona uśmiechnęła się niepewnie. Connor wpatrywał się w nią, ale nieustannie unikała jego wzroku. Na koniec odważyła się i wtedy poczuł, jak coś się w nim porusza.

- Słuchaj, Connor. To tylko pytanie, prośba, nic więcej - ciągnął Ed.

- Ed, czy mógłbyś umilknąć na chwilę? - spytał Connor.

Kiedy zaczął mówić, zupełnie nie wiedział, co ma rzec, więc żeby zyskać na czasie, mruknął teraz, że Ed zawsze był specjalistą w zbijaniu ludzi z pantałyku, i cała trójka roześmiała się nerwowo. Potem zaczął mówić, że jest poruszony i zaszczycony, że pomyśleli o nim, że są parą najdroższych mu ludzi na świecie, a wszystko to było prawdą. Ale wydanie dziecka na świat, ciągnął, to bardzo poważna rzecz, więc niech pozwolą mu chociaż zastanowić się przez jakiś czas. Zgodnie oznajmili, że będą czekać, ile tylko zechce.

Schodzenie zabrało niemal tyle samo czasu co wchodzenie. Czujnie musieli śledzić każdy krok Eda, żeby się nie obsunął. Connor był wdzięczny sytuacji, że nie pozwalała na żadną paplaninę, która byłaby okropna po wymianie zdań na szczycie. Także podczas drogi do jeepa

niemal się nie odzywali. W trakcie jazdy powrotnej Ed robił, co mógł, żeby nieco rozluźnić atmosferę, ale po raz pierwszy - jak daleko Connor mógł sięgnąć pamięcią wstecz - układ między całą trójką był pełen wyraźnego napięcia. Z pewnością najlepiej by było, gdyby mógł im odpowiedzieć natychmiast, ale ilekroć usiłował rozważyć całą sprawę, dostawał zawrotu głowy.

Zapraszali go, by został, ale chwycił się wymówki, że matka kiepsko się czuje. Wrzucił swe rzeczy na tył chevroleta, potem stali przez chwilę, spoglądając w niebo, a z ich ust dobywała się leciutka mgiełka.

- W nocy może być nawet przymrozek - powiedział Connor. Julia cmoknęła go w policzek na pożegnanie i zawróciła do domu, a wiedział, że robi to, aby im obu dać czas na rozmowę. Usiadł za kierownicą i opuścił szybę. Ed oparł ręce na samochodzie.

- Posłuchaj - odezwał się Ed. - Chcę jeszcze raz powtórzyć. Twoja decyzja jest naszą decyzją. Wiem dobrze, w jak trudnej sytuacji cię stawiam.

- Powiedz mi, czy Julia jest tak samo przekonana do tego pomysłu jak ty?

- Całkowicie.

Connor milczał przez moment, Ed wyciągnął więc rękę i wymacał jego ramię.

- Nie musisz się spieszyć, zastanów się nad wszystkim.

- Zadzwoń.

Zapuścił silnik, zawrócił wóz i przez ramię zawołał: „Do widzenia”. Odjeżdżając, zerknął w lusterko i zobaczył Eda w obłoku spalin. Stał i machał ręką, a światło na ścianie za nim jakby otaczało jego sylwetkę aureolą.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Za pierwszym razem, kiedy je zobaczył, pomyślał, że to dym, teraz już jednak potrafił rozpoznać różnicę. Zrazu widać było czarną chmurę unoszącą się nad palmami i eukaliptusami, ale kiedy nadpłynęła bliżej, słysząc było krzyki i wtedy zaczynało się rozumieć, że to żywa chmura złożona z ptaków. Głównie sępy, kanie, kruki, ale były też mniejsze, krążące i wrzeszczące dookoła nich, których Connor nie znał, mniej śmiałe i z całą pewnością znające swoje miejsce w hierarchii stada. Kiedy jednak zbliżyły się na taką odległość, że można je było rozróżnić, już wcześniej wąż informował o tym, gdzie są ciała.

Tak też było tego poranka. Razem z innymi dziennikarzami szedł śladem żołnierzy pasem rdzawej ziemi, który wił się między plantacjami bananów i awokado. Było wcześniej i mgła zalegała na tarasach stromo wznoszących się jeden nad drugim. Co jakiś czas oficer w pierwszym wozie podnosił rękę i cała kolumna stawała, podczas gdy saperzy wybiegali w poszukiwaniu min, a Connor czekał z innymi w land - roverze, spływając potem i słuchając nienawistnych okrzyków z radia, które wzywało Hutu, by zapełnili trupami każdy rów, by nie zostawili żywego nawet jednego karalucha Tutsi.

Na skraju wioski wysiedli i dalej poszli pieszo. Pośrodku ulicy stał mały chłopiec, mający na sobie tylko zakrwawiony T - shirt, i bez ruchu patrzył, jak się ku niemu zbliżają. Oficer kucnął przy nim i zadał kilka pytań, ale chłopiec wyglądał, jakby zaniemówił, odwrócił się tylko i poszedł ulicą, oni zaś podążyli za nim, czując potężniejący fetor.

Mijali zgliszcza, chaty posiekane seriami wystrzałów, domy, w których pozostały tylko widma, przed którymi leżały resztki sprzętów, połamany rower, pojedynczy trzewik, żółta trąbka dziecięca. Dalej sterczała biała dzwonnica kościoła, a nad nią unosiła się czarna wieża ptaków. Connor, żołnierze, dziennikarze, wszyscy z wyjątkiem chłopca, zatykali nosy, czym się dało.

W trawie i kurzu placyku przed kościołem stała biała gipsowa figurka Jezusa z rozpostartymi w zapraszającym geście rękami, ale chłopiec zatrzymał się przy nim i nie postąpił ani kroku dalej. Connor zaczął robić zdjęcia jemu, psom i sępom, które wyleciały z otwartych drzwi kościoła, a także żołnierzom wrzeszczącym na nie i strzelającym, najczęściej niecelnie.

Powietrze wewnątrz kościoła było ciężkie, zgniłe, duszne i przepełnione brzęczeniem much. Connor starał się wciągać go do płuc jak najmniej, podobnie jak starał się niczego nie zachowywać w głowie z tego, co utrwał na taśmie fotograficznej. Ciała piętrzyły się na ławach, w przejściach, pod ścianami, które spryskała krew i poryły kule. Więcej było tu kobiet niż mężczyzn, chociaż niektóre zwłoki tak były pokiereszowane, że płeć z trudem udawało się rozpoznać. Było też wiele

dzieci, niemowląt i porzucane między nimi ludzkie szczątki.

W wysokich oknach z tyłu kościoła pozostały szybki, tylko gdzieś widać było dziury po kulach, i łagodne, wielobarwne światło spływało na piętrzące się przed ołtarzem zwłoki. Kendrick, reporter z BBC, wołał, żeby nie wchodzić mu w kadr, gdyż chce sfilmować scenę, zanim słońce się przesunie, ale Connor zignorował go, zrobił swoje i wyszedł.

Na zewnątrz młody żołnierz wymiotował. Connor przytrzymał go w pasie, potem bez słowa poklepał po ramieniu i poszedł w dół ulicy. Tymczasem pojawili się mieszkańcy wioski i po cichu rozmawiali z żołnierzami; inni - niczym fantomy z szeroko otwartymi oczyma - wynurzali się zza załamów murów i drzew.

Sfotografował rozdawanie wody i żywności z ciężarówek zaparkowanych w kurzu pod spaloną szkołą. Rósł tam wielki baobab, o którym ktoś powiedział, że Bóg pomylił się, sadząc go korzeniami do góry, chociaż Connorowi absolutnie nie wydawało się to paradoksalne w świecie, który stanął na głowie.

Przysiadł na niewielkim glinianym murku i rozejrzał się po okolicznych wzgórzach. Mgła spowiła wypalone tarasy, więc mógł zobaczyć drzewa wypuszczające pędy niczym wystające palce. Za nimi chmury gotowały się do ulewy, która spadała każdego popołudnia. Niewiele widział dotąd krain, w których każdy kawałek gruntu byłby tak wykorzystany, ale teraz banany i awokado gniły na drzewach, a jedynym żniwem, które się zbierało, byli ludzie.

Wraz z oddziałem Patriotycznego Frontu Rwandy od trzech dni posuwali się zygzakami na południe i zachód. Stracił rachubę już nie tyle zwłok, ile rzezi, które utrwalił na zdjęciach. Widział je wydęte, poukładane na brzegu rzeki niczym drewna do spławu, podczas gdy inne, niesione przez wodę, wolno przekreślały się jakby do wtóru muzyce tylko dla nich słyszalnej. Widział je setkami ciśnięte w rowy, strumienie, bagniska, porzucane wokół zrujnowanych domów albo poukładane w stosy przy szosie. Nie dalej jak wczoraj w miasteczku Bysenguye widział, jak ładowano je na ciężarówki przystosowane do wywozu odpadów. A potem za pośrednictwem skanera słał fotografie do domu po niebie, przez Boży dziedziniec, na którym może stały w potulnym oczekiwaniu dusze tych pomordowanych.

Teraz, o zmierzchu, wioska ożyła za sprawą nowych mieszkańców, reporterów, dziennikarzy, obrońców praw człowieka i biurokratów, którzy zjechali się tutaj, aby udokumentować unicestwienie starej ludności. Niektórzy rozmawiali z tubylcami, inni skupiali się w grupkach, popalając i wymieniając uwagi ściszym głosem, jakby lękali się, że mogą obudzić zabitych. Ochłodziło się, a fetor rozkładających się ciał został nieco przytłumiony przez spaliny generatorów i silników samochodowych. Grupa inspektorów, nałożywszy białe kitle, maski przeciwgazowe, gumowe rękawice i buty, weszła do kościoła, by skatalogować trupy. Connor ze

swego miejsca pod baobabem widział ich cienie, przesuwające się po ścianach i oknach niczym monstra, wielkie w świetle latarek.

Razem z kilkoma innymi dziennikarzami słuchał młodego porucznika PFR, który został im przydzielony jako informator. Powiedział, że jak dotąd doliczono się dwustu dziewięciu ciał, wszystkie Tutsi. Wiele osób pochodziło z Bysenguye, miasteczka, gdzie wczoraj widzieli ciężarówkę. Kiedy zjawił się tam interahamwe, oddział śmierci Hutu, uciekinierzy szukali pomocy u burmistrza, Emmanuela Kabugiego, człowieka światłego i powszechnie szanowanego, który pochodził wprawdzie z plemienia Hutu, ale przez Tutsi traktowany był zawsze jako przyjaciel.

Poradził, by schronili się w kościele znajdującym się w pobliskiej wiosce. Zapewnił ich, że miejscowy kapłan nie dopuści do tego, aby stało się im coś złego. Nazajutrz Kabugi zjawił się na czele interahamwe, którego członkowie mieli wprawdzie kilka pistoletów maszynowych, ale najczęściej zbrojni byli w maczety. W masakrze osobiście wzięli udział Kabugi i ksiądz, który na polecenie odryglował drzwi.

Na noc większość dziennikarzy przeniosła się do hotelu w Bysenguye, ale Connor wraz z kilkoma jeszcze osobami został w wiosce. Rozlokowali się w domach, które zachowały dachy, a zanim ułożyli się spać, Kendrick wydobyl butelkę brandy i kilka metalowych kieliszków. Znalazła się lampa gazowa, którą ustawili na cemencie i obsiedli kołem. Kendrick był pulchnym czterdziestolatkiem o rzadziejących żółtawych włosach, a ponieważ najdłużej z nich wszystkich przebywał w Afryce, więc czuł się upoważniony do mentorowania całej swej znacznie młodszej ekipie. Connor pozostawał z nimi na przyjacielskiej stopie, podobnie jak z dwójką agencyjnych dziennikarzy, Anną i Reinerem.

Wiele czasu spędzając teraz w towarzystwie reporterów, niektórych polubił, niektórych tylko tolerował, ale zdecydowanie nie znosił tych, którzy zachowywali się tak, jakby widzieli już wszystko, posiadli wszystkie rozumy na świecie i dlatego mieli prawo nieustannego pouczenia i komenderowania. We wszystkich kwestiach usiłował wyrobić sobie własne zdanie, zawsze trzymał się odrobinę na uboczu i dobrze wiedział, że uważany jest za samotnika. Z początku sądził, że nieuchwytny dystans rodzi się za sprawą tego, że większość dziennikarzy kończyła studia, ale bardzo szybko zrozumiał, że bardziej chodzi o tę jego cechę, która sprawiła, iż matka nazwała go Obserwatorem.

Przypatrywał się teraz Kendrickowi. W chłodnym blasku lampy lśnił pot na jego różowych policzkach. Rozwodził się nad tym, jak kompletnie nie sprawdza się demokracja tutaj, w Afryce, i jak idiotyczne są zachodnie rządy wierzące w to, że może być inaczej. Dla „przeciętnego Afrykanina”, mówił, demokracja to coś zupełnie niezrozumiałego. Wszystkie pieniądze na walkę z głodem i chorobami wędrowały do kieszeni polityków i urzędników, mających już skądinąd

pokażne sumy na kontach w bankach szwajcarskich. Dzieje się tak jak Afryka długa i szeroka. Rozmawiał o tym nawet z Nelsonem Mandelą, który wielokrotnie udzielał mu wywiadów, a który - jak sugerowały słowa Kendricka - traktował go jak najbliższego przyjaciela. Connor miał już tego dość. Podniósł się i w milczeniu skierował do drzwi.

- Czyżby nasz amerykański przyjaciel nie zgadzał się ze mną?

Connor obejrzał się przez ramię.

- A skąd mam wiedzieć? Może powinieneś pójść do kościoła, żeby zapytać o opinię leżących tam przeciętnych Afrykanów.

Poszedł ulicą, mijając ogniska, przy których rozłożyli się żołnierze. Niektórzy śpiewali i na czym się dało, wystukiwali rytmy. Jeden ze strażników ostrzegł go, aby zbytnio się nie oddalał. Kiwnął głową, nie zamierzał nigdzie wędrować, chciał się tylko wydostać poza zasięg świateł, oparów i dźwięku generatorów.

Wąską dróżką między bananowcami doszedł do niewielkiej łąki, gdzie przysiadł na kamieniu i zasłuchany w głos owadów i zab wdychał ciężki zapach czerwonej gleby. Chmury się rozstały, nie było księżycy, a on szukał między gwiazdami drogi drugiej półkuli, ale nie potrafił się między nimi rozeznac. Przydałaby mu się mapa podobna do tej, którą nakreślił na plecach Eda. I tak, jak każdej nocy i każdego dnia, myśl powędrowała do Julii i dziecka wzrastającego w jej łonie.

Nie odzywał się do nich od Bożego Narodzenia. Zadzwoił z Nairobi, dokąd przeniósł się, gdy w Somalii zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Ed poinformował go, że Julia jest od dwóch miesięcy w ciąży. Poczęła po pierwszym zapłodnieniu nasieniem, które Connor zostawił w klinice przed wyjazdem do Afryki.

- Wszystko w porządku - zapewnił Ed.

Zawiadomili go w liście wysłanym via jego agencja, który - jak większość poczty od nich - nigdy nie dotarł do Connora. Potem słuchawkę wzięła Julia, życzyła mu szczęśliwych świąt, a on z brzmienia obu głosów mógł wywnioskować, jak szczęśliwi są obydwój. Także on starał się nadać swemu głosowi takie zabarwienie i miał nadzieję, że przynajmniej zabrzmiało to przekonująco. Tymczasem prawda była taka, że sam właściwie nie wiedział, co czuje. Co trwało zresztą nadal, nawet teraz, po kilku miesiącach rozważań i rozmyślań.

Z jednej strony był szczęśliwy, rzeczywiście szczęśliwy, że jego dar sprawił im taką radość, i niekiedy czerpał z tego poczucie prawdziwej siły. Ilekroć, tak jak chociażby dzisiaj w kościele, jak niemal każdego dnia, stapał pomiędzy martwymi, zarazem myślał o tym nowym życiu, które rozkwitało wiele tysięcy mil stąd, jakby zaprzeczając tym mrocznym i przerażającym świadectwom jego nicości, a to dodawało mu odwagi.

Ale w jego sercu mieszkało też poczucie jakiejś wielkiej przegranej, którego w żaden sposób nie mógł się pozbyć. Napadało go czasami przeświadczenie, że teraz, kiedy ofiarował swoje nasienie, jest już bezużyteczny, a jego życie - jeszcze bardziej puste i bez sensu niż kiedykolwiek.

Kiedy wrócił do wioski, spomiędzy samochodów wyłoniła się jakaś postać i skierowała ku niemu. Był to młody żołnierz, który wymiotował pod kościołem. Trzymał w ręku kawałek papieru i podał teraz Connorowi.

- Podobno uciekł do Goma ze wszystkimi innymi - powiedział. - Jakby pan tam był, może się panu przydać.

Zanim Connor zdążył o cokolwiek spytać, żołnierz okręcił się na pięcie i zniknął w mroku. Connor w świetle latarki zobaczył, że trzyma w ręku kawałek gazety. Na zdjęciu promiennie uśmiechnięty mężczyzna w białej koszuli wręczał nagrodę urzekająco pięknej uczennicy. Podpis informował, że jest to burmistrz Bysenguye, Emmanuel Kabugi.

Julia leżała nieruchomo w wannie, z zapartym tchem wpatrzona w to, jak przemieszcza się zniekształcenie jej wydatnego brzucha. Słyszała, oczywiście, o tym, że płód „kopie”, zawsze jednak przypuszczała, że to przesadne określenia dla jakichś lekkich drgnięć, które można zarejestrować tylko przy bardzo napiętej uwadze. A tymczasem... Znowu wyraźne szturchnięcie. Ten mały awanturnik ani myślał się uspokoić, tylko w najlepsze sobie pływał.

- Znowu!

Ed stał nagi przed lustrem i się golił. Znowu zaczął golić się, używając maszynki i - o dziwo - nie potrafił tego robić inaczej, niż stojąc przed lustrem. Wiosenne słońce przez otwarte okno łazienki oświetlało mu pośladki.

- Znowu się poruszył?

- Ale jak! To trening przed olimpiadą.

Ed odłożył maszynkę i ukląkł koło wanny. Połowę twarzy pokrywała jeszcze piana. Położył ręce na brzuchu Julii i czekali na kolejne poruszenie. Ptaki na zewnątrz dawały prawdziwy koncert.

- Zawstydział się - powiedział Ed.

- Nie, wcale się nie zawstydziała.

- No dalej, kijanko, rusz się dla ojca.

Podczas ostatniej ultrasonografii pokazali jej obraz płodu i spytali, czy chce wiedzieć, co to będzie, na co ona: „Nie, dziękuję, już wiem - dziecko”. Wszyscy się roześmiali i tak zostało, chociaż jednak nikt nie powiedział, ona nie miała żadnych wątpliwości, że to będzie dziewczynka.

Dlaczego była tak pewna, tego nie potrafiłaby wyjaśnić, ale wiązało się to jakoś ze Skye. Przez rok po tragedii nieustannie miała jej obraz przed oczyma: niczym jej nie groziła, nie oskarżała, na nic się nie użalała, po prostu sobie siedziała. Z czasem jednak obraz zaczął blaknąć i

pojawiał się już tylko do wtóru modlitwom Julii albo podczas długotrwałych walk o sen. Niekiedy, oczywiście, pojawiał się przypadkowo, jak wtedy, kiedy nagle trafiała na kogoś do niej podobnego. Jednego z trzecioklasistów odbierała siostra tak nieprawdopodobnie podobna do Skye, że za pierwszym razem Julia omal nie zemdląca, ale potem przyzwyczała się do tego widoku.

Nie wiązało się z tym osłabienie poczucia winy. Julia doszła do wniosku, że wyrzuty sumienia zrobione są z tak niezniszczalnego materiału, że nic w nich nie mogą napocząć ani czas, ani szczęśliwe doświadczenia. W czasopiśmie (których wiele teraz kupowała w poszukiwaniu zdjęć Connora) przeczytała artykuł o policjancie, którego postrzelono w głowę pociskiem z tytanu czy jakiegoś innego równie egzotycznego materiału. Ponieważ przeżył i wydawało się, że funkcjonuje całkiem sprawnie, zrezygnowano z chirurgicznego wydobywania kuli. Jeśli nie liczyć dziwnych bólów głowy i lekkiego zakłócenia widzenia, postrzał nie miał żadnych następstw.

Czytając ten artykuł, Julia uznała, że jej sytuacja jest bardzo podobna, tyle że ona miała w głowie dwie kule: jedną za Eda i jedną za Skye. Tkwiły w jej głowie, zmieniając obraz świata i powodując nieustępliwy ból, do którego zdążyła już przywyknąć.

Poczucie winy wcale nie musiało przyprawiać o mdłości, nie musiało prowadzić do uprzykrzenia życia. Stawało się faktem, z którym trzeba było żyć, ponosić konsekwencje, stawało się elementem pewnej umowy, która wskazywała na nieuniknione zobowiązania. Te wobec Eda właśnie wypełniała, poświęcając mu swoje życie, teraz przychodziła więc pora na Skye. Julia ponosiła odpowiedzialność za to, że na świecie zabrakło jednej kobiety, więc chciała to zrekompensować. I chociaż dobrze wiedziała, że nie ma w tym ani odrobiny racjonalności, to przecież właśnie dlatego była przeświadczona, że w jej łonie wzrasta dziewczynka.

Ed, oczywiście, miał zupełnie inne przekonanie. Gałąź rodu Tullych związana z Montaną, oświadczył, potrzebuje męskiego przedstawiciela. Miał już nawet gotowe imię. Dla upamiętnienia zasług swego ojca dla wielkich trawiastych terenów, chłopiec zwać się miał Mower, Kosik. Julia miała nadzieję, że nie trzeba będzie sprawdzać, czy to istotnie tylko żart. Ed dalej trzymał ręce na jej brzuchu.

- Chyba zasnął.

- Nie... O, znowu się rusza.

- Uou! Popatrz tylko, ale chwata! Mój syn!!! Jak ty to czujesz? To musi być strasznie dziwne. Nie wiem, jakieś szczypanie?

- Nie, nie całkiem... Bardziej jak kołysanie.

- Kołysanie?

- Takie kołysanie pływania.

- Ale nie szczypanie?

- Nie.

- Patrz, patrz, znowu!!!

Przyglądała się jego uśmiechowi, w oczach nawet pojawił się jakby błysk. Czasami się zastanawiała, czy kiedy tak trzymał ręce na jej brzuchu i czuł poruszenia dziecka, świadomość, że to nie jest naprawdę jego dziecko, w czymkolwiek zaciemniała jego uczucia. Oczywiście, pod bardzo wieloma względami było jego, a Julia robiła wszystko, co tylko mogła, aby to podkreślać. Musiało jednak w nim coś tkwić, pewnie nie wątpliwość czy zazdrość, ale może odrobina żalu.

Nigdy o tym nie mówili. Prawie od samego początku Ed był niezwykły. Kiedy Connor oznajmił im swoją decyzję i czekali na wprowadzenie nasienia, co musiało nastąpić w najlepszej godzinie najlepszego dnia miesiąca, Ed wydawał się tak zafrasowany i niespokojny, że Julia wcale by się nie dziwiła, gdyby zmienił zdanie. Kiedy jednak spytała, czy nadal jest pewien, że tego chce, obruszył się i zabronił jej mówić głupoty, nie wracała zatem do tego tematu.

Dzień, w którym powiedziała mu o ciąży, zaczął się nie najlepiej. Na półce, na której trzymali szczoteczki do zębów, zostawiła krem do usuwania włosów, trudno się więc dziwić, że Ed nie był w najlepszym nastroju, kiedy wysmarował sobie nim całą jamę ustną.

Naburmuszony zszedł na dół i podczas gdy robiła w łazience test ciążowy, słyszała, jak mruczy w kuchni, że teraz wszystko smakuje obrzydliwie.

Stała przy toaletce i patrzyła, jak pasek zmienia kolor, chociaż było to tylko potwierdzenie tego, o czym była już całkowicie przekonana. Bez słowa zeszła w szlafroku do kuchni i małymi przyklepnymi markerami, których używali do oznaczania różnych rzeczy, wypisała na brzuchu: „dziecko”. Poirytowany spytał, co robi.

- Nic specjalnego. Oznaczam coś.

- Rychło w czas. Napisz napalm, bo tak to świństwo smakuje.

Nałożyła ostatniego markera, usiadła na stole i sięgnęła po rękę Eda.

- Julio, daj mi teraz spokój, dobrze?

- Odłóż łyżkę.

- Posłuchaj, nie chce mi się w ogóle żartować. W ustach mam śmietnisko.

- Biedaczku.

Rozsunęła szlafrok, wzięła jego rękę i poprowadziła na brzuch.

- Kochanie, naprawdę nie jestem w nastroju... Co to takiego?

Wymacał markery.

- Musisz sam się dowiedzieć.

Patrzyła, jak twarz mu się zmienia, gdy podążał ich śladami.

- Nie! - wykrzyknął. - Jesteś pewna?

- Tak, jestem.

Poderwał się, chwycił ją w ramiona i zamarli tak na długi czas. Kiedy odsunęli się od siebie, na jego twarzy zobaczyła łzy.

- Przepraszam za tę pastę do zębów - powiedziała. Ręce Eda wśliznęły się pod szlafrok, chwycił ją za biodra, pocałował, potem się schylił i zaczął całować piersi, aż wreszcie, ciągle z napisem na brzuchu Julii, zaczęli się kochać na kuchennym stole. Mogła się mylić, ale i tego dnia, i w następne miała wrażenie, że jest w tym coś więcej niż tylko pożądanie - nieświadoma może potrzeba, aby potwierdzić swoją, a nie tylko Connora, obecność w Julii.

Często rozmawiali o Connorze, zastanawiając się, gdzie może być i co może porabiać. Na życzenie Eda, Julia powiększyła zdjęcie ich trójki - to zrobione na szczycie - i zawiesiła je w salonie. Powiedział, że chce, aby dziecko od pierwszej chwili miało przed oczyma wszystkich: mamę, tatę i biotatę. Jego zdaniem „biotata” brzmiało jak jakiś superheros, chociaż Julii akurat bardziej się kojarzyło z nazwą jakiegoś proszku do prania.

Trzy rodziny (Fordów, Tullych i Bishopów) czujnie wypatrywały teraz zdjęć Connora i wystarczyło, by ktokolwiek z nich znalazł jakieś w gazecie czy czasopiśmie, a natychmiast uruchamiał ciąg telefonów informacyjnych. Dwa dni wcześniej zadzwoniła matka Connora, mówiąc, by kupili „Newsweeka”, zarazem jednak przestrzegając, że widok nie będzie przyjemny.

Julia zaraz pobiegła po gazetę, ale pani Ford miała rację. Była to jego kolejna fotografia z Rwandy - polepa kościoła zasłana zmasakrowanymi trupami kobiet i dzieci, na które z rozbitego okna spływały promienie słoneczne. Julii wystarczyło jedno spojrzenie; nie mogła się nawet zmusić do przeczytania artykułu. Milion osób wymordowanych w miesiąc. Jeden z telewizyjnych komentatorów - najwyraźniej chcąc się popisać swymi zdolnościami arytmetycznymi - oznajmił, że oznacza to stu pięćdziesięciu pięciu ludzi zabijanych co minutę, a więc prawie tysiąc co godzinę każdego dnia. Oddziały ONZ stały z bronią u nogi, a elegancy politycy debatowali w Waszyngtonie, czy mają już do czynienia z ludobójstwem, czy jeszcze nie.

Julia i Ed nie widzieli się, ani nawet nie rozmawiali z matką Connora od zeszłego lata, dlatego miło było znowu usłyszeć jej szorstki głos. Rozmawiały przez chwilę o Connorze, wspólnie ubolewając nad tym, jak oszczędnie daje o sobie znać. I nagle Julia zorientowała się, że nie ma pojęcia, czy pani Ford wie o spodziewanym dziecku, a co ważniejsze - o roli w tym jej syna.

- No, a jak z tobą, kochanie? Który to, szósty miesiąc?

- Siódmy. Czuję się dobrze. To znaczy od chwili, jak przestałam zwracać każdą porcję jedzenia.

- Tak to bywa. Z Connorem, pamiętam, rzygałam na okrągło.

Zapadła cisza. Brzemienna. Julia zastanawiała się, co powiedzieć.

- Powinnam może wcześniej się odezwać - ciągnęła pani Ford - ale nie wiedziałam, czy powinnam się zdradzić z tym, że wiem.

I nadal było niejasne, jak wiele wie.

- Connor ci powiedział?

- A kto inny? Mówiąc szczerze, mnie się to nie podobało.

- O!

- Tak. Raptem skończyłam pięćdziesiątkę, a to nie jest wiek, żeby zostawać babcią. Nawet taką na poły zastępową, czy jakkolwiek to nazwać.

- Zastępczą.

- No właśnie. Jak ja teraz będę wyglądać?

Julia zaśmiała się z ulgą.

- Bardzo się cieszę, że ci się udało, kochanie.

- Dziękuję.

- Naprawdę. A teraz kupcie ten numer, ale za długo nie patrzcie.

Woda w wannie stygła, dziecko skończyło trening, a może po prostu się znudziło. Tak samo jak dłonie Eda, które powędrowały do jej piersi, wielkich teraz, z sutkami wielkości małych frisbee. Ed, jak się wydawało, był zdania, że służą przede wszystkim do zabawy. Klepnęła go po palcach.

- Daj spokój - powiedziała. - Bo spóźnię się do pracy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Samoloty transportowe nadlatywały dzień i noc, wynurzając się z chmur niczym żarłoczne ptaki i nad jeziorem spływając na brzeg, na którym koczował milion bezdomnych. W nocy migotały światełkami, nadlatując na pas, i słychać było ryk silników, a od czasu do czasu chmury rozstępowały się i ukazywały na moment wulkaniczny, liczący dziesięć tysięcy stóp stożek Nyaragongo, który pomrukiwał i roztaczał wokół siebie czerwoną poświatę, jakby się szykował do sądnego dnia.

Samoloty wiozły jedzenie dla żywych i wapno dla umarłych. A dla setek tysięcy tych, którzy znaleźli się na granicy między jednym a drugim, wiozły ubrania, koce, lekarstwa, namioty, a także trupę zbawicieli. Przywoziły lekarzy, pielęgniarki, sanitariuszy i tysiące anonimowych urzędników z setek najróżniejszych agencji. Ale była jeszcze inna trupa - ludzi mediów, którzy wszędzie się kręcili, wciskali, stawali na zawadzie, żeby potem słowa i obrazy ciskać niczym dzidy w zrogowaciałą wrażliwość świata przypatrującego się wszystkiemu ze znużonym zdziwieniem.

Connor także był oszołomiony, podobnie jak oszołomieni byli wszyscy, których spotkał w Goma: lekarze, specjaliści od pomocy, dziennikarze. Milion Hutu zebranych na czarnej płycie lawy to uciekinierzy. Już sama ta nazwa budziła współczucie, i z pewnością nie bez racji. Na ich twarzach wypisana była rozpacz i rezygnacja, kiedy stali w kolejkach po posiłki czy w kucki obsiadali ogniska i patrzyli na własne dzieci umierające na cholere. Pomiedzy nimi jednak uwijali się - nie wiadomo jak liczni - ci, którzy nie zasługiwali na żadne współczucie, gdyż żadnego nie okazali; ci, którzy dopuścili się ludobójstwa na granicy z Rwandą.

Wszyscy byli pewni, że są gdzieś tutaj. Connor sfotografował stos maczet i obitych gwoździami pałek skonfiskowanych na punkcie kontrolnym, ale dobrze wiedział, że to tylko drobny ułamek przemyconej broni, jej właściciele wcale się bowiem z nią nie kryli. Obnosili się z nią wręcz buńczucznie, co pozwalało bezceremonialnie grabić najlepsze łupy. Tak więc Connor sądził, że istnieje szansa, i to wcale nie taka mała, że gdzieś w tym tłumie znajduje się także burmistrz Bysenguye.

Szukał go już niemal od tygodnia, w kieszeni kamizelki trzymając zdjęcie Kabugiego, które umieścił w celofanowej osłonce, aby się nie zniszczyło od samego pokazywania, a podsuwał je pod nos każdemu rozmówcy. Za każdym razem tylko kręcono głową i zwracano mu fotografię. Nazwa miasta, jak się wydawało, nic nikomu nie mówiła.

Niekiedy dostrzegał w oczach pytanych ludzi zdziwienie, że ktoś może podejmować tak idiotyczne działania, a i sam niejednokrotnie pytał siebie, po co to robi. Dlaczego czyni Kabugiego

miałyby go trapić bardziej od bezlikiu innych? Czyżby chodziło o to, że zbrodniarz miał konkretne nazwisko i oblicze, Connor zaś miał okazję spojrzeć w martwe twarze jego ofiar i sfotografować efekty straszliwego dzieła? I co pocznie, kiedy go już znajdzie?

Nie wiedział. Skoro jednak zaczął szukać, to nie zamierzał tego tak po prostu zaniechać.

Było późne popołudnie, ciepły i mokry powiew od jeziora Kivu przyduszał do ziemi dymy snujące się nad ogniskami. Connor szedł między nimi po czarnej lawie właściwie bez celu. Usłyszał za sobą nadjeżdżający samochód i ustąpił z drogi. Biały landcruiser, jeden z tych, które dla wygody służb międzynarodowych dostarczyły samoloty. Myślał, że samochód po prostu go ominie, ale kierowca, młody brodaty blondyn, zahamował i zaproponował, że może go podzucić. Connor podziękował i wskoczył na tylne siedzenie.

Siedząca przy kierowcy młoda kobieta odwróciła się i zaczęła rozmowę. Ona była Dunką, blondyn - Norwegiem. Pracowali w sztokholmskim pogotowiu ratunkowym. Na pytanie, dla kogo pracuje i co robi, Connor odpowiedział, że właściwie jest wolnym strzelcem, a teraz poszukuje uchodźców z miasteczka Bysenguye. Nie słyszeli tej nazwy, nie znali Kabugiego. Pokazał im zdjęcie, ale żadne z nich go nie rozpoznało.

Kobieta imieniem Marijke miała mu już oddać fotografię, kiedy raz jeszcze przypatrzyła się jej i wskazała dziewczynkę ze słowami:

- Widziałam ją dziś rano.

- Na pewno?

- Tak, byłam zachwycona jej urodą.

Powiedziała, że szczepili dzieci w jednym z obozów nad jeziorem - Connor był już w nim wcześniej - a wśród nich także tę dziewczynkę ze zdjęcia. Mężczyzna spytał, czemu szuka Kabugiego, więc Connor wyjaśnił mu w kilku zdaniach. Marijke zaproponowała, że jeśli może zaczekać, za pół godziny, gdy dostarczą na miejsce materiały opatrunkowe, może go zawieźć do dziewczynki.

Potrwało to dłużej niż pół godziny i kiedy dotarli do obozu, robiło się już ciemno. Zatrzymali się przy jednym z punktów żywnościowych i poszli do zaimprovizowanego namiotu, zrobionego z plastikowych płacht rozpiętych na pustych skrzyniach. To tutaj urzędowali lokalni przywódcy uchodźców. Connor był tam dwa dni wcześniej i pamiętał zimne spojrzenie młodego mężczyzny, którego pytał o Kabugiego. Oni nie mówili po angielsku, Connor nie znał francuskiego, więc konwersacja nie trwała długo.

Kiedy teraz weszli do namiotu, zobaczył twarze inne i mniej nieprzyjazne. Marijke pozdrowiła obecnych po francusku, na co odpowiedzieli przyjaźnie; chyba pamiętali ją z porannej wizyty. Connor nie rozumiał, co dziewczyna mówi, ale wychwycił nazwę miasta. Ten, który

wyglądał na przywódcę, machnął ręką i coś powiedział. Marijke przetłumaczyła:

- Mówią, że ludzie z Bysenguye mają obóz o pół mili stąd.

- Może nas tam zaprowadzić?

Spytała, a tamten wzruszył ramionami i potaknął.

Poszli za nim przez labirynt skrytych w dymie ścieżek, obok ciał owiniętych w maty i poukładanych tak, żeby jak najłatwiej można je było pozbierać, obok nagich dzieci w każdej stercie szukających jedzenia, obok scen, które Connor utrwał od tygodnia, a którymi świat najpewniej zaczynał się już nużyć. W końcu doszli do dużego namiotu z jasnoniebieskiego plastiku, a ich przewodnik oznajmił, że tutaj znajdują ludzi z Bysenguye, i zawrócił. Connor wyszukał w torbie lampę błyskową i nałożył ją na nikona - jeden z aparatów wiszących na jego szyi.

Wewnątrz nie było nikogo, pośrodku stał stół zrobiony ze skrzynek i kawałka dykty, na nim lampa gazowa, stosy papierów unieruchomione kamieniami i służąca za popielniczkę miska, na której brzegu tlił się niedopałek. Dokoła pełno było skrzyń, pudeł i toreb, z których wiele wyglądało na jeszcze nie otwarte. Zza stanowiącej tylną ścianę namiotu płachty plastiku dochodziły głosy, śmiechy i jakiś metaliczny zgrzyt.

Marijke wygłosiła formułę pozdrowienia, ale nikt nie odpowiedział, Connor podszedł więc do płachty, uniósł ją i - stanął oko w oko z Emmanuelem Kabugim.

Odziany tak, jakby przed chwilą zszedł z pola golfowego - nienagannie odprasowane spodnie, śnieżnobiała sportowa koszula z małym logo krokodyla na kieszonce - wyższy i bardziej postawny niż na zdjęciu, coś właśnie opowiadał pośrodku malutkiego dziedzińca obramowanego skrzyniami i oświetlonego lampą gazową.

Oprócz niego stało tu i siedziało jeszcze czterech mężczyzn, młodszych i gorzej ubranych, a także dwie kobiety, obie młode i piękne. Jeden z mężczyzn ostrzył maczetę i śmiał się z jedną z kobiet, ale na widok Connora znieruchomiał. Cała siódemka wpatrywała się w niego i jego aparaty. Kabugi nagle uśmiechnął się szeroko i powiedział coś po francusku, ale kiedy Connor odwrócił się do Marijke z prośbą o tłumaczenie, przeszedł na angielski.

- Mogę w czymś pomóc?

- Emmanuel Kabugi?

- Tak.

Connor przedstawił się i pokazał oenzetowską legitymację prasową. Mężczyzna z maczetą powiedział coś w kinyarwanda, ale Kabugi odwrócił się i ostro go skarcił w tym samym języku. Connor zastanawiał się, czy zmierzać do celu ogródkami, najpierw wypytując o dostawy żywności i warunki życia w obozie. Kłamstwo jednak zawsze wyglądało marnie w jego wydaniu, kiedy więc Kabugi powtórzył pytanie, czy może w czymś pomóc, sięgnął do kieszeni i wydobyl wyrwaną z

czasopisma fotografię masakry w kościele. Podał ją Kabugiemu.

Ten popatrzył, a inni skupili się koło niego i także przyglądali się zdjęciu. Człowiek z maczetą na jego widok zaczął wykrzykiwać coś na Connora, ale został uciszony przez Kabugiego, który ponownie przez jakiś czas studiował fotografię, a potem spytał:

- Dlaczego mi pan to pokazuje?

- Poznaje pan?

- Większość tych ludzi znam, z wieloma byłem zaprzyjaźniony. Jakże mógłbym zapomnieć?

Wyciągnął rękę ze zdjęciem, ale Connor po nie nie sięgnął.

- A których sam pan zabił? Własnoręcznie?

Kabugi zmarszczył brwi.

- Co takiego?

- Może niełatwo wskazać, kiedy ciała są tak zmasakrowane. - Connor poczuł, że Marijke nerwowo przestępuje za nim z nogi na nogę. - Przecież był pan tam. Najpierw kazał im pan schronić się w kościele, a potem przyszedł tam na czele oddziału morderców.

- Pan myli mnie z kimś innym.

- Nie. Są świadkowie, rozmawiałem z nimi. Odrobinę spartaczył pan robotę, gdyż niektórym udało się ująć z życiem. Widzieli pana i teraz mówią.

- Są w błędzie. Słyszałem, oczywiście, o tej tragedii, która mnie bardzo zasmuciła i zagniewała. To zrobili ludzie z Frontu Patriotycznego, aby zniesławić nas i wprowadzić w błąd dziennikarzy takich jak pan, którzy potem roznoszą dalej fałszywe oskarżenia. I czemu miałbym to zrobić? Zabijać swoich znajomych i przyjaciół?

- To właśnie coś, czego nie mogę zrozumieć. Niech pan mi odpowie na to pytanie. Dlaczego?

Przygryzając dolną wargę, Kabugi patrzył Connorowi w oczy. Powolnym gestem zmiął zdjęcie, wypuścił je z dłoni na ziemię i dumnie wyprostował głowę.

- Wie pan, kim jestem?

- Tak.

- Jestem burmistrzem Bysenguye, odebrałem staranne wykształcenie, studiowałem na Sorbonie w Paryżu literaturę, sztukę i filozofię. Chodzę na mszę, modłę się za moich nieprzyjaciół. Cała życie poświęciłem swoim rodakom. Mówię to nie po to, aby się chwalić, ale żeby panu uświadomić, z kim ma pan do czynienia. Czy mówię wyraźnie?

Connor wzruszył ramionami.

- Kiedy armia tych robaków wyгнаła moich pobratymców z domów, pomagałem im i

wyprowadziłem w bezpieczną okolicę. Wielu umarło po drodze, także dzieci, niemowlęta. I teraz oto jesteśmy w tym przedpieklu, nie mając nic, obrabowani nawet z godności.

Mówił wolno i wyraźnie, ale z coraz większą pasją. W jego spojrzeniu pojawiło się coś tak zimnego, że Connor z trudem mógł je wytrzymać.

- A teraz pan ośmiela się stawać tutaj przede mną z fałszywymi oskarżeniami i świętoszkowatym oburzeniem, podczas gdy tam nasze żony i dzieci umierają z głodu i na cholere?

- To, co mówię, jest prawdą.

- Prawdą? A skąd pan wie, co jest prawdą? Co pan wie o moim kraju, o moich rodakach? Od jak dawna pan tu jest? Od tygodnia? Miesiąca? Jeśli prawda jest bochnem chleba, a pan złapał okruszek, to co, ma pan prawdę? Jest pan Amerykaninem, mam rację? - Connor skinął głową. - To niech pan mi powie, jaka jest prawda pańskiego kraju? Pańskiego narodu? Co ma pan do powiedzenia na temat milionów moich rodaków, których wymordowaliście, porwaliście, zamieniliście w niewolników? No, słucham!

- Jeśli chce pan wygłaszać przemówienia, mnie to nie przeszkadza. Chciałem tylko zrobić panu zdjęcie.

Kabugi jakby go nie usłyszał. Nic już nie było w stanie powstrzymać jego gniewu.

- Prawda jest taka, że nie ma żadnej prawdy. Są tylko okruszki. Pan ma swoje, ja mam swoje, tyle że moich jest więcej, a zbierałem je z własnych doświadczeń, a nie pod sztandarem przesądów i uprzedzeń. I coś panu teraz powiem. Te karaluchy Tutsi i ich belgijscy mocodawcy chcieli raz jeszcze zamienić moje plemię w niewolników, znowu narzucić nam swoje feudalne panowanie. I co mieliśmy robić wobec tego? No, proszę mi powiedzieć: co?

Connor wskazał brodą maczetę.

- Zatem posiekał ich pan na kawałki. Używał pan tej? To pańska czy jego? Czy wymieniacie się, jak ręce was rozbołą?

Trudno powiedzieć, czy mężczyzna zrozumiał słowa Connora, w każdym razie postąpił w jego kierunku, ale Kabugi chwycił go za rękaw. Poczuł na ramieniu dotknięcie Marijke.

- Chodźmy już - powiedziała. Kabugi pokiwał głową.

- Tak z pewnością będzie lepiej.

- Dobrze - mruknął Connor, podniósł do oka aparat i zaczął regulować, ale natychmiast dwóch mężczyzn rzuciło się na niego. Jednemu się wywinął, drugiego odepchnął, a kiedy chcieli ponowić atak, osadził ich w miejscu głos Kabugiego. Connor szykował się do zdjęcia, mówiąc jednocześnie:

- Myślę, że jako filar swojej społeczności i bohater z pewnością zgodzi się pan na zdjęcie, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, nacisnął migawkę. Flesz jakby ich zamroził, Connor zdążył więc zrobić jeszcze dwa zdjęcia, zanim na rozkaz Kabugiego on i Marijke zostali szorstko wypchnięci za plastikową zasłonę. Jeden z obecnych znowu wyciągnął rękę po aparat, ale Connorowi raz jeszcze udało się umknąć, a na dodatek zrobił jeszcze jedno ujęcie. Kiedy go wypychano, zdołał się obrócić i pstryknął finałowe zdjęcie Kabugiego. Po chwili leżeli w piasku przed namiotem, przed którym zebrała się już grupka ciekawskich.

Kiedy wracali do bazy ONZ, Marijke powiedziała, że dziewczynie trudno nudzić się z Connorem. Zaczął ją przeproszać, aż nagle z niewiadomego powodu oboje wybuchnęli niepohamowanym śmiechem. W trakcie szarpaniny Connor stłukł obiektyw, ale korpus aparatu i umieszczony w nim film wyszły z tego bez szwanku.

Nazajutrz opuścił Goma na pokładzie samolotu agencji lecącego do Nairobi. Kiedy startując, położyli się w wiraż nad jeziorem Kivu, chmury się rozstały i Connor wyciągał szyję, żeby dojrzeć obozy. Patrzył na mozaikę plam słonecznych i cieni kładącą się na martwych, żywych i wulkaniczne zbocza. Myślał o tym, co usłyszał od Kabugiego: może istotnie nie ma czegoś takiego jak prawda?

Zakwaterował się w hotelu Norfolk, gdzie czekała już na niego poczta. Poszedł za chłopcem niosącym jego torbę, przeglądał koperty i znalazł to, czego szukał. Na jednej, nadanej w Missouli w stanie Montana, widniało szerokie pismo Julii. Z jakiegoś powodu nie chciał otwierać tego listu natychmiast; najpierw rozebrał się i wszedł pod prysznic, aby zmyć z siebie brud śmierci.

Dopiero potem, suchy, uczesany, w świeżym ubraniu, zasiadł w fotelu przy oknie i zerkając na wieczorne niebo w tonacji różowopomarańczowej oraz rysujące się na jego tle palmy, otworzył list.

Dołączona była fotografia, na której rozradowany Ed siedział na szpitalnym łóżku, przygarniając do siebie Julię, a ona trzymała w rękach becik z różowym, pomarszczonym niemowlęciem.

Z listu dowiedział się, że dziewczynka urodziła się piątego lipca, ważyła siedem funtów pięć uncji. Po kłótni grożącej rozwodem zdecydowali się w końcu na imię Amy. Na drugie dostała Constance, gdyż było to najbliższe, jakie mogli znaleźć, imię żeńskie zbliżone do Connora. Julia miała nadzieję, że imiona mu się spodobają. Chcieli, by został ojcem chrzestnym, i dlatego z chrztem postanowili poczekać do następnego powrotu Connora.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Sześciocyfrowe zarobki i brawurowy styl życia Manhattanu nie zmieniły jakoś widocznie Lindy Rosner. Czarne ciuchy, które w różnych kombinacjach prezentowała matka chrzestna Amy przez cały weekend, utrzymane były w stylu Nowego Gotyku. Także prawnicze kwalifikacje w niewielkim stopniu poskromiły i jej język, wczoraj bowiem wystarczyło, by w kościele rzuciła okiem na Connora, a natychmiast teatralnym szeptem oświadczyła Julii, że dawno już nie widziała tak ładnego kawałka samca. Jedyna zmiana polegała na tym, że zamiast skrętów paliła gotowe papierosy: długie i cienkie. Teraz właśnie jeden zwieszał jej się z ust, podczas gdy ładowała naczynia do zmywarki. Po drugiej stronie kuchni Julia przygotowywała kawę.

Chrzest, z powodu którego Linda przyleciała w piątek, zamienił się w długi, dobiegający właśnie końca maraton weekendowy. Finał stanowiło niedzielne przyjęcie dla - jak to określił Ed - wszystkich rodziców i dziadków Amy, przy czym nacisk położył na „wszystkich”. Na tarasie przy stole, na którym stanęły świece w matowych kloszach, zasiedli Ed, jego rodzice, Connor, jego matka i matka Julii, Maria. Sądząc po gwarze, towarzystwo i absolutnie nie było znużone rozmową.

Ojciec Eda wprost przypiął się do matki Connora i przez cały wieczór wypytywał ją o złote dni rodeo. Susan Tully i matka Julii przez cały weekend nie odstępowały sobie nawet na krok, a ponieważ Linda była teraz z Julią w kuchni, więc Ed miał chyba wreszcie okazję porozmawiać na boku z Connorem. Amy spała na górze w kołysce.

- Nie ma żadnej dziewczyny? - upewniała się Linda.

Julia wzruszyła ramieniem.

- Ja w każdym razie nie wiem o żadnej.

- A czemu?

- Nie wiem, sama go spytaj. Powiedz, że jesteś do wzięcia.

- Niby i jestem, ale wiesz, te wszystkie podróże... Powiedzmy, konie. Czy potrafisz sobie wyobrazić mnie bliżej konia niż sto jardów?

- Nie bardzo. Sypiesz popiół do zmywarki.

- Ale przecież ona właśnie do tego jest, żeby zmywać różne rzeczy, prawda?

- Szklanki i kieliszki włóż na samym końcu, wtedy więcej wejdzie. Poza tym nigdy go tu nie ma. Jest w Afryce albo gdzie indziej.

- Powiedział, że może sobie kupić mieszkanie w Nowym Jorku.

- Tak powiedział?

- Mhm. Więc może nie będę musiała odgrywać Annie Oakley. Mogłabym być jego miejską panienką albo kimś takim.

- Panienką?

- Albo kimś takim.

- Nie umyją się, jak je tak ułożysz. Poczekaj, daj mi. On może tam słyszeć każde twoje słowo.

- To i dobrze. Szybciej można przejść do rzeczy.

Linda oparła się o ścianę, na przemian pociągając papierosa i upijając wina, podczas gdy Julia porządkowała zmywarę.

- W każdym razie - ciągnęła głosem odrobinę przyciszonym - zafundowałam sobie całkiem niezłe geny.

Julia popatrzyła na nią. Kiedy Linda była na takich falach, nigdy nie było wiadomo, dokąd to doprowadzi.

- Tylko wiesz, na twoim miejscu nie bawiłabym się z żadną kliniką, ale przyjąłabym te geny normalnie, po bożemu.

- Linda, uspokój się.

Podniosła rękę.

- Dobrze już, dobrze. Przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło.

- Naprawdę!

Zapanowała cisza. Z ekspresu z gulgotem utoczyła się ostatnia porcja kawy, a Julia postawiła dzbanek na tacy między filiżankami.

- Ale powiedz tak uczciwie, czy nigdy o tym nie myślałaś?

- Lindaaa!!!

- Jestem już cicho.

Julia się zaczerwieniła i była pewna, że Linda to zauważyła. Zakłęta w duchu, że można w niej czytać niczym w książce. Jakby spiesząc matce z pomocą, zapłakała Amy. Julia kazała Lindzie zanieść tacę na taras, a sama pobiegła na górę.

Amy miała wprawdzie swój pokój, ale na weekend została przeniesiona do rodziców. Linda zajęła sypialnię Amy, Connor spał w gościnnym. Inni goście zatrzymali się w „Czerwonym Lwie”, z wyjątkiem matki Connora, która musiała wrócić na swoje ranczo. Ledwie Julia stanęła w progu pokoju, w ustawionej w kącie kołyszce umilkł płacz, a na twarzy dziewczynki pojawił się uśmiech.

- Tak, taka jesteś towarzyska?

Wzięła córkę w objęcia, wdychając jej cudowny, mleczny zapach. Podeszła do okna i z góry spojrzała na taras, gdzie Linda rozlewała kawę i wszyscy zajęci byli rozmową. Jim Tully

niezmiennie indagował panią Ford, a Susan nadal pogrążona była w rozmowie z matką Julii. Connor przesiadł się na miejsce Lindy, aby znaleźć się tuż przy Edzie, który siedział u szczytu stołu i kończył opowiadać jakąś historię, a w jego czarnych okularach odbijał się migotliwy odbłask świateł.

Nie docierały tutaj do niej żadne słowa i nagle przyłapała się na tym, że wpatruje się w Connora. Miał rok, odkąd widzieli się po raz ostatni. Zmienił się - był bardzo opalony, a krótsze nawet niż zwykle włosy niemal wyblakły od słońca. Ale chodziło o coś więcej jeszcze. Wydawał się starszy, a może po prostu był bardziej poważny, jakby posmutniały. Zmarszczki wokół oczu pogłębiły się, a Julia zastanawiała się, czy to tylko dlatego, że w afrykańskim słońcu mocniej trzeba było mrużyć powieki, czy z jakiegoś innego powodu.

Jakby słysząc jej myśli, nagle podniósł wzrok, a chociaż sądziła, że nie widać jej za szybą, jednak ją rozpoznał i uśmiechnął się. Zobaczyła to tylko ona i przez chwilę było tak, jakby się znaleźli sam na sam, tylko we dwoje. Odpowiedziała uśmiechem i - nie po raz pierwszy podczas tego weekendu - zadrgało w niej coś, co natychmiast stłumiła. Usiadła na łóżku, podała Amy pierś i dopiero ten bezpośredni, intymny kontakt przywrócił jej spokój.

Linda znowu porwała Connora i wypytywała o pracę, a po samym tonie głosu Ed bez trudu potrafił wyobrazić sobie jej twarz. Nachylona, zaszuchana, wielkie szare oczy wlepione w Connora: „Naprawdę? Niemożliwe? I byłeś tam?! Nie uwierzę!!! Ależ to musiało być niebezpieczne!”

Wstając, żeby poszukać Julii, Ed nie mógł się powstrzymać od słów:

- Linda, ty w college'u trochę pozowałaś, prawda? A może Connor zrobiłby ci parę aktów?

- Edwardzie! - zawołała z drugiego końca stołu matka. - Jesteś okropny!

- Ale przynajmniej się z tym nie kryję. Czy się zaczerwieniła chociaż?

- Mówiąc prawdę, tak - oznajmiła Linda.

- Zawsze kiedyś jest pierwszy raz - zauważył Ed. Wszedł do domu, a na zawołanie Julia odpowiedziała z góry.

Znalazł ją w sypialni, kiedy na próżno usiłowała uspokoić Amy.

- Nakarmiłaś ją?

- Tak, ale się rozbudziła i nie chce zostać sama.

- To weź ją na dół.

- Naprawdę tak myślisz?

- Pewnie, w końcu to na jej cześć.

Na dole Ed przejął od Julii córkę i wyniósł ją na taras. Zachwytem nie było końca, każdy chciał ją potrzymać w ramionach, aż wreszcie Ed powiedział, że trzeba będzie pomyśleć o sprzedaży biletów. Przyłożył ucho do jej twarzy, jakby nasłuchiwał.

- Tak? Dobrze, ty tu rządzisz. Wiecie, do kogo chce iść? Zanucił motyw z Ojca chrzestnego i podał dziecko Connorowi.

- Widocznie nie może się oprzeć mojemu czarowi.

Ed poklepał Connora po głowie, odrobinę za mocno jak na przyjacielską pieśczętę.

- I uważaj, bo jakby coś się stało, to spędzisz noc z rybami. Dowcip nie zabrzmiał najlepiej, a i ton głosu Eda był dziwnie agresywny. Odszukał swoje krzesło, ale nie znalazł na miejscu lampki wina.

- Ej, gdzie mój kieliszek?

Nikt jednak nie słuchał go. Nie lubił wprawdzie zaprzętać uwagi innych swoją osobą, gdy chodziło o takie drobiazgi, ale teraz był niezadowolony. Może to z powodu dobrych kilku porcji wina, jakie zdążył już wypić, ktoś celowo odsunął kieliszek, aby go trochę przyhamować. To byłoby podobne do matki. Zapytał głośniejszym głosem i tym razem usłyszała go gaworząca z Amy Linda. Przeprosiła, że to ona przesunęła kieliszek, dopełniła go więc i podała mu, zaraz potem wracając do rozmowy z Amy i Connorem.

Mówili wszyscy, ale nikt do niego. Ed nagle poczuł się osamotniony i zagubiony. Wiedział, że to idiotyczne - zebrani dobrze się bawili, a on nie powinien psuć im nastroju swoimi fanaberiami. Rozsiadł się i dwoma łykami opróżnił kieliszek.

Po prawej miał Linde, z pewnością obróconą do niego plecami, po lewej Marię, która właśnie opowiadała jego matce o ostatnich wakacjach na Arubie i okropnym tamtejszym jedzeniu. Przepadał za nią. Sprawozdawca sportowy nie był w stanie wypowiedzieć tylu słów na minutę, ile ona, kiedy się rozkręciła.

- Nic, tylko hamburgery. Same hamburgery - trajkotała. - Cola i hamburgery.

- To trzeba było sobie darować colę. Same hamburgery są OK - powiedział Ed.

Ale Maria jakby go nie słyszała, podobnie jak cała reszta. Albo może uważali, że żart jest tak marny, iż lepiej udawać, że go nie było. A, niech to diabli! Ed poszukał butelki wina, napełnił sobie kieliszek i wychylił go duszkiem.

Nagle poczuł, że od tyłu obejmuje go Julia i ociera się policzkiem o jego twarz. Po chwili go pocałowała i po cichu spytała, czy wszystko w porządku.

- U mnie? Tak? A czemu pytasz?

- Nic, tak tylko.

- Wyglądam jakoś nie w porządku?

- Nie, wyglądasz świetnie.

- To czemu pytasz?

- Przepraszam, już nie będę.

Wyprostowała się, a słysząc odgłos jej oddalających się kroków, natychmiast pożałował, że był taki niemły. Posłyszał Connora pieszczotliwie mówiącego coś do Amy i - znowu nie mógł nad tym zapanować - poczuł... Właśnie, co? Gniew? Niezupełnie. Bardziej jakby... Na Boga Wszchemogącego, co też się z nim działo?!

Zazdrość.

Nie było co się okłamywać. Czuł się zazdrosny. Tak było przez cały weekend, ilekroć Connor zbliżał się do Amy. Oburzeniem napełniał go fakt, że Connor może ją widzieć. I że może widzieć Julię. Wiedział, że to absurdalne, ale co mógł poradzić na to, że czuł się jakoś wykluczony, miał wrażenie, że Connor otrzymuje więcej niż on. Chociażby teraz - bez trudu mógł sobie wyobrazić Connora z Amy w objęciach, a także spojrzenia innych, którzy widzieli w nim prawdziwego ojca. A potem spoglądali na Eda upijającego się u końca stołu i myśleli: „Cóż za szkoda, że sam nie mógł tego zrobić, ale czy to jednak nie wzruszająca historia?” Był na siebie wściekły, ale tak właśnie się czuł.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że Maria coś do niego mówi.

- To jak, Ed? Najwyraźniej powtarzała pytanie.

- Co jak?

Natychmiast zawstydził się grubiańskości swego głosu.

- Myślisz, że Amy jest podobna do Julii?

Nastąpił moment straszliwej ciszy. Ed łatwo mógł sobie wyobrazić, jak wszyscy się w niego wpatrują, ze strachem czekając, jak zareaguje. Jaki perfekcyjny podwójny strzał: jednocześnie w ślepotę i bezpłodność. Biedaczka pewnie teraz musiała cała stanąć w pąsach. Wybuchnął śmiechem.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Wcale nie chciałam...

Odnalazł jej dłoń i uściśnął, nadal zanosząc się śmiechem.

- Ja tylko... - bezradnie plątała się Maria.

- Nic się nie stało, naprawdę.

- Czasami walnę taką głupotę...

- Nie, daj spokój. Jesteś cudowna. I kocham cię. Przechylił się i pocałował ją. Odniósł wrażenie, że zaczęła płakać, więc objął ją ramionami i mocno przytulił.

- Daj spokój. W porządku. Ja wiem, że ona wygląda jak Julia. Ma taki sam maleńki brzuszek.

Rozległy się pełne ulgi śmiechy.

- Bardzo się cieszę, że nie jest podobna do tego sukinsyna, na którego kolanach siedzi.

- Hola, hola - powiedziała matka Connora. - Jakiego syna?

- Syna najwspanialszej kobiety na świecie, czy powiedziałem coś innego?

- No, teraz zabrzmiało to znacznie lepiej.

Znowu wszyscy się zaśmiali i po chwili na nowo nawiązała się wielowątkowa konwersacja. Potem Amy zaczęła płakać i Connor oddał ją Julii, w której objęciach - jak zwykle - natychmiast się uspokoiła. Po dwóch następnych kieliszkach wina (i trzecim rozlanym na stół) Ed przestał się rozczulać nad sobą, choć podświadomie czuł, że dobry nastrój tego wieczoru już nigdy w pełni nie powróci.

Nie bardzo wiedział, jak znalazł się w sypialni, pamiętał jednak, jak Julia go rozbiera i układa w łóżku. Poprawiła mu poduszkę, a gdy się pochylała, poczuł na twarzy dotknięcie tych jej cudownych piersi. Chociaż spróbował je ucałować, to jednak był zbyt zmęczony i pijany na cokolwiek więcej. Pocałowała go jeszcze w czoło, powiedziała dobranoc i zapewniła o swej miłości, a chwilę później sen wziął go w swoje posiadanie.

Connor nie miał pojęcia, jak długo leżał bezsenne, ale z pewnością musiało to trwać parę godzin. W takich sytuacjach nie lubił spoglądać na zegarek, wtedy bowiem nieświadomie zaczynało się odliczać minuty, kwadranse, godziny, a noc rozpadała się na kawałki. Jeszcze kilka lat temu w ogóle nie wiedział, co to bezsenność. Kiedy inni o niej opowiadali, przypuszczał, że wyolbrzymiają, a chodzi im po prostu o to, że nie zasypiają wraz z przyłożeniem głowy do poduszki. Teraz jednak poznał ją aż za dobrze. Nie było może tak, by leżał całą noc z otwartymi oczyma, ale nie było też tak, by całą noc spał smacznie i zdrowo.

Kiedy wszyscy już się rozeszli i rozjechali, pomógł Julii podnieść uśpionego Eda i odholować go na górę do sypialni. Potem doprowadzili do porządku kuchnię, podczas gdy Linda siedziała na stole i starała się ich zabawić najlepiej, jak potrafiła. Wszyscy byli już jednak zmęczeni i wkrótce rozeszli się do swoich pokojów.

Jeszcze jakiś czas temu słyszał kwilenie Amy, teraz jednak w całym domu zapadła cisza, a on leżał z rękami podłożonymi pod głowę i patrzył, jak wychodzący zza rogu księżyc napełnia światłem zasłony. Przez cały czas odczuwał tępy ból w piersi, a chociaż bardzo starał się nie zwracać na niego uwagi ani nie myśleć, co to może być, przypominało to doskwierający ból zęba, którego uparcie się dotyka.

Przebiegł w pamięci cały tydzień i nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak pogodne wydarzenie pozostawiało po sobie tak marny nastrój. Być może nieświadomie unikał odpowiedzi, ta bowiem zepsułaby mu humor jeszcze bardziej. Tak czy owak wiedział, że coś radykalnie i bezpowrotnie zmieniło się w układzie między nimi trojgiem.

Bardzo mocno odczuwał to w kontaktach z Edem. Przez cały weekend nie udało im się odbyć szczerzej, przyjacielskiej rozmowy, a kiedy zamieniali nawet parę słów, zawsze było w tym

coś wymuszonego. Przyczyną była, oczywiście, Amy. Przed przyjazdem próbował przygotować się na moment, gdy po raz pierwszy ją zobaczy, ale pierwsze wrażenie przerosło wszelkie przygotowania. Jego ciało i jego krew, złączone z ciałem i krwią Julii - żywe, oddychające, gaworzące w kołysce. Dopiero teraz niczym granat eksplodowała myśl, że ani córka, ani matka nigdy nie będą naprawdę jego. Jakimż trzeba być głupcem, żeby się na coś takiego zdecydować? Z drugiej strony, kiedy spoglądał na dziewczynkę, natychmiast pojawiała się inna myśl - jak można się było nie zdecydować! Jakie ofiary były zbyt wielkie, kiedy chodziło o zaistnienie tak cudownej istoty?

Aż do dzisiejszego wieczoru trzymał ją w ramionach tylko dwukrotnie, za każdym razem bardzo krótko, ale i tak widział, że Ed odczuwa jakiś niepokój czy niechęć. Dlatego był zdziwiony, gdy dziś po kolacji sam podał mu Amy. Wyglądało to prawie jak wyzwanie - na oczach wszystkich Ed dowodnie pokazuje, że nie ma nic przeciwko kontaktom Connora i Amy, zarazem jednak przestrzega przyjaciela, by nie przesadzał. Może nie chciał aż tak mocno poklepać go po głowie. Kto wie, czy przy ślepotcie łatwo jest to wyczuć. Tak czy owak, Connor odebrał to jako ostrzeżenie.

Powtarzał sobie, że można się było spodziewać, że na początku sprawy nie będą się układać najłatwiej. Do licha, ostatecznie dla wszystkich było to trudne. On sam niezbyt dobrze potrafił się rozeznaczyć w swoich uczuciach. Pojawienie się Amy spowodowało w nich znaczny zamęt, który zwiększał jeszcze obraz przytulającej ją Julii. Była piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Pojawił się w niej nowy rodzaj prawdziwego spełnienia. Włosy nadal nosiła krótkie, a jej skóra wyglądała jak pociągnięta złocistym kremem.

Kiedy wczoraj wieczorem wszedł do salonu, zastał ją z jedną piersią obnażoną, gdyż karmiła właśnie Amy. Ten widok niemal powalił go. Julia uśmiechnęła się i wcale nie wyglądała na zakłopotaną, więc pozdrowił ją, udając, że szuka szklanki. Potem szybko przemknął do kuchni i pośpiesznie się wycofał.

Nawet gdy przy stole na tarasie trzymał dziewczynkę na kolanach, usiłował przekonać sam siebie, że w żaden sposób nie jest jego, że to córka Eda i Julii, a jego wkład genów był tylko przyjacielską przysługą, niczym bardziej znaczącym od prezentów, jakie przywiózł z Afryki: naszyjników dla Julii i Amy oraz bębenków dla Eda.

Musiał jednak poważnie liczyć się z tym, że cała ta sytuacja to jakiś straszliwy błąd. Może za nic nie powinien się zgadzać na ich prośbę, może jego decyzja była wyrokiem śmierci na ich przyjaźń. Ilekroć nachodziła go taka myśl, spoglądał na Amy, na otaczające ją szczęście, i zaczynał besztać siebie za sobkostwo. Trzeba tylko poczekać, aż upłynie trochę czasu, aż wszystko się ułoży, a potem będzie już dobrze i normalnie.

Na przekór własnej zasadzie spojrzął na zegarek. Trzecia, a on ciągle jest w pełni

przytomny. Wstał z łóżka, podszedł do okna i odrobinę rozsunął zasłony. Przed sobą miał ogród. W świetle księżycy drzewa, liście i trawa wydawały się zrobione z cyny. Może powinien po prostu wyjść i zaczerpnąć trochę powietrza. Naciągnął dzinsy i Tshirt, a potem cicho otworzył drzwi sypialni. Słyszał, jak po drugiej stronie korytarza głośno chrapie Ed, poza tym jednak w całym domu panowała cisza. Boso zszedł na dół.

Zobaczył ją, przechodząc przez salon. Siedziała na stopniach tarasu i paliła papierosa. Miała na sobie białą koszulę nocną, patrzyła w kierunku rzeki, a w nieruchomym powietrzu dym leniwie kłębił się w powietrzu. Usłyszała, jak staje na progu, i odwróciła się.

- A to pech - powiedziała półgłosem. - Mój pierwszy papieros od dziesięciu lat, a i tak zostałam przyłapana.

- Możesz być pewna, że nikomu nie powiem.

- Podkrađłam jednego Lindzie.

- Nie dość, że palaczka, to jeszcze złodziejka.

- Smakuje obrzydliwie. To śmieszne, że właściwie zawsze bardziej mi się podobała sama idea niż jej realizacja. Ty kiedyś paliłeś?

- Nie żeby się uzależnić.

Zduśiła papierosa. Spytał, czy może się przysiąść. Wyraziła zgodę, więc zajął miejsce obok niej.

- Amy cię obudziła? - spytała.

- Nie.

- Nie mogę się doczekać, aż zacznę już spać spokojnie. Nie jestem stworzona do wstawania w nocy trzy razy. Potem przez cały dzień snuję się jak lunatyk.

- Wyglądasz znakomicie.

- Chciałabym. Czuję się gruba i ociężała.

Chciał jej powiedzieć, jak cudownie jest na nią patrzeć, ot, chociażby w tej chwili, ale nie dowierzał swemu głosowi, siedzieli więc w milczeniu wpatrzeni w totemicznego orła odcinającego się od szarzejącego nieba.

- Przepraszam za Eda - odezwała się.

- Co tam, wypił o jeden kieliszek za dużo i tyle.

- Wiesz, o co mi chodzi. Wszystko okazało się trudniejsze, niż przypuszczała.

- Pełno ludzi w domu, zamęt...

- Connor, dobrze wiesz, co chcę powiedzieć. Po raz pierwszy jesteś w pobliżu Amy i... sam rozumiesz.

Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, mruknął więc po prostu:

- Jest taka piękna.
- Oczywiście, że tak.
- I Ed tak wspaniale się do niej odnosi. Jest cudownym ojcem.
- Masz rację.

Znowu umilkli. Julia wpatrywała się w swoje białe stopy.

- Och, Boże - westchnęła, a potem nagle podniosła się i wyrzuciła ręce do góry. - Zejdiesz ze mną do rzeki?

- Jasne.

Poszli jedno obok drugiego po wilgotnej trawie, najpierw kawałek prosto, a potem w dół, na brzeg. Tam, gdzie ścieżka się zwężała, Julia szła przodem, a Connor patrzył na jej szyję ciemniejącą nad białą koszulą nocną, w której widział też cień jej ciała. Tam, gdzie rozmawiali z Edem rok temu, stała teraz drewniana ławka. Siedli na jej krańcach i milcząc, patrzyli w rzekę.

- A jak ty się z tym czujesz? - spytała w końcu.
- Z Amy?
- Tak.

Co miał powiedzieć? Że mało mu serce nie pęknie? Że czasami marzył, by nigdy nie zobaczył na oczach Julii, byłby bowiem teraz pełnokrwistym człowiekiem, a nie tylko widmem podobnym do namalowanej kredą na chodniku sylwetki?

- Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz - szepnęła.

- Jestem szczęśliwy, że tak się wam obojgu ułożyło. Czuł, że długo mu się przygląda, ale nadal patrzył przed siebie.

- Ale?
- Żadnych ale. Tyle i już.
- Connor, marny z ciebie łgarz.

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Na chwilę pochwycił jej spojrzenie, zaraz jednak znowu się odwrócił.

- Myślałam właśnie o tym, jak się zobaczyliśmy pierwszy raz. Pamiętasz? Wyjechałeś po nas na lotnisko.

- Pamiętam.

- A wiesz, że dla mnie to jakoś dziwnie nie było poznanie ciebie, ale raczej spotkanie na nowo. Jak bym cię już kiedyś znała.

- Ja poczułem to samo.

- Niektórzy ludzie, na przykład twoja matka, mówią: „Tak miało być”, jakby coś było zapisane w gwiazdach czy gdzieś. Ty w to wierzysz?

. - Sam nie wiem. Przedtem nigdy tak nie myślałem, ale teraz...

- A ze mną odwrotnie. Kiedyś tak uważałam, że dzieje się to, co musi się dzieć. A teraz nie wiem. - Przez chwilę wpatrywała się w drugi brzeg rzeki. - Pamiętam, jak kiedyś Skye powiedziała, że wszystkie ważne rzeczy zdarzają się w życiu przez przypadek, a ja się sprzeciwiałam, że nie, że moim zdaniem wszystko jest jakoś zaplanowane i tylko ten plan stopniowo się przed nami odsłania. Teraz bym tak nie powiedziała, a w każdym razie nie z taką pewnością siebie.

- Więc sądzisz, że miała rację?

- Nie. Owszem, działa przypadek, ale potem sami dokonujemy wyborów.

Connor milczał.

- A teraz ty dochodzisz do wniosku, że jednak jest jakiś plan?

- Nie, to ty masz rację. Stajemy przed wyborami. Choć tych najważniejszych czasami nie my dokonujemy.

- Ty ostatnio podjąłeś kilka wielkich. Spójrz na Amy. Spójrz na twoją karierę fotograficzną. Byłeś w tylu niebezpiecznych miejscach, tak często ryzykowałeś życie... Ciągłe sam o sobie decydujesz.

Zachichotał.

- A co w tym śmiesznego?

- Sam nie wiem.

- Connor, powiedz, już ci mówiłam, że kłamać nie umiesz.

- Ja to po prostu widzę zupełnie inaczej. Robię to, co robię, gdyż ktoś inny podjął za mnie decyzję.

Zmarszczyła brwi.

- Kto? Jaką?

Uśmiechnął się, pokręcił głową i zapatrzył się w dal. I tak za dużo już powiedział.

- Nie, nie, Connor. Teraz tego już tak nie zostawimy. Kto podjął i jaką decyzję?

Popatrzył jej w oczy. Ze zmarszczonymi brwiami czekała na odpowiedź. A ponieważ w głębi duszy był przekonany, że widzą się po raz ostatni, pozwolił, bo to zostało powiedziane.

- Ty - powiedział zwyczajnie. - Wybrałaś Eda. Patrzyła na niego w milczeniu i widział, jak jej twarz napęcza się bólem wraz z tym, jak dociera do niej sens jego słów.

- Ja... - szepnęła. - Nigdy nie przypuszczałam...

- Powinnaś.

- Ani przez chwilę.

- Więc jednak lepszy ze mnie łgarz, niż obydwójce przypuszczaliśmy.

- Connor!!!

Uśmiechnął się markotnie i czekał, gdyż jeśli i ona czuła coś do niego, teraz była jedyna okazja, by to powiedzieć. Julia jednak tylko siedziała wpatrzona w niego i kręciła głową, jak gdyby zdarzyło się coś nieprawdopodobnego.

- Pokochałem cię od pierwszej chwili - powiedział.

- Nie. Nie mów już więcej.

- Przepraszam. Nigdy nie powinienem był tego mówić. Obiecuję, że nigdy więcej tego nie zrobię. Ale tak właśnie jest. No i poza tym nielichy ze mnie szczęściarz. Jestem częścią Amy, a ona jest częścią ciebie. I cokolwiek stanie się ze mną, ona stale będzie mieć ciebie.

Nie spuszczał z niego wzroku, mocno przycisnęła koniuszki palców do skroni. Ujrzał, jak drżą jej wargi.

- Connor, Connor! O Boże!!!

Przymknęła oczy i zaczęła łkać, a był to dźwięk tak głęboki i dojmujący, że zdawało się, iż nie z niej się wydobywa, lecz gdzieś z podziemnych światów zadawnionych smutków. I tak z zamkniętymi oczyma powoli otworzyła ramiona, on zaś przesunął się, przytulił ją, poczuł jej głowę i łzy na swojej piersi, i własne łzy spływające po policzkach. Julia podniosła twarz, pocałowała Connora, powiedziała, że także go kocha i zawsze kochała, znowu go pocałowała i zaczęła scałowywać jego łzy, a on odpowiedział tym samym.

Nie wiedział, jak długo to trwało. Pełen był jednak przekonania, że są to jedyne cudowne momenty bycia z Julią, jakie są mu przeznaczone, i musi je chłonąć całym sobą. A potem aż do końca życia trzymać je w skarbnicy pamięci.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Amy Constance Tully była prawdziwym aniołem, na dowód czego miała nawet skrzydła. Jedno było nieco oklapłe, a obydwie kiepsko pasowały do czarnego T - shirta Yankees, który babcia przysłała jej na urodziny. Mówiąc prawdę, kiedy tak stała na kuchennym stole, podrygując i przytupując, niewiele miała w sobie świątobliwości.

- Amy, uspokoisz się na chwilę? - mruknęła Julia przez wargi, w których ścisnęła szpilki.

- Wygląda wstrętnie!

- Wcale nie, wygląda bardzo dobrze. A przynajmniej będzie wyglądać, kiedy staniesz spokojnie i pozwolisz mi skończyć.

- Nie włożę tego!

- Masz być aniołem, a tak wyglądają anioły. Kochanie, proszę. Wytrzymaj jeszcze trochę. Tu są szpilki i zaraz któraś z nich cię ukłuje.

- Nie będę tego nosić!

- To ja będę.

Julia usiłowała podpiąć kraj srebrnej spódniczki, która zniechęca przestała się podobać Amy. Jako córka kompozytora i muzycznego realizatora spektaklu bożonarodzeniowego mogła w nim wziąć udział - chociaż nie w żadnej z czołowych ról, które obsadzone zostały przez gwiazdy z klasy czwartej i piątej. Sześć tygodni temu stanowczo oświadczyła, że chce być aniołem. Nie duszkiem, nie elfem, nie orkiem (Julia nie miała pojęcia, co w przedstawieniu mają robić orkowie) - lecz właśnie aniołem.

Ponieważ szkoła była wieloetniczna i politycznie poprawna, więc nie mogło być mowy o jakimś unoszącym się nad Jezusem w żłóbku aniołku podobnym do tego, jakim kiedyś była w szkole Julia. Nie, cały spektakl - jak to ujął Ed na jesieni, przedstawiając pani Leitner zarys idei - miał być raczej panteistyczny i stanowić „duchową celebrację natury i jej niezliczonych cudów”. W cztery oczy wyznał Julii, że będzie to czysta propaganda eko - anarchistyczna. Dlatego też i anioły były nie tyle stróżami, ile mścicielami, a chociaż Ed miał pewne wątpliwości co do uzbrojenia ich w uzi, na koniec przedstawienia likwidowały siedmiu bardzo złych drwali i wrednego Mister Gloopa. I stąd pewnie brało się obecne niezadowolenie Amy, gdyż owa siedmiolatka, która bardzo chciałaby być siedemnastolatka, swój strój uważała za nazbyt przylizany.

- A o co chodzi tym razem? - zawołał z sąsiedniego pokoju Ed, który dokonywał jeszcze pewnych przeróbek w finale. - Nie podoba ci się strój?

- Do kitu!

- Amy! Masz tak nie mówić - ofuknęła ją Julia.
- Kevin Lucas mówi tak na okrągło.
- Ale ty nie jesteś Kevinem Lucasem. Ed, może byś z nią porozmawiał?
- Co ci się konkretnie nie podoba, kochanie?
- Głupio wygląda.
- To niczego nie tłumaczy. Wyjaśnij dokładnie.
- Jest głupi i... lamusowaty.
- Lamusowaty?
- Wyglądam w tym jak Barbie - prychnęła. Amy nigdy nie przepadała za lalkami, a jedyna Barbie, jaką miała, natychmiast została pozbawiona głowy.

- Jakiego koloru jest spódniczka? - cierpliwie dopytywał się Ed.

- Cała biała i srebrna, i głupia!

Mówiąc to, miała w rękach inkryminowany strój.

- Nareszcie koniec! - warknęła Julia, wyjęła szpilki z ust, odłożyła je do pudełka, postawiła Amy na podłodze, a potem bezceremonialnie zdjęła z niej skrzydła i spódniczkę.

- Miałem nadzieję, że będzie trochę ciemniejsza, wiesz, jak spiz albo stal.

- Właśnie - powiedziała Amy, która zdążyła już przycupnąć przy ojcu, obejmując go za łydkę.

- I tak ma być. Powtarzałam jej dziesięć razy: najpierw dopasujemy, potem spryskamy sprayem. Nie mówiłam? O Jezu!

- Dobrze już, dobrze, przepraszam - powiedział Ed, unosząc dłonie w obronnym geście.

- Nie powinnaś mówić: „O Jezu” - upomniała matkę Amy.

- Dlaczego? Przecież Kevin Lucas mówi tak na okrągło. Kiedy godzinę później Amy wylądowała w łóżku, wyglądała jak najprawdziwszy aniołek. Miała zaróżowione po kąpielii policzki, a starannie rozczesane blond włosy układały się w loki. Cerę miała bez wątpienia po Connorze, ale wszyscy zachodzili w głowę, skąd wzięły się loki. Ed dowcipkował, że w poprzednim życiu musiała być szczotką kominową. Oczy miała jak Julia ciemnobrązowe, a także podobną skórę o oliwkowym odcieniu. W absolutnie obiektywnej opinii matki była najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek pojawiło się na planecie. Kiedy jednak od czasu do czasu pytano ją, do kogo z rodziców - pod względem charakteru - najbardziej podobna jest Amy, bez wahania odpowiadała, że do Eda.

Mała była zabawną chwalipiętą, sprytną i śmiałą, niekiedy aż za bardzo. Zupełnie jak Ed, potrafiła z odległości kilkunastu metrów - zajęta na pozór czym innym - wtrącić się z celną ripostą, co w szkole stawało się niekiedy źródłem kłopotów, szczególnie jeśli przedmiotem drwiny był

któryś z ociężałych chłopaków, którzy odgryzać się potrafili tylko w czysto fizyczny sposób.

No i muzyka. Julia nie potrafiła nawet czytać nut, Connor miał taki słuch, jakby mu słoń nadepnął na ucho, Amy tymczasem okazała się bardzo muzykalna. Od Eda przejęła zwyczaj podśpiewywania sobie przy najróżniejszych zajęciach i wszystko wskazywało na to, że będzie miała znakomity głos. Jeszcze nie wyzbyła się pieluch, kiedy Ed brał ją na kolana i zasiadali razem do fortepianu, na którym już teraz grała lepiej niż większość jego uczniów po dwóch, trzech latach nauki.

Podczas dłuższych wypraw samochodowych doprowadzali Julię do szału, przez cały czas nucąc fragmenty z Księgi dżungli, Czarownika z Oz czy, co gorsza, z jakichś ulubionych przez Eda dawnych musicali: Kiss Me, Kate albo Oliver!, ona zaś błagała zza kierownicy, żeby przestali, domagała się zatyczek do uszu, ale najczęściej wszystko kończyło się obietnicami smakołyków, jakie im przygotuje, jeśli zamilkną. Ed lubił żartować, że jego geny znalazły sobie jakiś sposób, żeby dotrzeć do Amy, jeśli zaś nie, to dziewczynka stanowiła dowodny przykład triumfu kultury nad naturą.

Julia leżała razem z Amy na łóżku w jej pokoju. Bałagan był tu okropny. Tapeta z motywem zwierzęcym wszędzie była pokryta rysunkami i malunkami Amy; z kołków w ścianach zwieszały się zdjęcia rodzinne, a także niezliczone koraliki, naszyjniki i wstążeczki. Mnóstwo było tu różnych szkiełek, glinianych figurek, wazoników z piórami zniesionymi z wycieczek, książki w nieładzie zapełniały półki i walały się po podłodze między porzuconymi zabawkami i częściami odzieży. Galimatias stanowił prawdziwe wyzwanie dla Eda, jednak i on, i Julia mieli już dość nieustannego karcenia i sami sobie tłumaczyli, że to przejaw charakteru Amy i ostatecznie lepsze to, niż żeby była nudną porządnisią. Ed przyzwyczał się poruszać po pokoju Amy niczym saper po polu minowym. Lampka nocna, prezent od matki Julii, miała kształt wielkiej gęsi i rzucała miękkie, uspokajające światło.

Czytały teraz przy niej ulubioną książkę Amy - The Butter Battle Book Dr. Seussa. Znowu zapanowała między nimi przyjaźń, w dużej mierze z tego powodu, że kiedy Amy udała się na górę do kąpieli, Julia wydobyła puszkę farby w sprayu, która sukience i skrzydłom nadała tak odjazdowy ołowiany kolor, że nawet Linda ze swymi neogotyckimi sympatiami byłaby nim zachwycona. Na ich widok siedząca w wannie Amy uśmiechnęła się skruszona.

- Przepraszam, mamó. Kocham cię.

- Za jakieś dwadzieścia lat ci przebaczę.

Czytanie było domeną Julii. Amy najczęściej czytała Edowi, z wielką starannością opisując każdy obrazek. Niekiedy czytała też Julii, ale szczególnie przy tej książce wołała słuchać. Uwielbiała, kiedy Julia zmieniała głosy, podszywając się pod Zooków i Yooków w trakcie coraz

bardziej zajadłego sporu, czy chleb należy jeść posmarowaną stroną do dołu czy do góry.

Julię ciekawiło, że właśnie ta książka Dr. Seussa stała się faworytką Amy, chociaż wcale nie należała do jego najśmieszniejszych utworów. Wprost przeciwnie, była najbardziej zatrważająca, pokazywała bowiem, jak małe nieporozumienie prowadzi do niemal apokaliptycznych konsekwencji. I jednej, i drugiej kojarzyło się to z Connorem.

Kiedy kupiła tę książkę przed dwoma laty, wywołała długą rozmowę na temat wojny i powodów, dla których ludzie czasami się nienawidzą i gotowi są zabijać się nawzajem. Julia zapewniła Amy, że dzisiaj można się już nie bać tak wielkiej wojny jak ta opisana w książce, dodała jednak, że małe wojny toczą się nieustannie w różnych częściach świata. Dodała, że jej biologiczny ojciec („biotata” na szczęście się nie przyjął) często wyjeżdża w takie okolice i robi zdjęcia.

- Jak ludzie się biją?

- Tak.

- Jak strzelają do siebie?

- Czasami i takie.

- A do niego też?

- Nie, kochanie. Nie jest żołnierzem, lecz fotografem, ale musi uważać.

- To on jest bardzo odważny, prawda?

- Tak.

- Jak wtedy, kiedy uratował ci życie.

- Masz rację.

Kiedy Amy była jeszcze niemowlęciem, Julia i Ed całymi wieczorami zastanawiali się, kiedy powiedzieć córce o różnych rzeczach. O tym, że ma dwóch ojców, chcieli ją poinformować na samym początku, zanim zacznie się nad tym zastanawiać i zauważy coś dziwnego. Ale z pożarem nie mieli już takiej pewności. Uznali, że może to być dla niej zbyt przerażająca historia, więc lepiej poczekać do czasu, gdy będzie miała, powiedzmy, dwanaście lat. Była to jedna z tych solennych decyzji, jakie rodzice podejmują zawczasu, podobna do takich na przykład postanowień, że nigdy nie będą przekupywać dzieci słodyczami ani mówić im, aby się zamknęły.

I oczywiście wszystko poszło na opak. Mając cztery i pół roku, Amy zapytała Eda, jak stracił wzrok, i rozwinęła się historia, chociaż może w nieco ocenzurowanej wersji. Okazało się, że Amy wcale się nie wystraszyła, a wprost przeciwnie - była dumna ze swych rodziców, a zwłaszcza z obu swych bohaterkich ojców, którzy sfrunęli z nieba, żeby ratować biedną mamę.

Any nie rozpytywała się potem wiele o Connora. Pamięć słabnie, kiedy karmi ją tylko fotografie, opowieści i nieregularnie nadchodzące kartki oraz prezenty z egzotycznych podróży. Po

chrzcie nigdy się już jednak nie zjawił, aby ją zobaczyć. Amy nigdy to nie martwiło ani nie gniewało, najpewniej - jak przypuszczała Julia - dlatego, że z jej punktu widzenia zawsze tak było. Dla niej Connor był zawsze tylko jakby intrygującą postacią ze starego filmu i to - jak większość zdjęć - czarno - białego. Czasami, kiedy zorientowała się, że któreś zdjęcie w gazecie jest Connora, zaczynała indagować, a Julia i Ed cierpliwie odpowiadali, starając się nigdy nie ujawnić, jak czują się dotknięci.

Pośród fotografii przyszpilonych do ściany pokoju Amy było też kilka z Connorem, a na jednej, zrobionej podczas chrztu przez Julię, byli nawet obydwój: on uśmiechnięty wpatrywał się w trzymanego w ramionach pyzatego cherubinka, córka zaś, już wtedy gwiazda, patrzyła prosto w obiektyw.

Przez pewien czas utrzymywali bliskie kontakty z matką Connora i parę razy zabrali Amy na jej ranczo. Im dłużej jednak Connor nie pojawiał się u nich, tym mniej chętnie składali te wizyty. Maggie skarżyła się wprawdzie, że syn o niej zapomniał, ale Julia wiedziała, że nie jest to prawda. W końcu przestali otrzymywać od niej jakiegokolwiek informacji o nim i o zdjęciach w gazetach. Być może on jej tak kazał, być może sama zgadywała, dlaczego trzyma się z daleka. Matki są znakomite, jeśli chodzi o takie sprawy. Nawet matki potworów starają się ich bronić. Tak czy owak, już od z górą dwóch lat ani nie widzieli Maggie, ani nie zamienili z nią słowa.

A w przypadku Connora było to ponad siedem lat. Całe życie Amy, a Julii niekiedy się wydawało, że także i jej całe życie. Byli teraz już innymi ludźmi i zmienił się także ich świat, a Connor przypominał trochę słońce. Była taka chwila, gdy stał nad tym światem gorący i tak jasny, że spoglądać można było tylko przez zmrużone oczy, ale teraz oddalił się i oziębł, a chociaż nie zniknął jeszcze całkowicie, to powoli zbliżał się do horyzontu, rzucając coraz dłuższe cienie.

W pierwszym roku napisała do niego kilka listów, ale wszystkie zniszczyła. Najpierw myślała, że to dlatego, że nie może znaleźć odpowiednich słów, ale potem zrozumiała, że to znacznie prostsze - nie może znaleźć żadnych słów. W tych dniach myślała o nim bez ustanku. Nie było takiej godziny na jawie, żeby jego obraz nie stawał jej przed oczyma - w księżycowej poświacie wyznaje jej miłość, a potem obejmuje i scala wuje lzy.

Zanim wyjechał nazajutrz, nic im nie mówiąc, wsunęła mu do torby fotografię - tę, którą Ed zrobił im obydwójgu podczas ostatniej wspólnej wspinaczki, gdy poprosili, aby został ojcem ich dziecka.

Śledziła jego ślady najpilniej, jak potrafiła. Od czasu do czasu - najczęściej dzięki wszędobylskiej Lindzie - dowiadywała się, które czasopismo publikuje jego najnowsze zdjęcie. Zauważyła, że ostatnio coraz częściej opatruje fotografie nie tylko podpisami, ale i krótkimi komentarzami. Styl miał prosty, bez żadnych ozdobników, a czytając te słowa, niemal słyszała jego

głos. Najbardziej poruszyła ją zwięzła opowieść o niewielkiej lokalnej wojnie od lat toczącej się w Ugandzie. Często tam wracał. Najnowszy reportaż traktował o misji dla bezdomnych dzieci, które zmuszono do walki w armii rebelianckiej. Oglądając zdjęcia, nie mogła się powstrzymać od płaczu.

Tylko raz niemal doszło do tego, że powiedziałaaby Edowi, dlaczego Connor trzyma się na dystans. Dokładnie w przeddzień czwartych urodzin Amy nadeszła opakowana w brązowy papier przesyłka z Kampali. W środku była mała sukienka - jakby uszyta na miarę - i chusta, jedno i drugie w jaskrawych kolorach typowych dla Afryki: zieleń, żółć, czerwień i purpura. Dołączona kartka urodzinowa pokazywała przepiękną Ugandyjkę w takim właśnie stroju, a na odwrocie Connor umieścił dokładną instrukcję, zaopatrzoną w rysunki, jak upiąć chustę na głowie. Amy była zachwycona i przez cały tydzień nie chciała chodzić w niczym innym.

Ed nie posiadał się z wściekłości. Ledwie Amy znalazła się poza zasięgiem głosu, wybuchnął:

- Co on sobie wyobraża?! Ile był łaskaw napisać na kartce? „Pozdrów Mamę i Tatę”! A może sam by się kiedyś zjawił, żeby to powiedzieć!!! Albo chociaż zadzwonił. Przecież ona, do cholery, nawet nie zna jego głosu! No tak, ale teraz jest zbyt zajęty i sławny, żeby się troszczyć o takie rzeczy.

- Ed, tak nie można! - sprzeciwiła się Julia. - Nie bądź taki.

- Nie bądź jaki? To co się stało? Zaraziliśmy się trądem? Kiedyś był moim najbliższym przyjacielem! „Pozdrów Mamę i Tatę”! Niech idzie do diabła!

- Może uważa, że tak jest uczciwiej - być na odległość.

- Uczciwiej? A co ty sobie znowu wykombinowałaś?

- Nic, mniejsza z tym.

- Teraz już się nie wykręcaj. Powiedz, o co ci chodziło.

- Sama nie wiem. Może boi się, że dla ciebie to jest trudne.

- Co? Odwiedziny najlepszego przyjaciela?

- Nie, nie, dajmy spokój.

- Że co, będę zazdrosny o niego i Amy?

- Nie, naprawdę, Ed, powiedziałam coś mimo woli, więc zostawmy to.

- Właśnie, że nie, bardzo mnie to interesuje. To dość oczywiste, co miałaś na myśli - ja czuję się zagrożony przez to, że on jest biologicznym ojcem Amy, tak?

- Może odrobinę. Podczas chrztu zachowywałaś się tak...

- Jak? Okazywałem mu wrogość, byłem złośliwy?

- Odrobinę.

Zamarł na chwilę, a chociaż jego twarz za czarnymi okularami była jeszcze bardziej

nieprzenikniona, Julia miała wrażenie, że Ed obserwuje ją, korzystając z jakiejś władzy sięgającej głębiej niż wzrok.

- I mówisz mi to dopiero teraz? Po czterech latach? Że to z mojego powodu nie przyjeżdża?

- Ed, ale ja przecież nie wiem, tylko zgaduję.

- O - o - powiedział cicho i pokręcił głową. - A to ci historia.

Julia zdążyła już pożałować swoich słów i zaczęła uspokajać Eda, że to pewnie jakaś inna przyczyna. Może na Connora silnie podziałał widok Amy i wolał trzymać się z daleka, żeby zbytnio do niej się nie przywiązać. Mówiła i mówiła, ale tak naprawdę Ed nie bardzo zwracał uwagę na jej słowa. Przez kilka następnych dni był milczący, a potem nigdy już bezpośrednio nie krytykował Connora.

Jeśli Julia zastanawiała się nad przyczynami tak radykalnego dystansu Connora - czego raczej ona starała się unikać, gdyż nadal powodowało to harmider uczuć - to dochodziła do wniosku, że obie racje podane Edowi mogły być prawdziwe. Najprawdopodobniej wyczuł zazdrość Connora i uznał, że lepiej będzie się trzymać z daleka, a na dodatek nazbyt bolesna była dla niego perspektywa patrzenia na córkę wzrastającą w nie jego rodzinie. Jeśli nie mógł mieć Amy dla siebie całej, lepiej było w ogóle z niej zrezygnować. I tak samo z pewnością myślał o niej. A chociaż był i na zawsze pozostanie częścią jej życia, a ona codziennie będzie o nim myśleć, szczerze musiała przyznać, że także ona wolała jego nieobecność. Jeśli nie mogła go mieć całego dla siebie, to lepiej w ogóle zrezygnować.

Julia i Amy zawsze razem kończyły opowieść o awanturze maślanej, komicznie naśladując głosy Yooków i Zooków, trudzących się nad nowymi bombami, które teraz już z pewnością zniszczą całą ludzkość. Kto pierwszy rzuci? Zobaczymy, zobaczymy... Julia z trzaskiem zamknęła książkę.

- Zooki są głupie - uznała Amy.

- Dlaczego?

- Kto widział jeść chleb masłem do dołu?

- Ja tak jem.

- Nieprawda.

- Prawda, tylko nigdy nie widziałeś.

- Dobrze, jutro cię podejrzę, ale jak jesteś Zookiem, to źle z tobą.

- To ja już lepiej pójdę, żeby przygotować bombę.

Julia wstała, zgasiła lampę i nachyliła się, żeby ucałować Amy.

- Przyciśnij mnie - powiedziała. - Mocniej, mocniej!!!

- Dziękuję za kostium i jeszcze raz przepraszam, że byłam taka niedobra.

- Matki są właśnie od tego.
- Kocham cię, mamo.
- I ja cię kocham, córeczko.

Kay Neumark po raz trzeci kazała wróżkom i elfom przerwać próbę. Jeśli nie przestaną się wygłupiać i dokuczać aniołom, będzie musiała rozejrzeć się za jakimiś innymi aktorami. Był to bezwstydnym blef, oboje bowiem z Edem dobrze wiedzieli, że wciągnięte do przedstawienia zostało każde dziecko, które wykazywało chociaż odrobinę zainteresowania, a także kilkoro takich, które w ogóle go nie wykazywały. Zawsze jednak pierwsza próba kostiumowa przebiegała pod znakiem nerwów i nie inaczej było tego wieczoru.

Na Kay spadła funkcja reżyserki i współautorki libretta, ale oprócz tego miała mnóstwo innych zajęć, jeśli więc nie pomagała Julii w przygotowaniu scenografii i kostiumów, nie wycierała nosów aktorom ani nie musiała wymyślać gróźb, pochlebstw i słów otuchy, uczyła historii i angielskiego, najpewniej z takim samym zapałem i dobrym humorem. Ed spotkał ją parokrotnie na imprezach szkolnych, ona zaś raz była u nich na barbecue wraz ze swą przyjaciółką i kilkoma jeszcze osobami z młodszej kadry, kiedy Julia pracowała na pół etatu przed urodzeniem Amy. Ale tak naprawdę poznał ją dopiero podczas prób, które rozpoczęli parę tygodni temu.

Była to prawdziwa kobieta - dynamit z Detroit. Z opisu Julii wiedział, że ma jakieś trzydzieści pięć lat, jej twarz marszczy się przy uśmiechu, nosi krótko przystryżone srebrzyste włosy i szerokie spodnie oraz obwisłe swetry. Z własnych doznań wiedział, że ma hałaśliwy głos i pachnie jak sklepiki w stylu New Age, gdzie bez przerwy palą się kadzidelka, a ludzie zaglądają tam, aby kupić tanie indyjskie prezenty dla znajomych, którzy pewnie w takie miejsca nie chodzą.

- Słuchajcie! - wołała właśnie. - Próbujemy raz jeszcze, ale tym razem, żeby Mister Gloop był bardziej groźny. Rozumiesz, o co mi chodzi? Pokaż orkom, na co cię stać! Tak, otóż to! Dobra, wszyscy na miejsca. Julia, gotowa?

Julia była asystentką i za częściowo pomalowanymi dekoracjami przygotowywała tych, których kolej właśnie się zbliżała. Jak zwykle krzyknęła, że jest gotowa, ale Ed posłyszał w tym ton pewnej desperacji.

- Maestro, prosimy! - zawołała Kay.

Ed siedział przy pianinie, które produkowało całą stronę muzyczną, jeśli nie liczyć kilku efektów z taśmy. Pierwotnie myślał o niewielkim zespole muzycznym, ale szybko zorientowali się z Kay, że i tak będą mieli urwanie głowy. Dopiero teraz, na dwa tygodnie przed premierą, pojawiła się szansa, że unikną totalnej kompromitacji. To znaczy, jeśli nie zbraknie mu sił.

Okazało się, że spektakl wymaga więcej pracy, niż Ed to sobie wyobrażał, a teraz, od kiedy poddawano go dializie, nie było już w nim tyle energii co kiedyś. Prawdą jest, że ostatnimi czasy

częściej czuł się zmęczony niż wypoczęty. Może po prostu się starzał. Odetchnął głęboko.

- No to od nowa - powiedział. - Partia Gloopa i drwali!

Już od ponad dwóch lat musiał regularnie korzystać z dializy. Coroczna kontrola krwi wykazała, że ma nienormalnie wysoki poziom potasu i odpadów białkowych. Nerki nie spisywały się najlepiej, więc teraz trzy razy w tygodniu musiał jechać rano do Missouli i podłączać się do tej przeklętej maszyny, aby wykonała pracę za jego organy. Także dzisiaj spędził tam cztery długie godziny, które na tysiąc różnych sposobów można było pożyteczniej wykorzystać.

Oddział dializ był na parterze St. Patrick Hospital. Znajdowało się tam trzynaście stanowisk z aparaturą, a także aparatem TV i słuchawkami. Poranne seriale nigdy nie interesowały Eda, nawet kiedy widział; teraz albo próbował komponować, albo odsłuchiwał jakąś taśmę, podczas gdy maszyna wsysała jego krew. Pielęgniarki były sympatyczne, zdążył już poznać wszystkie i zaprzyjaźnić się z nimi na tyle, by pozwalać sobie na dowcipy. Nazywał je Narzeczonymi Drakuli. Dzisiaj nawet kazał im śpiewać jedną z piosenek ze spektaklu wigilijnego, ale chociaż to akurat było przyjemne, całej procedury serdecznie nienawidził.

Nigdy nie należał do tych cukrzyków, którzy nieustannie zamartwiają się swoim zdrowiem i bez przerwy wsłuchują w organizm. Wprost przeciwnie, jego stosunek do choroby graniczył niekiedy z beztrąską, szczególnie od czasu, gdy zamieszkał z Julią. W efekcie to ona martwiła się za nich dwoje, zawsze sprawdzając, czy wziął zastrzyk, zawsze mając w pogotowiu baton energetyczny. Udzieliło się to także Amy, od kiedy więc zaczęła dorastać, miał już dwie opiekunki. Oczywiście, to cudowne, ale czasami denerwowało go to i zaczynał się irtować. Ostatnio nawet dosyć często, kiedy zwiększał się stres związany z przedstawieniem. Julia ostrzegła, że może zbyt wiele wziął na siebie, i pewnie miała rację, ale odtąd starał się nie pokazywać całego zdenerwowania.

Koniec końców próba kostiumowa wcale nie poszła źle. Mister Gloop, podrażniony przez Kay Neumark, nagle wykazał prawdziwie nieoczekiwany talent aktorski i wszyscy byli w siódmym niebie. To znaczy, prawie wszyscy. W drodze do domu Amy opowiedziała im o dramacie, jaki rozegrał się w kularach. Jeden z elfów najprawdopodobniej zsiusiał się w spodnie, królowa wróżek powiedziała na ten temat coś złośliwego, no i obydwójce pobili się nie na żarty, doszło do kopania i gryzienia.

Ed słuchał z roztargnieniem, czasami tracąc wątek. Julia, zawsze wyczulona na jego nastroje, spytała, czy czuje się dobrze, na co odpowiedział, że tak, jest tylko trochę zmęczony, ale nic więcej. Odchylił głowę na oparcie, przymknął powieki i myślał o widowisku, podczas gdy muzyka bez przerwy rozbrzmiewała mu w głowie.

Czyż to nie zabawne, myślał, gdzie wylądował ze swymi ambicjami? Dziesięć lat temu

wszystko wydawało się jasne. Nie miał ani cienia wątpliwości co do swego talentu, a droga kariery rysowała się przed nim absolutnie wyraźnie. Kiedyś przy ognisku naszkicował ją Connorowi. Najpierw mała perełka off - Broadway, entuzjastyczne recenzje, dalej sam Broadway, potem Hollywood - nie jakaś tam banalna muzyka do filmów, nie - dla nowego pokolenia wypracuje zupełnie nowy styl musicalu hollywoodzkiego. I oto co z tego wyszło: niemal trzydziestosześcioletni ślepy pianista w małym miasteczku na Zachodzie, który zamartwia się tym, jak wypadnie przedstawienie w podstawówce córki!

Nie był jednak zgorzkniały, nie czuł się oszukany, czasami tylko napływała wielka fala żalu. Kiedy z maksimum samokrytycyzmu, na jaki go było stać, badał stopień swego uzalania się nad sobą - nie znajdował żadnego.

Każdy przecież - a jeśli nie każdy, to przynajmniej bardzo wielu ludzi - miał w młodości wielkie wyobrażenia co do sławy, jakiej zazna, i fortuny, jaką zdobędzie. A kiedy dorastał, poznawał prawdziwe życie i musiał się zaspokoić czymś mniejszym. Czy też może raczej odkrywał, że są jeszcze ważniejsze rzeczy w życiu niż sława czy fortuna. Z tego zaś, co Ed zdążył zaobserwować, wynikało, że ci, którzy wspięli na szczyty - gwiazdy muzyki i rozrywki - wcale nie byli szczęśliwi. Bogatsi - z pewnością, ale nie szczęśliwsi.

Jak na ironię okazało się, że z nich dwóch to Connor zakosztował sławy. Onegdaj Julia przeczytała, że dostał jakąś ważną nagrodę w konkursie fotografii, w jednej z modnych galerii nowojorskich miała się niedługo rozpocząć jego wystawa, a przecież Ed nigdy nie dostrzegwał u niego nawet śladów takich ambicji. To zawsze Ed opowiadał o wielkich zamierzeniach, planach, zdobyczach, podczas gdy Connor tylko słuchał z uśmiechem i umacniał przyjaciela w jego nadziejach. Może jednak pod tą maską kowbojskiej powściągliwości skrywał prawdziwe ambicje, a tylko miał dość zdrowego rozsądku, aby się z nimi nie obnosić. Tak czy siak, Ed nie czuł się zazdrosny, co najwyżej - lekko zaskoczony.

Nadal bardzo brakowało mu Connora. Nigdy przedtem nie miał tak bliskiego przyjaciela i nigdy już chyba mieć nie będzie. Gdyby tylko sobie na to pozwolił, zaraz zacząłby nad tym wydziwiał, natychmiast jednak przypominał sobie, ile mu zawdzięcza w związku z Julią i Amy, więc... Nie pozwalał sobie.

Gdy trzy lata temu Julia zdradziła się z podejrzeniem, że to on - spowodował oddalenie się Connora, pierwszą reakcją był gniew. Wysłał mu długi list poprzez agencję fotograficzną, przeprasząc za swoje zachowanie na chrzcie. Nie było odpowiedzi. Zastanawiał się nawet, czy list na pewno doszedł i czy nie powinien napisać jeszcze jednego, ale ostatecznie zrezygnował.

A wraz z upływem lat zaczynał myśleć, że może tak i lepiej. W liście wprawdzie nie przyznał się do zazdrości, ale im dłużej nad tym się zastanawiał, tym bardziej był pewien, że

Connor musiał ją spostrzec. Nienawidził się za to uczucie. Było bezsensowne, niewdzięczne i - jeśli Connor zdawał sobie z niego sprawę - tak upokarzające. Nic jednak nie mógł poradzić: tam, gdzie uczucie głęboko zapuści korzenie, rozum niewiele już może zdziałać. Brutalna prawda brzmiała tak, że Ed obawiał się, że Connor jest bardziej ojcem dla Amy niż kiedykolwiek będzie to możliwe dla niego i że tak samo - jak zabić w sobie tę myśl? - prawdopodobnie czuje Julia.

Gdyby Connor często się pojawiał, cała ta paranoja tylko by się pogłębiała, jeszcze bardziej komplikując nastroje Eda. Przykro to przyznać, ale oddzielenie było chyba jedynym rozwiązaniem.

Wszystko to bagno i mordega, jak mawiała babcia Tully. Ale takie już było życie: najpierw kurewskie, a potem tylko śmierć. Posłuchajcie no tylko tego filozofa, pomyślał sennie. Julia i Amy rozmawiały jakby w oddali, a on nie miał sił, żeby się na tym skupić. Umysł niczym motyl przeskakiwał z jednego tematu na drugi.

Biedny Connor. Czy sukces uczynił go szczęśliwym? Edowi jakoś nie chciało się w to wierzyć. Jak można być szczęśliwym przy takiej pracy? Może powinni polecieć do Nowego Jorku i bez żadnej zapowiedzi zjawić się na otwarciu wystawy? Zrobić niespodziankę wielkiemu fotografowi. Niechaj ślepiec wypowie się na temat jego prac. Tutaj znakomita faktura. A tutaj, czujecie ten smród zwłok? A, właśnie, tutaj jest twoja chrześniaczka. Wyrosła, prawda?

Biedny Connor. Tak bardzo za nim tęsknił. To prawdziwe bagno. Breja i mozół, nic więcej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Connor polecił kierowcy, żeby się zatrzymał na wysokości galerii, i przez szczelinę w ścianie oddzielającej kierowcę podał mu banknot dwudziestodolarowy. Kierowca był Nigeryjczykiem i wyglądał dość zabawnie w długim szalu, okularach i kapeluszu z rondem opadającym jak uszy spaniela. Było zimno i mgliście, na ulicach szara breja; przez cały czas drogi do Soho tamten rozwodził się nad tym, jak znakomicie żyć w Nowym Jorku. Connor był w Lagos tylko raz i nie bardzo mu się spodobało, ale w wieczór taki jak ten nie miał wątpliwości, które z dwóch miast by wybrał. Powiedział kierowcy, żeby zachował resztę, podziękował i wysiadł.

Ulica była wąska, budynki po obu stronach - wysokie i ponure, i niczym w wąwozie wydawało się, że na górze niemal się stykają. Ale może była to tylko kwestia pierwszego wrażenia. Stał w cieniu i nagle poczuł dreszcz. Postawił kołnierz płaszcz, aby osłonić się przed chłodem, i patrzył, jak z okna galerii po drugiej stronie ulicy światło lało się na sterty śniegu odłożone wzdłuż chodnika. W środku zobaczył jakieś dwadzieścia, trzydzieści osób gawędzących przy szampanie. Jedna czy dwie osoby nawet przyglądały się jego zdjęciom.

Spóźnił się godzinę, a niewiele brakowało, żeby w ogóle nie dotarł. Teraz nie potrafił zrozumieć, jak w ogóle dał się na to namówić. Właścicielka galerii, Eloise, była przyjaciółką jego wydawcy, poczciwego Harry'ego Turneya, i niełatwo było rozstrzygnąć, kto tu właściwie przysługuje się komu. Najpewniej cała trójka sobie nawzajem. Eloise miała mnóstwo znajomości pośród ludzi z mediów; dziś miały się pojawić jakieś tuzy. Zapowiadano także ekipę telewizyjną z zajmującego się sztuką kanału, o którym Ed nigdy nie słyszał. Cieszył się, że nie było po nich ani śladu.

Miał już pewne wyobrażenie, jak to może wyglądać. Eloise załatwiła wywiad dla nowego błyszczącego czasopisma, które - jak stwierdziła - pasjonuje się fotografią. Wydawca był jej przyjacielem.

- Mówię ci, to jak „Life”, ale w lepszym stylu. Uważają, że jesteś nowym Robertem Capa. Pewnie będziesz na okładce.

Dziewczyna, która zjawiała się, żeby zrobić wywiad, wyglądała na siedemnastolatkę, nigdy w życiu nie słyszała o Robercie Capie ani magazynie „Life”. Spytała, czy robił kiedyś zdjęcia słynnym ludziom, a kiedy odparł, że nie, najwyraźniej straciła całe zainteresowanie. Numer dzisiaj pojawił się w kioskach, ale na okładce nie było Connora. Był natomiast koleś w czarnej koszuli, o urzekającym uśmiechu i z kolekcją aparatów na szyi. Zapowiedź na okładce brzmiała: „Na pierwszej linii frontu z Dino Tornarim”.

Informacja zaintrygowała go. Niezłe znał większość reporterów wojennych, ale o takim nigdy nie słyszał. Zajrzał do środka i dowiedział się, że linia frontu przebiegała na ulicy przed modnymi restauracjami i barami, gdzie Dino, „niekwestionowany król paparazzi”, czatował na słynne postacie, regularnie zbierając cięgi od ochroniarzy.

Materiał o Connorze znalazł się gdzieś pod koniec numeru, zredukowany do sześciu akapitów, z których jeden był na dodatek z błędem. Skądś wydostali jego stare zdjęcie w kowbojskim kapeluszu, dlatego też uznali, że jest podobny „do kowboja Marlboro”, który „nadsyła przeraźliwe zdjęcia z serca ciemności”. Jedyna jego fotografia przedstawiała tubylca z Borneo, podpis głosił jednak, że to „łowca głów z Rwandy”. Nie miało to większego znaczenia, reprodukcja była bowiem tak mała i niedobra, że nawet rodzona matka nie rozpoznałaby na niej swego syna.

Tak więc Connor miał już posmak tego, co to znaczy znaleźć się w centrum zainteresowania mediów. Teraz szykował się do drugiej rundy, chociaż zdecydowanie protestował przeciw temu instynkt samozachowawczy. Odetchnął głęboko i przeszedł przez ulicę.

Eloise Martin była jedną z tych odzianych na czarno modniś nowojorskich, które są tak szczupłe i ostre, że można się skaleczyć już od samego przyglądania się im. Harry Turney najprawdopodobniej wiedział, co mówi, kiedy twierdził, że Eloise dobija sześćdziesiątki, ale bez tej informacji nigdy by się tego nie podejrzewało. Oczy miała umalowane tak jak fanka jazzu z lat pięćdziesiątych, na głowie nosiła bujną czarną treskę, którą z ochotą potrząsała, kiedy zaczynała się śmiać. Harry mówił także, że Eloise nieustannie pracuje nad swoim wyglądem, każdej wiosny wyjeżdżając do Rio po inspiracje. Jak się skarżył jej pokrywający rachunki mąż milioner, po powrocie nigdy nie potrafił jej rozpoznać na lotnisku, a kiedy zniecka wypadła na niego z tłumu, nigdy nie był do końca pewien, czy to aby nie pomyłka. Eloise resztę czasu dzieliła między sztukę i filantropię.

Wystawa Connora została, chwalić Boga, zaliczona do tej drugiej kategorii. Kilka fotografii pochodziło z ostatniej wyprawy na północ Ugandy, gdzie spędził dwa tygodnie w ośrodku rehabilitacyjnym dla dzieci - żołnierzy pod wezwaniem Naszej Pani Anielskiej. Był tam już parokrotnie i regularnie wysyłał im pieniądze. Także ewentualne honorarium za zdjęcia sprzedane na wystawie miało zostać tam przekazane.

Nie zdążył nawet zdjąć palta, kiedy już była przy nim.

- Connor, kochany, jesteś okropny. Ludzie wprost umierają z chęci poznania ciebie, ekipa z telewizji nie mogła czekać dłużej, ale powiedzieli, że wrócą.

- Przepraszam, ale straszne korki.

- Jak zwykle. Poczęstuj się szampanem, zaraz trochę odżyjesz. Czy zdjęcia nie wyglądają wspaniale?

- Tak, znakomicie to urządziłaś.

Pojawił się kelner, Connor opróżnił lampkę w dwóch łykach. Czuł, że wszyscy wpatrują się w niego, więc postarał się o swobodne zachowanie. Miał wrażenie, jakby się zjawił na własnym pogrzebie. Eloise oddaliła się w poszukiwaniu „kogoś bardzo ważnego”, kto chce z nim porozmawiać. Poczł nagły przyptływ zniechęcenia. Nadpłynął Harry i położył uspokajająco rękę na jego ramieniu.

- Nie przejmuj się. Nie będziesz musiał długo siedzieć. Eloise wróciła z wysoką młodą kobietą, tak olśniewająco piękną, że z całej prezentacji Connor wychwycił tylko tyle, że na imię ma Beatrice, a pracuje dla „Vanity Fair”. Kiedy zostali we dwójkę, Beatrice obdarzyła go spojrzeniem, które bez wątpienia informowało, że robi dobre wrażenie.

W banalnej pogawędce była, zdaje się, nie lepsza od Connora, na chwilę więc zapadło krępujące milczenie. Connor czekał, aż spyta, czy kiedykolwiek fotografował słynnych ludzi, tymczasem zagadnęła, których fotografów najbardziej ceni, i co więcej, znała chyba prace każdego z tych, których wymieniał. To on zatem spytał, skąd taka wiedza, na co wzruszyła ramieniem - po prostu się interesuje. Przeprowadzała wywiady z niektórymi z bohaterów Connora, jak na przykład z Donem McCullinem, o innych, dawniejszych - jak Eve Arnold czy Henri Cartier - Bresson - pisała artykuły.

Poprosiła, żeby oprowadził ją po wystawie i sam opowiedział coś o swoich fotografiach, a on zgodził się z pewnym ociąganiem, nieco onieśmielony jej znawstwem.

Dobór zdjęć na wystawę pozostawił Eloise i po raz pierwszy widział je w takim zestawie. Układ był chronologiczny, obejmował całość jego kariery, a wszystko zaczynało się od zdjęcia Eda podczas pożaru w parku Yellowstone. Był też portret płonącego łosia, który tak przeraził Julię. Nie widział go od wielu lat, z jakichś względów nigdy nie zdecydował się na jego publikację. Beatrice w milczeniu przypatrywała się fotografii.

- Ocalał? - spytała w końcu. Wzruszył ramieniem.

- Nie wiem. Pojawił się, a w następnej chwili już go nie było.

- A więc gasiłeś pożary.

- Tak, skakałem do nich na spadochronie.

Kiwnęła głową, jakby to coś wyjaśniło, i poszli dalej. Niekiedy zadawała jakieś pytania, ale najczęściej zatrzymywała się, patrzyła, przechodziła do następnego zdjęcia. Connor zastanawiał się, czy może sam nie powinien dorzucać jakichś komentarzy, gdzie, kiedy, jak zrobione, ale milczał.

Idąc za nią, miał wrażenie, jak gdyby po raz pierwszy oglądał historię swego dorosłego życia. Kiedy teraz widział ból, strach i przerażenie w oczach tych, których fotografował, poczuł w

sobie jakiś wielki smutek. Kobiety wiszące w kwiatkach, mała dziewczynka klęcząca w alei Snajperów nad ciałem matki, mały chłopiec z Rwandy, wychudzony i przerażony po dwóch tygodniach spędzonych pośród trupów, sęp przysiadły na wyciągniętej ręce Chrystusa, zimne spojrzenie Emmanuela Kabugiego, burmistrza mordercy, zaskoczonego w Goma; młody powstaniec liberyjski klęczący przed plutonem egzekucyjnym. Jedna po drugiej twarze przyglądające się w milczeniu Connorowi: umarłych, umierających i bezwzględnych morderców, najemnych apostołów różnych ras i różnych wyznań.

I wreszcie ostatnie zdjęcie - Thomas, jeden z chłopców sfotografowanych w misji Naszej Pani Anielskiej. Miał dziesięć lat, kiedy razem z bratem bliźniakiem zostali porwani przez rebeliantów, którzy nazwali siebie Wojownikami Boga. Aby zapewnić sobie lojalność chłopców, zmusili ich do uczestniczenia w mordowaniu mieszkańców rodzinnej wioski, a potem jej spaleniu. Wiele miesięcy później Thomasa, który uciekł albo został porzucony, aby umarł z głodu, napotkał patrol wojsk rządowych. Chłopiec był wychudzony jak kościotrup i nie potrafił wydobyć z siebie słowa.

Connor długo wpatrywał się w okrutny portret, widząc za nim także i siebie, obecnego we wszystkich tych zdjęciach. Poczł okropny ciężar w płucach, z trudem łapał oddech, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Czego szukałeś?

Odwrócił się i zobaczył, że Beatrice nie odrywała wzroku od chłopięcej twarzy, a pytanie było jakby skierowane do chłopca. Nie bardzo ufał swojemu głosowi.

- Na tym zdjęciu?

- Na wszystkich.

Pytanie było tak bliskie jego własnym myślom, że w pierwszej chwili chciał chwycić się sztamkowego wykrętu, że to po prostu ujęcia, nic więcej, efekt przypadku i szczęścia, do których można dołączyć różne opowieści. Tymczasem przełknął z trudem i rzekł:

- Nadziei.

Zaszokowało go to słowo. Co się z nim działo? Nie mógł powstrzymać dreszczów. Beatrice wpatrywała się teraz w niego badawczo. Wzruszył ramionami i spróbował wszystko zbagatelizować.

- Zresztą nie wiem. Może tak naprawdę niczego nie szukałem.

- O, nie. Czegoś szukasz. Ale to chyba nie jest nadzieja.

- Nie? No proszę, proszę.

Roześmiał się, ale dziwnie nieszczerze. Może jest chory. Niczego nie jadł od rana, teraz szampan na pusty żołądek. Wszystko jedno. Kim ona właściwie była, żeby mu stawiać takie

pytania, i to po znajomości trwającej dziesięć minut? Ale nie ofuknął jej, tylko spytał ostro:

- Czego zatem szukam?

Dostrzegła jego irytację i uśmiechnęła się przepaszająco.

- Wybacz. To nie moja sprawa.

- Nie, proszę. Skoro tak dobrze znasz tych wszystkich wielkich fotografów i wiesz, co ich rusza, to wyświadcź mi teraz przysługę i powiedz, czego szukam.

Zmarszczyła brwi.

- Czemu się tak denerwujesz?

- Nie wykręcaj się, tylko powiedz mi, do jasnej cholery, czego szukam!!!

Kątem oka dostrzegł, że wszyscy na nich spoglądają. Przygryzła wargę, a potem powiedziała po prostu:

- Myślę, że szukasz zwierciadła dla swojego smutku. Wpatrywał się w nią zmrużonymi oczyma, a wreszcie przytaknął.

- Dzięki, teraz będę wiedział. Miło było cię poznać, Beatrice.

Odwrócił się nagle i jak pijany poszedł do drzwi, czując, że zbiera mu się na płacz. Co tu się dzieje, u diabła?! Usłyszał za sobą Eloise, ale w pośpiechu szukał palta.

- Connor? Dokąd? Co się stało?

- Przepraszam, Eloise, ale muszę już iść. Wybacz. Porwał paltó i wypadł na ulicę. Zaczerpnął haust ostrego, zimnego powietrza i usiłował się pozbierać, kryjąc twarz w dłoniach. Serce waliło mu jak młotem, dyszał, przez chwilę myślał nawet, że to może zawał. Ale nie, wszystko w porządku. Już w porządku.

Naciągnął paltó i ruszył przed siebie.

Którędy chodził, ani jak długo, nigdy nie potrafił sobie przypomnieć, w każdym razie kiedy zbliżał się do swego domu, niebo na wschodzie już się różowiło. Portier otworzył mu drzwi i spytał, czy wszystko w porządku, na co Connor zapewnił, że tak, wszystko dobrze, jest tylko trochę zmęczony. Pojechał windą na szóste piętro wciśnięty w kąt, gdyż nie miał odwagi spojrzeć na swe potrójne odbicie.

W mieszkaniu było równie zimno jak na zewnątrz. Zepsuło się ogrzewanie, a on nawet nie pomyślał o tym, aby je naprawić. Minęło sześć lat, od kiedy kupił to mieszkanie, ale jedyne pieniądze, które wyłożył na nie, poszły na przeróbkę sypialni na ciemnię. Sam spał teraz w długim jak kiszka saloniku, który pełen porozrzucanego sprzętu bardziej wyglądał na pakamerę. Na podłodze goła klepka, łuszczące się ściany, trzy wysokie okna z szybami brudnymi i popękkanymi. W jednym kącie znajdowało się łóżko, w drugim stolik zasłany papierami, fotografiami i starymi czasopismami. W mieszkaniu była mała, brudna łazienka i jeszcze mniejsza i brudniejsza kuchnia.

W lodówce więcej brudu niż jedzenia. Jeśli nie liczyć telewizora, telefonu i jednego okulałego fotela, jedynym luksusem było trochę dywaników i kilkanaście figurek, które przywiózł z podróży. Nienawidził tego miejsca, o czym ono dobrze wiedziało i odpłacało mu tym samym.

Bez zapalania światła rzucił się w palcie na łóżko i patrzył na parę dobywającą się z ust. Wpatrywał się w żółte i czerwone odbłaski świateł samochodowych przesuwające się po suficie i stopniowo blednące wraz z tym, jak za oknem wstawał kolejny szary dzień.

Zwierciadło własnego smutku.

Może tę samą kwestię sprzedawała wszystkim fotografom, a przynajmniej tym, którzy specjalizowali się w cierpieniu. Drobną osobistą uwagą, z którą w żaden sposób nie można się było spierać. Ludzie zwykle przypuszczali, że musi to być rodzaj osobistej krucjaty w imieniu ludzkości, której podstawił pod oczy obrazy, jakich raczej wolałaby nie oglądać. I rzeczywiście, w samych początkach Connor miewał czasami poczucie, że taka jest jego funkcja i że nawet w świecie zalewanym przez informacje, a także obrazy okrucieństwa i cierpienia, jakieś jedno zdjęcie może jednak coś zdziałać. I jakakolwiek byłaby to odrobina: wypisany czek, oddany głos czy chociażby przekazana dalej wiadomość, trzeba to było robić.

Teraz jednak zabrakło mu już tej wiary. Oczywiście, w tym, co robił, był jakiś element altruizmu, bardzo jednak powierzchowny, a pod spodem były motywy czysto personalne. I teraz uświadamiał sobie, że tak ostro zareagował na słowa Beatrice dlatego, że miała rację. Dojrzała w nim coś, co on starał się ukryć przed samym sobą. A może nie tyle coś, ile kogoś, kogo nigdy nie zauważał, a kto tak się już zagnieździł, że miał coraz mniej możliwości zobaczenia go.

Ciekawe, czy tak samo by skończył, gdyby siedem lat temu, po narodzinach Amy, nie podjął takiej decyzji. Wtedy jednak wcale nie wyglądało to na decyzję - stało się to, co się stać musiało. Pamiętał, jak ojciec powtarzał, że zawsze można łatwo rozstrzygnąć, czy jakiś wybór jest słuszny czy nie: „Bierzesz szale i kładziesz na nich szczęście. Jeśli wydaje się, że to, co chcesz zrobić, przyniesie więcej szczęścia niż nieszczęścia, to racja jest po twojej stronie”.

Connor często się nad tym zastanawiał po śmierci ojca, a kiedyś nawet stoczyli z Edem gorący spór na ten temat. Ed, który uczył się w college'u filozofii, z lekką wyższością w głosie oznajmił, że maksyma ojca Connora ma swoją nazwę, a nawet jest cała szkoła zwana utylitaryzmem. Zasadnicza idea brzmiała: słuszne jest to, co przynosi najwięcej szczęścia największej liczbie osób. Connor odparł, że gdyby wtedy był starszy, to spytałby ojca o to, jak mierzyć szczęście? Przecież każdy inaczej widzi szczęście i kiedy indziej je odczuwa. I jak osądzić sytuację, gdy z jednej strony masz możliwość uczynienia jednej osoby szczęśliwą bezgranicznie, a z drugiej - drobnego unieszczęśliwienia tysiąca osób? Co jest bardziej słuszne? Ed zaczął się wymądrzać i pokazywać, że Connor popada w sprzeczności, ten więc stracił cierpliwość i oznajmił,

że to jakaś jedna wielka bzdura, o której nie chce już rozmawiać.

Ostatecznie tak jednak postąpił wobec Eda i Julii. Wziął szale i zważył szczęście wszystkich osób. Jak by się czuli wszyscy, włącznie z Amy i nim samym, gdyby składał regularne wizyty, i jak by się czuli, gdyby z Amy utrzymywał kontakt tylko listowny, zapewniając, że myśli o niej i tęskni. I to drugie rozwiązanie dramatycznie wzięło górę.

A skoro zapadła decyzja, to trzeba także było ponieść konsekwencje. Zawsze ostatecznie uważał, że szczęście to kwestia wyboru. Można albo zapamiętać się w żalu, pogrążyć się w nim, albo nie przyjąć go do wiadomości. Nie docenił jednak siły przyzwyczajenia. Kiedy raz zaczęło się rozpaczać, bardzo szybko nie było od tego ucieczki. Wystarczyła chwila zatopienia się w goryczy, a zaraz zaczynały rosnać skrzela i płetwy, a potem okazywało się, że niepodobna już żyć na stałym lądzie. A Beatrice dojrzała w galerii właśnie to, że Connor nie potrafi już żyć poza smutkiem.

Przez pierwsze dwa, trzy lata kilkakrotnie bliski był tego, żeby złamać dany sobie zakaz odwiedzin. Kiedy jednak dotarł do niego list Eda z przeprosinami za zachowanie na chrzcinach, było już za późno. Zagrała w nim ambicja matki. Podjął postanowienie i będzie się go trzymał.

Listy, które dwa, trzy razy do roku otrzymywał od Amy, dawały mu poczucie najbliższe temu, co nazwałby szczęściem. Jej zdjęcie trzymał przy łóżku, obok fotografii, którą Julia siedem lat temu wsunęła mu do torby. Pomniejszył oba zdjęcia i załaminował, tak aby mógł je brać ze sobą w najróżniejsze podróże. Na tym, na którym był z Julią, wyraz ich twarzy był tak oczywisty, że nikt nie miałby wątpliwości, że widzi szczęśliwą parę. Connor lubił wpatrywać się w tę fotografię i rozmyślać, jak to wszystko wyglądałoby w jakimś innym, bardziej przychylnym świecie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem, który na dodatek był jego, nie miał się więc na kogo uskarżać. Parę tygodni temu, w jednej z tych nielicznych chwil, gdy wydawało się, że przedstawienie zaczyna się jakoś układać, Ed zaproponował Julii, by na premierę zaprosili obie matki. Powiedział, że upłynęło już sporo czasu od ich ostatniej wizyty, zbliżały się święta, był to sceniczny debiut Amy, a poza tym obie babcie bardzo się lubiły. Nawet przed samym sobą Ed nie przyznawał się, że w istocie chodziło o pychę, gdyż bardzo chciał, aby obie panie zobaczyły jego dzieło.

Przyleciały trzy dni temu i trzeba przyznać, że bardzo wiele pomogły. Zaraz wzięły się do gotowania, czyszczenia, sprzątanania, zajęły się Amy i nawet zaproponowały pewne poprawki w kostiumie. Ale wszystko jakim kosztem!

Matka Julii nie przestawała mówić nawet dla zaczerpnięcia oddechu. Zawsze dotąd jej szczebiotanie wydawało mu się zabawne i miłe, teraz jednak doprowadzało go do szału. Jak łatwo mógł przewidzieć, Julia i Amy większość czasu spędzały w szkole, więc cały ciężar słuchania spadł przede wszystkim na niego. Maria miała zwyczaj odrywania go od pracy dokładnie w chwili, gdy wpadał mu do głowy jakiś znakomity pomysł. Co gorsza, z jakichś niejasnych przyczyn zaczęła mówić do niego „Eddie”, a to właśnie była ta wersja jego imienia, której serdecznie nie znosił i za którą niejeden z jego kolegów szkolnych miał rozkwaszony nos.

- Eddie, chcesz kawy?

- Nie, dzięki.

- Na pewno?

- Na pewno, niedawno piłem.

- A jak idzie praca?

Zaciśnij zęby, policz do trzech, odetchnij głęboko.

- Dziękuję, dobrze.

- No to ci nie przeszkadzam.

- Dzięki.

Chwalić Boga. Nawet Amy wiedziała, kiedy mu nie przeszkadzać.

Z kolei udział jego matki w konwersacji ograniczał się do pytań i zawołań: „Naprawdę?”, „Co ty powiesz?”, „Niemożliwe”, co także denerwowało Eda. Łatwiej byłoby w lecie, kiedy mogłyby zasiąść na tarasie czy pójść na spacer, ale równo z ich przyjazdem zaczął padać śnieg, były więc ograniczone do domu.

Dzisiaj wszystko drażniło go jeszcze bardziej z powodu tremy przed premierą. Ed żywił nadzieję, że kiedy już będzie miał ją za sobą, wszystko wróci do normy i znowu pokocha swoją teściową. W tej chwili opowiadała w salonie jego matce, że jej znajoma ma znajomą, która kiedyś spędziła noc z Frankiem Sinatrą. Ed słyszał już tę historię i wiedział, że była długa, a jej sedno stanowiło to, że Frank obiecał w nocy coś, czego w dzień nie dotrzymał. Starał się nie słuchać, ale wszystkie wysiłki okazywały się płonne.

Za trzy i pół godziny kurtyna miała pójść w górę, a on miał jeszcze setki rzeczy do zrobienia. Zrezygnował nawet dzisiaj z porannej randki z Narzeczonymi Drakuli. Nie po raz pierwszy zarywał dializę i nigdy nie spowodowało to żadnych dramatycznych konsekwencji. Lekarze zawsze woleli się zabezpieczyć, tłumaczył sobie. Najprawdopodobniej oczyszczenie krwi dwa razy w tygodniu i tak starczało aż nadto. Miał tylko nadzieję, że Julia się nie zorientuje, kiedy bowiem raz wykryła jego zaniedbanie, zrobiła okropną awanturę. Skruszony zapewnił ją, że czuje się dobrze (co nie do końca było prawdą) i obiecał, że następnego ranka podda się dializie. Teraz złożył przyrzeczenie sobie; żeby tylko było już po tej okropnej premierze!

Kay Neumark miała się zjawić po niego o czwartej, a on nie zrobił nawet jeszcze połowy tego, co zamierzał. W pokoju obok Frank Sinatra był dopiero przy pierwszym martini. Ed sięgnął po słuchawki, by zagłuszyć głos Marii, kiedy rozległ się telefon. Ze szkoły z niedobłą wiadomością dzwoniła Julia. Główny drwal, nazbyt wzięwszy sobie do serca polecenia, z takim impetem zwałił się w śnieg, że złamał nogę. Kay chciała zabrać Eda wcześniej, aby na miejscu razem zastanowili się, co robić w tej sytuacji. Była już w drodze.

- Jak dializa rano? - spytała Julia.

- Normalnie.

- A jakie wyniki?

- Julio, mam właśnie pomysł, nie rozpraszaj mnie. Wszystko jest w porządku.

Przynajmniej raz Maria zamieniła się słuch. Ledwie skończył rozmowę i zaczął zbierać rzeczy, natychmiast zalała go pytaniami. Zdawkowo coś wyjaśnił, a potem oznajmił:

- Załatwię taksówkę, żeby zabrała was stąd o szóstej i zawiozła do szkoły. Do tego czasu chyba już skończysz tę historię z Sinatrą?

Maria zachichotała zakłopotana.

- Trochę przydługa, tak?

Nakładał buty, kiedy usłyszał hamujący na podjeździe samochód Kay. Wziął z kuchni kilka batonów, wrzucił je do torby, nałożył palto, znalazł laskę i ucałował obie matki na pożegnanie. Jego matka wzięła go pod ramię i odprowadziła do drzwi.

- Powodzenia, kochanie - szepnęła.

- Dzięki, ale i tobie chyba by się przydało - odrzekł równie cicho.

Uśmiechnęła się.

- Ona ma takie złote serce.

- I język z tytanu.

- Ciii. A teraz połam ręce i nogi.

- Może do tego dojść szybciej, niż się spodziewasz.

- Ucałuj od nas Amy - zawołała z pokoju Maria.

- Dobrze.

- I Julię!

- Dobrze.

Julia patrzyła, jak stojąca w centrum sceny w powodzi świateł Amy śpiewa z takim zapałem, że prawie wyskakiwała ze skarpetek. I skarpetki, i kraciasta czarno - czerwona koszula, i cała reszta kostiumu drwała były o kilka rozmiarów za duże dla Amy, ale wszystko nadrabiała zapałem. Był to główny numer drwali „Ach, pot nas zalewa, choć to tylko drzewa!” i Amy wkładała w śpiew całą duszę.

Julia nie spodziewała się, że córka się zgodzi. Propozycja Eda była całkiem sensowna, obcując bowiem z musicaliem przez cztery miesiące, Amy znała już na pamięć wszystkie partie. Julia pamiętała jednak, ile było kłopotów z anielskim kostiumem, więc była pewna odmowy.

Za zezwoleniem pani Leitner wywołali ją z klasy, zaprowadzili do sali widowiskowej, gdzie Kay powiedziała o wypadku dotychczasowego pierwszego drwala. Amy stała cicho i słuchała uroczyście, a Julia nie miała wątpliwości, że dziewczynka wiedziała, co ją czeka.

- I w tej sytuacji pomyśleliśmy, że może ty, która przecież znasz słowa i muzykę, zamiast być aniołem, zostałabyś głównym drwalem? - zakończyła Kay.

Amy tylko wzruszyła ramieniem.

- Nie ma sprawy.

- Oto moja córka! - wykrzyknął zachwycony Ed.

- A mogę dalej mieć swój kostium anioła?

- Nie, kochanie - odrzekła Kay. - Myślę, że to nie pasowałyby.

- A czy ktoś inny go nałoży?

- Mowy nie ma.

- To zgoda.

Miała pół godziny na przećwiczenie kilku miejsc, gdzie głos ją trochę zawodził, ale oto teraz śpiewała tak, jakby tę partię powtarzała od tygodni. Julia jeszcze nigdy nie była tak dumna z córki, a sądząc po uśmiechu na twarzy Eda, a także minach obu babć, nie miała wątpliwości, że i

oni pęcznieją z zachwytu. W sali nie można było upchnąć nawet szpilki. Według ocen Julii zebrało się dobrze ponad dwieście osób, gdyż wiele z nich tłoczyło się w przejściach i z tyłu. Kay, która usiadła obok Eda, aby go informować, co się dzieje na scenie, na początku oznajmiła, że w roli pierwszego drwala wystąpi „panna Amy Tully, która bez chwili namysłu zgodziła się pomóc, kiedy wypadek zagroził naszym planom”. Cała sala naturalnie zareagowała aplauzem, a kiedy Amy skończyła swoją główną partię, wybuchła owacja tak wielka, że najpewniej śnieg zsunął się z dachu. Wiwaty były tak uporczywe, że Ed zagrał na bis.

- To koniec - mruknęła Julia do jednej z nauczycielek, która pomagała w przygotowywaniu sceny. - Biedne dziecko będzie już na zawsze skazane na scenę.

Godzinę później było po wszystkim. Jeśli pominąć drobne usterki - najpoważniejszą było runięcie dwunastostopowej płyty z dykty na wróżki - był to wspaniały sukces, co zgodnie uznali wszyscy. Amy dostała owację na stojąco, a kiedy stała pośrodku sceny, mrużąc oczy przed światłami, Kay wciągnęła na estradę także Eda i wtedy owacje sięgnęły zenitu.

Julia patrzyła na nich zza kulis, klaskała ze wszystkich sił, a łzy ciekły jej po twarzy. Ed stał w eleganckiej czarnej koszuli zapiętej pod szyją i rozkładał ręce, pokazując, że brawa należą się całemu zespołowi, który też klaskał jak najęty. W czarnych szklach Eda odbijały się błyski fleszów.

Jakiego zdumiewającego mężczyznę poślubiłam, myślała Julia.

Może to i nie Broadway, myślał Ed, ale przecież satysfakcja też jest wielka. Oklaskom nie było końca. Wyciągnął dłoń i zawołał Amy, a kiedy córka podała mu swoją rozpaloną rączkę, sala oszalała. Nachylił się i ucałował Amy.

- Prawdziwa z ciebie gwiazda - powiedział.

- Dobrze było?

- Bardzo dobrze.

Minęła przynajmniej godzina, zanim mogli zacząć myśleć o powrocie do domu. Ed miał wrażenie, że zostanie zacałowany na śmierć, ale bez trudu można było sobie wyobrazić znacznie gorszy koniec. Ludzie cisnęli się z gratulacjami. Od kogoś otrzymał bukiet kwiatów, ucałowała go nawet pani I'Eitner. Maria zaprzyjaźniła się ze wszystkimi i matka Eda musiała ją wprost ciągnąć do taksówki, którą Ed wcześniej zamówił, żeby nie musiały czekać.

Teraz było już niemal pusto. Kiedy Julia pomagała jeszcze ostatnim dzieciom ubrać się i przekazywała je rodzicom, Ed i Kay usiedli na skraju sceny, popijali wodę z plastikowych kubków i omawiali drobne poprawki, które chcieli wprowadzić przed jutrzejszym spektaklem.

Ed czuł, że teraz, już po wszystkim, zaraz oklapnie. Przed przedstawieniem Julia upewniła się, że wziął zastrzyk insuliny, zamówiła też dla niego kilka hamburgerów i koktajli mlecznych. W trakcie poczuł dziwny, tępy ból w piersiach, który trwał dalej. To pewnie żołądek tak reagował na

cebulę w hamburgerach. Cebula czasami tak na niego działała. Występ kosztował go wiele energii i powinien teraz coś zjeść, gdyż trudno było mu się skoncentrować na słowach Kay, która zastanawiała się, jak na przyszłość uniknąć takich wypadków jak dzisiaj z wrózkami. Znalazł w torbie baton, ale nie mógł sobie poradzić z jego rozwinięciem.

- Pomóc ci? - spytała Kay.
- Tak, dzięki, jestem jakiś zdrętwiały.
- Dobrze się czujesz?
- Tylko odrobinę zmęczony.
- Posłuchaj, możemy o tym porozmawiać rano.
- Może rzeczywiście tak będzie lepiej.

Przyniosła palto, a kiedy Ed wstał, żeby je nałożyć, poczuł się tak słaby w kolanach, że odrobinę się zachwiał.

- O - o, na pewno dobrze się czujesz? - Kay podtrzymała go.
- Tak, tak, tylko dzień pełen wydarzeń.
- Co ty powiesz, naprawdę?
- Naprawdę.

Oboje się roześmiali. Kiedy odnalazły ich Julia i Amy, Ed trzymał się już prosto.

Na zewnątrz znowu śnieżyło. Julia powiedziała, że na parkingu jest ślisko, więc żeby poczekał z Amy koło wyjścia, a ona przyprowadzi jeepa. Stali, trzymając się za rękę i odpowiadając na pożegnania ostatnich rodziców z pociechami. Ciągle czuł ucisk w piersiach; baton nic nie zmienił. Czuł się oszołomiony i jakby oddalony. Może się przeziębził albo coś takiego. Tak czy owak, zaraz będzie w domu. Porządny sen - oto czego mu naprawdę potrzeba.

- Tato, masz takie zimne ręce! - zauważyła Amy.
- Wiesz, jak to mówią: zimne ręce, gorące serce.
- Mam gorące ręce. Czy to znaczy, że mam zimne serce?
- Nie, w tę stronę to nie gra. Amy, byłaś dzisiaj znakomita!
- Słyszałeś mnie?
- Skądże, nic nie słyszałem.
- Nieprawda!
- Śpiewałaś jak anioł. Trochę taki drwałowaty, ale jednak.
- O, jest już mama!

Nawierzchnia była zdradziecka. Amy poprowadziła go raptem kilka jardów, a i tak się poślizgnął i o mało nie upadł. Julia wyskoczyła z samochodu, aby mu pomóc. Ilekroć traktowała go jak inwalidę, wpadał w złość.

- Dam sobie radę!!!

- Jest ślisko, trzeba uważać. Ed? Popatrz na mnie!

- Czuję się dobrze.

- Wcale na to nie wyglądasz. Co się stało? Powiedz mi.

- Nie rób zamieszania, jestem zmęczony i tyle. Jedźmy, żeby pannę Shirley Tempie czym prędzej ułożyć spać.

- Co to za Shirley Tempie? - spytała Amy.

Zabierał się właśnie do odpowiedzi, kiedy ból w piersi nagle eksplodował, zupełnie jakby ktoś do niego strzelił, ugodził go sztylblem czy dźgnął piką. Zatoczył się do tyłu i usłyszał krzyk Amy.

Musiał stracić na chwilę przytomność, gdyż następna chwila to była już Julia szarpiąca go za kłapy, klepiąca po policzkach, krzycząca. Ból w piersiach nie był już tak straszny. Tylko jakieś takie dziwne chybotanie. Leżał chyba na plecach w śniegu, czuł bowiem zimno na potylicy i dłoniach, a płatki nieustannie lądowały mu na twarzy. Usiłował sobie wyobrazić, jak wyglądają, spływając na niego, a to, nie wiadomo dlaczego, przypomniało mu dziecięce lata. Kiedyś jechał z ojcem wieczorem podczas zamieci, a widząc śnieżynki w świetle reflektorów, pomyślał, że obaj lecą w kosmos, a koło nich przelatują gwiazdy, planety i asteroidy. Ależ mu się chciało spać. Śnieg padał tak, jakby go miał pochować.

Gdzieś z daleka wołała do niego Julia. Słyszał jeszcze, jak płacze Amy, a potem głos Julii wzywający pomocy. Nagle jakieś ręce chwyciły go pod ramiona i zaczęły ciągnąć gdzieś, a nogi wlokły się w śniegu. Jeden z butów zsunął się i przez skarpetkę czuł wilgoć na pięcie. Nikt tego nie zauważył, a to jego najlepsze buty. Chciał zawołać, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. O co im chodziło? Skąd ta cała panika? Chciał tylko trochę sobie pospać. Wszystko będzie dobrze, byle go zostawili w spokoju i pozwolili pospać.

Nie musieli nic mówić, Julia sama wiedziała. Wiedziała, że Ed nie żyje, zanim karetka zahamowała pod szpitalem i pędem rzuciła się ku niej ekipa medyków. Wciśnięta w kąt ambulansu patrzyła, jak usiłują zmusić do działania serce, uderzając w pierś, robiąc zastrzyki, wykrzykując do siebie polecenia, podczas gdy ciało Eda leżało bezwładne, a twarz szarzała pod tlenową maską. Gdy tylko zajechali pod szkołę, natychmiast powiedziała im o cukrzycy i dializie, a w karetce odpowiadała (najlepiej jak potrafiła) na rzucane pytania. I przez cały czas się modliła. O Boże, nie! Nie! Czy nie dość się wycierpiał? Daj mu spokój, daj mu odpocząć. Czyż w końcu i Hiob nie zaznał ulgi?

Kay Neumark nadjechała z Amy w chwili, gdy łóżko wtaczano w drzwi. Julia wzięła córkę w objęcia i tuląc, jak idiotka powtarzała, żeby się nie martwiła, bo z tatą wszystko będzie dobrze.

Chciała wejść do sali zabiegowej, ale zatrzymała ją jedna z pielęgniarek i powiedziała, że lepiej będzie, jeśli poczeka na korytarzu z Amy. Usiadły więc we trzy z Kay, przytulone do siebie, nieświadome obecności innych, za to wpatrujące się w każdą postać w zielonym kitlu, jaka tylko pojawiła się za szklanymi drzwiami, przez które go przewieźli.

Jakiś lekarz właśnie się wynurzył i podszedł do recepcjonistki. Ta kiwnęła głową w stronę Julii i Amy, on zaczął iść w ich kierunku. Julia myślała w popłochu: Co robić? Jak mam się teraz zachować? Nikt mi tego nigdy nie mówił! Wstała, przytrzymała Amy, żeby została z Kay, i postąpiła kilka kroków.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Naprawdę, bardzo mi przykro.

Pochowali go we wtorek przed Bożym Narodzeniem w poranek jasny i rześki. Na rosnących wokół topolach skrzył się śnieg. W małym białym kościółku stłoczyło się ponad dwieście osób, a z okien spływało na nie promienne światło. Obok pulpitu stała wysoka choinka obwieszona srebrzystymi łańcuchami i migająca dziesiątkami białych żarówek.

Z Kentucky przylecieli rodzice Eda, a także jego bracia z żonami i dziećmi, byli też lekarze, pielęgniarki, koledzy strażacy i z college'u, uczniowie z rodzicami i wielu innych, których Julia w ogóle nie potrafiła zidentyfikować. Byli wszyscy, którzy go kochali, z jednym wyjątkiem. Nie było Connora.

Próbowała się z nim skontaktować i wszędzie, gdzie tylko mogła, zostawiała prośbę o telefon. Nikt nie wiedział, gdzie obecnie jest ani jak do niego dotrzeć, nie wiedziała tego nawet jego matka, która siedziała teraz obok rodziców Eda. W agencji dotarła do mężczyzny o miłym głosie, który ubolewał, ale nie miał pojęcia, gdzie może się znajdować Connor. Sam był sobie teraz sterem, żeglarzem, okrętem, powiedział z westchnieniem rozmówca, nikogo nie informował o swoich planach. Od dawna rozstał się z telefonem satelitarnym, nie miał adresu elektronicznego, zniknął czasami na całe miesiące, a potem przysyłał film albo dzwonił.

Słuchając tego, Julia czuła, jak wzbierają w niej gniew i wyrzuty sumienia. Jak mogło do tego dojść z Connorem? Jak ona mogła - jak oni wszyscy mogli - na to pozwolić? Wreszcie tamten spytał, czy ma może przekazać jakąś wiadomość, gdyby Connor się odezwał.

- Proszę mu tylko powiedzieć, że umarł jego najbliższy przyjaciel.

Na rozpoczęcie mszy wszyscy zaśpiewali Cichą noc, ulubioną kolędę Eda. Potem Amy wraz z koleżankami odśpiewały a cappella piosenkę aniołów z przedstawienia wigilijnego. Dyrygowała Kay Neumark.

Patrząc na twarz córki, Julia zazdrościła jej siły i odwagi, w sobie bowiem ich nie czuła. Siedząca obok Linda mocno ścisnęła ją za rękę. Obie usiłowały nie płakać, chociaż łkali wszyscy

dookoła. Julia dobrze wiedziała, że gdyby tylko pozwoliła sobie chociażby na jedną łzę, już nie zapanowałaby nad płaczem. A szlochów i tak było już dość, Ed zaś prosił w liście, aby cały ceremoniał nie był nazbyt żałobny.

List nadszedł przed trzema dniami, nadany przez prawnika z Missouli, który wyjaśnił, że Ed złożył u niego swą ostatnią wolę z poleceniem, aby dostarczyć ją Julii w wypadku jego śmierci. Upewniwszy się, że nie ma nikogo w pobliżu, Julia otworzyła kopertę.

Moja kochana Julio,

słowa te zdziwią Cię może, ale jak ująłby to Forrest Gump, Życie to cienka lina i nigdy nie wiadomo, kiedy ci się obsunie noga, a ja nie chciałbym spaść bez powiedzenia kilku słów, które powinny być powiedziane, I jakkolwiek głupio by to zabrzmiało, przede wszystkim chce. powiedzieć: „Dziękuję”.

Od tego deszczowego wieczoru, kiedy ukradłaś mi miejsce na parkingu - i serce - nigdy nie przestawałem myśleć, jakim nieprawdopodobnym szczęściarzem się okazałem, spotkawszy tak wspaniałą kobietą. Nie starczyłoby miejsca na wyliczenie milionów tych rzeczy, za które jestem Ci wdzięczny, dlatego ograniczę się do największych.

Dzięki, że byłaś mymi oczyma, moim aniołem stróżem, światłem mego życia, inspiracją każdej dobrej myśli. Że byłaś cudowną matką cudownej córki. Że byłaś tak piękną, kochającą, seksowną, wspaniale pachnącą, niezwykłą w dotyku (mmm... przerwa na kontemplację... MMM. No, dość już tego dobrego, panie Tully!) Dzięki za wielkoduszność, hojność, cierpliwość, łatwość wybaczenia, pasję życia.. - Zaczzerwieniłaś się? Mam nadzieję, bo zarumieniona jesteś tak urzekająca!

Gdyby to zebrać, powiedziałbym: dziękuję po prostu za to, że byłaś sobą i pozwoliłaś mi uczestniczyć w swoim życiu.

Tyle podziękowań, a teraz przeprosiny.

Przepraszam, że nie osiągnąłem tego, czego się kiedyś może po mnie spodziewałaś. A wszystko miało być takie efektowne: pałac w Hollywood, wychodzę w smokingu po Oscara, a Ty obok mnie, w cudownej kreacji od Armaniego czy jakiegoś innego dyktatora mody, uśmiechasz się promiennie do kamer. A skończyło się na niewielkim domku i parze zabłoconych butów do wspinaczki. Jak mówią, życie to tak poważny zawód, że trudno się do niego przygotować.

Przepraszam Cię za to, że byłem taką zadrą w dupie, że byłem tak niecierpliwy, pełen pretensji, obrażający się za to, że pilnujesz mnie, bym troszczył się o podstawowe obowiązki wobec siebie. Przepraszam Cię za nudziarstwo, opowiadanie tylu marnych kawałów, które słyszałaś po stokroć, i za straszne pomysły coraz to nowych musicali - chociaż przychodzi mi teraz do głowy, że jeden o... ale nie, żartuję. Przepraszam, że nie potrafiłem zrobić z Tobą więcej rzeczy: podróżować

więcej, zdobywać więcej szczytów, spływać w kanoe strumieniami i więcej zjeżdżać na nartach. Pewnie, że w sytuacji, jaka powstała, działaliśmy niemało, ale dobrze wiem, że to i tak niewiele w porównaniu z tym, czego byś chciała.

Najbardziej przepraszam Cię za to, że nie mogłem dać Ci tych wszystkich dzieci, które powinniśmy mieć. Co najmniej tuzin. A przynajmniej trójkę, czwórkę. Może jednak z tego powodu Amy jest Ci bardziej droga. (Cóż ze mnie za dureń! Jak by to miało być możliwe?!)

Skoro już przy tym jesteśmy, przepraszam za to, że pozbawiłem Cię Connora. Wiem, że go kochałaś i może dalej kochasz. Mogę być ślepy, ale nie aż tak bardzo. Zawsze o tym wiedziałem. Staratem się nie być zazdrosny, ale zazdrość podobna jest do teriera, którego nie strząśniesz już z nogi, kiedy raz się w nią wgryzie. Przepraszam więc także za swoją małość, gdyż wszyscy straciliśmy na tym, że go tak radykalnie wypłoszyłem.

Jeśli nie jest na to za późno i jeśli Ciebie i Amy uczyni to szczęśliwymi, może kiedyś odnajdziecie się jeszcze z Connorem. Gdyby do tego doszło, macie moje błogosławieństwo. Twoje szczęście - i Amy - to wszystko, o co się modłę.

Bardzo Cię kocham, Julio Ed

Amy właśnie skończyła śpiewać, a kiedy wróciła, Julia ucałowała ją i posadziła między sobą i Lindą. Wszystkie trzy wzięły się za ręce i wpatrzyły w kapłana, wysokiego mężczyznę po pięćdziesiątce, który z burzą siwych włosów i krzaczastymi brwiami wyglądał jak biblijny prorok. Ed czasami grywał w kościele podczas mszy, a w ogóle był w dobrej komitywie z duchownym, gdyż ongiś razem wędrowali po górach. Powiedział teraz, że Ed był jedną z najpiękniejszych i najodważniejszych osób, jakie miał szczęście poznać, i że spotkanie z nim każdego napełniało radością i światłem.

Potem jeden z uczniów Eda odegrał na pianinie utwór, który Ed skomponował dla niego na urodziny. A potem przyszła kolej na Julię. Cały kościół rozbrzmiewał odgłosem jej kroków, gdy szła do pulpitu, na którym rozwinęła kartkę papieru dołączoną do listu Eda.

Wiersz nosił tytuł *Idąc z tobą* i nie było żadnej informacji, czy napisał go sam, czy gdzieś znalazł. Ton i wrażliwość wyraźnie wskazywały na Eda, ale pewne szczegóły świadczyły o tym, że autor nie był niewidomy. Julia martwiła się, czy jest to właściwe, aby odczytać wiersz publicznie. Amy jednak chciała tego, więc zamierzała spróbować. Julia podniosła głowę, rozejrzała się po wszystkich twarzach, patrzących i czekających, w połowie oświetlonych słońcem. W kościele panowała absolutna cisza. Julia odchrząknęła i zaczęła czytać.

Jeśli mnie przyjdzie odejść pierwszemu,

Nie daj zachmurzyć się swemu niebu.

I myśl uparcie, bez chwili wątpienia:

*To tylko zmiana, a nie rozstanie.
Bo tak jak śmierć jest częścią życia,
Zmarły wciąż żyje pośród żywych.
I wszystkie zdobycze wspólnej podróży,
Chwile zachwytu, dzielone olśnienia,
Nagromadzone skarby intymności,
Rzeczy, które wzbudzały w nas śmiech, płacz lub śpiew,
Śnieg błyszczący w słońcu i pierwszy powiew wiosny,
Bezgłośny język spojrzenia i dotknięcia,
Wzajemna wiedza,
Każde darowanie i przyjęcie.
Nie są to kwiaty, które więdną,
Ani też drzewa, co walą się lub próchnieją,
Ani kamienie,
Bo i te w końcu ulegną wichrom i ulewom,
A dumny szczyt zamienia się w piasek.
Czym byliśmy - jesteśmy,
Co mieliśmy - posiadamy.
Jest wspólna przeszłość niezniszczalnym teraz.
Kiedy więc idziesz lasem, po którymśmy kroczyli,
Lub próżno szukasz nad rzeką mego obok cienia,
Albo zatrzymujesz się na szczycie w miejscu,
Skąd zwykliśmy rozglądać się po łąkach,
Czy też na widok czegoś bezwiednie szukasz mojej ręki,
A gdy jej nie ma, czujesz, jak rośnie w tobie smutek
Poczekaj.
Przymknij oczy.
Odetchnij.
Wsluchaj się w moje kroki w twoim sercu.
Wcale nie odszedłem: ja dalej idę z tobą.*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Zbierali na brzegu drewno wyrzucone przez wodę i ciągnęli je do jamy, którą przygotowali pod ognisko. Drewno najczęściej było już bez kory i tak zbieleżało od słońca i soli, że nabrało barwy kości. Raz zresztą, sądząc, że sięga po jakiś konar, Connor wyciągnął coś, co okazało się zagrzebanym do połowy w piachu dziwnym szkieletem. Zawołał Kochę, a stary odkrzyknął, że to wieloryb. Czasami traciły kierunek, wyjaśnił, i zapędzały się na plażę, czasami umierały w morzu, a fale wyrzucały je na brzeg, ale nazwę Skeleton Coast, Wybrzeże Szkieletów nadano z powodu znajdujących tu zwłok żeglarzy z rozbitych statków.

Ułożyli konstrukcję ogniska, ale nie rozpalili go, tylko siedzieli na piachu, za sobą mając oświetlone wydmy, a przed sobą słońce zapadające się w szarawym oceanie. Horyzont szybko ciemniał i na niebie barwy indygo jedna po drugiej rozpały się gwiazdy. Wraz z mrokiem nadleciał też od oceanu zimny powiew i Kocha rozpałił ogień. Drewno było tak suche, że natychmiast zajęło się wysokim płomieniem, wstali więc i cofnęli się parę kroków, zapatrzeni w tańczące języki, ciskające w niebo roje iskier. Kiedy ogień przygasł, upiekli złowioną przez Kochę rybę i zjedli z resztką ryżu.

Znali się dopiero od tygodnia, ale mieli wrażenie, że trwa to od dawna. Sunąc powoli na północ wynajętym w Cape Town samochodem, zatrzymał się koło przydrożnego sklepu i poprosił o wodę. Nigdy dotąd nie był w Namibii, od dawna jednak słyszał o Skeleton Coast i zamierzał je zobaczyć, a z przyczyn, których nie zamierzał analizować, pragnął udać się tam na piechotę. Spytał właściciela, czy zna kogoś, kto mógłby go poprowadzić, a tamten kazał mu przyjść następnego dnia.

Rankiem Kocha czekał przed sklepem z małym plecakiem i starą strzelbą Lee - Enfield. Miał mniej niż pięć stóp wzrostu, podarta koszula khaki zwisała z niego jak ze stracha na wróble, pod siwymi włosami widniała ogorzała twarz z tak licznymi zmarszczkami, że przy uśmiechu oczy niemal zupełnie między nimi znikały. Długo potrząsał ręką Connora, spoglądając mu w oczy, a potem pokiwał głową, jak gdyby coś zrozumiał. Kiedy Connor robił zakupy, sklepikarz wyjaśnił mu, że Kocha jest Buszmenem, który wiele lat temu był przewodnikiem białych myśliwych. Mówi niezłe po angielsku, a okolicy nikt nie zna lepiej od niego.

Skleplikarz własnym samochodem wywiózł ich na pustkowie, nad skraj leżącą w dole zielonej doliny. Pożegnał się, życząc im szczęścia, a oni patrzyli, jak za nim powoli osiada wielka chmura czerwonego pyłu, znowu ukazuje się słońce i zapada cisza, jakiej Connor nigdy jeszcze nie słyszał.

Skończył się już chłód poranka, ognista kula wspinająca się coraz wyżej nad czerwony bezkres sięgający aż po horyzont, a rozgrzane powietrze zaczęło wibrować. W dolinie między drzewami kłębiła się jednak delikatna mgiełka. Zrzucili plecaki, Kocha dodatkowo strzelbę z postrzępionym rzemieniem parcianym i zaczęli schodzić.

Dolina, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się szeroką zieloną wstęgą ze wschodu na zachód. Kocha powiedział, że idzie śladem podziemnej rzeki, która na wschodzie rozlewała się po wyżynie, ale potem nieśmiało chowała się pod kruchą gipsową skałą i pokryty porostami żwir. Co jakiś czas, jakby dla upewnienia się co do kierunku, wynurzała się śmiało na powierzchnię, by przez kilkaset jardów bulgotać między drzewami i krzewami, a potem ponownie znikać pod ziemią.

W dolinie niewidzialnej rzeki mieszkało wiele zwierząt. W kolejne dni i noce widywali kudu, antylopy, żyrafy i zebry. Trzeciego wieczoru, kiedy szykowali obozowisko, Kocha coś posłyszał i ruchem ręki przywołał Connora, a kiedy ostrożnie wychylili się zza załomu skalnego, zobaczyli przy dole z wodą małe stadko słoni raczące się wodą.

Wieczorem przy ognisku widywali hieny przemykające w cieniu ze ślepiami blade połyskującymi w ciemności. Pewnej nocy usłyszeli chrapliwy kaszel lamparta, a z rana zobaczyli jego ślady nie dalej niż dwadzieścia jardów od ich legowiska. Kocha, który spał - jeśli spał - z bronią przy sobie, mówił, że widział w nocy zwierzę, ale jego wzrok powiedział, że nie zamierza im robić krzywdy.

Starzec znał każde zwierzę, każdego ptaka, owada i każdą roślinę, chociaż w niektórych wypadkach potrafił podać tylko buszmeńską nazwę. Był to język niepodobny do żadnego ze znanych Connorowi, a kiedy ten usiłował mało udolnie naśladować jego osobliwe dźwięczne głoski, Kocha dostawał ataku niepowstrzymanego śmiechu. Buszmen tłumaczył mu, jak zwierzęta chronią się przed straszliwym upałem, jak stepówka moczy pióra w wodzie, a potem leci wiele mil, aby napoić małe; jak chrząszcz piaskowy będzie stał całe godziny, aby wilgoć zebrała się na jego pancerzu, a następnie puści się w wymyślny taniec tak, aby krople spadły mu do ryjka. Pokazał Connorowi, jak owady potrafią wypijać wodę z kielichów kwiatów albo przez długie, puste źdźbło trawy wysysają je z malutkich studzienek przyczajonych pod powierzchnią piasku.

W nocy, gdy siedzieli przy ognisku, Connor wypytywał go także o miejscowe opowieści. Jak Kaang Stwórca, często przybierający postać modlącej się modliszki, stworzył księżyc, ciskając w niebo stary but, jak Droga Mleczna powstała z ogniskowego popiołu, rozsypanego w górze, aby oświetlać drogę myśliwym, i jak kiedyś wszystkie zwierzęta były zaprzyjaźnione z człowiekiem i mówiły jego językiem, ale od czasu, jak wystraszył je ogniem, oniemiały i uciekły.

Connor zaś czuł, że niezależnie od tych wszystkich informacji otrzymuje także jakąś jeszcze ważniejszą lekcję, chociaż w żaden sposób nie potrafiłby tego dokładniej wyjaśnić.

Podróżował od wielu miesięcy. Jeszcze nigdy nie był tak bliski szaleństwa, jak w chwili ucieczki z Nowego Jorku. Nie miał żadnych planów, a wiedział tylko, że chce się znaleźć jak najdalej od czegoś, czego nie potrafił określić, ale co jakoś wiązało się z diagnozą Beatrice i było tym, co za jej sprawą zobaczył w swoich fotografiach. Odległość przemówiła za tym, że poleciał najpierw do Australii. Stamtąd zataczając wielki łuk, wyruszył przez Azję Południowo - Wschodnią i Indie, by ostatecznie przez Ocean Indyjski wrócić na kontynent, z którym czuł się teraz najbardziej związany - do Afryki.

Prowadził proste życie, jeśli tylko było można - spał pod gołym niebem, a przemieszczał się bez żadnego planu, chociaż preferował miejsca, w których jeszcze nie był. Ani nie szukał towarzystwa, ani go nie unikał, z wyjątkiem postaci o głośnych nazwiskach. I bardzo często się zdarzało, że jako towarzysze trafiali mu się ludzie podobni do Kochy, którzy w jakiś pradawny sposób byli związani z ziemią, a czas, przestrzeń i miejsce należne człowiekowi wyczuwali dodatkowym zmysłem.

Nie potrafiłby powiedzieć, na czym dokładnie polegała odmiana spowodowana przez te spotkania i całą podróż. Ale wiedział, że się dokonała - widać ją było w jego twarzy. Ilekroć zdecydował się ogolić - a czynił to rzadko - zdumiewał go jej widok w lustrze. Wychudzona, koścista, okolona długimi, skręconymi, pojaśniałymi od słońca włosami. Ogorzała skóra napinała się na kościach policzkowych i miał wrażenie, że blade oczy należą do kogoś innego. Nie martwiło go to, chociaż może powinno. Zewnętrzna zmiana odpowiadała bowiem wewnętrznej - powoli wypaliło się w jego wnętrzu jakieś mroczne, organiczne pragnienie, które nienasycone trwało od lat. Teraz pozostało po nim tylko puste miejsce, a chociaż blizna nadal była wrażliwa, to jednak najwyraźniej się goiła. Ciągle, oczywiście, przydarzało się, że powracały upiory widzianych kiedyś scen czy ból za tymi, których kochał. Wiedział jednak, że to już tylko cienie obłoków, które przepłynęły.

Opuszczając Nowy Jork, zabrał ze sobą tylko małą torbę ze sprzętem fotograficznym, pomimo jednak niezwykłych widoków, jakie się nadarzały, rzadko ją otwierał. Trochę na turystyczną modłę utrwalił kilka pejzaży i świątyń, ale nigdy więcej nie sfotografował żadnej ludzkiej twarzy.

Connor nie wiedział, ile z tej jego wewnętrznej odysei rozumiał Kocha. Żyli chwilą bieżącą, bardzo niewiele mówili o przeszłości, niewiele o swoich osobistych doświadczeniach. Kocha wspominał tylko, że od dawna jest wdowcem, a jego liczne dzieci żyją gdzieś daleko na wschodzie. Connor pokazał mu laminowaną fotografię Julii i Amy, nie wchodził jednak w szczegóły, a Kocha o nic się nie dopytywał. Connor podejrzewał, że stary Buszmen bardzo wielu rzeczy domyśla się bez słów.

Dwa dni temu Kocha obudził go przed świtem i wyprowadził na wierzch doliny. Nic nie mówił, Connor nie stawiał pytań. W jaśniejącym chłodzie poszli ku skalistej iglicy sterczącej na piaszczystym pustkowiu niczym ruina dawnej cytadeli. Marsz trwał ponad godzinę i w tym czasie słońce rozpałało jej krawędzie. Kiedy stanęli u jej stóp i spojrzeli ku szczytowi, z którego poderwała się para orłów, Connor poczuł, że z tym miejscem wiąże się jakaś tajemnica.

Przez prawie godzinę wspinali się i pokonywali rozpadliny, w które umykały przed nimi jaszczurki, by potem podejrzliwie obserwować ich z ukrycia. Za ostatnią, najgłębszą i najbardziej zdradliwą, skała nagle otworzyła się niczym kwiat i oto stali w środku skalnego kręgu, w połowie ocienionego, a w połowie lśniącego niczym roztopiony metal.

Ściany sięgały dziesięciu, dwunastu stóp, dno zasłane było kamieniami. Connor pomyślał, że kiedyś była to pewnie jaskinia, której sklepienie się zawaliło. Powietrze było nieruchome, gorące, słyszał tylko swój przyspieszony oddech. Kocha podniósł rękę i wskazał w kierunku ścian, a Connor patrzył na niego chwilę, nie rozumiejąc, kiedy jednak osłonił oczy od światła i podszedł bliżej - zobaczył.

Skała pokryta była czarnymi, czerwonymi i białymi malowidłami: zwierzęta - słonie, żyrafy, zebry, lwy, gazy, i goniące je lamparty, ludzie z włóczniami, łukami i strzałami. Między postaciami pojawiały się znaki, niektóre wyraźnie inspirowane przez tropy zwierząt, inne - trudniejsze do odgadnięcia. Zapytany Kocha odrzekł z uśmiechem, że to pradawne mapy pustyni, pokazujące, gdzie można znaleźć pewne zwierzęta, rośliny, rzeki, źródła, a także punkty orientacyjne, po których czasami nie zostało już ani śladu.

Connor obchodził skalną rotundę z rosnącym zachwytem. Jego cień wolno przesunął się po malowidłach, jakby to on je dopiero ujawniał. I nagle, dokładnie w miejscu, gdzie zaczynała się granica cienia, zobaczył wizerunek, który sprawił, że stanął jak wryty, serce mu zadrżało, a na plecach poczuł ciarki.

Pożar ogarniał drzewa i krzewy, a między nimi stało - jakby dopiero się wynurzyło - ogarnięte przerażeniem zwierzę. Była to bez wątpienia jakaś wielka antylopa, może gazela, a może kudu. Równie dobrze mógł to być łoś, którego rogi i sierść stały w płomieniach.

Connor nie wierzył własnym oczom. Chciał zapytać Kochę o to malowidło, ale minęło trochę czasu, zanim odważył się przemówić.

- Co to takiego? - spytał.

Kocha odpowiedział w swoim języku, ale tym razem Connor nawet nie próbował powtarzać.

- W twoim języku chyba najlepiej powiedzieć: Duch Płomieni.

- Dobry czy zły?

- Ani taki, ani taki, podobnie jak sam ogień. Opowiem ci pewną historię mego ludu, ale teraz robi się już gorąco, więc musimy wracać w cień doliny.

Ale na przekór oczekiwaniom Connora, Kocha nie podjął opowieści ani tego wieczoru, ani następnego, on zaś nie wiedział, czy stary zapomniał, ale nie miał śmiałości się dopominać, a poza tym jakoś się jej lękał.

Teraz jednak, gdy dotarli do oceanu, ich podróż dobiegła kresu. I w świetle księżyca lśniącego na niebie, w chłodnym powietrzu poruszonym rytmicznymi uderzeniami fal, Kocha nachylił się ku ognisku, jego czarne oczy załśniły i zaczął mówić.

- Dawno, dawno temu, gdy Kaang stworzył już świat i wszystkie żyjące na nim istoty, obdarzył też człowieka ogniem. Ludzie jednak stali się chciwi, wiarołomni i zaczęli walczyć ze sobą. Aby ich więc ukarać, Kaang postanowił odebrać im dar i zesłał Ducha Płomieni w postaci wielkiej kudu, aby wszystkie ognie wzięła na swe rogi i przyniosła mu z powrotem.

Tchue, wielki myśliwy i wódz, widząc to, porwał swój łuk i posłał prosto w serce kudu. Kaang bardzo się rozgniewał i nakazał, by Tchue naprawił swój postępek, oddając kudu swoje serce. „Ale jak będę żył bez serca?” - spytał Tchue, na co Kaang podniósł z ziemi kamień i rzekł: „On teraz będzie twoim sercem”. Myśliwy oddał więc swoje serce, zamiast niego umieścił kamień i wrócił do swych ludzi.

Ponieważ jednak kamień był bardzo ciężki, nie mógł już więcej polować i dostarczać swoim jedzenia, ci więc zwrócili się przeciw niemu i go wygnali. Przez wiele lat wędrował samotnie, żywiąc się tylko muchami i tym, co zostawiły kruki i szakale. Pewnego dnia Kaang zobaczył, jak Tchue pije z rzeki, i ciągle na niego gniewny, uderzył piorunem. Krzaki wokół Tchue stanęły w ogniu i uciekać mógł tylko do wody, ale rzeka była tu bystra i niebezpieczna. Dla przeprawy ułożono sterczące kamienie, ale pierwszego zabrakło. Tchue pomyślał jednak, że jeśli wyteży wszystkie siły, uda mu się doskoczyć do najbliższego stopnia.

Już miał skakać, kiedy postyszał straszne zawodzenie. Patrzy, a to modliszka przycupnęła na brzegu i prosi: „Pomóż mi, pomóż, bo jeśli nie zginę w ogniu, to utonę!” Tchue zaofiarował się, że weźmie ją na ramię, ale ostrzegł, że z dodatkowym, nawet tak małym ciężarem, może nie uda mu się doskoczyć. „To czemu, durniu, nie poszukasz kamienia?”, ofuknęła go modliszka, którą, oczywiście, był Kaang.

Tchue rozejrzał się, ale nigdzie w pobliżu nie było kamienia, a tymczasem ogień podpełził już tuż, tuż. Wtedy przypomniał sobie, że przecież w piersiach ma kamień, wyjął go więc i cisnął w wodę. Nawet bez jednego „dziękuję” modliszka skoczyła na kamień, potem na następny i jeszcze dalszy, a po chwili zniknęła w buszu.

Tchue chciał pójść w jej ślady, ale nie miał teraz serca ani siły, żeby skoczyć przynajmniej

na pierwszy kamień, padł więc na kolana i gotował się na śmierć w ogniu. Nagle posłyszał za sobą dziwny dźwięk, a kiedy spojrzął, zobaczył przysłanego przez Kaanga Ducha Płomieni, który wziął myśliwego na swój grzbiet i przeniósł bezpiecznie przez rzekę.

A ponieważ Tchue wykazał tyle odwagi i wielkoduszności, Kaang przebaczył mu, odłamał jeden z płonących rogów kudu i umieścił w piersi jako serce. Tchue wrócił do swych ludzi, a oni powitali go jak wielkiego bohatera, gdyż - z błogosławieństwem Kaanga - własnym sercem rozpałał ogień. Więc kiedy teraz zobaczysz kudu, będziesz wiedział, że jej rogi wygięte są od ognia i od płomieni poczerniałe z boku.

Kocha pomilczał chwilę, a potem z uśmiechem zajął Connorowi głęboko w oczy.

- A może znałeś już tę historię?

Connor potrząsnął głową.

- Nie, teraz usłyszałem po raz pierwszy. Bardzo dziękuję. Zapatrzili się w dogasający ogień i milczeli. Zanim się ułożyli, rzucili na żar resztę drewna, a że właśnie w tej samej chwili powiał wiatr, więc płomienie nagle strzeliły wysoko, cofnęli się zatem kilka kroków. Przygasały, kiedy Kocha ujął go za łokieć i zrobił ruch brodą. Connor spojrzął we wskazanym kierunku i tuż za resztką szkieletu wieloryba zobaczył wpatzonego w nich lwa. Był to stary samiec i nawet w skąpym świetle Connor dostrzegł, że jego grzywa i sierść są dosyć liche. Bestia patrzyła jednak na nich z władczą godnością, lekko poruszając ogonem. Nie potrafił powiedzieć, jak długo to trwało, albowiem czas jakby się zatrzymał. Wreszcie lew po raz ostatni machnął ogonem, odwrócił się i majestatycznym krokiem ruszył między wydmy. Zatrzymał się na skraju ciemności, raz jeszcze popatrzył na nich i zniknął na dobre.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Julia nałożyła skórzane rękawice, opuściła maskę hełmu i chwyciła piłę.

- Dobra, a teraz trzymaj linę napiętą, jasne?

Amy kiwnęła głową. Stała o jakieś dwanaście stóp dalej i trzymała linę, drugim końcem przywiązaną do słupka, do której przecięcia szykowała się Julia. Dziewczynka zaparła się mocno i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Co ci tak wesoło?

- Śmiesznie wyglądasz.

- Śmiesznie? Myślę, że wyglądam całkiem w porządku.

- Jesteś spocona i brudna.

- W porządku, moja Panno Ślicznotko. Trzymaj dobrze sznur.

Pociągnęła za sznur rozrusznika i piła ożyła. Było późne sierpniowe popołudnie, a ona istotnie cała była spocona i umorusana. Miała nadzieję, że uwiną się z robotą w dwie godziny, a tymczasem zajęło im to cały dzień. Usuwały słupki, na których kiedyś rozpięta była lina, aby Ed mógł schodzić nad rzekę, jednak okazały się bardzo mocno osadzone w cemencie. Amy zasugerowała, ażeby ściąć jak najbliżej ziemi, a kikuty pozostawić, Julia jednak upierała się, żeby usunąć je całkowicie, inaczej bowiem ciągle będą się potykały.

Zaczęły od rzeki i powoli posuwały się w górę, ku domowi, nabierając wprawy i ulepszając technikę; ten słupek był już ostatni. Obie zdawały sobie sprawę z symbolicznego znaczenia tej pracy.

Bez trudu można było usłyszeć albo przeczytać mądre rady, jak sobie poradzić po śmierci ukochanej osoby: jak rozpaczać, jak nie rozpaczać, jak wspominać, jak nie wspominać. Tymczasem Julia stwierdzała, że najtrudniejsze są małe, drobne sprawy. Kiedy trzeba usunąć pałta Eda z kołków w przedpokoju? Zabłocone buty i wędkę z kąta? I czy dyskutować o tym z Amy, czy zrobić to ot tak sobie, aby potem obie udawały, że nic nie zauważyły? Może najlepiej, by sam czas o takich sprawach rozstrzygał?

Pierwsze pół roku to dla nich obu była szkoła przetrwania. Kiedy minął już pierwszy szok po śmierci Eda, Julia poczuła się oddzielona od wszystkiego i wszystkich, z wyjątkiem Amy. Przyłgnęły do siebie jak dwa porzucone stworzonka, a kiedy Julia wyglądała na świat, ten ukazywał się jej jakby przesłonięty mroźną mgłą. Niby zawsze wiedziała, że życie Eda wisi na cieńszym włosku niż w przypadku innych osób i że z racji chociażby jego cukrzycy zawsze może zakończyć się zupełnie niespodziewanie, ale dopiero teraz spostrzegła, że możliwość tę traktowała

zupełnie abstrakcyjnie, jak na przykład możliwość odnalezienia życia na innej planecie. Być może w ten sposób nieświadomie chroniła siebie i Amy. A może to jego pasja życia, jego energia i optymizm sprawiały, że nieprawdopodobne wydawało się to, by na przekór im mogło się wydarzyć jakieś nieszczęście.

Przez pierwsze kilka miesięcy do głowy jej nie przyszło, by coś usuwać czy przestawiać. To absurd, wiedziała, ale nie potrafiła oprzeć się nadziei, że nagle któregoś dnia pojawi się, jak gdyby nigdy nic - ona wróci do domu, a on będzie siedział przy fortepianie i pomiędzy jedną melodią a drugą spyta, jak minął jej dzień. Dlatego ruszanie jego rzeczy wydawało się świętokradztwem.

Tak więc ubrania pozostały w szafie, przybory do golenia w łazience, a nuty na fortepianie, do którego Amy z rzadka teraz zasiadała. Julia rozumiała ją i nie naciskała, mając tylko nadzieję, że wrócą jeszcze pasje muzyczne, a na razie instrument pokrywał się kurzem, cisza zaś stawała się coraz cięższa i coraz trudniejsza do przerwania.

Noc po śmierci Eda Amy spędziła z matką i tak już pozostało, chociaż z czasem Julia zaczęła się niepokoić, czy to na pewno dobrze i czy nie wpłynie źle na niezależność dziewczynki. Tak czy owak, obu im potrzebna było obecność drugiej osoby, do której można się było przytulić w środku nocy. W weekendy jadły śniadanie w łóżku, nieraz aż do południa spędzając czas na czytaniu i rozmowach. I właśnie podczas jednej z takich pogawędek Julii zniemacka przyszedł do głowy pomysł, aby usunąć linę. To nic wielkiego, powiedziała, a zaraz robi się wygodniej.

- A nie potrzeba nam do tego jakiegoś chłopca?

- Chłopca? Co ty wygadujesz?! To nie jest robota dla mężczyzn. Dziewczyny same się świetnie z tym uporają.

Amy z zapalem pokiwała głową.

- Dobra!

- Ale nie czujesz, żeby to było coś niedobrego, bo to jedna z rzeczy taty?

- A ty?

- Nie.

- Ja też nie. Na pewno by powiedział, że tak trzeba.

No i teraz, po sześciu godzinach, piła zaczęła napoczynąć ostatni słupek.

- No! - krzyknęła Julia. - Uważaj, zaczynam!

- Start!

Drewno zachwiało się, a kiedy padło na trawę z grzmotnięciem, obie wykrzyknęły triumfalnie. Julia wyłączyła piłę, a kiedy silnik wygasł, usłyszały telefon.

- Odbierzesz, kochanie?

Amy pobiegła na taras, a z niego wpadła do domu, podczas gdy Julia położyła na ziemi

hełm, wzięła szpadel i zaczęła okopywać cementowy fundament, aby łatwiej było wyjąć słupek.

- Mamó! Do ciebie!

Z głosu Amy zorientowała się, że to jakiś niezwykle telefon. Ściągnęła rękawice i weszła na taras.

- Kto to taki?

- Jeśli dobrze zrozumiałam, to twój ojciec.

- Coś takiego!

Zrobiła komiczną minę, zmierzwiła dziewczynce włosy i poszła do drzwi, siląc się na nonszalancję, chociaż jej serce szalało. Ostatnią wiadomość miała od ojca przez pięć lat, a nie widziała go chyba trzy razy dłużej. Kiedy zaprosili go na ślub, odpisał im, podając jakiś marny wykręt. Nigdy nie zobaczył Eda, nigdy nie widział Amy, swej jedynej wnuczki. Kiedy brała słuchawkę, cała zionęła już gniewem.

- Halo?

- Julia?

- Tak, a kto mówi?

Było to może podłe, ale nie mogła się powstrzymać.

- Twój ojciec.

- O! Jak się masz?

- Świetnie. A ty?

Julia parsknęła śmiechem.

- Dobrze, właśnie... Znakomicie. Dzięki. A ty?

- To była, jak przypuszczam, Amy?

No tak, cóż innego mu pozostało oprócz przypuszczeń.

- Istotnie. Twoja wnuczka.

Nastąpiła cisza, której ona ani myślała zakłócać. Niech się sam męczy.

- Słuchaj, dzwonię z Seattle.

- No proszę.

- Wpadłem tu na kilka dni w interesach i tak sobie pomyślałem, że może bym złapał samolot i was odwiedził?

Omów nie padła jak rażona gromem. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Rozglądając się w panice, dostrzegła Amy, która stała w drzwiach i przysłuchiwała się rozmowie.

- Oczywiście, gdyby ci to jakoś nie odpowiadało, ja to znakomicie zrozumiem.

- Ja... To znaczy... Nie mogę pozbierać myśli, tyle czasu...

- Wiem i bardzo mi przykro.

Znowu cisza, a Julia nadal była na karuzeli uczuć, którą te kilka słów puściło w ruch.

- Posłuchaj - odezwał się znowu. - Wiem, co musisz czuć...

- A skąd niby masz wiedzieć? - przerwała mu ostro.

- Przepraszam. Oczywiście, że nie wiem. Może ten telefon to nie był najlepszy pomysł.

- Przecież ja nawet nie wiem, gdzie ty się teraz podziewasz!

- Rozumiem. Widzisz...

- Jezu... Tyle czasu!

Już, już miała na końcu języka pytanie, za kogo właściwie się uważa, że raptem dzwoni sobie jak gdyby nigdy nic i proponuje, że za chwilę zjawi się w ich życiu, ale jej wzrok padł na zafrasowaną twarzyczkę Amy. Wyciągnęła rękę, a dziewczynka podbiegła i mocno się w nią wtuliła. Julia odetchnęła głęboko i powiedziała spokojnie:

- Przyjedź.

- Jesteś pewna?

- Tak. Wpadnij się z nami zobaczyć. Będzie nam przyjemnie.

Zjawił się następnego wieczoru.

Był siwiuteńki, znacznie mniejszy i chudszy, niż go zapamiętała. Musiał już mieć pod sześćdziesiątkę, ale nadal nieźle się prezentował - ten sam ukradkowy uśmiech i niebieskie, odrobinę melancholijne oczy. Ledwie pojawił się w wejściu dla przylatujących, podążył prosto tam, gdzie stała z Amy trzymającą ją pod ramię.

Przez całą drogę na lotnisko i podczas czekania Julia powtarzała sobie, żeby tylko nie płakać, a kiedy teraz ojciec zbliżał się, widziała, że także walczy ze łzami. Pewnie i on podjął podobne postanowienie. Mocno ją przytulił i zamarli tak w uścisku, nie mówiąc ani słowa, a jego zapach nagle ożywił wszystkie wspomnienia, udało jej się jednak nie wybuchnąć łkaniem. Obydwoje zresztą dzielnie wytrzymali.

Przedstawiła Amy, która trzymając się jej, obdarzyła go zawstydzonym uśmiechem. Nie bardzo wiedział, czy może ją pocałować, więc wziął tylko w obie dłonie jej rękę i to Amy, która w sposób niejednokrotnie wprawiający Julię w zdumienie, rozpoznawała wiele subtelności emocjonalnych, pociągnęła go w dół i ucałowała w policzek.

Przez większość drogi do domu siedział obrócony do Amy i opowiadał jej o podróży, o Vancouver, gdzie był przed kilkoma dniami, i zdumiewającym białym wielorybie w zoo. W odpowiedzi na pytanie o szkołę, ona z kolei oznajmiła, że zaczęła jeździć konno i uczy się galopować, po czym opisała wszystkie wierzchowce w stajni. Zanim dojechali na miejsce, oboje zdążyli się już zaprzyjaźnić, kiedy więc Julia zajęła się kolacją, Amy oprowadziła dziadka po domu i zabrała go nad rzekę.

Julia nakrywała do stołu i widziała ich z tarasu: Amy z ręką w dłoni dziadka, rozszczebiotana, on w swojej spłowiałej koszuli dżinsowej, z głową lekko ku niej nachyloną, wsłuchany w każde jej słowo. Gdzieś z dalekich zakątków pamięci powróciło wspomnienie jej samej w wieku Amy - idzie z ojcem przez park, czuje się bezpieczna, dumna z niego i dumna z siebie, że rozmawia z nią jak z kimś dorosłym, a nie z jakąś głupiutką dziewczynką.

Cementowe fundamenty, chociaż podkopane, pozostały na miejscu. Słyszała, jak Amy tłumaczy dziadkowi, że mama w końcu uznała, że będą musiały skorzystać z pomocy jakiegoś „chłopa”. Była to sugestia tyleż oczywista, co nie zamierzona, a po powrocie do domu ojciec powiedział Julii, że zajmie się tym rano.

Kiedy przy świecach zasiedli do steków, Julia uświadomiła sobie, że po raz pierwszy przygotowała ojcu coś do jedzenia, i jakoś dziwnie poczuła się zarazem jego córką i opiekunką.

Amy spytała po kolacji, czy dziadek poczyta jej na dobranoc. Kiedy oddalili się na górę, Julia wzięła się do zmywania, a potem sama poszła powiedzieć „dobranoc”.

- Jest kochany - powiedziała jej na ucho Amy, kiedy ojciec zniknął za drzwiami.

- Tak. A ty bardzo kochana.

Kiedy Julia zeszła na dół, jej ojciec siedział na tarasie przy stole i palił papierosa. Powiedział, że ma nadzieję, że nie ma mu tego za złe, na co odrzekła, że sama od tak dawna nie paliła, więc z chęcią spróbowałaby jednego. Podał jej i zapalił.

- Wspaniała dziewczynka - oznajmił.

- Tak. Wspaniała.

Przez chwilę się nie odzywali, aż wreszcie on przerwał milczenie.

- Julio, jest tak wiele rzeczy, za które chciałbym cię przeprosić, że nie wiem, od czego zacząć.

- No to powiedzmy, że już to zrobiłeś. Mnie najbardziej ciekawi, dlaczego właśnie teraz, po tylu latach?

Wpatrywał się w blat. Papieros tak jej nie smakował, że zdusiła go w popielniczce.

- W zeszłym roku dowiedziałem się, że mam złośliwego raka skóry. Czerniak.

O Boże, pomyślała, tylko nie to. Tylko nie kolejna śmierć. Musiał wyczytać to na jej twarzy, gdyż zaraz dorzucił uspokajającym głosem, gasząc też swojego papierosa.

- Ale teraz już w porządku. Wykryli odpowiednio wcześniej. Otóż Claudia, moja żona...

- Wiem, kto to Claudia!

- Przepraszam, oczywiście, że wiesz. Zatem Claudia to wykryła, zoperowali mnie i teraz już wszystko jest OK. Naprawdę. Ale takie zdarzenie sprawia, że człowiek przystaje i zaczyna się zastanawiać. Wiesz, nad tym, co ważne w życiu. I zdałem sobie sprawę, jakim byłem durniem w

stosunku do ciebie. Że tak się oddaliłem... I tyle czasu przeleciało... A im więcej go przeleci, tym trudniej jest później... Nie wiem, jakoś mi to nie wychodzi.

Wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni.

- W porządku.

- Nie, Julio, to nie jest w porządku. Nigdy nie zobaczyłem twojego męża. Nie było mnie w zasięgu ręki, kiedy było wam tak ciężko. I nie mogę nawet powiedzieć, że nie wiedziałem, gdyż twoja matka mi opowiadała. Od niej słyszałem, jaki wspaniały był Ed, to ona zaklinała mnie, żebym przyjechał na wasz ślub, na chrzciny Amy, nawet na... pogrzeb Eda. A ja nie mogłem się na to zdobyć, wolałem, żeby wszystko trwało dalej, przede wszystkim chyba z powodu wstydu, tak, wstyd był najmocniejszy. I teraz, Boże, wybac mi, tak mi strasznie, strasznie przykro. Takim byłem durniem, bo ty jesteś taka cudowna i piękna, Amy także. Więc... Nie wiem, co więcej jeszcze powiedzieć, oprócz przepaszam.

Odwrocił głowę i otarł łzy. Julia wstała, uklękła koło krzesła ojca i mocno go objęła. Trwali tak w objęciach i płakali.

- Chciałbym zacząć wszystko od nowa - wyszeptał. - Tym razem lepiej bym wszystko rozegrał.

Następnego dnia pomógł im oczyścić z cementu słupki, zasypał dziury, a słupki pociął na polana do kominka, które umieścili w stodole. Po południu miał samolot do Seattle, a stamtąd wracał wprost do Europy. Amy uparła się, że zrobi mu na drogę kanapki, i podczas kiedy krzątała się w kuchni, Julia z ojcem popijali mrożoną herbatę na tarasie.

- Piękne macie tutaj miejsce - powiedział. - Zostaniesz tutaj?

- Jeszcze nie wiem na pewno.

- A gdybyście trochę zaczęły podróżować? To dobra rzecz.

- Może.

- Mogłybyście przyjechać do nas, zwiedzić trochę Europę. W drzwiach stanęła Amy z kanapkami.

- Ja chcę objechać cały świat - oznajmiła.

Odwiozły go na lotnisko, a przed rozstaniem Julia musiała obiecać, że zastanowi się nad odwiedzeniem ojca i Claudii w Niemczech. Propozycja była urocza, ale Julia wiedziała, że nigdy do tego nie dojdzie, a pewnie i on tak przypuszczał.

Odwiedziny bardzo ją poruszyły, jak gdyby domknęło się jakieś koło. W pewien tajemniczy sposób wyzwoliły ją, dały poczucie, że musi coś zmienić. W następnym tygodniu zebrała wszystkie ubrania i buty Eda, a potem zawiozła do punktu dobroczynnego. Usunęła także z łazienki przybory do golenia, wszystkie papiery nutowe schludnie poukładała na półkach, a specjalnie przygotowany

komputer oddała miejscowemu oddziałowi Towarzystwa Niewidomych.

Dla obydwu zaczęła się szkoła, ale Julia nie potrafiła wykrzesać z siebie dawnego zapału do pracy. Zdarzało jej się zapatrzeć w okno, a potem musiała prosić uczniów, aby powtórzyli pytania, których po prostu nie słyszała. Przygnębiała ją wizja następnej ostrej zimy i kolejnego cyklu rytuałów szkolnych.

Pokochała Montanę i gdyby Ed żył nadal, bez wahania nazywałaby ją swym domem. Teraz jednak zaczynała czuć, że to zawsze bardziej było jego miejsce niż jej. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że miałyby tu spędzić resztę życia. Było to wprawdzie także miejsce Amy, która przecież nie znała innego domu, ale w jej wieku i przy jej bystrości łatwo było się przystosować do nowych warunków. Nadchodziła jesień, dni robiły się krótsze, a Julia czuła rosnący niepokój i przekonanie, że musi spróbować czegoś nowego.

Podczas porządków natknęła się na pudło z fotografiami, które już dawno obiecywała sobie umieścić w albumach. Było to bardzo dobre zajęcie na chłodne wieczory, a pomysł zafascynował Amy. Pojechały do Missouli, kupiły sześć albumów, potem rozpały ogień w kominku i usiadły przed nim ze zdjęciami rozrzuconymi dookoła.

Julia nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak dawne były niektóre z fotografii, niekiedy pochodziły jeszcze z czasów, gdy nie znała Eda. Na jednym wraz z Lindą występowały w przygotowanych na bal karnawałowy w Bostonie strojach dziwek. Amy tak bardzo zaśmiewała się w głos, że Julia zaczęła się obawiać, czy dziewczynce nic się nie stanie.

- Nie wiem, co cię tak bardzo śmieszy. Taka była wtedy moda i tyle.

Znalazły się też zdjęcia, które Julii służyły jako inspiracja do obrazów, między innymi zrobione w Kenii na rok przed poznaniem Eda. Amy była urzeczona. Słyszała już wcześniej o podróży matki, ale teraz domagała się opowieści przy każdej fotografii. Chciała dowiedzieć się o wszystkim, co Julia tam zobaczyła i przeżyła. Na jednym ze zdjęć lwy wylegiwały się pod drzewem.

- Naprawdę podeszłaś tak blisko?

- Tak, ale raczej podjechaliśmy ciężarówką, więc byliśmy dość bezpieczni. A poza tym miały już dość smaku turystów.

- A czy my kiedyś pojedziemy do Afryki?

- Czemu nie. Kiedyś.

Wkrótce potem Julia natrafiła w starym czasopiśmie na artykuł Connora o Naszej Pani Anielskiej i misji w Ugandzie dla dzieci - żołnierzy. Odłożyła go na bok, a potem wzięła do łóżka. Kiedy Amy zasnęła już obok niej, dwa razy przeczytała uważnie, starając się nie szeleścić stronicami. Bardzo długo wpatrywała się w zdjęcie dziesięcioletniego chłopca, Thomasa, który na

skutek przeżyć utracił mowę.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła to zdjęcie na kilka miesięcy przed śmiercią Eda, rozplakała się, ale teraz oczy pozostały suche. W artykule Connor pisał, że ośrodek był utrzymywany głównie przez organizację dobroczynną z siedzibą w Genewie, ale środków zawsze ledwie, ledwie starczało i dlatego zawsze chętnie widziana jest „wszelka pomoc finansowa i rzeczowa”.

W pierwszej chwili pomyślała, że mogłaby zorganizować coś w szkole, zaproponować uczniom, żeby napisały do dzieci z Naszej Pani Anielskiej, może nawet urządzić jakąś zbiórkę. Potem przeczytała następne zdanie. Kierowniczka ośrodka, siostra Emilia, mówiła, że nieustannie odczuwa brak „odpowiednio wyszkolonego personelu”. W głowie zakłębiło się od myśli.

To przecież jej specjalność. Przypomniały jej się słowa Amy o wyjeździe do Afryki. Odłożyła czasopismo i zgasła światło, ale głowa nie dawała się tak łatwo wyłączyć. Niemal przez całą noc przewracała się i zmagła z myślami.

Przez kilka dni zachowywała je tylko dla siebie. Były takie absurdalne. Jak to - wyrwać wszystkie korzenie, zabrać Amy ze szkoły i jechać gdzieś na kraj świata? A wszystkie choroby? Niebezpieczeństwa? Nie ma mowy!!!

A przecież jakieś przedziwne przeczucie mówiło jej, że tak właśnie się stanie. Cóż to za niebывałe doświadczenie dla dziecka zobaczyć inny kontynent, poznać inną kulturę i odmiennych ludzi! No i przecież nie chodziło o wyjazd na całe życie. Kilka miesięcy, najwyżej rok! Trochę jak długie robocze wakacje, które kiedyś tak sobie ceniła. Nie będzie musiała nawet porzucać szkoły, pani Leitner z pewnością zgodzi się na roczny urlop. A pieniądze na podróż będą miały z wynajęcia domu. I powrócą tutaj wzbogacone wewnątrz.

I tak stopniowo coś, co zrazu zdawało się utopijną chimera, przybrało postać konkretnego projektu, na którym mieli skorzystać wszyscy, projektu, który nie tylko można, ale wręcz trzeba było zrealizować.

Zadręczała się, jak zacząć o tym rozmawiać z Amy: czy już teraz, na etapie wstępnych planów, czy po sprawdzeniu wykonalności wszystkich szczegółów? Ale problem jakoś sam się rozwiązał podczas kolacji, na którą była ulubiona potrawa Amy - spaghetti z sosem pesto. Spytała zniemacka, nieoczekiwanie dla samej siebie:

- Pamiętasz, jak pytałaś o Afrykę?

- Uhm.

- I ciągle chciałabyś tam pojechać?

- Pewnie. A dlaczego pytasz?

- Bo jakoś ostatnio o tym myślałam. Może istotnie powinnyśmy pojechać?

- Na wakacje?
- To z pewnością byłyby wakacje. Mogłybyśmy jechać na safari, obejrzeć zwierzęta.
- Mamo, mówisz poważnie?! Uou!
- Tyle że sobie pomyślałam, że mogłabym tam trochę popracować.
- To znaczy, że byśmy tam zamieszkały?
- Może na trochę.
- Jak długo?
- Czy ja wiem? Kilka miesięcy?
- A gdzie?

Julia położyła na blacie przygotowane już czasopismo. Amy rzuciła tylko okiem i wróciła do spaghetti.

- Już to widziałam. Tam byś pracowała?
- Gdyby mnie zechcieli. A czytałaś tekst?
- Jasne. Zawsze czytam wszystkie kawałki Connora. To tam mieszka?

Julia roześmiała się.

- Nie. Tylko tam się zjawił. Nie wiem, gdzie się teraz podziewa. Skąd przysłał ci ostatnią kartkę?

Amy w zamyśleniu zmarszczyła nos.

- Chyba z... Indii? Czy Uganda jest podobna do Kenii?
- Graniczą ze sobą, ale Uganda podobno jest jeszcze piękniejsza. Nazywają ją Perłą Afryki.
- Perła Afryki!
- No to co o tym sądzisz?
- O czym?
- Żeby pojechać i spróbować pomóc dzieciom w Ugandzie?
- Ja także będę pomagać?
- Jestem pewna, że na brak pracy nie można tam narzekać. I Amy wzruszyła ramieniem.
- ś - Świetnie.
- Myślisz, że będziesz chciała to robić?
- Jasne. Mogę poprosić jeszcze o spaghetti?

Julia znalazła telefon organizacji genewskiej i zadzwoniła do nich. Kobieta o stanowczym głosie i silnie francuskim akcencie oznajmiła, że tak, potrzebują wykwalifikowanych pracowników w Naszej Pani, a nawet można powiedzieć, że potrzebują ich rozpaczliwie. Podała Julii adres i telefon filii w Nowym Jorku.

Zadzwoniła do Lindy w Nowym Jorku, spodziewając się, że przyjaciółka uzna ją za

wariatkę. Linda tymczasem postawiła kilka pytań, rozważyła kwestię w półtorej sekundy, a następnie zaproponowała, żeby przyjechały do niej na Święto Dziękczynienia. Amy zobaczy wtedy miasto, a Julia będzie mogła sprawdzić wszystko na miejscu.

Julia zapomniała wspomnieć o tym, że o całym pomysle nic nie wie jej matka, która od czasu, gdy usłyszała o wizycie swego byłego męża, stała się nieco oschła. Kiedy teraz Julia zadzwoniła, aby ją poinformować o przyjeździe, matka natychmiast znalazła kilka powodów, dla których będą się musiały zatrzymać u Lindy w Greenwich Village, a nie u niej na Brooklynie. Julia zaczęła tłumaczyć, że to pierwsza wyprawa Amy do Nowego Jorku, więc wolałyby być na Manhattanie, żeby odbyć turystyczną rundę - Empire State Building, Statua Wolności, lodowisko na Rockefeller Plaża.

- Wiesz - dodała nieostroźnie - jako dziecko nigdy tego nie widziałam.

- A czy to moja wina? - zaperzyła się matka. - Nigdy o to nie prosiłaś. Ale jak mówię, lepiej wam będzie u Lindy. Dużo wygodniej. Tak będzie dobrze.

Co, oczywiście, znaczyło, że wcale nie było dobrze. Julii udało się nieco udobruchać matkę, więc w końcu zostały zaproszone na obiad świąteczny, a oferta z niejaką rezerwą została też rozszerzona na Linde.

Julia napisała do biura w Nowym Jorku, dołączając życiorys. Zastanawiała się, czy od razu napomknąć o towarzyszącej ośmioletniej córce, ale na razie postanowiła o tym nie wspominać. Dwa dni później zadzwoniła kobieta o stanowczym, choć przyjaznym głosie. Ma nadzieję, powiedziała, że Julia wie, że zasadniczo jest to strefa wojenna (choć od ponad roku na tych terenach jest spokojnie), że warunki sanitarne i wyżywienie są zaledwie znośne, a płaca mniej niż znośna, to znaczy właściwie prawie żadna.

Julia dopiero teraz spytała o Amy, na co kobieta odrzekła, że to trochę niezwykle, ale bywały już podobne wypadki. Od samego początku musi być jednak jasne, że Julia robi to na własne ryzyko, a organizacja w żaden sposób nie może odpowiadać za bezpieczeństwo dziecka. Oczywiście, zgodziła się Julia, i umówiły się na rozmowę.

Święto Dziękczynienia nie należało do ulubionych świąt Julii, we wspomnieniach bowiem kojarzyło się jej przede wszystkim z kłótniami rodzinnymi. Zjeżdżali się wszyscy wujowie, wszystkie ciotki, kuzyni i kuzynki, a kiedy uporali się już z indykiem, zabierali się do siebie nawzajem. Miała nadzieję, że przynajmniej w tym roku będzie inaczej.

Przyleciały do Nowego Jorku w środę wieczorem, a następnego dnia Linda w zimnym deszczu powiozła je swoim nowym czarnym BMW przez most na Brooklyn. To tutaj Julia się wychowała, ale kiedy teraz, szperając w zakamarkach pamięci, wskazywała Amy różne miejsca, miała wrażenie, jakby opowiadała o czyjejs obcej przeszłości. Mały domek matki, ze schludnym

ogródcekiem, wyglądał jak dawniej, ale z nim Julia nie czuła żadnego związku, podobnie jak ze swoim pokojem, chociaż na ścianach zostało kilka jej szkolnych rysunków, a wypchane zabawki z wyrzutem spoglądały z parapetu.

Matka zaprosiła na obiad Davida z rodziną. Był bratem ciotecznym Julii, a chociaż zawsze dobrze się czuła w jego towarzystwie, nigdy nie mogła się przekonać do jego żony, Liz - niskiej, gadatliwej kobiety, zawsze nienagannie ubranej. Była sekretarką w jakiejś firmie i cały świat traktowała jako gromadę klientów. Zawsze tak zwracała uwagę na nienaganne maniery dzieci - Brada starszego o rok od Amy i pięcioletniej Becky - że Julia czuła się nieswojo: czy aby i ona nie popełniła jakiegoś faux pas?

Widzieli się po raz pierwszy od pogrzebu, ale zachowanie Liz nadal było pełne tak ostentacyjnego współczucia, że Julia chciała wrzasnąć: „Tak, Ed nie żyje, ale jakoś dajemy sobie radę, więc, na Boga, zacznij się wreszcie zachowywać normalnie!” Zamiast tego jednak tylko uśmiechała się i bąkała jakieś grzecznościowe formułki. Co gorsza, dając wyraźnie do zrozumienia, jak jest dotknięta, matka niemal całkowicie ignorowała Julię, natomiast całą sympatię przeniosła na Liz, która, oczywiście, pomogła w gotowaniu i zjawiała się z prezentami dla wszystkich niczym prawdziwa anielica.

Ściśnięci łokieć w łokieć przy stole niemal kończyli już jeść, kiedy Linda nieopatrznie wspomniała o afrykańskich planach Julii, która siedziała za daleko, aby kopnąć przyjaciółkę w kostkę. Matka natychmiast eksplodowała.

- Zamierzasz z Amy jechać do Afryki?

- Mamo, to dopiero pomysł.

- Najbardziej idiotyczny, o jakim słyszałam. Musisz być niespełna rozumu!

- Przepraszam - bezgłośnie powiedziała Linda do Julii nad stołem. - Myślałam, że wie.

- Afryka!!!

- Mario - wtrącił się David - słyszałem, że jest tam bardzo pięknie.

- Czy moglibyśmy na razie zostawić ten temat? - spytała Julia i zerknęła na dzieci, które wężąc spór między dorosłymi, całe zamieniły się w słuch.

- Babciu, a dlaczego Afryka jest niedobra? - spytała Amy.

- W Afryce zrobili Króla Lwa - oznajmiła z wielką pewnością siebie Becky.

- Wcale nie - sprzeciwił się Brad.

- A właśnie, że zrobili.

- Król Lew to kreskówka, głupia pała. Takie rysunki.

- No i tam robili te rysunki. I wcale nie jestem głupią pałą. Spróbowała uszczypnąć brata, ale ten trącił ją łokciem, więc Becky zanosła się płaczem. Amy nie zwracała na nich uwagi,

wpatrzona w Julię.

- Dobrze, dosyć tego - powiedziała Liz. - Kto ma ochotę na lody?

Cała trójka dzieci poderwała się, a Liz dyplomatycznie wyprowadziła je do kuchni i zamknęła drzwi.

- W Afryce wszyscy mają AIDS! - oznajmiła teraz matka Julii.

- Myślę, że znajdzie się parę osób nie zarażonych - powiedział David i mrugnął z sympatią do Julii.

- A co o tym sądzą rodzice Eda? Oczywiście, jeśli raczyłaś ich poinformować.

Docinek był usprawiedliwiony. Julia zrobiła to dzień wcześniej, w trakcie banalnej rozmowy telefonicznej.

- Uważają, że to... fascynujące.

- Doprawdy?

- Tak, naprawdę. Ale proszę, mam, dajmy teraz temu spokój. Pewnie i tak nic z tego nie wyjdzie.

Co do rodziców Eda odrobinę rozminęła się z prawdą. Istotnie byli podekscytowani wiadomością, trudno jednak powiedzieć, by zapalali do tego pomysłu bezgranicznym entuzjazmem. Ed lubił powtarzać, że jego matka potrafi wyrażać się tak subtelnie, iż wypowiada opinię przeciwną do tej, którą sugeruje znaczenie słów. Łatwiej było się w tym zorientować, kiedy siedziała naprzeciw, ale przez lata Julia nabrała umiejętności wyłapywania niuansów także przez telefon. Kiedy więc poprzedniego wieczoru zadzwoniła do Susan i bardzo ogólnikowo naszkicowała pomysł, z długości przerwy mogła się łatwo zorientować, że teściowa nie jest pewna jej zdrowych zmysłów.

- No cóż, Julio. Bez wątplenia bardzo intrygujący zamiar.

- Sądzisz, że to głupie?

- Głupie? Nie. Tak bym tego nie określiła, mam wszakże nadzieję, że zastanowiłaś się nad wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie będą tam czekały na Amy.

Odpowiedziała szczególnym tonem, który zwykle zachowywała dla rodziców najbardziej beznadziejnych uczniów.

- Oczywiście, ale wszystkie można zminimalizować. I jestem przekonana, że zyski z takiej wyprawy przeważają możliwe ryzyko.

Na zakończenie rozmowy Susan z westchnieniem oświadczyła, iż ma nadzieję, że Julia wybierze to, co najlepsze. Może Julia miała przywidzenia, ale odniosła wrażenie, że teściowa skłonna jest ewentualnie wystąpić do sądu, aby ograniczyć jej prawa rodzicielskie.

Liz przyprowadziła dzieci obciążone wielkimi porcjami lodów i usadziła je naprzeciw

wideo, ale zaraz wróciła do pokoju, gdyż nie chciała nic utracić z kłótni. Weź stronę mojej matki, zagroziła w duchu Julia, a jesteś trupem. Matka była niestrudzona jak pies w pogoni za kością. W ciągu pięciu minut od AIDS, przez malarię, wojnę i głód, dotarła do węzów i krokodyli.

- No i jeszcze ludożercy - sama z siebie dorzuciła Julia. Linda zachichotała, matka rzuciła jej spojrzenie, które mogłoby zabić, i znowu wpiła oskarżycielski wzrok w Julię.

- Co takiego powiedziałaś?

- Że jeszcze mogą nas napaść ludożercy.

Matka patrzyła na nią chwilę, potem z udręczoną miną spuściła oczy i sztywno powstała z krzesła.

- Jeśli wszyscy już zjedli - powiedziała - to zajmę się chyba naczyniami.

Pięć męczących godzin później Julia, sprawdzwszy, że Amy zasnęła na dobre, dołączyła do Lindy siedzącej na dużej skórzanej kanapie. Obie zdążyły już zakosztować niemałej porcji Jacka Danielsa. Linda kolejny raz napełniła szklaneczki.

- Obserwując dzisiaj twoją matkę, zrozumiałam, skąd u ciebie tyle poczucia winy. Ona je wymyśliła.

- Nie, nie, to moja wina...

- Właśnie o tym mówię.

Julia z uśmiechem przygryzła wargę.

- Posłuchaj, Julio. Przestań się zadrezczać wątpliwościami. Może w ogóle nie będą chcieli cię przyjąć. Nawet jeśli zechcą, ciągle jeszcze będziesz miała czas na decyzję. A poza wszystkim, to przecież twoje życie, dziewczyno! Ty wiesz najlepiej, co dobre dla ciebie i dla Amy. Zmiana dobrze wam zrobi. Spójrz na mnie. Kiedyś byłam anarchistką z czarną szminką na wargach, a dziś jestem prawniczką z czarnym BMW. Czy to nie fajne?

Rozmawiały jeszcze długo po północy: o rodzinie, przyjaźni, pracy i - oczywiście - o mężczyznach. A zwłaszcza o daremnych jak dotąd próbach Lindy, aby znaleźć takiego, z którym mogłaby spędzić chociaż rok, nie wspominając już o całym życiu. Powiedziała, że jeśli już ktoś jej się spodobał, zaraz okazywało się, że to gej albo żonaty. A potem zupełnie nieoczekiwanie spytała o Connora i czy Julia miała od niego ostatnio jakieś wiadomości.

- Od bardzo dawna żadnych. Amy kilka miesięcy temu dostała pocztówkę z Indii, a potem kompletna cisza. W tym roku nawet zapomniał o jej urodzinach. Po raz pierwszy.

Linda pociągnęła łyk whisky i popatrzyła przeciągle znad krawędzi szklaneczki.

- Co to za złowrogie spojrzenie? O co chodzi?

Linda wzruszyła ramionami.

- O nic.

- Nie wykręcaj się.
- Nie trzeba żadnej telepatii, żeby się zorientować, co oboje do siebie czujecie.
- Nie żartuj. O ile sobie przypominam, to ty byłaś nim oczarowana.
- Nie przeczę, ale nie byłam pod tym względem wyjątkowa.
- Bardzo go lubię i tyle. To najlepszy przyjaciel mojego męża! Jak możesz sobie wyobrazić

coś więcej?

- Nie skacz tak na mnie. Spytałam tylko, czy miałas od niego jakieś wiadomości.
- No więc nie miałam.
- I w porządku.

Zapadła długa cisza. Linda zapaliła następnego papierosa, oparła głowę na kanapie i wypuściła kłęb dymu pod sufit.

- Czy to nie z jego powodu chcesz jechać do Afryki? Julia zawrzała.

- Linda, do jasnej cholery, co dzisiaj w ciebie wstąpiło, że wygadujesz takie bzdury? Oczywiście, że nie! Jak w ogóle mogło ci przyjść coś takiego do głowy?

- W porządku, prze - pra - szam!
- Mówię poważnie, Lindo. Czasami...

Zmieniły temat, ale rozmowa już się nie kleiła. Julia położyła się spać odrobinę pijana, ale znacznie bardziej zakłopotana swą nerwową reakcją. Prawda tymczasem brzmiała tak, że chociaż Connor był ojcem jej dziecka, ona od dawna starała się jak najmniej o nim myśleć. Nigdy nie przestał w niej żyć, ale trwał w miejscu, na odwiedziny którego sobie nie pozwalała. Kiedy Linda tak wprost podjęła kwestię jej uczuć do Connora, było to jak dotknięcie bardzo czulej nadal blizny.

Leżąc jednak teraz obok śpiącej Amy, która w swoim ciele złączyła ich oboje, Julia musiała przyznać rację swej przyjaciółce. Jakkolwiek mocno próbowałyby temu zaprzeczać, jej pragnienie wyjazdu do Afryki w jakiś mroczny, trudny do wyjaśnienia sposób łączyło się z Connorem. Nie była oczywiście tak pomyłona, żeby liczyć na to, że się tam spotkają. W ogóle nie miała pojęcia, gdzie on może się teraz znajdować w całym szerokim świecie. Ciągnęło ją tam jakieś znacznie bardziej skomplikowane uczucie. Chciała zobaczyć okolice, które on widział, zabrać ich dziecko w miejsca, które go poruszyły, aby doznając podobnych stanów, w ten sposób jakoś się z nim połączyć. A chociaż teraz bardzo się już zmienił i nic w nim nie zostało z miłości do Julii, to przynajmniej tą okrężną drogą jakoś zagości w jego świecie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Connor obudził się na odgłos zapuszczanego silnika, ale w pierwszej chwili nie mógł się zorientować, gdzie jest. Leżał nieruchomo i nasłuchiwał, wpatrzony w moskitierę szarzejącą w pierwszym brzasku. Potem rozbrzmiały szczekliwe rozkazy, rozległ się tupot żołnierskich nóg i wszystko sobie przypomniał.

Słyszając, jak samochód mozolnie drapie się od obozu nad rzeką, zerwał się i rozwinął dzinsy oraz T - shirt, które trzymał pod głową jako poduszkę. Kiedy pojazd zahamował, omiatając światłami wejście do chatki, był już ubrany i potrząsał butami, aby wyrzucić z nich ewentualne skorpiony.

- Muzungu! Zbudzić się! Jedziemy!

To Okello, grubiański młody pułkownik nie wiadomo z czyjego nadania, który był jego opiekunem przez dwanaście długich dni oczekiwania. Znał imię Connora, potrafił je wymówić, ale uparcie tytułował go „muzungu”, co w suahili było określeniem białego człowieka. Od pierwszej chwili zapałali do siebie niechęcią. Connor ani myślał odpowiadać.

- Muzungu! Wstawać! Ubrać się!

Słyszał, jak Okello udziela reprimendy jednemu ze strażników, którzy przez całą noc warowali przy chatce Connora. Mieli podobno pilnować jego bezpieczeństwa, dobrze jednak wiedział, że przede wszystkim chodzi o to, aby nie mógł szwendać się po obozie i rozmawiać z dziećmiakami porwanymi do żołnierki.

Teraz w drzwiach stanął sam Okello, a w światłach reflektorów zaśniły automatyczne kolty sterczące z kabur na jego biodrach. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat, sześć stóp i trzy, cztery cale wzrostu oraz masywną posturę. Connor nigdy nie widział jego oczu, pułkownik zawsze bowiem nosił posklejane lustrzanki. Miał je na nosie także teraz, po ciemku, i to pewnie dlatego nie dostrzegł Connora, który siedząc na polepie, wiązał sobie buty. Okello podszedł do moskitiery i szturchnął ją trzcina, którą zawsze nosił przy sobie. Connor widział raz, jak w gniewie okłada nią młodego żołnierza.

- Muzungu! Zbudź się!

Connor wstał i zarzucił na ramię torbę ze sprzętem. Okello na ten dźwięk gwałtownie się odwrócił.

- Jedziemy i to zaraz!

- Jak się nazywa ta szkoła, gdzie uczyli cię zasad grzeczności?

- Co?

- Mniejsza z tym. Co się stało?
- Zobaczysz.
- Makuma jest tutaj?
- Szybciej.

W obozie pełno było bieżaniny. Żołnierze kończyli się ubierać - niektórzy w biegu, podczas gdy dowódcy na nich pokrzykiwali. Z tyłu w jeepie Okello siedziało dwóch jego przybocznych, przywodzących na myśl tanich gangsterów: w czarnych okularach, bandanach związanych po piracku na głowach i ze skrzyżowanymi na piersiach ładownicami. Jeden miał M16, drugi miotacz rakietowy 90 mm. Connor uśmiechnął się do nich promiennie.

- Witajcie, przyjaciele. Widać, że dzisiaj to jakaś poważna sprawa.

Jak zwykle patrzyli na niego jak na powietrze.

- Tak, spałem jak niewiniątka, dziękuję za troskę - dorzucił.

Nie było to może najrozsądniejsze, że sobie z nich podkpiwał, ale był ciekaw, czy zmusi ich kiedyś do jakiejś reakcji. Najwyraźniej jednak jeszcze nie dzisiaj. Wskoczył na miejsce pasażera, podczas gdy Okello, ciągle ujadający na strażnika, znalazł się za kierownicą. Ruszył gwałtownie, nie zwracając uwagi na uskakujących spod kół żołnierzy.

W purpurowym półmroku wspinali się długimi serpentynami na płaskowyż. Światła reflektorów podskakując, padały na kępy akacji i eukaliptusów, a także na zgarbione plecy żołnierzy maszerujących w tym samym kierunku. Droga była wyboista, Okello nie zdejmował ręki z klaksonu, rozgłośnię trąbiąc na tych, którzy ociągali się z uskoczeniem z drogi. Czasami jeep ocierał się o żołnierzy lub nawet w nich uderzał, a pułkownik jeszcze dodatkowo okładał ich swoją trzcina.

Pół godziny później jakieś dwa tysiące żołnierzy z bronią zarzuconą na ramiona przeżyło się w szeregach na wypalonym przez słońce piasku równiny. Widać też było wozy pancerne, transportery, działa i karabiny maszynowe na wózkach - najwidoczniej więc szykowało się jakaś inspekcja. Przez dwanaście dni oczekiwania nie pozwalano Connorowi zbliżyć się do młodych żołnierzy, zresztą i teraz Okello kazał mu trzymać się z daleka i zabronił robić zdjęcia. Przyglądał się więc twarzom, szukając tej jednej, z powodu której znalazł się tutaj, a którą, był pewien, rozpozna od razu, chociaż nigdy nie widział jej na żywo. Zbyt wiele jednak ich było, a światło nadal było bardzo marne.

Ale nawet teraz mógł zauważyć, że wielu z nich to jeszcze dzieci, dla których karabiny były za duże. Ci w pierwszym rzędzie mieli na sobie panterki, reszta jednak była w poszarpanych, niedopasowanych ubraniach, nędznych i brudnych podkoszulkach, górnych częściach pidżam, spodniach od dresu, podziurawionych i zabłoconych. Nieliczni mieli buty, inni sandały zrobione z

opon, ale wielu było po prostu boso. W szeregach dostrzegł też kilka dziewcząt, ale znacznie więcej było ich na zapleczu, gdzie gotowały, przносиły ładunki, a także świadczyły usługi seksualne starszym żołnierzom. A teraz wszyscy - mężczyźni, kobiety i dzieci - zastygli nieruchomo, jakby w oczekiwaniu na jakąś wielką objawioną prawdę.

Kilka zapóźnionych gwiazd lśniło jeszcze na niebie, które przeszło już przez wiele odcieni różowości i purpury, a teraz żarzyło się pomarańczowo za ciemnymi górami, zza których niebawem miało się wyłonić słońce. Connor nie musiał ponownie pytać, co się stało, odpowiedź bowiem była oczywista - z nieba miał zstąpić Daniel Makuma, błogosławiony mistyk, prorok, duchowy przywódca Wojowników Boga. Na to zdarzenie Connor czekał od wielu miesięcy i teraz z trudnością mógł zapanować nad rosnącym podnieceniem.

Tyle o nim krążyło mitów i opowieści bez wątpienia zmyślonych, że bardzo niewielu faktów dotyczących Makumy można było być pewnym. W każdym razie niewątpliwie pochodził z plemienia Acholi z północy Ugandy, miał czterdzieści dwa lata i był znienawidzonym kuzynem Josepha Kony'ego, słynnego dowódcy Armii Obrony Pana, która terroryzowała inne terytoria północne. Obaj twierdzili, że są prawowitymi następcami wojowniczej kapłanki Acholi, Alice Lakweny, która bezceremonialnie splatając wątki chrześcijańskie z lokalną magią, zjednała sobie tytuł popleczników, że przed piętnastu laty omal nie obaliła rządu ugandyjskiego. Rebelia została jednak krwawo stłumiona, a sama Lakwena zniknęła bez śladu.

Zwolennicy Makumy utrzymywali, że podobnie jak Lakwena porozumiewa się on z duchem świata na wiele ezoterycznych sposobów, między innymi za pośrednictwem dusz zwierzęcych, a święty duch, Tipu Maleng, objawiwszy mu się, nakazał dalej prowadzić świętą wojnę z „wielkim złem”, które rządzi krajem.

W tym celu przez ponad dziesięć lat uzupełniał resztki swej buntowniczej armii porwanymi dziećmi, by potem z baz takich jak ta, w południowym Sudanie, w imię Boga słać je na drugą stronę granicy z nakazem, by paliły, mordowały i rabowały w kraju, który Makuma gorąco kochał i bardzo pragnął zbawić. Działania te były wspierane przez rząd w Chartumie, który hojnie zaopatrywał bojowników w broń, pod warunkiem jednak, że kierować ją będą także przeciw Ludowej Armii Wyzwolenia Sudanu, która od ponad dwóch dekad toczyła własną wojnę domową.

Connor wiedział znacznie więcej, niżby chciał, o metodach stosowanych przez wojska Makumy. Fotografował zgliszcza, trupy, a także nieszczęśników podejrzanych o zdradę, których - ku przestrodze innym - pozbawiono warg i uszu.

Jak dotąd Makuma nigdy nie dopuścił do siebie żadnego z zachodnich reporterów czy dziennikarzy i bezskuteczne okazywały się wszystkie próby Connora, aby przebić się przez mur nieufności i fanatycznej ksenofobii otaczający Błogosławionego.

Na początek poleciał do Nairobi, otrzymawszy poufną informację, że nieoficjalne przedstawicielstwo armii Wojowników Boga znajduje się w pomieszczeniu nad mało znanym biurem podróży. Czekał potem trzy tygodnie, w trakcie których najpewniej zasięgaliby o nim informacji. Dzwonił co dwa dni, aż wreszcie usłyszał, że jego prośba o spotkanie z Makumą jest nadal rozpatrywana, ostateczną zaś odpowiedź otrzyma w Chartumie. Connor pomyślał, że sprawa jest przegrana, albowiem rząd sudański traktował Amerykanów jak trędowatych, rozmówca jednak zapewnił go, że skontaktuje się z ambasadą, aby odpowiednio podeszła do jego prośby o wizę. Jej wydawanie zabrało następne trzy tygodnie, ale w końcu ją dostał.

W Chartumie wcale nie szło mu lepiej. W oficjalnym już biurze Wojowników Boga traktowano go jak natrętnego owada, za każdym razem polecając przyjść nazajutrz. Potem podsunęto mu do wypełnienia plik formularzy, musiał też zostawić swój paszport, sporządzić życiorys, a także odpowiedzieć na wręczoną listę pytań. I znowu upłynęły trzy tygodnie, a kiedy spotkał się wreszcie z kimś, kto - jak się wydawało - o czymś decydował, usłyszał jedynie obcesowe polecenie, by więcej nie pojawiał się już w biurze, a czekał w hotelu. Prośba o wywiad z Błogosławionym nadal była rozważana. We właściwym czasie otrzyma odpowiedź. Najwyraźniej armii Wojowników Boga nieszczególnie zależało na kontaktach z zachodnimi mediami.

Nastał miesiąc wałęsania się po ulicach i walk z hotelowymi karaluchami, aż wreszcie w środku nocy rozległo się łomotanie do drzwi i dwóch mężczyzn uzbrojonych w pistolety maszynowe kazało mu się pakować i ruszać z nimi. Wsadzili go do jeepa, zawieźli do bazy wojskowej pod miastem, gdzie czekał już nie oznakowany samolot transportowy. Kazano mu się usadowić między skrzyniami. Wyglądało na to, że tylko kilka z nich zawierało jedzenie, w pozostałych była broń i amunicja. Lot trwał wiele godzin. Ponieważ nie było tam żadnych siedzeń ani okien, Connor omal nie stracił przytomności. Kiedy znowu zobaczył świat, stał na tym właśnie zapomnianym przez Boga płaskowyżu. Nikt naturalnie nie powiedział mu, gdzie znajduje się obóz, sam jednak domyślił się, że jest gdzieś na południu Sudanu i północna granica Ugandy musi być niedaleko.

Tutaj zaczęła opuszczać go cierpliwość. Z początku miał nadzieję, że gdzieś w pobliżu znajduje się Makuma, ale szybko musiał się z nią pożegnać. Nikt nie wiedział, ani gdzie jest, ani kiedy się zjawi, jeśli w ogóle. Było oczywiste, że buńczuczny pułkownik Okello otrzymał w związku z przyjazdem Connora instrukcje, na mocy których starał się jak najbardziej uprzykrzyć mu pobyt. Chciał nawet skonfiskować mu aparaty i dopiero prawdziwy atak furii Connora powstrzymał go od realizacji tego zamiaru, niemniej i tak niewielki był z nich pożytek, zastosowano bowiem wobec niego swego rodzaju areszt domowy, a na dodatek zakazano fotografować cokolwiek. Każdy spacer, nawet każde odejście na bok za potrzebą odbywały się pod

strażą.

Oczywiście, Okello - podobnie jak każdy inny - był przekonany, że Connor chce zrobić zdjęcie Makumy i przeprowadzić z nim wywiad. To dobrze, niech trwają w tym przekonaniu. Prawdziwa jego misja, którą poprzysiągł sobie owej pamiętnej nocy na Skeleton Coast, pozostanie tajemnicą aż do chwili, gdy będzie miał szansę wyjawić ją Makumie osobiście.

Słońce prawie już wyjrzało zza szczytów i w tej samej chwili przez oczekujący tłum przetoczył się pomruk. Jeden z adiutantów Okella rozmawiał przez krótkofalówkę, ale nagle przerwał i wskazał na północ, a kiedy Connor spojrział w tamtym kierunku, zobaczył jaśniejsze niczym gwiazdy światła samolotu, który powoli zniżał się ku równinie.

Samolot zatoczył koło nad nimi i jakby na komendę zza góry trysnął promień, oświetlając srebrne skrzydła maszyny, a już w następnej chwili całą równinę i ludzi zalała powódź złocistego światła. Connor nie mógł wyjść z podziwu nad tandeciarskimi efektami wykorzystywanymi przez proroka, które jednak - kiedy spoglądał na twarze porwanych za młodu - wywierały należyte wrażenie.

Okello kiwnął głową, Connor zaczął więc fotografować samolot, który ostatecznie nadlatywał ze wschodu. Dwa pasy startowe, wyłożone białymi kamieniami, przecinały się w poprzek, a teraz na dłuższym pojawił się jeszcze ruchomy krzyż podchodzącej do lądowania maszyny. Dotknęła lądowiska, stopniowo wytraciła prędkość, a potem wykręciła w poprzeczny pas i pokołowała w kierunku czekających. Pułkownik Okello wydał rozkaz, rozległ się łomot bębnowy, a głosy wszystkich kobiet i dziewczyn zlały się w jeden przenikliwy wrzask. Okello kiwnął na Connora i w asyście starszych oficerów ruszył na powitanie wodza.

Samolot zatrzymał się, po chwili uchylły się drzwi i ze środka zjechały schodki, a na nich w świetle słońca pojawiła się niewielka, odziana na biało postać, powitana przez wszystkich wrzaskiem wręcz ogłuszającym. Makuma wyrzucił w górę ręce, a Connor zrobił najazd na jego uśmiechniętą twarz.

W wizjerze zobaczył przystojnego mężczyznę o delikatnych rysach i starannie wypielęgnowanym wąsiku. Z długiego łańcucha zwieszał się na piersi ciężki złoty krzyż. Uśmiechnięta twarz promieniała radością. Opuścił ręce i powoli, ostrożnie zszedł po stopniach, a za nim postępowała grupka ochroniarzy i doradców.

Okello podszedł do przodu, chcąc go powitać. Makuma rozłożył ręce i obaj mężczyźni padli sobie w objęcia. Piękna nastolatka w eleganckiej zielonej panterce czekała z boku z kwiecistym wieńcem, który na znak dany przez Okella zawiesiła na szyi Makumy. Kiedy prorok pochylał głowę, jego wzrok na chwilę padł na obiektyw Connora, a wtedy w oczach na moment zamigotało coś - a może Connorowi tylko się tak wydawało - o wiele bardziej złowieszczonego, niż można się

było spodziewać po dotychczasowym zachowaniu.

Okello zrobił ruch, aby poprowadzić Makumę w kierunku czekających na przegląd szeregów, ale prorok przytrzymał go za ramię i podszedł do Connora. Ten zdążył zrobić jeszcze jedno zdjęcie, a potem opuścił aparat i uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Przykro mi, że musiał pan tyle czekać - powiedział Makuma. - Zdaje się, że jest pan tu już od wielu dni.

Miał łagodny głos i mówił staranną angielszczyzną.

- Nic nie szkodzi. Mieliśmy wiele zabawy z pułkownikiem Okello.

- Cieszę się. Potem znajdę chyba trochę czasu, żeby odpowiedzieć na pańskie pytania.

- Taką mam nadzieję. Zwłaszcza jedno z pytań będzie ważne.

Został wezwany o zmroku. Dwóch przybocznych Okella wsadziło Connora do samochodu i powiozło granią nad obozem, do którego nie miał wstępu. Między eukaliptusami migało koryto wysychającej rzeki, a na jej brzegu widział marne lepianki i prowizorycznie sklecone szałas. Nad nimi unosiła się niebieskawa zawiesina dymu z ognisk, a zapach jedzenia mieszał się z charakterystyczną dla Afryki wonią gleby, którą Connor zdążył już pokochać.

Na końcu grani, między drzewami, dodatkowo zabezpieczony siatką maskującą znajdował się znacznie wygodniejszy obóz oficerski: chaty przykryte trawą, duże namioty, które - jak przypuszczał Connor - zostały porwane z jakiegoś konwoju. Jeep zahamował i na spotkanie wyszedł Okello.

- Błogosławiony jest zmęczony, a musimy omówić z nim wiele spraw. Masz dwadzieścia minut, ani chwili więcej. I żadnych zdjęć, chyba że Błogosławiony się zgodzi.

Nie było sensu się spierać. Okello poprowadził go labiryntem uliczek między chatami i namiotami, Connor zaś widział porozstawiane wszędzie skrzynie z bronią, ale także z puszkami jedzenia. Na wszystkich widać było pieczęcie z nazwami różnych organizacji charytatywnych.

Doszli w końcu do ogrodzonej płotem działki z chatą dwa razy większą od innych. Przed wejściem stało dwóch strażników Makumy. Okello cofnął się, jeden z wartowników obejrzał torbę z aparatami, obmacał Connora, potem odgarnął zasłonę z koralików wiszącą w przejściu i ruchem głowy kazał mu wejść. W środku było ciemno i unosił się dziwny zapach - jakby kadzidło zmieszane z czymś bardzo zatechłym, prawie zgniłym. Pośrodku na krzyżakach stał zagracony stół z zapaloną lampą gazową na blacie, a wokół niego trzy wyściełane płótnem fotele. Na polepie leżały słomiane maty i skóry zwierzęce. Ale ani śladu Makumy.

Nad szumem pracujących na zewnątrz generatorów unosiły się dźwięki chóralnej muzyki. Chociaż Connor znał się na tym niewiele - zaledwie tyle, ile nauczył się od Eda - uderzyło, go niezwykle piękno tonów. Muzyka płynęła z dwóch niewielkich głośników podłączonych do

odtworzą CD, a kiedy Connor nachylił się nad nim, obok zobaczył stos płyt Mozarta, Bacha i Brahmsa. Resztę stołu przykrywały papiery i rozłożona mapa; północnej Ugandy w dużej skali, a na niej spoczywały okulary bez oprawek.

Kiedy Connor oswoił się już z mrokiem, zobaczył, że na ścianach wiszą czerwone tkaniny i skóry zwierzęce, a o nie opierają się gołe białe gałęzie. Coś załśniło i dopiero teraz zorientował się, że to ślepią ptaka, ale kiedy postąpił kilka kroków, zrozumiał, że na gałęziach osadzona jest cała menażeria: łby słoni, bawołów, zebra, antylopy, a na ziemi leżały najróżniejsze kły i rogi. W rogu stała wypchana lwica w otoczeniu pantery i lamparta, a wzdłuż jednej ściany leżał krokodyl z rozwartą paszczą. Na jego grzbiecie przywarowały wypchane kameleony, jaszczurki i zwinięte w kłębek węże.

W najdalszym końcu w drzwiach wisiała skóra zebry, obok której przedostawał się odbłask przyciemnionego światła. Connor spokojnie podszedł bliżej i przez szczelinę zobaczył Makumę. Nadal ubrany na biało klęczał w cieniu alkowy przed złotym krzyżem ustawionym między dwiema świecami. Kiedy zaczął się zastanawiać, że może w ogóle powinien wyjść z chaty i poczekać na zewnątrz, zobaczył, że prorok się zegnął. Szybko przemknął na środek chaty, a w następnej chwili zza skóry zebry wyłonił się Makuma, najwyraźniej wcale nie zdziwiony jego widokiem. W ręku trzymał małą, oprawną w czarną skórę Biblię.

- Jak wiele pan wie na temat wierzeń mego ludu, panie Ford?

- Na temat wierzeń Acholi? Obawiam się, że niewiele.

Makuma podszedł do stołu, położył Biblię na mapie i wskazawszy jeden z płóciennych foteli, sam usadowił się w drugim.

- Podobnie jak pierwsi biali, którzy się tu zjawili. Zna pan może słowo „dżok”? Nie? Niełatwo je przełożyć, ale z grubsza rzecz biorąc, oznacza duchową moc. Dżoki mogą być dobre lub złe, co zależy od wielu czynników, a każdy ma swoje imię. Kiedy dotarli tutaj pierwsi europejscy misjonarze, sądzili, że uda im się zbawić więcej miejscowych, jeśli prawdy swej wiary przekażą w języku zrozumiałym dla Acholi. Boga chrześcijan przedstawili więc jako Dżoka, nazwali go Dżok Rubanga. Ich sukces był zrazu niewielki, albowiem istniał już Dżok Rubanga, który odpowiadał za gruźlicę kości. Być może ktoś im złośliwie doradził, a może to tylko dowód na to, że nie należy igrać z duchami, których się nie pojmuje. Czy wierzy pan w Boga, panie Ford?

- To zależy od tego, jak pan rozumie słowo „Bóg”.

- A zatem nie wierzy pan.

Connor wzruszył ramionami. Niech i tak będzie. Makuma odchylił się w fotelu i z rękami założonymi na piersi wpatrzył się w Connora, z uśmiechem tyleż protekcyjnym, ile jakoś złowieszcym.

- Lubi pan Bacha?

- Czy to jego utwór?

- Pasja według św. Jana.

- Piękna.

- Tak, piękna. Myśli pan, że mogłaby istnieć taka muzyka, gdyby nie było Boga?

- Wydaje mi się, że jest wiele rzeczy dobrych i złych, które istnieją niezależnie od tego, czy Bóg chce, czy nie chce. Czy mogę nagrywać naszą rozmowę?

- Jeśli pan chce.

Connor wyjął z kieszeni magnetofon i ułożył obok Biblii.

- A zatem, nie wierzy pan w Boga, ale wierzy pan w dobro i zło?

- Wiem, że ludzie są zdolni do jednego i do drugiego.

- A pan sądzi, że potrafi je odróżnić?

- Dobro od zła? Tak.

- Jak to jednak możliwe, jeśli nie ma Boga?

Connor nie spodziewał się niczego takiego. Długo rozmyślał nad tym, jak przedstawić propozycję, którą chciał złożyć, i dobrze wiedział, że bardzo ważne jest, aby nie popaść w irytację. Przez te wszystkie lata zdążył już poznać swą instynktowną skłonność, by przeciwstawiać się tym, których okrucieństw był świadkiem. Była to skłonność głupia i niebezpieczna. A kiedy na dodatek usiłowali wdawać się z nim w intelektualne dysputy, jak kiedyś bezwzględny burmistrz miasteczka w Ruandzie czy teraz próbował Makuma, czuł jakoś, że może mu zabraknąć argumentów, gdyż edukację skończył na szkole średniej, i to potęgowało jeszcze jego gniew.

Tak było i tym razem, a on nie mógł nic na to poradzić. Sięgnął do torby ze sprzętem i wyjął z niej zdjęcie Thomasa, oniemiałego chłopca z misji Naszej Pani Anielskiej. Makuma na chwilę się zawahał, potem wziął fotografię i nałożył okulary.

- Widziałem już to - powiedział po chwili. - Czytałem też te wszystkie łągarstwa, którymi pan opatrzył to zdjęcie.

Powiedział to beznamiętnie, bez śladu wyrzutu czy oburzenia. Chciał oddać fotografię, ale Connor nie wyciągnął dłoni.

- Pyta pan, jak mogę odróżnić dobro od zła? Złem jest to, co zrobiono z tym chłopcem. Pańscy żołnierze zamordowali jego matkę i ojca, a potem jemu kazali zabić resztę rodziny, przyjaciół i spalić własną wioskę. Wreszcie zostawili go w dżungli, żeby umarł. Czy pan nie uważa tego za zło? Czy może pański Bóg ma dla tego jakąś inną nazwę?

Makuma odłożył na stół fotografię i okulary, potem dłońmi złożonymi jak do modlitwy podparł brodę i długo wpatrywał się w Connora. Z jego twarzy zniknął uśmiech; muzyka nabrała

teraz mocy i grozy. Connorowi pulsowało w głowie, czuł, jak łomocze mu serce, ale nie zamierzał spuścić wzroku.

- Ktokolwiek panu to powiedział, kłamał - rzekł w końcu cicho Makuma. - Nie porywamy dzieci, które walczą w imię naszej sprawy. Same zlatują się do nas całymi gromadami. A dlaczego? Bo chcą pomóc w oczyszczeniu kraju z wielkiego zła, które wzięło go w swe posiadanie. Jeśli są zbyt małe, nie pozwalamy im walczyć, a zamiast...

- To jest dopiero łgarstwo i dobrze pan o tym wie.

- ...a zamiast tego opiekujemy się nimi i pozwalamy pomagać w inny sposób. Pośród tych dzieci istotnie jest wiele sierot. Ich rodziców zabiły wojska rządowe. To rząd torturuje i morduje mój lud, podpała wioski, a potem korzysta z tak łatwowiernych zachodnich przyjaciół jak pan, żeby rzucić na nas hańbę.

- Widziałem to na własne oczy.

- Zatem własne oczy pana zwodzą. Proszę powiedzieć, przebył pan taki szmat drogi, aby przeprowadzić ze mną wywiad czy żeby mnie obrazić?

Connor zawahał się. Muzyka zamilkła, a jedynym dźwiękiem było teraz buczenie generatorów i niemy szum lampy gazowej. Najpewniej było już na to za późno, niemniej jednak Connor zaczerpnął powietrza, wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i podał Makumie.

- To lista siedemdziesięciorga trojga dzieci, które zostały porwane przez pańskich żołnierzy w rejonie Karingoa. Ostatni na liście jest Lawrence Nyeko, bliźniak Thomasa, tego ze zdjęcia. Proszę.

Makuma nawet nie drgnął, więc Connor nachylił się i położył przed nim kartkę. Tamten nie spuszczał z niego oczu.

- Jestem gotów przeprowadzić z panem wywiad, zrobić zdjęcia, wysłuchać pańskich sprostowań do moich - jak pan to określił - łgarstw. Zatrąszczę się o to, żeby zostały w tej postaci wydrukowane. Ale właściwie zjawiłem się tutaj, żeby złożyć panu ofertę. - Wskazał na listę. - Nie wiem, ile one dla pana znaczą. Jeśli są podobne do Thomasa, to na pewno nie ma pan z nich żadnego pożytku. Nie wiem, czy wszystkie są tutaj. Ale te, które są, chciałbym wykupić.

W oczach Makumy na chwilę pojawiło się zaskoczenie, potem się roześmiał.

- Jak to jest, że Amerykanie są zawsze święcie pewni, że wszystko jest do kupienia?

- Wszystko, co chciałbym kupić, to ich wolność.

- Za czyje pieniądze?

- Moje.

Makuma prychnął pogardliwie.

- Może mi pan nie wierzyć, niewiele mnie to obchodzi. Pieniądze są jednak przygotowane i

czekają na koncie w banku w Nairobi. Dwa tysiące dolarów amerykańskich za każde dziecko z tej listy, płatne po dostarczeniu w umówione miejsce.

Czekał na jakąś wściekłą czy dumną reakcję Makumy, ten tymczasem zawołał wartownika, kazał mu się zbliżyć, powiedział coś w narzeczu Acholi, a potem wręczył listę i zdjęcie Thomasa. Żołnierz wybiegł w pośpiechu.

- W imieniu jakiej organizacji pan działa?

- To moja własna inicjatywa. Nikt więcej o niej nie wie i nie musi wiedzieć, jeśli tak pan woli.

Makuma zamyślił się, ale Connor niczego nie mógł wyczytać z wyrazu jego twarzy.

- Niech pan już idzie - powiedział Błogosławiony, patrząc na zegarek. - Dokończymy rozmowę rano.

Jeszcze długo w nocy Connor przewracał się na macie i analizował przebieg spotkania. Wyklinał siebie, że tak łatwo dał się Makumie wyprowadzić z równowagi. Przedtem wielokrotnie obmyślał sobie, kiedy i jak złożyć propozycję, nakazując sobie spokój, uprzejmość i rzeczowość, a tymczasem rozgniewany naskoczył na tamtego. Jakkolwiek zwariowany był to pomysł, trzeba się było przynajmniej zatroszczyć o jak najlepsze jego przedstawienie. Mniejsza zresztą z tym, co myślał o nim Makuma, ostatecznie liczyły się pieniądze. Niebo zaczynało błędnąć, kiedy w końcu usnął.

Po raz pierwszy od bardzo dawna przyśniła mu się Julia. Płynęli po rzece, która przypominała Salmon River sprzed wielu lat. To samo kamieniste koryto, ale skały nie szare, lecz czerwone, jakie widywał tylko w Afryce, a roślinność najwyraźniej z dżungli. On płynął jednym kanoe z bagażem, przed nim Julia drugim z Amy pośrodku i Edem przy sterze. Spokojny, jasny dzień. Amy trzymała rękę w wodzie. Julia raz obejrzała się i przesłała mu uśmiech. On ten uśmiech odwzajemnił, nie czując żadnego odcienia żalu ani smutku.

Rozglądał się po skałach, wiedział bowiem, że powinny tam być hieroglify czy malowidła, niczego jednak nie mógł dojrzeć. Kiedy spuścił wzrok, zobaczył, że kanoe Julii znika za zakrętem, a Ed, jak zwykle w czarnych okularach, zerka przez ramię i daje mu znaki, aby się pospieszył. Connor nagle sobie uświadomił, że za chwilę zaczną się katarakty i wodospady, o których zapomniał ich uprzedzić, a tymczasem trzeba było natychmiast opuszczać rzekę i wyciągać łódki na brzeg. Nadstawił ucha, a wtedy dobiegł go łoskot wody. Zaczął krzyczeć, ale nie mogli go słyszeć, ze wszystkich więc sił wioślował, nieustannie krzycząc, aby się zatrzymali. Zagłuszał go jednak coraz głośniejszy huk wodospadu.

Obudził się, ale dźwięk pochodził od samochodu Okella zatrzymującego się właśnie przed chatą. Za chwilę w drzwiach stanął on sam, pokrzykując:

- Muzungu, muzungu!

Connor żałował, że to nie jest jeszcze raz dzień wczorajszy, wtedy bowiem wszystko rozegrałby inaczej.

Natychmiast stało się jasne, że jego sytuacja radykalnie się zmieniła. Minąwszy próg, poczuł pchnięcie w plecy. Odwrócił się do Okella.

- A to co znowu?

- Wsiadaj!

Obaj przybocznicy zaśmiewali się, jakby usłyszeli kawał, którego Connor z pewnością nie zrozumie. Zjechali serpentyną do dolnego obozu, a ptaki w drzewach wzniosły taki rejwach, jakby i one uczestniczyły w zabawie.

Obozowisko było jeszcze marniejsze, niż się wydawało z góry. Czerwona ziemia zamieniła się w błocko, lepianki były w strasliwym stanie. Na stertach odpadów siedziały sępy i wszędzie unosił się odór ludzkich nieczystości.

Connor zerknął przez ramię i zobaczył tuż za ich samochodem drugiego jeepa, w którym z przodu obok kierowcy siedział Makuma, dumnie wyprostowany i łaskawie pozdrawiający wszystkich mijanych. Zatrzymali się na skraju obozu, gdzie czekała grupa najmłodszych żołnierzy z armii Błogosławionego. Było ich może czterdziestu, w wieku od dziewięciu, dziesięciu lat do szesnastu. W większości byli to chłopcy.

Na komendę wszyscy poderwali się, sprezentowali broń i wydali jakiś bojowy okrzyk. Pasażerowie obu jeepów wysiedli, Connor stanął przy masce, patrząc na zmierzającego w jego kierunku Makumę.

- Oto pańskie „porwane” dzieci. Jest ich czterdzieścioro dwoje. Dziewiętnastki z pańskiej listy nie ma w tej chwili w obozie, uczestniczą bowiem w akcjach, których miejsca z oczywistych względów bezpieczeństwa nie mogą zdradzić. O dalszych dwunastu nic nie wiemy. Być może zostali zabrani albo zabici przez wojska rządowe.

- Miałem wrażenie, że oświadczył pan wczoraj, że najmłodszy nie biorą udziału w walkach. Tymczasem niektóre z tych dzieci nie mają więcej niż dziewięć lat.

- To nie lata się liczą, lecz dusza. Jeśli namiętnie chcą walczyć za naszą sprawę, jak możemy im tego zabronić?

- Czy mogę zrobić zdjęcia?

- Nie.

- Jak przypuszczam, z oczywistych względów bezpieczeństwa.

- Słusznie.

- Zdjęcie przynajmniej upewniłoby rodziców, że dzieci żyją. Nigdy ich przedtem nie

widziałem, więc nie wiem, kim są. Przydałoby się do identyfikacji.

Makuma mruknął coś do Okella, który natychmiast wydobył listę i zaczął odczytywać, a wywołani odpowiedzieli okrzykiem. Connor lekko pokręcił głową; był przekonany, że to wszystko inscenizacja.

Ostatni na liście był brat Thomasa, Lawrence Nyeko.

- Chcę z nim porozmawiać - powiedział Connor. Makuma skinął głową w stronę Okella i zawołano chłopca.

Makuma podał Connorowi fotografię Thomasa.

- Może musi pan sobie przypomnieć.

Nie było trzeba. Już z odległości dwudziestu jardów można było rozpoznać te same rysy twarzy. Podarta panterka była za duża, a z bliska Connor zobaczył kości policzkowe sterczące tak, jakby miały rozerwać skórę twarzy, oraz ropiejące wrzody na przegubach. Lawrence stanął przed nimi i dziarsko zsalutował Okellowi. Pomimo starań chłopca, by wyglądać jak najbardziej dorośle, w jego oczach przeskakujących nerwowo z jednej męskiej twarzy na drugą widać było dziecięcy lęk. Connor uśmiechnął się do niego, ale nie było odpowiedzi.

- Lawrence?

Chłopiec zerknął na Okella, a właściwie na trzcinę, z którą zdążył się zapewne nieraz zaznajomić. Okello przemówił do niego łagodnie w narzeczu Acholi, a wtedy Lawrence spojrzął na Connora i przytaknął. Connor wyciągnął rękę.

- Dżambo. Dżina langu ni Connor.

- Nie mówi w suahili - poinformował Okello. - Ani po angielsku. Tylko w acholi.

Chłopiec znowu popatrzył pytająco na Okella, a gdy otrzymał pozwolenie, ucisnął wyciągniętą dłoń. Jego rączka była koścista i zimna. Connor pokazał mu zdjęcie Thomasa. Chłopiec popatrzył uważnie, potem znowu spojrzął pytająco na Okella, aby sprawdzić, jak powinien się zachować.

- Spytaj go, kto to jest.

Okello spytał, Connor w odpowiedzi wychwycił imię Thomasa, ale reszty nie zrozumiał. Był wściekły na siebie, że zdołał się nauczyć zaledwie kilku słów w acholi. Okello przetłumaczył:

- Mówi, że to jest jego brat Thomas, który umarł jak zdrajca i tchórz.

- Nie powiedział tego. A jeśli powiedział, przekaż mu, że to nie jest prawda. Powiedz mu, że jego brat żyje.

Okello popatrzył na Makumę, a Connor sam przekazał to chłopcu w suahili, ale widział, że chłopak tego nie rozumiał. W spojrzeniu chłopca pojawił się strach. Najwyraźniej bał się, że może powiedział albo zrobił coś nie tak, jak należało. Okello zapytał o coś, a Lawrence odparł tak

łamiącym się głosem, że aż dwa razy musiał przerwać.

- Mówi, że kłamiesz - stwierdził Okello.

- Przecież to idiotyzm - nie wytrzymał Connor. - Nie rozumiem nic z tego, co mówicie, ale nawet głupiec by się zorientował, że to dziecko jest śmiertelnie wystraszone.

- A ja myślę, że to pana się boi - wtrącił się Makuma. Rzekł coś do Lawrence'a, a tamten gwałtownie potrząsnął głową.

- Co mu pan powiedział?

- Że przyjechał pan go kupić i spytałem, czy chce być sprzedany.

Connor przygryzł wargi i spojrział w bok. Jaki z niego idiota, że chociaż przez chwilę myślał, że może się to udać.

- O to samo spytam ich wszystkich.

- Nie wątpię i chyba z góry znam odpowiedź. Makuma otoczył ramieniem Lawrence'a i odwrócił go tak, by stał twarzą do reszty dzieci. Potem przemawiał przez jakąś minutę. Z samego tonu głosu Connor mógł odgadnąć, co powiedział prorok - nabożne brednie okraszone kłamstwami. Wystąpienie zakończyło się pytaniem, po którym zaległa cisza. Dzieci były zbyt przestraszone, by zerknąć chociaż jedno na drugie. Pytanie powtórzyło się i znowu pozostało bez odpowiedzi.

Makuma odwrócił się do Connora z uśmiechem wyrażającym pełne zadowolenia ubolewanie.

- Spytałem, czy ktoś z nich chce być sprzedany panu. No i widzi pan? Nikt.

- To niech pan im powie, że zawiozę ich z powrotem do domów. Że wrócą do swych rodzin.

Makuma znowu przemówił, ale Connor był pewien, że wcale nie powtarza jego słów, więc sam zaczął krzyczeć w suahili. Wtedy jednak Okello kazał mu natychmiast przestać, a gdy Connor nie posłuchał, uderzył go trzcina po ramieniu. Connor rzucił się, by mu oddać, ale wtedy obaj adiutanci wykręcili mu ręce, a pułkownik zdzielił go w twarz, a potem w brzuch, tak że Connor w jednej chwili stracił dech. Padł na kolana, ale po kopniaku w pierś zwałił się na ziemię i przetoczył na plecy. Leżał tak i widział ich twarze spoglądające groźnie w dół, a za nimi jasne i kobaltowe niebo. Zanim ostatni cios odebrał mu resztki świadomości, usłyszał jeszcze entuzjastyczny okrzyk Makumy do Wojowników Boga i karnie odpowiadające mu dzieci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Miasto Karingoa leżało u ujścia doliny w tej części Ugandy, gdzie nędzne trawy i wschodnie pustkowie upstrzone akacjami stawały się bardziej pagórkowate i bujne, ciągnąc się na zachód ku Nilowi Alberta, za którym zaczynały się góry Konga i dżungla. Była tu tylko jedna ulica ze sklepami i kościołem na jednym końcu, a komisariatem policji na drugim. W odległych czasach przed wojną była to senna bezpretensjonalna miejscina licząca sobie zaledwie kilka tysięcy mieszkańców, chociaż znacznie więcej ludzi ściągało codziennie z okolicy na targi. Teraz jednak ludność miasta wzrosła pięciokrotnie, a leżące dookoła osiedla i wioski stały splądrowane i spalone.

Rząd zorganizował „chronione” obozy i zachęcał wszystkich uciekinierów, aby się tam przynosili, ci jednak robili to niechętnie, gdyż w obozach szerzyły się choroby, a po nocach nadal napadali na nie rebelianci, porywając dzieci i okradając nędzarzy z tego, co im jeszcze pozostało. Dlatego wielu wolało się schronić w Karingoa i teraz o milę od każdego końca rozpostarł się nędzny obóz. Stąd przynajmniej najbardziej odważni mogli się zakraść do rodzinnej wioski, aby coś posadzić czy zebrać. A na miejscu nierzadko spotykali porwane dzieci, które albo uciekły z buntowniczych oddziałów, albo zostały przez nie porzucone i teraz wałęsały się wśród ruin niczym pokutujące duchy.

Misja Naszej Pani Anielskiej, gdzie wiele z tych dzieci ostatecznie docierało, znajdowała się na południowym skraju Karingoa. Kiedy spoglądało się od strony wyłożonej stiukiem bramy, dawny budynek klasztorny wydawał się ostoją dostojeństwa i spokoju w zestawieniu z nędznymi rudkami dookoła. Miał trzy kondygnacje, wzniesiony był na planie kwadratu, a od bramy łagodnie schodziła do niego czerwona piaszczysta droga. Obrzeżona była krzewami, za którymi - po każdej stronie - rosły palmy i wielkie mangowce, na których osiedliły się nietoperze, o zmroku rozkładające wielkie, pokryte skórą skrzydła, i wyruszające na łowy. I budynek poklasztorny, i kaplica zbudowane były z otynkowanego kamienia, który ostro odcinał się od otaczających je karmazynowych bugenwilli. Dopiero z bliska znikało wrażenie kolonialnego dostatku.

Tynk odchodził płatami, podmywany przez wodę, która dwa razy do roku w czasie pory deszczowej ściekała strumieniami z dziurawych rynien. Od frontu, we wszystkich sześciu ogromnych oknach na każdej kondygnacji, moskitiery były porwane, a zielona farba na okiennicach podpryskiwała tak, że wyglądało to, jakby osiadł na nich liszaj. Dróżka dojazdowa przechodziła przed budynkiem w mały dziedziniec, skąd cztery szerokie, popękane stopnie cementowe prowadziły do ciężkich drzwi. Przed wojną, gdy była tutaj szkoła żeńska, zawsze stały

otworem, teraz zawsze były zamknięte, a na noc zabezpieczane zasuwami i łańcuchami.

Za głównym budynkiem rozsypały się mniejsze budynki, zaspokajające różne potrzeby ośrodka. Kuchnie, z których okien nieustannie dochodził gwar głosów i szczęk naczyń, obsiadły otoczony niskim murem placyk, na którym rosły trzy wysokie papaje i znajdowała się studnia z pompą ręczną. Wychudzone kurczęta i kaczki uparcie szukały w piachu jakiegoś pożywienia, podczas gdy jeszcze bardziej wynędzniałe psy węszyły pod stołami ustawionymi pod otwartym z jednej strony namiotem, który służył jako jadalnia.

Było tam też kilka małych sklepów, ambulatorium, warsztat i garaż mieszczący bezładną kolekcję pojazdów w różnym stanie rozkładu. Nad tym wszystkim górował surrealistyczny dwupoziomowy autobus, który dekadę temu dotarł tam w ramach epickiej wyprawy charytatywnej z Anglii. Nazywano go Gertrudą, a dzięki staraniom George'a, lokalnego ogrodnika, mechanika i specjalisty od wszystkich innych spraw, nadal był na chodzie.

Obok znajdowało się pokryte czerwonym pyłem i wyschniętą trawą poletko, na którym teraz, późnym popołudniem, w promieniach zachodzącego słońca dzieci grały w piłkę nożną i koszykówkę. Za nim rozpościerało się dwanaście akrów ogrodu, raj u pełnego pomarańcz, bananów, mango i awokado.

Patrząc z wysokości drugiego piętra, Julia przypominała sobie, jakie obce wszystko im się wydawało, kiedy tu dotarły przed trzema miesiącami, i jak szybko się zadomowiły.

Niedawno obie z Amy skończyły codzienną lekcję acholi z siostrą Emily i po raz kolejny Amy zawstydziła matkę. Dziewczynka w tej chwili władała już narzeczem właściwie płynnie, podczas gdy Julii zdarzało się wyłożyć na najprostszycy zdaniach i popełniać omyłki, które wywoływały salwy śmiechu Amy i nawet dobrotliwy uśmiezek na twarzy Emily. Po lekcji Amy pobięła grać w koszykówkę, chociaż powinna odrabiać pracę domową, ale Julia nie miała serca jej zatrzymywać. Widziała ją teraz, jak ugania się za piłką z innymi dziewczętami, a jej blond loki powiewają w przyćmionym pyłem świetle słonecznym.

Ich pokój był spartański, ale obszerny. Miał wysoki sufit z wiatrakiem, który nie działał, a także jasnozielone ściany, na których różowe gekony o wyłupiastych ślepiach potrafiły trwać nieruchomo całymi godzinami. Dwa metalowe łóżka zsunięto, aby zmieściły się pod jedną ogromną moskitierą, na środku ustawiono biurko z szufladami i trzy krzesła, a pod ścianą znalazła się szafa na ubrania woniejąca kulkami antymolowymi. Jedyne luksusy to własny prysznic i własna umywalka stłoczone w rogu. Wzdłuż korytarza ciągnęły się wspólne toalety.

Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze pół godziny do lekcji angielskiego, jakie zaczęła od niedawna prowadzić co wieczór przed kolacją. Obecność była dobrowolna, ponieważ jednak Julii udawało się przekazywać wiadomości w zabawny sposób, więc coraz więcej dzieci zjawiało się w

klasie. Odeszła od okna, rozebrała się i z rozkoszą wzięła chłodny prysznic, podczas gdy z sufitu uważnie przypatrywał jej się gekon. Potem owinięta w ręcznik, czując na plecach dotyk słońca, usiadła do stołu i dokończyła list do Lindy.

Przyjaciółka ostatnio pytała o Connora i o to, czy w ośrodku nie wiedzą, gdzie się on podziewa. Nie wiedzieli, niemniej jednak siostra Emily miała świeższe wiadomości niż ktokolwiek inny. Zeszłej jesieni, jakieś pół roku temu, zadzwonił do niej z Nairobi i poprosił o listę dzieci z okolicy, o których wiadomo, że zostały uprowadzone przez Wojowników Boga. Nie mówił, na co mu jest potrzebna, a Emily nie dopytywała się. Przypuszczała, że chodzi o jakiś przygotowywany przez niego artykuł.

Ze sposobu, w jaki i ona, i pozostałe zakonnice, i opiekunowie w Naszej Pani Anielskiej wypowiadali się o nim, natychmiast było widać, że wszyscy bardzo go kochają. W holu wisały w ramach fotografie, które porobił dzieciom. Julia dowiedziała się, że regularnie przysyła pieniądze oraz wielkie paczki z ubraniami i obuwem, a podczas ostatnich odwiedzin przywiózł nowe wideo i wieżę stereo. Julia wspomniała wprawdzie, że jest ojcem chrzestnym Amy, ale nie zdradziła się już z tym, że jest także jej biologicznym ojcem.

Słyszając o jego telefonie do Emily, poczuła taką ulgę, że omal nie wybuchnęła łzami. A więc żył. Przynajmniej tyle. W chwilę później jednak nadpłynął ból i zazdrość, gdyż od tak dawna nie starał się skontaktować ani z nią, ani z córką. Przypuszczała, że nadal nie wie o śmierci Eda, inaczej bowiem z pewnością by się odezwał. Tak czy owak Julia nie zdradzała się ze swymi uczuciami ani przed Amy, ani przed Lindą. Zresztą Connor należał do przeszłości, a ona poprzysięgła sobie żyć chwilą bieżącą i za nic nie pozwolić na to, aby mącił ją żal, który z łatwością wypełniłby jej duszę, gdyby tylko na to pozwoliła.

W ośrodku było czterdzieścioro dwoje dzieci, jedną trzecią stanowiły dziewczynki. Pośród dziewięciorga opiekunów było sześć zakonnice urodzonych i wychowanych w tej okolicy. Wszystkie pracowały, kiedy była tutaj szkoła, a potem zostały przysposobione do opieki nad dziećmi z silnymi urazami psychicznymi. Były wprawdzie katoliczkami, ale kwestie religijne traktowały z delikatnością, aby nie urazić tych dzieci, które wychowano w duchu protestantyzmu.

Pozostała trójka to - oprócz Julii - jowialna Szwajcarka, rozwódka w średnim wieku, imieniem Francoise, oraz Peter Pringle, uroczy, odrobinę przesadnie emocjonalny Szkot, który był też lekarzem. Miał złotawe włosy i zapałał wielką sympatią do Julii. Zawsze siadał naprzeciw niej przy posiłkach i czerwienił się, ilekroć pochwyciła jego spojrzenie. Personel spał na drugim piętrze, podczas gdy chłopcy i dziewczęta spali oddzielnie na drugim. Peter Pringle był ich sąsiadem przez ścianę. Ilekroć brał prysznic, zawsze słyszały, jak podśpiewuje ludowe piosenki, tak okropnie przy tym fałszując, że Amy niezmiennie chichotała jak szalona. Nazywała go Cringle z powodu włosów.

Bardzo lubiła też przedrzeźniać jego zachwycony wzrok, jakim wodził za Julią.

Skończyła list, ubrała się i przygotowała wszystko, czego potrzebowała do lekcji. W klasie mówiła tylko po angielsku; kiedy ktoś zwrócił się do niej w aholi, udawała, że nie rozumie, chociaż czasami wcale nie musiała udawać. Zawsze wybierała sobie jakiś temat lekcji, tym razem miała to być wizyta na targu. Powkładała zatem do koszyka około trzydziestu różnych przedmiotów (od pomarańcz i bananów po klamerki do bielizny i grzebienie), które dzieci mogły na niby sprzedawać i kupować, targując się przy tym i przekonując. Wzięła też kilka pudełek zapalek, które miały udawać pieniądze. Pandemonium było gwarantowane.

Na schodach spotkała idącą w przeciwnym kierunku Amy, której towarzyszyła Christine, dziesięcioletnia Acholi, przez ponad rok przetrzymywana w obozie rebeliantów i straszliwie traktowana. W ośrodku przebywała już drugi miesiąc i była na najlepszej drodze do wyzwolenia się ze straszliwych wspomnień. Obie przyjaciółki były strasznie umorusane.

- Czy Christine może iść do nas? - spytała Amy.

- Oczywiście, ale tylko nie zapomnij o matematyce.

Dziewczynki puściły się biegiem na górę, a Amy zawołała przez ramię:

- Pamiętam, zrobię później. Teraz chcemy napisać sztukę!

- Wspaniale. Zobaczymy się na kolacji. I pamiętaj o prysznicu!

- Tak, mam! - odrzyknęła Amy z wyraźnym już zniecierpliwieniem w głosie.

Lekcja poszła dobrze. Uczestniczyła w niej rekordowa liczba uczniów - piętnaścioro dzieci oraz dwie zakonnice, które mówiły wprawdzie po angielsku, ale chciały go podszlifować. Największą niespodzianką była obecność chłopca ze zdjęcia Connora, Thomasa, który pomimo prawie dwóch lat spędzonych w ośrodku wypowiadał tylko pojedyncze słowa. Przybrał nieco na wadze, ale nadal miał bardzo mizerny wygląd. W obronnym geście brodę zwykle trzymał przyciśniętą do piersi, tak więc wydawało się, że patrzy spode łba. Nie bardzo było wiadomo, co z nim począć. Większość dzieci po dwóch, trzech miesiącach wracała do swych rodzin. Thomasa także wysłano do wuja, jedyne żyjącego krewnego, nic to jednak nie dało. Wrócił po dwóch tygodniach jeszcze bardziej osowiały i samotny niż przedtem.

Podczas porannych zajęć Julia - tak jak wszyscy inni opiekunowie - zachęcała go do malowania. Czasami brał od niej kredkę i zastygał z nią nad kartonem, jak gdyby zbierał się na odwagę, ale nigdy do tego nie doszło. Cokolwiek w nim utkwilo, zażarcie broniło się przed wydobyciem na zewnątrz.

Jak wiele poszczególne osoby nauczyły się dzisiaj angielskiego, tego Julia nie wiedziała, ale przynajmniej zabawy było co niemiara. Pod koniec była zupełnie wyczerpana i z największą ulgą powitała dzwonek na kolację.

Na korytarzu ze zdziwieniem zobaczyła dwóch żołnierzy, którzy półgłosem rozmawiali z siostrą Emily. Po mundurach poznała, że należą do Ludowego Frontu Obrony Ugandy, wojskowej armii, której oddział miał swoją siedzibę na północnym końcu miasta. Ale w Naszej Pani Anielskiej niechętnie widziano jakiegokolwiek wojsko. Wystarczył sam widok uniformu czy broni, żeby wzbudzić popłoch u tego czy innego dziecka, a z niektórymi żołnierze LFOU obeszli się nie lepiej niż rebelianci. Przechodząc, Julia usłyszała, że jeden z przybyszów wymienia imię Makumy, ale wtedy spostrzegł ją i poczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem głosu.

Byli już w połowie kolacji, kiedy w namiocie pojawiła się siostra Emily. Była wysoką, pełną gracji kobietą, która miała chyba pod czterdziestkę, ale jej maniery sprawiały, że wydawała się pozbawiona wieku. Oficjalnie była kierowniczką Programu Rehabilitacji, ale dzieci uważały ją po prostu za matkę - której wiele z nich już nie miało - i tak ją nazywały. Rzadko można było ją zobaczyć bez jakiegoś malucha w objęciach i dwojga, a czasami trojga innych wtulających się w fałdy jej zawsze nienagannie białego habitu.

Personel zawsze jadał przy osobnym stole, chociaż potrawy wszyscy spożywali takie same. Dzisiaj mieli podplomyki, gotowany maniok i aromatyczny gulasz. Siostra Emily zasiadła na miejscu specjalnie dla niej zostawionym, a jedna z podających do stołu zakonnice postawiła przed nią talerz zjedzeniem. Ponieważ od samego początku kolacji rozmowa dotyczyła tylko żołnierzy i ewentualnego powodu ich zjawienia się, więc teraz wszyscy umilkli, czekając na informacje. Przez kilka chwil Emily udawała, że niczego nie spostrzega. Przeżegnała się i sięgnęła po widelec, ale kiedy podniosła wzrok, napotkała twarze pełne oczekiwania.

- A co wam się wszystkim stało? Języki stanęły wam kołkiem? - Zaczęła przeżuwać, a wszyscy czekali. - No dobrze, już dobrze. Nic poważnego, tylko jakieś plotki. Wywiad donosi, że Makuma gromadzi dodatkowe siły przy granicy i szykuje się do nowej ofensywy. Żołnierze twierdzą, że to dlatego kilka ostatnich miesięcy było zupełnie spokojnych. Nikt nie wie, co zamierza, ale wydaje się, że jego mocodawcy z Chartumu woleliby, żeby swej nowo zebranej siły użył w Sudanie, a nie - tak jak on preferuje - w Ugandzie.

- Dlaczego więc żołnierze musieli tu przyjść, żeby nam to powiedzieć? - spytała Francoise.

Emily wzruszyła ramieniem.

- Mówią, że pewności nigdy za dużo, dlatego chcieliby, żeby w ogrodzie stacjonował mały oddział, który będzie nas chronił.

- A co siostra na to? - spytał Pringle.

- A jak ci się wydaje? Oczywiście, że odmówiłam. I co, dzieci miałyby ciągle mieć na widoku mundury i broń? Mamy własnych strażników przy bramie i to wystarczy. A poza tym, po co nam jacyś żołnierze, skoro mamy na miejscu dzielnego Petera Pringle'a?

Wszyscy się roześmiali, Peter spurpurowiał, a Emily powróciła do jedzenia.

- Julio, prawda, że świetny gulasz? Chyba niełatwo skosztować coś takiego w Ameryce?

Był to znak, że temat wojny znika z porządku wieczoru. Julia z uśmiechem pokręciła głową.

- Nigdzie nie gotuje się tak smacznie jak tutaj.

Po kolacji opiekunowie i dzieci zwykle przenosili się do świetlicy, aby słuchać muzyki, zasiąść do jakiejś gry albo oglądać wideo. Dzisiaj, chyba już po raz osiemnasty, oglądali przywiezione przez Julię i Amy taśmy z filmem Król Lew. Julia widziała to już sto osiemnaście razy, powiedziała więc Amy, która pod tym względem miała apetyt chyba nienasycony, że idzie na górę poczytać.

Idąc przez ciemny korytarz w kierunku schodów, zobaczyła siostrę Emily, która przy lampce siedziała za biurkiem w swym małym gabinecie. Słyszając jej kroki, siostra Emily podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Masz chwilę czasu, Julio?

- Oczywiście.

Weszła do gabinetu, a Emily wskazała jej miejsce na krześle. Na biurku pomiędzy nimi stała taca z niebieskim porcelanowym imbryczkiem, dwiema filiżankami, dzbanuszkim do mleka i cukiernicą. Okiennice były zamknięte, na ścianach widniał tylko prosty drewniany krucyfiks nad krzesłem Emily i obraz Najświętszej Marii Panny za plecami Julii.

- Napijesz się herbaty?

- Tak, poproszę.

- To herbata Liptona, jak piszą. Pije ją sama królowa. Nie jestem pewna, czy nie jest to przypadkiem jeden z moich grzechów.

- Raczej nie. Chyba żeby siostra dolewała whisky. Emily roześmiała się, napełniła filiżankę Julii i podsunęła jej mleko oraz cukier.

- Nie, dziękuję, nie słodzę i wolę naturalną, bez dodatków.

- Takie jesteśmy wszystkie załatane, że nawet brak czasu na rozmowę. Powiedz mi, czy wszystko w porządku z zajęciami tutaj, z tobą, z twoją córką?

- Tak, wszystko jest bardzo dobrze.

- Radzisz tu sobie znakomicie.

- Dziękuję. Kocham każdą minutę tu spędzoną.

- A czy jesteś szczęśliwa?

To pytanie ją zaskoczyło.

- Taaak. Dlaczego? Czy tego nie widać?

- Nie, czasami sprawiasz wrażenie bardzo smutnej.

- Naprawdę? Hmm, nie wiem... Bardzo przepraszam.

- Nie, daj spokój. Przecież nie chcę cię karcić. Z dziećmi i w ogóle w towarzystwie zawsze jesteś bardzo pogodna i radosna. Ale czasami, kiedy sądzisz, że nikt cię nie widzi, pojawia się w tobie jakiś smutek.

- Taką już mam twarz. Od kiedy pamiętam, ludzie zawsze się dopytywali, co się stało, dlaczego jestem taka smutna, a ja po prostu... taki mam wygląd.

Emily uśmiechnęła się, ale bez przekonania. Zapadło milczenie. Obie skosztowały herbaty.

- Słyszę, że dzieci bardzo lubią twoje lekcje angielskiego. Julia uśmiechnęła się.

- W każdym razie robimy dużo hałasu. A dzieciaki są wspaniałe. Bardzo bym chciała tak szybko uczyć się ich języka, jak one uczą się mojego.

- Bardzo dobrze już mówisz w aholi.

- Żeby tak było! Amy ma do tego prawdziwy dryg. To chyba dlatego, że ma jeszcze nie zużyte szare komórki.

- Dzieci bardzo ją lubią. To świetnie, że się tu zjawiała. Piękna dziewczynka. Bardzo podobna do ojca.

Julia zmarszczyła brwi.

- Przecież siostra...

- Przepraszam, jak to się mówi? Do „biologicznego” ojca.

- Amy opowiedziała siostrze o Connorze?

- Tak. A nie powinna?

- Nie. To znaczy, tak. Nic się nie stało, po prostu nie wiedziałam.

- Jest z niego bardzo dumna. I słusznie, bo to wspaniały człowiek.

- Tak, tak.

Nie wiedziała dlaczego, ale temat rozmowy sprawiał, że zaczęła źle się czuć. Było to tak, jakby ta kobieta wiedziała o niej więcej niż ona sama. Upiła kolejny łyk herbaty i postanowiła zająć się czymś innym.

- Więc nie obawia się siostra, że wojna rozgorzeje tutaj, w okolicy?

- Raczej nie. Karingoa nigdy nie było interesujące dla rebeliantów. Prędzej przypuszczają atak na Kitgum albo Gulu.

Kiedy potem czytały z Amy pod moskitierą, a na zewnątrz żaby i owady odgrywały swój szaleńczy koncert, nie potrafiła przestać myśleć o rozmowie.

- Czy ja wyglądam na smutną?

Amy przyjrzała się jej uważnie.

- Teraz?

- Nie, pytam tak w ogóle.
- Czasami. To chyba wtedy, kiedy myślisz o tacie.
- O!
- Bo myślisz o nim, prawda?
- Czasami.

Amy zwinęła się i położyła głowę na piersi Julii.

- Podobałoby mu się tutaj.
- I ja tak myślę.

Gładziła córkę po włosach i przez dłuższą chwilę się nie odzywały.

- Mamo?
- Tak, kochanie?
- Czy ty jeszcze kiedyś wyjdiesz za męża? Jak ci się zdaje?
- Nie wiem. Nie wiem, czy mnie zechce.

Amy oparła się na łokciach i badawczo wpatrzyła się w matkę.

- Kto?

Julia udawała, że nie dosłyszała. Więc Amy szturchnęła ją w bok.

- No kto?
- Cringle, oczywiście.

Amy pękała ze śmiechu. Julia zaczęła uspokajać córkę, bo w przeciwnym razie ich sąsiad mógłby to usłyszeć. Uplłynęło jednak sporo czasu, zanim obie zdołały uspokoić się na dobre. W końcu wróciły do lektury, ale Amy zaraz zasnęła. Julia delikatnie wyjęła jej książkę z rąk i zgasiła lampę. Gdzieś od miasta niósł się odgłos bębnów. Leżała w ciemnościach, wsłuchując się weń oraz w przenikliwe odgłosy insektów i starając się nie myśleć o Connorze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Zabrali mu zegarek, zawsze więc czekał na brzask, zanim pozwalał sobie na liczenie. Kiedy wreszcie w oknie robiło się jasno, sięgał pod pryczę, odnajdywał kamień przytrzymujący moskitierę, siadał i na glinianej ścianie kreślił następną linię.

Dzisiaj kończył kolejną grupę siódemek, którą podkreślił długą linią. Grup takich było już osiem, przypominały trochę połówki rybiego szkieletu - ości jako dni i kręgosłup jako tydzień. Pięćdziesiąt sześć dni. Siedemdziesiąt, jeśli policzyć dwa tygodnie oczekiwania na Makumę. Znowu przycisnął kamieniem moskitierę i ułożył się na boku, długo wpatrując się w szkieleciki.

Nadal nie miał pojęcia, co Makuma zamierza z nim począć. Pierwszego dnia uwięzienia Okello zrobił mu zdjęcie, po czym skonfiskował wszystkie aparaty, magnetofon, notesy i długopisy. Connor dość już jednak nasłuchiwał się o zakładnikach, aby wiedzieć, że jedno marne zdjęcie nigdy nie wystarczy do wypłacenia okupu. Nawet najgłupszy porywacze znali procedurę: zdjęcie - jeszcze lepiej film wideo - a na nim zakładnik z gazetą, na której wyraźnie widać datę. Ciągłe tego nie zrobili, a na zdjęciu Okella, pokrwawiony, poraniony, bardziej chyba wyglądał na trupa i mało prawdopodobne, by ktoś zdecydował się wysupłać pieniądze, aby w zamian otrzymać co najwyżej zwłoki.

Jedyną wskazówką, że może im istotnie chodzić o okup, były słowa samego Makumy, które usłyszał, kiedy półprzytomnego podnoszono go z ziemi. Błogosławiony śmiejąc się, powiedział, że za amerykańskiego fotografa z pewnością dostanie więcej niż za kilkoro wychudzonych smarkaczy. Potem jednak ten temat nigdy już się nie pojawił. Przez te osiem tygodni nie zobaczył Makumy na oczy. Można było odnieść wrażenie, że prorok znowu wstąpił do nieba.

Z początku trzymali go zamkniętego w chacie. Od razów Okella pękły mu dwa żebra. Przez pierwsze dni ból przy każdym oddechu był tak silny, a powietrze tak duszne, że kilka razy dziennie tracił przytomność. Jedzenie i wodę wsuwali pod drzwiami. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, aby doczołgać się do tego albo dowlec się do wiadra, które służyło jako ubikacja. Siadające na poranionej twarzy muchy doprowadzały go do szaleństwa, ale był tak wyczerpany, że z trudem podnosił rękę, aby je odegnąć. Potem pewnego ranka Okello zjawił się z oficerem, którego Connor nigdy dotąd nie widział, a który najwidoczniej miał jakieś medyczne przeszkolenie. Przybysz zbadał go i najwyraźniej był pod wrażeniem tego, co zobaczył. Musiał też mieć wysoką rangę, za drzwiami bowiem głośno zrugął Okella.

Od tego dnia nastąpiła gwałtowna poprawa. Jeść dawano mu nie tylko więcej, ale i lepiej, dostawał tyle czystej wody, że mógł się nie tylko umyć, ale także przeprać bieliznę, dwa razy

dziennie wyprowadzano go na spacer. Lekarz zjawił się jeszcze parę razy i był wyraźnie zadowolony z tego, że stan Connora się poprawia. Dał mu pigułki przeciw malarii, jodynę do odkażania wody, a ostatnio przyniósł ze sobą Biblię i małą lampę naftową. Connor podziękował i spytał, czy mógłby także dostać papier i coś do pisania, ale na to nie było już zgody.

Od czasu, kiedy wydobrzeł, znowu pojawiał się sam Okello, ale chyba tylko po to, aby po raz kolejny dać popis swojej arogancji. Connor zazwyczaj słyszał zatrzymujący się samochód, odgłos zdejmowanej kłódki, a potem Okello darł się: „Muzungu!” Drzwi otwierały się na oścież, Connor wychodził i widział pułkownika, jak patrzy na niego wyzywająco zza kierownicy albo chodzi po małym placu, rytmicznie postukując się trzcina po butach i oskarżając jeńca o szpiegostwo. Najczęściej oskarżenia dotyczyły pracy dla CIA, czasami jednak dla wywiadu brytyjskiego, Mossadu albo rządu ugandyjskiego, chociaż niekiedy wszystkie te przypuszczenia były rozpatrywane łącznie - w zależności od dnia tygodnia.

- Dowiedzieliśmy się o tobie wszystkiego - poinformował Okello dwa dni temu. - Wszystkiego. Wiemy, skąd przyjechałeś, komu składasz raporty, jakie masz kontakty w Kampali i Nairobi. Wiemy, że CIA kazała ci zrobić tu fotografie, aby nasi wrogowie mogli nas zaatakować.

- Święta prawda!

- Nie wypierasz się?

- A po co? Wasi wywiadowcy odwalili kawał znakomitej roboty. CIA ma wprawdzie do dyspozycji satelitę, które sfotografują nawet takie drobne detale jak twój fiut, ale po co korzystać z podobnych urządzeń, kiedy mogą tu przysłać mnie, dla niepoznaki przebranego za fotografa?

Okello nigdy nie wiedział, jak reagować na ironię Connora. Tym razem wściekł się, zaczął grozić natychmiastową egzekucją, Connor jednak nie stracił zimnej krwi nawet wtedy, kiedy tamten zaczął go postukiwać w pierś, on zaś czuł na twarzy jego oddech i ślinę. Z trudem powstrzymywał się, aby na raz nie odpowiedzieć razem, ale przypuszczał, że Okellowi chodzi właśnie o to, aby go sprowokować. Fakt, że wyraźnie potrzebował pretekstu, aby go pobić, wskazywał na to, że otrzymał ścisły zakaz stosowania przemocy bez uzasadnionego powodu. Ale i tak każde takie spotkanie przyprawiało go zawsze o wewnętrzny dygot.

Pozwalał sobie tylko na poranne oznaczanie dni, dobrze bowiem wiedział, że im bardziej będzie śledził upływ czasu, tym wolniej będzie on płynął. Zamiast tego starannie wypełniał wszystkie elementy codziennego rytuału: mycie, sprzątanie, ćwiczenia fizyczne. Rano i wieczorem siadał po turecku z zamkniętymi oczyma i trwał tak przez jakąś godzinę, starając się oczyścić głowę ze wszystkich myśli.

Przed chatą zawsze pełnił wartę jeden uzbrojony strażnik i wszystkim im najwyraźniej zabroniono rozmawiać z więźniem czy zaprzyjaźniać się z nim. Ryzyko podejmował tylko jeden,

wysoki, pełniący wieczorami wartę Vincent. Mówił trochę po angielsku i jeśli był pewien, że nikogo nie ma w pobliżu, zaczynał wypytywać Connora o Amerykę i trochę uczył go narzecza Acholi. Pomógł mu nawet przystrzyc włosy i zgolić brodę.

Poza tym Connor nie miał żadnego towarzystwa, jeśli nie liczyć moskitów, pajaków, skorpionów i od czasu do czasu pojawiających się z wizytą szczurów.

Czytał Biblię. Kiedyś przestudiował ją już od deski do deski i teraz postanowił to powtórzyć, tym razem jednak bez pośpiechu i z namysłem. Ani matka, ani ojciec nie przywiązywali specjalnej wagi do religii i chociaż kiedyś zapoznał się z ewangeliami, nigdy do tej pory nie wiedział, jakie prawdziwe skarby kryje w sobie Stary Testament.

Znowu czytał o Danielu i lwach, o jego trzech przyjaciółach: Szadraku, Mészaku i Abed - Negu, których wrzucono do pieca, a uratował ich anioł, który się zjawił między nimi. Czytał w księgach Samuela o wielkiej przyjaźni Dawida i Jonatana, a także o miłości tego ostatniego do Batszeby i o podstępnym wysłaniu na śmierć jej męża, aby sam mógł ją potem poślubić. Nieustannie powracał do tych opowieści, a po zgaszeniu lampy długo jeszcze leżał i rozmyślał nad ich znaczeniem i przesłaniem.

Gdy zastanawiał się nad tym, co go tutaj przywiodło, myślał, że wiele osób uznałoby go za pomyłonego, a cały pomysł za bezsensowny. Czy nie lepiej było informować tych, których kochał, gdzie jest i co się z nim dzieje? Teraz żałował bólu, który im sprawił, i strapienia, jakich musiała przysporzyć jego nieobecność. Z drugiej jednak strony był przekonany, że także ta wyprawa była częścią jego przeznaczenia i że było jakoś postanowione - chociaż nie wiedział, przez kogo czy przez co - że podróżować będzie samotnie i bez rozgłosu.

Sens owego przeznaczenia odsłaniał mu się tylko w nie powiązanych fragmentach: łoś z płonącym porożem, marsz przez pustynię śladem niewidocznej rzeki, malowidła naskalne i w zawalonej jaskini, i w sypialni Julii; opowieść o kudu, szkielet wieloryba i stary lew ze ślepiami, w których odbija się światło ogniska. Wiedział, że wszystkie te elementy jakoś się ze sobą wiążą, i czasami wydawało mu się, że na krańcach świadomości dostrzega zarys obrazu, w którym łączą się i uzyskują ostateczny sens. Ilekroć jednak usiłował go uchwycić, składowe natychmiast się rozpraszały i znowu były nie powiązane, aż wreszcie zrozumiał, że najpierw musi jeszcze czegoś doświadczyć, a dopiero wtedy przyjdzie czas na jasną wizję.

Przez ostatnie dwa tygodnie zorientował się podczas porannych zapraw i wieczornych spacerów pomiędzy drzewami eukaliptusowymi, że znacznie zwiększyła się liczba żołnierzy i pojazdów w stosunku do czasu, gdy tu przybył. W nocy słyszał na równinie odgłos lądujących i startujących samolotów. Trwały jakieś wielkie przeglądy lub przygotowania. Kiedyś zagadnął o to Vincenta, ten jednak albo nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć.

Dzisiejszego jednak wieczoru wszędzie panowała cisza. Towarzyszył mu nowy strażnik, który był nerwowy i zaczepny. Kazał trzymać się ścieżki, a zawrócić znacznie wcześniej, niż robili to inni. Kiedy Connor usiłował protestować, żołnierz wpadł w gniew i zaczął go poszturchiwać lufą karabinu. Także po powrocie nie pozwolił mu zjeść kolacji na zewnątrz, przy zachodzącym słońcu - jak robił to Vincent i większość innych strażników - lecz zapędził go do chaty i zamknął ją na kłódkę.

Takie popisy siły powtarzały się od czasu do czasu i Connor zawsze usiłował traktować je bez urazy, teraz jednak, siedząc w gęstniejącym mroku, czuł się oszukany i rozżalony. Rozdrażnienie nie pozwoliło mu pogрузić się w medytacji, otworzył więc Księgę Wyjścia, gdzie wcześniej czytał znowu o plagach zesłanych przez Boga na Egipt, aby uwolnić lud Izraela, ale nadal nie mógł się skupić i przyłapał się na tym, że czyta po kilka razy ten sam werset. Rozebrał się więc, zdmuchnął lampę i leżał w ciemności tak bliski rozpacz, jak nie zdarzało mu się od dawna. Wreszcie zapadł w niespokojny sen.

Zbudził się w środku nocy i natychmiast wiedział, że na zewnątrz coś się dzieje. Wydostał się spod moskitiery i rozejrzał po chacie. Na polepie widniał księżycowy obrys desek, z których zbite były drzwi. W świetlnych liniach migotały cienie. Na zewnątrz rozlegały się głosy. Jeden z nich to podniesiony głos strażnika, jak gdyby udzielał komuś reprimendy. Connor podszedł nagi do drzwi i przyłożył oko do szczeliny.

Teren przed chatą zalany był księżycowym światłem, na który padały długie cienie palm. Krzesło wartownika było puste, a z oparcia zwieszał się na sznurku kluczyk do kłódki. Teraz słyhać już było dwa głosy, ale osób nie było widać. Przesunął się do drugiej szczeliny i wtedy zobaczył, że strażnik stoi przed znacznie od niego niższym żołnierzem i wyzywająco trąca go w pierś lufą karabinu. Nagle dostrzegł, że za plecami wartownika wysuwa się z cienia trzecia postać i po cichu zaczyna się ku niemu skradać. Był to mężczyzna tak wysoki jak strażnik, a trzymał w prawej ręce podłużny przedmiot, w którym, kiedy błysnął w księżycowej poświacie, Connor rozpoznał maczetę. Ostrze zatoczyło w powietrzu świetlisty krąg i z przeraźliwym dźwiękiem pogрузiło się w szyi strażnika, niemal odcinając mu głowę. Ciało zważyło się na ziemię i strumieniem popłynęła krew.

Dwaj pozostali mężczyźni porwali karabin i nóż, a następnie pobiegli w kierunku chaty. Wyższy miał torbę przewieszoną przez ramię. Connor skoczył po swoje rzeczy, rozwinął dzinsy i koszulę i błyskawicznie je naciągnął. Na zewnątrz rozległ się natarczywy pomruk głosów, potem szcęknięcie otwieranej kłódki. Drzwi otworzyły się na oścież, wyższy wszedł do środka i w świetle księżycy Connor rozpoznał w nim Vincenta.

- Szybko nakładaj buty i bierz swoje rzeczy.

Connor posłuchał, nie stawiając żadnych pytań. Szybko włożył buty, następnie w zapasowy T - shirt zawinął kilka drobiazgów, które mu pozostawiono. Vincent przyciągnął ciało zabitego strażnika pod chatę, a Connor pomógł umieścić je we wnętrzu. Niższy z dwóch mężczyzn zasypał piachem ślady krwi, a kiedy podszedł do nich, okazało się, że był to Lawrence Nyeko. Chłopiec wydawał się bardzo przerażony. Powiedział coś w swoim narzeczu, Vincent przytaknął i zwrócił się do Connora:

- Pyta, czy jego brat naprawdę żyje.

Connor potwierdził, a Lawrence kiwnął głową.

- Musimy trzymać się razem i zachować ciszę - powiedział Vincent. - Jak nas zobaczą, zabiją na miejscu.

Wszyscy w trójkę pobiegli do drzew porastających grań nad obozem: Vincent pierwszy, tuż za nim Lawrence, a Connor na końcu. Przymykali między skałami i krzewami, poruszając się wzdłuż brzegu ścieżki. Spomiędzy wierzchołków drzew spływało światło księżyca, owady hałasowały jak oszalałe.

Vincent od czasu do czasu unosił w ostrzegawczym geście zabrany strażnikowi AK - 47, a wtedy nieruchomieli w cieniu, ledwie śmiejąc odetchnąć. Jakieś spłoszone zwierzę poderwało, się tuż przed nimi i z prychnięciem pomknęło w busz. Vincent odwrócił się uśmiechnięty. Kiedy usłyszeli odgłos nadjeżdżającej ciężarówki, przywarli do ziemi. Światła przesunęły się i oddaliły, ucichły też głosy żołnierzy.

Zanim dotarli na skraj grani, księżyc znacznie się już obniżył i zrobiło się ciemno. Obóz mieli już za sobą po prawej stronie. Teraz między drzewami Connor mógł widzieć tylko spękaną ziemię i daleko na wschodzie wyschnięte koryto rzeki.

Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo szli - może dwie, trzy godziny, bez jednej chwili odpoczynku. Vincent przystanął dopiero na brzegu polanki porośniętej trawą i zasłanej kamieniami. Na horyzoncie pojawiały się pierwsze zapowiedzi świtu. Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i podał ją Connorowi. Światła było dość, by zobaczyć, że węglem naszkicowano na niej prymitywną mapę.

- Idź na wschód za rzeką - powiedział - ale za bardzo się nie zbliżaj. Trzymaj się drzew, nie schodź w dół. I podróżuj tylko nocą.

- Jak daleko stąd do Karingoa?

- Nie wiem dokładnie. Sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt mil na południe. Ale ty nie możesz iść na południe. Stąd do granicy jest wiele obozów i wielu, wielu żołnierzy. Szykują się do wielkiej wojny. Musisz iść na wschód trzy, może cztery dni. Dopiero tam możesz bezpiecznie przeciąć granicę.

- A ty nie idziesz z nami?

- Ja nie mogę. Masz.

Zdjął torbę i wręczył Connorowi.

- Trochę jedzenia i wody. - Podał mu także AK - 47, a kiedy Connor pokręcił głową, ponaglił: - Bierz!

- Bezpieczniej będę się czuł bez tego.

Vincent najwyraźniej uważał to za głupotę, tym bardziej więc nastawał, aby Connor wziął chociaż maczetę, na której ciemniała krew strażnika. Położył potem rękę na ramieniu Lawrence'a i powiedział coś w acholi. Chłopiec przytaknął i zamruczał coś w odpowiedzi, a Connor na tyle znał już narzecze, aby zrozumieć, że to słowa podziękowania.

Uścisnęli sobie ręce z Vincentem.

- Dzięki - powiedział Connor. Vincent kiwnął głową.

- Ruszaj. Zaprowadź chłopaka do jego brata.

Rozeszli się swoimi drogami. Connor i Lawrence ruszyli przed siebie i dopiero na przeciwległym skraju polany Connor obejrzał się, ale Vincenta nie było już widać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Dzwonek na pobudkę w Naszej Pani Anielskiej był natarczywy. W chłodnym, czystym i nieruchomym powietrzu ptaki przegadywały się i kłóciły w ogrodzie, przez jakąś godzinę mając świat tylko dla siebie. Potem około szóstej w kaplicy zaczynał się śpiew sióstr, w który Julia wsłuchiwała się, u boku mając dosypiającą jeszcze Amy. Melodii najczęściej nie rozpoznawała, gdyż zazwyczaj były to msze afrykańskie. Śpiewy były jednak tak przejmujące i niezwykle, że nawet ptaki nie ośmielały się z nimi konkurować.

Budynek poklasztorny powoli budził się do życia. Najpierw z okien sypialni piętro niżej dochodził szmer dziecięcych głosów, potem otwierały się i zamykały drzwi, słychać było plaskanie stóp na korytarzu i schodach, a potem gwar przenosił się na zewnątrz, gdzie pośród śmiechów i krzyków dzieci cisnęły się do pompy między kuchniami. Zazwyczaj to w tym momencie Amy budziła się i przecierała oczy, a potem leżały, rozmawiając, aż za ścianą rozległy się szkockie ballady mrużane spod prysznicą przez Cringle'a, co było najlepszym znakiem, że i dla nich czas już wstawać i brać prysznic.

Dzisiaj jednak było inaczej. Ledwie Cringle zaczął podśpiewywać, za oknem rozległ się jeden krzyk, drugi, a za chwilę był to już zbiorowy wrzask. Julia i Amy wyskoczyły spod moskitiery, podbiegły do okna i otworzyły je na oścież. Na dziedzińcu stało kilkanaścioro podekscytowanych dzieci, a reszta biegła w ich kierunku. Z kuchni ruszyła na pomoc gromadka kucharek i kucharzy, zbrojnych w miotły, wałki i patelnie.

- O co chodzi? - spytała Julia.

- Nie mogę zrozumieć. Chodźmy się przekonać.

Kiedy znalazły się na dole, zbiegowisko było już większe, a wszyscy patrzyli w jednym kierunku. Z tyłu zobaczyły Francoise i Petera Pringle'a, któremu woda z włosów ściekała na T-shirt. Odwrócił się do nich podniecony.

- Wąż, chyba pyton.

- Pożarł kaczkę - dorzuciła Francoise.

- Och! Mamo, chodźmy zobaczyć!

Nie było wiele zwierząt, które przejmowały Julię dreszczem zgrozy, ale nawet w obecności tych przerażających - przede wszystkim pajaków - zawsze w towarzystwie Amy starała się zachowywać spokój. W domu, gdy Amy patrzyła, potrafiła wziąć do ręki najbardziej włochatego stawonoga, wyjąć go z wanny i wyrzucić przez okno ze słowami: „Tu ci będzie lepiej, mój miły”, chociaż wewnętrznie cała się trzęsła. Tak czy owak, absolutnie najgorsze ze wszystkiego były

wężę, a teraz oto jej kochana córka ciągnęła ją za rękę przez tłum, aby na własne oczy zobaczyć takie monstrum.

- Amy, zaczekaj, nie podchodź za blisko! Amy!

Były już jednak w pierwszym rzędzie. O jakieś cztery jardy od nich pyton usiłował się schować w dziwnym szkarłatnym krzewie hibiskusa. Miał z pięć stóp długości, ale dla Julii nawet gdyby miał dwadzieścia stóp, nie byłby bardziej okropny. Za łbem wybrzuszała się wielka gęła; to najpewniej była nieszczęsna kaczka, która posłużyła za śniadanie. Bóg jeden wiedział, jak potwór zdołał połknąć coś tak wielkiego. Dwaj starsi chłopcy szturchali kijami przerażone zwierzę, próbując wypchnąć je na środek.

- Spójrz tylko sama - zawołała Amy. - Czyż nie jest piękny?

- To nie jest pierwsze określenie, które ciśnie mi się na usta.

Wąż był zielonożółty z czekoladowymi plamami o białym obrzeżu. Dzieci zachęcały chłopaków z kijami. Przez tłum przepychali się siostra Emily i stary ogrodnik, George. Amy natychmiast dostrzegła karabin w jego ręce.

- Nie zastrzelisz go?

- Tak lubisz wężę? - spytał z uśmiechem.

- Są śliczne. Mamo, niech go nie zabijają!

Julia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Siostra Emily stojąca za nią też zaniemówiła. Aby się obronić, pyton zwinął się w kłębek, a jego łeb kołysał się na boki. Dwaj prześladowcy nie zamierzali jednak zostawić go w spokoju. Jeden z nich wepchnął kij w zwój cielska i wyrzucił je na otwartą przestrzeń. Dzieci podniosły krzyk, żeby zabić gada. Emily uniosła rękę, chcąc je uciszyć, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

Chłopcy dźgali pytona spiczastymi końcami, a kiedy groźnie poderwał łeb, zaczęli z rozmachem okładać go kijami. Amy szarpała Julię za rękę.

- Mamo! Niech przestaną! Mamooo!

Julia już chciała ją odciągnąć, kiedy ktoś gwałtownie przepchnął się przez grupę i stanął twarzą do niej. Krzyki umilkły jak na komendę. Był to Thomas Nyeko.

Stał obrócony plecami do węża i przez chwilę trwała całkowita cisza, ale potem jeden z drażniących gada, bez porównania wyższy i roślejszy od Thomasa, spróbował go wyminąć, żeby dokończyć robotę. Znowu rozległo się kilka okrzyków, ale Thomas zastąpił tamtemu drogę i sam wrzasnął. Chłopak stanął jak wryty, dotąd bowiem nikt nie słyszał głosu Thomasa. Opuścił uzbrojoną rękę, a Thomas nie krzyczał już, lecz mówił do całej grupy.

Julia nie wszystko mogła zrozumieć, ale resztę dopowiedziała jej później Amy. Wołał, że dość już okrucieństwa i zabijania, że wszyscy dość się już napatrzyli na jedno i na drugie. Trzeba z

tym wreszcie skończyć. Wszyscy oni znają głód, wszyscy podkradali jedzenie, aby przeżyć, a dokładnie to właśnie zrobił wąż. Powinni docenić jego odwagę i pozwolić mu żyć. Odwrócił się, przyklęknął, zawinął pytona w materiał i zawiązał końce, a potem z pakunkiem w ręku na oczach milczącego zbiegowiska odszedł między drzewa.

Aż do tego dnia wszystko, co wiedziano o losie Thomasa i Lawrence'a, pochodziło od zewnętrznych obserwatorów - sąsiadów, którzy widzieli, jak zostają porwani przez ludzi Makumy, aby potem wrócić z nimi i zabijać, rabować i podpalać, oraz rządowych żołnierzy, którzy znaleźli Thomasa nagiego i zagłodzonego niemal na śmierć. Teraz, w tygodniach, które nastąpiły po uwolnieniu pytona, sam opowiedział swoją historię.

Z każdym z tych dzieci wiązała się straszliwa opowieść i Julia wiedziała, że bez sensu jest zastanawianie się nad tym, która jest okropniejsza. To jednak, czego dowiedzieli się od Thomasa, przekraczało wszystkie oczekiwania. Prawda odsłaniała się stopniowo, podczas kolejnych spotkań - czy to z opiekunami, czy podczas grupowych rozmów z udziałem innych dzieci.

Kiedy Wojownicy Boga napadli w nocy na wieś, obaj bracia musieli się przyglądać, jak gwałcono i torturowano ich matkę, a potem kazano im dobić ją pałkami. To samo mieli zrobić z ojcem, młodszym bratem i siostrą. Dowódca mówił, że to uczyni z nich mężczyzn. Wraz z innymi uprowadzonymi dziećmi maszerowali następnie przez wiele dni bez jedzenia i niemal bez picia, aż dotarli do wielkiego obozu po drugiej stronie granicy z Sudanem. Tam najładniejsze dziewczęta jako „żony” oddane zostały starszym bojownikom, a pozostałe i wszystkich chłopców uczyniono żołnierzami.

Daniel Makuma raczył ich długimi pogadankami o duchu świata i o tym, jak Tipu Maleng będzie ich ochraniał w boju. Musieli tylko nasmarować się poświęconym przez niego olejkiem, a nie będą się ich imać pociski wroga. W walce zawsze mieli gnać prosto na nieprzyjaciela i strzelać do niego. Kto rzuci się na ziemię przed wrogim ogniem czy będzie szukać jakiejś kryjówki, zostanie rozstrzelany jako tchórz.

Pierwszym zadaniem, jakie otrzymali, był powrót do rodzinnej wioski, wymordowanie sąsiadów oraz przyjaciół i spalenie wszystkich domostw. Dzięki temu, oznajmił Makuma, zerwą ostatnie doczesne więzy i dopiero wtedy Tipu Maleng będzie mógł roztoczyć nad nimi pełną opiekę. Przed atakiem wszystkim podano jakiś środek na pobudzenie odwagi, ale - jak powiedział Thomas - zupełnie niepotrzebnie. Dobrze wiedział, co robi. Chciał zabijać, żeby usunąć wszystkich świadków i wszystkie ślady pierwszej, najokropniejszej zbrodni. Podobnie myślał Lawrence.

W obozie, jeśli któreś dziecko nie wykonało rozkazu, inni katowali je pałkami, czasami na śmierć. To po jednym z takich morderstw Thomas stracił mowę. Było to zupełnie tak, jakby Bóg pozbawiał go wszystkich sił. Podczas następnej operacji nie było z niego żadnego pożytku i dlatego

dowódca zostawił go w buszu. Jego brat, Lawrence, okazał się odważniejszy.

Przez tygodnie, w trakcie których powoli rozwijała się opowieść Thomasa, wszyscy - opiekunowie i podopieczni - byli tak poruszeni, że powstała między nimi więź silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Niektórzy ze starszych chłopców, ośmieleni przez Thomasa, opowiedzieli też o własnych straszliwych czynach. Podczas porannej sesji z grupą chłopców prowadzonej przez Julię, Alex, jeden z niedoszłych zabójców węża, przyznał się do uczestnictwa w kilku gwałtach. Ku osłupieniu Julii stwierdził, że jedną z ofiar była przyjaciółka Amy, Christine. Kiedy Julia spytała, czy chciałby ją za to przeprosić, odpowiedział, że tak, chciałby. Z kolei Christine zgodziła się wysłuchać tych przeprosin.

Na początku pobytu w Naszej Pani Anielskiej Julia starała się odgradzać Amy od największych tragedii, jakich doświadczyły jej koleżanki i koledzy. Dziewczynka tak szybko jednak zżyła się z ośrodkiem, że nie było sposobu na podobną izolację. Christine opowiedziała jej wiele z tego, czego doznała z rąk żołnierzy (choć najwidoczniej nie wspomniała o gwałcie), potem zaś Amy zwracała się do Julii z wieloma trudnymi pytaniami. Stanąwszy wobec dylematu, czy jakoś wydarzenia wygładzać, aby nie wstrząsnąć dzieckiem, czy przedstawić je zgodnie z prawdą, Julia zdecydowała się na to drugie. Odtąd wiele czasu spędziły na dyskusjach, co normalnych, przeciętnych ludzi może popychać do takich okrucieństw.

Gdyby ktoś zapytał ją o racje dla takiego wyboru, powiedziałaaby, że w domu rówieśnicy Amy podobne tragedie oglądali codziennie w telewizji, ale przedstawione w sposób znieczulony, odległy, a na dodatek kaci i ofiary zawsze byli bezimienni. Tutaj, w Naszej Pani Anielskiej, wszystko było rzeczywiste. Amy знаła każdego po imieniu, uczyła się z nimi, bawiła, przyglądała się ich radościom, smutom i przyjaźniom. To, z czym się tutaj stykała, to proste, dokonujące się bez fanfar i wrzawy odrodzenie. A uczestniczenie w takim doświadczeniu - tłumaczyła sobie Julia - było rzadkim przywilejem, którego żadna z tych osób nigdy już nie zapomni.

Julia nie była jednak pewna, czy Amy powinna być obecna przy przeprosinach Alexa wobec Christine. O radę poprosiła siostrę Emily.

- Amy jest, jak to powiadają, „dorosła duchem” - odpowiedziała tamta. - Ma wewnętrzną siłę i jest mądra ponad swój wiek. Jest częścią naszej rodziny, a Christine uważają za siostrę. Ja zatem sądzę, że byłoby źle, gdyby została wykluczona z tego wydarzenia.

Tego wieczoru po kolacji Emily poprosiła wszystkich, aby zostali w namiocie, gdyż Alex chciał coś powiedzieć. Chłopak wyszedł na środek i ze spuszczonej oczyma oraz rękami skręcającymi róg porwanej koszuli zaczął cicho mówić o czynie, który kiedyś popełnił. Julia słuchała, mocno przyciskając do siebie Amy, która od czasu do czasu obrzucała spojrzeniem Alexa, ale patrzyła przede wszystkim na przyjaciółkę.

Alex powiedział, że bardzo przeprasza Christine i że chyba nigdy nie wybaczy sobie swego zachowania, a potem wybuchnął płaczem, do którego przyłączyło się bardzo wielu słuchających. Christine przez cały czas pozostawała spokojna, chociaż trudno jej było patrzeć na Alexa. Kiedy skończył, zapanowała cisza. Christine lekko skinęła głową, a wtedy podeszła do niej Emily i mocno ją uściskała. Potem to samo zrobiła z Alexem. Niektóre rany są zbyt głębokie, aby można je było natychmiast wybaczyć, pomyślała Julia. Jeśli w ogóle mogą być wybaczone. Christine zawsze już będzie nosiła w sobie bliznę, może jednak słowa Alexa pomogą w tym, żeby coraz mniej uwierała.

Nazajutrz Peter Pringle pojechał w dół do Entebbe, aby odebrać z lotniska środki medyczne wysłane z Genewy. Wrócił z niepokojącymi wiadomościami.

Pojawiły się jakieś problemy z cłem, musiał więc zanoć u przyjaciół w Kampali. Na kolacji zjawił się brytyjski dyplomata z żoną i przez cały wieczór rozmawiali niemal wyłącznie o wojnie na północy i o tym, że kończy się czas dwuletniego względnego spokoju. Dyplomata oznajmił, że od dwudziestu czterech godzin nadchodzą potwierdzone raporty, że armia Makumy zaczęła się przemieszczać, ale nie - jak się spodziewano - w głąb Sudanu, lecz na południe, ku granicy.

W drodze do ośrodka Pringle widział znaczne siły rządowe ciągnące na północ, a nieopodal Karingoa zobaczył pierwszych uciekinierów wędrujących pieszo w przeciwnym kierunku z dziećmi i niewielkim dobytkiem, jaki udało im się zabrać ze sobą.

Dwie noce później, kiedy Julia zgrzana i podenerwowana przewracała się w łóżku, nie mogąc zasnąć, usłyszała w oddali łoskot, który w pierwszej chwili wzięła za piorun. Deszcze się spóźniały, ziemia była spieczona i nawet sugestia burzy niosła ze sobą ulgę. Chociaż jednak nigdy dotąd nie słyszała ognia artyleryjskiego, to już w następnej chwili zrozumiała, że wprawdzie istotnie nadciąga burza, ale o zupełnie innym charakterze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Zgodnie z poleceniem poruszali się tylko nocami. Z mapy niewielki mieli pożytek, ponieważ jednak niebo najczęściej było bezchmurne, Connor kierował się gwiazdami i ruchem ubywającego księżyca, który jednak był jeszcze na tyle silny, że rzucał wyraźne cienie. Kiedy weszli w wyższe partie gór, powietrze stało się rzadsze i zimniejsze, a droga zrobiła się bardziej zdradliwa. Wielokrotnie szli całe mile, kryjąc się między skałami i krzewami, aby wreszcie stwierdzić, że znaleźli się u stóp niemożliwej do pokonania skały czy na krawędzi urwistego wąwozu z tysiącem stóp ciemności odbijającej echo poniżej. Musieli wtedy wracać i nadkładać wiele mil, aby utrzymać generalny kierunek na wschód.

Jeśli droga prowadziła bardziej nizinną okolicą, w miarę możliwości trzymali się drzew i nierzadko wyższych od nich traw, a nigdy nie korzystali z żadnej szosy czy drogi, te bowiem, jeśli nie były zaminowane, to znajdowały się pod obserwacją. Łęklonie obchodzili wsie, gdzie jedynymi żywymi istotami były kruki i sępy wysiadujące pośród jałowych pól na zbiegających czaszkach i szkieletach padłego bydła. Connor wiedział, że zamieszkujące te okolice plemię Dinka wiele wycierpiało z rąk i ludzi Makumy, i żołnierzy Armii Obrony Pana, dowodzonej przez Josepha Kony'ego. Drugiej nocy widzieli wojskowy transport toczący się wolno na południe w obłokach kurzu wirującego w świetle reflektorów. Przez godzinę siedzieli z Lawrence'em ukryci w cieniu; chłopiec powiedział, że to byli chyba ludzie Kony'ego, który - jak mówiono - postanowił połączyć swoje siły z Makumą.

Gdy na niebie pojawiały się pierwsze bledsze odcienie, zaczęli się rozglądać za bezpiecznym miejscem na postój między skałami czy drzewami. Woda i jedzenie, jakie otrzymali od Vincenta, starczyły na dwa dni, chociaż może potrwaloby to trochę dłużej, gdyby Lawrence nie był tak wynędzniały. Dzielili się wodą, ale większość jedzenia Connor odstąpił chłopcu; jodyną odkaził jego otwarte rany na kościach ramion i odparzenia stóp.

Większość cieków, które mijali, była wyschnięta, znaleźli jednak dość wody, aby nie cierpieć z pragnienia. W obozie dzieci uzupełniały skąpe racje, dokarmiając się w dżungli; bardzo pożyteczna była teraz wiedza Lawrence'a, które drzewa i które rośliny mają jadalne liście. Ilekroć któreś zauważył, zatrzymywali się i z rozsądku zmuszali się do żucia i przetykania. Czasami, wygłodniali, próbowali nawet korzeni i kory. Connorowi zdarzało się już jeść różne rzeczy, ale nigdy jeszcze nie odżywiał się czymś tak niesmacznym czy wręcz wstrętnym. Było to gorzkie i jakby zrobione z plastiku; musiał je długo żuć, zanim zdołał przełknąć. Lawrence, który był bardziej nawykły do takiego jadła, śmiał się, gdy widział, jak Connor krztusi się, bliski wymiotów.

Mówili niewiele, a jeśli już, to najczęściej o tym, jaką wybrać drogę lub gdzie stanąć. Tylko raz Lawrence zapytał o brata. Powiedział, że był pewny, że Thomas nie żyje, i wypytywał Connora, kiedy ostatni raz go widział i jak wtedy wyglądał. Miał nadzieję, że Connor się nie pomylił i nie wziął za Thomasa jego ducha, teraz bowiem znacznie więcej było widm niż ludzi. Connor powiedział mu, że Thomas teraz nie mówi, na co Lawrence przytaknął, że wie i sądził, że z nim będzie tak samo. Każdy z nich był „połową drugiego”, rzekł, a Connor nie wiedział, czy to wyrażenie Acholi na bliźniaków, czy też chłopak miał na myśli coś więcej.

Kiedy nadchodził świt szóstego dnia, znaleźli się na skraju krętej zalesionej doliny. Ich nocna wędrówka była męcząca, a oni sami znużeni i osłabieni z głodu. Ptaki zaczęły się odzywać, a w niewyraźnym świetle przesączonym przez krople rosy na wysokich źdźbłach traw podrywały się białe motyle wielkości spodków. Antylopy nie znanego Connorowi rodzaju przesuwały się wolno między drzewami, poruszając uszami i króciutkimi ogonami, on zaś po raz nie wiadomo który żałował, że nie przyjął oferowanej przez Vincenta broni. Znaleźli miejsce na postój. Connor zostawił chłopca, żeby odpoczął, a sam z plastikową butelką w ręku ruszył między drzewa na poszukiwanie wody.

Wystarczyło, by odrobinę zszedł w kierunku dna doliny, a posłyszał odgłos strumienia i niemal po chwili zobaczył go między drzewami. Okazało się, że strumień tworzy tutaj mały wodospad z ciemnym, skalistym basenem poniżej. Ukląkł na brzegu i napełnił butelkę wpatrzony w gładką powierzchnię, pod którą wolno wirowała woda. W dotyku była zimna i kojąca. Mogli się tutaj wykąpać i wyprać swoje zabrudzone ubrania, a potem wysuszyć je na słońcu, podczas gdy będą spali.

Gdyby nie był tak zatopiony w myślach, być może dostrzegłby w ciemnym zwierciadle wody wpatrzoną weń parę oczu. Przez cały ten czas bowiem samotna postać obserwowała go spomiędzy drzew po drugiej stronie; także i teraz patrzyła, jak pije, wstaje i wspina się z powrotem do Lawrence'a.

Napili się, wychlapali i umyli, a kiedy z wykręconymi ubraniami, nadzy i ociekający wodą, wracali do swojej kryjówki, słońce całkiem już niemal wzeszło. Rozwiesili ubrania na krzakach, a sami ułożyli się w trawie do snu.

Connor zbudził się z uczuciem, że jakiś owad usiadł mu na szyi. Leżał na plecach i czuł palący dotyk słońca na piersi. Ale kiedy nie otwierając oczu, leniwie unióśł dłoń, aby odegnać intruza, poczuł pod palcami gładkość metalu.

Unióśł powieki i zobaczył nachyloną nad sobą postać, zupełnie ciemną na tle światła słonecznego. Mrużąc oczy, pomyślał, że to musi być Lawrence, ale zaraz zorientował się, że ma przed sobą mężczyznę, a mocno teraz naciskający na jego szyję przedmiot jest ostrzem dzidy.

Mężczyzna był wysoki i barczysty, miał dzikie spojrzenie, gładko wygoloną głowę i był nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach. Teraz Connor spostrzegł, że było ich kilku, wszyscy zbrojni w dzidy i maczety. Spróbował się podźwignąć, ale zaczęli na niego krzyżeć, opadł więc na plecy, a zerknąwszy w bok, zobaczył, że także Lawrence'owi grozi przytknięta do krtani dzida. Chłopiec leżał jak skamieniały.

Napastnicy krzyżeli w takim podnieceniu, że dopiero po pewnym czasie do Connora dotarło, że używają jakiejś odmiany suahili. Nie wszystko rozumiał, wystarczyło jednak, żeby się zorientował, że mężczyźni podejrzewają ich o przynależność do rebeliantów. Kilka razy powtórzyły się imiona Makumy i Kony'ego, a kiedy w plecaku Connora znaleziono maczetę i Biblię, uznano to chyba za potwierdzenie przypuszczeń.

Kazano im wstać, a ze sposobu, w jaki mężczyźni oglądali Connora od stóp do głów, łatwo można było wywnioskować, że nieczęsto widywali nagiego białego. Connor nie spuszczał wzroku z tego, który wydawał się wodzem, a który nadal celował dzidą w jego krtani. Nie dając po sobie poznać strachu, pozdrowił go w suahili.

- Shikamoo.

Była to pełna szacunku formuła, jakiej używano wobec starszych, nie zrobiła ona jednak żadnego wrażenia na nikim z napastników, którzy jeden przez drugiego krzyżeli, że Connor i Lawrence są szpiegami Makumy. Dzida znowu napała na jego skórę, a kiedy zerknął w dół, zobaczył na żebrach strumyczek krwi. Kiedy okrzyki na chwilę umilkły, najspokojniej jak potrafił, wyjaśnił, że nie tylko nie są szpiegami Makumy, ale uciekli z jego niewoli.

Mężczyźni zaczęli się naradzać, a Connorowi wydawało się, że zasiał w nich przynajmniej tyle niepewności, że zrezygnowali z zabicia ich na miejscu. Jeden z napastników zerwał jednak z krzaka porwane spodnie od panterki Lawrence'a i podstawivszy je chłopcu pod nos, pytał napastliwie, dlaczego - jeśli nie jest rebeliantem - chodzi w rebelianckiej odzieży. Connor powiedział, że chłopiec nie rozumie w suahili, a chociaż tamten nie przestał krzyżeć, przywódca grupy kazał mu się uspokoić. Potem zwrócił się do Connora i oznajmił, że muszą się ubrać i iść z nimi.

Maszerowali jakąś godzinę w dół doliny z dzidami za plecami, aż wreszcie dotarli do skupiska lepiarek z gliny i trawy, które stały nad rzeką pod kępą akacji i palm. Wiadomość o ich schwytaniu dotarła tu już wcześniej, na spotkanie im bowiem wybiegła z krzykiem: „Muzungu, muzungu” gromadka nagich dzieci, z których najodważniejsze podbiegały i dotykały ręki Connora. Jedno ośmieliło się nawet podskoczyć i dotknąć jego włosów.

Potem kazano im usiąść na ziemi w cieniu palm. Dwóch mężczyzn stanęło na straży, a gromadka dzieci i kobiet obserwowała ich z pewnej odległości, wymieniając uwagi i chichocząc.

Nagle tłum się rozstał, robiąc przejście wodzowi i starcowi, traktowanemu przez wszystkich z wielkim szacunkiem.

- Shikamoo - powiedział Connor.

- Marahaba - odrzekł starzec i spytał, skąd się zjawili w tej okolicy. W swym kulawym suahili Connor najlepiej jak potrafił, przedstawił ich historię, a tamten słuchał uważnie, nie przerywając. Kiedy skończył, starzec spytał go, czy widzieli po drodze jakich żołnierzy, na co Connor opowiedział o konwoju. Potem padło pytanie, kiedy coś jedli, na co oznajmił, że przez trzy ostatnie dni karmili się tylko liśćmi. Starzec kazał wszystkim się rozejść i sam oddalił się bez żadnych wyjaśnień, ale wkrótce jedna z kobiet przyniosła im wiadro wody i dwie miski gęstych płatków, na które obaj łączywie się rzucili.

Późnym popołudniem zjawili się kilku żołnierzy, a z ich pytań Connor wywnioskował, że należą do LAWS. Dowódca szczegółowo wypytywał o obóz Makumy, liczebność i uzbrojenie żołnierzy. Connor i Lawrence powiedzieli wszystko, co wiedzieli. Na pytanie, dlaczego tak daleko dotarli na wschód, skoro zmierzali do Karingoa, Connor wyjaśnił, że tak im poradzono z powodu mobilizacji wojsk na zachodzie i że tylko tam będzie można bezpiecznie przekroczyć granicę.

O zmroku zaprowadzono ich do chaty i znowu nakarmiono. Chociaż w wejściu stały wartownicy, Connor widział w oddali żołnierzy rozmawiających ze starcem i kilkoma innymi mieszkańcami wioski, ale nie mógł usłyszeć, o czym była mowa. Lawrence osunął się i zaczął wpatrywać się w ziemię. Connor usiadł koło przygnębnego chłopca, otoczył go ramieniem i zaczął opowiadać o Thomasie, Naszej Pani Anielskiej i znajdujących się tam dzieciach, a jego acholi był tak marny, że chłopiec ze śmiechem zaczął go poprawiać.

Lawrence spytał, co się tam jada, na co Connor wyjaśnił, że głównie liście, ale za to bez żadnych ograniczeń. Lawrence bardzo się śmiał, a na pytanie, jaka jest jego ulubiona potrawa, odrzekł z ogromną powagą, że pieczona koza, ale po chwili dorzucił, że kiedyś ojciec przyniósł masło orzechowe i że chyba to właśnie ono z płatkami było najsmaczniejszą rzeczą, jakiej skosztował.

Zasnął z głową na piersi Connora.

O świcie zbudzili ich żołnierze i kazali iść ze sobą. Nie wyjaśnili dokąd, w każdym razie brzegiem rzeki udali się na południe. Dolina była gęsto zarośnięta, droga trudna, kiedy więc zatrzymali się na odpoczynek - a słońce stało już wysoko na niebie - ubrania mieli mokre od potu. Oplukali się w wodzie i zaspokoili pragnienie. Żołnierze dali im trochę chleba, siedli więc w cieniu i jedli, patrząc, jak karmazynowe i żółte ptaki śmigają nad wodą za muchami.

Dowódca powiedział Connorowi, że są w tej chwili niedaleko granicy z Ugandą, on zaś wysłał przodem patrol, który miał nawiązać kontakt z kontrolującymi tamtą stronę siłami

rządowymi. Oddziałek powrócił pół godziny później, z sierżantem i dwoma żołnierzami. Sierżant przywitał się z Connorem i zaczął zadawać pytania, na które już wielokrotnie odpowiadał. Dowódca LAWS bez słowa zabrał swoich ludzi i się oddalił.

Po drugiej stronie granicy czekał na nich land - rover, którym pojechali na południe, najpierw piaszczystą drogą, później sawanną, aż o zmierzchu dotarli do obozu wojskowego z murowanymi budynkami na skraju miasteczka. Connor spytał o jego nazwę, ale nie otrzymał odpowiedzi. Oddzielono go od Lawrence'a i zamknięto w pomieszczeniu o cementowej podłodze, nagich ścianach i zakratowanych oknach. Pośrodku stał stół i dwa krzesła; usiadł na jednym, ale przyszło mu długo czekać, zanim zjawił się młody major w starannie odprasowanej koszuli, który postawił cały zestaw starych pytań, ale także wiele nowych.

Major mówił po angielsku szybko i sprawnie, co pozostawało w jawnym kontraście do powolności, z jaką zapisywał każdą odpowiedź. Kiedy Connor wspomniał o nieudanej próbie wykupienia dzieci, oficer był wyraźnie zdziwiony.

- Ale pan jest przecież fotografem. Po co miałby pan robić coś takiego?

Connor wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Na pewno?

- Naprawdę chce pan wiedzieć? Przypuszczam, że jakoś wiąże to się z faktem, że przez wszystkie lata zarabiałem na nieszczęściu tych ludzi. Z początku człowiek sobie wyobraża, że zdjęcie może coś zmienić, ale prędzej czy później staje się jasne, że żadna fotografia niczego nie zmieni. Przypuszczam więc, że chodziło mi po prostu o jakąś rekompensatę. Rozumie mnie pan? Chciałem coś zrobić, a nie tylko stać z boku i się przypatrywać.

Była to jedyna odpowiedź, której major nie zapisał.

Następnie Connora poprowadzono na drugi koniec obozu, gdzie w oddzielnym budynku w jednej z cel czekał na niego Lawrence. Chłopiec najwyraźniej poczuł ulgę na jego widok; powiedział, że go wypytywano, ale nie bito.

W celi były dwie wąskie prycze. Od prawie trzech miesięcy po raz pierwszy miał okazję spać na czymś, co przypominało normalne łóżko, chociaż więc materac był twardy i nierówny, a koc porwany, czuł się zupełnie jak w pięciogwiazdkowym hotelu.

Nazajutrz znowu znalazł się przed obliczem majora, który tym razem był zdecydowanie bardziej przyjazny. Oznajmił, że wykonał wiele telefonów, między innymi do ambasady amerykańskiej w Kampali. Ktoś stamtąd z kolei zadał sobie trud, aby dotrzeć do Harry'ego Turneya w Nowym Jorku, a nawet do jego matki w Montanie.

- Wszyscy byli pewni, że pan już nie żyje. Nie mieli z panem kontaktu znacznie dłużej, niż

mi pan powiedział.

- Wcześniej trochę podróżowałem.

- Gdzie?

- Tu i tam. Australia, Indie.

Nie mówił więcej, a major nie naciskał.

- Obaj pojedziecie dzisiaj do Kampali.

- Musimy dostać się do Karingoa.

- To niemożliwe. Rebelianci zrobili zdecydowany wypad na południe. Toczą się tam ciężkie walki, wojsko odcięło całą tę część kraju. Nawet do Gulu by się pan nie dostał.

Connor spytał, czy mógłby zadzwonić do Naszej Pani Anielskiej, aby powiedzieć o Lawrensie, major odrzekł jednak, że także i to jest niemożliwe, gdyż została zerwana wszelka łączność z Karingoa.

Connor czekający na telefon spoglądał ze swego łóżka na hotelowy ogród, gdzie dwa marabuty hałasowały na szczycie drzewa, nie wiadomo, walcząc, romansując czy bawiąc się. Może zresztą chodziło o wszystkie te czynności naraz.

Było późne popołudnie. Poczł, jak nagle opada go zmęczenie po całej dzikiej bieżaninie ostatnich godzin, które spędził na nękanii urzędników, agencji charytatywnych, ambasady USA, aby ustalić, co można zrobić z Lawrence'em. Ludzie z ambasady obiecali mu nowy paszport i pozwolili zadzwonić do banku w Nairobi, który miał przesać pieniądze. Na zakup odzieży zaciągnął na razie pożyczkę u jedyne go prawdziwego przyjaciela, jakiego miał w Kampali.

Geoffrey Odong był dziennikarzem, którego spotkał podczas pierwszej wizyty tutaj w 1994 roku, przed wyjazdem do Rwandy. Rok albo dwa młodszy od Connora, błyskotliwy i ambitny, zdążył w tym czasie awansować na zastępcę redaktora naczelnego najważniejszej w kraju gazety. I on, i jego żona, Elizabeth, pochodzili z plemienia Acholi i to oni pierwsi opowiedzieli Connorowi o tym, co się dzieje na północy, a także o niezwykłym dziele Naszej Pani Anielskiej. Elizabeth pracowała na pół etatu w miejscowej radiostacji. Wraz z trzema córkami mieszkali w skromnym domu stojącym u podnóża jednego z siedmiu zielonych wzgórz miasta.

Connor zadzwonił do nich poprzedniego wieczoru, ledwie tylko dotarli do miasta po męczącej podróży na skrzyni ciężarówki wojskowej. Geoffrey przyjechał natychmiast, aby zabrać ich do siebie, i nalegał, żeby zostali na noc. Elizabeth nieustannie ubolewała nad tym, jak są wynędniali, i nakarmiła ich tak, że Lawrence omal nie pękł. Najstarsza córka Odongów była w wieku Lawrence'a i po pierwszych nieśmiałych początkach szybko zaczęli razem się bawić. Dom był niewielki i Connor czuł się nieswojo, że wszystkie trzy dziewczynki musiałyby się przenieść do salonu, aby jemu ustąpić sypialnię, stanowczo więc oznajmił, że zanojuje w Sheratonie, na co

Elizabeth zgodziła się po długich sprzeciwach i tylko pod warunkiem, że zostawi Lawrence'a.

Connor nigdy nie gustował w antyseptycznym, stereotypowym luksusie takich instytucji, dla których - jak się wydawało - był on absolutnie nieodzowny. Kiedy po długich tygodniach udręki wkraczał do pokoju z całym tym blichtrzem, czuł się jak przybysz z innej planety. Chłodne powietrze, biały wiatrak pod sufitem, całe akry zadbanego ogrodu, niewielki ruch, białe budynki, a nawet zalesione stoki wydawały mu się odrobinę surrealistyczne.

Tymczasem jeszcze bardziej zdumiewająca była postać, którą zobaczył w łazienkowym lustrze. Poprosił pokojówkę o maszynkę i krem do golenia, a po dwudziestominutowych zmaganiach spod gęstego zarostu powoli wyłoniła się inna, obca twarz, z zapadniętymi policzkami i włosami w strąkach niczym u jakiegoś nawiedzonego kaznodziei.

Siedział więc teraz w jednym ręczniku na biodrach, a drugim na plecach i zastanawiał się, czy to linia do Nowego Jorku była tak obłąkana, czy też może telefonistka zapomniała o zamówionej przezeń rozmowie. Gromada ptaków powiększyła się do sześciorga, harmider stał się okropny, ale nadal trudno było rozstrzygnąć, czy flamingi są do siebie nastawione przyjaźnie czy wrogo. Zegar wbudowany w radio na stoliku nocnym przeskoczył na dziesięć po szesnastej, co znaczyło, że w Nowym Jorku jest dziewiąta, a w Montanie siódma. Matka lubiła sypiać do ósmej, dlatego postanowił najpierw zadzwonić do Turneya. Wreszcie telefon zadzwonił. Centrala oznajmiła, że na linii jest Nowy Jork. Connor poprosił Turneya i czekał.

- Turney.

- To znaczy, że jeszcze cię nie zwolnili.

- Chryste Panie, Connor! Gdzieś ty się podziewał, do kurwy nędzy?

- Tak się za mną stęskniłeś?

- Idź do diabła.

- No, popatrz, znam cię tyle lat, a nawet nie wiedziałem, że potrafisz przeklinać.

- To specjalnie na twoją cześć. Do jasnej cholery, co się z tobą działo? Jak tak można kompletnie się nie odzywać? Jeśli chcesz zostać zakładnikiem czy dać się zabić, twoja sprawa, ale przyzwoitości powinno ci starczyć przynajmniej na to, żebyś kogoś poinformował o swojej decyzji.

- Przepraszam, Harry.

- I ty myślisz, że jedno małe „przepraszam” załatwi wszystko? Dzwoniłeś chociaż do matki?

- Zaraz to zrobię.

- Zaraz, zarazili Jazda, rozłącz się i dzwoń do niej natychmiast. Ja potem oddzwonię do ciebie. Mam chyba z tysiąc wiadomości. Jaki masz numer?

Connor podał numer, rozłączył się ze skruszoną miną i podał telefonistce numer matki.

Czekając na połączenie, nałożył nową koszulę i spodnie.

Matka potraktowała go z o wiele większą wyrozumiałością. Powiedziała, że od dawna już przywykła do tego, że na długo znika bez wieści, więc nawet gdyby teraz trwało to pięć razy dłużej i tak by się nie martwiła. Connor nie wierzył jej ani trochę.

Chciała wiedzieć, kiedy wraca do domu, na co odrzekł, że wkrótce, jak tylko uda mu się połączyć na powrót Lawrence'a z bratem. Teraz on z kolei spytał, jak matka się czuje i jak jej ranczo. Czuła się dobrze, a na ranczu pomagał jej chętny do pracy chłopak z Augusty. Poza tym nic się w jej życiu nie zmieniło.

- O Edzie oczywiście wiesz.

- A co z nim?

Zapadła długa cisza, więc ponowił pytanie.

- Synu, Ed nie żyje. Umarł na Boże Narodzenie w zeszłym roku. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że tak długo cię nie było.

Connor był oszołomiony. Matka opowiadała mu, co się stało i jakim to było wstrząsem dla wszystkich. Connor jak ogłuszony siadł na łóżko i słuchał.

- A co z Julią i Amy?

- Ni mniej, ni więcej tylko są tam, gdzie ty.

- Jak to?

- Są w Afryce.

- W Ugandzie?

- Tak, a przynajmniej tak mi się zdaje. Powiem ci szczerze, że te wszystkie miejsca tam trochę mi się mieszają. No tak, ale pojechała pomagać tym biednym dzieciakom, które fotografowałeś, wiesz, te, które porywali na żołnierzy. Wzięła ze sobą Amy.

- Do Karingoa? Do Naszej Pani Anielskiej?

- Tak, właśnie tam. Miesiąc temu dostałam od niej kartkę. Jej matka strasznie się wściekała na to zabranie Amy, tymczasem wydaje się, że mała świetnie się tam bawi.

Długa cisza.

- Connor? Słyszysz mnie?

- Słyszę.

Ale niewiele więcej mógł powiedzieć. Udało mu się wykrztusić jeszcze, że niedługo zadzwoni, i odłożył słuchawkę.

Godzinę później chodził wzdłuż i wszerz klitki Geoffreya wykrojonej z hali wiadomości. Przez otwarte drzwi wyczuwał atmosferę jak zwykle gęstniejącą, gdy zbliżał się czas zamknięcia numeru. Geoffrey rozpiął się w fotelu za biurkiem zasłanym stertami papierów. Od dwudziestu

minut rozmawiał ze starym kolegą ze studiów, który teraz był wysokim oficerem w dowództwie północnych oddziałów.

Connor słyszał tylko połowę rozmowy, ale i tego wystarczyło, żeby bez zdziwienia zobaczył ponurą minę Geoffreya, kiedy ten odłożył słuchawkę i pokręcił głową.

- Nie ma mowy. Blokada wszystkich dróg. Nawet do Gulu nie da się dojechać. Nie dopuszczają w pobliże nikogo, a już najmniej dziennikarzy.

- Co dzieje się w Karingoa?

- Powiedział, że sytuacja jest pod kontrolą, ale nie bardzo mu wierzę. Rebelianci atakują z dwóch stron: Makuma od północnego zachodu i Kony od wschodu.

- Jak daleko są od Karingoa?

- Mówi, że jakieś dwadzieścia mil, ale moim zdaniem - bliżej. Wielu ludzi uciekło. Twierdzi, że siły rządowe panują nad wszystkim, ale ja sądzę, że nie docenili siły rebeliantów.

Connor stanął w oknie i zapatrzył się na ulicę w dole. Z przewróconej ciężarówki wysypał się na jezdnię transport zielonych bananów. Kierowcy zablokowanych aut, taksówek i ciężarówek jak wściekli naciskali na klaksony. Kobieta w jaskrawożółtej sukni zgrabnie przemykała przez ten chaos, niosąc na głowie jakiś pakunek i prowadząc za rękę małą dziewczynkę. Miękkie, późne słońce rzucało długie cienie.

- Geoffrey, muszę się do nich dostać.

- Nie ma sposobu. A poza tym, być może misja została ewakuowana.

- Na ile znam siostrę Emily, będzie ostatnią, która zgodzi się wyjechać.

Connor spojrzał w oczy przyjaciela.

- Nie znasz nikogo, kto mógłby polecieć tam ze mną?

- Connor, bądź rozsądny.

- Znasz czy nie?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Żołnierze rządowi trzykrotnie już doradzali wyjazd i za każdym razem siostra Emily odmawiała. Kiedy się ucieka przed diabłami, powiedziała, to tylko dodaje im sił. Nasza Pani Anielska przez ponad dekadę przetrwała wszystkie groźby i grabieżcze rajdy Makumy, więc nie zamierzała poddać się i tym razem.

Jej spokój i pewność siebie były zrazu zaraźliwe. Personelowi i dzieciom powiedziała, że nie mają się czego bać; eksplozje, które słyszą po nocach, to rządowa artyleria ostrzeliwująca siły rebelianckie i wypierająca je. Było już tak nie raz i nie raz jeszcze będzie. Jeżeli sprawy zaczęłyby się źle przedstawiać, w kilka minut załadują się do Gertrudy, dwupoziomowego autobusu, i odjadą w bezpieczne miejsce. Wszyscy poczuli się podniesieni na duchu.

Kiedy jednak wraz z upływem dni wystrzały były coraz głośniejsze, stawało się coraz bardziej jasne, że tym razem nie chodzi o żaden „łupieżczy wypad”. Na drodze biegnącej za murem ośrodka strumyczek uciekinierów zamienił się w prawdziwą rzekę. Od świtu aż do zmroku ciągnęli wynędzniali, posepni, a w przeciwną stronę jechały ciężarówki wiozące kolejnych żołnierzy na teren walk.

Kilka razy Julia zastawała dzieci śledzące z okien ten przemarsz i chociaż robiła wszystko, co w jej mocy, aby uśmierzyć ich niepokoje, sama w skrytości ducha też zaczęła je podzielać. Nie o siebie martwiła się przede wszystkim, lecz o Amy, która początkowo wydawała się błogo beztroska. Przy całej skłonności do poczucia winy, w Julii natychmiast odżyły wszystkie dawne skrupuły, czy powinna wypuszczać się na taką wyprawę z córką.

Może to jej matka miała rację. Przynajmniej więc teraz powinny się zbierać, zanim będzie za późno. Zawsze wyczulona na nastroje matki, Amy zauważyła tę zmianę i sama także zaczęła zdradzać niepokój. Zrobiła się cichsza, nieustannie szukała towarzystwa Julii, spała niespokojnie i bez przerwy dopytywała, czy eksplozje nie są bliżej.

Po ostatniej, trzeciej wizycie żołnierzy, gdy wszystkie dzieci były już w sypialniach, siostra Emily poprosiła do siebie Julię, Francoise i Petera Pringle'a, a kiedy otrzymali już filiżankę ulubionej herbaty królowej brytyjskiej, oznajmiła, że każde z nich ma prawo opuścić ośrodek.

- Ciągle nie chcę wierzyć, że istotnie są jakieś powody do niepokojów. Porucznik zapewniał mnie, że rebeliantów odparto, zarazem jednak upiera się, że powinniśmy uciekać. Kiedy spytałam dlaczego, powiedział, że nie może zagwarantować nam bezpieczeństwa, na to ja, że to może zrobić jedynie Pan nasz Jezus Chrystus. - Uniosła w górę palec i zmrużyła oczy. - Podejrzewam, że po prostu chcą zająć to miejsce dla potrzeb wojskowych. - Wzruszyła ramionami. - Tak samo było

dwa lata temu. Narobili strasznej paniki, mnóstwo ludzi uciekło. A potem... wrócili. - Napiała się herbaty. - Makuma jest jak tchórzliwy pies, który szczeka ze strachu. Kiedy zaczniesz uciekać, pogoni za tobą; kiedy się nie ruszysz - on rzuci się do ucieczki. Jeśli jednak, Julio, martwisz się o Amy, powinnaś wyjechać. George odwiezie was oboje do Gulu, a stamtąd już bez trudu dostaniecie się do Kampali. Wszyscy to zrozumiemy. - Popatrzyła na Francoise i Petera Pringle'a. - To samo dotyczy także was. Będzie nam was wprawdzie brakować, ale damy sobie radę.

Zapadła cisza. Pringle odkaszlnął.

- Mogę, oczywiście, mówić tylko za siebie. Dopóki jednak siostra pozostaje tutaj z dziećmi, i ja się nie ruszę.

Julia poczuła się zawstydzona. Tej nocy, po raz pierwszy od tygodnia, nie było słyhać żadnych wystrzałów. Amy spała spokojnie, a Julia zaczęła wyrzucać sobie, że jest słaba i małaśkawa. Jak mogła chociażby przez chwilę pomyśleć o wyjeździe, o porzuceniu Naszej Pani Anielskiej? Czy nie postąpiłaby wtedy tak samo jak wiele lat temu ze Skye? I tak było to o jeden raz za dużo.

Rano zbudziła się z nowym postanowieniem.

Nie potrwało ono jednak dłużej niż kilka godzin. O świcie znowu nasiliły się eksplozje, głośniejsze i wyraźnie bliższe. Pojawił się też nowy, bardziej basowy dźwięk. Były to moździerze, jak wyjaśnił Peter Pringle. Siedzieli przy kolacji w namiocie, kiedy przed budynkiem w tumanie kurzu zahamował biały land - rover, a z niego wyskoczyli mężczyzna i kobieta. Julia poznała ich natychmiast - młode duńskie małżeństwo, które czasami wpadało do nich na posiłek. Teraz jednak wcale nie chodziło im o kolację.

Siostra Emily i cały personel powstali. Mężczyzna dyszał ciężko i nieudolnie usiłował skrywać niepokój. Wszystkie dzieci umilkły i patrzyły ze swych miejsc. Przybysz ścisłym głosem poinformował, że siły rebeliantów pokonały opór wojsk rządowych, które wycofują się w nieładzie. Oddziały Makumy były już tylko o mniej niż dziesięć mil i pospiesznie zbliżały się do północnego skraju miasta, po drodze niszcząc wszystko i paląc.

Z łokciami opartymi na stole po obu stronach piwa i bujnym blond wąsem opartym na złożonych dłoniach, mężczyzna uważnie wpatrywał się w Connora swymi jasnoniebieskimi oczyma. Miał muskularne, opalone bicepsy, na lewym przedramieniu nad złotym rolexem zrywał się do lotu orzeł, najpewniej godło jakiejś elitarnej jednostki wojskowej. Potężny kark był szerszy niż gładko wygolona głowa, a z rozpiętej na piersi zielonej koszuli wyglądały kłaczki włosów.

Geoffreyowi wystarczyły trzy telefony, aby znalazł osobę, o którą chodziło Connorowi, ale dalej nie chciał się do niczego mieszać. Johannes Kriel prowadził małą firmę lotniczą, a plotka mówiła, że zajmuje się także przemysłem, handlem bronią i innymi ciemnymi interesami. Connor

miał się udać do Parkside Inn koło starego postoju taksówek, usiąść przy stoliku na balkonie i czekać na Kriela.

Kiedy Kriel zajął miejsce naprzeciw Connora - bez słowa czy gestu powitania - głosem o silnym akcencie południowoafrykańskim zamówił u kelnera Nile Special, a następnie spytał, na czym polega problem. Słuchał z nieruchomą twarzą, ale potem na jego ustach pojawił się lekceważący uśmiezek, który mówił wszystko.

- Nikt panu nie powiedział, że tam jest wojna jak kurwa mać?
- Niech mnie pan dostarczy tam, gdzie jeszcze jest bezpiecznie.
- Bezpiecznie? Makuma ma te cholerne pociski z ciepłym naprowadzaniem.
- Jest pan pewien?
- Bardziej niż pewien. - Upił łyk piwa. - I kiedy chciał pan to zrobić?
- Jak najszybciej.
- Teraz? Miałbym w środku nocy lądować w pieprzonym buszu?
- Nie będzie pan musiał lądować.
- Jak to?
- Wyskoczę. Znajdzie się chyba jakiś spadochron?

Kriel zmrużył nieufnie oczy.

- Co to znowu za zgrywy?
- Mówię poważnie. To co, będzie dla mnie spadochron?
- Może - mruknął tamten i uśmiechnął się krzywo. - Inna sprawa, czy się otworzy.
- Dam dwa tysiące dolarów.

Mężczyzna zaśmiał się i znowu napił piwa. Z dołu doleciały dźwięki rapu tak głośne, że aż balkon lekko zadygotał. Przy krawężniku zahamował biały samochód, a kierowca zwiesiwszy rękę przez otwartą szybę, klepał do rytmu w drzwi.

- Zastanawiać zacznę się dopiero od dziesięciu. Stało na sześciu, chociaż cała transakcja omal nie zakończyła się fiaskiem, kiedy Connor oznajmił, że nie ma gotówki i będzie musiał dopiero wydać polecenie swemu nowojorskiemu bankowi, aby przelał pieniądze na konto Kriela.

Na dole czekał na niego czarny range - rover z kierowcą. Wyjechali z miasta w kierunku południowym, potem - po jakiejś półgodzinie, podczas której nie padło żadne słowo - skręcili na zachód i dotarli do małego prywatnego lotniska z wysokim ogrodzeniem. Przy bramie stali wartownicy, którzy pręźnie zaszalutowali na widok twarzy Kriela.

W niewielkim biurze wokół pojedynczej jarzeniówki szalała chmara moskitów. Kriel zapytał o nazwę banku i sam wykręcił numer, chcąc mieć pewność, że taki bank rzeczywiście istnieje. Potem przekazał słuchawkę Connorowi, podał szczegóły swojego rachunku i uważnie

przysłuchiwał się, jak Connor wydaje dyspozycję.

Kiedy wszystko już było załatwione, zostawił Connora na pastwę moskitów, a sam udał się na poszukiwanie spadochronu. Connor zadzwonił do Geoffreya, który raz jeszcze usiłował wyperswadować mu całe przedsięwzięcie.

- Posłuchaj - powiedział Connor. - Czy gdyby chodziło o Elizabeth i jedną z twych pięknych córek, postąpiłbyś inaczej?

- Nie potrafiłbym skorzystać ze spadochronu.

- No i sam widzisz. Ja nie mam tego usprawiedliwienia.

- Kiedy ostatni raz skakałeś?

- Jakiś czas temu.

Connor poprosił go, aby przekazał Lawrence'owi, że wróci najszybciej, jak będzie mógł; a gdyby z jakiegoś powodu nie wrócił, niech Geoffrey zatroszczy się o to, aby bracia znowu byli razem.

- Pamiętam, jak opowiadałeś o tej kobiecie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy wiele lat temu. Musisz ją ciągle bardzo kochać.

Zabrzmiało to jak pytanie, a chociaż Connor zawahał się na chwilę, to uznał, że przynajmniej teraz może powiedzieć przyjacielowi jasno i wyraźnie prawdę.

- Kochałem ją zawsze i zawsze będę kochać - stwierdził po prostu.

Powrócił Kriel, dźwigając poplamiony płócienny worek, który ciśnięty na podłogę wyrzucił z siebie chmurę kurzu.

- Minęło trochę czasu - powiedział z krzywym uśmiechem - od chwili, gdy ktokolwiek nim się interesował.

Connor poprosił o latarkę, a potem wyszedł z workiem na zewnątrz i rozpakował go. Przymocował koniec spadochronu do ściany i rozwinął, aby go sprawdzić. Był prosty, ale sterowalny, z dwudziestosześcioletnią czaszą, a także starodawną, dość już zużytą uprzężą z bawełny i płótna. Sprawdził każdy z dwudziestu dwóch płatów i znalazł tylko dwie niewielkie dziurki; następnie skontrolował wszystkie linki. Nie było to może cudo, było jednak coś. Kriel z założonymi rękami przypatrywał mu się od progu z szyderczą miną.

- Czy jest zapasowy? - spytał Connor.

Kriel roześmiał się.

- Ja bym się tym tak bardzo nie przejmował. Zanim dolecisz do ziemi, zdążą cię zastrzelić, bracie.

- Rozumiem, że nie ma.

Connor zabrał się do składania spadochronu, a Kriel zniknął we wnętrzu. Kiedy wynurzył

się ponownie, do biodra miał przytroczoną kaburę z dziewięciomilimetrowym automatycznym pistoletem, w jednym ręku trzymał półautomatyczny karabin, a w drugim - czarną nylonową kurtkę, którą cisnął Connorowi.

- Włóż to. W tej koszuli trudno cię będzie nie trafić.

Dwadzieścia minut później kołowali na start w nie oznakowanej cессnie 206. Wszystkie fotele oprócz dwóch przednich usunięto, najprawdopodobniej po to, aby zrobić jak najwięcej miejsca dla przemycanych rzeczy. Z tyłu prawej burty były drzwi towarowe, skakanie miało więc być łatwiejsze, niż obawiał się Connor.

Polecieli na południe, pod sobą mając czarne, ogromne Jezioro Wiktorii. Potem wzięli głęboki wiraż i skierowali się na północ. Po prawej migotały w gorącym nocnym powietrzu światła Kampali. Po raz pierwszy od rozmowy z matką Connor mógł sobie pozwolić na chwilę refleksji i dopiero teraz dotarło do niego, że tyle uwagi poświęcił Julii i Amy, a niemal wcale Edowi, który odszedł na zawsze. I kiedy już za nimi została łuna miasta, a mała cессna sunęła w złowrogą noc, poczuł, jak wzbiera w nim smutek i ołowianym ciężarem odkłada się głęboko w piersiach.

Gałęzie drzew szorowały po dachu przesuwanego się pod nimi autobusu, a dźwięk był tak głośny i ostry, że dzieci siedzące na piętrze zaczęły rozpaczliwie krzyczeć, jak gdyby bały się, że dach zaraz się zerwie niczym wieczko z puszki do konserw.

Julia, otaczająca ramieniem Amy, siedziała na ostatnim siedzeniu u szczytu schodów. Przez szybę po lewej oglądała nietoperze podrywające się z mangowców, a kiedy spojrzała za siebie, widziała w dole zaciętą twarz Petera Pringle'a siedzącego za kierownicą ciężarówki. Większość dzieci i personelu zmieściła się do autobusu, reszta jednak musiała stłoczyć się na odkrytej skrzyni wozu Pringle'a. Za nimi jechały jeszcze dwie mniejsze ciężarówki, które zabrały wszystkie osoby zajmujące się sprzątaniami i gotowaniem, ale ze swego miejsca Julia mogła dostrzec tylko kolebiące się pakunki, które zamocowano na dachach. W każdym wozie jechał jeden z czterech strażników ośrodka.

Kiedy autobus dotarł do bramy, musiał stanąć, cała droga była bowiem zapełniona spanikowanymi uciekinierami. Większość z nich szła pieszo, pomiędzy nimi jednak przemykały z rykiem klaksonów samochody, pickupy i ciężarówki, a ludzie wczepieni w ich dachy i burty uderzeniami rąk i nóg odpędzali tych, którzy chcieli się zaczepić. Julia zdumiona patrzyła na mężczyznę, który pedałowal na rowerze, trzymając w jednym ręku rozkrzyczane niemowlę, podczas gdy przymocowane sznurkami do jego pasa rozpaczliwie szamotały się dwa kurczaki. Nie zważając na nich wszystkich, gnały przed siebie w tumanach czerwonego kurzu wojskowe ciężarówki, wypełnione wycieńczonymi, rannymi, nieprzytomnymi i martwymi żołnierzami.

Kiedy ludzie zobaczyli konwój wyłaniający się z terenu Naszej Pani Anielskiej, machając

rękami i krzyżąc, rzucili się w jego kierunku. Autobus zaczął właśnie skręcać na drogę i o jego burty rozpaczliwie załomotały pięści. Julia słyszała, jak na dole strażnik i siostra Emily powtarzają w kółko, że nikogo nie mogą zabrać, gdyż nie ma miejsca. Amy dygotała ze strachu.

- Mamooo!!!

- Nie bój się, kochanie, wszystko będzie dobrze.

Wcale nie była tego pewna, ale co innego mogła powiedzieć? Dziewczynka była taka dzielna, kiedy przyszło do pakowania rzeczy. Szybko uporała się ze swoimi i zaczęła pomagać innym. Pogładziła córkę po włosach i poczuła, jak jeszcze mocniej się w nią wtula.

Autobus był już na drodze, a samotny w szoferce ogrodnik George, nie zdejmujący ręki z klaksonu, kierował nim na południe, przedzierając się przez tłum rozstępujących się uciekinierów. Julia znowu spojrzała za siebie i zobaczyła, że na drogę wyjechały też trzy pozostałe samochody, ale zobaczyła także - po raz pierwszy - błysk eksplozji. Daleko na północy cały horyzont stał w migotliwej łunie.

Na metalowych stopniach rozległ się tupot stóp i nad podłogą ukazała się głowa Emily tak rozpromienionej, jak gdyby znajdowali się na ekscytującej wycieczce. Radosnym głosem spytała dzieci, jak się czują i dlaczego są takie ciche i spokojne. Wszystkie odwróciły się i spojrzały na nią, ale tylko kilka mruknęło coś w odpowiedzi. Obejrzała się, a widząc wtuloną w Julię Amy, zrobiła do niej minę, która była jednocześnie smutna, zabawna i przyjazna.

- Amy, chyba przydałaby nam się jakaś piosenka. Jak myślisz, co zaśpiewamy?

Amy wzruszyła ramionami i nic nie odpowiedziała, ale Emily nie dawała za wygraną.

- Może jedną z tych angielskich piosenek, których nas uczyłaś? Tę z filmu Król Lewi Nie? To może o purpurowej łodzi podwodnej?

- Żółtej.

Emily zmarszczyła brwi.

- Jesteś pewna? Dałabym sobie głowę uciąć, że chodziło o purpurową.

- Żółtą!!!

- No, może masz rację. Ale co, śpiewamy?

Siostra Emily najwyraźniej nie mogła sobie przypomnieć melodii, więc popatrzyła wyczekująco na Julię. A ponieważ jej talent piosenkarski był stałym źródłem wesołości i żartów córki, więc wystarczyło kilka pierwszych tonów, by Amy zaczęła szczerzyć zęby i chichotać. Christine i Thomas zaraz jej zawtórowali, nie tyle z powodu Julii, co Emily, która udając, że nie pamięta słów, ciągle zmieniała kolor łodzi podwodnej. Amy za każdym razem poprawiała ją coraz głośniej, kolejne więc rzędy przyłączały się do śpiewania, aż wreszcie przeniosło się ono także na dolny pomost.

Julia wiedziała, że w ten sposób dzieci otrzymują porcję sobkostwa, bo oto teraz zajęte śpiewem miały nie zwracać uwagi na błagających o pomoc uciekinierów za oknami, z drugiej jednak strony - jak zwykł mawiać Ed - co jest złego w zdrowej porcji egoizmu? Miała zobowiązania wobec tych, którym mogła pomóc, a przede wszystkim wobec Amy. A widząc teraz, jak śpiew dodaje dzieciom otuchy, także sama poczuła się lepiej. Ledwie umilkła Żółta Łódź podwodna, a natychmiast zaczęła się inna piosenka i jeszcze inna, a kiedy Julia zerknęła za siebie, zobaczyła, że do śpiewu przyłączyli się też Pringle i pasażerowie ciężarówki.

Wszystko będzie dobrze, powiedziała sobie. Jakoś damy sobie radę.

Noc była zrazu czysta, z dobrze widocznymi gwiazdami i księżycem. Lecieli bez świateł i przez pierwszą godzinę na wysokim pułapie, tak że w oddali tylko ciemniała dżungla, a nieruchome wody jeziora Kyoga lśniły niczym obsydian.

Siedzieli obok siebie, Connor po prawej, między nimi lśniły światełka przyrządów, a w ich poświacie nad głową Kriela majaczyła kolba karabinu. Mieli hełmy, mogli się więc porozumiewać pomimo hałasu silnika. Jednak prawie nie odzywali się do siebie, tylko kiedy Kriel od czasu do czasu rzucał nazwę miejsca, koło którego przelatywali.

Kiedy światła Liry zostały za nimi po lewej, po prawej zaczęło się pustkowie, a przed sobą zobaczyli chmury. Kriel mruknął, że najwyraźniej zostały wysłuchane modlitwy Connora, gdyby bowiem niebo pozostało czyste jak dotąd, byłoby wymarzoną obiektem do zestrzelenia i musiałyby skakać dużo wcześniej. Zapytany, Connor wyjaśnił, gdzie nauczył się skakać na spadochronie.

Chmury gnał lekki wiatr z zachodu. Najpierw pojawiły się te podobne do kłaczek bawełny. Connor spoglądał na ich cienie na szarej, jałowej ziemi i na przemykający między nimi cień samolotu. Im dalej jednak posuwali się na północ, tym bardziej chmury grubiały, ciemniały i łączyły się ze sobą, a na zachodzie migotały błyskawice.

Od Karingoa dzieliło ich jeszcze jakieś siedemdziesiąt mil, kiedy zobaczyli pierwszą oznakę wojny. Przy grubej pokrywie chmur lecieli teraz niżej i w luce między nimi zobaczyli wielki konwój ciężarówek, Kriel zaś na ten widok natychmiast odskoczył na zachód i zwiększył pułap lotu. Kiedy następnym razem mogli spojrzeć na szosę, wydawała się bardziej zatłoczona i w nieładzie. A światła poruszały się znacznie wolniej. Wzbili się powyżej poziomu chmur, a wtedy na północy ukazała im się biała czerwona luna, która - jak się wydawało - stawała się coraz rozleglejsza i intensywniejsza. I dzięki czasowi spędzonemu na gaszeniu pożarów Connor dobrze wiedział, co to jest.

Wkrótce także powłoka chmur nasyciła się czerwienią i Kriel znowu odchylił się na zachód, aby ominąć tę plamę. Chwilę później obłoki się rozstały i zobaczyli pod sobą miasto Karingoa, od północy obrzeżone pożarem. I chociaż już w następnej sekundzie szczelina zniknęła, zdążyli

zobaczyć błyski wystrzałów, a także świetliste nitki pocisków z broni maszynowej.

- Słyszałem o kilku durnych sposobach na śmierć - powiedział Kriel - ale ten przebija wszystkie. Zrobię jeszcze tylko jedno kółko i zmywam się stąd, a jeśli ty chcesz wyjść z tego cało, lepiej zabieraj się razem ze mną.

Connor spojrział na wskazania przyrządów i zrobił pospieszne obliczenia. Lecieli z prędkością stu dziesięciu mil, na wysokości tysiąca ośmiuset stóp, a więc mniej więcej cztery razy wyżej, niż życzyłyby sobie. Skok był bezpieczny przy czterystu stopach, a im mniej czasu spędzi w powietrzu - tym większe jego szansę.

- Jak nisko możesz zejść?

- Ani odrobinę niżej. Na ziemi mają różne diabelskie zabawki, a kto wie, co w powietrzu? To prawdziwy cud, że jeszcze nas nie zestrzelili.

- Gdybyśmy poleciali na wschód, zaślaniałby nas dym i mógłbyś opuścić się trochę niżej.

Kriel zaklął pod nosem i pokręcił głową, ale już za chwilę stało się jasne, że właśnie wykonuje taki manewr. Kiedy od wschodu okrążali rozjarzoną czaszę chmur, Connor rozpiął się i zdjął hełm ze słuchawkami. Wstał i zobaczył wyciągniętą dłoń Kriela.

- Powodzenia, kolego.

Connor potrząsnął ręką pilota i podziękował.

- A teraz zjeżdżaj stąd czym prędzej.

Connor zataczając się i chwytając, czego się dało - samolot bowiem gwałtownie podskakiwał, przebijając się przez chmury - dotarł do luku ładunkowego. Sprawdził uprząż, a potem przykucnął i chwycił za dźwignię. Serce mu łomotało. Kiedy to skakał ostatni raz? Nad Snake Mountain, jakby w jakimś innym życiu. On i Ed skakali na końcu. Przypomniawszy sobie pobladałą twarz przyjaciela patrzącego, jak lecą w dół inni, i wiedzącego, że gdzieś tam w płomieniach jest Julia. Podobnie jak teraz.

- Tysiąc sześćset! - wrzasnął Kriel.

Connor chwycił mocno dźwignię i zaparł się nogami po obu stronach drzwi, aby nie wessał go prąd powietrza.

- Otwieram! - wrzasnął.

Nie odwracając się, Kriel podniósł kciuk.

Drzwi rozsunęły się, Kriel zanurkował poniżej poziomu chmur i Connor po raz pierwszy mógł spojrzeć na miejsce swego lądowania. Byli jakieś dwie mile na wschód od miasta. Poprzez zasłonę dymu widać było, że północna jego część stoi w ogniu, a niebo nad nią jest rozpalone niczym wokół pieca. Na jego tle widział ciemne sylwetki ciężarówek nieprzerwanie nadciągających od północy. Ogień i dym nie pozwalały się jednak rozeznaczyć w najbliższej okolicy, a

choć Connor dobrze znał układ miasta, to jednak nie jego okolic, a teraz był w stanie odróżnić jedynie ciemniejsze plamy lasu od pól.

- W porządku - krzyknął Kriel. - Jesteśmy na tysiąc czterysta pięćdziesiąt. Zejdę na tysiąc dwieście, ale ani stopy niżej. Prędkość sto węzłów. Szykuj się!

Connor mocno chwycił się jedną ręką za framugę i tak ulokował w drzwiach, żeby czubki palców sterczały w powietrze. Kolana pod nim chodziły, cały dygotał, ale o dziwo, to nie ze strachu łomotało mu serce, a powietrze było całkiem ciepłe. I zniemacka opanowało go wrażenie, że ktoś stoi obok niego, a dobrze wiedział, że nie może to być Kriel. Obejrzał się, ale nie zobaczył nikogo, niemniej poczucie czyjejs obecności nawet się nasiliło. Nie wiedział, czy to rzeczywistość, czy tylko dziwna wyobraźnia, ale nie miał najmniejszej wątpliwości, że towarzyszy mu Ed.

- Tysiąc dwieście pięćdziesiąt!

Connor zacisnął w pięść prawą dłoń i przyłożył do piersi.

- Tak, przyjacielu - mruknął. - Płomienne serca.

- Tysiąc dwieście! Spadaj, bracie!

Connor ze wszystkich sił rzucił się do przodu. Poczł ciepły strumień powietrza.

- Sto dwadzieścia jeden...

Przewróciło go na plecy i zobaczył brzuch cesseny, która z zadartym dziobem umykała w chmury.

- Sto dwadzieścia dwa...

Aby zwiększyć swoje szansę, chciał jak najdłużej odczekać z otwarciem spadochronu. Miał do dyspozycji pięć sekund, nie więcej. Rozłożył ręce niczym skrzydła, aby znaleźć najlepszą pozycję.

- Sto dwadzieścia trzy...

Leciał teraz twarzą w dół. Oczy same zamykały się i łzały pod uderzeniem powietrza. Przed sobą widział tylko ciemność.

- Sto dwadzieścia cztery...

Sięgnął po uchwyt linki otwierającej i zalała go paniczna trwoga, gdy go nie znalazł. Ale już w następnej chwili trzymał go mocno w ręku.

- Sto dwadzieścia pięć...

Pociągnął najmocniej, jak potrafił. Poczł lekkie muśnięcie na plecach, potem niewielkie targnięcie - to pilot wyciągający spadochron główny. Objął się za kolana, a chwilę później szarpnął nim gwałtowny ucisk na plecach i piersiach; czasa z trzaskiem rozłożyła się i wypełniła. Był króciutki jak mgnienie oka moment spokoju, a potem rozbrzmiały dźwięki - oddalający się terkot cesseny, wybuchy pocisków i teraz serie broni maszynowej.

Odszukał uchwyty sterujące, ale pożytek z nich był niewielki, nie miał bowiem pojęcia, w którą stronę się kierować. Potrzeba było chwili, by zaczął widzieć, a jeszcze jednej, aby zrozumiał, że główną przeszkodę w widzeniu stanowi dym. Drapał go w gardle i nozdrzach, szczypał w oczy, wypełniał biało - pomarańczową czaszę spadochronu.

Nawet jednak w dymie spadochron stanowił znakomity cel, który ktoś mógł łatwo wypatrzeć z dołu. Nadzieję trzeba było pokładać w tym, że będzie to ktoś znajdujący się w odległości przekraczającej możliwości celnego strzału. Przez wszystkie te lata spędzone w strefach najróżniejszych wojen wielokrotnie ryzykował życie, ale nigdy dotąd nie czuł się tak odsłonięty i bezbronny. Niejeden raz prowokował śmierć, a ta nie podejmowała wyzwania, być może z tej racji, że wiedziała, jak niewiele ceni sobie swoje życie.

Teraz jednak, kiedy w ciemności leciał w dół wśród dymu, zdał sobie sprawę z tego, że sytuacja zmieniła się radykalnie.

Były dwa bardzo ważne powody, by żyć, i oba znajdowały się gdzieś na dole. Jeśli żyły, zrobi wszystko, aby je odnaleźć. Jeśli zginęły, śmierć równie dobrze może zabrać i jego.

Od ziemi dzieliło go jeszcze około osiemdziesięciu stóp, kiedy dym nagle się rozwiął. Gdzieś z lewej rozległ się okrzyk, a potem o jakieś trzysta, góra czterysta jardów zobaczył biegnące w jego kierunku postaci. Zerknął w dół i zobaczył zbliżające się ku niemu szczyty wielkich drzew. Po prawej stronie, przeciwnej do biegnących, widniała jaśniejsza plama. Pozostawało ufać, że to jakaś polana. Szarpnął ze wszystkich sił za rączkę sterującą i podciągnął najwyżej, jak mógł, kolana. W następnej chwili szorował nimi po wierzchołkach drzew. Nagle zniknął wszelki opór, nogi grzmotnęły o ziemię, przekoziółkował i leżąc na plecach, zobaczył opadającą na niego niczym przedwcześniey całun czaszę spadochronu.

Bolało go prawe ramię, ale nogi były w porządku, a to liczyło się najbardziej. Znalazł koniec spadochronu, ściągnął go i zaczął nadśluchiwać. Dobiały go pokrzykiwania, a chociaż drzewa utrudniały ocenę odległości, wiedział, że ma tylko sekundy na uwolnienie się od spadochronu i zniknięcie.

Wylądował chyba na jakimś uprawnym poletku; dokoła siebie miał bujną roślinność. Szarpał się ze sprzączkami, jedna się zapęłniła. Męskie głosy były coraz bliżej. Przeklinał teraz siebie, że w samolocie nie przeciwiczył uwalniania się z upręży. Niemniej jednak wystarczyło kilka chwil, aby dać sobie radę, i pognać co sił w nogach między drzewa.

W pierwszym momencie słyszał tylko rechot żab i brzęczenie owadów. Gąszcz był tak splełany, że tylko szarpiąc się i przedzierając, mógł się w ogóle posuwać do przodu. Miał bardzo niejasne, oparte na chwilowym obrazie miasta, przekonanie, że posuwa się na południe. Co parę chwil zatrzymywał się, łapiąc oddech i nadśluchując odgłosów pogoni, ale jedynym dźwiękiem był

trzask rozdzielanych przez niego zarośli.

Ledwie jednak poczuł się odrobinę bezpieczniej, nagle tuż koło niego z przeraźliwym wrzaskiem i łopotem skrzydeł poderwały się jakieś spłoszone ptaki. Z całą pewnością musieli je usłyszeć także jego prześladowcy. Zdawało się, że serce pęknie mu lada sekunda. Nie miał pojęcia, czy szukają go ludzie Makumy, czy ich przeciwnicy, to jednak było bez znaczenia - nie dadzą mu bowiem czasu na wyjaśnienia, czemu to znieca sfrunął im na głowy, tylko go zabiją.

Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo trwało przedzieranie się przez busz. Między drzewami co jakiś czas migotały błyski płonącego miasta. W pewnym momencie dostrzegł charakterystyczną sylwetkę stojącej koło targowiska wieży wodnej, dzięki czemu nareszcie mógł określić swoje położenie. Artyleria umilkła. Na tle płomieni co jakiś czas pojawiały się sylwetki żołnierzy strzelających z biodra, jak to ćwiczą w oddziałach Makumy. Connor widział, jak dwóch wali się trafionych. Z ciemności raptem wyskoczył helikopter z brzuchem rozświetlonym pomarańczową łuną pożaru i zaczął ostrzeliwać południowy skraj Karingoa. Connorowi zdawało się, że rebelianci zajęli już całe miasto, a wojska rządowe trzymają się jeszcze tylko na południowych enklawach.

Wreszcie zobaczył w ciemności to, czego szukał - jasna wstęga z ciemnymi kształtami drzew z tyłu. Był to mur ogradzający od tyłu ogrody misji. Przeskoczył rów i ze spuszczoną głową oparł się o mur, ciężko dysząc. Cały był spocony, twarz i ręce miał pokłute i pokaleczone do krwi kolcami, ostrymi liśćmi i pnączami. W czarnej przepoconej bluzie Kriela było dostatecznie gorąco, aby się upiec, nie zdejmował jej jednak, gdyż trochę go maskowała. Odpoczywał krótko. Potem, zostawiając na murze czerwone plamy, przeskoczył na drugą stronę do ogrodu.

Płonęły zabudowania klasztorne i kaplica. Schowany w kępie drzewek pomarańczowych patrzył, jak płomienie łakomie wystrzelują z okien na piętrze i jedna po drugiej pożerają podpory dachowe, walące się na ziemię w fontannie iskier. Spodziewał się widoku żołnierzy, teren jednak wydawał się opustoszały. Słyszał tylko odgłosy pożaru, ale nie wystrzałów.

Przez moment usiłował wyobrazić sobie to miejsce takie, jakie było, a także żyjące tam Julię i Amy, ale same te myśli, wydawało się, należały do jakiegoś innego świata. Przeszedł przez boisko, omijając tłące się odpadki, minął ogołoconą ze sprzętów kuchnię, a także resztki namiotu jadalnego, okrążył kaplicę, po której gontach płomienie skakały niczym małe demony. Kiedy wyszedł przed front głównego budynku, wynędniał pies, trzymający w pysku jakiś ochłap, czmychnął między mangowce.

Connor poszedł drogą dojazdową poniżej płonących drzew, ani razu nie obejrząwszy się na płonące budynki. Kiedy zbliżył się do bramy, zobaczył, że zagroziły ją dwie przewrócone i płonące ciężarówki. Znieca zaterkotał karabin maszynowy. Connor skoczył między drzewa mango i omal nie przewrócił się na leżącego w trawie żołnierza, celującego z karabinu w bramę.

Mundur świadczył o tym, że należy do oddziałów rządowych. Było ich jeszcze sześciu czy siedmiu; zaczęli krzyczeć na Connora, żeby się położył. Ledwie padł twarzą w trawę, kiedy w bramie wybuchł granat.

- Teraz!!! Teraz!!!

Nagle wszyscy żołnierze poderwali się i przeskoczyli na drugą stronę drogi. Niewiele myśląc, Connor pognął razem z nimi. Od bramy zaszczeł karabin maszynowy; zobaczył obłoczki kurzu wzbijane przez pociski, które rykoszetami zastukały o drzewa i ściany budynku. Nikt nie został trafiony. Przemknęli między drzewami i krzakami, dotarli do muru i pomagając jeden drugiemu, przeskoczyli go. Żołnierz z naszymi sierżanta położył mu rękę na ramieniu.

- Nauczyciel? - Connor patrzył na niego, nie rozumiejąc. Sierżant wskazał kciukiem za siebie. - Uczyłeś tam?

- Tak.

- Trzeba się stąd wynosić.

Miłą dalej w kępie eukaliptusów czekał na nich mały konwój wojskowych pojazdów; po obu stronach czerniały zalesione ściany parowu. Czekający oficerowie wydzielali się na siebie, nieustannie jazgotały krótkofalówki, panował stan najwyższej paniki. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy marzą tylko o tym, aby jak najszybciej wynieść się stąd.

Connor był jedynym cywilem, na dodatek jasnoskórym, nikt jednak o nic go nie wypytywał. Trzymając się młodego sierżanta, wraz z jego ludźmi wskoczył na skrzynię jednej z ciężarówek. Ledwie wszystkie ciężarówki się zapełniły, padł rozkaz, silniki zaterkotały i już po chwili Connor oddalał się od płonących resztek misji Naszej Pani Anielskiej.

Rebelianci zapewne próbowali okrążyć miasto, aby przeciąć drogę odwrotu wiodącą doliną, jako że na zboczach po obu stronach pojawiały się rozbitki wystrzałów, a w świetle reflektorów widać było wyrwy po wybuchach, wypalone szkielety aut i ciężarówek, a także znieruchomiałe w najdziwniejszych pozach ciała. Connor zerkał na nie lękliwie i uparcie powtarzał sobie, że obie najbardziej ukochane przez niego osoby znajdują się gdzieś w bezpiecznym miejscu.

Niektórzy z otaczających go żołnierzy byli ranni, a wszyscy zbyt zmęczeni lub przerażeni, aby rozmawiać. Ten, który siedział naprzeciw Connora, nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Z rany na jego głowie sączyła się krew, ciałem wstrząsały dreszcze. Connor zdjął kurtkę i delikatnie otulił nią chłopaka.

Kilkadziesiąt sekund później powietrze rozdarł potężny huk; ciężarówka przystanąła, a wszyscy pasażerowie skulili się przerażeni. Nad czubkami drzew z rykiem przeleciały nad nimi trzy samoloty bojowe, kierując się na północ Karingoa. Zaraz potem eksplodowały wystrzelone przez nie pociski i wielokrotne echo z grzmiotem przetoczyło się przez dolinę. Kolejnymi falami

nadlatywały następne maszyny, aż wreszcie ciężarówka odjechała na tyle daleko, że huk eksplozji przemienił się już tylko w basowe pomruki i zamglone czerwone odbicia na odległym niebie.

Nie wiedział, ile czasu spał, w każdym razie kiedy się obudził, już świtało. Większość żołnierzy w ciężarówce nadal się nie przebudziła. Z nieba zwisały ciężkie chmury, a powietrze było wilgotne i pachniało tak, jak zawsze przed deszczem. Ciągłe jeszcze na pół śpiący Connor wpatrywał się w światła podążającej za nimi ciężarówki, która właśnie omijała wrak zniszczonego pojazdu.

I wtedy właśnie zobaczył dwupoziomowy autobus misji.

Zerwał się na równe nogi i wrzasnął do kierowcy, żeby się zatrzymał. Zbudzeni żołnierze zaczęli coś mrużyć, a kilku wrzasnęło, żeby siadał. Znowu krzyknął, ale kierowca albo go nie słyszał, albo ignorował, gdyż zaczął przyspieszać. Connor rzucił się do przodu, potykając się o nogi przeklinających go żołnierzy, a dopadłszy kabiny, zaczął walić pięściami w tylną szybę i z góry w dach.

- Stop! Staaać!!!

Kierowca nie wyglądał na zadowolonego i odkrzyknął coś gniewnie. Connor jednak nie mógł tego słyszeć, więc nie przestawał łomotać, a samochód zaczął zwalniać i zanim jeszcze stanął, Connor przeskoczył burtę. Upadł, ale zaraz zerwał się na równe nogi i pobiegł do tyłu. Kierowca wychylony z kabiny wymachiwał za nim pięściami, podobnie jak kilku innych żołnierzy, ale tym Connor zupełnie już się nie przejmował.

- To autobus z misji! Moja rodzina!!!

Odwrócił się i zaczął biec. Nadjeżdżająca ciężarówka przeraźliwie zatrąbiła, on zaś przemknął, niemal ocierając się o nią. Autobus zostawili jakieś sto pięćdziesiąt jardów z tyłu, Connorowi jednak wydawało się, że to całe mile. Gertruda - z kołami z lewej strony w rowie, a z prawej w powietrzu - leżała przechylona tak, że mogła się zwalić na bok za lada dotknięciem. Już z daleka zobaczył, że jest wypalona. Nie było okien, dach i góra burt szerniały i tylko na dole widać było jeszcze odrobinę dawnej czerwieni. Z przodu, tam, gdzie była chłodnica, ziała wielka, postrzępiona wyrwa, a w pogniecionej kabinie kierowcy zastygło spalone, niemożliwe do rozpoznania ciało.

Connor z najwyższym trudem zmusił się do poszukania w środku innych zwłok, ale nie znalazł żadnych - ani na dole, ani na górze, ani wokół autobusu. Młody sierżant i dwóch jego podkomendnych zaczęli ciągnąć Connora z powrotem.

- Nie możemy tutaj stawać! - krzyknął sierżant.

- Więc jedźcie!

- Ty też musisz jechać. Tutaj niebezpiecznie!

Położył rękę na ramieniu Connora, ten jednak zrzucił ją niecierpliwym gestem i powiedział, żeby go zostawili w spokoju. W głowie kłębiły mu się wyobrażenia najróżniejszych wydarzeń. Skoro było tylko jedno ciało, to może inni się uratowali. Może zabrał ich jakiś inny pojazd.

- Chodź - upierał się sierżant. - Nic tu po tobie.

- Może ktoś z tego autobusu tutaj gdzieś jest.

- Gdzie? Przecież widzisz, że nie ma nikogo.

Kolejna ciężarówka, trąbiąc przeraźliwie, przejechała obok nich. Connor obrócił się udreńczony i spojrzał na gęsty las porastający zbocze, którego szczyt ginął w chmurach. W jego piersi wzbierało uczucie beznadziejnej rozpacz. Zatokczył się na skraj drogi, zadarł głowę i zawył w niebo:

- Julio!!!

Wołał jeszcze kilkakrotnie, a imię powracało zniekształcone echem, kiedy zaś przebrzmiało ostatecznie, znieruchomiał, wyczekując, czy nie dojrzy na stoku jakiegoś poruszenia. Na próżno.

Potem zaczął padać deszcz, z początku pojedyncze krople, które stawały się coraz cięższe i liczniejsze, aż wkrótce powietrze wypełnił zapach ciężkiego kurzu.

- Chodź - powtórzył sierżant, tym razem znacznie łagodniej.

Connor nie potrafił wykrztusić z siebie ani słowa i pokręcił tylko głową.

- Może znajdziesz ją w jakimś obozie.

Connor pokiwał spuszczoną głową. Włosy i koszula były już doszczętnie przemoczone. Żołnierze niecierpliwili się na skrzyni samochodu.

Znowu poczuł na ramieniu rękę sierżanta, ale tym razem nie chciał już jej strącać i pozwolił się zawrócić w kierunku ciężarówki.

Kiedy byli w połowie drogi, głosy żołnierzy nagle się zmieniły, zniknął z nich ton pretensji i szyderstwa. Sierżant spojrzał przez ramię w kierunku autobusu i stanął.

- Spójrz - powiedział.

Connor obrócił się, ale z powodu ulewnego deszczu i łez z początku nie zobaczył nic. Potem jednak postać stojąca na skraju drogi poruszyła się i... rozpoznał.

- Connor? - Jej głos był niepewny, pełen niedowierzania i wahania. - Connor, czy to naprawdę ty?

Zaczął iść z powrotem, ale tak osłabł w nogach, że mało nie upadł. Ona także wyszła na drogę i ruszyła ku niemu w strugach deszczu.

- Julia?!

Zatrzymali się, gdy dzieliła ich jeszcze niewielka odległość, i wpatrzyli w siebie, jak gdyby każde podejrzewało, że to duch drugiego. Miała podartą sukienkę, ubrudzoną twarz i potargane

krótkie włosy. Nawet w żadnym ze snów nie była piękniejsza.

- Skąd...? Co...? - Jakby nie potrafiła skończyć żadnego pytania.

- Dowiedziałem się, że tu jesteście. I musiałem was odnaleźć.

Pokręciła głową nieznacznie, a potem jej twarz wykrzywiła się w grymasie płaczu. Podskoczył, chwycił Julię w objęcia i poczuł, jak całe jej ciało zaczyna się trząść. Chciał coś powiedzieć o tym, co czuje, ale nie mógł znaleźć słów ani nawet wydobyć głosu. Przyciągnął jej twarz do piersi, gładził jej głowę, a ona powoli rozwarła ramiona, otoczyła go nimi i przyłgnęła do niego. Próbowwała coś powiedzieć, ale tylko łkała coraz bardziej spazmatycznie.

Nad jej ramieniem zobaczył, jak spośród drzew wyłaniają się inni, skuleni niczym wylęknione zwierzęta: Pringle, lekarz, siostra Emily trzymająca za ręce dwójkę maluchów, a także inne dzieci prowadzone przez zakonnice. A między nimi przepchnęła się teraz i gnała już ku matce Amy, jego córka, którą ostatni raz widział, gdy była niemowlęciem, a która teraz była wysoką, piękną dziewczyną o usmolonej, przestraszonej twarzy, okolonej w nieładzie poskręcanyimi blond lokami.

- Mamo...?

Julia chwyciła ją w objęcia i zaczęła chaotycznie tłumaczyć, kim jest Connor, ona już jednak jakoś to wiedziała i niepewnie zwróciła się do niego, i wzięła jego rękę. I w tej ulewie, która drogę wokół nich zamieniała w potok, cała trójka przywarła do siebie tak mocno, jak gdyby nigdy już nie miało być na całym świecie siły, która mogłaby ich rozłączyć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Był to jeden z tych krystalicznych poranków Montany, kiedy świeżo spadły śnieg lśnił niczym biały jedwab nabijany mikroskopijnymi cekinami, a góry rysowały się tak wyraźnie na tle nieba, że można było dokładnie rozpoznać każdy żleb. Julia wyprowadziła psy na deski nowego tarasu i zamknęła za sobą kuchenne drzwi. Nawet podczas mrozu czuło się woń żywicy w drewnie. Zatrzymała się na chwilę i pod oblodzonym skrajem dachu spoglądała na szczyty; para kłębiła się z ust, dwa młode collie szarpały się u jej stóp.

- Ej, spokojnie, spokojnie!

Zeszła ze schodów, znowu przystanęła i ręką osłoniła oczy przed śnieżnym blaskiem. Po koniach widać było tylko dwa sznury śladów, od stajni prowadzących w górę stoku. Przypuszczała, że wrócą tą samą drogą co zwykle, postawiła więc kaptur i skierowała się ku strumieniowi.

Dom, który wybudowali, stał w płytkiej kotlinie między wzgórzami o kilkanaście mil na wschód od kamiennego masywu Gór Skalistych. Budynek był niewielki, skromny, drewniany, a kiedy - tak jak teraz - z komina kłębił się dym, a słońce przeświecało przez gałęzie osik, wydawało się, że od wieków należy do tej okolicy. Budowa zabrała im ponad rok, a z każdą belką, każdym gwoździem, każdą krokwią i każdym gontem nabierało kształtu także ich nowe życie.

Wiele trudności trzeba było jeszcze pokonać, aby mogli wrócić do domu. Podczas gdy Julia i Amy siedziały zabarykadowane w hotelowym pokoju w Kampali, lecząc się z szoku i z ran, Connor biegał po mieście i załatwiał sprawy. Pomagał siostrze Emily znaleźć nową siedzibę dla misji, zatroszczył się o połączenie Thomasa i Lawrence'a Nyeko, których adoptowali jego przyjaciele Odongowie. Zadał nawet o pochówek biednego George'a, który - jak się okazało - zginął od strzału z moździerza, tak że z cudem graniczyło to, że był jedyną ofiarą. W efekcie Julia i Connor ledwie mieli chwilę dla siebie. Nawet linie lotnicze spiskowały przeciw nim, nie dostali bowiem trzech sąsiednich foteli i Connor musiał siedzieć oddzielnie.

Po całym tym jego niewiarygodnym poszukiwaniu, po rozpaczliwym wykrzykiwaniu jej imienia na skraju leśnego gąszczu, po tym, jak zobaczyła go wymizerowanego, zdesperowanego, umęczonego przy wraku autobusu, po tej chwili, gdy wszyscy troje wtuleni w siebie stali na środku drogi - Julia uznała, że cała historia znalazła szczęśliwe zakończenie i że kiedyś wrócą do Montany, ona i Connor będą razem, a wszyscy z Amy będą żyć jak przykładowie szczęśliwa rodzina. Ale rzeczywistość nie okazała się taka prosta.

Na czas pobytu w Afryce Julia wynajęła dom studentom, przyjaciołom przyjaciół, a chociaż miejsce zostawili po sobie czyste i bez zniszczeń, to jednak tak zmienili umeblowanie i wszystkie

kąty nasycili tak odmiennym zapachem, że stanąwszy w progu, Amy wybuchnęła płaczem. To wcale nie jej dom, oświadczyła.

Trochę lepiej poczuła się, gdy odnalazła stare zabawki, książki i odnowiła kontakty z koleżankami; niedługo też zapach przestał jej przeszkadzać - może wywietrzył, może przestała go zauważać. Niemniej jednak w powietrzu pozostało coś, czego żadne przeciągi nie były w stanie usunąć. Chodziło o pamięć Eda, obecnego nie tylko na fotografiach - nierzadko robionych przez Connora - ale niemal cieleśnie wyczuwalnego w każdym pokoju.

Julia wiedziała, że dla Connora musi to być nawet bardziej wyczuwalne niż dla niej. Usiłowała uspokajać samą siebie, tłumaczyć, że mają błogosławieństwo Eda, który z pewnością chciałby, aby żyli szczęśliwie, a nie stawali się więźniami przeszłości, nie skutkowało to jednak w żaden sposób. Zdawała sobie sprawę, że powinni o tym porozmawiać obydwój, ale Julia nie bardzo potrafiła zacząć.

Connor został dwa dni, aby pomóc im się rozpakować i urządzić, ale Julia widziała, jak niezręcznie się czuje. Po tych wszystkich przejściach Amy wymagała ciągłej opieki i obecności, spała więc z Julią. Connor zajął mały pokój gościnny i pewnego wieczoru, gdy Amy usnęła już w jej ramionach, Julia zastanawiała się, czy nie ułożyć łagodnie córki, żeby sama mogła wśliznąć się do Connora. Zwyciężył jednak strach, że dziewczynka się zbudzi i przerazi samotności. A poza tym, chociaż ona pragnęła Connora, nie wiedziała, czy jest to odwzajemniane uczucie. Trzeciego ranka wyruszył do matki na ranczo i może jej się tylko zdawało, ale odniosła wrażenie, że sprawiło mu to ulgę. Na pożegnanie pocałował ją w policzek jak przyjaciel, a nie kochanek.

W tych pierwszych dniach często przychodziło Julii do głowy, że zmieniła się cała geografia ich egzystencji, a z racji jakiegoś okrutnego żartu nikt nie zaopatrzył ich w mapy czy kompas.

W trakcie następnych tygodni Connor dzwonił codziennie i często je odwiedzał. Weekendy cała trójka spędzała na ranczu jego matki. Wiosna była w pełni, Connor często więc zabierał Amy na konne przejażdżki, a czasami wyprawiali się we trójkę na górskie wycieczki. Uczył Amy fotografować, a także rzucać spinningiem.

Powstała między nimi zupełnie inna więź niż z Edem. Tam było pełno wrzawy i improwizacji; obydwój byli gadułami i ekstrawertykami, a kiedy się ich słuchało, można było odnieść wrażenie, że to dwóch komików konkuruje ze sobą na scenie. Connor mówił znacznie mniej, głównie słuchał, uważnie wpatrzony swymi jasnyniebieskimi oczyma, uśmiechając się i potakując.

Widząc, jak dobrze tym dwojgu ze sobą, Julia czuła się uszczęśliwiona, chociaż było to zabarwione odcieniem zazdrości, albowiem pomiędzy nią a Connorem powstało coś na kształt

spokojnej, zażyłej przyjaźni. Zdarzały się przelotne spojrzenia czy dotknięcia, kiedy nawiedzała ją pewność, że i on jej pragnie tak jak ona jego. Jeśli jednak nawet tak było, żadne z nich nie odważało się zrobić pierwszego kroku. Było o niego bardzo trudno, kiedy Amy wymagała ciągłej opieki, a pamięć Eda była tak żywa i wszechobecna.

Któregoś ciepłego wieczoru w maju Connor zjawił się bez uprzedzenia. Julia przez całe popołudnie zmagala się z zaniedbanymi rabatkami, była więc wybrudzona i spocona. Jechał, jak powiedział, spotkać się z Chuckiem Hamerem i kilkoma innymi zadymiarzami, więc pomyślał sobie, że dobrze byłoby zajrzeć i przywitać się. Miał nadzieję, że to nie kłopot. Julia zapewniła, że oczywiście nie, i przeprosiła za swój wygląd. Connor oświadczył, że wygląda świetnie. Amy, która zeszła do rzeki, by zobaczyć, czy nie uda się złowić czegoś na kolację, usłyszała głos Connora, odwróciła się i pomachała mu.

- Napijesz się piwa?

- Chętnie, gdybyś przypadkiem miała.

Weszła do środka i usiłowała na poczekaniu poprawić coś przed lustrem w przedpokoju, ale uznała, że sprawa jest beznadziejna. Myślała, że zejdzie może do Amy, ale nie, czekał na nią na tarasie. W miękkim świetle zmierzchu stali i popijali z puszek.

- Zachodziłem w głowę, co tu się zmieniło - odezwał się wreszcie. - I dopiero teraz zobaczyłem: usunęłaś linę, która schodziła do rzeki.

- Tak, zdjęliśmy ją. Wiesz, teraz już nie była potrzebna.

- Jest więcej miejsca.

- Tak. Bardziej przestronnie.

Kiwnął głową i znowu milczeli przez chwilę. Jak dalej potoczyłaby się rozmowa, trudno powiedzieć, gdyż ryba wzięła, Amy krzyknęła z przejęcia, więc Julia i Connor zbiegli na dół. Dziewczynka sama wyciągnęła zdobycz na brzeg, podczas gdy Connor tylko doradzał. Tęczowy pstrąg okazał się za mały, żeby go zatrzymać. Connor starannie zdjął rybę z haczyka, a potem ostrożnie włożył do wody. Przez chwilę trwała nieruchomo, jakby nie wierzyła, że znowu jest wolna, a potem zniknęła w srebrzystym błysku.

Na początku czerwca wydawało się, że Amy odzyskała dawny temperament. Zaczęła spać sama w swoim pokoju, chociaż przez kilka pierwszych nocy wciskała się do łóżka Julii. Pewnego wieczoru przy kolacji oznajmiła, że jej przyjaciółka Molly w nadchodzący weekend wydaje przyjęcie urodzinowe i zaprosiła ją, żeby u niej przenocowała.

- Będę mogła pójść?

- Czy będziesz mogła? Pewnie, jeśli tylko chcesz.

- Na pewno nie będziesz się martwiła?

- A czym? Może i ja gdzieś się wypuszczę.

- Do Connora?

Julia mało się nie udławiła, a potem roześmiała się o wiele zbyt hałaśliwie, a jednocześnie poczuła, że się czerwieni.

- Daj spokój, tylko tak sobie zażartowałam.

- W porządku, ja tylko chciałam powiedzieć, że mnie by się to nawet podobało.

Julia nie wiedziała, gdzie patrzeć ani co powiedzieć.

- W ogóle myślałam, że teraz to już będziemy mieszkać razem.

- Chciałabyś tego?

- Jasne! Ja go kocham! On nie jest moim tatą, ale jest moim ojcem.

Julia zerwała się i chwyciła córkę w objęcia. Jednocześnie płakały i zaśmiewały się, aż wreszcie Amy ściskając matkę, powiedziała:

- Ty też go kochasz. To widać po tym, jak na niego spoglądasz.

- Naprawdę?

- Pewnie. A on patrzy na ciebie tak samo.

- On?

Amy wymknęła się z uścisku Julii, zaczęła pociągać nosem i wycierać jej łzy.

- Jak wy możecie być takimi uparciuchami? Julia wzruszyła ramionami, córka zaś ciągnęła:

- W każdym razie ja na noc znikam. Tak?

- W porządku.

- Fajnie.

Julia zadzwoniła do Connora jeszcze tego wieczoru i zapytała ogólnikowo, czy ma jakieś plany na piątek.

- Pewnie. Jestem umówiony.

- O!

Julia poczuła, że niebo się na nią wali.

- Z tobą i Amy. Nie przyjeżdżacie na weekend do mojej matki?

- Przyjaciółka Amy zaprosiła ją na przyjęcie urodzinowe i zaproponowała, żeby została na noc.

- Aha.

- I tak sobie pomyślałam, że może to ty wpadłbyś do nas, a ja zrobiłabym coś pysznego na kolację. Może przygotowałabym coś na zewnątrz, gdyby utrzymała się ładna pogoda.

- Kolacja we dwoje.

- No... tak.

Cisza. Czy w jego głosie słyszała kpinę czy tylko jej się wydawało?

- Ale wiesz, jeśli masz już jakieś inne plany, to nie ma sprawy.

- O której?

- Mam ją odstawić na szóstą.

- Więc będę o siódmej.

Piątek zbliżał się powoli, ale w końcu nadszedł, a Julia czuła się jak nastolatka przed pierwszą randką, chociaż wobec Amy starała się zachowywać nonszalancko. Zmieniła pościel, a na jednym stoliku przy łóżku ustawiła kwiaty. Na drugim stało kilka rodzinnych zdjęć, więc zanotowała w pamięci, żeby zaraz po odwiezieniu Amy usunąć je. W mieście zrobiła nie tylko zakupy, ale także zadbała o nową fryzurę i depilację nóg. Na jej widok Amy oznajmiła, że bardzo ładnie wygląda, co Julia próbowała zbagatelizować i odpowiedziała, że teraz, w lecie, z krótkimi włosami jest chłodniej. Amy uśmiechnęła się znacząco i dorzuciła, że ładne są także kwiatki w sypialni.

Wcześniej w ciągu tygodnia Julia rozglądała się za nową sukienką, wszystkie jednak wydawały jej się nazbyt wyszukane. Na dnie szafy znalazła starą, jasnoniebieską sukienkę, którą nałożyła tyle lat temu na niespodziewane przyjęcie powitalne dla Connora. Kiedy odebrała ją z pralni, wyglądała jak nowa.

Zjawiła się z Amy w domu Molly w Missouli na dziesięć minut przed umówioną godziną i omal nie spowodowała karambolu, kiedy na łeb na szyję wracała do domu. Pogoda była piękna, uznała więc, że zjedzą na zewnątrz. Wcześniej już ustawiła stół na tarasie, a teraz na balustradzie i w drzewach rozmieściła świece. Przygotowała zapiekane filety z tuńczyka z młodymi ziemniakami i sałatą, a na deser maliny w śmietanie. Prawdopodobnie będzie chciał piwo, ale na wszelki wypadek włożyła do lodówki wino i szampana. Rozpaliła pod rusztem mały ogień i pobiegła na górę.

Stojąc przed lustrem po prysznicu, smarowała ciało kremem nawilżającym, który dostała od Lindy. Uznała, że jak na kobietę po trzydziestce (no, dobrze już, dobrze, pod czterdziestkę, jeśli aż tak bardzo chodzi o ścisłość!) wygląda całkiem, całkiem... Niezwykle długo zastanawiała się nad bielizną, jaką powinna nałożyć, upominając się zarazem, żeby przestała się tak emocjonować, przecież nie jest panienką, ale cóż - od tych wszystkich uspokajań serce waliło jeszcze mocniej. Ciało miała ładnie opalone, ostatecznie więc zdecydowała się po prostu na jasnokremowy atłasowy stanik i takie same majtki.

Sukienka prezentowała się świetnie. Odrobina cienia na powieki, tusz na rzęsy, żadnej szminki. No może troszkę. Nie, lepiej bez. Zapalić lampkę przy łóżku. A może wyda się to nazbyt zainscenizowane? Co za idiotyczne wahania. Jeśli po świecach, kwiatkach i szampanie znajdzie się

tutaj, nie bardzo wiedząc po co, to cała sprawa przedstawia się bardzo kiepsko. Jak postąpiłaby Linda? Może zadzwonić do niej? Nie. Lampka wyłączona. Włączona. Ach, do diaska!!!

Zeszła na dół i nastawiła płytę Spencera Lewisa - A Sense of Place, Smak miejsca. Wydawało jej się, że Connor powiedział coś ciepłego na jej temat podczas chrztu. Chyba tak... ale czy na pewno? Tak czy owak, dyskretna, nienatarczywa muzyka wydawała się całkiem odpowiednia.

Pięć po siódmej usłyszała samochód zatrzymujący się na podjeździe. Po raz ostatni zerknęła na siebie w lustrze, a potem zamarła na chwilę z zamkniętymi oczyma.

- Ed - szepnęła - tak ma być, prawda? Powiedz, że to w porządku.

Ciszę uznała za potwierdzenie.

Connor miał na sobie łososiową koszulę z białymi guzikami, a jego stare džinsy wyglądały tak, jakby przed chwilą opuściły pralnię. Nałożył też swoje najlepsze buty i najlepszy kapelusz, który zdjął, idąc po żwirze w jej kierunku i ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku. W jednej ręce trzymał butelkę szampana, a pod pachą bukiet chabrow. Zatrzymał się kilka kroków przed Julią, przechylił odrobinę głowę, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Pamiętam tę sukienkę!

- Wiesz, tam w środku jest cała reszta z Chuckiem Hamerem na czele, znowu postanowili zrobić ci niespodziankę, ale pomyślałam, że może tym razem lepiej cię uprzedzić.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

- Jesteś taka piękna, że niepodobna oderwać od ciebie oczu.

Julia przełknęła ślinę, uśmiechała się i nie spuszczała wzroku.

- Wcale nie musisz odrywać.

Zrobił ostatnie dwa kroki i podał jej kwiaty.

- Dziękuję.

Sama niemal nie dosłyszała swojego głosu. Nie mogła zapanować nad drżącym ciałem. Zatrzymał się tak blisko, że poczuła zapach mydła na skórze, a Connor wciągnął w nozdrza jej aromat i spojrzał na usta. Lekko rozchyliła wargi i nachyliła się ku niemu, a kiedy ich usta zetknęły się, cały świat jakby na chwilę znieruchomiał.

Ręce zajęte mieli kwiatami, butelką, kapeluszem, tak że przez moment stykały się tylko ich wargi, a potem Julia bez słowa odwróciła się i wprowadziła go do domu. A chociaż wszystko zupełnie inaczej sobie wyobrażała, poprowadziła Connora wprost do sypialni. Położyła bukiet obok kwiatów stojących już na stoliku i wtedy ku swemu przerażeniu zauważyła, że nie usunęła fotografii. Jakaż z niej idiotka! W pierwszym odruchu chciała zrobić to teraz, ale natychmiast

uznała, że to bardzo zły pomysł. Jeśli w ogóle spostrzegł zdjęcia, nie zrobiło to na nim widocznego wrażenia.

Umieścił na krześle szampana i kapelusz, obrócił się do Julii i zastygli, wpatrując się sobie w oczy. Przeciągnął palcami po zewnętrznej stronie jej ramię, potem wewnętrznej, a następnie pochylił się i powiodł wargami po szyi, poniżej brody i wzdłuż linii podbródka.

Ujął ją za barki, obrócił, ucałował zamię na karku, a potem rozpiął sukienkę i delikatnie zsunął po ciele na ziemię. Dłonie ześliznęły się na jej biodra i uda. Teraz ona odwróciła się i pocałowała go, Connor zaś pogładził wierzchem dłoni koniuszki jej piersi, po czym sięgnął do zapięcia stanika. Poczwała, jak drżą mu palce, pomogła mu więc, a kiedy stanik zsuwał się z ramion, ujrzała, że jego oczy spoczęły na fotografiach.

- Connor, jest tak, jak być powinno. - Pocałowała go delikatnie. - Wolno nam.

Skinął głową, pocałowała go dłużej i intensywniej, czując, jak opuszcza go lęk, niepewność, poczucie winy - czymkolwiek było to, co go hamowało. Pogładził spód jej piersi, potem sutki, by zaraz powtórzyć pieszczotę wargami i językiem. Uniosła głowę, znowu go pocałowała, a kiedy rozpięła jego koszulę i sięgnęła do spodni, dotknęła napiętej już męskości.

- Och, Connor, tak długo na ciebie czekałam.

- I ja czekałem na ciebie. Tysiące razy marzyłem o tej chwili.

- A ja marzyłam o tobie.

Ułożył ją na łóżku i patrzyła, jak pozbywa się butów i ubrania, wpatrzony w nią bez wstydu czy niepewności. W wieczornym słońcu zobaczyła, jak jest chudy oraz ile jest na jego skórze blizn, których historie opowie jej jeszcze któregoś dnia jedną po drugiej. Nagi ukląkł przy łóżku, przeciągnął palcami, a potem ustami po wewnętrznej stronie ud, by następnie zdjąć jej majtki, pocałować brzuch, rozchylić nogi i także tam ucałować.

Szczytowała niemal natychmiast po tym, jak w nią wszedł. Zalały ją tak potężne fale rozkoszy, że nawet nie starała się powstrzymać krzyku. Potem poczuła, że także Connor osiąga orgazm, głęboko w niej, jakby wreszcie znalazł swoje miejsce, dotarł do najgłębszego centrum jej istnienia, gdzie zawsze powinien przebywać i gdzie zawsze już pozostanie. Ogarnęło ją nieposkromione łkanie, łzy płynęły jej z oczu strumieniami, a całym ciałem wstrząsały dreszcze. Zrazu zaczął je scałowywać, ale później przywarł policzkiem do jej twarzy, a wtedy ich łzy złączyły się.

- Obiecuj mi - szepnęła. - Obiecuj, że już nigdy mnie nie opuścisz.

- Obiecuję!

Spadł świeży śnieg, którego gruba warstwa chrzęściła teraz pod butami. Collie uganiały się między drzewami, co chwila powracając do niej i radośnie obwąchując, jakby sprawdzały, czy w

czasie ich nieobecności ktoś jej nie podmienił. Brzegi strumienia nastroszyły się lodem, a woda płynęła między nimi tak leniwie, jakby nie była pewna, czy jej samej nie byłoby lepiej zamarznąć.

Śladem psów minęła kępę wierzb i dzikiej wiśni, potem resztki opuszczonych przez bobry żeremi, a za zakrętem rozpostarł się przed nią niczym nie zakłócony widok na dolinę. Odlegli o jakieś pół mili jechali wolnym truchtem w jej kierunku wzdłuż strumienia.

Nazbyt byli pogrążeni w rozmowie, aby ją spostrzec, stała więc na skraju topolowego zagajnika i patrzyła, jak się ku niej zbliżają. Amy miała na sobie starą czerwoną kurtkę wełnianą i podniszczone skórzane spodnie, które otrzymała od matki Connora. Kowbojski kapelusz kiedyś należał do Connora i jego wnętrze trzeba było trochę wyłożyć, aby dopasować do jej głowy. Był tak samo sfatygowany jak własny kapelusz Connora, który miał teraz na głowie. Poza tym miał na sobie brązową drelichową bluzę. Dosiadał jabłkowitego ogiera, nieco wyższego od pięknego karo - białego wierzchowca, którego sprezentował Amy na urodziny. Kiedy tak jechali obok siebie, w tle za plecami mając góry, wydawali się parą klasycznych desperados.

Owczarki porzuciły Julię i pognały na spotkanie jeźdźców. Na ich widok Connor i Amy popatrzyli przed siebie i pomachali do niej rękami. Odpowiedziała im tym samym i patrzyła, jak przyspieszają, przechodząc w stępa i klus, a spod końskich kopyt śnieg pryska na psy.

Już po chwili ściągali wierzchowce.

- Mamo! Widzieliśmy wilcze ślady!

- Naprawdę?

- Tak, tam, koło starej zagrody.

- Ja bym na twoim miejscu uważała w tej czerwonej kurtce. Może to wcale nie musi być kapturek.

Obie się roześmiały, a Connor zeskoczył z konia i trzymając go za uzdę, podszedł do Julii.

- Pani Ford! Pani, zdaje się, miała leżeć w łóżku!

- W taki dzień jak dziś?

Położył rękę na jej wyдутym brzuchu i pocałował w usta.

- Chcesz się przejechać? - spytał. - Podsadzę cię. Możesz usiąść bokiem.

- Jasna sprawa, jeśli chcesz mieć niezwłocznie tutaj córkę.

- Nie, nie, mama musi uważać na siebie - zaprotestowała Amy.

Julia była w ósmym miesiącu ciąży i wiedzieli już, że będzie to dziewczynka. Co więcej, miała już przygotowane imiona: na pierwsze Emily, na drugie - Skye.

Amy pojechała przodem, Connor otoczył ramieniem Julię i poszli wolno wzdłuż strumienia ku domowi, a koń miękko pochrapywał za ich plecami.

Czasami zastanawiała się, co byłoby - albo nie byłoby - gdyby Amy nie podjęła inicjatywy i

nie została na noc u przyjaciółki. Najważniejsze rzeczy w życiu nigdy nie zdarzają się przez przypadek. Ale nawet przy tych, które są nieuchronne, trzeba trochę poczekać, a nawet czasami odrobinę im pomóc.